

Dwie śmierci. Jedna dziewczyna.
Jeden dziwny przedmiot.
Medalion przedstawiający pistolety i róże.

MIASTO ILUZJI RÓŻE

KONRAD
GRZEŚLAK

KONRAD
GRZEŚLAK

MIASTO ILUZJI
RÓŻE



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Miasto iluzji
tom II: *Róże*

Copyright © 2020 by Konrad Grześlak
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)
Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autora: Krzysztof Pasternak

Redakcja: Justyna Chmielewska
Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Maria Zając

ISBN: 978-83-8230-011-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadruga.pl
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E - wydanie 2020

Spis treści

Osiem lat wcześniej

Część II. Róże

Sobota, 14 października, 20:41

1

Niedziela, 15 października, 12:30

2

3

4

Poniedziałek, 16 października, 7:35

5

6

7

Wtorek, 17 października, 10:15

8

9

Środa, 18 października, 9:16

10

Czwartek, 19 października, 18:40

11

Piątek, 20 października, 11:10

12

13

Sobota, 21 października, 8:40

14

15

16

17

Niedziela, 22 października, 8:50, FINAŁ

18

19

20

21

22

23

24

25

Epilog

Poniedziałek, 30 października, 18:40

Piątek, 15 grudnia, 18:50

Posłowie

Źródła cytatów

Michałow...

Osiem lat wcześniej

– Do zobaczyska, stary...

Powiedział to, chociaż coś w głębi duszy mówiło mu, że może nie być żadnego zobaczyska. Że nigdy nie nastąpi.

Jego kumpel Marcin siedział w dusznym namiocie, po turecku, z małym pomarańczowym notesem i długopisem w dłoni. Nieobecny. Pochłonięty zapisywaniem, skreślaniem, układaniem na nowo. Pewnie kolejnej sceny z tą jego laską, Anką czy Anitą. Artur nie poznał jej osobiście, ale nasłuchiwał się o niej tyle, że nie miał już ochoty czytać. Jest najlepsza na świecie, ta jedyna, można z nią rozmawiać godzinami, łapie w lot wszystkie niuanse. Poza tym ma zajebisty uśmiech, seksowną chrypkę i paznokcie pomalowane na ciemny błękit. Te paznokcie Marcin chciałby widzieć w zbliżeniach w każdej scenie. Fetyszysta.

Jego przyjaciółka żyła natomiast w cieniu, nieszczęśliwa, być może obłąkana, wbita w mrok. Nie była zajebista, nie miała w sobie nic seksownego, paznokcie miała poobgryzane i bez lakieru. Jedyne, co miała, to te oczy o różnokolorowych tęczęwkach. Najpierw trochę się ich bał – tego dziwnego uczucia, że nie wiadomo, na kogo tak naprawdę się patrzy. Bo gdyby oba były niebieskie, to wyglądałyby jak zwykła dziewczyna z sąsiedztwa. Ale gdyby oba były zażółcone, turkus z domieszką piasku pustyni, chore, z opadającą powieką... Staruszka w ciele dziecka. Szamanka. Mała czarownica.

Nikt z jego znajomych nic o niej nie wiedział. To była tajemnica. Może Bolek? On chyba ich widział – raz, na polanie. Na pewno nie Marcin. Jeszcze nie teraz, może kiedyś, później, kiedy wszystko dobrze się skończy...

Marcin odmruknął coś i nie wyglądało to jak prawdziwe filmowe pożegnanie. Artur zostawił go więc w namiocie, obrócił czapkę daszkiem do tyłu i poprawił plecak. Ten sam, w którym od trzech miesięcy nosił swój niepokojący nabytek. CZ 85, kaliber dziewięć milimetrów. Piętnaście naboju w magazynku, choć zostały mu tylko trzy. Dwanaście strzałów do drzew w lesie, jeszcze w Warszawie. Raz w kwietniu, trzy razy w maju, a najwięcej pewnego czerwcowego wieczora, gdy musiał wypłakać i wystrzelać swoją wściekłość. Gdy dowiedział się, dlaczego ją tam trzymają. I że ona stamtąd nie odejdzie, dopóki nie dowie się, kim jest ten człowiek – człowiek albo ludzie. Wielogłowa hydra nazwana przez nią Czarodziejem.

Ruszył przez dębowy las skąpany w promieniach zachodzącego słońca. Odszedł na pół kilometra od namiotu i znalazł zacumowaną w sitowiu łódź, tak jak obiecywał

stary rybak. Mężczyzna nie uśmiechnął się, zresztą żaden uśmiech nie pasowałby do tej przeoranej zmarszczkami twarzy. Prostym gestem wskazał na ławeczkę.

Artur wszedł na chybotliwą łódź, odzyskał równowagę i usiadł. Rybak bez słowa wbił wiosło w dno, odepchnął się od sitowia, a po kilku chwilach przycupnął naprzeciwko Artura, włożył wiosła w dulki i zaczął powoli wiosłować. Przy każdym ruchu pochrapywał zniszczonymi od tytoniu płucami i zerkał na boki, jakby Artura wcale tu nie było.

– Panie... – powiedział Artur cicho, gdy odpłynęli jakieś trzydzieści metrów od brzegu. – Pan się zatrzyma na tej wysepce. Na tej, co wczoraj.

– Na chuj? – mruknął rybak. – Ja myślał, że ci się spieszy.

– Zostawiłem tam coś. Muszę zabrać.

Rybak nie odpowiedział, łypnął tylko bladym okiem na Artura, po raz pierwszy odkąd wypłynęli. Splunął za burtę, wyjął prawe wiosło z wody, a lewym skierował łódź w stronę małej zadrzewionej wyspy na środku jeziora. W jego zachowaniu było coś niepokojącego, jakby wiedział coś, czego Artur mógł się tylko domyślać. Posępny Charon, przewoźnik duszy, choć nie chciał od Artura monety. A może dostał obola od kogoś innego?

– To zajmie tylko chwilę...

Kolejne strzyknięcie śliną prosto w mętne wody jeziora. „Ileż tu musi być meli tego starucha” – pomyślał Artur. Dobrze, że o tym nie wiedział, gdy pływał codziennie prawie kilometr, w tę i z powrotem. Zepsułoby mu to całą przyjemność.

Po dwóch minutach łódź wpłynęła w malutką zatoczkę, okoloną z trzech stron szuwarami, wyciętymi w jednym miejscu, gdzie zaczynała się wąska kamienista ścieżka. Rybak wbił wiosło tuż obok okazałej lilii wodnej i znów charknął. Artur zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki i zsunął się do wody, sięgającej mu do kolan. Przeczłapał dziesięć kroków po wodorostach, były nieprzyjemnie śliskie i okręcały mu się wokół łydek.

Gdy wyszedł na ciepłe kamienie, spojrzał przez ramię na łódź. Rybak patrzył na niego uważnie spod uniesionej brwi i powoli wystukiwał papierosa z miękkiej paczki.

Ruszył, ostrożnie stawiając stopy. Krok po kroku, kamień po kamieniu. Na szczycie pagórka zboczył ze ścieżki w brzozowy zagajnik, z którego poderwały się do lotu cztery hałaśliwe mewy. Chwilę potem usłyszał furkot znacznie większych skrzydeł i podniósł głowę.

Dokładnie nad nim po bezchmurnym niebie krążył orzeł z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Był brązowy, trochę podobny do sokoła i mniejszy niż te amerykańskie, majestatycznie szybujące nad preriami i kanionami w westernach. Artur patrzył przez kilka chwil, jak ptak zatacza kolejne kręgi nad zagajnikiem.

„Dobry czy zły znak? Będę dziś zwierzyną? A może zwycięzcą?”

Ruszył. Opuścił zagajnik i doszedł tam, gdzie wczoraj... z nią... pod wielkim dębem, jedynym na całej wyspie, dokładnie pośrodku, z dziuplą ziejącą czernią. Najdziwniejszy z dziwnych momentów w jego dziwnym życiu. Niczego tu nie zostawił. I niczego nie musiał zabrać.

Chciał za to coś schować: zielony stukartkowy zeszyt, wypełniony w trzech czwartych drobnym maczkiem. Nie mógł zabrać go ze sobą tam, gdzie zamierzał pójść, nie chciał też oddać go Marcinowi. To nie była kwestia zaufania. Ta historia po prostu jeszcze się nie domknęła. A bez zakończenia – jakiegokolwiek będzie – nikt by w to nie uwierzył. Dlatego nie dał mu tego do przeczytania. Bał się, że Marcin go wyśmieje. Stwierdzi, że to wymyślona bajeczka. Przez różowe okulary nie widać mroku. W różowych okularach odbita jest zajebista Anita, ale nie ma nieszczęśliwej Alicji.

„Różowe okulary robią z ciebie ślepcę, Marcin. Nic nie rozumiesz. Pozostajesz w błogiej nieświadomości. Ale uwierzysz, gdy dowiesz się, co jest w zeszycie. Musisz uwierzyć. Może wtedy, gdy będziesz mógł usłyszeć Jej wersję. Lub wtedy, gdy...”

Tu, pod rozłożystym dębem na małej mazurskiej wysepce, po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może nie wyjść z tego cało. Że to nie są żadne negocjacje. Że to są ci sami ludzie, którzy grozili mu w Warszawie, pokazując filmik z płonącym chłopakiem w afro. „Dwa słowa – przypomniał mu się pełen chłodu wzrok olbrzyma z uciętym uchem. – Dwa słowa: Artur Sosnowski, i dołączysz do tamtego truchła gdzieś w jakimś lasu”.

Zdjął plecak i wyjął z niego swój scenariusz, a tak naprawdę pamiętnik. Otworzył go mniej więcej w połowie i na kilka długich chwil zapomniał, po co tu przyszedł.

Jest połowa czerwca. Przez ostatnie półtora miesiąca co drugi dzień jeżdżę do niej do tamtego domu. Najpierw samochodem ojca – zabierałem ją wtedy dalej, na polanę, raz czy dwa nawet nad Wisłę, na dziką plażę. Potem była ta nieprzyjemna rozmowa ze starym, gdy przyłapałem go na czytaniu mojego zeszytu, a on wystawił się przede mną, że o niej wie. Nie tylko wie – on żądał, żebym dał sobie z nią spokój. Odkryłem, kim jest. Mam ochotę napluć mu w twarz. Spiął się, robi wszystko, żeby jak najmniej patrzeć mi w oczy. Nie mam szansy podkradać mu auta, zresztą może lepiej, żeby myślał, że go posłuchałem i sobie odpuściłem. Od tej pory jeżdżę rowerem i spotykamy się blisko tamtego domu, nie oddalamy się.

Atmosfera na chacie zrobiła się dziwna: matka tkwi w bańce, tyle że nie jest to bańka mydlana, a ołowiana. Jest ślepa, jakby miała zaszyte oczy. Staram się wyrzucać z głowy pomysły, żeby powiedzieć jej o sprawkach ojca. Przypuszczam, że tylko nawrzeszczałaby na mnie, że jestem idiotą i że oczerniam człowieka, który całe życie robił wszystko dla

rodziny. Weronika ma dwanaście lat, jest w pewien sposób podobna do mnie, ale nie mam odwagi z nią pogadać. Gdyby nie te osiem lat różnicy, może i miałbym w niej sojusznika... ale w czym? Jak mogłaby mi pomóc? Jestem z tym sam.

No i jest jeszcze mój kumpel z liceum, Marcin. Mieliśmy pisać scenariusz – o dwóch chłopakach, którzy ruszają stopem w Polskę i odkrywają coś w sobie, jakieś prawdy, drogowskazy. Na początku obaj doszliśmy do wniosku, że żyjemy w pustce i że tym scenariuszem się wzbogacimy, choć nie dosłownie. Że dzięki wyobraźni stworzymy siebie na nowo – trochę lepszych, gotowych na ryzyko, sensownie odpowiadających na trudne pytania.

A potem pojawiła się Ona. Nie umiem opowiedzieć o Niej Marcinowi, chyba nie potrafiłby tego zrozumieć. I tak nie mam odwagi. Gdy tracę panowanie nad sobą, gdy ogarnia mnie potworne przerażenie, to świruję przed Marcinem – jak wtedy, gdy zaciągnąłem go do kibla w pubie i gadałem jak potłuczony o pistolecie. Scenariusz coraz mniej mnie interesuje. Spisuję wszystko, co najważniejsze, ale trzymam to dla siebie. Niektóre kartki dałem Oli – te o ojcu, o jego powiązaniach z gangusami. O Norbercie, który spalił gościa i któremu uszło to na sucho.

Dziś, jeśli nic nam nie przeszkodzi, skończymy *Drużynę Pierścienia*. Nie mogę powiedzieć, że się w niej zakochałem. Nie. Po prostu patrzę na nią, na jej niepokojącą twarz, i za każdym razem dostrzegam w tym zdrowym oku prośbę: „Uratuj mnie, zaopiekuj się, nie opuszczaj”. To jest jak wyzwanie – przezwyciężyć strach: przed ojcem, przed łysym typem od filmiku i jego szefem, przed Norbertem. Przed Adamem, który mieszka w domu obok, a gdy mnie widzi, to ma taki wzrok, jakby już dostał na mnie zlecenie. Przezwyciężyć strach i pojechać tam znowu, chociaż ona ani razu nie powiedziała, że chciałaby uciec. Chce tylko, żeby jej czytać, czytać, czytać. Jestem trochę jak środek czyszczący, jak płyn do kibla. Mój głos i Tolkien wypłukują z jej głowy gówno i szlam. Ja i John – robimy wszystko, żeby jej zdrowe oko zaświeciło jasnym blaskiem. Tyle razy wcześniej czytałem *Władcę*, trochę z rozpędu, trochę z dziwnej miłości, ta czynność była jak dmuchanie w żagle podczas flauty bezsensownego życia. Dopiero teraz, gdy czytam jej na głos, pewne rzeczy widzę niemalże na jawie, tak jak ona.

Ale przedwczorajsze spotkanie było inne. Przeróżające.

Nazywam ją w myślach Ally – od Alicji, chociaż dała do zrozumienia, że to nie jest jej prawdziwe imię. I że tego prawdziwego nie pamięta. Zostało w mieścinie, z której uciekła, razem z pociętymi dłońmi matki i ojczymem – damskim bokserem i obszcymurem.

Siedzimy na małej polanie, niedaleko kopca pełnego kłębiących się czarnych mrówek. Oparci plecami o gruby pień, na tyle daleko od tamtego domu, że go nie widzimy. Na tyle blisko, że w każdej chwili może wstać i tam wrócić.

– Dlaczego nie czytasz? – pyta mnie Ally.

Jesteśmy w rozdziale *Zwierciadło Galadrieli*. Drużyna przeszła przez kopalnie Morii, a Gandalf spadł w przepaść, mocując się z demonem Balrogiem. Już niedługo Frodo i Sam odłączą się od drużyny, ale zanim to nastąpi, Frodo zajrzy w magiczne zwierciadło królowej elfów.

– Nie mogę się skupić – mówię.

– O czym myślisz?

– Tydzień temu... – Waham się. – W tamtym domu ktoś mi pokazał coś dziwnego. Mówił, że spotka mnie to samo, jeśli nie przestaniemy się spotykać.

– Majka... – mówi głucho Ally. – Ona cię widziała. Nie raz.

– Nie, to nie ona. Łysy facet. Duży. Z uciętym uchem.

Ally przekrzywia głowę. Spuszcza wzrok.

– Jeśli nie chcesz przychodzić... Zrozumiem.

– Nie, to nie tak.

– Ja zrozumiem, naprawdę.

– Ale ja nie chcę przestawać. – Podnoszę głos. – Przychodzę przecież. Czytamy. Już.

Wskazuję na książkę i skupiam wzrok na małych literach. Elfia czarodziejka Galadriela spogląda właśnie na krasnoluda Gimlego, który siedzi smutny i wzburzony. Uśmiecha się do niego, a wtedy jemu się wydaje, że odwieczny przeciwnik krasnoludów – elf – to też istota z duszą i sercem. W tym sercu są miłość i współczucie. Do niego. I do hobbitów.

Przerywam znów, bo zamiast Galadrieli widzę pod czaszką tamtego płonącego chłopaka z filmiku. Krótkie ujęcia. Ciach, ciach, ciach. Ucieka. Biją go. Wyje, płonąc.

– Przepraszam – mówię cicho.

– Nie szkodzi. – Ally bierze głęboki wdech. – Opowiedz mi.

– Ale co?

– Ten mężczyzna, który ci groził. Co ci pokazał? Chcę wiedzieć.

Wstaję spod pnia. To nie jest dobre, żeby obarczać ją tym, że mi grożą i że od jakiegoś czasu wokół mnie rozpościera się gęsta sieć. Nie po to tyle czasu czytam, żeby teraz znów wkładać jej do głowy mrok.

– To nieważne – mówię. – Nic się nie zmieniło.

– Ważne. – Patrzy na mnie z dołu i mruży oczy. – Przyjaźń to przyjaźń, nie? Coś cię gnębi. Chcę wiedzieć.

– To wszystko jest takie skomplikowane. – Próbuję się jeszcze wymigać. – Sam nie wiem, co mam o tym myśleć.

– Po prostu mów, Artur. Mów.

Odchodzę kilka kroków.

– Pokazywał mi takiego jednego chłopaka. Przywiązali go do drzewa. Najpierw bili go, a potem spalili. Co najgorsze, chyba wiem, kto to zrobił.

Spodziewam się, że te kilka zdań w jakiś sposób ją przerazi, ale widzę w jej niebieskim oku niezdrowe zainteresowanie, a to chore otwiera się szerzej. Nie lubię tego. Zawsze tak się dzieje, gdy mówi o ludziach, którzy robią jej coś dziwnego. O Czarodzieju.

– Jak wyglądał? – pyta ze źle skrywaną ciekawością.

– Kto?

– Ten... chłopak.

– Palił się, nie pamiętam...

– Jak wyglądał?

– Młody, wysoki, ciemne włosy, kręcone.

– Mój medalion – szepcze Ally. – Mój medalion...

Czuję gęsią skórę. Patrząc na nią i przez moment nie widzę dziewczyny, którą znam. Ma w sobie coś z drapieżnika.

– On nie żyje? Tak czułam. Wiedziałam. Chciałam, żeby cierpiał. Ale nie żyje. Gdzie mój medalion? Powinni mi go oddać. To mój prezent.

– Czy ty...? – pytam, mocno przestraszony. – Kazałaś im go zabić? Jezu, Alicja...

– Nie nazywam się Alicja – mruczy, a jej oczy wywracają się pod powiekami, prawie jak w horrorze. – To tylko imię...

Podchodzę bliżej.

– Kazałaś im go zabić?! – Podnoszę głos.

– Ja... Chciałam tylko... Chciałam, żeby dostał nauczkę.

– Z kim o tym gadałaś?!

– Nie żyje, nie żyje – gada do siebie.

Mogę przysiąc, że widzę na jej twarzy grymas, coś jakby uśmiech. Ale nie, na szczęście nie. Z niebieskiego oka płynie po policzku łza.

– Nie wiedziałam, przysięgam. Dlaczego ich nie ma?

– Kogo nie ma, dziewczyno? Czego?

– Pistoletów i róż. – Załamuje jej się głos. – Nie oddali.

– Uspokój się, proszę. – Mimo strachu obejmuję ją ramieniem. – To źli ludzie, wszystko robią nie tak, rozumiesz? Nie można im ufać. Dlatego go zabili. Nie chciałaś tego.

– Nie chciałam.

Trzęsie się. Wydaje mi się, że powoli wraca do siebie.

– Przeczytaj mi o Galadrieli, Artur – mówi cicho. – Przeczytaj mi dalej, proszę. Proszę.

Znajduję siłę, żeby się skupić. Siadam naprzeciwko niej, ona opiera głowę o pień i patrzy gdzieś w dal. Wracam do spotkania drużyny z królową elfów. Pani Galadriela

w końcu uwalnia drużynę z więzów swoich oczu. Mówi im, by nie dopuszczali lęku do serc. I że dzisiejszą noc prześpią spokojnie.

– Spokojnie, spokojnie – mruczy Ally. – Nie chcę go już. Nie chcę. Jest przeklęty. Niech przepadnie, na zawsze.

Podnoszę wzrok znad książki. Do tej pory nigdy nie słyszałem o żadnym medalionie. Jak ona to powiedziała? Pistolety i róże?

Siedzimy tam jeszcze z godzinę, doczytuję rozdział do końca. Frodo zagląda do Zwierciadła Galadrieli, a Ally wygląda, jakby spała. W ciemnej czeluści Zwierciadła Frodo widzi Oko. Ono rośnie i rośnie, aż wypełnia całe Zwierciadło, a Frodo nie umie oderwać wzroku. Nie jest w stanie krzyknąć. Oko – przerażające, wielkie, szkliste, żółte niczym ślepie kota – wbija się w hobbita i wciąga go w czarną przepaść źrenicy.

Wpada mi do głowy myśl, że nigdy nie powinienem był przynosić tu ze sobą *Władcy*. Że ona powinna była na zawsze zostać w krainie Dorotki z Oz, Alicji z Krainy Czarów i ludków z książek dla dzieci. Ale jest już za późno. Wiem, że jej wyobraźnia należy teraz do tej książki, tak jak moja.

– Lady Galadriela będzie moją panią – stwierdza stanowczo Ally, gdy budzi się z letargu i wstaje. – Ona mnie poprowadzi, wiesz, Artur?

Kiwam głową, nieprzekonany. To, co dla mnie było najlepszą z możliwych fikcji, dla niej powoli staje się najlepszą z możliwych rzeczywistości.

CZĘŚĆ II RÓŻE

Living is easy with eyes closed, misunderstanding all you see...

JOHN LENNON

Sobota,
14 października, 20:41



1

Andrzej Rulewski przykucnął na pasie awaryjnym i przeciągle jęknął, trzymając się za skronie. Patrzył z żalnością na wrak swojego ukochanego porsche, roztrzaskanego, wbitego w tył długiej ciężarówki na trasie S8 przed Wyszkowem. Obok leżały dwa ciała, na które chwilę wcześniej miał okazję zerknąć przy rozcinaniu karoserii. Rozszarpane na kawałki, czerwona miazga z flaków i ubrań, na szczęście już zapakowana w czarne worki. Wciąż wszystko go bolało, krew ledwo co zakrzepła mu na policzku. Tkwił w dziwnym letargu, a niebieskie światła radiowozów, wozów strażackich i karettek były dla niego czymś nierealnym, za zasłoną, jakby ktoś odciął mu w mózgu zasilanie. Nie wiedział, co ma myśleć o Adamie. Skurwiel zniszczył mu samochód. Czy odzyskał spokój? A może to wcale nie było tak? Może szarpali się z Norbertem za kierownicą?

Tam w lesie, gdy stał przed Norbertem, z Adamem za plecami – czy czegoś naprawdę się dowiedział? Niczego, co by usprawiedliwiało taką ofiarę. Norbert podsłuchiwał coś u wuja. Skojarzył, że skradzionym medalionem chwali się na prawo i lewo muzyk z osiedla. Powiedział coś dziwnego – że medalion należał do dziwki z burdelu wuja, tej z oczami. I że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Artura na Mazurach, bo wuj kazał mu trzymać się od siebie z daleka.

Powinien już przestać o tym myśleć, ale czegoś mu brakowało. O czymś zapomniał.

„Myśl, Andrzej, myśl. Czy w tej układance jest jeszcze jakiś brakujący element?”

Gra Adama. Ten nieszczęśnik wpakował Norbertowi do głowy bajkę o szantażu, o skradzionej karcie. Norbert powiedział, że dzwonił do wujka i że z kartą jest wszystko w porządku.

Andrzej podniósł się z trudem i podszedł do podkomisarza Rajsera, rozmawiającego z gliniarzami z drogówki niedaleko radiowozów.

– Możesz dać mi na chwilę ten telefon z pobocza? – spytał.

Rajser się zawahał. Andrzej wiedział dlaczego: spartolił tę akcję, zrobił z siebie idiotę przed tymi gliniarzami. Spojrzał błagalnie. W końcu Rajser pokiwał głową, podszedł do barczystego policjanta siedzącego w radiowozie i spytał o komórkę, którą jeden z młodszych rangą kolegów znalazł przez zupełny przypadek pięćdziesiąt kilka metrów przed wrakiem. Wrócił do Andrzeja i wyciągnął telefon w jego stronę.

Andrzej chwycił iPhone'a z pękniętą szybką. Zmitygował się, dotknął ostrożnie ekranu i zajrzał do listy ostatnich połączeń. Norbert musiał wykonać ten telefon między wczorajszym spotkaniem pod Cordobą a porwaniem na parkingu. Ale w tym przedziale czasowym widniało tylko kilka rozmów z numerem oznaczonym jako „Tatko”.

– Kurwa...

„Może Norbert po prostu usunął to połączenie z listy? To tylko dwa ruchy palcem”.

Zajrzał do kontaktów. Pokażna lista. Sporo znanych nazwisk. Dziesiątki imion i ksywek, setka, dwie setki. „Ci od narkotyków będą mieli niezły pożytek z tego telefonu” – stwierdził w myślach. W kontaktach pod literą W nie było żadnego wujka. „Ten kretyn pewnie ukrył go pod jakąś ksywą albo po prostu pod imieniem i nazwiskiem” – pomyślał. Litery na ekranie tańczyły jak oszalałe, a on poczuł, że nie daje rady. Lada chwila w końcu spadnie na niego szok po ostatnich wydarzeniach i odetnie resztki przytomności.

– Nie masz pomysłu, jak mógł się nazywać wujek tego gościa? – spytał Rajsera, który przypatrywał mu się z surową troską, przyklejony do elektronicznego papierosa.

– Niby jakiego? Dopiero dziś się dowiedziałem, że Doktor Rob to tak naprawdę ten twój Norbert – odparł policjant bez emocji. – Od tej starej strony go nie znałem.

– Co ma w dowodzie?

– Robert jakiś tam, ale to pewnie podrobiony plastik.

– Wujek, wujek – powtarzał Andrzej z coraz większym poczuciem beznadziei. – Wszystko na nic, kurwa.

Oddał telefon Rajserowi i jeszcze raz spojrzął na miejsce makabrycznego wypadku, do którego może by nie doszło, gdyby nie jego uparte dążenie do czegoś idealistycznie nazywanego prawdą.

„Ta prawda akurat nikogo nie wyzwoli – pomyślał. – A na pewno nie mnie”.

– Sorry, stary, ale muszę cię tu wysadzić – wymamrotał Rajser, a wewnątrz jego samochodu wypełnił dym z elektronika. – Tak naprawdę to miałem być dzisiaj cały wieczór w domu. Obiecałem chłopakowi, że zagram z nim na pleju i przerobię angielski. Jak tego nie zrobię, to luba położy mi jutro na szafce papiery rozwodowe.

Andrzej spojrzął na Rajsera z boleścią, ale nie znalazł na twarzy policjanta ani krzty zrozumienia: facet miał wypisane w oczach, że nieudana akcja na jakiś czas wyczerpała limit jego dobrej woli. Stali akurat na światłach przy Dworcu Wileńskim, znów koło tej galerii handlowej, gdzie dał się zrobić w konia Norbertowi i Adamowi.

Cholernie daleko od Dolnego Mokotowa. Miał ochotę znaleźć się już pod kołdrą i wyrzесzczеć do poduszki swój żal za zniszczonym samochodem.

– To twój syn jeszcze nie śpi? – spytał nieco zbyt podejrzliwie. – Angielski o tej porze?

– W soboty chłopak ma trochę więcej luzu – rzucił Rajser do podsufitki.

– Spoko. I tak dużo dla mnie zrobiłeś. Dzięki.

Andrzej wysiadł z samochodu przed zebraą. Rozejrzał się – skrzyżowanie Targowej i „Solidarności” wciąż żyło, mimo dość późnej pory. Zadzwoić po taksówkę? Który taksjарz weźmie faceta ze świeżą szramą na policzku, śmierdzącego tak, jakby wykąpał się w cysternie z paliwem? Przyszedł mu do głowy Rafalski z redakcji, poza tym któryś z fotografów kręcił się pewnie w sobotę wieczorem po mieście. Ale nie, nie chciał odpowiadać na pytania ani stać się na kilka najbliższych tygodni przedmiotem wymienianych za plecami żartów.

Przeszedł przez skrzyżowanie i wpadł w strumień ludzi zmierzających z galerii handlowej do metra. Kilku młodych mężczyzn obejrzało się za nim, pewnie zwrócili uwagę na przyklejone do skroni strąki włosów i szramę na twarzy. No i ten smrodek podpałki ciągnął się za nim jak chmura za skunksem.

Wyszedł z przejścia podziemnego po drugiej stronie Targowej i stanął w bramie, byle z dala od ludzi. Wiatr ustał, podpałka nie rozwiewała się już na boki, zaczęła kropić delikatna mżawka. Andrzej zdjął czapkę i wystawił głowę z bramy. Krople spadły mu na twarz, na zmęczone oczy, ale nie przyniosło to ulgi. Było mu wszystko jedno i nie miał siły zaglądać do skrytych w mroku rozkładów jazdy. Chciał po prostu poczekać. „Na pewno coś przyjedzie. Coś musi stąd jechać przez Wisłę mostem Poniatowskiego, trzeba tylko wysiąść i zejść na Wisłostradę, a potem przesiadka. Cholera, czy stamtąd da się dojechać na tę pieprzoną aleję Witosa...?”

– Dokumenty poproszę – usłyszał obok siebie.

Tuż po gliniarzach wyłonił się z za zakrętu autobus i Andrzej bez większego zastanowienia zdecydował się ich zignorować i podbiec do przystanku. Poczuł na ramieniu żelazny uścisk i zamiast przy autobusie znalazł się znowu w bramie. Po takim numerze nic by już nie pomogły rzeczowe wyjaśnienia – dwaj gliniarze byli za bardzo zainteresowani jego wyglądem i próbą ucieczki, a kiedy Andrzej zrobił się na chwilę trochę zbyt niemący, ich silne dłonie chwyciły jeszcze mocniej. Poczuł, że jego twarz wciska się w brudny tynk, a zakrwawiony policzek szoruje o śrubę na tabliczce z nazwiskami notariuszy. Sprawne przeszukanie, zakończone znalezieniem dokumentów, telefonu i dyktafonu. Pewnie wszystko kradzione. Nagle Andrzej wydał się gliniarzom nad wyraz podobny do nożownika Edzia Ząbka, którego

komisariat z Cyryla i Metodego poszukiwał za wydłubanie kumpłowi oka na jakiejś melinie.

– Panowie, pliz, jaki Edzio? – Starał się zabrzmieć potulnie, chociaż w środku aż gotował się ze wściekłości, głównie na samego siebie. – Weźcie na wstrzymanie, zadzwoncie do podkomisarza Rajsera z Nowolipia. On wam potwierdzi moją tożsamość.

– Którą tożsamość? – spytał szorstko jeden z gliniarzy. – Z kradzionego dowodu?

Andrzej zacisnął zęby. Ze zdjęcia w dowodzie na wieczorną Targową gapił się facet młodszy od niego o co najmniej sześć lat, prosto od fryzjera, w białej koszuli i marynarce. Widział się już pod celą na Cyryla, gdy jeden z tamtych poszedł po rozum do głowy. Kilka długich minut rozmów przez krótkofalówkę, Andrzej patrzył wilkiem, jak głos z centrali próbuje przebić się przez trzaski z wiadomością, że z podkomisarzem Rajserem nie ma kontaktu. „Pewnie już przebrał się w piżamę i gra z synem na konsoli” – pomyślał. A jednak – udało się, choć nie z Rajserem, a z Feliksem, jego kumplem. Poświadczył, że Rulewski to facet w brudnej kurtce, ze świeżą szramą, śmierdzący podpałką.

Przeprosili Andrzeja jakby od niechcienia, jakby sprawił im przykrość tym, że nie okazał się Edziem Ząbkim. „Miej się na baczności!” – usłyszał na odchodnym. Rozejrzał się i przebiegł przez jezdnię między samochodami do nadjeżdżającego tramwaju. Zanim drzwi się za nim zamknęły, pomachał jeszcze środkowym palcem w stronę pleców tamtej dwójki, dostojnie sunącej chodnikiem.

Usiadł w tramwaju na końcu, żeby nikt się znowu do niego nie przypieprzył. Z zaciśniętymi zębami patrzył przez szybę i zaczynał czuć obojętnością niemoc, jego ciało stawało się miękkie jak wosk. „Nie mogę teraz zasnąć” – pomyślał.

Na przystanku przy Teatrze Powszechnym przez środkowe drzwi do wagonu weszły dwie dziewczuchy. Odpicowane na imprezę, mini, futrzane kurteczki, mocny makijaż, duże dekolty. Stały przy oknie i zaczęły rozmawiać krótkimi, urywanymi zdaniami. Andrzej miał dziwne wrażenie, że skądś zna jedną z nich.

„Jezu” – przeraził się. To była Shae, chociaż na rzęsach miała tyle maskary, że z początku jej nie rozpoznał. „A więc jadą na imprezkę do klubu, pewnie wysiądą przy Kruczej i pójdą piechotą na Mazowiecką. Do klubu?!”

Poczuł, że poci się jak świnia, a smród podpałki podlany jego strachem rozlewa się po tramwaju. Umówił się przecież z Shae na dzisiejszy wieczór, jak idiota. Zapomniał wtedy na chwilę o śledztwie, nie przewidział, że tak paskudnie się to wszystko skończy. Ukrył twarz w dłoniach i modlił się, żeby się nie odwróciły, żeby gadały wciąż do siebie, zajęte swoimi telefonami, selfie, fejssem czy czymkolwiek. Shae, jego

zmijka z *Gry o Tron*, jego szklanka *Happy Birthday*, przewijała coś na ekranie komórki długimi jak szpony tipsami z błyskającym złowróźnie brokatem.

Dziewczyna podniosła telefon do ucha, a przerażony Andrzej usłyszał dobiegającą z kieszeni melodyjkę. Chciał zwinnym kocim ruchem sięgnąć do kurtki i wyciszyć dzwonek, ale zdrętwiałe ramiona odmówiły posłuszeństwa. Shae przecesała tipsami czarne włosy do ramion, wciąż czekając na połączenie. Andrzej pomyślał, że jeszcze chwila i to wszystko wreszcie się skończy.

Wtedy odwróciła głowę i spojrzała w jego stronę. Coraz mocniej wbijała w niego wzrok, mrużyła swoje bliskowschodnie oczęta, usta pokryte karminową szminką złożyły się w ciup. Już wiedział, że nie ma szans. Shae wykonała szybki ruch palcem na komórce i melodyjka pod kurtką zamilkła. Potem przeszła dziesięć kroków w jego stronę, stukając obcasami. Andrzej spojrzał przez szybę i przełknął ślinę, a po chwili znów zabrzmiał jego telefon.

– No odbierz, kotku – usłyszał nad głową.

Podniósł umęczony wzrok. Patrzyła na niego z zaciekawieniem, nawet z sympatią, ale on czuł się teraz nagi mimo puchowej kurtki. W dodatku wciąż nie pamiętał jej imienia.

– Nie mogłeś wziąć prysznicza przed klubem? – spytała filuternie. – Prosto z roboty?

– Ta, prosto – mruknął. – Coś mi wypadło.

– Miałeś zamiar mi to powiedzieć czy po prostu mnie wystawić? Nie lubię, jak robi mi się fałszywe nadzieje.

– Pewnie bym zadzwonił...

– ...jakbym sobie przypomniał – dokończyła za niego.

Jej koleżanka, blondynka w pasemkach, z napompowanymi wargami i w przyciemnionych okularach, patrzyła na nich z oddalenia, z dziwną miną, której Andrzejowi nie chciało się analizować. Coś jakby niesmak. Nagle ruszyła, stukając obcasami jeszcze dłuższymi niż te Shae, i zatrzymała się w bezpiecznej odległości.

– Ty, znasz tego gościa? – wysepleniła. – Robi jakiś problem?

Andrzej chciał rzucić jej, żeby się odpieprzyła. Powstrzymał się.

– Co on tak capi? – Blondynka ciągnęła swoje małe śledztwo. – Pocieszny. Taki jakby menel, ale nie do końca. To ten bloger?

– Nie. – Shae uśmiechnęła się figlarnie. – Taki mój kolega. Przechodzi teraz ciężki okres. Stracił właśnie kasę na giełdzie, ale jak go znam, to się jeszcze odkuje. Odkujesz się, Andrzej?

Spojrzał jej w oczy, szukając odpowiedzi na pytanie o to, w jakim celu ta dziewczyna robi sobie z niego jaja.

– Aaa, czyli znasz go. – Blondynka się uspokoiła. – Stary znajomy?

– Si.

– Cyknać wam razem fotkę?

Nie czekając na odpowiedź, wycelowała w nich telefon ze złotą klapką w gwiazdki.

– Nie! – zawarczał Andrzej. – Żadnych fotek.

Shae machnęła na blondynkę ręką, a tamta odpuściła. Nie zważając na pochmurną minę koleżanki, Shae nachyliła się do ucha Andrzeja.

– Powiem ci teraz, co zrobimy – zaczęła cicho. – Wysiądę z nią przy Kruczej, a potem powiem jej, że nie mam dziś ochoty na klub. Ona pójdzie, a ty podjedziesz swoim porsche...

– Nie mam już porsche – wymruczał z boleścią.

– Ale to mieszkanie przy Witosa wciąż chyba masz?

Miał wrażenie, że dziewczyna zaraz parsknie mu śmiechem do ucha.

– Mieszkanie mam.

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę, podczas której czuł w nozdrzach jej mocne perfumy, a jej czarne włosy łaskotały go w policzek pod szramą.

– No to zmiana planów – szepnęła znowu. – Pojedziesz do domu, a ja będę tam już na ciebie czekać. A potem zrobisz mi wszystko to, co mi obiecałeś.

– Weźmiemy taksówkę? – spytał z nadzieją.

– Razem?

„A czemu nie?” – pomyślał. Naprawdę chciał już być pod prysznicem i zmyć z siebie cały ten brud. Przymknął oczy, ale pod powiekami od razu wyświetlił mu się Norbert chlustający na niego podpałką i napięta twarz Adama, gdy ten przejeżdżał mu nożem po twarzy.

– Nie, miś, nie dzisiaj – usłyszał.

Pokiwał tylko głową. Rozumiał. Shae wyprostowała się i odeszła do koleżanki.

– On biedny jest – powiedziała do niej nieco zbyt głośno. – Musiałam go podnieść na duchu, żeby sobie czegoś nie zrobił.

Wysiadł z autobusu przy alei Witosa i powoli ruszył chodnikiem przed siebie. „Najbardziej pojebany wieczór mojego życia” – pomyślał. A to jeszcze nie koniec. Jeśli Shae nie zrobiła go w balona, to powinna czekać na niego gdzieś przy szlabanie na parkingu. Po drodze stwierdził, że lepiej by było, gdyby się rozmyśliła i jednak poszła z tamtą blondynką do klubu.

Facet idący z przeciwka włożył do ust papierosa i odpalił, chroniąc płomień przed wiatrem. Zrównali się i Andrzej wyobraził sobie z przerażeniem, że tamten rzuca w niego zapałką. Strasznie chciało mu się palić, ale się powstrzymał. „Nie!” Nie,

dopóki nie zrzuci z siebie tych śmierdzących ciuchów, które mogły zająć się od przypadkowego ognia.

Usłyszał pod kurtką melodyjkę. Shae pewnie marzła pod szlabanem. Błąd – to dzwonił Kamil Rajser.

– Nie wiem, czy chce mi się gadać – rzucił Andrzej do słuchawki. – Dopiero docieram do domu, chce mi się łać, palić, żreć, spać, ale chyba nie gadać.

– Nie uwierzysz, Andrzej. – Rajser zaśmiał się nerwowo.

– Nie uwierzę.

– Wróciłem do domu, luba oglądała talent show w telewizorze, więc po cichutku zdjąłem kurtkę i poszedłem do syna. Nie spał oczywiście, czekał na mnie, już miałem usiąść z nim i zagrać, ale...

– Błagam, Kamil – wycedził Andrzej.

– ...stwierdziłem, że przed graniem przerobię z nim trochę tych słówek angielskich, bo ma z tym problem. Pytam go, a on mi odpowiada. Dom – *house*. Matka – *mother*. Ojciec – *father*.

Andrzej czuł, że musi przyspieszyć kroku. Lada moment popuści w spodnie. A Rajser brzmiał, jakby dopiero się rozkręcał.

– Już miałem olać angielski, bo mi dzieciak lekko odpływał, ale jakoś tak powiedziałem: wujek. A on mi na to, że nie wie. No dobra, powiedziałem sobie i włączyłem mu konsolę. Sprawdziłem w necie, no i oczywiście to był...

– *Uncle* – przerwał mu Andrzej. – Chcesz mi powiedzieć, że Norbert miał w telefonie jakiegoś *uncle*?

– No i tu jest najlepsze. – Głos Rajsera zadudnił Andrzejowi pod czaszką. – Zadzwoń do Feliksa, żeby mi jeszcze raz sprawdził telefon Doktora Roba. Nie miał go przy sobie, bo oddał do depozytu, więc trochę to trwało. Kiedy czekałem, to przypomniałem sobie, jak mi mówiłeś, że ten Norbert jarał się tym Spider-Manem. Zanim Feliks oddzwonił, to już miałem odpowiedź, bo sprawdziłem w necie.

– Że Spider-Man miał wujka?

Do wejścia na osiedle zostało mu pięćdziesiąt metrów. Dojrzał Shae. Niecierpliwie stuknęła obcasami o chodnik i chuchała w dłonie, bacznie obserwowana przez faceta od otwierania szlabanu.

– A jakże. Uncle Ben.

– Że co? Jak ten ryż?

– Dokładnie.

– I co? Miał Uncle Bena w telefonie?

– Miał. Prześlę ci numer z prywatnej poczty.

Andrzej się zatrzymał. Shae dojrzała go, posłała mu uśmiech i pomachała zachęcająco.

– Nie będziesz miał kłopotów, Kamil? – spytał. – Że rozdajesz prasie kontakty z telefonu z depozytu?

– O mnie się nie martw – odparł spokojnie policjant. – Martw się o siebie. Martw się o to, co zrobisz z tym numerem. Drugi raz nie przyjedzie kawaleria.

– Dzięki.

Stał pod gorącym prysznicem i nie potrafił zapanować nad chaosem w głowie, myśli atakowały go z każdej strony, nie miał przeciwko nim żadnej broni. Nie chciały się zmyć razem z brudem i smrodem. Osiem lat pieprzonych snów z powodu naspidowanego kretyna. Nie miał już medalionu, oddał go Bielawskiemu, niech się Bielawski zajmie resztą, niech się weźmie do roboty, on już swoje zrobił, dorwał mordercę. „Jeszcze tylko Uncle Ben, jak ten ryż”. Miał ochotę znów się nawalić, tak na ostro, jak wtedy po Igorze. „Jak to było, Andrzej? Polska wóda lepiej wali”.

Zupełnie zapomniał o Shae. Siedziała samotnie w pokoju, ale nie chciał wychodzić spod prysznica, dopóki nie przypomni sobie jej imienia. Głupio by było tak wyjść z łazienki w ręczniku, już czysty, choć wciąż ze szramą, i nie wiedzieć, jak się odezwać do tej dziewczyny. Zawsze mógł wpaść w swoją zwyczajną sobotnią gadkę, te wszystkie „misie”, „kotki” i „myszki”, ale zupełnie nie czuł klimatu. Chciał z kimś pogadać, opowiedzieć o tej eskapadzie. A co najgorsze, czuł w klatce piersiowej tępy rozlewający się nad brzuchem ból. Jego wewnętrzny głos podpowiadał mu, że pozbyłby się go, gdyby położył się pod kołdrą i pozwolił sobie na ryk. Na prawdziwy płacz, taki ze łzami. A tego nie mógł zrobić. Nie przy Shae.

„Be... Be... Berenika? Beata? A może to wcale nie było na B...”

Wyszedł z łazienki przepasany ręcznikiem. Shae leżała na łóżku, ubrania porzuciła po pokoju. Spódnica na telewizorze. Bluzka na jego laptopie. Futerko zwisało malowniczo z lampy pod sufitem.

– Jak ci się podoba nowy wystrój? – spytała, odchylając głowę. – Nie uważasz, że trochę bałaganu wniosło do tego pokoju nieco życia?

Nie odpowiedział. Usiadł koło niej, a ona przysunęła się i włożyła dłoń z wielkimi tipsami pod jego ręcznik.

– Sprawdź, czy tu też nie przydałoby się narobić bałaganu.

Jej uśmiech wydał się Andrzejowi nienaturalny. Figlarność z tramwaju gdzieś uleciała. Shae wchodziła w zupełnie nową rolę.

– Słuchaj – zaczął Andrzej z drgającym policzkiem. – To chyba jednak nie jest dobry pomysł.

– To zawsze jest dobry pomysł – mruknęła, powoli przesuując dłońią po jego miękkim członku. – Obiecałeś mi coś, prawda?

Próbował wczuć się w powolne ruchy dłoni Shae. Przymknął oczy. Masowała go bez pośpiechu, w górę i w dół. Uśmiechnął się do siebie: „Tak, niech robi to, niech wróci rutynowa sobotnia gra wstępna, przechodząca powoli w upojną noc, serialowy maraton w niedzielne przedpołudnie, a potem jeszcze więcej ostrego seksu”. Położył się na plecach i rozpostarł ręce. Uniósł na chwilę pośladki, a Shae zdjęła ręcznik i dorzuciła do swojego bałaganu.

„Adam i jego nóż. Dwa ciała w czarnych workach. Uncle Ben, jak ryż”.

Mimowolnie zazgrzytał zębami i jakiś elektryczny prąd wzdrygnął całym jego ciałem. Zaczął odpływać w niebyt. Shae chyba nie zauważyła niczego niepokojącego, bo dorzuciła do repertuaru język, a potem całe usta. Nic nie czuł, zapadał się w materacu, był tylko głową odseparowaną od reszty.

– O co chodzi? – usłyszał. – Źle robię?

– Nie, dobrze, dobrze robisz – wymruczał do sufitu, nie otwierając oczu. – Jest bosko.

– Komu bosko, temu bosko...

Wyczuł w jej głosie cichą rezygnację, ale nie wiedział, o co może jej chodzić. To przecież niemożliwe, żeby mu nie stanął. Leżał więc dalej w błogiej krainie, w której na szczęście nie było już spalonych kikutów, medalionów ani rozbitych aut, tylko on sam, pośród płatków róż, jak ta laska w *American Beauty*. Leżał i słuchał. Kroki na parkiecie, szelest ubrań, delikatne przymknięcie drzwi. W końcu głucha cisza.

Dopiero wtedy zasnął.

Marta przeciągnęła się na tyle, na ile pozwalały jej spięte na kamień plecy. Wydawało jej się, że poczuła obok siebie śpiącego Marcina, ale to była tylko jego poduszka, którą przysunęła bezwiednie do piersi, jak dziecko przytulające misia.

Krótki dzwonek w jej komórce. Sięgnęła do szafki nocnej i odczytała wiadomość. „Śpisz? Zaraz będę”. A więc powrót. Koniec separacji. Mógł zrobić to już w środę albo czwartek, skoro jako tako wytłumaczył swoje spotkanie z eks w restauracji. Mimo to olał ją. A może tak bardzo bał się matki? Wydębił kolejny dzień „wolnego od Marty”, i kolejny. Nocował u jakiegoś aktora i opiekował się jego dziećmi. Wziął od niej aparat i gadał coś jak potłuczony o starym scenariuszu. Pomyślała, że mu odbiło – miał przecież pracę w ministerstwie i swój ulubiony święty spokój.

A może coś mu się poprzestawiało? Ją wymuszony święty spokój wymęczył jak mało co. Do incydentu ze skurczami latała po mieście z aparatem, gromadziła materiał i czuła, że ciąża nie jest taka straszna. Że mimo rosnącego z każdym dniem brzucha i zadyszki można coś robić, a nie leżeć na sofie i gnić.

Potem przyszły skurcze, KTG w szpitalu na Inflanckiej i Julia Bielawska. Od dwóch tygodni tylko Facebook, Photoshop, audiobooki i krótkie spacery – z Dżeki do śmietnika, a z matką Marcina do skwerku i z powrotem. Sen, sen, mnóstwo niepotrzebnego snu. Nuda, na zmianę z gonitwą myśli. A w międzyczasie niemal żadnych niepokojących objawów. Tylko jeden atak – gdy zobaczyła tamto nieszczęsne zdjęcie na profilu Teresy. Jakoś udało jej się opanować, pomogła nowa broń, jej *mindfulness*. I to, że miała przy sobie Julię, która wymyśliła na szybko karę dla Marcina. Tylko co z tego, skoro on tę karę nonszalancko zamienił na urlop od domowych pieleszy.

Przez te wszystkie przemyślenia zapomniała mu odpisać. Usłyszała chrzęst klucza w zamku, a Dżeki zeszła z łóżka i wybiegła do przedpokoju. Niemal natychmiast pojawiła się tam też wysoka postać jej teściowej w szlafroku. Julia Bielawska zerknęła szybko w jej stronę, a potem cicho zamknęła drzwi od sypialni i stanęła tyłem do mleczonej szyby. Wyglądała jak strażnik więzienny. Albo kat przed egzekucją.

– No ładnie – mruknęła Marta pod nosem. – Będzie jątka.

Już wcześniej zakomunikowała Marcinowi, że sam będzie musiał wypić piwo, którego nawarzył. Postanowiła nie przeszkadzać w tej rozmowie. Przyłożyła głowę do poduszki, wpatrzyła się w drzwi i zamieniła w słuch.

Julia Bielawska już w środę zorientowała się, że jej synowa choruje na jakiś dziwny rodzaj inercji. To chyba taki młodzieńczy paraliż, jaki mogą mieć tylko dziewczyny przed trzydziestką, na dodatek w ciąży. Widzą jak na dłoni, że w ich związku dzieje się coś złego, ale nic z tym nie robią. Obwiniają siebie, boją się konfrontacji. Boją się zostać same. Idą w pobłażliwość i współpracę, jak Marta. „A facetom jest to na rękę, nie? Są jak szczeniaki, gdy raz pozwoli się im pogryźć kapeć, to obgryzą wszystko dookoła i zdemolują mieszkanie”.

I takim facetem okazał się jej Marcinek. Ten sam, który kiedyś obiecał mamie, że nigdy nie będzie taki jak tata.

Przymknęła oczy, żeby otworzyć je znienacka w momencie, gdy on pchnie drzwi i stanie w progu. Stał, był tam. Nieogolony, z dziwnym ogniem w oczach, jak przy gorączce. W jednej dłoni trzymał jakąś książkę, a drugą wyciągnął do szalejącego przy jego nogach psa. Postarała się, żeby na jej twarzy były tylko chłód, dystans i odraza. Za to on patrzył na nią jak na dziwny obiekt, jak na dzieło sztuki, którego nie da się zrozumieć.

– Marta śpi? – spytał bez żadnych wstępów. – Jestem zmęczony.

– Marta. Śpi. – wycedziła Julia. – A ty, mój drogi, zmęczony czy nie, teraz sobie ze mną porozmawiasz.

– O czym? – Marcin potarł rzęsy. – Jeśli mam cokolwiek do powiedzenia, to Marcie, nie tobie, mam. I będę rozmawiał o tym z Martą. Ale stoisz przy drzwiach do naszej sypialni, więc wiesz...

– Stoję przy drzwiach tego pokoju, bo chcę czegoś zaoszczędzić tej dziewczynie. – Julia poczuła gniew i wzięła się pod boki. – Ona najwyraźniej niczego nie rozumie. Jest młoda i zagubiona, ale nie zasługuje na to piekło, które ty, synu, masz zamiar jej urządzić. Bo może jeszcze tego nie wiesz, ale to jest najgorsze piekło, jakie mężczyzna może zgotować kobiecie. To piekło to zdrada, poniżenie, zmarnowane życie. Samotność.

Niespodziewanie uśmiechnął się blado, mimo zmęczenia. To wzbudziło w niej niemal furję, bo po swojej wspaniałej przemowie spodziewała się skruchy i miny zbitego psa, a nie łajdackiego uśmiechu.

– Widzę, że jesteś z siebie bardzo zadowolony, Marcin! – podniosła głos.

– Nie jestem, mam – odparł cicho.

– To z czego się cieszysz?

– Z niczego. Z sytuacji.

– A co w niej jest śmiesznego?

Nie odpowiedział. Przypomniała sobie o aparacie, który zniknął tajemniczo z rąk Marty pod śmietnikiem, gdy wyszła z psem. I ten plecak, który wciąż miał na plecach. Raczej nie wyszedł z nim do pracy we wtorek. Ale ten głupawy uśmiech, nieschodzący mu z twarzy, sugerował coś jeszcze.

– Ty i twoja żona zrobiliście sobie żarty moim kosztem? – spytała Julia lodowato. – To było takie przedstawienie, tak? Pokazać nadopiekuńczej teściowej, że jest zawalidrogą? Że się wcinam, tak?

– Nic takiego nie powiedziałem. – Jej syn zdjął wreszcie z twarzy ten denerwujący uśmiešek. – Marta wiedziała, że między mną i Anką nic się nie wydarzyło. Reszta to naprawdę moje sprawy.

– Moje sprawy. Tak, teraz wszystko doskonale rozumiem. – Julia pokręciła głową. – Nie. Nie rozumiem. Na przykład tego, że przez cztery dni cię tu nie było.

– Miałem coś do załatwienia. Chciałem być sam.

– Z dała ode mnie, tak?

– Ty to powiedziałaś.

Rozmawiał z nią jak jego ojciec. „Ty to powiedziałaś”, „to twoja wersja”, „to moje sprawy”. „Ależ on jest teraz do niego podobny, te oczy, trzydniowy zarost...” – pomyślała.

– W każdym razie dziękuję ci, że zaopiekowałaś się Martą.

Powiedział to szczerze, ale i tak był teraz dla niej Grzegorzem Bielawskim, który osiemnaście lat temu tłumaczył się nieudolnie w tym samym przedpokoju po tym, jak znalazła w jego portfelu zdjęcie paszportowe jakiejś kobiety. Czuła, że traci swój gniew, a pojawia się tamto uczucie. Że jest sama, zdradzona i poniżona.

– No jasne – odparła nieswoim głosem. – Jest niania dla chorej żonki, to można się szlajać po mieście. Dużo imprez zaliczyłeś?

– Żadnej.

Zamilkła. Wszystkie mięśnie na jej twarzy stężały, a w głowie pojawiła się nieprzyjemna wata. Julia dotknęła skroni i przymknęła oczy.

– Mamo... – usłyszała przed sobą. – Ty chyba byłabyś zadowolona, gdyby się okazało, że zdradziłem Martę. Bo to by ci pasowało do twojego... ja wiem? Światopoglądu?

– Nic o mnie nie wiesz – burknęła z zamkniętymi oczami.

– To tak samo jak ty o mnie.

– Ja o tobie? Wiem wszystko. Urodziłam cię, wychowałam, dałam ci nawet to mieszkanie, chociaż wcale nie musiałam.

– A wiedziałaś, że chodzę na terapię?

„Na terapię?” – zdziwiła się Marta. „Cholera, Marcin chodzi do psychologa? Od kiedy? Skąd mu to przyszło do głowy? I dlaczego nic mi nie powiedział?”

Do tej pory przysłuchiwała się słownym przepychankom Marcina i Julii, leżąc z kołdrą nasuniętą po szyję i czekając, aż któreś z nich otworzy drzwi i sprawdzi, czy ona na pewno śpi. Teściowa chciała dobrze, bez dwóch zdań. Naprawdę przejęła się swoją rolą – wychowawcy, tresera, doświadczonej przez los matki, która nie chce, by młode pokolenie powtarzało błędy z przeszłości. Tyle że była w tym taka zapiekła... Marta poczuła się głupio, gdy Julia powiedziała, że zrobili sobie z niej żarty. Faktycznie, tak to mogło wyglądać. Jakby oboje umówili się, żeby nie wyprowadzać jej z błędu do samego końca. Nie zasłużyła na to. Po prostu ich przytłoczyła. Każde z nich, niezależnie od siebie, postanowiło się od niej odciąć.

Ale terapia? To było coś nowego.

Po tych słowach wszystko w przedpokoju ucichło, a cień Julii zniknął sprzed młecznej szyby. Wyglądało na to, że przenieśli się do kuchni. Marta chciała usłyszeć więcej. Powoli wstała z łóżka, przeszła na palcach przez pokój i delikatnie nacisnęła klamkę u drzwi. „Jeśli zaskrzypią – trudno”.

Nie zaskrzypiały. Ciche głosy w kuchni oznaczały, że rozmowa już trwała.

– ...do pewnego momentu wszystko jest proste, mamo. Tata był zły. Zostawił nas, tak? Taką wersję mi sprzedałaś, a ja miałem dziesięć lat, więc łyknąłem ją i przylepiła się do mnie. I jeszcze te rozmowy, zupełnie niepotrzebne. Roztrząsałaś to ze mną,

jakbym był twoim psychologiem. Kiedy one się skończyły? Nawet na studiach jeszcze mi truć od czasu do czasu. Zaimpregnowałaś mnie. Jego wersja nie była mi do niczego potrzebna, bo źli ludzie nie mają swoich wersji historii. Są źli, więc nie trzeba ich słuchać, żeby przypadkiem jakieś ich słowo nie zniszczyło iluzji, tak? Unikałem jakiegokolwiek rozmowy z nim, nawet jak miałem już okazję, bo przyjeżdżał do Warszawy od czasu do czasu. Rozmawiałem z nim po łebkach. Że studia, i to chyba tyle. Na ślubie, jak podszedł z Olgą złożyć nam życzenia, to mi się szczęki zacisnęły. Totalna impregnacja.

– To, zdaje się, sprawiedliwa kara... – wtrąciła cicho Julia.

– Nie wiem, mam, może sprawiedliwa, może nie. Ale coś we mnie pękło, jak się dowiedziałem, że będzie Jurek. Wtedy głowa zaczęła mi pracować. Ty nawet nie wiesz, jak mi pracowała. Jak to będzie? Jaki ja będę? Nigdy nie będę jak tata, tak? Mówiłem to, żeby ci sprawić przyjemność, tylko po to, żebyś się uśmiechnęła. Więc jaki będę? Skoro nie jak tata, to jaki? Bo on był zajebistym ojcem, tylko wam coś nie wyszło. Nie mnie i jemu, tylko wam.

– Zdradził mnie. I zniszczył rodzinę...

– To jest fakt, że poznał tamtą Olgę. Może nawet się z nią przespał. Ale ja naprawdę ostatnio zacząłem się zastanawiać, czy to ty nie zrobiłaś wszystkiego, żeby rozpieprzyć tę rodzinę. Przez swoją urazę. Bo ja, mam, wiele rzeczy sobie przypominałem na tej terapii.

– Przestań.

– Na przykład, że przez pół roku po tamtej kłótni w przedpokoju był najlepszym kolesiem pod słońcem. Na pewno dla mnie. Dla ciebie też się starał. Ale nie dałaś mu żadnej szansy. Wymodliłaś sobie ten rozwód, dla ciebie nie było innej opcji. Tak było wygodniej.

– Zamilcz! – wykrzyknęła Julia. – Dlaczego ten pies tak na mnie patrzy?

– Dzięki. Spokój.

Marta usłyszała ciche warczenie, a potem Dzięki zaskomlała charakterystycznie, jak zawsze, gdy kładła się i ziewała całą sobą.

– Dość tego – powiedziała Julia po chwili. – Nie mam zamiaru tego słuchać. Pakuję walizkę. Już dość się naopiekowałam twoją żoną, poradzicie sobie sami, skoro tak świetnie się dogadujecie za moimi plecami. Sprawdź mi, o której mam pociąg.

– Jest jedenasta, mam.

– To sprawdź mi pierwszy z samego rana.

Po raz pierwszy w życiu powiedział do niej tyle własnych słów, prosto z serca, a nie zdań kleconych naprędce pod nią, pod jej złe humory i wąskie postrzeganie świata. Nie planował tego, sama to w nim uruchomiła. Gdy mówił o ojcu, nie miał siły

patrzeć na jej zaciętą twarz, więc zerkał gdzieś w bok. Mimo to zdawał sobie sprawę, że nic do niej nie dociera. Czuł to, niemal widział barierę, którą wokół siebie roztaczała. A gdy wstała z kuchennego krzesła, wyszła wyprostowana i ruszyła w stronę dużego pokoju, żeby spakować walizkę, wiedział jedno: ten nieunikniony proces będzie ciężki i czeka go jeszcze wiele takich dziwnych rozmów. Z matką, którą znał. I z ojcem, którego nie miał szansy zrozumieć. Mógł sobie odpuścić te rozmowy i skupić się tylko na terapii, na sobie, Marcie i Jurku. Ale to by było jak zatrzymanie się w pół drogi.

Przez moment zupełnie zapomniał, że jeszcze parę godzin temu jeździł z Bolkiem w jakieś podejrzanym miejscu, wypytywał o prostytutkę i znalazł na śmietniku *Władcę Pierścieni* z dedykacją Artura dla tajemniczej Alicji. Andrzej Rulewski, spalony Igor, Norbert – to wszystko przestało istnieć na te kilka minut, gdy konfrontował się z matką.

Ale szybko sobie przypomniał. Medalion. Pistolety i róże. Leżał w jego plecaku w przedpokoju. Ten przedmiot miał w sobie jakąś złą energię. Żył własnym życiem.

Wstał i wyszedł do przedpokoju. Drzwi sypialni były niedomknięte, więc pchnął je bardzo powoli i wszedł do ciemnego pomieszczenia. Jego żona leżała pod kołdrą przodem do okna i oddychała cicho.

– Śpisz? – spytał.

Podszedł do łóżka, rozpinając guziki koszuli.

– Wszystko słyszałam. – Jego uszu dobiegł cichy głos.

– To dobrze czy źle?

– Witaj w domu, Marcin. – Marta zignorowała pytanie. – Jutro pogadamy.

Niedziela,
15 października, 12:30



Marcin zerknął na okrągły zegar tykający nad drzwiami. Dwunasta trzydzieści. Czuł się nieswojo. Siedział przy stole we własnym mieszkaniu, z którego został tak okrutnie wygoniony w zeszły wtorek. Na stole, jak wyrzut sumienia, leżał staroświecki obrus w róże, jeden z prezentów ślubnych od Julii, który nigdy dotąd nie ujrzał światła dziennego. Dwa talerze z nieużywanej zastawy od krewnych Marty, obok nich srebrne widelce i noże po babciach, a na środku dwa półmiski – roladki z kurczaka i pieczone ziemniaki. Plus sosjerka z sosem czosnkowym. Z kuchni płynęła, jak w kreskówce, woń sernika wiedeńskiego z rodzynkami. A naprzeciwko siedziała jego żona, Marta Hanna Bielawska, z wielkim brzuchem wystającym ponad blat, głową opartą na dłoni i lekko nieobecny uśmiechem.

„To jest jakiś podstęp” – pomyślał. Odkąd wstał niewyspany o wpół do dwunastej, nie zadano mu żadnego pytania. Nikt na niego nie mruczał pod nosem. Marta stała w kuchni, a nie siedziała przy Photoshopie odwrócona do niego plecami. Julia musiała spełnić swoją pełną goryczy obietnicę i wyjść razem z walizką, kiedy jeszcze spali. Wszystko to było mocno surrealistyczne i skojarzyło mu się ze sceną z Osiem i pół, gdy reżyser Anselmi ma wizję haremu ze wszystkimi kobietami swojego życia. Wokół zbuntowanych kochanek krąży jak anioł zdradzona żona reżysera, w chustce na głowie, ze ścierą w ręku, uśmiechnięta włoska gospodyni. Marcin czekał w napięciu, aż coś się stanie. Aż na głowę chluśnie mu kubel zimnej wody.

Marta nałożyła sobie dwie roladki, dużą porcję ziemniaków i polała sosem. Marcin poczuł się w obowiązku zrobić to samo.

– Co słyszać u Anny? – przerwała ciszę Marta.

Doczekał się. Kawalek kurczaka utknął mu w gardle. Przełknął go z trudem.

– Przecież wiesz, że to nie było specjalnie – odezwał się z wymuszonym spokojem. – Musiałem wydebić od niej scenariusz.

– Nie mogłeś od razu powiedzieć, że jedziesz do niej po te kilka kartek?

Odłożył widelec z niedojedzonym kurczakiem. Roladka zanurzyła się w sosie czosnkowym.

– Właśnie dlatego, Marta. Nie uwierzyłabyś.

– Prawda jest zawsze lepsza niż kłamstwo. Białe czy nie, tak się nie robi.

– To było jedno spotkanie.

Przekrzywiła głowę i spojrzała mu w oczy. Wiedział, że nie kłamał, ale nie był pewien, co żona wyczyta z jego twarzy. Przeszło mu przez myśl, że jeśli mrugnie

albo odwróci się na chwilę, ona tak to zinterpretuje.

– Masz szczęście, że nauczyłam się przez te dni trochę panować nad myślami – powiedziała w końcu. – Zostawiłeś mnie samą na pół tygodnia. Wpakowałeś mi na głowę swoją mamę. A wczoraj się dowiaduję, że swoje problemy rozwiązujesz poza nami.

Spuścił wzrok. Poczuł, że jednak niewiele się różni od Marcina sprzed tygodnia. Nie miał odwagi. Jak powiedzieć żonie, że szukał pomocy na zewnątrz, bo jego krótkie małżeństwo zaczęło go uwierać? Zadawnione kwestie rodzinne wyszły później, już na sesjach.

– Myślałem, że załatwię te sprawy po cichu – powiedział do talerza. – Bo tak naprawdę to dotyczy nie ciebie, tylko mnie. I moich rodziców.

Skoro słyszała jego wczorajszą wymianę zdań z Julią, to może ugrał u niej kilka punktów?

– Okej. – Marta oparła podbródek na splecionych dłoniach. – Pamiętaj tylko, że za chwilę sami będziemy rodzicami. Oszczędźmy tego Jurkowi.

– Czego?

– Przyszłych wizyt u terapeuty, bo jego starzy nie byli w stanie normalnie porozmawiać.

Patrzyła na niego przez chwilę. W końcu dostrzegł w jej oczach nikły blask.

– No to jak ci minęło wygnanie? Tylko szczerze i bez ściemy.

Odchrząknął. W głowie pustka, a w sercu znów trwoga. Od kogo zacząć? Od Artura, który zginął na Mazurach w podejrzanych okolicznościach? Od jego nieszczęśliwej przyjaciółki, w dodatku prostytutki? Śledztwo z Andrzejem – to jeszcze ujdzie. Potem wizyta w śmierdzącej marihuaną klitce u schizofrenika Gabrysia i spotkanie dziennikarza z Downem Maćkiem. Robiło się słabo. Akcja pod domem Sosnowskiego, jeżdżenie za szurniętym Adamem, wieczorna wizyta w burdelu. Z tego wszystkiego Marcin byłby w stanie wykrztusić tylko, że czytał małemu Frankowi Adlerowi książkę i że może będą mieli od Benny'ego białego króliczka z niebieskimi oczkami. Jak Jurek trochę podrośnie.

– Pokręciłem się po Warszawie – zaczął niepewnie. – Odwiedziłem kilku kumpli mojego kolegi, Artura. Tego, który zmarł, jak byłem na studiach.

– Pokręciłeś się trochę po Warszawie... A teraz znowu coś kręcisz.

– Tak nie można, Marta. Daj mi powiedzieć.

Zamilkła. Przyjrzał się jej poważnej twarzy, która podczas ciąży zaokrągliła się i napuchła. Miał wrażenie, że przez ostatnie pół roku oczy Marty przeszły przynajmniej dwie metamorfozy. Z dziewczynskich, śmieszkowato-obrażalskich zmieniły się najpierw w błyszczące hormonami oczy młodej łani, bogini płodności.

Potem te hormony gdzieś wyparowały i pojawił się ptak, który mości sobie gniazdo znalezionymi w trawie gałązkami i wydziobuje z gniazda robaki. Tego wyrazu jej twarzy najbardziej nie lubił.

– Okej. A więc Artur. – Spuściła wzrok i zaczęła skubać paznokciem obrus. – Ten od scenariusza?

– Tak. – Marcin przełknął ziemniaka.

Marta przekroiła roladkę, Marcin nadział na widelec swoją.

– Coś z tego będzie? – Ugryzła roladkę. – Jurek będzie miał tatę filmowca?

– Nie wiem. – Marcin ugryzł swoją. – Nie miałem czasu. Chyba nie umiem z tego zrobić czegoś fajnego. To by było jak western plus Tarantino plus Psy, nie mam żadnego punktu zaczepienia. Jest tylko dziewczyna Artura. To znaczy, tak jakby dziewczyna.

– Ma jakiś związek z tą historią?

– Myślę, że ona jest kluczem do wszystkiego.

– Wiesz o niej coś więcej?

– Była młodsza od niego. Artur poznał ją... w dziwnych okolicznościach. Nie pochwalił się przed kolegami, że z kimś się spotyka. W domu też miał kiepską sytuację, pewnie dlatego zniknął na całe dni. Czytali razem książkę. Znalazłem ją, to był Tolkien, Władca Pierścieni, z dedykacją.

– Jak to: czytali?

– Normalnie. Siadali... – Marcin się zawahał. – Siadali w parku i czytali.

– Jak miała na imię ta dziewczyna? – Marta przekrzywiła głowę.

– Alicja. A przynajmniej tak powiedziała Arturowi.

– Ładnie. I to wszystko? Spotykali się i czytali książkę? Żadnego dramatu?

Marcin wpatrzył się w talerz. Obiad nadal pachniał, dom był przytulny, Marta skupiona i zaintrygowana. Ale historia o spalonym Igorze nie nadawała się do opowiadania przy jedzeniu.

– Mam takie dziwne przeczucie, że w tamte wakacje Artur pojechał za nią na Mazury. To była szybka decyzja, z dnia na dzień. Ściągnął mnie tam, niby mieliśmy pisać scenariusz. Tylko że on już stamtąd nie wrócił. Albo nie wrócili, bo nie wiem, co się z nią stało.

W piwnych oczach Marty dostrzegł ognik podobny do tego u Anki, gdy parę dni wcześniej siedzieli nad szoarmą i scenariuszem. Jakby jego mała historyjka, w dodatku niepełna, obudziła w niej tęsknotę. Albo wspomnienie.

– To było osiem lat temu – powiedziała.

– No wiem. – Marcin spuścił wzrok.

– Chcesz się dowiedzieć, co się stało? Nie znałam cię od tej strony.

– Czuję, że ta historia potrzebuje zakończenia.

Marta zamilkła, spoglądając na półmisek. Jakby analizowała coś w głowie.

– Nie odpuścisz, dopóki się nie dowiesz, prawda?

– Jeśli powiesz „nie”, to odpuszczę.

– Tyle że wiem, jak to się może skończyć. – Marta uśmiechnęła się nieco smutno.

– Odpuścisz sobie, ale jeszcze długo będzie cię to uwierało. I to ja będę tą, która ci zakazała.

– To nie tak...

– Tak, tak. To akurat potrafię sobie wyobrazić.

– Ale cięża...

– Nie przeszkadzała ci, gdy chciałeś poszpendać się po mieście. Nawet jeśli nie zrobisz z tego scenariusza, to niektóre rzeczy warto doprowadzić do końca. Albo przynajmniej spróbować.

Marcin nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Czy Marta naprawdę to powiedziała? Podniósł do ust widelec z ziemniakiem. Nie mógł oderwać wzroku od twarzy żony.

– Swoją drogą, ciekawa historia – odezwała się po chwili. – Nawet nadaje się na film. On i ona, siedzą, czytają książkę. Nie jak zakochani, a jak przyjaciele. Jakby uciekali przed czymś w świat fantazji. Albo przed kimś.

Marcin poczuł, że zaczynają go palić policzki. Nigdy nie wspominał jej o treści scenariusza.

– Potem uciekają ze swoich domów – mówiła dalej Marta, już bardziej do siebie. – Rodzice tej dziewczyny nie zgadzają się na związek ze starszym chłopakiem. Ona ma depresję, taką cholerną deprechę siedemnastolatki, że ma małe cycki i pryszczki, a jej koleżanki to zajebiste laski, które chodzą na imprezy i całują się z chłopakami.

– To chyba nie do końca to – mruknął, ale Marta go nie dosłyszała.

– Albo wiem. Ojciec tej dziewczyny jest kimś ważnym. Polityk albo biznesmen. Żyła zawsze pod kloszem, niczego jej nie brakowało, ale nie miała bratniej duszy. Nie miała do kogo zagadać, wyzalić się. A gdy zjawił się ten chłopak, to wszystko nagle w niej pękło. Stał się dla niej najważniejszy w życiu. Kurczę, coś jest w tej historii.

Marcin pokiwał głową. Wolał nie dodawać nic od siebie.

– Chcesz jej poszukać? – spytała Marta z jakąś dziwną melancholią.

Poszukać...? Czy ta Alicja w ogóle jeszcze żyła? Marcin spróbował przypomnieć sobie pogrzeb Artura. Gapił się nieruchomo na całą ceremonię, jak na scenę z filmu. Matka Artura w czerni, w ciemnych okularach, ze ściśniętymi od bólu ustami. Weronika nie rzucała się w oczy, może nawet odeszła gdzieś na chwilę. Ojciec był jakiś dziwny, mocno nieobecny, jakby chciał jak najszybciej wrócić do domu i walnąć

kilka drinków. Pewnie byli tam też Bolek i Benny, ale dla Marcina to były wtedy obce twarze.

Być może w tłumie stała również ta dziewczyna. Nie rozglądał się. Nie wiedział, że istniała.

– To wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje – powiedział z nieobecnym wzrokiem. – To był chyba najdziwniejszy romans, jaki można sobie wyobrazić.

– Tym bardziej. – Marta posłała mu szelmowskie spojrzenie. – Masz jakieś wskazówki?

Przypomniał sobie, że jest znowu w domu, w niedzielne wczesne popołudnie. Marta postarała się, chociaż nie zasłużył. Ten obiad wiele dla niej znaczył. Znów poczuł, że nie umie wtajemniczyć jej do końca, opisać ze szczegółami śledztwa. Zwłaszcza że utknęło w martwym punkcie.

– Może porozmawiamy o tym później? – spytał z najbardziej czarującym uśmiechem, jaki umiał wykrzesać.

Wstał i podszedł do boomboxa. Wygrzebał z półki jedną z płyt ze składankami. Lata sześćdziesiąte, soul, Aretha Franklin, Marvin Gaye. Włożył płytę do odtwarzacza, zaświszcząca chwilę, ale zaskoczyła. Z małych głośników poleciał Otis Redding i jego I've Been Loving You Too Long.

Podał Marcie dłoń i delikatnym pociągnięciem podniósł ją z krzesła. Zaczęli tańczyć przytuleni przy stole. On, jego żona i ich mały Jurek, którego buzię widzieli tylko na niewyraźnym zdjęciu z ultrasonografu.

Uśmiech zamarł mu na ustach, bo przypomniał sobie, że w plecaku leżącym w przedpokoju jest medalion. Dziwny przedmiot, wokół którego unosiła się aura śmierci, krzywdy i zniewolenia. Z całych sił postarał się wyrzucić tę myśl z głowy. Pomógł mu Otis Redding i jego pełen żaru głos. Gość kochał swoją kobietę zbyt długo, by teraz przestać. Ona była już zmęczona i chciała być wolna, a on nie chciał oddać jej wolności, bo stała się jego nawykiem. Ich romans był coraz starszy i starszy, i dojrzewał jak wino...

Kochali się na boku, a potem leżeli przytuleni pod kocem. Marta najpierw chciała być na górze, ale tylko spojrzeli na siebie z politowaniem. Wszystko było miłe, delikatne, powolne. Marta głośno szczytowała, Marcin aż się zdziwił. Wcześniej zawsze była cicho.

Kiedy skończyli, leżał w dziwnym stanie, z zamkniętymi oczami, nie miał siły ich otworzyć. Wciąż słyszał wszystkie dźwięki, wolny świszczący oddech Marty, ściszoną muzykę z zapętlonej płyty. Aretha Franklin śpiewała I Say a Little Prayer.

Komórka Marcina zawibrowała, przyszedł SMS. To pewnie znowu operator ponaglał go do zapłacenia rachunku. Pewnie pisali mu, że „to jest już koniec, koniec z połączeniami wychodzącymi, Marcinie Bielawski. Już nigdy więcej do nikogo nie zadzwonisz”.

– Zobaczysz? – mruknął do wiercącej się pod kocem Marty.

– Okej.

Przez chwilę nic nie słyszał. Tylko Arethę zmawiającą modlitwę za kochanka, który wyjechał gdzieś w siną dal.

– Jak było? – spytała Marta.

– Super, fajnie, cudownie – wymamrotał.

– A wczoraj?

– Wczoraj?

– Poczekaj, przeczytam ci.

Marcin próbował wyjść z budynku w głowie, ale było tak miło, puszyście, jak łóżko wodne, piasek na plaży, gumowa kaczuśka.

– Siema, Marcin – zaczęła Marta. – Jak się już obudzisz, to zadzwoń do mnie. Dopadłem... Banzaja? – zawiesiła głos.

Marcin otworzył oczy, ale ciało wciąż miał bezwolne.

– Postscriptum. Jak tam wizyta w burdelu?

Spojrzał szybko na Martę. Patrzyła na niego z drgającą powieką.

– Ja pieprzę, Bielawski, ty cholerny kłamco. Zaraz mi powiesz, że w burdelu też szukałeś scenariusza?

Wiedział, że jeśli nie powie jej teraz wszystkiego, będzie musiał spędzić niedzielne popołudnie na klatce schodowej. Albo skończy się to gorzej. Będzie musiał wrócić do Julii Bielawskiej ze swoją walizką.

Jedenaście godzin twardego snu nie pomogło Andrzejowi otrząsnąć się z koszmaru poprzedniego dnia. Na szyi i udach wciąż miał ślady od plastikowej linki. Dotknął policzka i świeżej szramy od noża Adama. Czuł wokół siebie woń węglowodorów z podpałki, a w środku żal i wstyd.

Drżącymi rękami zrobił sobie szybkie śniadanie i kawę z ekspresu. Zobaczył znowu przed oczami wrak porsche i dwa czarne worki. Nie czuł żadnej satysfakcji, tylko pustkę, do tego miał dojmujące wrażenie żenady i niesprawiedliwości, że dał się podejść jak dziecko.

Przemógł się i ubrał w sportowy dres. Na bluzę założył cienką czerwoną kurtkę, zgarnął też wełnianą czapkę. Musiał koniecznie się przejść. Może nawet pobiegać, chociaż nie robił tego od wieków. Bał się, że w tym stanie padnie gdzieś po drodze i walnie głową o krawężnik.

Znalazł otwartą furtkę na tereny działkowe nad kanałkiem płynącym przez Dolny Mokotów. Nie forsował się, raczej truchtał. Spoglądał na mijane ogródki – małe sady, teraz z gołymi jabłonkami i kupkami zgrabionych liści. Z każdym przebiegniętym metrem trupy Norberta i Adama odchodziły tam, gdzie było ich miejsce – do muzeum osobliwości. To samo z Igorem. „Jak on to powiedział wtedy na tym parkingu? My jesteśmy róże, a oni pistolety. Jak byłeś różą, Igor, nie trzeba było zadawać się z pistoletami. Zeżrą cię, przemielą”.

Zatrzymał się, schylił i przez chwilę wypuszczał z ust wielkie obłoki pary. Było zimno, niecałe dwa stopnie powyżej zera. Błoto przez noc stwardniało w oszronione bryły. Co teraz? Uncle Ben, jak ten ryż. Ale on jest teraz taki bezsilny, miękki („błagam, Shae, nie rozgadaj tego!”). Musi się czymś wzmocnić, bo inaczej zapadnie się pod własnym ciężarem. „Cholerna implozja, kurwa” – pomyślał.

Pudło z papierami. Woreczek z kokainą. Towar bez terminu przydatności. Leżało toto w pudle, czekało cierpliwie. Przyzywało Andrzeja cichym głosikiem. Nagroda za dobrze wykonane zadanie, albo raczej nagroda pocieszenia. „Norbert w piekle, Adam na mecie trzeciej drogi, sprawiedliwości stało się zadość, tak jakby. GlenDronach się kończy, trzeba zajechać do sklepu z trunkami... Wrak porsche gdzieś na policyjnym parkingu... Żałość, pieprzona żałość”.

Poczuł, że przebieżka straciła cały urok. Podreptał jeszcze chwilę w miejscu. Odwrócił się i zobaczył swoje osiedle: nie przebiegł nawet pół kilometra. Pokręcił głową zdegustowany i wrócił do furtki wolnym krokiem.

Siedział w fotelu. Włączył kanał z newsami i wyciszył dźwięk. Na stoliku leżał woreczek z koką. Andrzej patrzył na telefon, na numer, który dostał od Rajsera. Uncle Ben. Czy Uncle Ben mógł mieć jeszcze jakieś odpowiedzi? Historia z Igorem wydawała się jasna. Mimo niedopowiedzeń i mimo tego, że Norbert z taką nonszalancją określił swoją motywację.

Jeśli ktokolwiek pasował Andrzejowi do profilu człowieka, który skontaktował się z mordczką i chciał płacić za szpiegowanie Marcina Bielawskiego, był to tajemniczy wujek Norberta. Nie chodziło pewnie o Artura. Raczej o Igora, ale najważniejszą rolę grała chyba ta dziwka z kolorowymi oczami. Bielawski może znać już jakieś szczegóły. Ciekawe, na co natrafił w tym burdelu.

Andrzej wypuścił głośno powietrze i odłożył telefon na stolik obok kokainy. Gapił się przez chwilę na ubraną w ciasny żakiet prezenterkę na kanale z newsami. Kanclerz Angela zapowiadała, że Germanie zwiększą budżet na obronność. Pomarańczowy Donald wysyłał całemu światu złośliwe tweety. Buddyjski mnich z Syberii, zmarły przed prawie stu laty, siedział zabalsamowany i owinięty szmatami, wciąż w pozycji kwiatu lotosu, ale podobno się poruszał.

Nagle Andrzejowi wpadło do głowy coś dziwnego i nie chciało wyjść. Co, jeśli ta dziwka z oczami to jakaś czarownica? Może gdzieś, w jakiejś zapadłej dziurze odprawia rytuały, przyzywa sprawiedliwość dla swojego zamordowanego chłopaka? Może ci wszyscy skrzywdzeni mają jakąś tajemniczą moc, inkantują zaklęcia? Zaklinają rzeczywistość, naginają ją, by wyrównać rachunki? A on i Bielawski są tylko pionkami przesuwanymi po szachownicy?

„Jezu, Andrzej, wyrzuc z głowy te głupoty! Dopiero co oddałeś Bielawskiemu medalion, bo przestraszyłeś się, że to on zrobił Igorowi kuku na muniu i że to samo spotka ciebie”.

Poczuł nagłą potrzebę, żeby włączyć dźwięk w telewizorze i posłuchać kojącego głosu prezenterki w żakiecie zapiętym pod samą szyję. Potem wziął telefon i napisał SMS-a do Bielawskiego.

„Siema, Marcin. Jak się już obudzisz, to zadzwoń do mnie. Dopadłem Banzaja. PS Jak tam wizyta w burdelu?”

Odłożył telefon. Newsy czytane mechanicznym głosem androida zaczęły go nudzić, więc znów wcisnął mute na pilocie. Popatrzył krzywo na woreczek. Biały proszek – tak słodko wyglądał. Słodkie były też Andrzeja wspomnienia z nim związane. Przynajmniej te pierwsze. Te, kiedy nie bolała go jeszcze przegroda nosowa, kiedy nie miał permanentnego zapalenia zatok ani wybałuszonych oczu. O tak, koka rozjaśniała mózg jak rakietka kosmiczna przecinająca czarne niebo nad przylądkiem Canaveral. Pytania spadały na usta Andrzeja jak iskry z bożego ogniska. Zdania przepływały z mózgu na ekran komputera z szybkością błyskawicy, chociaż korekta miała z nimi potem mnóstwo roboty. Jedna sprawa, kolejna, i kolejna. Paparuchy przyjeżdżały i zrzucały zdjęcia, Andrzej dawał im kolejne tematy, następnego dnia artykuł, potem krótki strach, czy nikt go nie pozwie. Zazwyczaj nie pozywali.

Ale jak to w micie o Ikarze – słońeczko przygrzało za mocno i pewnego dnia Andrzejowi odpadły skrzydła. Teraz bardzo ich potrzebował. Bardzo bardzo.

Zanim zdążył pomyśleć dwa razy, było już po wszystkim. Siedział rozparty na fotelu i słuchał, jak jego serce zaczyna bić coraz szybciej i szybciej. Dotknął dłońmi policzków, z każdą chwilą stawały się cieplejsze, tak samo jak czoło. Kobieta w żakiecie zapiętym pod szyję spojrzała na niego filuternie, powiedziała coś miłego, chyba: „A to ci niespodzianka, Andrzej, wszystkiego najlepszego!”. Potem zniknęła z ekranu, przykryta niebieską planszą z logo stacji.

„Dziewczyna z kolorowymi oczami. Ona jest kluczem, a ja jestem zamkiem – przemknęło przez jego mózg z prędkością odrzutowca. – Nie, ona jest zamkiem, a ja jestem wytrychem. Wyślizgnęłaś się im, ktoś cię wyrwał, ale czają się jak szczury

w kanałach. Daj mi czas, dziewczynko, a pewnego dnia ja też spojrzę w te twoje dziwne ślipia. Razem rozbijemy bank. Kto wie, kto cię obracał? Może wszyscy ci spoceni faceci w garniturach, z lewa i z prawa? Premier, prezydent, prezes, kot prezesa? Ustawiali się w kolejce, gotowi zapłacić grubą kasę za obcowanie z kosmitką, która spadła na ziemię, z dzieckiem z horroru?”

Nie panował już nad myślami. Szybowały między skroniami jak barwne afgańskie latawce, a on przeskakiwał z jednego sznurka na drugi. Burdel pod miastem, kolorowe oczy, zapisy na trzy miesiące naprzód, pół Warszawy, politycy, artyści, goście z zagranicy, konsul, ambasador, episkopat, nuncjusz, sekretarz generalny NATO, wiceprezydent USA, a może i pani kanclerz skusiła się na tę dziewczuskę? Kolorowym oczom nie oparł się nikt. Wciągały każdego, bez wyjątku, jak czarna dziura w sercu galaktyki. Wsysały i wypluwały, a tajemniczy Uncle Ben zacierał ręce i liczył krociowe zyski. A potem pojawił się dziwny koleżka z boiska i zjebał wszystkim dobrą zabawę. Czekali już osiem lat, przyczajeni, żeby znowu spojrzeć w te bajeczne źrenice, a Andrzej nie miał zamiaru przegapić momentu, kiedy dorwą ją znowu, a wtedy on dorwie ich. Po takiej sprawie albo go zabiją, albo będzie mógł spędzić resztę życia w skąpanej w słońcu chatce na Bahamach.

Poczuł w sobie niespotykaną siłę, moc i determinację.

– Kto dzwoni? – spytała Marta z rozdrażnieniem.

Marcin podniósł się z łóżka i spojrział na telefon.

– To Rulewski, ten dziennikarz – odparł niepewnie. – Chcesz z nim pogadać? Potwierdzi ci wszystko, co przed chwilą powiedziałem.

Marta zmrużyła oczy. Dziennikarz? Może potwierdzi, a może nie. Dziesięć minut wcześniej usłyszała całkiem niewinną historię o tym, jak Marcin i jego niesforny partner grzebali przy starych sprawach dotyczących Artura. Było trochę jeżdżenia i pstrykania zdjęć. Wizyta w remontowanym burdelu („nie było tam żadnych kobiet, Marta!”) zakończona odkryciem na śmietniku książki z dedykacją dla Alicji. Potem jeszcze tylko garaż Jana Adlera. Marta była zainteresowana formą focusu aktora, ale chciała najpierw obejrzeć zdjęcia.

Pokręciła głową zdegustowana. Wzięła od Marcina telefon i odebrała połączenie.

– Siema, siema, Marcin! – usłyszała w słuchawce podniecony głos. Nie zdążyła nawet się odezwać, kiedy zalała ją kanonada słów. – Żebyś ty to, kurwa, widział. Namierzyłem Doktora Roba, znaczy Norberta, a potem wywieźli mnie z Adamem do lasu. Mało nie spłonąłem, kurwa, ale Norbert się wysypał. To on spalił Igora, na bank, pieprzony psychopata. Ale Artura nie zabił, nie było go wtedy na Mazurach. Za to Adam zrobił mnie w chuja, sam chciał załatwić własne porachunki. Rozpierzdolili

mi porsche. Zginęli. Dłuższa historia, ale nie mam teraz czasu opowiadać. To był prawdziwy sajgon, człowieku.

Marta spojrzała na Marcina z rozdziawionymi ustami. Kogoś spalili? Ktoś zginął? W jaką aferę wplątał się jej mąż?

– No, a jak tam było w tym burdelu, kolego? – Głos faceta wdzierał jej się do ucha jak brzęczenie trzmiela. – Znalazłeś dziewczę?

Skrzywiła się.

– Dam męża – wydusiła, wciskając komórkę w dłoń Marcina.

Musiała mieć strach w oczach, bo zdumiał się i przełączył telefon na tryb głośnomówiący.

– Halo, halo, halo. – Warkot trzmiela rozniósł się po pokoju. – Jest tam mój kolega Marcin?

– Jestem – odezwał się cicho.

– Rozumiem, że szczegóły akcji z Norbertem przekaże ci żona. Dla ciebie ważne, że to nie on stłukł Artura na Mazurach. Nie mam teraz czasu opowiadać tego jeszcze raz. Gadaj, jak było w burdelu. Znalazłeś coś?

Marta patrzyła na Marcina wyczekująco. „No, powiedz” – pomyślała. Poczowała, że zalewa ją złość. I strach. Jednak nie było aż tak łatwo, miło i śmiesznie, jak jej opowiadał. Mógł znaleźć się w lesie razem z tym dziwnie pobudzonym facetem. Mógł zginąć. Znowu nie powiedział całej prawdy, jakby niedopowiedzenia były jakimś jego pieprzonym narkotykiem. „Marta się nie dowie, on będzie spał spokojnie. Co za cholerny ciężki przypadek...”

– No, dalej, chłopie, potrzebuję tej informacji. Jak wszystko dobrze pójdzie, to będziesz miał zaraz wszystkie odpowiedzi.

– Alicja – wykrztusił w końcu Marcin. – Nazywała się Alicja – powtórzył głośniej.

– I tyle? Masz tylko imię?

– Tak, tylko imię.

– Gadałeś z kimś o niej?

– Z żoną.

– No dobra. Alicja. Spodziewałem się więcej. Dzięki. Pozdrowienia dla szanownej małżonki. Odezwę się, narka i papatki.

Rozłączył się. Marta miała wrażenie, że minęła właśnie najdziwniejsza minuta w jej życiu.

– Co to było? Coś mu się stało?

– Nie wiem. – Marcin położył dłonie na włosach. – Może zwariował.

Miała ochotę nim potrząsnąć, żeby oprzytomniał. Wiedziała jednak, że to niewiele da. Musi się uspokoić, dla dobra całej trójki. Tylko spokój mógł ją uratować.

– Posłuchaj – odezwała się. – Pozwalam ci poszukać tej dziewczyny. Ale trzymaj się jak najdalej od kłopotów. Żadnych podejrzanych typów, okej?

„Czyli ześwirowanego dziennikarza” – odpowiedziała sobie w myślach.

– Okej – odpowiedział Marcin cicho. – Zobaczmy, co powie, jak oddzwoni.

Pokiwała głową. Cichy głos zwany kobiecą intuicją podpowiadał jej, że facet już nie zadzwoni. „Może to i lepiej” – pomyślała.

Andrzej odłożył telefon i rozparł się wygodnie w fotelu. Zaplótł dłonie na rozpalonym czole. „Trzydzieści osiem – przeszło mu przez myśl. – Na pewno mam już trzydzieści osiem stopni, ale to super, to świetnie, głowa się trochę zagotuje”.

„Alicja, Alicja. Piękne imię dla uroczej dziewczynki, którą tajemniczy Uncle Ben trzymał dla siebie i dla swoich bogatych znajomych. Kim byłaś, słodka Alicjo? Jak można się dowiedzieć, co się z tobą stało? Gdzie jesteś?”

Znów chwycił telefon. Numer. Ten wydobyty z komórki Norberta. Jakiś głos kazał mu zadzwonić już, natychmiast, wypluć do słuchawki wszystko, czego się dowiedział i co sobie powiedział. Uncle Ben musiał pęknąć, zalany przez spływające jak z boskiego natchnienia oskarżycielskie zdania. Andrzej już miał uwierzyć w boże posłannictwo i że Alicja przyzywa go z jakiegoś zakątka, tu w Warszawie, a może gdzieś dalej, w jakiejś melinie, siedzi nad kolekcją szmacianych lalek voodoo, bawi się igłami... Wtedy poczuł, że koka przestaje działać i wszystko powoli traci sens. Serce zaczęło mu bić w dziwnym rytmie, tykało jak popsuta bomba z opóźnionym zapłonem.

„Jeszcze jedna mała dawka, dawunia, żeby na nowo ogarnąć sytuację” – pomyślał z mieszaniną błogości i przerażenia. Nasypał sobie trochę proszku z woreczka na kant dłoni. Wciągnął kokę i odchylił się w fotelu. Poczuł napięcie w gałkach ocznych, naciągnęła mu się skóra na czole.

„Ha, ha, ha! Wujcio to był jednak łatwy przeciwnik: przestraszony stary ciul, czekał tylko na policzek, na fangę w nos. Pewnie już robił w gacie, czekając na ten telefon”. Andrzej uśmiechnął się krzywo do pogodynki zapowiadającej przejście frontu atmosferycznego nad północną Polską. Chwilę potem Uncle Ben urósł do rozmiarów wszechmocnego burdeltaty z armią kałasznikowów za plecami, a Andrzej poczuł się mały, malutki. Skulił się w fotelu i patrzył na telefon, jakby Uncle Ben miał za chwilę wyjść z niego niczym dżin z butelki i rozstrzelać Andrzeja razem z telewizorem, szklanym blatem i resztką GlenDronach.

„Dość, dość tego” wyprostował plecy i spojrzał jeszcze raz na pogodynkę. Uśmiechnęła się i chyba życzyła mu szczęścia. Wybrał numer, czekał w napięciu na połączenie, a sygnały w słuchawce wrzynały mu się w ucho i przenikały prosto do mózgu.

– Tak, słucham – usłyszał w końcu zmęczony męski głos.

Zobaczył go w myślach – facet po pięćdziesiątce, garnitur w prążki, włosy przerzedzone, ale twarz wciąż przystojna. Blondyn, na pewno blondyn. W tle cisza. Typ siedział pewnie w wytłumionym gabinecie i sprawdzał utarg z rozsianych po Polsce burdeli.

Andrzej rozpoczął odliczanie: „Trzy, dwa, jeden... ignition!”.

– Nie wiem, czy pan mnie zna – zaczął szybko, ostro, bez namysłu. – Chciał mnie pan wynająć, żebym szpiegował chłopaka. Odrzuciłem tę propozycję, ale nie do końca. Zna pan Norberta, prawda? Ten pański siostrzeniec to morderca Igora, szukałem go wiele lat, osiem dokładnie. Kojarzy pan? Igor, muzyk, medalion? Miało być normalnie, kurwa, mieli go tylko postraszyć, ale Norbi się naspidował, pan o tym wszystkim wiedział, zatuszowaliście wszystko, żeby zwalić na tego drugiego. Słabo się spisali, kretyni, ani Igora, ani medalionu, tylko smród zjaranych kurczaków, czarne kikuty. No to teraz nie ma już Norberta, jebany roztrzaskał się na ciężarówce...

– Kim pan jest? – przerwał mu zmęczony głos, chociaż Andrzej mógłby przysiąc, że usłyszał w nim autentyczne zdziwienie.

– To nieważne. Chodzi mi o to, że jest mi pan coś winien, a dokładnie...

– Ja winien? Panu? A dokładnie co?

– Wyjaśnienia. Chcę wyjaśnień.

– Na jaki temat? Pan dzwoni do mnie i opisuje jakąś historię...

– Igor to nie wszystko – przerwał tamtemu Andrzej, ale poczuł się jak pływak, któremu woda zalewa usta. – Igor mnie już nie interesuje. Norbert jest trupem, Adam jest trupem, mam to gdzieś, rozjebali mi auto...

– Kto panu rozbił samochód?

– Norbert, Tatko, jeden czort. Nie wiem, czemu pan jest taki spokojny. Obaj leżą w kostnicy, nie do rozpoznania. Ale ja wszystko wiem. Osiem lat to nie tak znowu dużo, nie ma przedawnienia, nie? Możesz mieć jeszcze kłopoty, człowieku.

– Przepraszam, ale nie zauważyłem, kiedy przeszliśmy na ty. – W głosie mężczyzny zabrzmiała jakaś fałszywa nuta. – Nawet się pan nie przedstawił. A może nie zdążył?

Andrzej wstał na sztywnych łydkach z fotela i mało nie runął. Przez chwilę pokój wirował mu przed oczami, jakby apartament stał się epicentrum małego trzęsienia ziemi.

– Skoro pan twierdzi, że pana wynająłem, to zapewne musi pan mieć rację – odezwał się po chwili facet. – Musiało wylecieć mi z pamięci. Ale to nie moja sprawa, że syn mojej siostry okazał się, jak pan to powiedział... mordercą?

– Chyba sobie żarty robisz? – wycedził Andrzej, blednąc. – Chciałeś, żebym szpiegował chłopaka.

– Którego chłopaka? Bo wie pan, ja mam słabą pamięć.

– Bielowskiego. Tego od scenariusza o jakimś Arturze.

W słuchawce zapadła cisza. Andrzej poczuł, jak jądra kurczą mu się w bokserkach.

– Aaa, tego – odezwał się facet głucho. – Już pamiętam. Nie rozumiem tylko, czemu o tym rozmawiamy, skoro odrzucił pan moją ofertę.

Andrzej w panice zerknął na telewizor, ale akurat leciały reklamy, nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Wziął głęboki oddech.

– Nieważne, czy odrzuciłem, czy nie – powiedział, siląc się na spokój. – Ważne jest, co tak naprawdę odkryłem... Co odkryliśmy, ja i urzędnik.

– Mnie to nie interesuje – uciął facet chłodno. – Najlepiej będzie, jak zakończymy teraz tę rozmowę.

– Norbert, pamiętasz?! – warknął Andrzej. – Wyciągniemy z Rajserem wszystko. Nie wiem, kim jesteś ani co robisz, ale od Igora nie uciekniesz, chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że powiesz mi wszystko o Alicji.

Miał wrażenie, że wreszcie go dorwał. „No to teraz się zastanawiaj, skurwielu” – wydało mu się, że słyszy w brzęczącej ciszy szmer myśli tamtego.

I wtedy nieoczekiwanie w słuchawce zabrzmiał sygnał.

Andrzej spojrzął na telefon zdziwiony. Jeszcze raz wybrał numer. Po dwóch sygnałach Uncle Ben znowu go rozłączył. Rulewski miał ochotę kłąć, roztrzaskać telefon o podłogę, ale tylko usiadł ciężko w fotelu. Coś poszło nie tak. Bardzo nie tak. Jeszcze nie wiedział, o co chodzi, ale czuł gdzieś z tyłu głowy, że facet już się do niego nie odezwie. Nie oddzwoni, nie odbierze telefonu, zmieni numer. Nie udała mu się ta akcja.

Odchrząknął i spojrzął na telewizor. Już po reklamach. Wysoka prezydentka w zapiętym pod szyję żakiecie patrzyła na niego surowo i bez pobłażliwości: „Zły chłopiec, bezmyślny, nie przemyślałeś tego. Pała, przyjdź jutro do szkoły z rodzicami”.

Andrzej włączył dźwięk, ale to były tylko zwykłe wiadomości. Pijany pediatra przyjmował małych pacjentów, sprawę zgłosił policji przerażony ojciec dzieciaka.

Uśmiechnął się gorzko. Przyszedł mu do głowy inny news, bardziej pasujący do sytuacji.

„Na koniec jeszcze wiadomość z ostatniej chwili. Warszawski dziennikarz, Andrzej R., zjebał właśnie na koksie najważniejszy wywiad życia. To by było na tyle, dziękujemy państwu za uwagę, miłego popołudnia. Narka i papatki”.

„Ja pierdzielę, ależ to był dziwny wieczór”.

Weronika Sosnowska spoglądała przez zaparowaną szybę autobusu. Nic ciekawego, wszystko brudne i brzydkie, ta sama śmierdząca wylotówka co zawsze, może tylko nieco bardziej pusta niż zwykle. Zaciśnęła zęby na myśl o powrocie do tego głuchego domu, w którym ludzie niewiele się do siebie odzywają, a jeśli już, to z pretensją o usyfiony kibel albo papierki po cukierkach na dywanie. To dlatego nie była w stanie wygrzebać się w niedzielny poranek z pokoju koleżanki w akademiku, gdzie spędziła noc.

W słuchawkach jakaś laska wyła jej do ucha przy akompaniamencie prostych riffów. Weronika wyjęła telefon z kieszeni parki i zmieniła muzykę. Popłynęły smętne akordy na gitarze akustycznej i kojący wokal irlandzkiego kudłacza. Do przystanku zostało jeszcze jakieś dziesięć minut. Przymknęła oczy.

Wczorajszy wieczór... Czterech kumpli ze studiów, sesja RPG. I Misiek jako mistrz gry. Weronika chciała zaproponować coś nowego, może Descenta, ale towarzystwo było konserwatywne. Stało na kontynuacji przygody z gatunku Dungeons and Dragons. Westchnęła zdegustowana, ale okej, lochy i smoki też oblecą. Miała swoją postać, półelfkę Yesseris, z którą przeszła długą drogę i zdobyła mnóstwo doświadczenia. W jej wyobraźni Yesseris zawsze nosiła obcisłą skórzaną kurtkę, łuk przewieszony przez ramię, walczyła u boku swojej drużyny jak prawdziwa wojowniczką i miała nosa do odkrywania ekstra skarbów. Była łowczynią, trochę szpiegiem, no i nieformalną przywódczynią grupy łotrzyków – kumpli Weroniki.

Wszystko szło jak po maśle, klimat był dobry. Yesseris poprowadziła drużynę przez wąwóz, rozbili w pył grupę trolli i wyszli cało z zasadzki pajaków. Ich celem były ruiny wysokiego zamku na szczycie góry, gdzie skarbu pilnowały upiorne licze, przerażające szkielety o magicznych mocach. Weronika poczuła przyjemny dreszcz na plecach.

Potem zaklikały zawleczki w puszkach z browarem. Jedno piwko, drugie piwko, sterta puszek rosła pod starym brudnym stołem. Weronika się skrzywiła – nie piła na sesjach, wolała swój normalny stan, trzymanego na wodzy lekkiego wkurzenia. Wolała dreszczyk emocji, a nie zamulenie. Jej celem był skarb w ruinach.

Panowie byli coraz bardziej rozbawieni, kostki w dłoniach latały szybciej i częściej wyrzucały wysokie liczby. Misiek postawił przed oczami drużyny tawernę, wyrosła jak miraż na pustkowiu. Kusila ciepłem, śmiechem, tańcem i pucharami

z wysokoprocentowym miodem. Weszli, żeby na chwilę schronić się przed północnym wiatrem, i od razu otoczył ich wianuszek chętnych do zabawy półelfek. Yesseris spochmurniała – to przecież dziewczyny z jej plemienia! Dumne córki lasu, a teraz nagle chcą się kurwić za ich skarby z poprzednich wypraw? „Miśku, po co? Po co taki zonk?”

Jej towarzysze poczuli się nagle strasznie zmęczeni i chętni na zabawę. Tańce, hulanki, swawole. Weronika zacisnęła zęby, a Yesseris usiadła zrezygnowana w kącie tawerny i obserwowała, jak drużyna rozchodzi się po ciepłych pokojach z półelfkami.

W końcu Yesseris wstała. Nie ma co, wyjdzie przed tawernę zaczerpnąć świeżego powietrza i rozprostować kości. Zza ciemnych chmur wyłonił się właśnie księżyc w pełni. W oddali pohukiwał puszczyk. „A może to nie był puszczyk?” – Misiek spojrzał na Weronikę z ukosa. Yesseris wciąż stała przed tawerną, gdy nagle coś musnęło jej policzek i zobaczyła, jak z jej rozchyłonych ust ulatuje para i zamienia się w kryształki lodu.

Zza drzew wychylił się licz, przeraźliwy upiór, nekromanta. Yesseris krzyknęła, ale licz był szybszy. Rozdarte szaty zafurkotały na wietrze i licz dopadł Yesseris, nim zdążyła zrobić krok. Spojrzała za siebie, wrota tawerny były zamknięte na głucho, nikt by jej nie usłyszał, jej głos nie przebiłby się przez wesołą muzykę i stukanie dzbanami z miodem.

Licz wyszczerzył zęby i Weronika dostrzegła, że Misiek też szczyrzył się nieprzyjemnie. To była dziwna sytuacja, ale nie z takich oparów Yesseris uchodziła z życiem. Chociaż teraz była sama... Upiór zamachnął się różdżką z obsydianu i opatulił Yesseris obłokiem przeraźliwego zimna. Weronika rzuciła kostkami. Dwa, jak na złość! Yesseris przemarzła do szpiku kości, ale wciąż stała. Dobyła łuku. Znow nieudany rzut, strzała minęła twarz licza o centymetry.

Yesseris jęknęła, Weronika spojrzała błagalnie na mistrza gry – przymknął akurat oczy, jakby szukał najbardziej widowiskowego sposobu na zadanie bólu Yesseris. Wokół stołu zrobiło się cicho, ale gra miała swoje zasady. Ktoś zaczesał długie włosy za uszy i oblizał spierzchnięte wargi.

„Paraliżujący dotyk” – zabrzmiał werdykt mistrza gry. Weronika usłyszała zgrzyt swoich zaciśniętych zębów. Kumple spoglądali na nią z niemą ciekawością. Misiek ostrzegł ich, że nic nie słyszeli – na dole rozbrzmiewały przecież bębny i lutnie.

Rzut kostkami na wytrwałość nie udał się i Yesseris zamarła w bezruchu. Była zdana na łaskę licza. Upiór przez chwilę zaglądał w jej wybałuszone oczy. Mógł teraz odlecieć z powrotem do wysokiego zamku. Mógł zostawić ją na mrozie, może by umarła, a może ktoś w końcu wyszedłby z tawerny na siku i ją odczarował. Ale licz

był wyjątkowo wredny. To był naprawdę zły i wredny upiór, jeden z najbardziej okrutnych i bezwzględnych.

Misiek błysnął białkami zza okularów, liczył już miał zamachnąć się różdżką z obsydianu, a wtedy Yesseris rozpadłaby się na tysiąc kawałków. Wściekła i rozżalona Weronika widziała już siebie, jak zabiera swoje kostki, trzaska drzwiami, a potem zjeżdża windą na parter akademika i czarnym markerem maże obelżywy napis o Mišku przy guzikach.

I wtedy to przerażające widmo usłyszało z wieży wysokiego zamku rozchodzące się po pustkowiu wycie swoich współplemieńców. Spojrzało jeszcze raz na Yesseris, zafurkotało szatami i odleciało. W tawernie ucichła muzyka, komuś przypomniało się, że Yesseris wyszła na zewnątrz i do tej pory nie wróciła. Zrobiło się zamieszanie, mag z drużyny zszedł z ponętnej półelfki i podciągnął portki.

Yesseris była uratowana.

– Nigdy nie opuszczaj drużyny – usłyszała Weronika od zadowolonego ze swojej akcji Miška.

Nie schowała kostek i nie wyszła. Przynajmniej nie od razu.

„Co za kutas!” – pomyślała, stojąc przy słupie z rozkładem jazdy i wpatrując się w SMS-a. „Sorry, Wera, I am a game master. Evil is my job”. To prawda, był zajebistym mistrzem gry. Prawie posikała się przez niego ze strachu. Upokorzył ją. Przyszło jej do głowy, żeby wysłać mu jakąś wykurwiście złośliwą wiadomość. Może taką? „Misiek, płęć: fiut, klasa: bez klasy, charyzma: 1, zwinność: 0”. Zaczęła to nawet wklepywać do komórki, ale od lasu zawiął przeraźliwie zimny wiatr, palce na telefonie zgrabiwały, dowcip przestał być śmieszny. Skasowała.

Po kilku minutach szybkiego marszu doszła do domu. Zerknęła z zaciekawieniem za parkan posesji obok. Ta blondynka, żona ich powalonego sąsiada Adama, stała na ganku z ustami wykrzywionymi w podkówkę. Weronika mogłaby przysiąc, że w bladych oczach kobiety zobaczyła łzy. Poczła się nieswojo. Nigdy z nią nie rozmawiała, więc teraz też postanowiła nie wtrącać się w nie swoje sprawy. Odwróciła wzrok.

Weszła po schodkach i szarpnęła za klamkę. Zamknięte. Spojrzała na zegarek, czternasta piętnaście, rodzice powinni byli już dawno wrócić z kościoła, chodzili na dwunastą. „Zabrakło mleka albo soków w wielkiej lodówce w dolnej kuchni? Pojechali na zakupy?” Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Idealnie wysprzątana kuchnia na parterze nie zachęcała do pozostania. Ani salon ze smętnie spoglądającą ze ściany Matką Boską. Weronika wdrapała się po schodach, minęła wiecznie zamknięty pokój Artura i weszła do swojego.

– Shit, ale bajzel – mruknęła.

Na podłodze leżały jej wypłowiałe dżinsy, przepocony czarny T-shirt z nadrukowaną hybrydą orła i lwa, puste kartoniki po ptasich mleczkach. Weronika usiadła na skraju łóżka. Teraz, już po sesji, nabrała ochoty, żeby trochę się zmiękczyć. W barku ojca były tylko jakieś wódki, ale w kuchni na piętrze stała butelka wina domowej roboty od ciotki z Podlasia.

Marcin Bielawski dał jej do myślenia tą prośbą, żeby mieć oko na ojca. Tyle że nie miała jeszcze nawet szansy, bo pół weekendu spędziła na mieście. Jedna rzecz jej się przypomniała – to wieczorne szuranie w pokoju Artura. Biedny staruszek pewnie myślał, że Weronika śpi w najlepsze, tymczasem ona przykrywała się mocniej kołdrą, patrzyła na grę nocnych świateł na suficie i próbowała odgadnąć, co ojciec wyrabia o północy w pokoju Artura. Chciał odkurzyć ścianę za szafą? Naprawić gniazdko? Usunąć grzyb? Po jakimś czasie wychodził.

Przyszła jej do głowy myśl, żeby zajrzeć do pokoju brata. Wstała i odsunęła firankę. Samochodu rodziców wciąż nie było na podjeździe. Gdyby weszli do domu podczas jej myszkowania, miała dużo czasu na wyjście.

Szafa była ciężka, nieporęczna, ale Weronika dała radę odsunąć ją o kilka centymetrów. Grzyba tam nie było, ale odkurzanie też nie miało miejsca: dłonie miała wymazane czarnym jak smoła kurzem. Zajrzała za szafę, nie mogła nic dojrzeć, spróbowała więc popchnąć jeszcze trochę, ale mebel zaciął się na odstającej od podłogi klepce.

Jeszcze raz włożyła dłoń w szczelinę. Po chwili wymacała szorstki papier prawie nad podłogą, docisnęła go do tylnej ścianki i przesunęła na wysokość twarzy. Zobaczyła zszarzały ze starości plik kartek. Pociągnęła jeszcze trochę i wyjęła do światła.

Przez dziurki z boku pliku ktoś przeciągnął konopny sznurek pakowy i zawiązał w niezgrabną kokardę. Druk był mocno wyblakły i Weronika nie mogła rozczytać pierwszej strony. Podeszła do okna.

„O kurwa, tato” – skrzywiła się. To był scenariusz Artura Sosnowskiego i Marcina Bielawskiego, ten początek, mniej niż połowa. Ojciec powiedział Bielawskiemu, że go spalił. „No ładnie, a więc skłamał bez mrugnięcia okiem”. Weronika poczuła pod żołądkiem ukłucie zażenowania. Na pierwszej stronie dojrzała tytuł, a właściwie brak tytułu. Untitled Road Movie Project, tak to brzmiało, chłopcy najwyraźniej byli na wczesnym etapie pracy i nie mieli pomysłu.

Rzuciła plik kartek na idealnie zaścielone łóżko, na którym kiedyś spał jej brat. Napięła mięśnie i dosunęła szafę z powrotem do ściany. Poprawiła zasłony, żeby nie zostawiać po sobie śladów. Zabrała scenariusz, wyszła z pokoju i cicho zamknęła drzwi.

Nabrała dużej ochoty na to wino od ciotki. Zabrała ze swojego pokoju paczkę elemów super lightów, chowała ją za podręcznikami do inżynierii materiałowej. Przeszła do kuchni na piętrze, stara lodówka buczała, jakby miała odlecieć, a ze zlewu wystawał stos naczyń błagających o włożenie do zmywarki. Weronika nalała sobie wina do brązowej szklanki i stanęła w progu ze scenariuszem pod pachą: „Strych czy piwnica?”. Strychu nie lubiła, a do piwnicy ojciec może po powrocie znieść jakieś nadwyżki zaopatrzenia, zgrzewki z wodą czy kartony z sokiem. Zawsze robili zakupy, jakby świat miał się za chwilę skończyć.

Składzik w ogrodzie! Artur łąził tam po kłótniach z matką. Można spróbować, nie testowała jeszcze nigdy tej szopy jako swojej osobistej samotni. Ciasna rudera, ale stała w odległym kącie ogrodu, porządki zakończone, nikt nie będzie tam zaglądał. Nikt nie nakryje jej na paleniu, popijaniu winka i przeglądaniu wyciągniętego z za szafy scenariusza.

Zimne powietrze wpadło z ponurym jękiem przez szpary w spróchniałych deskach składziku. Weronika siedziała na dwóch ustawionych jedna na drugiej plastikowych skrzynkach i oświetlała strony scenariusza latarką z telefonu. Wołała nie zapalać gołej żarówki na suficie. Zaciągnęła się nijakim papierosem i zmyła jego posmak łykiem wina.

Doszła do strony trzeciej, ale wciąż nic się nie działo. Dawid („czyli Artur, tak?”) zjawił się w pracy, pogadał chwilę z Olą, pośmiali się z jakiegoś dowcipu, Ola popatrzyła na Dawida z błyskiem w oku. „Chciał wyjść na zabawnego gościa, ten mój brat” – pomyślała i przejrzała pobieżnie kilka kartek. Szukała czegoś o ich domu. Była jedna scena z matką, kłótnia, ale jakaś taka blada, bez wrzasków. Wstydził się?

Usłyszała znajomy warkot silnika. To samochód rodziców podjechał pod dom i parkował w garażu. Weronika spięła się i zgasiła papierosa. Składzik nie miał żadnej magii i zaczęła czuć się, jakby siedziała w wiejskim wychodku, tyle że zamiast głównym waliło ziemią, lakierem do drewna, a przez szpary w drzwiach wlatywał nieprzyjemny chłód. Ojciec miał zalepić te szpary, ale zapomniał.

Słuchała w napięciu, jak rodzice trzaskają klapą bagażnika i drzwiami wejściowymi. Ojciec wnosił chyba megazakupy, bo drzwi raz po raz otwierały się i zamykały. „Darku, jeszcze ten karton!” – usłyszała zachrypnięty głos matki. Włożyła scenariusz pod paletę do wysiewania nasion i zaczęła zbierać się do wyjścia, kiedy do jej uszu dobiegł chrzęst żwiru. Ktoś szedł w jej stronę. Zamarła i przymknęła oczy. „Fuck, lepiej, żeby to był ojciec. Pytania będą krótsze i bez rozedrganych emocji, podobnie jak opieprz za wino i papierosy”.

Wstała bezszelestnie i chciała ruszyć do drzwi, ale coś ją zatrzymało w pół kroku. Pstryknięcie zapalniczki. Poczwała przez szpary w drzwiach ostry zapach cameli ojca.

Wciągnęła dym i zrobiło jej się miło, trochę słabo. Potem ojciec odchrząknął, robił to zawsze, gdy do kogoś dzwonił.

– No witam, jestem już, nie mogłem wcześniej rozmawiać – usłyszała cichy głos ojca i zbystrzała. Brzmiał dziwnie, jak nie on. Zamiast zmęczonej władczości była w jego głosie jakaś uniżoność.

Wstrzymała oddech. Słyszała cichy pomruk w komórce ojca, to był chyba męski głos, ale nie potrafiła rozróżnić słów.

– Naprawdę? Kiedy? Gdzie?

Głos perorował przez chwilę. Weronika poczuła bicie własnego serca pod kurtką.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. – Głos ojca miał zabrzmieć jak stęknienie przez ściśnięte gardło, ale Weronika wyczuła fałsz. – Nikomu nie pisałem ani słowa. Taka była nasza umowa, a ja się trzymam umów.

Tym razem głos w słuchawce zabrzmiał ostrzej. Weronice wydało się, że usłyszała „zamknij się” albo „przymknij”. Przełknęła ślinę. Działo się coś bardzo dziwnego. Najpierw ten scenariusz za szafą, kłamstwo ojca. Teraz dziwny telefon do kogoś, kto wydawał się ochrzaniać go w ostrych słowach.

– Tak, podjadę. Pod dzwonekami, tak?

„Jestem Yesseris, chowam się za wielkim omszałym głazem. Muszę wychwycić słowa tego trolla przeżuującego hobbita przy ognisku”.

„Tak, kurwa, pod naszymi dzwonekami” – dosłyszała pomruk.

– Dobrze.

Ojciec zakończył rozmowę, ale dalej stał przy składziku. Odpalił kolejnego papierosa, Weronika znów poczuła ostry zapach. Tym razem nie wdychała go, starała się nie ruszać ani nie oddychać. Patrzyła przez szpary na plecy ojca: dreptał w miejscu i pociągał nosem. Wydał jej się teraz bardzo obcy, jeszcze bardziej niż dotychczas. Skłamał o scenariuszu – to mogła zrozumieć. Ale o co chodziło w tej rozmowie? Nigdy nie potrafiła go rozgryźć, właściwie nawet nie próbowała. Teraz oddałaby wszystko, żeby móc rzucić kostką, użyć specjalnych mocy i spenetrować jego umysł.

„I czym, do cholery, są dzwoneki?”

Kiedy odszedł spod składziku, odczekała dokładnie pięć minut. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Podziękowała bóstwom opiekuńczym, że jednak zapomniał zakleić te szpary. Poprawiła kurtkę i niespiesznie wróciła do domu.

Zjedli obiad w dziwnej atmosferze. Ojciec się nie odzywał, a matka wyglądała na zadowoloną z tego faktu. „Jak się nie odzywa, znaczy, że smakuje”. Weronika przyniosła do salonu podręcznik, usiadła obok ojca na sofie i udawała, że czyta. Wstał, pokręcił się chwilę po salonie, wziął z półki książkę w czerwonej okładce.

Przez minutę wertował. Weronika miała wrażenie, że robi to samo co ona – zabija czas, czeka.

Wyszedł z domu. Podążyła za nim i znalazła go w garażu: stał przy starym passacie i wyglądał na zamyślonego. Przeszła obok w ciszy i wyciągnęła na podjazd swój rower. Zerknęła na ojca badawczo, ale nie zwrócił na nią uwagi, tylko zaczął dreptać po garażu jak lunatyk. W pewnym momencie zahaczył udem o krawędź szafki z narzędziami i zaklął pod nosem.

Weronika wsiadła na rower, odjechała kawałek i zatrzymała się za posesją Adama. Kogo mogła zapytać o dzwonki? Matka krzątała się w górnej kuchni, za daleko, trzeba by było opuścić posterunek. Adam? Nie widziała go dzisiaj, zapłakana żona też zniknęła z ganku. Weronika skrzywiła się i poczuła, że zaraz rozboli ją brzuch. Kogo miała w komórce? Koleżanki ze studiów, kolegów od RPG, Marcina Bielawskiego.

„Bielawski?” – na jej twarzy zagościł blady uśmiech. Nie miała nic do stracenia.

– Halo? – usłyszała po chwili. – Weronika?

– Tak, to ja – odpowiedziała szybko. – O nic nie pytaj, później wszystko wyjaśnię. Gdybyś miał się z kimś spotkać, na naszym osiedlu, i ten ktoś by powiedział „pod dzwonekami”, to...?

– Pod dzwonekami? – przerwał jej Marcin.

Cisza w słuchawce.

– Chodzi ci o ten wasz kościół?

„Kościół?”

– Kurwa, tak! – wysapała Weronika. – Dzięki, odezwę się.

„No jasne, Ave Maria” – przeleciało jej przez głowę jak błyskawica. Poczuła, że ogarnia ją niesamowite podniecenie, jak podczas najlepszych sesji Dungeons and Dragons. Jak wtedy, gdy weszli do zwykłej jaskini na zboczu góry i odkryli, że w kupie szmat i starych kości leży Zawodzący Diament. Tyle że zanim go zdobyli, musieli najpierw dobrze się ukryć, a potem wyprowadzić w pole pięciu owiniętych łańchmanami grimloków. I nekromantę.

Schowała komórkę do kurtki, wsiadła na rower i wparła się butami w asfalt. Spojrzała w kierunku domu. Ojciec mignął jej przez chwilę przy furtce, chyba wyrzwał na ulicę, ale w przeciwnym kierunku. Weronika widziała tylko jego plecy w oliwkowej kurtce z przydługimi rękawami i mnóstwem niepotrzebnych suwaków. Mógł pójść do kościoła na piechotę. Na pewno pójdzie na piechotę, to w końcu niedaleko, kilka skrzyżowań, kilometr, może ciut więcej. Pomyślała, że pojedzie za ojcem w bezpiecznej odległości, dopiero na ostatnim skrzyżowaniu zrobi pętlę i go wyprzedzi.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu. „A jednak będzie jechał. Fuck’n’shit!” – Weronika prychnęła rozczarowana. Musiała ruszyć już teraz, miała niewiele czasu i nadzieję, że Bielawski miał rację z tymi dzwonekami i że faktycznie chodzi o ten kościół z białą wieżą pośrodku osiedla. Docisnęła pedały i ruszyła.

Nagle ostro zahamowała – jeśli pojedzie tą drogą, ojciec minie ją samochodem. Zauważy, spyta, dokąd się wybiera. Zrobi się ostrożny. Każe jej wrócić do domu.

Obróciła rower o sto osiemdziesiąt stopni. Rozpędziła się. Usłyszała jeszcze za plecami silnik passata ojca na jałowym biegu, a potem na dwójce. Obejrzała się, samochód wyjechał z bramy i skręcił w przeciwnym kierunku. „Jak pojechać? Którą trasę wybrać, żeby nie natrafić na ojca i dotrzeć pod kościół na czas?” Znała tu każdą ścieżkę i każdy prześwit między budynkami, jeździła po tym osiedlu od dziecka.

Minęła willę, w której kiedyś mieszkał taki jeden aktor. Nie pamiętała nazwiska, wiedziała tylko, że był miły i że czasem spotykała go w sklepie, uśmiechał się wtedy i pytał o zdrowie rodziców. Potem skręciła ostro w prawo, w mniejszą uliczkę. Zawsze szczekały na niej psy. Przyspieszyła, rzucały się za jej rowerem do parkanów i ujadaly, ale Weronika tylko uśmiechnęła się pod nosem, mijając kolejne posesje. Teraz trzeba było dojechać do tego bajeranckiego przeszklonego bungalowu i wjechać w boczną żwirową dróżkę, która niby prowadziła donikąd, a tak naprawdę do resztki lasu na tyłach budynków.

Nagle Weronika dojrzała coś małego, co wyglądało jak przerośnięty gremlin. To coś wyskoczyło przez otwartą furtkę prosto pod jej koła. Zrobiła szybki unik i o mało nie spadła z roweru. Przednie koło uderzyło o krawężnik i poczuła, jak kierownica wbija jej się w żołądek, a gremlin zaczął skowyczeć przeraźliwie, na zmianę z bulgotem i ujadaniem. Zanim Weronika zdążyła się rozpędzić, kreatura doskoczyła do jej adidasa i złapała za czubek. „Co to w ogóle jest?!” – pomyślała, wpatrując się w rżącą kulkę. Rozpoznała w niej tego pieprzonego pekińczyka, który zawsze ujadął najgłośniej z całego osiedlowego towarzystwa. Teraz wgryzał się w jej but i charczał jak bestia z piekła rodem. Spojrzała z niemą prośbą w stronę otwartej furtki, ale nikogo tam nie było. Próbowwała strząsnąć psa z nogi, schyliła się i chwyciła za jego jasne kudły. Zawył głośno, chyba nie spodziewał się takiej brutalności. Dopiero wtedy jakaś kobieta zawołała z posesji: „Gizmo! Gizmo, gdzie jesteś?!”. Weronika pociągnęła gremlina razem z kawałkiem plastiku z jej adidasa w pysku i rzuciła go jak kulę do kręgli. Nie czekała na reakcję – ani wrednego kundla, ani jego właścicielki. „Pieprzyć to, trzeba było zamknąć furtkę, kobieto!” Wcisnęła pedały najmocniej, jak potrafiła, i odjechała. Gizmo biegł jeszcze jakiś czas za nią i ujadął, ale Weronika była szybsza.

Przy zakręcie w żwirową ścieżkę wyhamowała i ostro skręciła. Straciła przy tym cholernym psie sporo cennych sekund. Ojciec pewnie przejechał już ze dwie przecznice, na szczęście po osiedlu jeździł zawsze wolno jak żółw. Minęła szklany bungalow. Ze żwirowej ścieżki biegnącej za budynki mogła dojrzeć wnętrze dużego salonu. Rodzice, oboje przed czterdziestką, dwoje dzieci, jeszcze nie nastolatki – wszyscy razem tańczyli przed telewizorem, wymachiwali rękoma przy jakiejś kolorowej grze wideo.

Chętnie by się zatrzymała i popatrzyła na ten dziwny dla niej widok, ale nie miała czasu, bo dojrzała przed sobą światła latarni na ulicy prowadzącej do kościoła. Lekko przyhamowała, rozejrzała się. Po kilku chwilach ostrego pedałowania miała już przed sobą białe zabudowania kościoła i parafii. Passat ojca przejeżdżał właśnie przez skrzyżowanie w stronę małego parkingu. Weronika podjechała na bezpieczną odległość i zatrzymała rower.

Ojciec wysiadł, zatrzasnął drzwi, włączył pilotem autoalarm i zniknął Weronice z oczu. Już miała ruszyć, gdy alarm w passacie włączył się i zawył tak, że z trawnika przy kościele zerwało się stado gawronów i uleciało ponad koronami drzew w granatowe niebo. Po chwili ojciec wrócił do samochodu i z cichymi przekleństwami na ustach raz po raz wciskał guziki na pilocie.

Alarm w końcu zamilkł. Ojciec zniknął za bramą już na dobre.

Weronika dojechała do okalającego kościół wału usypanego z ziemi wzmocnionej kamieniami. Zostawiła rower w krzakach za rogiem, podeszła szybkim krokiem w stronę bramy i zerknęła do środka. Dziedziniec przed kościołem oświetlony był dwoma mocnymi halogenami na słupach. Jeszcze jeden podświetlał wielki drewniany krzyż ze zdjęciem Jana Pawła II i wieńcem kwiatów. Przy ścieżce prowadzącej za kościół stały jak rząd strażników zadaszony stacje drogi krzyżowej, wyglądały jak chatki Baby Jagi.

Ojca nigdzie nie było.

Weronika ostrożnie zajrzała za grube drzwi, za którymi młody ksiądz odprawiał popołudniową mszę. Nie była tu już chyba z sześć lat, ale zapamiętała ten kościół jako miejsce śmiertelnej nudy, męczarni i katuszy. Do pewnego momentu dawała się tu zaciągać, ale gdy pewnego razu zemdląca na roratach, matka jej odpuściła.

Wciągnęła głęboko powietrze, poczuła zapach świec, pasty do posadzek i betonu. Przed sobą miała długi rząd ławek, niewypełnionych nawet w połowie. Wikary kończył właśnie kazanie, miał jakiś miły błysk w oku, przyjemny ton głosu i budował składne zdania. Nie to, co proboszcz.

– Dziś czytaliśmy: „Czyż Bóg nie weźmie w obronę swoich wybranych, którzy dniem i nocą wołają do Niego? Czy będzie zwlekał w ich sprawie?” – Młody ksiądz

zawiesił głos i rozejrzał się po zebranych. – Bóg daje nam czasem wielkie i małe niepowodzenia. Przygląda się naszym reakcjom na te porażki i czeka, aż odkryjemy karty.

To było nawet ciekawe, ale Weronika nie przyszła tutaj słuchać kazań. Rozejrzała się po kościele. Szybko dojrzała oliwkową kurtkę ojca i jego przerzedzoną siwą czuprynę w czwartym rzędzie, nieco z boku. Weszła parę kroków głębiej i próbowała rozpoznać jeszcze kogoś znajomego. Było kilkoro sąsiadów, ktoś z sąsiedniej ulicy, trochę starszych kobiet. Żadna z tych osób nie pasowała Weronice do głosu z telefonu, ochrzaniającego w brzydkich słowach jej ojca.

Wtedy dostrzegła mężczyznę na wózku inwalidzkim, obok niego stał wysoki wąsacz w brązowej skórzanej kurtce. Trzymali się z przodu, prawie w centrum, w szerokim prześwicie między ławkami. Ten na wózku miał rozpięty granatowy płaszcz ze stójką. Kiedyś pewnie był szpakowatym brunetem, teraz jego włosy były prawie siwe, zaczesane za uszy, zakrywały złote oprawki okularów. Weronika próbowała sobie przypomnieć, czy gdzieś kiedyś go już nie widziała. Czy to ten, który bywał u nich w domu, dawno temu? Czy ojciec kiedyś dla niego nie pracował? Nie była pewna, zresztą tamten facet był zadbany, pełen werwy i nie jeździł na wózku.

Przeszła do bocznej nawy i usiadła na ławce w cieniu konfesjonału. Przytuliła się do betonu i obserwowała mszę. Ktoś zastukał w ściankę, pewnie stary proboszcz, a z budki wyszła po chwili niemłoda kobieta. Weronika zerknęła na nią krzywo. Znała ją, kobieta pracowała w warzywniaku. Tamta popatrzyła dziwnie na Weronikę, pokiwała głową, jakby z uznaniem. Może mówiła w myślach: „I ty, dziecko, wróciłaś w końcu do Jezusa”. Weronika z całych sił postarała się o przyjazną minę: „Tak, do Jezusa, dzięki za zainteresowanie, a teraz odejdz, pliz”.

W trakcie Ojciec nasz Weronika nagle wpadła w panikę. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że za chwilę padnie hasło: „Przekażcie sobie znaku pokoju”. Ludzie zaczną rozglądać się na boki, uśmiechać, podawać sobie ręce. Może zostać dostrzeżona, a wtedy cała ta konspiracja na nic. Wstała szybko i wycofała się do przedsionka. Skupiła wzrok na ojcu, próbowała dostrzec, w którą stronę będzie wykonywał ukłon, może jakiś głębszy. Wzrok mężczyzny na wózku napotkał na moment wzrok ojca. Ojciec się nie uśmiechnął, a Weronika nie była pewna, czy był to znak pokoju, czy jakieś wyzwanie rzucone tamtemu.

Młody ksiądz wyszedł za ołtarz. Ludzie śpiewali jeszcze chwilę niemrawo i zaczęli zbierać się do wyjścia. Weronika stała w przedsionku przy półce z religijnymi pisemkami i zerknęła do środka. Ojciec wstał i podszedł do mężczyzny na wózku,

tamten spojrział na niego, hardo i nieprzyjemnie. Nie zamienili słowa, mężczyzna wskazał ojcu wyjście.

Wycofała się, przeprosiła ślamazarnego staruszka i szybko podeszła do bramy. Stała za rogiem parkanu, prawie zasłonięta przez krzaki. Założyła z powrotem czapkę z daszkiem, nasunęła ją mocniej na oczy i wychyliła się, jak najmniej się dało.

Tamci trzej wyszli jako ostatni, nie przystanęli nawet na chwilę i ruszyli za kościół, wzdłuż chatek Baby Jagi ze stacjami drogi krzyżowej. Weronika pożałowała, że nie miała więcej czasu, żeby zbadać teren za kościołem. Miała tylko nadzieję, że tamci odejdą jak najdalej, w stronę parkanu.

Rzuciła się biegiem wzdłuż kamienistego wału z parkanem. Minęła swój rower, chwyciła go, pociągnęła kilka metrów i rzuciła głębiej w krzaki. Przedarła się przez gęsty świerkowy zagajnik, osłaniając oczy, ale i tak kilka gałęzi zadrapało ją w policzki. Poślizgnęła się na błocie, straciła na chwilę równowagę i przeszorowała kurtkę po gałęziach. Uderzyła butem w jakiś kamień i pociemniało jej przed oczami. Mały palec pod pogryzionym przez gremlina adidasem bolał jak cholera, ale Weronika nie miała teraz czasu uzalać się nad sobą. Była Yesseris, łowczynią na prawdziwym polowaniu, tuż za załomem muru czekał na nią Zawodzący Diament i nekromanta.

Obiegła narożnik i przystanęła. Usłyszała dwa męskie głosy, jeden należał do jej ojca. Jeszcze nie potrafiła rozpoznać słów, ale wiedziała już, skąd te głosy dochodzą. Na kamiennym wale dostrzegła w żeliwnym parkanie zamkniętą na kłódkę furtkę i prowadzące do niej schodki. Położyła się na nich, były wilgotne i zabłocone, wbijały jej się w kolana. Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Chwyciła dłonią za kamień i podciągnęła się kilka schodków, akurat tyle, żeby dojrzeć przez furtkę, co działo się na podwórzu za kościołem.

Zobaczyła ojca i mężczyznę na wózku niedaleko klombu. Otaczał ich mrok. Wąsacz w skórzanej kurtce palił papierosa bliżej kościoła. Weronika opuściła się o pół schodka, żeby nikt jej nie dostrzegł. Przymknęła oczy. Rzuciła w myślach kostką na kamuflaż i nasłuchiwanie. Wyszło prawie idealnie.

– Norbert nie żyje. Rozbili się na es osiem. A wiesz, kto był z nim w aucie? – spytał facet na wózku przez zęby.

– Nie – odpowiedział głucho ojciec.

– Adam. Wyobrazasz sobie? Nie mieli ze sobą nic wspólnego przez osiem lat. Nikt nic nie pamiętał. Nikt się tym nie zajmował. I nagle co? Niby przypadkiem się spotkali?

– Nie wiem.

– A po wszystkim dzwoni do mnie jakiś pojebany facet i napierdala o Igorze, medalionie i tej dziewczynie. Ni z gruszki, ni z pietruszki rozlało się stare gówno, o którym wiedzieliśmy tylko ty i ja. Nie wydaje ci się to dziwne, Dariusz?

– Nie zrobiłem nic złego – powiedział ojciec cicho. – Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby robić coś, co by zagroziło naszej umowie.

Zapadła cisza. Weronika wychyliła się na chwilę. Ojciec stał z rękami w kieszeniach oliwkowej kurtki. Widać było, że facet na wózku miał nad nim jakąś władzę, ale ojciec nie sprawiał wrażenia skruszonego ani przerażonego. Był wyciszony i wyraźnie czekał na słowa tego drugiego.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć, że nie kłamiesz? – wycedził facet na wózku, błyskając białkami zza okularów. – Może właśnie o to ci chodziło, żeby zamieszać w tym gównie i żeby coś wypłynęło na wierzch? Może coś, na czym ci zależy, Dariusz? Na przykład coś więcej o wieczorze w Stokrotce?

– Nie potrzebuję tej wiedzy – odparł ojciec spokojnie. – Pogodziłem się z tym. Respektuję naszą umowę, szanuję twoje zobowiązanie. Nie rozumiem kilku spraw, ale nie ma to dla mnie większego znaczenia.

– Nie ma znaczenia? Kim ty, kurwa, jesteś? Cyborgiem? Ja na twoim miejscu nawet po latach bym się zastanawiał, co tam się tak naprawdę wydarzyło.

– Wystarczy mi to, co wiem.

– A ja myślę, że cały czas masz cholerną ochotę dowiedzieć się, który z nich dał wtedy sygnał.

– Nie mam.

– Powiem ci. I tak nic z tym nie zrobisz. – Facet na wózku łypał jadownicę. – Myślę, że jesteś pieprzoną mendą i to przez ciebie Norbert zginął. Nachyl się, chuju, to się dowiesz, który z nich kazał sprzątnąć Artura.

Weronika słuchała tego z przerażeniem. Zapomniała, że jest Yesseris. Zapomniała o kostkach. Na jej oczach unosiła się kurtyna, odsłaniając przerażający sekret. Ojciec i facet na wózku znali prawdę o śmierci jej brata. Ojciec zawarł z nim jakieś porozumienie. Osiem pieprzonych lat chodził po domu koło niej i matki i nie puścił pary z ust. Poczowała ukłucie w podbrzuszu i pomyślała, że zaraz zsika się w majtki.

– Nie potrzebuję tej wiedzy – usłyszała głos ojca dobywający się z zaciśniętego gardła. – To mi nie zwróci syna.

– Nie wierzę. – Facet na wózku roześmiał się cicho. – No po prostu nie wierzę. I wiesz co? Teraz, gdy Norbert nie żyje, nasza umowa nie ma już żadnego sensu. Żadnego. Dosyć, kurwa. Osiem lat to stanowczo za długo. Już nic nie jestem ci winien.

– Słucham?!

– To, co słyszałeś. – Facet przekręcił wózek. – Jebać to.

– Ale jak to, skurwy...

Weronika wyjęła wzrok. Facet sięgał po coś do płaszcza. „Jezu, to chyba nie pistolet?!” – krzyknęła w myślach. Chciała poderwać się i zawołać do ojca, żeby uciekał, zanim tamten wyciągnie to coś, co miał pod płaszczem.

Ale tamten po prostu trzymał dłoń za pazuchą. Wyglądał, jakby masował się po sercu.

– To koniec – wycedził. – Nie dzwoń do mnie, zero kontaktu. Żadnych więcej pieniędzy. Od dzisiaj się nie znamy. A najlepiej nigdy nie znaliśmy. – Przywołał gestem wąsacza w skórze, który szybko zdeptał papierosa i podszedł. Wskazał na wózek. – Pamiętaj, że to przez twojego zasranego synalka. Nie wiesz. Nie masz już nic do wywęszenia.

– Ty, ty... – wysapał ojciec.

Weronika zadrżała. Miała nadzieję, że ojciec się opanuje, pójdzie po rozum do głowy i wyjdzie czym prędzej z mroku za kościołem.

Wtedy z wysokiej wieży popłynęła melodia Ave Maria. Taśma z dzwonekami najpierw zabrzmiała cicho, potem ktoś podkręcił głośność. Niezgrabna muzyka omiotła drzewa rosnące wokół i popłynęła szerokim nurtem w głąb osiedla. Weronika poczuła się jak w horrorze.

– Osiemnasta – odezwał się facet na wózku. – Czas wracać do rodziny. I jeszcze jedno. Poproszę o numer do tego... Bielawskiego? Tego urzędnika.

– Kogo?

– Nie pierdol, Dariusz. Dasz mi numer, to utnę z nim sobie przyjacielską pogawędkę na neutralnym gruncie. Nie dasz, to może mu się stać jakaś krzywda.

Ojciec drżącymi rękami wyciągnął z kieszeni telefon. Po chwili zabrzmiał sygnał w komórce faceta na wózku. Ten w brązowej skórze popatrzył dziwnie na ojca, ale facet na wózku tylko lekceważąco machnął ręką. Ruszyli. Odjechali wzdłuż stacji drogi krzyżowej w stronę halogenów i krzyża z portretem papieża Polaka.

Weronika zamknęła na chwilę oczy. Cała ta sytuacja wydała jej się snem, koszmarem, sceną z dziwnego filmu. To nie był jej prawdziwy ojciec. Ten realny siedział godzinami przed telewizorem, wracał zamulony, z wyblakłymi oczyma z jakiejś pracy, o której Weronika nie miała większego pojęcia. Mruczał albo opieprzał, jadł albo spał, mało przytomnie patrzył, jak Weronika spina się z matką. Ten tutaj stał dalej przy klombie, z poszarzałą twarzą patrząc w milczeniu na brudną kałużę.

Zsunęła się powoli po kamiennych schodkach. Usiadła na ostatnim. Głowa pracowała jej jak oszalała, ale nie mogła teraz tego wszystkiego rozkminiać. Musiała

szybko wysikać się w krzakach, wrócić do roweru, pognać z powrotem do domu, choć coś ciągnęło ją do ojca. Chciała podejść do niego i powiedzieć: „Widziałam wszystko, tato, czy możesz mi powiedzieć, o co chodzi?”. Ale nie mogła się zdekonspirować. Jeszcze nie teraz. A może nigdy. On jej przecież nic nie powie – zaprzeczy, nawrzeszczy, a potem zamknie się w sobie jeszcze bardziej.

„Wieczór w Stokrotce” – zaszumiał jej w głowie nieprzyjemny głos faceta na wózku. Wstała, podciągnęła spodnie i ruszyła szybko przez świerki do swojego roweru.

Weronika dojechała pod dom i odstawiła rower przy garażu. Passat ojca stał zaparkowany przy chodniku. Ojciec spieszył się do domu, czy może zamierzał gdzieś jeszcze pojechać? Nie miała pojęcia.

Kurtkę miała brudną od błota, zadrapanie na policzku przestało szczytać. Dotknęła rozpalonej twarzy, zdjęła czapkę i zaczesła do tyłu zmierzwione włosy. W razie czego powie, że zrobiła sobie szybką przejażdżkę po osiedlu, tak dla sportu. W głowie cały czas miała widok ojca stojącego w oliwkowej kurtce za kościołem, faceta na wózku i jego groźby. Sekretne przymierze, które tamten zerwał.

Przez uchylone okno w salonie Weronika usłyszała muzykę, to matka oglądała swój ulubiony teleturniej. Większość kawałków poznawała szybciej niż uczestnicy. Weronika zawsze się zastanawiała, czemu matka sama tam nie pójdzie i nie zgarnie trzydziestu tysięcy.

– Ob-la-di, ob-la-da!

Ktoś odgadł to dwie sekundy później, Robert Janowski pochwalił go przygaszonym, lekko ironicznym tonem. Oklaski. Kolejna melodia.

– Daj mi tę noc! – wykrzyknęła matka po jednej nutce.

Weronika pomyślała, że tylko to zostało tej kobiecie: ślęczeć przed telewizorem, przeskakiwać po kanałach, od czasu do czasu wyskoczyć z ojcem po wielkie zakupy do Auchan albo Carrefoura. Spać, dużo spać. Odhaczać kolejne dni w niewidzialnym kalendarzu. Czystość, wszędzie i zawsze musiała panować czystość. Pewnie dlatego Weronika tak tego domu nie lubiła. Wolała działać, ubrudzić sobie ręce.

Chciała zrozumieć. Poznać prawdę.

Scenariusz. Został w składziku. W tej nowej dziwnej sytuacji wolała nie ryzykować rozmowy z ojcem na ten temat. Mógł wrócić do pokoju Artura, odsunąć szafę. Zobaczy, że nie ma tych kartek, i zacznie wypytywać. Bała się, że pęknie pod ciężarem jego spojrzenia i wysypie się z tym szpiegowaniem.

Cicho otworzyła frontowe drzwi i weszła do ciemnego przedpokoju. Schowała do kieszeni klucz do składziku i usłyszała, jak matka klepie się po udach z niezadowolenia, bo nie odgadła Dody.

Zerknęła ostrożnie do salonu, ojca tam nie było. Miętko nacisnęła klamkę i wyszła z powrotem przed dom. Przystanęła w progu – ojciec właśnie wychodził z garażu. Dalej ubrany był w kurtkę, trzymał w dłoni coś małego, chyba telefon. Skręcił za dom, w kierunku ogrodu.

Weronice zabrakło tchu. Znowu szedł gdzieś zadzwonić! Znowu pod składzik, widocznie to było jego miejsce do wykonywania tajemniczych telefonów. Nie miała już szans, nie dobiegnie przecież przed nim do składziku, nie zamknie się znowu za dziurawymi drzwiami. Coś ważnego ucieknie, raz na zawsze...

Przypomniała sobie o zepsutym alarmie w passacie. Wybiegła przed furtkę i klepnęła w maskę. Nic. Wzięła głęboki zamach i uderzyła w drzwi od strony kierowcy. Ręka zabolęła, ale passat wreszcie zawył jak oszalały i rozświetlił pomarańczowymi światłami uliczkę. Weronika rzuciła się za dom, z drugiej strony. „Niech wróci tak, jak poszedł, błagam!” – zaklinała w myślach. Przystanąła na chwilę przy żółtej skrzynce z licznikami gazu, a potem popędziła w stronę składziku. W głowie kołatały jej gorączkowe pytania: wejść do środka? Schować się za składzikiem?

Przeskoczyła nad grządką między dwoma wysokimi słonecznikami. Przemknęła między agrestem i porzeczką, wbiegła za szopę. Usiadła i zaparła się plecami o ścianę. Serce biło jej jak oszalałe. Przycisnęła dłoń do ust i czekała.

Najpierw usłyszała, że passat przestał wyc, potem chwilę nic, a potem chrzęst żwiru. Ojciec wracał. Szedł tutaj, z telefonem. Weronika nie myślała już ani o Yesseris, ani o rzucaniu kostkami na roztropność. Miała jeden jedyny cel: usłyszeć kolejną rozmowę ojca.

– „Oto wróciłem, powiedział Sam...”

„Do kogo on dzwoni i dlaczego tak dziwnie gada?” – pomyślała.

– Posłuchaj, to wszystko za daleko zaszło – powiedział cicho ojciec. – Popełniłem błąd. Niepotrzebnie narobiłem bałaganu. Gdybym wtedy nie zadzwonił po tego z „Twojej Gazety”, to chłopak tylko poszwendałby się po osiedlu i już. Ale mnie poniosło, bo myślałem, że poznam prawdę. Szerszenie się wściekły, zrobiło się nieciekawie. Byłoby dla nas najlepiej, gdyby to się wszystko teraz skończyło. – Zaszurał butami i przez chwilę słuchał głosu ze słuchawki. – Cieszę się, że rozumiesz. Będę dalej ci przysyłać, tak jak przysyłałem. Ale dużo mniej. Nie tyle co poprzednio, przykro mi. Tylko musisz mi obiecać, że zapomnisz o wszystkim i nie będziesz próbowała się kontaktować z tym Marcinem. Ani z tym drugim.

„Kobieta?” Weronika przełknęła ślinę.

– To był cholerny błąd, że to zacząłem. – Głos ojca zabrzmiał żałośnie. – Drugi raz już bym tak nie zrobił.

Chrzęst żwiru. Ojciec z telefonem najwyraźniej wracał w kierunku domu. Coś jeszcze powiedział, ale Weronika nie mogła tego dosłyszeć, coś jak „pozdrawiam”.

Głośno wypuściła powietrze. Wstała i wyrzała zza składziku. Ojca nie było już w ogrodzie. Otworzyła kłódkę i weszła do środka. Zapaliła latarkę w telefonie,

wygrzebała scenariusz spod palety do wysiewania i schowała go pod kurtkę.

Zamknęła schowek i spojrzała na dom. Od strony ogrodu w żadnym oknie nie paliło się światło. Było już ciemno, cicho, tylko psy czekały w oddali, jak zawsze. Weronikę przeszedł dreszcz, nie miała pojęcia, jak zaśnie tej nocy, jak jutro rano wstanie na wykłady. Wiedziała tylko, że musi odnieść scenariusz za szafę. I znaleźć sposób na dobranie się do telefonu ojca.

„Kim jest ta kobieta, do której dzwonił? I co to, do cholery, jest Stokrotka?”

Leżał na sofie z głową opartą na dłoni i gapił się w telewizor. Od kilku godzin czekał na telefon od Andrzeja ze szczegółami jego sobotniej akcji. Coraz bardziej zniechęcony, z coraz brzydszymi myślami na temat dziennikarza. Tamta rozmowa była dziwaczna – i tak nagle się urwała, gdy tylko Rulewski poznał imię dziewczyny. Marta znów miała zły humor. Miły nastrój przysł, wróciła nuta nieufności.

– No i co? Coś nie dzwoni – zawołała Marta z kuchni.

– Nie – mruknął Marcin.

– Ten dziennikarz też znał Artura? Jak on cię w ogóle wyhaczył?

Marcin otworzył usta i zastygł. Andrzej sam go znalazł, zadzwonił do niego do pracy. Podobno dostał numer od producenta filmowego. Wtedy Marcin nie zwrócił uwagi na tę niedorzeczność. A szczegóły ich pierwszej rozmowy w porście zupełnie wyleciały mu z pamięci.

– Po prostu zadzwonił i powiedział, że chce mi pomóc.

– Kurczę, Marcin, nie uważasz, że to trochę nielogiczne? – Marta wyjrzała z kuchni. – Mogę sobie jeszcze wyobrazić, że ten aktor, jak mu tam...

– Adler.

– ...że ten Adler cię skojarzył z Arturem i ze scenariuszem, skoro znalazł go na strychu, a potem chciał coś od ciebie w ministerstwie. Ale że zaraz potem dzwoni do ciebie facet z brukowca, bo chce ci pomóc? W czym? Trochę to podejrzone, nie uważasz?

– Mówił, że dostał do mnie kontakt, że ktoś coś usłyszał, a ktoś inny mu powiedział.

– Brzmi to jak dziennikarska ściema. Bullshit. Znasz takie słowo?

Pojawiła się na progu, a Marcin zerknął na jej olbrzymi brzuch. Między rozpiętymi guzikami koszuli w kwiaty dojrzał sterczący, gotowy do karmienia sutek.

– Ktoś chyba robi cię w konia. – Wydęła wargi. – To wszystko jest grubymi nićmi szyte, jak na mój gust. Nie przyszło ci do głowy, że w całej tej sprawie w ogóle chodzi nie o wasz scenariusz, tylko o tę dziewczynę?

„Niezła jesteś – pomyślał. – Artur i jego ojciec. Tajemniczy wujek Norberta. Może nawet Igor? Wszyscy oni mieli coś wspólnego z Alicją. Więc może też medalion? Jaką

rolę, do cholery, gra w tym wszystkim ten dziwny przedmiot?”

– Mógłbyś przełączyć to coś na inny program? – Marta przerwała ciszę i wskazała na telewizor.

Prezenter wiadomości na reżimowej jedynce gapił się na nich z ekranu z jakimś nieprzyjemnym wytrzeszczem, jakby chciał ich zahipnotyzować. Potem uśmiechnął się sztucznie i Marcin pomyślał, że facet wygląda trochę jak mroczny klaun.

– Jestem cholernie zmęczona. – Marta wymownie gapiła się na wiadomości. – Nie mam zamiaru łykać jeszcze tego. Jest tyle innych programów.

Marcin zmienił kanał, potem kolejny. Rozrywka, kabaret, ale nieśmieszny.

– Znajdź mi jakiś film. – Położyła się na łóżku. – Może być kryminał.

Wcisnął guzik raz po raz. Dokument o delfinach. Tenis. Opera. Dom zły po raz setny na Kino Polska. Antyczni astronauty. Znowu kabaret, Kołaczkowska darła się: „Andrzeju, Andrzeju...”. Marcin mógłby to zostawić, ale Marta szturchnęła go pod żebro. Powtórka reality show o rubasznych warszawiakach na gościnnych występach nad Bałtykiem. Właśnie odchodziło potajemne dymanko pod kocem. Facet zachowywał się jak królik z reklamy baterii, babka jęczała, ale bez ekstazy. Marcin zamarł z palcem na pilocie.

– Kryminał! – usłyszał za sobą.

Przełączył jeszcze parę razy.

– O, zostaw.

To był Zodiak Davida Finchera, dopiero się zaczynał. Rok 1969, Kalifornia, słynny seryjny morderca powoli rozkręcał spiralę zbrodni. Darlene i Michael – blondynka z grzywką i jej kochaś – zajechali długim chevroletem w zaciszny zakątek, w radio leciał Hurdy Gurdy Man Donovana, mroczny i psychodeliczny. Wtedy nadjechał drugi samochód i ktoś zaczął strzelać. Michael przeżył. Marcin wiedział, że na końcu rozpozna Zodiaka na zdjęciu, ale nie chciał psuć Marcie przyjemności.

Weronika była niepokojona. Udało jej się dorwać do telefonu ojca w salonie, gdy matka poszła włączyć zmywarkę w kuchni na piętrze, a ojciec zajął z brukowcem toaletę. Tyle że ostatnie połączenie było o piętnastej trzydzieści, gdy Weronika siedziała w składziku z papierosami i winem ciotki.

Facet na wózku. Ojciec zapisał go jako Majora. Co się stało z połączeniem, które wykonał po powrocie spod kościoła? Skasował je z listy? A może ma drugi telefon?

Odłożyła komórkę na regał z książkami. Wyszła z salonu w kierunku schodów. Musiała jeszcze schować scenariusz za szafę. Nie chciała płoszyć ojca, niech myśli, że wszystko jest jak dawniej.

Oglądali właśnie scenę w redakcji „San Francisco Chronicle”. Zodiak przysłał zakodowaną wiadomość, której nikt nie umiał odcyfrować. Udało się dopiero

rysownikowi komiksów.

– Ten Rulewski jest z brukowca, tak? – Śpiąca Marta spojrzała na Marcina przeciągle i podrapała się po brzuchu. – Może powinniście napisać wiadomość?

– Do kogo?

– Do Alicji.

Marcin spojrzał na żonę z otwartymi ustami.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– No nie wiem. Może jakiś artykuł. O scenariuszu, o śledztwie. Że to się jakoś połączyło. Ten Rulewski gadał coś o jakimś Norbercie.

– Ale powiedział też, że Norbert nie miał nic wspólnego ze śmiercią Artura.

– Tym lepiej. – Marta uśmiechnęła się szelmowsko, choć wyglądała, jakby miała za chwilę odpłynąć w objęcia Morfeusza. – Napiszcie największą bzdurę, jaka przyjdzie wam do głowy. Połączcie te wątki, żeby wyszła z tego niesamowita historia. Im większy bullshit, tym bardziej ona może się poczuć wywołana do tablicy. Że powinna odpowiedzieć, sprostować. No, że musi odkręcić ten wasz szajs.

Marcin się uśmiechnął. Pomysł był dobry, ale to był tylko pomysł. Musiał jeszcze przekonać Rulewskiego, a Rulewski pewnie jeszcze kogoś. Nie można tak po prostu przyjść do gazety i kazać redakcji publikować bzdety. Nawet w brukowcu.

– Nie ma żadnej gwarancji, że ta dziewczyna to przeczyta.

– No nie ma. – Marta ziewnęła. – Ryzyk-fizyk.

– Ani że się odezwie.

– Zróbcie coś, żeby uwierzyła, że jesteście po jej stronie.

– To znaczy co?

Przymknęła oczy.

– Podpiszcie się – wymruczała. – Czymś z tej książki z dedykacją. Wtedy będzie wiedziała. Czuję to.

Marcin głośno wypuścił powietrze. Przyciszył dźwięk w telewizorze. Rysownik komiksów, redaktor i dwóch detektywów wciąż próbowali rozgryźć tożsamość Zodiaka, ale wodził ich za nos. Grali tak, jak im pozwalał.

Dwóch hobbitów na wędrownicy. Pierścień mocy, który mieli wnieść na szczyt góry i wrzucić w morze lawy. Frodo i Sam. I jeszcze Gollum, ten pokrecony stwór. Skoro Artur czytał dziewczynie tę książkę tyle czasu, to może ona będzie pamiętać. Niewykluczone, że zaorał Alicji wyobraźnię. Daliby jej w ten sposób znać, że są na dobrym tropie, tylko że wszystko im się pomieszało. Albo przejrzy ich grę, albo połknie haczyk. W obu przypadkach była szansa, że się odezwie i będą mieli jakiś punkt zaczepienia.

– Frodo Baggins – powiedział cicho.

– Frodo... – powtórzyła sennie Marta. – Może być Frodo...

Uśmiechnął się. Nachylił się i cmoknął ją w policzek.

W tym momencie na szafce zawibrował jego telefon. Marcin zsunął się z łóżka i podszedł powoli. Nieznany numer. Podniósł komórkę i po cichu wyszedł do kuchni.

Weronika zamknęła się w pokoju. Wciąż miała ze sobą scenariusz przepasany sznurkiem. Rodzice kręcili się po parterze, więc nie chciała teraz szurać szafą i ryzykować, że ktoś przyłapie ją w pokoju Artura.

Koperta, Stokrotka, ojciec dzwoni do kogoś. Chciała powiedzieć o tym Marcinowi Bielawskiemu. Czuła, że nie zaśnie, dopóki nie zadzwoni do tamtego chłopaka.

Włączyła płytę. Z głośników popłynęła skoczna folkowa muzyka. Weronika pogłośniła na tyle, żeby nie było słycać jej rozmowy. Ale nie za głośno, żeby matka nie przybiegła z wrzaskiem, że coś zakłóca jej wieczorną ciszę.

Potem usiadła na łóżku. Pomyślała chwilę. Wstała. Znowu usiadła. Wybrała numer Bielawskiego i położyła się z policzkiem przyciśniętym do wielkiej poduszki.

Usłyszała tylko, że numer aktualnie jest zajęty. I że może zostawić wiadomość na poczcie głosowej.

Wszedł do kuchni i odebrał połączenie.

– Pan Marcin... Bielawski? – W słuchawce zabuczał męski głos. Marcin nigdy wcześniej go nie słyszał.

– Tak, to ja.

– Pan wybaczy, ale nie przedstawię się. Moje nazwisko i tak nic panu nie powie.

– To pan wybaczy, ale dlaczego miałbym rozmawiać z kimś, kto nie chce się przedstawić?

– Dzwonił do mnie dzisiaj pański niespełna rozumu kolega.

„Rulewski?” – Marcin poczuł nieprzyjemne swędzenie na karku. W słuchawce słyszał tylko świszczący oddech tamtego mężczyzny.

– Jaki kolega? – spytał ciszej.

– Ten, którego wynająłem, żeby pana szpiegował.

– Przepraszam, ale czy mógłby pan powtórzyć...?

Cisza w słuchawce. A potem znowu ten głos. Zmęczony, ale nieprzyjemny. Brzmiał, jakby ten człowiek siedział w ciemnym pokoju przy zasłoniętych roletach. W krypcie.

– No niestety, panie scenarzysto. Dał się pan złapać na mój lep. Płaciłem facetowi grubą kasę, żeby panu przeszkadzał. Donosił mi o wszystkim, codziennie o dwudziestej pierwszej z minutami. Wiedziałem o wszystkich waszych postępkach. Wiem o Igorze, o medalionie. Wiem też... o Norbercie.

– Nie do końca rozumiem...

– Nie ma tu nic do rozumienia – ciągnął facet niezrażony. – Był moim człowiekiem. Jest dalej. Oszukał pana, a dzisiaj chciał oszukać mnie. Wydaje mu się, że coś ugrał, taki typ człowieka, hiena bez honoru, żadnych zasad. Zerwał się ze smyczy, ale ja mam sposoby, żeby go znowu na tę smycz złapać.

Marcin poczuł na twarzy palący rumieniec. Z trudem przełknął ślinę.

– Pan już wie, kim była Alicja? – spytał facet.

– Alicja... – powtórzył bezwiednie Marcin.

– Ta dziewczyna. Z mojego burdelu.

Marcin usiadł na krześle i tępo spojrzął na lodówkę.

– To pan – wyszeptał. – Wujek tamtego.

– Pogrążony w żałobie wujek, dla jasności.

– Dlaczego pan do mnie dzwoni?

– Bo ja znam całą prawdę, panie kolego. Prawda pana wyzwoli i da pan już sobie spokój z tym gównianym śledztwem. Zanim się pan sparzy i zrobi o jeden krok za daleko. Tak jak tamten debil, który do mnie dzwonił.

– Ale jak to...?

– Normalnie – wycedził tamten. – Spotykamy się jutro o szesnastej trzydzieści. Opowiem, jak to było z Arturem i tamtą dziewczyną. Tylko dla pańskich uszu. Nie do scenariusza. Pasuje?

– Gdzie?

– W miejscu publicznym, niech się pan nie martwi. Co pan powie na muzeum powstania? Szesnasta trzydzieści pod liberatorem. Będzie pan?

– Nie wiem, muszę się...

– Nic pan nie musi. Nic – przerwał Marcinowi facet. – I proszę nie kontaktować się już z tamtą szmatą. To oszust. Szantażysta. Chciał zarobić, ale coś mu nie wyszło.

Marcin nie wiedział, co na to odpowiedzieć. W głowie szumiało mu tak, jakby ktoś przywalił mu cegłą.

– Szesnasta trzydzieści. EmPeWu pod samolotem – powtórzył tajemniczy mężczyzna. – Dobranoc, panie scenarzysto. Słodkich snów.

Rozłączył się, a Marcin ostrożnie położył komórkę na blacie, jakby miała za chwilę wybuchnąć i zalać mu twarz kwasem. Cały czas słyszał pod czaszką natrętne brzęczenie. Rozejrzał się po kuchni, wszystko jakby wibrowało. Kuchenka, lodówka, szuflady ze sztućcami – miał wrażenie, że zaraz coś się stanie, z palników wystrzelą płomienie, szuflady otworzą się jak w horrorze, a ze zlewu buchnie pod sufit śmierdząca ciecz.

„Rulewski kłamcą”. Pustka i brzęczenie. Dziwna wilgoć w spodniach. Strach. „Ten facet chce się spotkać. Wie wszystko”.

I wtedy znów zadzwonił telefon. Marcin patrzył na wibrujący na blacie aparat jak saper na niewypał. Bał się spojrzeć, kto tym razem dzwoni.

Zmusił się i zerknął na ekran. To była Weronika. Odebrał.

– Cześć – powiedział cicho.

– Marcin, musisz mnie bardzo uważnie posłuchać – usłyszał w słuchawce przytłumiony głos, jakby dziewczyna siedziała pod kołdrą z głową wepchniętą w poduszkę.

Wziął głęboki wdech.

– Mów.

– Śledziłam dzisiaj ojca – wyszeptała do słuchawki. – Spotkał się z jakimś dziwnym facetem na wózku inwalidzkim. Gadali o Arturze, coś o jakiejś umowie i że ten facet zrywa tę umowę.

Marcin zamrugał. Kuchnia powoli traciła aurę jak z horroru.

– Słyszysz mnie? – spytała Weronika.

– Tak, słyszę, mów dalej.

– Facet na wózku ma chyba coś wspólnego ze śmiercią Artura. Powiedział, że to wydarzyło się w Stokrotce. Mówi ci coś ta nazwa?

– Nie.

– A teraz najlepsze.

Marcin wyczuł w głosie Weroniki podniecenie.

– Ojciec wrócił do domu i dzwonił do jakiejś kobiety. Najpierw gadał jakimś szyfrem. Potem mówił, że żałuje, że tak wyszło. Że będzie mniej pieniędzy. Że narobił bałaganu. I żeby ona się z wami nie kontaktowała, bo prawda nie może wyjść na jaw.

Marcin poczuł, jakby ktoś ścisnął mu głowę imadłem.

– Dlaczego to się wydarza wszystko naraz? – spytał bezradnie. „Medalion” – pomyślał. Teraz jest u niego. Leży w kartonowym pudełku na regale w pokoju. Schował go tam, gdy Marta wyniosła naczynia po obiedzie do kuchni.

– Nie wiem. Coś się stało? – zdziwiła się Weronika. – Brzmisz, jakby przejechał cię pociąg.

– Dzwonił do mnie.

– Kto?

– Jakiś facet. Chce mi wszystko powiedzieć o Arturze. Jutro.

– Fuck – sapnęła Weronika. – To na pewno on, Major. Wyciągnął od ojca telefon do ciebie. Wyglądał, jakby chciał się szybko pozbyć wszystkich problemów.

Marcin schylił głowę, niemal dotknął nią kolan.

– Myślisz, że powinienem tam iść?

– To znaczy gdzie? W jakieś podejrzone miejsce?

– Nie, do muzeum. Chce się spotkać w muzeum.

Cisza w słuchawce. Marcin miał wrażenie, że trwa w nieskończoność.

– W muzeum chyba nic ci nie zrobi – odezwała się w końcu Weronika. – On jeździ na wózku, ma tylko takiego zakapiora za pomocnika. Jeśli chcesz, pójdę z tobą.

– Nie będzie chciał gadać, jak cię zobaczy. Twój ojciec był jego prawnikiem. Może był kiedyś u was w domu.

– Chyba był, dawno temu. Miałam wtedy z dziesięć lat. Będę chodzić, nie pozna mnie. Usiądę gdzieś z książką.

Marcin chciał sobie to wszystko wyobrazić, ale nie miał siły.

– Posłuchaj mnie, Marcin – usłyszał znów głos Weroniki. – Dostałam wczoraj taką nauczkę od mojego mistrza gry. Nigdy nie opuszczaj drużyny. Nigdy. Nie można iść na potwory w pojedynkę. Nie można się odłączać. Zawsze ktoś musi stać za twoimi plecami, niezależnie od tego, jak bardzo silny się czujesz.

– Silny? To żeś pojechała, dziewczyno. – Uśmiechnął się blade.

– Damy radę, zobaczysz. To jak będzie?

Wstał. Nogi wciąż miał jak z waty.

– Jest taki biurowiec na Przyokopowej – powiedział. – Niedaleko muzeum. Spotkajmy się tam o szesnastej. Trafisz?

– Trafię.

Pożegnali się. Marcin stanął w progu pokoju i spojrzał smutno na śpiącą Martę. Leżała pod kocem i pochrapywała cicho, nieświadoma tego, co przed chwilą się tu wydarzyło. Jutro najwyżej będzie ciekawa, jak skończył się film i kim okazał się Zodiak.

On tymczasem miał przed sobą długie nieprzespane godziny, gdy będzie przewracał się z boku na bok i wracał myślami do tej dziwacznej rozmowy.

Major. Stokrotka. Rulewski kłamcą. Kobieta w telefonie Dariusza Sosnowskiego. Tak jakby nagle pękł balon wypełniony konfetti we wszystkich odcieniach czerni.

Poniedziałek,
16 października, 7:35



Stoszesnastka przejechała na zielonym przy Hali Marymonckiej i pomknęła po Słowackiego, rozbryzgując kałuże po nocnym deszczu ze śniegiem. Remont na placu Wilsona dawno się skończył, ktoś mądry nawet wyregulował światła. Tłum w autobusie był mniejszy niż zazwyczaj. Zaraz za Wilsonem zwolniło się miejsce. Marcin skorzystał – opadł ciężko na siedzenie i przymknął oczy.

W jego głowie wciąż huczały dwie wieczorne rozmowy. Ta z Majorem była jak cios pięścią w podbrzusze i posłała go na deski. Ta z Weroniką skończyła się jak motywacje trenera w narożniku. Całą noc wiercił się obok niczego nieświadomej Marty. Gdy na chwilę odpłynął, przyśniło mu się, że wchodzi do muzeum powstania, ale w środku nie ma nikogo oprócz starca na wózku, pchanym przez bladego jak ściana Artura. „To mój opiekun, anioł stróż” – starzec spojrzał przenikliwie przekrwionymi oczami Gabrysia. „Powiedzieć ci, jak się spotkaliśmy?”

Autobus wiózł go ku ministerstwu, jakby sunął po tafli jeziora. „Parę dni – pomyślał Marcin. – Parę rozdygotanych dni, a cała reszta stała się nagle obca i nierzeczywista”. W desperacji postanowił opóźnić moment wejścia do pracy, więc wysiadł przy placu Zamkowym i ruszył jak skazaniec, powłócząc nogami i mrużąc oczy od oślepiającego słońca. Zatrzymał się na moment przy kiosku i zerknął na stand z czerwonymi tytułami brukowców. Jak to mówiła Marta? „Napiszcie artykuł, jakiś bzdet, połączcie Alicję z Norbertem. Sprowokujcie ją”.

Skrzywił się. Rulewski go szpiegował, szukał go, działał na zlecenie tego faceta na wózku. Grał zainteresowanego, chociaż czasem średnio mu to wychodziło. A gdy wyszło na jaw, że mordercą Igora jest siostrzeniec Majora, to – jak powiedział tamten – urwał się ze smyczy i pokąsał swojego pracodawcę.

Odbiło mu się żółcią i naszła go ochota, żeby splunąć, ale nigdy dotąd nie pluł na chodnik. W kilka minut doczłapał pod ministerstwo i spojrzał jeszcze na słoneczne Krakowskie Przedmieście, jakby żegnał się z nim na kilka godzin. Pożałował, że nie ma znowu dwudziestu lat. Mógłby urwać się z zajęć i przesiedzieć parę godzin na murku. Albo pokrażyć po Nowym Świecie, spędzić dzień na zaglądaniu w twarze przechodniom i wymyślaniu historyjek do tych twarzy.

Pociągnął drzwi. „Dzień dobry, dzień dobry” z panem z ochrony. Zakurzone powietrze i znajome kręcenie w nosie. Rzeźba w holu wciąż stała w drewnianej skrzyni. Nic się nie zmieniło.

A jednak. W cichym korytarzu nikogo nie było, ale ta cisza miała w sobie jakby coś uroczystego. Ktoś rozpylił zapach fiołków. Przez te fiołki Marcin stwierdził, że jest nieświeży, z nieupraną i odstającą na ramionach marynarką, jakby przez ostatnie dni schudł ze trzy kilo. Minął obraz olejny, a tak naprawdę wszedł na statek obcych i w stanie nieważkości sunął w kierunku kokpitu, gdzie wielka modliszka czekała na niego z powitaniem w nieznanym języku. Doszedł do drzwi gabinetu, w którym pracował. Dotknął klamki i postarał się przybrać jakikolwiek wyraz twarzy.

Chyba mu się nie udało, bo jego koleżanka Patrycja obróciła się na krześle i spojrzała na niego jak na ducha.

– Dzień dobry. – Zmrużyła duże oczy.

„Dzień dobry?” Poczł się jak petent, który przyszedł do urzędu skarbowego ze źle wypełnionym PIT-em. Starł się znaleźć w głowie jakiś żart na powitanie. Nic, pustka.

– Cześć.

Usiadł przy swoim biurku i przymknął oczy.

– Co słyhać? – usłyszał za plecami.

– Dobrze. A tu?

– Nowy dyrektor. – Brzmiała nowina. – Miał być za tydzień, ale zaraz będzie spotkanie.

Marcin pokiwał głową. Nie wiedzieć czemu zrobiło mu się dziwnie ciepło na sercu. Nowy pan dyrektor przyjeżdża, specjalnie dla niego, przywitać się i uścisnąć dłonie szanownego personelu. Bielawski co prawda ma jeszcze trochę waty w głowie, ale wystarczy kawka i będzie jak nowo narodzony.

– O której to spotkanie?

– O dziewiątej.

– Muszę napić się kawy.

– Ekspres padł.

Wyczuł w głosie Patrycji złośliwość. Może lepiej jednak założyć płaszcz i dać w długą, wmieszać się między studentów na Krakowskim? Kupić porządną kawę, schować się w parku, złapać trochę słońca na ławce. Przeczekać. A potem wrócić już po spotkaniu, zapukać do nowego dyrektora, przedstawić się i założyć przymilny uśmiech z gatunku: „Jestem do pańskiej dyspozycji, panie nowy dyrektorze, tylko proszę dać mi jeszcze kilka dni wolnego, a wrócę w dobrej formie”.

Został.

Stali w dużym gabinecie, w stłoczonej grupie pod portretami Mickiewicza i Chopina. Żeński personel z przodu, męski w drugim rzędzie, Marcin jak najbardziej z tyłu.

– Dzień dobry wszystkim państwu, nazywam się Włodzimierz Orlicz – powiedział niepewnie mężczyzna w centrum zgromadzenia. – Jestem nowym dyrektorem departamentu.

Marcin wspiął się na palce, a potem jeszcze bardziej. Mężczyzna był średniego wzrostu, barczysty, ale zgarbiony. Siwe włosy ostrzyżone na milimetr, z zakolami, i tak samo przystrzyżona broda. Okulary w okrągłych czarnych oprawkach i zmęczony, nieco wystraszony wzrok. W niemodnej marynarce w pepitkę sprawiał wrażenie zagubionego nauczyciela języka polskiego na zastępstwie.

– Domyślam się, że państwo bardzo zżyli się z poprzednią panią dyrektorem, którą znam i cenię – podjął po chwili Orlicz. – No ale pewne okoliczności zaważyły, że musiała odejść, a mnie poproszono o przeprowadzenie departamentu przez trudny czas cięć budżetowych.

Panie z pierwszych rzędów pokiwały głowami ni to z uznaniem, ni to z dezaprobatą. Marcin zerknął najpierw na wpatrzoną w nowego dyrektora Patrycję, a potem na zamknięte okno. Perfumy, dwutlenek węgla, skupione spojrzenia, duszna atmosfera. Orlicz mówił dalej, naturalnie musiał wspomnieć o żołnierzach wyklętych, o patriotyzmie, dobrej zmianie i republice kolesiów za poprzednich kadencji. Na pierwszy rzut oka nie przypominał żadnego znanego Marcinowi zwierzęcia, nie mógł więc zostać nowym Lemurem, Borsukiem czy inną Antylopą.

„Dobra zmiana, lepsza zmiana, najlepsza zmiana” – odmieniał Marcin w myślach. Opadły mu powieki. „Każda zmiana jest dobra – olśniło go. – Dla zmieniającego”.

Obyło się bez parady, uścisków dłoni i patrzenia w oczy. Gromada powoli opuszczała gabinet. Ktoś otworzył okno, jakby dopiero teraz było to potrzebne.

– Chciałbym zamienić jeszcze słowo z panem... Bielskim.

– Bielawskim – poprawiła Orlicza któraś z pań i zerknęła na Marcina badawczo.

I tak był blady, więc nie mógł zblednąć jeszcze bardziej. Odchrząknął i wyszedł z tłoczącej się przy drzwiach cizby. Zauważył, że niemal wszyscy patrzą na niego i że z tego powodu przy wyjściu robi się zator. Dyrektor oparł się o biurko i czekał, aż wszyscy znikną i drzwi zamkną się za ostatnią osobą. Wskazał na stojące pod ścianą krzesło. Marcin usiadł niechętnie.

– Rozmawiałem sobie o departamencie z panem Zawadzkiem – zaczął po chwili dyrektor Orlicz. – Taka przyjacielska pogawędka przy kawie.

Marcin ściągnął brwi. Lemur? Czyżby robił podchody pod nową dyrekcję, żeby zachować stanowisko mimo zawirowań?

– Powiedział mi, że jest pan tutaj uosobieniem uczciwości, że tak powiem. Profesjonalny, w jakimś sensie niezłomny...

Zatkało go. To brzmiało jak żart.

– Chciałbym mieć w kimś oparcie w tych nowych dniach. – Orlicz poprawił okulary i się zgarbił. – Stawiam na pana.

Marcin myślał gorączkowo, o co mogło chodzić Zawadzkiemu. To musiał być jakiś psikus za nieudaną próbę z korektą wniosku na dotację dla Adlera, wtedy w kiblu, tydzień temu. Gość klepał go po plecach przy umywalce i bajdurzył coś o teście na czujność, jakby chciał zatrzeć brzydkie wrażenie i rozwiać smrodek wokół siebie. A teraz, na odchodnym, sprzedał pewnie temu Orliczowi cynk, że w departamencie jest taki jeden „niezłomny”.

– Nie wiem, co powiedzieć – mruknął.

Orlicz splótł duże dłonie.

– Na dzień dobry może mógłby pan zaznajomić mnie z departamentem.

– To znaczy?

– To znaczy opowiedzieć, kto z kolegów pańskich i koleżanek, ale tak z całego serca, bez żadnej wątpliwości...

– Tak?

– Kto tutaj wierzy w dobrą zmianę.

Marcin poczuł, że ta rozmowa nie prowadzi do niczego dobrego.

– Wszyscy, panie dyrektorze. Wszyscy wierzymy.

Myślał, że tą odpowiedzią faceta zadowoli, ale nie wyszło. Za szybko to było, za gładko. Coś Orliczowi nie podpasowało, bo znów się zgarbił i zaczął się gapić w monitor.

– Gdyby pan mógł mi przygotować bardziej szczegółową analizę, byłbym wdzięczny – wymruczał do ekranu.

„Kurwa. Nowa zajebista fucha: kapowanie na departament”. Marcin pokiwał tylko głową. Wolał wyjść i nie przedłużać. Miał nadzieję, że po korytarzach nie pójdzie zaraz jakaś bardzo brzydka plotka.

– Strasznie wyglądasz. – To było pierwsze, co usłyszał Andrzej, kiedy wszedł do akwarium wicenaczelnego Garbarka. – Jak krew, pot i łzy. Jak chujnia z grzybnią, za przeproszeniem.

Andrzej nie mógł się nie zgodzić.

Rano zobaczył w lustrze zapyziałego menela z powiekami sklejonymi od ropy. Krwawa szrama od noża powoli zablizniała się na nieogolonym policzku. Na stole w pokoju leżały dowody rzeczowe jego telefonicznej porażki – resztki koki i pusta butelka po GlenDronach. O wraku porsche stojącym gdzieś na policyjnym parkingu nawet nie chciał pamiętać. Przerazała go myśl, że już mu nie staje i że to koniec jego klubowych maratonów. Jakoś się ogarnął, ale i tak wzbudził niezdrowe zainteresowanie w redakcji.

– Gdzie byłeś, jak cię nie było? – spytał Garbarek, zerkając z udawaną troską. – To ma coś wspólnego z tym megamateriałem, który mi obiecałeś w zeszłym tygodniu?

Andrzej nie odpowiedział. Zamknął drzwi od akwarium i przysiadł na brzegu pluszowego fotela.

– Pamiętasz sprawę sprzed ośmiu lat? – zaczął. – Pojechałem pod Radzymin i widziałem spalone zwłoki chłopaka.

– Jak mógłbym nie pamiętać, stary. – Garbarek odsłonił zęby w uśmiechu. – Miałeś wtedy niezły zjazd, prawie rzuciłeś wypowiedzenie na stół.

– No więc przez kompletny przypadek dowiedziałem się, kto go zabił. Długa historia, ale nie doceniłem jednego koleś. Rozjebali mi porsche, obaj zginęli. I Norbert, i ten drugi, Adam, na którego to wszystko zwalili.

Garbarek nie wyglądał, żeby zrobiło to na nim wrażenie.

– No i co masz zamiar z tym zrobić, Andrzej? – spytał z krzywym uśmiechem. – Ani to mega, ani nic. Jak chcesz, daj to do jutrzejszego numeru. Strona szósta. Pół kolumny.

– Jest tego więcej. – Andrzej spojrzał na paznokcie. – Grubsza historia z nieletnią dziewczyną w tle. Dziewczyna ze skazą na oku, taki fetysz dla zwyrola. Mam czutę, że miała przez to mnóstwo amatorów.

Garbarek spojrzał na Andrzeja pytająco.

– Jak się za to porządnie zabrać, to możemy się dokopać do jakiegoś kręgu, nie wiem, pedofilów czy coś w tym guście – brnął Andrzej, czując, że płynie pod prąd. – Możemy mieć materiał, który wielu ludziom zrobi koło pióra. Zrobimy dym. Każdy będzie chciał przeczytać, kto jeszcze obracał małoletnią Alicję.

Garbarek patrzył z otwartymi ustami, ale to chyba nie była fascynacja. Andrzej obstawiałby raczej, że Garbarek gapi się na szramę na jego policzku i ma go za pomyłkę.

– Czegoś tu nie jarzę. – Wicenaczelnym odchylił się w końcu na fotelu. – Jak rozumiem, chcesz mi powiedzieć, że przez te parę dni złapałeś mordercę z przeszłości i odkryłeś jakąś dziewczynkę, którą obracało pół Warszawy? Ty no, sorry.

– No dobra, trochę pojechałem – przyznał Andrzej. – Prawda jest taka, że była taka dziewczyna, trzymali ją w burdelu. Miała medalion, który ukradł jej ten spalony koleś.

– Medalion? Człowieku, czy ty przypadkiem nie dałeś za bardzo w palnik?

– Zakochała się w chłopaku, który potem zginął na Mazurach. Więc, jak widzisz, jest o czym pisać. Tylko trzeba sięgnąć głębiej.

– A kiedy to było? Te Mazury.

– Też osiem lat temu.

„Buu...” Garberek znów przyglądał się Andrzejowi jak obłąkanemu.

– Andrzej, nie powinieneś jednak wrócić do ryjów? – Wicenaczelnym poprawił okulary. – To jest oczywiście w miarę dobry temat, nie zaprzeczam, tylko mocno nieświeży. Zróbmy test. Pamiętasz jeszcze, co osiem lat temu działo się w polityce, w rozrywce?

– No nie wiem... Wybrali Baracka Obamę. I umarł Jackson.

– No. A teraz mamy Trumpa, Harveya Weinsteina i Kaczyńskiego zamiast Tuska. Nikogo nie interesują trupy z zamierzonych czasów, spalone czy nie.

– Napiszę to tak, żeby była podjarka.

– No spoko, chociaż myślałem, że kryminalne sprawy już dawno sobie darowałeś.

– Garberek wstał i podszedł do okna. – Jak dla mnie możesz się w tym przez chwilę pobabrać, dla relaksu. Lepsze to niż kolejny temat z dupy. Martwi mnie tylko, że to cię odciągnie od tego, w czym jesteś najlepszy.

– Bez obaw.

– Cieszę się, że wracasz do gry, stary – powiedział sucho Garberek i zaczął gapić się przez szybę na szklane wieżowce.

Andrzej się skrzywił. Zabrzmiało to tak, jakby był już na jakiejś tajnej liście wypalonych pistoletów do zastąpienia, a teraz Garberek na chwilę zawiesił wykonanie wyroku.

Wyszedł z akwarium. W redakcji panował poniedziałkowy rozgardiasz po kolegium. Pewne siebie młodziaki, tworzące na co dzień gazetę, krążyły od komputera do komputera i komentowały weekendowe wydarzenia. „Młode wilki, kurwa” – Andrzej łypnął spode łba. Pewnie jest wśród nich jakiś nowy Rulewski, wypatrzony już przez Garbarkę.

Usiadł na plastikowym krzeselku przy dystrybutorze z wodą. Artykuł. Musiał napisać artykuł, a zupełnie nie miał weny. Rozregulował się przez ostatnie dni. Tyle łażenia, emocji, narażania się, żeby wyprodukować kolejnego gniota żyjącego przez trzy dni. Pisać tylko po to, żeby dziadek z babcią mieli co poczytać przy schabowym?

– Wszystko w porządku? – usłyszał nad sobą kobiecy głos.

Podniósł wzrok. Stała nad nim ładna dziewczyna, najwyżej dwadzieścia pięć lat, w beżowym golfie pod samą szyję. Chyba nie miała długiego stażu, pewnie pracowała przy portalu.

– A o co chodzi? – Zmrużył oczy.

– Źle pan wygląda. Nalać panu wody?

– Nalać.

– Zimnej czy gorącej?

– Zimnej poproszę.

Patrzył na jej długie palce i szczupłe ramiona, kiedy odkręcała kranik i nalewała wodę. „Ciekawe, co jest pod tym beżowym golfem. Cuda czy miraże?” Poczuł, że wraca mu utracona męskość. Przymknął oczy i pod powiekami zobaczył, jak ta siostra miłosierdzia zdejmuje sweterek i rozpiną biustonosz. On zębami ściąga czarne stringi z kokardką. „Gdzie umiejscowić akcję? Parking, poziom minus dwa. Jest tam taka niesławna komórka, przy transformatorze...”

– Woda.

Otworzył oczy. Wciąż byli w redakcji, on miał za sobą ciężki tydzień, a ona wyglądała, jakby czas ją naglił i chciała już wrócić do monitora. Ostrożnie wyjął kubek spomiędzy długich palców.

– Dzięki.

Wypił duszkiem i zgniótł kubek. Zawsze najlepiej myślało mu się na fajku, więc wyszedł na korytarz i po chwili wszedł do windy, zapełnionej w trzech czwartych gośćmi w garniturach i laskami w garsonkach z wyższych pięter. Gdy przymknął oczy, znów zobaczył, jak pieprzy się z tą dziewczyną od kubka z wodą w komórce na poziomie minus dwa. Widział dwie unoszące się i opadające piersi, ale to były duże i jędrne cycki Shae. Dostał erekcji i zapiął marynarkę na górny guzik.

Na dziedzińcu palarni stało kilka kobiet z innych redakcji. Gadka szmatka o weekendzie. Jedna przez drugą, jak w Dniu świra. Andrzej zapalił tuż przy drzwiach i przysłuchiwał się ich gdakaniu. Spojrzały na niego krótko, ale chyba nie wyglądał dzisiaj na ciacho: uniesiona brew brunetki i porozumiewawcze spojrzenie puszczone blondynce. Czy naprawdę było aż tak źle?

Zamknął oczy i mocno się zaciągnął. Ta historia była prosta do napisania. Igor ukradł Alicji medalion. Norbert chciał zrobić dobrze wujkowi, ale przesadził z Igorem. Do całej sprawy doczepiony ten Artur. Ale Garbarek miał rację – to wszystko było teraz takie niemrawe, jak ciekawostka z zamierzchłej przeszłości. Jak to mówił Gabryś? „Za mało danych, Rulewski”.

Znowu zobaczył pod powiekami wygięte w pałąk ciało Shae. Musiał coś z tym zrobić, był w desperacji, nie mógł się skupić przez te cholerne fantazje, wpychały się z każdej strony. „Tylko co, kurwa? Poderwę laskę w palarni?” Otworzył oczy i się rozejrzał. Te tutaj to same mamuśki, czterdziestki, jak nie mężate i dzieciacie, to sztywne i bez żadnego polotu. To nie klub, dym z fajek niby ten sam, ale nie niesie ze sobą żadnej obietnicy. No i alkoholu brak.

I wtedy weszła tamta kobieta, z którą w sobotę zamienił parę zdań w kinie. Sama. Zauważyła Andrzeja, uśmiechnęła się, ale nie podeszła. Zapaliła, odgarnęła z czoła postrzępioną grzywkę, a potem stała i nie spuszczała z niego wzroku. Poczuł się

nieswojo. Przejechał dłonią po dwudniowym zaroście i szramie od noża, ale to nie poprawiło mu samopoczucia. „Patrzy na mnie jak jakiś pieprzony juror z turnieju talentów” – pomyślał.

Wziął głęboki oddech i starał się odprężyć. Dostrzegł prześwitujący pod białą bluzką czarny stanik typu push-up. Znowu poczuł ciepło w podbrzuszu.

Teresa wwiercała się wzrokiem w faceta palącego papierosa przy drzwiach. Zagadali do siebie wtedy w Muranowie, po seansie Manifesto, ale dzisiaj znowu wyrosła między nimi niewidzialna ściana. Zerkał na nią niepewnie, bardziej na bluzkę niż na twarz, miał jakiś dziwny strach w oczach, rozbiegany wzrok. Jeszcze niedawno był nieosiągalnym biurowym arystokratą, palił swoje cienkie mentole jak książątko. Zatopiony w myślach, nigdy nie zaszczycał Teresy choćby spojrzeniem.

Ale to właśnie on pojawił się w jej głowie, gdy leżała w czwartek zakopana w pościeli i masturbowała się, wypróbując w wyobraźni lesbijski seks. W tamtej wizji był jednocześnie męski i chłopięcy, taki był jeszcze w kinie, gdy go zagadała, bezczelny i pewny siebie. Ten tutaj wydawał się wygnieciony, jak kloszard, jakby całą niedzielę zapijał nieznane porażki. To nie nastrajało do kontynuowania znajomości, ale z drugiej strony...

Zgasiła papierosa. Facet zerknął na nią i dogasił swojego. Ruszyła w stronę drzwi prowadzących do lobby. Stanęli obok siebie i przez chwilę badali się wzrokiem.

- Wrócił pan – powiedziała Teresa.
- No, wróciłem – burknął facet, jakby to było przykre.
- Coś się panu stało? – Wskazała na szramę na policzku.
- Takie tam, nic wielkiego.
- Aha.

Ruszyła do windy, a on pół kroku za nią. Spojrzała na lampkę nad windą. Trójka. Dwójka. Jedyńska. Parter. Drzwi się otworzyły, do lobby wyszła trójka roześmianych młodych ludzi. Teresa i facet weszli do pustej windy.

- Które? – spytała z wymuszonym uśmiechem.

Tamten przez chwilę dziwnie na nią patrzył. Uśmiechnął się wyblakłymi oczami, zadrgały mu kości na zarośniętych policzkach.

- Minus dwa? – odpowiedział pytaniem.

Teresa nie wiedziała, o co chodzi. Kątem oka zauważyła, że w ich stronę zmiierzają tamte cztery plotkary z palarni.

Wcisnęła minus dwa. Drzwi zamknęły się z cichym sykiem.

„Mógłbyś się chociaż przedstawić” – pomyślała z irytacją, kiedy facet gorączkowymi ruchami rozpinał jej białą bluzkę. Wcisnął się twarzą w jej szyję tuż pod uszami. Poczowała dreszcz przebiegający wzdłuż pleców aż do pośladków.

Stali schowani za buczącym wentylatorem, w pomieszczeniu pełnym rur, zaworów i liczników. Kiedy wyszli z windy na parking, facet złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. Wymijali samochody, szli szybkim krokiem, a ona poczuła się jak w szalonej komedii romantycznej. Wrażenie, że robią coś niestosownego, szybko i skutecznie przykryła myślą, że oto przydarza jej się w końcu jakaś przygoda. Facet znał chyba tajemnice parkingu, bo szybko znalazł drzwi z żółtym paskiem. Zamknięte. Potem rozejrzał się i przebiegli między samochodami do innych drzwi. Weszli do pomieszczenia oświetlonego jarzeniówką i wtedy się zaczęło.

Zamknęła oczy i słuchała własnego ciała – tych wszystkich dreszczy, które przenikały ją, kiedy facet przejeżdżał językiem pod jej obojczykiem i między piersiami. Jego palce grały na plecach Teresy jak na pianinie. Miał w sobie coś z iluzjonisty – dłoń tu, a potem nagle tam, bez ustanku. To było więcej niż przyjemne, to było coś, co Teresa mogłaby nazwać magią. Sutki miała twarde, między nogami poczuła onieśmielającą wilgoć.

Nagle facet zrobił coś, czego Teresa nie rozumiała. Chwycił ją za włosy i pociągnął w dół, aż musiała przykłęknąć. Otworzyła oczy i spojrzała tamtemu w twarz. Miał lepki uśmiech w tych swoich bladych podkrążonych oczach. Rozpiął rozporek i przycisnął tam jej głowę.

Zacisnęła zęby. „Skąd oni to, kurwa, biorą? Z tych pierdolonych pornosów?” Poczula, że to już nie jest komedia romantyczna, że cały urok chwili pęka pod naporem jej złości i nienawiści. Popatrzyła na penisa wiszącego tuż przed jej twarzą. Żadnej magii, tylko pornos w chłodnym pomieszczeniu technicznym, pod jarzeniówką, obok wentylatora.

Popchnęła faceta, aż zatoczył się i uderzył plecami o ścianę.

– Co ty, kurwa, odpierdalasz?! – krzyknął.

Nie miała ochoty odpowiadać. Patrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Był zaskoczony, ale zaraz zobaczyła na jego twarzy wściekłość. Podbiegł do niej i znów chwycił ją za włosy. Zabolało, ale zabolęło tak, że poczuła niesamowitą lekkość. I determinację. Jakby była na ringu, jakby wentylatornia była klatką, w której miała stoczyć pojedynek MMA z tym chamem w marynarce. Zagryzła zęby na jego nadgarstku i szarpnęła głowę. Zawył z bólu i puścił jej włosy. Nie czekała, zacisnęła pięść i walnęła tamtego w twarz. Rzuciło nim, skulił się i odskoczył na kilka kroków.

Teresa gorączkowo myślała, gdzie teraz uderzyć. Zrobiła krok, kiedy facet uniósł twarz z rosnącą pod okiem opuchlizną.

– Stop, wystarczy! – wysyczał i podniósł prawą dłoń. – Moja wina, przepraszam.

Zatrzymała się. Facet wciąż patrzył na nią wilkiem, chyba jej nie ufał i liczył się z tym, że Teresa zaraz znowu rzuci się na niego z zębami. Podeszła do niego powoli

i wyciągnęła rękę w stronę jego twarzy. Nie wyglądał groźnie. Właściwie zrobiło jej się go żal. Miał biedak swój schemat, ale pech chciał, że trafił na niewłaściwą kobietę.

Dotknęła policzka mężczyzny, pogładziła go łagodnie.

– Sorry – powiedziała cicho. – Nie tak to sobie wyobrażałam.

Patrzył na nią z nieufnością, jak zbity pies. Coś ją tknęło, teraz to ona chwyciła go za włosy i uniosła jego twarz. W palarni myślała przez chwilę, że mogłaby przytulić tego mężczyznę, ale teraz buzowały w niej jeszcze resztki wściekłości. W stalowych oczach dostrzegła prośbę o litość. Przyciągnęła go ku sobie, a on skrzywił się z bólu, chyba nie wiedział, o co jej chodzi. Docisnęła jego głowę do piersi pod czarnym stanikiem i poczuła, jak jego oddech się uspokaja, a zaciśnięte szczęki rozluźniają.

– Zaczniemy jeszcze raz? – spytał prawie bezdźwięcznie.

– Nie dziś – odpowiedziała. – Nie dziś.

Marcin przejrzał wszystkie portale z wiadomościami, przeczytał pocztę, zerknął na fejsa. Przez chwilę miał szatański pomysł, żeby pójść do nowego dyrektora jeszcze raz i zaoferować, że będzie się rozglądał po departamencie, czy aby na pewno wszyscy wierzą w dobrą zmianę czystą i nieskalaną wiarą. W zamian za urlop oczywiście, tydzień, może dwa.

Próbował zabić nudę Davidem Bowie puszczoneym na słuchawkach, ale David był dziś jakiś ekscentrycznie nierealny, odklejony od świata. A już na pewno nie pomagał skupić myśli przed spotkaniem z Majorem w muzeum. Tylko Heroes przynosiło pewną pociechę: on będzie królem, a ona królową. Pokonają niewidocznego wroga. Na jeden dzień zostaną bohaterami...

W końcu uznał, że piętnasta to dobra godzina, żeby się po cichu ewakuować.

– Nie za dobrze się dziś czuję – powiedział niepewnie do Patrycji. – I tak nic się nie dzieje.

Popatrzyła na niego z pobłażliwością i wzruszyła ramionami. Zabrał teczkę, założył płaszcz i wyszedł.

Andrzej usiadł przy biurku i poczuł, że jego rozedrgane myśli powoli się uspokajają. Przegiął tam w wentylatorni, do niczego nie doszło. Tygrysica z grzywką przez minutę trzymała jego głowę przy piersiach, a potem ubrała się i spojrzała na niego bez złości, chyba ze współczuciem. Poszli na jeszcze jednego papierosa do palarni. Stali tam kilka minut i zerkali na siebie z lekkimi półuśmieszkami. Rozeszli się do swoich spraw, nawet nie poznał jej imienia. W windzie dotknął wielkiego sińca pod okiem, tuż nad szramą od noża. To już drugie znamię, na szczęście w redakcji starali się kulturalnie odwracać wzrok na jego widok.

„Czas wracać do rzeczywistości. Drogi wujku Norberta, przyznaję, zjechałem. To była porażka, błazenada z koką w roli głównej. Ale to jeszcze nie koniec. Teraz przyszedł czas na artykuł. Przydałoby się tylko przegadać to z Bielawskim i ustalić wspólną wersję”.

Przez chwilę słuchał sygnałów w słuchawce. W końcu Marcin odrzucił połączenie, ale Andrzej nie chciał nagrywać się na pocztę. Wpisał szybko: „Musimy pogadać. Podjadę na Krakowskie za pół godziny, okej?”. Wysłał SMS-a i rozejrzał się po redakcji.

Znalazł wzrokiem swoją siostrę miłosierdzia w beżowym sweterku, ale na szczęście nie skończyło się to kolejną erekcją. Mignęła mu gdzieś daleko, na drugim

końcu pomieszczenia, stała i rozmawiała z koleżanką. Dwadzieścia parę kreatywnych głów przy monitorach tworzyło gazetę na jutrzejszy dzień. Szmery, telefony, stukanie w klawisze. Niegrzeczne słońce wpychało się przez wielkie okna i odbijało od ekranów, ludzie mrużyli oczy, przesuwali monitory. Andrzej pomyślał, że powinni robić tę gazetę w nocy. Noc jest cicha i sprzyja drapieżnikom, ich mózgi lepiej pracują odizolowane od światła. Gdyby miał założyć własną gazetę, ludzie przychodziliby do pracy na dwudziestą pierwszą.

Otworzył Worda i zaczął powoli zapełniać stronę tekstem artykułu na stronę szóstą. Przypomniał sobie dane z podrobionego dowodu znalezione przy zwłokach w porsche. „Robert T. († 32 l.), diler znany w półświatku jako Doktor Rob, zginął w nocy z soboty na niedzielę w koszmarnym wypadku na S8 pod Wyszkowem. Okazał się mordercą Igora Z. († 17 l.), obiecującego muzyka”. Tu koniecznie tamta potworna infografika z osmalonymi kikutami przywiązanymi łańcuchami do sosny. Andrzej znalazł ją w archiwum, takich rzeczy się nie kasuje.

„A wiecie, drodzy czytelnicy, o co poszło? O medalion”. Andrzej popłynął, pistolety i róże nabrały cech magicznych. Kto miał amulet, ten czuł się silny. Potężny. Niezwyciężony. Każdy chciał go mieć. Igor myślał, że dzięki niemu wygra konkurs talentów, ale Doktor Rob chciał go dla... Andrzej zaczął pisać, że dla wujka mafiosa, ale szybko to skasował. „No więc nasz diler chciał mieć medalion dla siebie. Raz założył to cudo i poczuł wokół siebie respekt. Dzięki niemu jego narkotykowe macki oplotły całe miasto”.

„Tak naprawdę medalion należał do słynnej prostytutki. Nie udało nam się z nią skontaktować, więc nie mamy jej komentarza. Podobno zniknęła, a tylko ona zna wszystkie szczegóły. Ktoś zna piękną Alicję? Ma prześliczne oczy, jedno szmaragdowe, a drugie niebieskie jak chabry. Może mieć teraz 25–26 lat. Całą historię interesuje się już znany reżyser filmowy”.

Andrzej przejrzał artykuł jeszcze raz na chłodno. Cholernie z dupy. Czy przegiął? Tak, i to bardzo. Przypomniał sobie piątkową rozmowę z matką Igora. Obiecał pani Zalipiakowej, że nie będzie więcej artykułów o jej synu, nie życzyła sobie tego. A teraz bezczelnie łamał tę obietnicę, i jeszcze na dodatek znowu to zdjęcie, te kikuty...

Mógłby powiedzieć sobie: „walić to”, ale było mu głupio. Wymyślił więc na szybko usprawiedliwienie: „To ma sens, bo są jeszcze Alicja i tamten Artur, ich też spotkało nieszczęście, za które nikt nie odpowiedział”.

Zrobiło mu się lżej na sercu, poczuł, że stoi po dobrej stronie. Brakowało tylko czegoś ekstra, jakiejś kropki nad i. Powinien dać zdjęcie medalionu – odnalezionego po ośmiu latach, odzyskanego od Doktora Roba tuż przed feralnym wypadkiem.

Pożałował, że przez tyle lat nie zrobił zdjęcia temu wisiorowi. Teraz miał go Bielawski, dzisiaj jakoś nieosiągalny. Właśnie odpisał: „Nie ma mnie w pracy”. I tyle. „Dał radę cztery dni i pewnie teraz odsypia w domu” – pomyślał Andrzej zgryźliwie.

Znalazł w telefonie SMS-a z zamiarami na Bielawskiego i wybrał numer do ministerstwa.

– Dzień dobry, z tej strony Pomada z finansów. – Lekko zmienił głos. – Mogę mówić z panem Bielawskim? Jest pewna niezgodność na ostatnim przelewie z pensją.

Sympatyczna dziewczyna po drugiej stronie linii łyknęła ściemę jak młody pelikan. Ale Bielawskiego naprawdę nie było w ministerstwie.

– Wie pani co? – Andrzej odchylił się na fotelu. – Ja to muszę jeszcze dzisiaj z nim załatwić. Mogłaby mi pani podać jego adres domowy?

Marta od rana pluła sobie w brodę, że zasnęła na Zodiaku. Zapamiętała moment, kiedy zapadła w półsen i słyszała jeszcze jak przez mgłę głosy – lektora i rozmawiającego cicho w kuchni Marcina. Rysownik komiksów zaczynał powoli wpadać w obsesję na punkcie Zodiaka, co kładło się cieniem na jego relacjach z żoną. Jeszcze nie chciała go zostawić, ale już miała to w oczach.

Zdjęła z regału stary aparat, który Marcin zgarnął na weekend. Zgrała zdjęcia z karty do komputera i odpaliła Photoshopa.

Marcin bawił się w detektywa i napstrykał mnóstwo ciemnych, rozmazanych zdjęć. W dodatku wszystko w technice HDR, więc plików było trzy razy więcej niż normalnie. Część z nich zrobił przez szybę samochodu. Jakiś facet wyszedł z tego auta i odwrócony plecami szedł w stronę domu. Stał przy drzwiach i gadał z blondynką w dresie. Potem ten facet wracał do samochodu i wtedy jego twarz wypełniła pół kadru. Brama na końcu alei drzew i dwie niewyraźne sylwetki. Pызaty gość trzyma książkę i pokazuje ją z uśmiechem do aparatu. To pewnie wtedy znaleźli Władcę Pierścieni na śmietniku. A wcześniej seria ujęć samochodu w garażu. To był ford focus tego aktora Jana Adlera, mogli go okazyjnie kupić. Bez rewelacji, ale i tak nie mieli pieniędzy na porządne auto.

Wybrała jedno zdjęcie. Takie ze środka, na silniku i tak się nie znała. Chciała zobaczyć wnętrze auta i wyobrazić sobie w tym focusie Marcina, siebie i Jurka. Wrzuciła plik do Photoshopa. Za dużo szumu, za mało kolorów. Pobawiła się chwilę suwakami, bez większego rezultatu. Wgrała pozostałe dwa ujęcia zrobione w tym samym czasie i wywołała to wszystko w HDR. Było lepiej, a gdy podkręciła jeszcze jasność i kolory, oczom Marty ukazały się dwa miękkie beżowe fotele i śmieszna okrągła naklejka na schowku po stronie pasażera.

Usłyszała dzwonek do drzwi. Wstała powoli, podeszła i wyjrzała przez wizjer. Na klatce schodowej stał jakiś mężczyzna, nieco podobny do tego ze zdjęcia zrobionego przez szybę samochodu. Więc to pewnie był Rulewski, ten dziennikarz. Marta spięła się, założyła łańcuch i uchyliła drzwi. Dzięki wolnym krokiem weszła na próg pokoju i obserwowała spod popielatych rzęs.

– Jest Marcin? – spytał Rulewski bez żadnych wstępów.

– Marcin jest w pracy – odpowiedziała chłodno Marta.

– Serio? A mnie napisał, że go nie ma.

Marta uniosła brwi.

– Będzie wieczorem. Czego pan od niego chce?

– Dałem mu coś na przechowanie.

– Co?

Dziennikarz spuścił wzrok i zacisnął zęby.

– Medalion.

– Jaki znowu medalion? – Marta się skrzywiła.

– Pistolety i róże. Piszę artykuł i potrzebuję zdjęcie.

Przez chwilę patrzyła na Andrzeja, próbując wyczytać z jego twarzy, czy nie żartuje. Ale nie żartował.

– Nie mówił mi, że ma coś takiego – powiedziała. – Nie pokazywał mi go. Po co mu pan to dał?

– Nieważne.

– Ważne – burknęła.

– Po prostu zadzwoń do niego, dobra?

– Nie dobra, póki się nie dowiem.

– To chociaż mnie wpuść.

Miała swoje powody, ale jednak trzymanie faceta na klatce było niemiłe. Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi. Rulewski trochę się ociągał, ale w końcu wszedł na dwa kroki do mieszkania. Dzięki usiadła tuż przed nim.

– Gryzie? – spytał.

– To zależy od intencji człowieka, na którego patrzy. – Marta skrzywiła się w brzydkim uśmiechu, a facet lekko się zmieszał.

Stała przy Dżeki i przyglądała mu się, próbując odgadnąć, kim tak naprawdę jest. Wczoraj przez telefon brzmiał jak nawalony kretyn. Nie oddzwonił. Wymizerowana twarz, dwudniowy zarost nie dodawał jej uroku. Pod okiem świeża opuchlizna i brzydka szrama, wyglądał, jakby przechodził jakieś załamanie nerwowe. Przypominał Marcie dziennikarza z Zodiaka, tego granego przez Roberta Downeya

Juniora. „Chyba obaj z Marcinem ukręcili na siebie niezły bat” – przeszło jej przez myśl.

Rulewski wciąż patrzył na Dżeki z obawą.

– Sorry, że zawracam ci głowę – powiedział cicho. – Muszę zdążyć przed zamknięciem numeru. Rozwalili mi w sobotę auto, więc popylam taksówkami.

– Okej.

– To jak? Zadzwonisz do niego?

– Jeszcze nie wiem. Nie mam pewności, czy mogę panu ufać. Po wczorajszym.

– To znaczy? Że nie oddzwoniłem? Zrobiłem z siebie debila przed takim jednym gościem. Niczego się nie dowiedziałem, więc nawaliłem się i zapomniałem.

Pokiwała głową i poklepała Dżeki. Suka wstała, olała Rulewskiego i wyszła do pokoju. Marta podeszła do stołu i podniosła telefon. Już miała wybrać numer Marcina, ale coś ją powstrzymało.

– Skoro on mi nie powiedział o tym... czymś, to...

– Może też zapomniał – powiedział szybko Rulewski.

– Może. P·O·B·R·A·N·O·Z·E·X·S·I·T·E·S·P·L

– Ten przedmiot ma swoją historię. Nieciekawą. Dałem mu go, bo bałem się, że może mi się coś stać. No i takie różne inne strachy.

– Należał do tej dziewczyny, Alicji, prawda?

Nie odpowiedział, ale wyczytała z jego twarzy, że dobrze trafiła. Wyglądał, jakby opuściła go cała pewność siebie i nie miał już żadnych argumentów. Stał i czekał na jej decyzję.

– Ostatnie pytanie. – Uniosła ostrzegawczo palec. – Chce pan znaleźć Alicję, dowiedzieć się prawdy o niej i o Arturze? Czy chodzi tylko o to, żeby zrobić z tego szopkę?

Andrzej się zmieszał.

– Wiesz, gdzie pracuję, dziewczyno – mruknął. – Tam niczego się nie da zrobić bez szopki. To nie „Duży Format”.

– Ale jeśli się odezwie...

– Odezwie? – zdziwił się. – Ona może w ogóle nie żyć.

– No ale jeśli żyje i się odezwie – ciągnęła Marta niezrażona. – Czy może pan obiecać, że potraktuje ją pan poważnie? Że nie będzie się pan bawił jej kosztem?

– Obiecuję – odparł na tyle szczerze, że poczuła ulgę. Facet nie był taki straszny, jak go sobie wyobrażała.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się. – W takim razie weźmy się za poszukiwania. I załóżmy, że nie nosi tego w teczce ani na szyi.

Pięć minut później otworzyła jedno z kartonowych pudeł na regale. Wyjęła spod szpargałów Marcina medalion i przez chwilę patrzyła na niego jak urzeczona. To było coś pięknego, jednocześnie pociągającego i mrocznego. Była w tym przedmiocie jakaś nieuchwytna tajemnica.

– To jest to? – spytała.

– Tak – odpowiedział Rulewski cicho. – Nie chcę tego zabierać. Zrobisz zdjęcie?

Marta poczuła mrowienie na plecach.

– A ile płacicie za fotę? – Przekrzywiła głowę.

– Jak dla ciebie, może być nawet podwójna stawka – mruknął Rulewski.

Marcin siedział na murku pod szklanym biurowcem niedaleko muzeum powstania. Za towarzyszy miał trzy cherlawe drzewka wyrastające z betonu, z biurowca wylewał się tłum ludzi w jesiennych płaszczach, z aktówkami i neseserami. Czterdzieści metrów dalej stał budynek muzeum z czerwonej cegły. Dawno temu mieściła się tu elektrownia warszawskich tramwajów, Marcin widział kiedyś poźółkłą pocztówkę – neoromańska bryła ze strzelającym ku niebu kominem pośrodku pustki, wzdłuż drewnianego płotu ktoś szedł samotnie, wyglądał jak gimnazjalista z Syzyfowych prac. Komina od dawna nie było, nad muzeum górowała wieża ze znakiem Polski Walczącej i łopoczącą na wietrze flagą. Przypominała wieżę kontroli lotów przy jakimś wojskowym lotnisku.

Rozglądał się za Weroniką, ale dziewczyny nigdzie nie było. Przyszło mu do głowy, żeby zmienić miejscówkę na trochę bardziej widoczną. Wstał z murka, w tym samym momencie zadzwonił jego telefon. Spojrzał na ekran i zmiął pod nosem przekleństwo. Znowu zapomniał – sesja o siedemnastej, ta przełożona z poprzedniego tygodnia. Fuck, fuck, fuck...

Gapił się na dzwoniący telefon i próbował wyobrazić sobie, co też facet mógłby mu powiedzieć, oprócz delikatnego ochrzanu. Że lekceważy te spotkania? Że jeszcze jeden taki numer i może sobie szukać innego terapeuty? Czy może strzeliłby jakieś kazanie o prokrastynacji i opóźnianiu ważnych decyzji? I tak wiedział, że musi zadzwonić do taty i z nim porozmawiać, bo inaczej nigdy nie pozbędzie się swoich egzystencjalnych problemów: jak to jest być ojcem i jak otworzyć się przed Martą.

– Siema – usłyszał obok siebie głos Weroniki.

Ubrana była w czarną parkę z kołnierzem, na nosie miała okulary w ciemnych oprawkach. Wyglądała jak licealistka.

– Idziemy? – spytała.

Otrząsnął się z tamtego uczucia sprzed paru chwil. Odrzucił połączenie i melodyjka zamilkła.

– Mamy jeszcze czas.

Opowiedziała mu o tym, jak jego prośba o czujność wobec ojca zaowocowała znalezieniem scenariusza Artura za szafą. Nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć. Przyzwyczał się już do myśli, że ojciec Artura ma coś grubego do ukrycia. Podśluchana rozmowa z Majorem. Składzik nabierał jakiejś tajemniczej symboliki. Weronika z werwą opowiadała, jak ścigała się z ojcem na rowerze i jak napadł ją Gizmo, pieprzony pekińczyk. „Pamiętam tego psa – uśmiechnął się Marcin. – Czyste zło”.

Potem akcja pod kościołem. Melodia z białej wieży rozbrzmiewała zawsze w najmniej oczekiwanym momencie, przenikała wszystko, wspomnienia, przeszłość i teraźniejszość. Facet na wózku zrywa jakąś umowę i oznajmia, że nie będzie więcej płacił.

– Ojciec ma go w telefonie jako Majora – powiedziała Weronika. – Nie wiem, czy to coś znaczy. Mówił też o jakiejś Stokrotce, to chyba była nazwa miejsca. Coś się wydarzyło w Stokrotce. No i jeszcze potem ojciec rozmawiał w ogrodzie z jakąś kobietą. Pojebane.

Marcin przysiadł na murku. Na trzech cherlawych drzewkach furkotały równie cherlawe listki. Do kogo dzwonił ojciec Artura? To było niemal oczywiste.

– Rozmawiał z dziewczyną Artura – powiedział cicho. – Z Alicją.

– Artur miał dziewczynę? – zdziwiła się Weronika. – To dla mnie nowość.

– Długa historia. Pogadamy o tym potem.

– A ta Stokrotka?

Marcin przymknął oczy. Nie musiał długo czekać na wspomnienie. Namiot, osiem lat temu. Zbliża się wieczór, ale jest lipiec, więc słońce stoi w połowie drogi nad jeziorem. Lekki wiatr gna po błękitnym niebie białe obłoczki, jest jak w piosence z lat sześćdziesiątych, jak u Czerwonych Gitar. Marcin siedzi w namiocie i zapisuje w notatniku kolejną scenę z Kornelem i Anitą. Artur śmieje się z niego, żeby wyszedł na powietrze. Sam musi teraz wyjść i trochę go nie będzie. Wkłada czapkę z daszkiem i obraca ją zawadiacko. „No to do zobaczyska, stary” – mówi z szelmowskim uśmiechem. Zakłada na plecy podniszczony szary plecak, trzyma w nim ten pieprzony pistolet, od którego Marcina przechodzą ciarki. „Będzie pływał z pistoletem w plecaku?” – dziwi się Marcin, ale o nic nie pyta.

Gdzieś tam niedaleko musiała być jakaś Stokrotka. Tam Artur trafił na swoje przeznaczenie.

– Mazury – odpowiedział. – To pewnie jakieś miejsce na Mazurach.

– Pojedziemy tam? Czy będziemy przyciskać mojego starego?

Drgnął i otworzył oczy. Uśmiechnięty Artur zniknął spod jego powiek. Jego młodsza siostra stała obok, z przekrzywioną głową, pełna determinacji. Wyglądała

jak komandos czekający na rozkaz do wykonania. Tyle że Marcin nie miał w głowie żadnego planu.

– Chciałbym pogadać z tą Alicją – zaczął niepewnie. – Ale nie chcę płoszyć twojego ojca. Mogłabyś spisać numer z jego telefonu?

– Próbowałam. Albo skasował, albo dzwonił z innego.

– Dasz radę go znaleźć?

– Spróbuję.

Wstał z murka. Zbliżała się godzina spotkania z Majorem.

– Pamiętaj. – Wyciągnął palec w stronę dziewczyny. – Trzymasz się z daleka, jak najrzadziej zerkasz w naszą stronę. Gdyby coś się działo, nie robisz rwetesu, tylko znajdujesz ochroniarza. Jeśli ten facet cię rozpozna, będziemy mieli kłopoty. Chyba tego nie chcemy, prawda?

Zgodziła się. Ruszyli spod biurowca i przebiegli przez wąską ulicę między dwoma samochodami. Przeszli kilkanaście metrów w stronę muzeum, kiedy Weronika chwyciła Marcina za ramię.

– Przemyślałeś już sobie wszystko? – spytała ostro.

– To znaczy?

– To znaczy, czy przemyślałeś, jak się zachować. – Zmrużyła oczy. – To my mamy wydymać jego, a nie on nas.

Uśmiechnął się blado. Ależ ona teraz przypominała Artura...

– Będzie dobrze – powiedział i ruszyli w stronę wejścia.

Andrzej wracał taksówką do redakcji, stał w korku w alei Jana Pawła II. Zerknął na zegarek, była prawie szesnasta trzydzieści, do zamknięcia numeru zostało jeszcze trochę czasu. Obiecali na niego poczekać. Był zmęczony, ale zadowolony.

Marta zrobiła profesjonalne zdjęcie medalionu – ostre jak brzytwa zbliżenie. „Pełna profeska” – myślał Andrzej, gdy patrzył, jak dziewczyna śmiga myszką w Photoshopie. Położyli medalion na miękkim granatowym materiale, wyglądał jak jakiś pieprzony carski order za zasługi na Dzikim Wschodzie. Światło z okna, dopełnione lampą błyskową. Na monitorze widać było każdą, nawet najmniejszą bruzdę na metalu. Poczuł się dziwnie, kiedy Marta doszła do pistoletów stopionych na lufach. Miał wrażenie, że dzięki temu wywołującemu ciarki powiększeniu znajdują zaraz jakiś niedoszorowany kawałek spalonej skóry Igora.

Ale Andrzej miał coś jeszcze. Marta sprzedała mu świetny pomysł. „Wiem, jak to podpisać” – powiedziała i zmrużyła oczy.

Ciekawe, co Garberek powie na taki podpis. Wyśmieje go. „Pieprzyć to, ważne, żeby Alicja się odezwała. Niech i tak będzie. Dla tej sprawy podpiszę się nawet imieniem krasnala z powieści”.

– Możesz zrobić do mojego mejla coś takiego?

Rozleniwiony informatyk w szarej bluzie z kapturem patrzył na Andrzeja bez cienia sympatii. To on zawsze zbierał ciągi od Garbarka, gdy coś szwankowało z komputerami. Zbierał się już do domu, kiedy Andrzej wpadł do serwerowni z tą swoją dziwną prośbą.

– Chodzi panu o alias? – spytał chłopak.

– Nie wiem, jak to się nazywa. – Andrzej starał się być miły i cierpliwy. – Ta sama skrzynka, to samo hasło, tylko inny początek.

– To znaczy identyfikator użytkownika?

„Ja pierdolę” – Andrzej poczuł, że uchodzi z niego powietrze.

– Ja mam początek andrzej kropka rulewski. A chcę mieć drugi adres.

– Drugi adres czy alias?

– Chcę mieć inny początek, ale żeby wpadało do mojej skrzynki. – Podniósł nieco głos, ale na chłopaku chyba nie zrobiło to wrażenia, bo wciąż gapił się na Rulewskiego jak na niedorozwój.

– Czyli alias.

– Nie wiem, co to alias. Zrób nowy adres. Frodo, okej?

– Co Frodo?

„Kurwa” – Andrzej przygryzł wargi.

– Frodo mała twoja gazeta kropka pe el – wycedził. – Dasz radę czy ci zapisać?

Chłopak w szarej bluzie pokręcił głową. Andrzej nie wiedział, czy nie da rady, czy nie zapisać. Tamten usiadł przy monitorze i wklepywał coś przez minutę.

– Wysłałem panu mejla testowego – powiedział w końcu. – Jeśli nie dojdzie, to proszę przyjść do mnie jutro, jestem od jedenastej.

Wstał i wziął z podłogi plecak przypominający tornister.

– Zaraz, zaraz, poczekaj. – Andrzej zagroził mu drogę. – Jutro o jedenastej to może być trochę za późno. Nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę.

– Ale... – Chłopak zaczął przepychać się do wyjścia.

„Spierdoli mi, jak pójdę do swojego komputera” – pomyślał Andrzej.

– Chodź za mną.

Przeszli przez redakcję. Andrzej starał się przybrać zblazowany uśmiech. „Wszystko gra, panie i panowie, proszę wrócić do swoich ekranów”. Za to chłopak snuł się za nim z tym swoim tornistrem jak jeniec złapany w obławie.

Andrzej wszedł na swoją pocztę. Nie ma, nic nie doszło.

– No i co z tym adresem?

– To tak nie działa. – Informatyk westchnął ciężko i podał mu kartkę. – Chciał pan nowy adres, trzeba wejść na skrzynkę, skonfigurować i wpisać hasło.

Andrzej jeszcze raz odpalił pocztę i wstukał dane. Po chwili zobaczył mejla testowego.

– Dzięki. Dobra robota.

Chłopak tylko pokiwał głową z zaciśniętymi zębami i powoli odszedł w stronę windy. Andrzej zgrał z pendrive'a zdjęcie medalionu i przesłał je grafikowi. Potem otworzył Worda. Przez kilka godzin tekst stracił trochę na świeżości, ale Andrzej nie miał już czasu, żeby cokolwiek poprawiać. Dopisał na końcu:

„Wiesz coś na ten temat, Sam? Napisz: frodo@twojagazeta.pl”.

Skrzywił się, strasznie głupio to wyglądało. „Dobra, dość” – pomyślał. Raz się żyje. Zapisał plik i przesłał do korekty.

Wielka sala z repliką amerykańskiego bombowca podziałała na Marcina onieśmielająco. Był w Muzeum Powstania Warszawskiego ze dwa czy trzy razy, ale za każdym razem czuł się dziwnie, kiedy wchodził między metalowe filary pod przeszkłonymi antresolami i patrzył na olbrzymie portrety powstańców. Najbardziej lubił zdjęcie żołnierza z fajką, ale największą magię miały dla niego portrety kobiet. Z ich oczu biły niesamowita wola życia, radość ponad strachem, młodość zwyciężająca śmierć. Niektóre pewnie zginęły w walce, ale zostały unieśmiertelnione przez fotografa w ostatniej chwili, pełne nadziei i braterskich uczuć.

Umówił się z Weroniką, że dziewczyna wejdzie kilka minut po nim. Rozejrzał się po sali. Ludzie patrzyli w skupieniu na portrety, a potem znikali w którymś z korytarzy tematycznych. Jeden z punktowych halogenów padał na skrytego pod kabiną liberatora mężczyznę na wózku inwalidzkim. Cień jego głowy przysłonił uśmiechnięte oczy żołnierki ze zdjęcia. Było w tym coś niepokojącego. „Zły znak” – pomyślał Marcin. Nogi miał jak z waty. Zebrał się w sobie i zmusił do ruszenia w kierunku inwalidy.

– Szybko mnie pan rozpoznał – powiedział mężczyzna, kiedy Marcin stanął za jego plecami. – Zdaje się, że w naszej rozmowie zapomniałem się opisać.

Marcin zadrżał. Wciąż widział tylko tył głowy tamtego i fragment profilu – ciemne włosy przyprószone siwizną i okulary w złotych oprawkach.

– Miałem takie wrażenie, że to pan. – Starał się wyluzować za wszelką cenę. – Pod liberatorem, tajemnica, spowiedź... Tylko pan mi pasował.

– Spowiedź? – Tamten zaśmiał się cicho. – Dobrze, obiecałem panu prawdę, możemy to więc nazwać spowiedzią. Ma pan doświadczenie w rozgrzeszaniu?

– Niewielkie. Głównie samego siebie.

– To rzeczywiście niewielkie. Ma pan ukryty dyktafon?

– Nie.

Mężczyzna obrócił wózek i dopiero teraz Marcin zobaczył jego twarz. Zapadnięte zaczerwienione policzki jak u cukrzyka. Szare oczy pod okularami były zmęczone, niewyspane, ale bił z nich też dziwny chorobliwy blask. Facet patrzył na Marcina bez uprzejmości, jakby oceniał jego przydatność. „Przewodniczący jury, przesłuchanie do następnego etapu – pomyślał Marcin. – Jestem dla niego tylko przybłądą”.

Facet chyba zakończył wstępną lustrację, bo przymknął oczy i wskazał palcem na portrety powstańców.

– Tyle nadziei, tyle młodości – zawiesił głos. – Zna pan tę piosenkę?
– Słyszałem w telewizji.
– Zmarnowany potencjał, tak o tym czasem myślę. Jak zdobyć twierdzę, mając do dyspozycji tylko śrutówkę?
– Wszyscy ich zostawili.
– Nie mieli szans od początku. – Mężczyzna spojrzał ostro. – Wystawili się na strzał. Nie pomógł nawet ten liberator. – Wskazał na wysoką przeszkloną kabinę strzelca pokładowego. – Spadł gdzieś pod Bochnią, nie dotarł do celu. Gdy byłem mały, wyobrażałem sobie, że jestem pilotem takiego bombowca, przelatuję obok tych wszystkich pocisków artylerii przeciwlotniczej, daję radę. I że robię zrzut. Taki zrzut, który naprawdę się liczy.

Marcin odchrząknął. Facet pchnął wózek, wyjechał pod olbrzymie fotografie i obejrzał się przez ramię.

– A jak tam pański scenariusz? Zrobił pan parę ruchów. Wiem o tym, mówiłem już panu z jakiego źródła. Dalej pan pracuje z tym moim szpiclem?

„Gość gra według własnych reguł” – pomyślał Marcin i przełknął ślinę. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógłby skierować rozmowę w dobrym dla siebie kierunku.

– Ostatni raz widziałem się z Rulewskim w sobotę – powiedział. – Potem wyciągnął jeszcze ode mnie imię Alicji.

– I chciał brzydko zagrać tą kartą. – Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. – Ta dziewczyna, gdziekolwiek jest, jeśli jest... Ona nie zasługuje na to, żeby robić na jej plecach karierę.

– A na co zasługuje?

– Na to, by zostawić ją w świętym spokoju.

Zatrzymali się pod fotografią kobiety patrzącej w obiektyw tak, jakby wiedziała, że każdy dzień może być tym ostatnim.

– Kim pan jest? – spytał Marcin. – Kim pan był dla Alicji? Wiem, kim ona była. Ale nie wiem, kim był pan.

Major przez dłuższą chwilę zerkał na fotografię. Marcin zauważył, że ciało faceta wiotczeje, a na starzejącej się twarzy pojawia się nikły ślad melancholii.

– Kiedy prowadziłem moje interesy – zaczął Major – z początku nie wiedziałem o tym, że ktoś taki w ogóle istnieje. Było wiele domów i wiele dziewczyn, nie zajmowałem się wszystkim osobiście. To był dla mnie tylko biznes. Pieniądze. Różni ludzie mają różne potrzeby, a ja na te potrzeby odpowiadałem. Ten interes kręci się od zawsze i trwać będzie po wieki wieków. Podobał mi się.

Marcin patrzył na twarz Majora. Facet z każdą sekundą odpływał coraz dalej w stronę wspomnień.

– W jednym z moich domów była sobie dziewczyna. Przyjechała do krewnej. Z początku nikt nic od niej nie chciał, nie nadawała się. Ale miałem przyjaciół, bliskich przyjaciół. Oni dojrzelili w niej coś, co nie dawało im spokoju. Chyba te oczy, a może coś innego? Nie rozmawialiśmy na ten temat. Po prostu poprosili mnie, żebym aranżował im co miesiąc spotkania z tą dziewczyną. Płacili za to jak każdy inny. Bardzo zależało im na dyskrecji. Zapewniłem im święty spokój, a oni byli mi dozgonnie wdzięczni. Przysługa za przysługę, wie pan, jak to jest.

– Niestety nie wiem – mruknął Marcin.

– Czyżby? – Major błysnął białkami spod okularów. – W każdym razie w ogóle nie myślałem o tej dziewczynie, nie pamiętam, żebym widział ją choć raz przez te lata, kiedy się spotykali...

– Ci przyjaciele... – przerwał Marcin. – Kim oni byli?

Facet spojrzał na Marcina przeciągle.

– Takich pytań się nie zadaje, panie scenarzysto – powiedział. – Czego pan chce? Nazwisk? Ksyw? Adresów? Wolne żarty.

Marcin zacisnął zęby.

– Dla moich przyjaciół te wizyty miały chyba jakieś specjalne znaczenie. – Major przymknął oczy. – W jakimś sensie byli chyba zakochani. Wie pan, ludzie czasami dziwnie lokują uczucia. Nie chce mi się nawet zgadywać, dlaczego wybrali sobie tę dziwną Alicję. I wszystko pewnie trwałoby do dzisiaj, gdyby nie Artur. Co pan wie o Alicji i Arturze?

– Niewiele. – Marcin potarł skronie. – Poznali się w pańskim burdelu, kiedy Artur chciał kupić pistolet. Poszedł na górę, ale do niczego nie doszło. Potem się spotykali i czytali książki.

– Książki? – Major zaśmiał się cicho. – Czytali książki?

– Co w tym dziwnego? Ludzie spotykają się nie tylko po to, żeby się pieprzyć. Nawet jeśli pan uważa inaczej.

– Skąd pan wie, co ja uważam? Może i czytali. – Major uśmiechnął się pod nosem.

– W każdym razie ciągnęło ich do siebie. Powiedziano mi, że Alicja coraz częściej znika i że się buntuje. To nie było dobre.

– Dla tych przyjaciół? – Marcin spojrzał wilkiem. – Była... jak to się mówi? Kapitałem? Własnością? Towarem?

– Jest takie słowo w angielskim. – Major zmrużył zaczerwienione oczy. – Asset. Alicja to był dobry asset. Przez swoją niedoskonałość.

– Kim trzeba być, żeby mówić o człowieku asset?

– Jako scenarzysta musi pan chyba zdawać sobie sprawę, że różni ludzie mają różne priorytety. – Major zakręcił wózkami i ruszył w poprzek hali. – Mam mówić

dalej?

– Tak.

Marcin skorzystał z okazji, że Major na niego nie patrzy, rozejrzał się i poszukał wzrokiem Weroniki. Była niedaleko, usiadła na małym krześle z książką. Podniosła wzrok i ich oczy na chwilę się spotkały. Marcin uspokajająco kiwnął głową i podszedł do wózka z Majorem.

– Więc co było dalej? – spytał.

– Dalej, proszę pana, zrobiło się ciekawie. – Major się zatrzymał. – Moi przyjaciele poprosili mnie o interwencję. Nie chcieli tracić Alicji.

– Zaczął pan grozić Arturowi?

– Grozić to za dużo powiedziane. To były... rozmowy. Jedna? Może dwie? Ja nie rozmawiałem, wysłałem do tego zadania jednego z moich ludzi. Przykazałem, żeby chłopakowi nie stała się krzywda. Miałem już wcześniej przykre doświadczenia z... nadgorliwcami. Wybrałem do tej roboty spokojnego, wyważonego człowieka.

Marcin spojrział ukradkiem na Weronikę. Nachylił się bliżej Majora.

– Czy to Dariusz Sosnowski poprosił pana o interwencję? – spytał cicho. – Był jednym z tych przyjaciół?

– Nie dam panu prostych odpowiedzi. Jest pan dorosły i umie pan myśleć.

– Więc to mógł być on?

– Jak każdy z nas miał dwie twarze. Świetnie zagrał rolę zrozpaczonego ojca. Jego syn i prostytutka, Artura matce przecież pękłoby serce. Sam nie miał pomysłu, jak wybić chłopakowi tę dziewczynę z głowy. Więc tak, mogę powiedzieć, że w pewnym momencie poprosił mnie o interwencję. Napuścił mnie na własnego syna.

Marcina ścisnęło w gardle. Pasowało mu to do atmosfery tamtego cichego i sztywnego domu, który odwiedził przed tygodniem. Sterylnie czysta kuchnia na parterze. Matka nie wpuszcza obcych na piętro. Ucieczki Artura do składziku i na boisko, do Bolka i reszty ziomków. Odruchowo zerknął w stronę Weroniki, ale szybko się zreflektował.

– Ma pan może wodę? – spytał Major.

– Niestety nie.

– To może przeniesiemy się do kawiarni na piętro. Wyjątkowo urokliwe miejsce. Pomoże pan?

Marcin popchnął wózek w stronę windy. Kątem oka zauważył, że Weronika nerwowo wstaje z krzeselka i patrzy w jego kierunku z niemym pytaniem. Odwrócił wzrok.

– Nie doceniłem tego chłopaka, jego determinacji.

Przystanęli z dala od urządzonych na przedwojenną modłę kawiarni z zabytkową kasą i równie zabytkowym pianinem. Przy okrągłych stolikach turyści jedli pączki od Bliklego i popijali kawę zbożową z porcelanowych filiżanek. Tu pod ścianą Marcin i Major byli z dala od wścibskich uszu, wózek Majora i tak nie zmieściłby się w wąski prześwit między stolikami.

– Wie pan, wtedy żyłem w innym świecie. – Major upił łyk niegazowanej wody ze szklanej butelki. – W tamtym świecie obowiązywały proste zasady. Słaby jest nieważny. Najważniejszy jest respekt. A skąd się bierze respekt?

– Nie wiem. – Marcin wzruszył ramionami. – Z siły?

– To tylko połowa prawdy, panie Marcinie. – Major się uśmiechnął. – Ta w sumie mniej ważna, chociaż wszyscy tak to sobie wyobrażają. Szacunek do mnie brał się z tego, że nauczyłem się prowadzić swego rodzaju grę. Nie wiem, czy pan rozumie.

– Nie do końca.

– To czasami przypominało teatr. Teatr jednego aktora. Mój teatr. – Facet popatrzył na dłonie. – Wiedziałem, kiedy i jaką rolę odegrać, żeby efekt był piorunujący. Miałem w zanadrzu kilka twarzy na różne okazje. I grałem tymi twarzami, bardzo zręcznie, muszę przyznać.

– Co to ma wspólnego z naszą rozmową?

– Już panu mówię. – Major znów napił się wody i zakręcił butelkę. – Wyjechaliśmy na początku lipca z całą ekipą do naszej letniej siedziby. Wybraliśmy najlepsze dziewczyny, żeby pojechały z nami. To miały być takie nieustające wakacje. Nieustająca impreza nad jeziorem, ale w połączeniu z interesami, o nich się nigdy nie zapomina. Wzięliśmy też Alicję, bo mieli odwiedzić nas moi przyjaciele. Nie wiedziałem tylko, że w ślad za Alicją podąży Artur Sosnowski. Musiała podsłuchać, dokąd jedziemy, i mu powiedzieć.

– Tak to wyglądało. – Marcin kiwnął głową. – Zadzwoił do mnie, że jest na Mazurach. I żebym do niego dojechał. Wybrał na wakacje jakąś zapadłą dziurę. Nic tam nie było. Parę chałup i drzewa.

– No ale była Alicja. Wyznam panu, że przed tym spotkaniem korciło mnie, żeby wymyślić dla pana jakąś niestworzoną historię. Okłamać pana. Stokrotka, mówi to panu coś?

Marcin wpatrywał się przez chwilę w szare oczy tego mężczyzny. Wiele musiały widzieć. Wielu osobom mąciły w głowach. Wiele osób patrzyło w nie przed Marcinem, zadawało sobie w myślach najważniejsze pytania i podejmowało ważne na ich życiach decyzje. Teraz z tych oczu zniknęło nagle znużenie, a pojawił się niepokojący blask. Marcin miał wrażenie, jakby patrzył w ślepią kobry.

– Nie – odpowiedział cicho. – Pierwsze słyszę o Stokrotce.

Major uśmiechnął się krzywo, jakby nie dowierzał.

– Tak nazywało się miejsce, w którym to wszystko się stało – powiedział i odwrócił głowę. – Przygotowaliśmy Alicję na spotkanie z jej wielbicielami, ale nie przyjeżdżali. Coś zatrzymało ich po drodze. Zjawił się za to Artur. Przedstawię panu teraz dwie wersje, a pan sam wybierze, w którą uwierzy.

Marcin spojrzał na Majora ze zdziwieniem.

– Pan wybaczy, ale człowiek na starość musi mieć coś z życia. – Oczy Majora znów zabłyśły. – Obie historie zaczynają się od tego, że Alicja wyznaje koleżance, że jest w ciąży. Ta koleżanka jest niedyskretna, więc niedługo wiem o tym i ja. Można powiedzieć, że wpadam w złość, chociaż złość to za dużo powiedziane. Czuję niesmak. Artur Sosnowski psuje mój cenny asset. I teraz historia rozbiega się w dwóch kierunkach.

– Bawi to pana? – spytał Marcin ze ściągniętymi brwiami.

– Poniekąd – potaknął Major. – W pierwszej odsłonie Artur wchodzi do Stokrotki jak zbity pies. Nic nie mówi, tylko patrzy na całą naszą gromadę. Widzi na środku Alicję, która nie ma siły nic powiedzieć. Nie ma siły wstać. Śpi. Artur wygląda jak chłopaczek, któremu wydaje się, że może przyjść między wilki i coś z nimi ugrać. Czuję się przy nim jak król sceny, jest moim widzem. Robię dla niego przedstawienie, chcę go nastraszyć. Jeszcze nie wiem, co mam zrobić z tym ambarasem, z tą całą sytuacją. Moi przyjaciele już jadą, pewnie niedługo będą. Spotkają się twarzą w twarz z Arturem i słodki sekret się wyda. Arturowi wydaje się, że zaraz uderzę Alicję, i wtedy wydarza się to wszystko. Nie przewidziałem, że ma pistolet i że go użyje. Dwóch aktorów na scenie życia i chyba obaj za mocno wczuli się w swoje role. Dalej jest już tylko ciemność... i to. – Wskazał na wózek. – Kupuje pan tę wersję? – spytał z gorzkim uśmiechem.

Marcin patrzył na Majora z szeroko otwartymi oczami. To było realistyczne, ale jednocześnie strasznie dziwne. „Po co ta popieprzona gra?”

– Nie wiem – powiedział cicho. – Naprawdę nie wiem.

– Za mało prawdziwego Artura w tej odsłonie? – spytał Major, zerkając z ukosa. – Ale ja lubię tę wersję, mimo że wygląda na to, że sam zrobiłem sobie kuku.

– A w tej drugiej?

– Ma pan jakieś pomysły?

Marcin przymknął oczy. Artur w pubie, jeszcze w czerwcu. Wyciąga pistolet w kiblu i peroruje, że zły świat można pokonać tylko jego własną bronią. Rozgląda się na boki jak paranoik. „Tamten koleś gapił się na ciebie, Marcin. Co zrobisz, kiedy dopierdoli się do twojej panienki?” Artur kowboj, Artur zawadiaka. „No to do zobaczyska, stary”, a na głowie czapka daszkiem do tyłu.

– Wszedł i zrobił dym?

– Jest taka opcja, nie sądzi pan? – Major się skrzywił. – Że przyszedł wzburzony, pełen nienawiści do nas, do oprawców swojej dziewczyny. Celował w nas i krzyczał, że nas wszystkich pozabija. Staralem się mu wytłumaczyć, że wszystko będzie okej. „Dziewczyna jest w ciąży, porozmawiajmy spokojnie”. Ale on wyglądał, jakby nic do niego nie docierało, jak chory psychicznie. Pomyślałem, że podejść do niego, spojrzeć mu w oczy, może odda mi ten pistolet. Ruszyłem w jego stronę z wyciągniętą dłonią i wtedy wystrzelił. Dalej ciemność i wózek, tu nic się nie zmieniło.

– Po co pan mi to robi? – Marcin poczuł narastający ucisk pod skroniami. Obie historie Majora mieszały mu się w głowie, to było jak rozdwojenie jaźni.

– Ta wersja też mi się podoba – usłyszał obok siebie cichy świszczący głos. – Używam obu jako wspomnień. W zależności od potrzeby. Mogę być katem albo ofiarą.

– I tak jest pan katem – rzucił Marcin bez zastanowienia i zamilkł. „Zrobiłeś z Artura paranoika, skurwielu! – krzyczało mu coś pod czaszką. – Z Adama zrobiłeś schizofrenika. A z Alicji...” Wziął głęboki wdech i poczuł jakiś dziwny rodzaj determinacji. I spokoju. Jakby słowa tłukące się po jego głowie musiały znaleźć ujście, jakby to było jedyne słuszne rozwiązanie. Miał przeczucie, że ten mężczyzna nigdy w życiu ich od nikogo nie usłyszał. Nigdy. – Zrobił im pan krzywdę, rozumie pan? To nie jest żaden pieprzony teatr. Zniszczył im pan życie.

Facet przez chwilę patrzył na Marcina w milczeniu. Zaczerwienione oczy powoli traciły chorobliwy blask, a Marcin miał wrażenie, że gdzieś w głębi duszy tamtego toczy się teraz dziwny pojedynek. Pojedynek pomiędzy „panem życia i śmierci”, którego ten facet chciał przed nim zagrać, i prawie mu się udało, a kimś innym, złamanym i nękanym przez wyrzuty sumienia. Starszym mężczyzną u kresu sił, który właśnie teraz usilnie zastanawia się, czy jego gra jest jeszcze cokolwiek warta.

– Spokojnie, spokojnie, już dobrze... – powiedział w końcu miękko mężczyzna i spojrzał gdzieś w bok. – Może jest tak, jak pan mówi. A może... – urwał. – Kto to jest, panie Bielawski? Ta dziewczyna z komórką?

Major powoli odwrócił wózek. Marcin zamarł: to była Weronika. Stała przy plakatach powstańczych ze smartfonem wycelowanym w ich stronę. Po chwili błysnął flesz.

– Nie wiem, chyba robi zdjęcie kawiarni...

– Kawiarnia jest tam. – Major wskazał na prawo. – Za nami jest tylko beton. Czy to nie jest aby córka Sosnowskiego? W co wy się bawicie?

– Nie znam jej.

– Nie chrzań, tylko ją zawołaj. – Major uśmiechnął się blado, a Marcin poczuł na ramieniu silny uchwyt jego kościstych palców. – I tak już wszystko wiem. Amatorzy, psia wasza mać.

Winda zatrzymała się na parterze i Marcin powoli wytoczył wózek Majora na zewnątrz. Odwrócił się i dostrzegł na zaciętej twarzy Weroniki jakąś mgłę, jakby dziewczyna srogo opieprzała się w myślach. Wyszła za nimi, minęła ich bez słowa i ruszyła do szatni, a facet na wózku zerknął na Marcina z dziwnym uśmiechem. Po minucie Weronika założyła parkę i w milczeniu gapiła się na Majora, któremu Marcin pomagał włożyć granatowy płaszcz ze stójką.

Facet wyciągnął komórkę i wybrał jakiś numer.

– Heniu, przestaw auto pod metro Daszyńskiego – powiedział do słuchawki bez żadnych wstępów. – Chcę sobie zrobić mały spacer. Dam sobie radę. – Rozłączył się i odgarnął zmierzwione włosy za uszy. – Nie trzeba, żeby nas widział razem – mruknął. – Ani to dobre dla was, ani dla mnie. Za pięć minut wyjdziemy. A teraz powiedz mi, córuś, kto was nasłał? Dariusz?

Marcin zagryzł wargi. Miał nadzieję, że dziewczyna nie powie nic głupiego.

– Ojciec nie ma z tym nic wspólnego – powiedziała wolno Weronika. – Nic a nic. To był mój pomysł. Widziałam was pod kościołem.

– Kogo „was”?

– Ojca, pana i tego trzeciego w skórze.

Major odchrząknął i poprawił przekrzywione okulary.

– Każde działanie musi mieć jakiś cel – zaczął. – Ale nie widzę żadnego celu w tym, że uganiacie się po mieście i grzebiecie w przeszłości. Chyba że to jest jakaś zabawa. Robicie sobie podchody dla sportu?

Marcin w milczeniu obserwował tę wymianę zdań. Nie wiedział, co miałyby dodać. To wyglądało jak pojedynek między Weroniką a tym mężczyzną.

– Pamiętasz mnie? – spytał facet po chwili. – Przychodziłem czasami do was do domu, jak byłaś mała. Do twojego ojca.

– Nie pamiętam, to musiało być dawno – odpowiedziała hardo. – Pamiętam za to, co było wczoraj. Umowa z moim starym. Pieniądze. Za co?

Mężczyzna przez chwilę patrzył przenikliwie na Weronikę.

– To sprawy między mną i Dariuszem. Miał milczeć o mnie i o pewnych kwestiach dotyczących mojej rodziny. A ja chciałem odpłacić mu za to, co się stało z Arturem.

Weronika pokiwała głową z zaciśniętymi ustami.

– Ale to już nieaktualne, tak? – wycedziła. – Na ile się wycenia taką śmierć?

– Całkiem drogo, moja panno – szepnął Major, patrząc jej prosto w oczy. – Całkiem drogo.

Wyszli we trójkę z muzeum i przystanęli przed skrzyżowaniem z Grzybowską. Słońce wisiało nisko nad dachami kamienic na Woli. Marcinowi zrobiło się niedobrze od smrodu spalin z ulicy Towarowej. W głowie dźwięczały mu wciąż opowieść Majora i jego gra w zgadywanki. Nie miał siły pytać, która wersja jest prawdziwa. Zresztą to chyba i tak nie miało znaczenia.

– Mam wrażenie, że już się nie spotkamy – powiedział Major, poprawiając stójkę na płaszczu. – To wasza ostatnia szansa. Pytajcie, o co chcecie.

– Jak zginął Artur? – rzuciła szybko Weronika.

Major spuścił wzrok.

– Kiedy do mnie strzelił, moi ludzie byli w szoku – odparł. – Tak słyszałem z opowieści, kiedy już odzyskałem przytomność. Pozwolili im wyjść. Któryś z nich musiał wyjąć telefon i kazać komuś innemu zająć się Arturem i Alicją. Nie chciał, żeby uszło im to na sucho.

– Kto to był? – Weronika łypała zimno na Majora.

– Ten, co wyjął telefon?

– I ten, który skopał Artura.

– Nie wnikałem. Ale wy też nie wnukajcie. Inni nie będą tacy mili jak ja. Jak zobaczą palce w drzwiach, to obetną bez mrugnięcia okiem. Dbajcie o swoje palce, dzieci. Mogą wam się w życiu przydać.

Weronika nie wyglądała na usatysfakcjonowaną. Marcin zerkał w milczeniu na swoje buty. Major pchnął koła i zaczął oddalać się w kierunku Towarowej. Przejechał kilka metrów, niezgrabnie łapiąc za opony.

– Ci pańscy przyjaciele – rzucił Marcin do pleców mężczyzny. – Czy też przyjaciel.

– Drąży pan. – Major zatrzymał wózek.

– Drążę.

– Skoro tak pan lubi zagadki, panie scenarzysto... Tony Orłowsky. Takie hasło rzucałem do słuchawki i burdel pustoszał raz na miesiąc. Ale już dość pytań. Pilnuj ojca, Weronika, żeby znów nie strzeliło mu do głowy nic głupiego. Ma do tego talent.

Odjechał powoli w kierunku zatłoczonej ulicy. Kołysał się na boki, jakby pierwszy raz sam pchał własny wózek. Marcin pomyślał, że długo jeszcze nie zapomni tego spotkania.

Marta stała w kuchni i kroїła pomidory, kiedy usłyszała chrzęst kluczy w zamku. Uśmiechnęła się na samą myśl o tym, jaką niespodziankę zrobi Marcinowi. Jej zdjęcie medalionu w jutrzejszej gazecie. Artykuł o Alicji. Frodo. Czuła radosne podniecenie.

Stanął w drzwiach kuchni. Wyglądał jak siedem nieszczęść.

– Coś się stało? – spytała zaskoczona.

Pokręcił tylko głową i wyszedł do pokoju. Odłożyła nóż i ruszyła za nim.

– Co się stało? – spytała jeszcze raz. – Kłopoty w pracy?

Zrzucił z siebie marynarkę i opadł na sofę.

– Nowy dyrektor, ale jeszcze nie wiem, jak to będzie – wystękał.

– A nie w pracy?

Wyglądał, jakby się wahał.

– Spotkałem się z facetem na wózku. Kiedyś był gangsterem. Opowiedział mi o Alicji i Arturze.

Uniosła brwi zaskoczona.

– Chyba wiem, jak zginął Artur. – Marcin przymknął oczy. – Tylko że to mi w niczym nie pomogło. Całe mnóstwo paskudnych detali. Źli ludzie. Kluczem do Alicji jest ojciec Artura. To główny podejrzany. Tony Orłowski. Taką mógł mieć ksywę. Zna wiele odpowiedzi, ma do niej kontakt, ale nie wiemy, jak się do niego dostać.

– My? Ty i Rulewski? – spytała, przekrzywiając głowę.

– Z tym skurwielem nie chcę mieć już nic wspólnego – wysyczał. – Oszukał mnie, kłamał mi od samego początku. Nasłał go na mnie ten mafioso, z którym się dziś spotkałem.

Marta poczuła, jak krew odpływa jej z głowy. Policzyła do pięciu i wzięła głęboki oddech. Zacisnęła zęby, odwróciła się powoli i wyszła do kuchni. Wzięła nóż, ale nie miała siły dalej kroić pomidora.

– Nie będzie żadnego artykułu, okej? – usłyszała podniesiony głos z pokoju. – To był dobry pomysł, gratuluję, ale nic z tego nie będzie. Poszukam Alicji razem z Weroniką.

Marta poczuła uderzenie Jurka pod brzuchem. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Głęboki wdech.

– Kto to jest Weronika? – zawołała nie swoim głosem. – Koleżanka?

– Siostra Artura – usłyszała odpowiedź. – Nie jest to może Rulewski, ale nie jest też pieprzonym kłamcą. Wiesz, kim jest ten facet? To hiena. Chce zarobić na Alicji, takie jest moje zdanie.

Marta zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy Marcin miał kiedykolwiek w ręku brukowiec Rulewskiego. Nie, nie czytuje takich gazet. Jeśli nie przeczyta tego jutro, to może nic się nie stanie. Powiedzieć mu? Nie powiedzieć? Jak oni podpisują zdjęcia w tej gazecie? Imieniem i nazwiskiem? I jeszcze podsunęła temu facetowi pomysł z hobbitem. Przełykała ślinę, skronie jej pulsowały, serce biło jak oszalałe. Jeden skurcz, drugi. „O nie, nie, easy, Marta, easy. Daj na wstrzymanie. To nie jest dobry moment na denerwowanie się zabawami dużych chłopców. Oni mają swoje obsesje,

ale twoją obsesją powinno być tylko i wyłącznie to, żeby dowieźć tego malca bezpiecznie do cholernego dziewiątego miesiąca”.

I wtedy spłynął na nią spokój. Skurcze ustały. Serce wróciło do normalnego rytmu. Marcin nie przeczyta. A jeśli przeczyta, to trudno, pieprzyć to. Rulewski może i był hieną, ale Marta miała dzisiaj dziwne przeczucie, że facet jest okej i skoro tak obiecał, to nie zrobi tamtej dziewczynie krzywdy. Może warto dać mu szansę? I trzymać rękę na pulsie?

– Idę jutro na warsztaty – powiedziała z zamkniętymi oczami. – Medytacja, uważność, tobie też by się przydało. Może byś sobie wyczyścił głowę.

– Nie potrzebuję sobie nic czyścić. – Znowu ten niemiły ton. Niemal usłyszała, jak zazgrzytał zębami.

– Jak uważasz.

Uśmiechnęła się do siebie blado i docisnęła nóż. Pomidor rozpadł się na dwie połowy błyszczące w świetle jarzeniówki.

Wtorek,
17 października, 10:15



Weszła do Żabki z płócienną torbą i od razu przeszła do regału z prasą. „Twoja Gazeta” leżała na samym dole, Marta schyliła się i poczuła nieprzyjemne ukłucie w podbrzuszu. Przełknęła ślinę, wzięła jeden egzemplarz i zaczęła kartkować.

Znalazła. Niemal całą stronę szóstą zajmował wielki czerwony tytuł. ŚMIERĆ MORDERCY PO LATACH!!! i obrzydliwe zdjęcie spalonych zwłok. Jej fotka medalionu w lewym dolnym rogu, już nie tak ostra i wyraźna w gazetowym druku. Jaki podpis? „Marta Bielawska”, a jakże. Historia o Doktorze Robie, Igorze i Alicji – dwa pierwsze imiona nic jej nie mówiły, ale już po przeczytaniu leadu zrobiło jej się słabo. Dilerzy, gangsterzy, makabryczne morderstwo w lesie. I jeszcze ta dziwaczna prośba o kontakt, którą podpowiedziała Andrzejowi, doczepiona na końcu jak ponury żart.

Poczuła się oszukana, po raz kolejny. Przyparty do muru Marcin powiedział jej w końcu o burdelu i o tym, że dziewczyna Artura była prostytutką, ale zataił całą brudną i przerażającą resztę. Wczoraj wieczorem gadał jak potłuczony o spotkaniu z gangsterem. Tego było już stanowczo za dużo. Brnął w bagno, niefrasobliwie i bez zastanowienia.

Poczuła, jak krew dudni jej w skroniach. Zmusiła się, żeby przejść wzdłuż półek z nabiałem, włożyła do koszyka kilka jogurtów, serków topionych i wędlinę. Dołożyła chleb i ruszyła do kasy.

Stała w dwuosobowej kolejce i jeszcze raz sięgnęła po gazetę. Zajrzała do stopki i znalazła numer do redakcji. Nerwowo wstukała numer w komórkę.

– Dzień dobry, z tej strony Marta Bielawska, fotografka – powiedziała chwilę potem do słuchawki. – Czy mogłaby mnie pani połączyć z Andrzejem Rulewskim?

Dostał do przejrzania solidną porcję dokumentów – świeżych wniosków o dofinansowanie i dotacje, dokumentacji do nich, aktualizacji i korekt. Mimo to od rana Marcin nie mógł się zmusić, żeby chociaż rzucić na to wszystko okiem. Gdy milcząca Patrycja siedziała z nim w pokoju, on też siedział sztywno i udawał, że pracuje. Gdy wychodziła gdzieś na parę minut, kładł głowę na splecionych dłoniach i gapił się zamglonym wzrokiem w ekran.

To śledztwo nie miało już sensu. Nie miał nic, żadnych wytycznych. Rozmowa z Majorem to była zasłona dymna, upiorny inwalida o przekrwionych oczach cukrzyka namieszał mu tylko w głowie i zabawił się jego kosztem. Dwie pieprzone wersje wydarzeń, zagadki. I „Tony Orłowsky”, hasło wypowiedane do słuchawki, po którym raz na miesiąc burdel pustoszał.

Zacisnął pięści pod głową. „Scenariusz, pomyśl o scenariuszu! Zapomnij na chwilę o Alicji, zapomnij o Stokrotce, to już nieważne, ten facet w muzeum powiedział ci, jak było, wybierz sobie wersję. Co pasuje? Artur paranoik, wbijający się z pistoletem na spotkanie gangusów, bo rozkręcił swoje emocje tak, że nie potrafił już nad nimi zapanować”.

Poczuł, że całe jego ciało staje się wiotkie, jeszcze chwila i zaśnie z głową na biurku, w godzinach pracy. Tak, musi przysnąć choć na chwilę, żeby nie słyszeć już tej kakofonii własnych myśli.

Jakieś dziwne te Mazury... To na pewno Mazury? Blask słońca, niemal biały, oślepiający. Kilka karłowatych sosenek i piach. Tafla jeziora zupełnie nieruchoma, nie czuć w ogóle wiatru, nie czuć powietrza, jakby to była próżnia. Nie ma też żadnych dźwięków. Jest tylko namiot, brązowy, postrzępiony, taki harcerski, wygląda jak wygrzebany z jakiejś piwnicy czy strychu. Stoi krzywo, jakby miał się za chwilę zawalić.

Nad martwą taflą jeziora sunie czyjaś głowa, widać nawet, że ciecz rozchodzi się na boki, ale to nie jest woda, wygląda raczej jak ciekły metan na Tytanie, księżycu Saturna. Głowa podpływa coraz bliżej brzegu i wysuwa się coraz wyżej, a za nią ukazuje się szczupłe ciało w bokserkach. To Artur. Powoli wychodzi na piaszczysty brzeg, zupełnie suchy, ani jedna kropla nie spływa po kościstych barkach i klatce piersiowej, wydatnej jak u olimpijskiego pływaka.

„Jak ci idzie praca? – pyta Artur beznamiętnie, z twarzą bez żadnego wyrazu. – Co napisałeś?”

„Nic” – Marcin słyszy swój głos, ale nie ma go w tej scenerii. Nie ma jego rąk, którymi mógłby zamachać, ani nóg. Jego matowy głos wydobywa się jakby z niewidzialnego głośnika.

„Film drogi, pamiętasz? – pyta Artur. – Taki mieliśmy plan”.

„To ty pisałeś. Ale teraz już nawet nie wiem, czy to był scenariusz. Może pamiętnik? Nie chciałeś mi pokazać”.

„Chciałem dokończyć to, co zacząłem”.

„Ja też chciałem pisać, pamiętasz? O moim zakochaniu, o Ance”.

„Tylko to miałeś w głowie”.

„A ty mówiłeś, że to szajs i telenowela”.

„Przyznaję”.

„Więc czekałem cierpliwie, patrzyłem, jak piszesz, jak znikasz wieczorami ze swoim plecakiem i pistoletem. Próbowałem cię pytać, o co chodzi, myślałem, że coś mi powiesz. Ale miałem wrażenie, że nie jestem ci do niczego potrzebny”.

Twarz Artura jest wciąż tak samo nieruchoma, tylko w jego stalowych oczach widać coś w rodzaju rozbawienia.

„Nie pojechaliśmy tu po to, żeby lizać się po futach” – mówi.

Marcin czuje, że jego niewidzialna sfera zaczyna sunąć bezgłośnie. Namiot przesuwa się i znika, ziarenka piasku lśnią w słońcu jak mikroskopijne kryształki. Twarz Artura jest już tak blisko, że można policzyć rzęsy nad patrzącymi bez wyrazu oczami.

„Co wiesz?” – pyta Artur.

„Alicja, Stokrotka, pistolet – wylicza głos Marcina. – Wystrzał, Major pada, chyba wychodzicie, ale ktoś każe was sprzątnąć, tak? Ty giniesz, Alicja żyje. Twój ojciec płaci jej pieniędzmi Majora. Ale już dłużej nie może”.

„To tylko konsekwencja – mówi Artur głucho. – Znajdź źródło”.

„Nie wiem, gdzie szukać. A co z tobą? Kim wtedy byłeś?”

Twarz Artura poważnieje.

„Hobbitem. Uciekłem z mojego Shire. Zamieniło się w Mordor. Chciałem nowego Shire”.

„Co to znaczy?”

Ale Artur już nic nie mówi. Odwraca się i powoli sunie z powrotem w stronę gęstej metalicznej cieczy jeziora. Wchodzi w nią, znika centymetr po centymetrze.

„Co to znaczy?!”

Jego głowa znika pod powierzchnią, nie ma już nic oprócz bezkresnej tafli i oślepiającego słońca.

Marcin podniósł głowę i spojrzał przed siebie niewidzącym wzrokiem. Scena, która nagle przetoczyła mu się przez głowę, wciąż pulsowała mu między skroniami. Czy to naprawdę Artur wychynął na chwilę z nicości, żeby do niego przemówić? A może to początek jakiejś choroby psychicznej?

„Uciekł z Shire. Z krainy dzieciństwa, z przedmieścia, które było dla niego bezpieczną przystanią, z Bolkiem snującym swoje opowiadki, z piwkiem i trawą. Zamieniło się w Mordor. Norbert i jego pistolet, ojciec wyświadczający przysługi Majorowi, zniewolona dziewczyna. Stracił złudzenia. Chciał nowego Shire...”

Usłyszał za plecami, że otwierają się drzwi. Wyprostował się i położył dłonie na klawiaturze.

– Dyrektor Orlicz wpadł na mnie w korytarzu – powiedziała Patrycja sucho. – Chce cię widzieć w swoim gabinecie za piętnaście minut. Nie mówił, o co chodzi.

Bezwiednie zazgrzytał zębami. Pewnie będzie chciał się dowiedzieć, jak się ma jego zadanie specjalne. Tyle że w kwestii szpiegowania departamentu Marcin nie miał Orliczowi nic do powiedzenia.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Marta? – Andrzej zapalił papierosa. – Jeśli chodzi o kasę za zdjęcie, to płacimy pod koniec miesiąca.

Patrzył z ukosa na tę niewysoką dziewczynę z wielkim brzuchem pod jesiennym płaszczem i zastanawiał się, dlaczego chciała się tak nagle spotkać. Znów patrzyła na niego jak wczoraj, gdy nie chciała go wpuścić do mieszkania. Nie uśmiechała się i wyglądała, jakby czegoś żałowała. On żałował, że nie wziął ze sobą na dół szalika i czapki. Wiatr urywał głowę.

– O co chodzi z tym, że Marcin nie chce się do pana odezwać? – spytała Marta, przestępując z nogi na nogę.

– Andrzej... Mów mi Andrzej.

– Okej. – Dotknęła jego wyciągniętej dłoni. – On uważa, że w czymś go bardzo okłamałeś.

– Naprawdę? – Andrzej się skrzywił. – Nie przypominam sobie. Rozstaliśmy się dziwnie, bo jeden koleś, którego śledziliśmy, wskoczył nagle do autobusu i musiałem za nim jechać. Ale ja ze swojej strony nie miałem przed nim prawie żadnych tajemnic. Nie traktowałem go może jak równego sobie, no wiesz, w końcu on chyba nigdy nie szlajał się po mieście...

– Nie o tym mówię – przerwała mu Marta. – Jest wściekły, że zrobiłeś z niego idiotę.

– O czym ty mówisz?

Marta przez chwilę przyglądała mu się badawczo.

– Wrócił wczoraj ze spotkania z jakimś mafiosem – zaczęła ostrożnie. – I od samych drzwi wykrzykiwał, że jesteś kłamliwym skurwielem. Nie powiedziałam mu nic o zdjęciu. Ani o artykule. Nic o tym nie wie.

Andrzej przymknął oczy. Pod powiekami zobaczył siebie na fotelu, napoczęty woreczek z koką, telewizyjną prezenterkę w żakiecie.

– Jest tylko jeden facet, który mógł mu to powiedzieć – stwierdził cicho. – Ktoś chciał mnie wynająć, żebym pomagał Marcinowi i go szpiegował. Dzięki temu w ogóle się spotkaliśmy. Ale potem powiedziałem mu, że nie będę tego robił. To znaczy nie jemu, tylko pośrednikowi. A potem się nawaliłem, zadzwoniłem do tego gościa i zrobił mnie w bambuko.

– W co wy się obaj bawicie, Andrzej? – Marta dotknęła dłońmi czoła. – Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Robicie śledztwo, niby razem, ale tak jakby oddzielnie? On coś ukrywa przed tobą, a ty przed nim. To głupota, nie uważasz?

– Może i głupota, ale tak jakoś wyszło...

– Jak dwóch kretynów – dodała.

– Dobra, Marta, daruj sobie. – Andrzej uniósł dłonie w obronnym geście. – Próbuję się do niego dodzwonić, ale nie odbiera. Możesz mu powiedzieć, że w niczym go nie oszukałem i że możemy to pociągnąć dalej?

Marta przygryzła wargi.

– Tylko że ja... – zawahała się. – Ja naprawdę wolałabym, żeby on już przestał. To nie jest dla niego. Sam chyba wiesz dlaczego. – Dotknęła wielkiego brzucha i spojrzała znacząco. – To nie jest najlepszy moment, żeby on się pakował w jakieś dziwne historie. Pozwoliłam mu poszukać tej Alicji, ale to chyba był błąd.

Andrzej drgnął.

– Szuka jej? – spytał. – Po co?

– Może dlatego, że to tajemnica? Tajemnice tak mają. Wciągają.

– Coś o tym wiem.

– Osiem lat temu coś straszego spotkało jego kumpla, z którym nawet głębiej się nie przyjaźnił. Przez osiem lat nie mówił o tym ani słowa. A teraz mam wrażenie, że zrobi wszystko, żeby poznać prawdę i przy okazji spieprzyć sobie życie.

Andrzej zaciągnął się papierosem. Ta dziewczyna naprawdę się martwiła. A jej słowa brzmiały, jakby mówiła o nim samym.

– Czego ode mnie oczekujesz, Marta? – Podszedł do niej bliżej i ściszył głos. – Nie mogę do niego zadzwonić i powiedzieć, żeby dał sobie spokój. Nawet jeśli odbierze, to tylko jeszcze bardziej się rozjuszy.

– Tak będzie – mruknęła.

Spojrzała na niego przenikliwie, jakby chciała wwiercić mu się w umysł i sprawdzić, czy jest wobec niej szczery. Wiedział, że jest. W końcu spuściła wzrok.

– To co zrobimy? – spytała cicho.

– Nie upilnujesz go, dziewczyno.

– Nie.

– Ja i on mamy kawałki tych samych puzzli. Nie złożymy ich osobno.

– To co proponujesz?

– Układ.

– Między...?

– Tobą i mną.

– Na czym miałyby polegać?

– Jeśli ta Alicja się odezwie, ja przesyłam ci info. – Andrzej wydmuchał dym. – Może w tym być coś ważnego. Nie tylko dla śledztwa. Dla jego bezpieczeństwa też. Będziesz na bieżąco.

– A ja? – Marta zerknęła nieufnie. – Mam go szpiegować?

– Coś za coś.

– Dopiero co zakończyliśmy jeden kryzys w naszym małżeństwie. Zaczął się od kłamstwa, a teraz...

– Nic nie poradzę, takie życie – przerwał jej, lekko zniecierpliwiony. – Komuś się wydaje, że nas wydymał, mnie i Marcina. Że nas poróżnił. Czy nie byłoby lepiej, gdyby ten ktoś dalej tak uważał? Że mu się udało i że sprawa jest załatwiona?

– Może i tak.

– To jak? Wymienimy się kontaktami?

Jeszcze przez chwilę patrzyła na niego z żądzą mordy w oczach. W końcu podjęła trudną decyzję, wyjęła komórkę z głośnym westchnieniem. Podał jej swój numer, wpisała, a potem do niego zadzwoniła.

Gdy połączenie wyświetliło mu się na ekranie, dostrzegł, że zamarła i wpatrzyła się w obrotowe drzwi za nim, jakby zobaczyła w nich największego wroga.

– Cześć, Marta – usłyszał za sobą głos tej kobiety, którą wczoraj zaciągnął do wentylatorni.

– Znacie się? – spytał zdziwiony.

– Nie od dziś – wymruczała Marta. – Teresa wyświadcza koleżankom niezamówione przysługi.

– Przepraszam, poniosło mnie wtedy. – Kobieta spuściła wzrok. – Wszystko gra u was?

– Kolega ci opowie. Na mnie już czas.

Marta uśmiechnęła się blado. Przejechała palcem po ekranie, schowała komórkę do kieszeni płaszcza i ruszyła przed siebie. Andrzej patrzył, jak kołyszącym się krokiem odchodzi przez skwer w stronę przystanku tramwajowego.

– No proszę, świat jest mały. A więc Teresa, tak? – Wyciągnął dłoń. – Andrzej.

Patrzyła na niego jak na wariata, i chyba słusznie. Jeszcze wczoraj niemal zmusił ją do zrobienia mu laski, a teraz przedstawiał się jak na spotkaniu biznesowym. W końcu podała mu dłoń. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie cmoknąć jej po polsku, ale to byłby już szczyt obciachu.

– Wczoraj chyba byłem niegrzeczny – powiedział, wpatrując się w jej jasnobrązowe oczy i zastanawiając, czy dobrze robi. – Ale dziś mogę spróbować to naprawić.

Spodziewał się, że kobieta uśmiechnie się i da się znów zaprowadzić przez parking podziemny do chłodnej wentylatorni. On przykłęknie przy niej i wtuli się ustami między jej rozchylone uda, a ona będzie cicho pojękiwać...

– Jeśli tak wygląda tak zwany biurowy romans, to nie widzę w tym nic fajnego – powiedziała.

Patrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Wyglądała teraz jak nauczycielka, a on poczuł się jak krnąbrny licealista.

– Sorry, Andrzej, nie czuję tego klimatu. Jeśli chcesz, to możemy pogadać.

Próbował odgadnąć, o czym mógłby z nią gadać. Była starsza od niego, na pewno miała dzieci, pewnie już nastoletnie. Mógł jej najwyżej opowiedzieć o tym, jak go wydymali w sobotę i zniszczyli mu auto.

– Nie nalegam. – Teresa zgasiła papierosa. – Po prostu nie będziemy się lizać w tej klicie. Nie i już. Zimny beton to nie jest szczyt moich marzeń. Ani fantazji. Ale podobasz mi się, coś w tobie jest.

Zbliżyła się do obrotowych drzwi, ale się zatrzymała. Zrobiły kolejny obrót, i kolejny. Andrzej poczuł, że nie ma nic do stracenia. Najwyraźniej dziś był dzień nawiązywania nowych kontaktów.

– To jaki masz numer? – spytał.

Marcin wszedł do gabinetu dyrektora i postarał się przybrać najbardziej niedbały wyraz twarzy, na jaki było go stać. Włodzimierz Orlicz siedział za biurkiem, jego głowa ledwo wystawała zza wielkiego monitora, a łysina z resztkami płowych włosów nijak nie współgrała z fryzurami narodowych wieszczów na portretach. Wyglądał, jakby już się lekko zadomowił. Skojarzył się Marcinowi ze starym psem ze schroniska, który zobaczył, że pańska ręka nie karze, obwąchał wszystkie kąty i postanowił zrobić z centralnie ustawionej sofy swoje legowisko.

– Prosiłem pana wczoraj o bardziej szczegółową analizę nastrojów w departamencie – wymruczał Orlicz.

– Prosił pan – odpowiedział Marcin. – Ale to stanowczo przekracza moje kompetencje.

– Tak też pomyślałem. – Orlicz splótł dłonie. – Ale pomyślałem też, że to było bardzo brzydkie z mojej strony. Jakkolwiek ciekawość moja jest duża w tym temacie, to nie powinienem był tego robić. Rozumiem, że naraziłem pana na stres.

Ta nieoczekiwana zmiana zbiła Marcina z tropu. Nie dowierzał, że facet mógł tak szybko zmienić zdanie.

– Wie pan – ciągnął Orlicz. – Departament czeka mnóstwo wyzwań w przyszłym roku i chciałbym mieć pewność względem lojalności zespołu. Ale źle się do tego zabrałem.

Marcin miał ochotę pokiwać głową ze zrozumieniem, ale się powstrzymał.

– Mam za to inną prośbę do pana.

– Tak?

– Ja tutaj prawie nic nie znam. Warszawa to dla mnie obce miasto. Naturalnie bywałem tu wcześniej, ale rzadko. Był taki czas, że przyjeżdżałem raz w miesiącu

służbowo, ale to wszystko tak bardzo się zmieniło. Nie miałyby pan ochoty pokazać mi trochę miasta? Załatwić mi jakiś koncert?

Marcin odchrząknął. Dziwnie zabrzmiała ta prośba. Nawet bardzo dziwnie, ale na pewno była bezpieczniejszym zadaniem niż szpiegowanie departamentu w kwestii wiary w dobrą zmianę.

Orlicz patrzył na niego wyczekująco i Marcin dostrzegł na jego twarzy, że jeszcze chwila milczenia, a facet wycofa się rakiem również z tego.

– Dobrze – odpowiedział. – Postaram się wywiedzieć o wejściówki na coś ciekawego. Jaką muzykę pan dyrektor preferuje?

Orlicz uśmiechnął się blado i poprawił okulary.

– Cokolwiek symfonicznego, panie Marcinie.

Marcin pokiwał głową. Nie wiedział jeszcze, czy dobrze zrobił, ale mógł tym miłym gestem zdobyć parę punktów. Przydadzą mu się, gdy przyjdzie pora wyzebrać kilka dni wolnego na kontynuowanie śledztwa. O ile to śledztwo w ogóle jeszcze ruszy.

– Dziękuję – powiedział Orlicz.

– Nie ma sprawy – odparł Marcin i ruszył do drzwi.

– Stańmy w kręgu. Zaczniemy iść i skupmy całą naszą uwagę na każdym następnym kroku. W naszym umyśle nie ma niczego, tylko ten krok. Malutki kroczek.

Marta patrzyła na swoje stopy w szarych skarpetkach w arbuzy. Podobały jej się te warsztaty, prowadzone przez ubraną w luźną tunikę kobietę z samurajskim koczkiem. Obserwacja oddechu. Skupienie całego jestestwa na smaku i fakturze rodzynek z miseczki z chińskiej porcelany. Skanowanie ciała. Tyle że nie mogła tak po prostu odłączyć się od swoich myśli.

Krok za krokiem. Krok za krokiem. Przy piątym kroku jej umysł wrócił do małej trafiki w podziemiach, którą odwiedziła po wizycie pod szklanym biurowcem.

Z Marcinem coś było nie tak. Pójdzie za Alicją, wiedziała o tym. Musiał, a ona go nie upilnuje, tak jak powiedział Andrzej. Dziennikarz mógłby jej coś przesłać, jakąś wskazówkę albo ostrzeżenie. To było ważne, nawet kosztem tego, że musiałaby zagrać nieczysto wobec męża. Ona wtedy prześle to Marcinowi. Jeśli to będzie z jej telefonu, to on wpadnie w wir zadawania pytań. Nie mogła mu powiedzieć, że to od Rulewskiego. Nie ufał mu, więc zlekceważyłby wiadomość.

Trzeba było coś wymyślić i Marta w końcu wpadła na pomysł. Kupiła kartę prepaid w trafice, z ciężkim sercem podała sprzedawczyni swój PESEL. Po powrocie do domu wyciągnie z kartonu ze starociami prehistoryczną nokię, swoją pierwszą komórkę. Jeśli wszystko zadziała, jeśli bateria nie umarła, będzie miała telefon do zadań specjalnych.

Krok za krokiem. Krok za krokiem. Marta wzięła głęboki oddech, wpatrzyła się w wędrujące po zielonej wykładzinie skarpetki z arbuzami i poczuła przyjemne mrowienie nad karkiem.

– Wiesz coś na temat naszego nowego dyrektora? – Marcin zerknął na plecy Patrycji z udawaną beztroską. – Mam wrażenie, że to spoko gość. Może nie będzie tak źle, jak mi się wcześniej wydawało.

Nie mógł pozbyć się nieprzyjemnego swędzenia całego ciała. Była czternasta, wszystko go tu uwierało: komputer, stos wniosków i Orlicz, nawet jeśli wspaniałomyślnie odpuścił mu szpiegowanie.

– O, jasnie pan się obudził. – Patrycja obróciła się na krześle i spojrzała wilkiem. – Już myślałam, że się na mnie obraziłeś. Na mnie albo na wszystkich. Albo na cały świat.

Zdał sobie sprawę, że od wczorajszego powrotu do pracy zamienił z nią najwyżej parę zdawkowych zdań. Zachowywał się jak zdystansowany mruk. Coś się zmieniło – nie czuł się już częścią urzędu, raczej jak piąte koło u wozu. Jego jedynym marzeniem było odczepić się od reszty i wystrzelić z powrotem na miasto.

– To nie tak – powiedział. – Trochę nie mogę się odnaleźć po tej przerwie.

– Po trzech dniach? – zdziwiła się. – Mocno musiała cię ta grypa trzepnąć.

„Grypa? – zdziwił się. – Hmm, czyżby kolejny żarcik Lemura Zawadzkiego?”

– Taak. – Odchrząknął i przesunął dłonią po skroni nieco zbyt teatralnie, jakby wycierał niewidzialny pot. – Trzy dni wyjęte z życiorysu. Przepraszam.

– Za?

– Że od wczoraj musiałaś oglądać głównie moje plecy.

– No spoko, Marcin. – Patrycja uśmiechnęła się wyrozumiale. – Mnie też walnęło na wiosnę, pamiętasz? Potem chodziłam jak nieprzytomna jeszcze z tydzień.

– Jak zombie.

– Właśnie.

Stwierdził z ulgą, że już wszystko w porządku, kryzys zażegnany, znów czuć nic porozumienia, tak niefortunnie zerwaną. Wstał.

– To jak z tym Orliczem? – spytał z założonymi rękami. – Wiesz coś o nim? Co mówią ploty na korytarzu?

– Pytałeś już Google’a i fejsa? – odpowiedziała pytaniem.

– Jeszcze nie.

– Wiem tylko tyle, że facet był artystą. Rzeźbiarzem zdaje się, kiedyś całkiem znanym. Ma stronę ze zdjęciami, niezłe miał te rzeźby, muszę przyznać. A ostatnio był wicedyrektorem liceum plastycznego, chyba w Gdańsku czy Gdyni, nie jestem pewna.

– I co? – zdziwił się Marcin. – Mocny skok, z liceum na szefa departamentu.

– To już musisz spytać Google’a, czym jest najlepszym przyjacielem. – Patrycja znacząco uniosła brwi.

Nie dowierzał, że to już wszystko. Spojrzał na nią błagalnie, ale tylko wzruszyła ramionami.

– Po co ci ta wiedza? – spytała. – To ma jakiś związek z tym, że kazał ci się zameldować w gabinecie?

– Poniekąd. – Marcin się spiał. – Nie rozgadaj, ale wydaje mi się, że on szuka sobie kogoś w rodzaju asystenta. Chyba jest trochę zagubiony.

– Ooo. – Strzeliła oczami. – Grubo.

– Tajemnica, cicho sza!

Wrócił do biurka. No nic, skoro tydzień temu udało mu się w pół godziny zlokalizować w internecie Ankę, to czemu miałyby się nie udać z Orliczem? Wpisał imię i nazwisko w wyszukiwarce, a potem wszedł do sekcji „grafika”. Świeży portret na szarym tle, ze smutnymi oczami za okularami i ustami w podkówkę – Marcin rozpoznał po oświetleniu, że to zdjęcie z oficjalnej strony ministerstwa. Orlicz w pracowni, młodszy o dziesięć lat, zamiast łysiny burza szpakowatych fal, trochę przypomina Einsteina i krząta się przy wielkiej figurze niedźwiedzia ze splątanych rurek. Nieco podobne ujęcie, ale rzeźba inna – znów metal, rurki, jakieś śruby i gwoździe, a wszystko to złożone w niesamowitą postać słowiańskiego woja, a może to totem albo jakiś bożek? Czarno-biała fotka, jeszcze starsza, lata dziewięćdziesiąte: motyle, żuki i mrowisko z miedzi, stali i żelaza. „Nieżył czad” – pomyślał Marcin z uznaniem. Przewinął jeszcze galerię i dopiero w piątym czy szóstym rzędzie odkrył tajemnicę szybkiego awansu nowego dyrektora. Rok osiemdziesiąty ósmy, PRL dogorywa, młody Włodek Orlicz stoi nieco z tyłu za obecnym ministrem, równie pięknym i młodym, na balkonie uczelni. Minister wykrzykuje jakieś nośne antykomunistyczne hasło, a Włodek trzyma rozwinięty transparent z wymalowanym farbą napisem NZS. „No cóż, czyli jednak znajomości działają zawsze i wszędzie – skrzywił się Marcin. – A tyle było gadania o republice koleśków na tym wczorajszym spotkaniu zapoznawczym”.

Otworzył nową kartę w przeglądarce i po chwili załadowała się na ekran strona Orlicza rzeźbiarza. Mocno niemodna, w starym złym stylu, przypominająca nieco pierwsze blogi. Dawno nieaktualizowana, aż dziwne, że wciąż wisiała w sieci. Marcin zerknął do stopki: „© Włodzimierz Orlicz 2009”. „Osieć lat temu, ciekawe” – pomyślał, a potem wszedł do biografii. Rok urodzenia: 1963, miejsce: jakaś wioska na Pomorzu. Liceum plastyczne, ASP w Gdańsku, potem nazwy rzeźb i daty – dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt. Ostatnia w 2009 roku: Nadzieja. Kliknął

w odnośnik, zdjęcie zaczęło się ładować, bardzo powoli wypełniając ekran. Metalowa olbrzymka z rozwianymi włosami, wyciągająca ręce przed siebie. Stała wśród brzoź, jakby wyrosła z ziemi. Udrapowana tunika odsłaniała bosa stopy. Na szyi tej dziwnej postaci wisiła girlanda z pomarszczonych kółeczek.

Marcin zmrużył oczy i przysunął twarz do monitora. Te pomarszczone kółeczka ze śrub i zębatek coś mu przypominały. Zapisał zdjęcie na pulpicie w nadziei, że skoro tak długo się ładowało, to może zostało wstawione na serwer w oryginalnej rozdzielczości. Nie mylił się. Siedem megabajtów, dwanaście megapikseli. Otworzył je w przeglądarce zdjęć i przejechał kursorem po suwaku powiększenia.

Róże. Girlanda składała się z róż.

Poczuł się nieswojo. Wszedł z powrotem do galerii rzeźb na stronie Orlicza. Zapisał na pulpicie cztery zdjęcia z jego dziełami z lat 2007–2009. Kliknął na pierwsze i powiększył.

Smutna kobieta, może dziewczyna? Siedzi po turecku i wpatruje się przed siebie oczami zrobionymi z zębatek. Marcin z rosnącym podnieceniem przesuwiał zdjęcie w poszukiwaniu motywu kwiatowego.

Znalazł. Jedna jedyna róża – sprzączka na pasku ściągającym luźną szatę.

Kolejna rzeźba. Satyr i nimfa, niemal karykaturalni przez to, z jakiego materiału zostali wykonani. Nimfa ma różę wpiętą we włosy. Satyr wskazuje ją palcem. Dziwny uśmiech, jakby mówił: „Jestem tu tylko dla twojego kwiatu, przyszedłem po niego. Zabiorę ci dziewictwo i zerwę z włosów różę”.

„Czy to możliwe, żeby to Orlicz wykonał medalion?” – przyszło Marcinowi do głowy. Przesuwiał galerię w podnieceniu, szukając jakiegoś przykładu biżuterii – wisiora, broszki, czegokolwiek podobnego do róż i pistoletów. Nie znalazł – tylko te rzeźby, mniejsze i większe, zrobione z czegoś, co można było brzydko nazwać złomem.

„Jak on to powiedział, gdy prosił o załatwienie biletu na koncert? Był taki czas, że przyjeżdżał do Warszawy raz w miesiącu. Służbowo. Czy to możliwe, że...?”

Telefon rozwibrował się na biurku, aż Marcin poderwał się jak oparzony. Zerknął na ekran. Dzwoniła Anka Pająk. Przełknął ślinę. W końcu odebrał.

– Cześć, Marcin – usłyszał w słuchawce znajomą chrypkę.

– Cześć – wydusił.

– Dzwoniłam do ciebie w sobotę, ale nie odebrałeś.

– Tak, wiem, przepraszam, jakoś tak wyszło...

– No, nieważne – przerwała mu Anka. – Muszę się z tobą koniecznie dzisiaj zobaczyć. Dasz radę? Po robocie. Może znowu skoczmy na kuskus z szoarmą?

– To raczej... – Marcin poczuł rumieniec na twarzy. – To absolutnie nie jest dobry pomysł.

– A dlaczego? – zdziwiła się Anka. – Coś się stało?

Marcin odwrócił się i zerknął na plecy Patrycji.

– Poczekaj chwilę, okej?

Wstał, podszedł do drzwi i wyszedł na korytarz. Przymknął cicho drzwi i zrobił kilka kroków po miękkiej wykładzinie.

– Anka, proszę, nie zrozum mnie źle. – Przykrył telefon dłonią. – Nie możemy się spotykać. Dziękuję ci bardzo za scenariusz, ale miałem potem problemy przez tę... szoarmę.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Marta się dowiedziała i do spółki z matką wywaliły mnie z domu.

– Naprawdę? – Anka była wyraźnie rozbawiona. – A coś ty im naopowiadał o tym naszym spotkaniu?

– Ja nic. Jakaś koleżanka mnie podkablowała.

– To może nie szoarma, tylko spacer, co? To naprawdę ważne.

– Po prostu powiedz mi, o co chodzi.

– Nie, bo nie będziesz chciał się spotkać.

Marcin głośno wypuścił powietrze.

– Chcę ci zrobić niespodziankę, po prostu – dodała.

Marcin wpatrzył się w martwą naturę na ścianie w poszukiwaniu natchnienia.

– Będę musiał to... skonsultować – powiedział.

– I słusznie. – Anka zaśmiała się cicho. – Czekam na esa do czwartej. Jak nie przyjdiesz, twoja strata.

– No jasne.

– Pa.

Rozłączyła się, a Marcin wciąż stał wpatrzony w zieloną flaszkę wina pośród dojrzałych brzoskwiń i kiści winogron.

– Kurwa – mruknął pod nosem i wrócił do pokoju.

– Wielu rzeczy już próbowałam. Byłam nawet na terapii. Trans, hipnoza, co tylko sobie wymyślisz. Ale i tak zawsze wracam do swojego wkurwienia. A jak jestem wkurwiona, to jem. A co zjem, to wyrzynam. Mam już tego dosyć.

Koścista ruda dziewczyna z ogniem w zielonkawych oczach stała przy Marcie i szybkimi nerwowymi łyčzkami piła wodę z plastikowego kubka. Akurat była przerwa w zajęciach z uważności, uczestnicy stali w grupkach i dzielili się doświadczeniami.

– Jak można się pozbyć wkurwienia hipnozą? – spytała Marta. – To nie jest tylko od przypominania sobie różnych rzeczy z przeszłości?

– No nie do końca. – Dziewczyna się skrzywiła. – Masz różne podświadome reakcje, nie? Czasami nawet nie wiesz, dlaczego coś cię wkurwia. Jak wejdiesz w trans z dobrym trenerem, to możecie razem pogmerać w podświadomości i przyjrzeć się różnym rzeczom.

– Ale o przeszłości też chyba można się czegoś dowiedzieć? – spytała Marta, przekrzywiając głowę. – No wiesz, tak jak w filmach.

– Wpisz sobie w necie „regresja hipnotyczna”, to zobaczysz takie rzeczy, że ci szczęka opadnie. – Dziewczyna się uśmiechnęła, a jej policzki jeszcze bardziej się zapadły.

– To znaczy?

– Powrót do poprzedniego wcielenia. Może byłaś faraonem w starożytnym Egipcie? Albo ktoś wbił ci sztylet pod żebro w średniowieczu? Są podobno dzieciaki w Indiach, co pamiętają, jak spadały zestrzelone przez meserszmit w czterdziestym drugim. No mówię ci, kosmos.

Marta się uśmiechnęła. Rzeczywiście, kosmos. Nie miała nic przeciwko temu, żeby zobaczyć się oczami wyobraźni w wykwintnej białej peruce, z doklejoną na policzku muszką, na spacerze po Wersalu za czasów Ludwika XIV. Gorzej, gdyby się okazało, że była żebraczką i zmarła z głodu tuż za pałacowym murem.

– Dobra, wracamy. – Dziewczyna zgmiotła kubek i rzuciła go do stojącego dwa metry od nich kosza jak zawodowy koszykarz.

Marta zerknęła na komórkę. Wpół do czwartej. Już miała obrócić się na pięcie, gdy dostrzegła na wyciszonym telefonie, że dzwoni Marcin. Odebrała.

– Sprawę mam – powiedział Marcin niepewnie.

– Byle szybko, bo muszę wracać na warsztaty.

– Anka chce pogadać, dzisiaj po robocie.

– Masz ci los. – Marta wywróciła oczami.

– Mówi, że to ważne. Dam jej pół godziny i wracam do domu, okej? Nie będzie żadnych obiadków, kolacyjek. Tylko rozmowa.

Marta ze zdziwieniem stwierdziła, że nie czuje ani złości, ani zazdrości. Tylko lekkie rozbawienie, że Marcin dzwoni do niej teraz jak pantoflarz i prosi o zgodę na spotkanie z eks.

– Pod jednym warunkiem – powiedziała.

– Tak?

– Wracając, kup mi mrożone truskawki, jogurt, ale nie zero procent, dużą czekoladę z rodzynkami i korniszony. Zrobimy sobie z Jurkiem ucztę.

Zgodził się bez wahania. Niemal usłyszała ulgę po drugiej stronie słuchawki i poczuła się jak wspaniałomyślna władczyni. Podreptała z powrotem do wyciszonej sali, gdzie czekała na nią kolejna porcja odświeżających umysł ćwiczeń.

Marcin przeszedł szybkim krokiem przez plac Piłsudskiego, minął Grób Nieznanego Żołnierza i zaczął wypatrywać Anki. Umówił się z nią na centralnym skwerze Ogrodu Saskiego, który o tej porze roku i dnia nie nastrajał do przechadzek. Zmrok, wyłączona fontanna, niemal łyse drzewa. Brązowe liście leżały w zagrabionych hałdach, butwiejąc i czekając na wywiezienie. Marcin pomyślał, że jeśli spotkanie z Anką szybko się skończy, to przejdzie się jeszcze koło stawu i budynku wodozbioru w kształcie rotundy. Znajdzie miejsce, gdzie kiedyś przesiadywali z Arturem na ukrytej przed wścibskimi spojrzeniami ławeczce i przegadywali scenariusz. Rzadko zapuszczały się tam mamy z wózkami, policja i straż miejska, można więc było w spokoju obalić browar z puszek. Wbrew pozorom nie była to szczególnie niebezpieczna miejscówka. Jedyna krzywa akcja, jaką Marcin widział w Ogrodzie Saskim, odbyła się na widoku, niemal przy samym przystanku tramwajowym na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej, i to w biały dzień. Trzech czy czterech nabuzowanych gości zaczepiło chłopaka o ogień, a gdy ten odpowiedział, że nie pali, jeden z tamtych patrzył przez moment, jakby myśl szukała mózgu, a potem uderzył chłopaka z bańki w nos. Polała się krew, chłopak zgiął się wpół, a tamci odeszli w głąb parku, śmiejąc się i klnąc jak grupka dezertów zagubionych za linią frontu. Artur podszedł do chłopaka, wyjął z plecaka paczkę chusteczek i spytał, czy wszystko w porządku. Marcin został z tyłu i pomyślał, co by się stało, gdyby wcześniej zamiast chusteczek Artur wyciągnął z plecaka tego swojego gnata, tak jak wiele razy o tym gadał. Ale nie wyciągnął. Może dlatego, że wszystko zadziało się bardzo szybko, a może dlatego, że co innego gadać i odgrażać się, a co innego wymachiwać komuś przed twarzą pistoletem w centrum Warszawy. I Marcin pomyślał wtedy jeszcze jedno: że być może ten pistolet nigdy nie opuści plecaka Artura. Tak byłoby najlepiej.

Zobaczył swoją byłą dziewczynę. Stała tyłem do niego i zerknęła na zegarek. Poznał ją po figurze. Jasny płaszcz do kolan, mocno przewiązany szerokim paskiem, postawiony kołnierz i zielona czapka, spod której wyfruwały ciemne włosy do ramion. Wyglądała trochę jak z francuskiego filmu z lat sześćdziesiątych, a trochę jak Audrey Hepburn. Przez moment miał ochotę podejść do niej od tyłu i zasłonić jej oczy, ona wtedy roześmieje się i spyta z tą swoją chrypką: „Marcin?”. Idiotyczne zachcianki. Skąd to się bierze, że nagle przestaje się panować nad myślami?

Zamiast tego po prostu do niej podszedł.

– Cześć – powiedział przez ściśnięte gardło. Oficjalnie, tak, to spotkanie ma być oficjalne, żadne tam wybuchy namiętności do filmu, Felliniego czy czegokolwiek innego.

Anka odwróciła się i spojrzała na niego.

– Cześć – odpowiedziała.

W świetle latarni jej twarz była blada, miała ostre rysy i cienie pod oczami. Bił z nich niepokojący blask, nieco wyblakły i nieco zbyt, jak na nią, chorobliwy. Jakby przez ostatni tydzień żyła na wysokich obrotach, w uniesieniu, i trochę się wypaliła. „Kurczę, może jednak na nowo się we mnie zakochała?” – pomyślał. Uroiła sobie coś przez te dni, stąd te przygaszone oczy, zmęczyła się tym zakochaniem i teraz chciała się spotkać, przegadać to, powiedzieć mu: ona rzuca Patryka Pająka, on ma rozstać się z Martą, zaczną wszystko od nowa, spotkania z winem i filmami, i to dziwne mrowienie z tyłu głowy, gdy wiesz, że obok ciebie siedzi osoba, która myśli podobnie jak ty, podobnie reaguje na te same dźwięki i obrazy...

Zrobił dwa dziwne kroki, jeden w przód, jeden w tył, oczy uciekły mu gdzieś w bok. A gdy wróciły, zauważył, że Anka przygląda mu się uważnie i z zaciekawieniem.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak. Wszystko – usłyszał swój głos. – Dlaczego chciałaś się spotkać?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć. – Anka zmrużyła oczy. – Tamto spotkanie... Kurczę, ono było strasznie inspirujące, wiesz?

– Było.

– Wróciłam wtedy do domu i nie mogłam zasnąć. Pół nocy nie zmrużyłam oka – ciągnęła, a Marcin wyobraził ją sobie, jak leży obok odwróconego plecami Patryka Pająka i zaciska paznokcie z błękitnym lakierem na kołdrze. – Strasznie dużo o tym wszystkim myślałam.

Oto jego słodko-gorzkie przypuszczenia się spełniają. A co gorsze, wiedział, że nie jest ze stali, że zaraz ten chrypiący głos wypowie coś, przez co on cały zmięknie i stopnieje jak wosk. Poczł lekką panikę. Rozejrzał się paranoicznie, czy z krzaków nie wychyli się zaraz głowa tamtej Teresy z telefonem wycelowanym w niego i Ankę.

Spróbował z całych sił się uspokoić. Udało się.

– I co wymyśliłaś? – spytał.

Chyba go nie dosłyszała, bo zamknęła oczy, jakby zbierała myśli. Uśmiechnęła się do siebie. Wyglądała, jakby wyobrażała sobie coś miłego.

– Widzisz, to się nawet dobrze złożyło, że mamy z Patrykiem ten kryzys. – Otworzyła nagle oczy. – Każde z nas jest teraz trochę jakby w swojej bańce i sobie nie przeszkadzamy. Mało ze sobą gadamy. Ja w sypialni mam takie małe biurko, on

dużo pisze w swoim gabinecie, musi dokończyć wykład na jakieś sympozjum. Idealne warunki.

– Na co?

Znów uśmiech. Chyba koniecznie chciała przeciągnąć moment, gdy powie mu w końcu, o co chodzi.

– A jak myślisz? – spytała tak, że aż przeszedł go dreszcz.

– Naprawdę nie wiem – odpowiedział ostrożnie. – To nie jest chyba dobry pomysł. Ja... ja przyznaję, że coś wtedy poczułem, nawet nie wiem, jak to określić. To znaczy, wiesz, u mnie też sporo się działo, w sumie nie myślałem o tym wszystkim. O nas. A teraz po prostu czuję, no nie wiem...

Zbił ją z tropu. Anka zamrugała i próbowała wyostrzyć na nim wzrok, zupełnie jak wtedy, gdy nieoczekiwanie podszedł do niej na placu zabaw przed jej blokiem na Ursynowie.

W końcu zaśmiała się cicho.

– Mnie nie chodzi o żaden romans, głupku. To nie ma nic wspólnego z tobą i mną. Pardon, to znaczy ma, w sumie nawet dużo. Może lepiej po prostu pokażę ci, o co chodzi, bo widzę, że narobiłam niezłego bałaganu z tą tajemnicą.

Poczuł się jak idiota. Na szczęście Anka patrzyła na niego z wyrozumiałością, jakby jego gafa była całkowicie naturalna.

– Jezu, naprawdę pomyślałeś, że... z tym spotkaniem to chodziło o... nas?

– Weź już zejźdź ze mnie, okej? – mruknął, przyparty do muru. – Co chciałaś mi pokazać?

Anka sięgnęła do torebki. Ściągnęła usta w ciup, jakby zastanawiała się, czy dobrze robi. W końcu wyjęła plik kartek ze spinaczem w rogu, a do Marcina powoli zaczęło docierać, o co chodzi.

– Tamta dziewczyna – zaczęła Anka, popatrując na trzymane w dłoni kartki. – Ona nie chciała wyjść mi z głowy. Miałam cały tydzień na to, żeby ją sobie wymyślić.

– Anka, czy ty chcesz mi powiedzieć...?

– Tak – przerwała mu. – Wszystko rozpracowałam, wiesz?

– To znaczy?

– No jak co znaczy? Tandem. Duet. Żadnych podtekstów, tylko praca. Czy to nie jest fajna wizja, że moglibyśmy popracować nad tym razem?

Marcin poczuł pulsowanie w skroniach. W tej kwestii nie było jednej dobrej odpowiedzi.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział sucho.

Twarz jego byłej dziewczyny stężała. Anka przez chwilę wyglądała, jakby chciała jak najszybciej schować kartki do torebki i zakończyć spotkanie. A potem znów

pojawił się uśmiech.

– Przejdźmy się, okej? – zaproponowała. – Lubię chodzić, gdy mówię.

– Może w tamtym kierunku? – Marcin wskazał na ścieżkę odchodzącą od skweru mniej więcej w kierunku Arturowej ławki. Tam przynajmniej będą w mroku. Jeśli znów chwyci go za ramię w przypływie namiętności do kina, to przynajmniej nikt tego nie zobaczy.

Ruszyli. Szli wolno, w bezpiecznej odległości.

– Wymyśliłaś jej już jakieś imię? – spytała Anka.

– Alicja – odparł niepewnie.

– Fajne, naprawdę. Kurczę, ja się trochę męczyłam z imieniem. Zuzanna było zbyt jasne, pomyślałam też o Mirandzie, bo to strasznie tajemnicze.

– Piknik pod Wiszącą Skałą?

– No właśnie. Ale Alicja? Nie przyszło mi to do głowy. Mroczna królewna, dwuznaczna.

– Tak naprawdę to nie jest jej prawdziwe imię. Prawdziwe zapomniała. Alicji też chyba nie lubiła.

– Bo?

– Było jak schronienie, ale przestało nim być.

Spojrzała na niego z nieskrywanym podziwem.

– Nie próżnowałaś – wychrypiała.

– No nie... – Zawahał się. – Ale skupmy się na tym, co wymyśliłaś.

Skręcili na skrzyżowaniu dwóch równie wąskich ścieżynek i poszli wzdłuż stawu.

– No więc tak – zaczęła Anka. – To jest prostytutka, tak? Młodziutka, niewysoka, ma różnokolorowe tęczy. Dziwna. Gdy Artur ją poznaje, jest odurzona, ledwo chodzi, ledwo patrzy. Czy ona naćpała się sama, czy ktoś ją naćpał? Dawali jej coś? Jestem za tym, że to nie jest jej wybór. Ona ćpa nie dlatego, że chce. Zmuszają ją. Ale po co? Wiem tylko, że jest bezwolna, pogodzona ze swoim losem.

– Hmm.

– Skąd ona się tam wzięła? Pomyślałam, że może ona wcale nie jest z Polski. Że przywieźli ją tu, no nie wiem, z Bałkanów albo z Ukrainy? W tamtej scenie nic nie mówi, więc nie wiemy, czy w ogóle mówi po polsku.

– Mówi. Jest Polką. – Marcin zerknął na kaczki. Wylegiwały się przy stawie jakby w letargu.

– Skąd ta pewność? – Anka się zatrzymała. – Jesteś pewien, że to dobre dla historii?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Ani przez chwilę nie pomyślał o tym w kategoriach historii do opowiedzenia. To się wydarzyło, to była prawdziwa dziewczyna, ale czuł,

że chciałby najpierw poznać wersję Anki, zanim wyprowadzi ją z błędu i opowie o śledztwie.

Anka podeszła do barierki, oparła się i spojrzała na drugi brzeg stawu.

– Alicja – powiedziała przed siebie. – Uważa, że jest nikim. Już od małego została ukształtowana w taki sposób, że nie kwestionuje swojego losu. „Cierpienie uszlachetnia”, czymś takim od zawsze karmi się ludzi, żeby siedzieli cicho i dawali sobą pomiatać. Ta dziewczyna doszła do takiego punktu, że jej osobowość stała się jakby nowotworem. Jeśli tego nie odetnie, to umrze. I wtedy pojawia się Artur, który nic od niej nie chce, to jest tak wykurwiście dziwne dla niej, że zaczyna o nim myśleć non stop, nie może się odczepić. Tylko on potrafiłby ją odczarować, jak w bajce. Albo wyciąć tego raka jej osobowości. I ona zaczyna w to wierzyć.

Marcin poczuł ukłucie zazdrości: oto Anka na podstawie jednej sceny wymyśliła sobie Alicję, niemal jak żywą. Już chciał otworzyć usta, dodać coś od siebie, ale stwierdził, że wybije tym Ankę z rytmu i umknie mu coś bardzo ważnego.

– Próbowалам się postawić na jej miejscu. – Anka spojrzała wymownie na Marcina. – Ale to było na maksa trudne. Chyba nikt nie umiałby tak do końca tego poczuć, jeśli miał normalne dzieciństwo, przyjaciół i w ogóle. Ty potrafiłbyś się w to wczuć?

– Szczerze powiedziawszy, to mnie było trudno wczuć się nawet w Artura, który wiele ryzykował, żeby tam do niej...

– A właśnie! – przerwała mu z uśmiechem. – Więc tobie też przyszło do głowy, że on jednak poszedł do niej po raz kolejny.

– I kolejny.

– Zakochał się w niej?

– Nie do końca.

– Przyjaźń?

– Przyjaźń, tak, ale on nie mógł się pozbyć uczucia, że nie może jej zostawić i wrócić do swojego życia. Zresztą to życie mocno mu się pokomplikowało, pewne rzeczy wyszły na jaw.

– Więc chodził tam, tak? – Anka zamyśliła się na chwilę. – Tak to sobie wyobrażałam, ale nie mogłam się zdecydować, jak to wyglądało. Całowali się? Uprawiali seks? Rozmawiali?

– Rozmawiali. Ale głównie czytali książkę.

– Jaką?

– Władcę Pierścieni.

Najpierw wyglądała, jakby nie dowierzała – myślała, że to żart albo bardzo słaby pomysł. Ta mina szybko ustąpiła jednak czemuś w rodzaju triumfu, uznania,

wszystkiego naraz.

– Taaak! – wykrzyknęła niemal. – Wszystko nagle się układa.

– A w co dokładnie?

– Odczepienie. Dysocjacja. Nie jestem psychologiem, ale o to mniej więcej chodzi. Jej nieszczęście. Przez nie odczepiła się od rzeczywistości. A Tolkien to jeden z najlepszych materiałów na dysocjację, nieprawdaż?

Marcin musiał przyznać jej rację, ale poczuł się zmęczony tą grą w półsłówka i trzymaniem kamiennej twarzy.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – powiedział. – Nie napisałem przez ostatni tydzień ani słowa. Niczego nie wymyśliłem.

– To nawet do ciebie podobne. – Anka uśmiechnęła się złośliwie. – Więc to chyba lepiej, że spada ci z nieba taki partner jak ja?

Spojrzał na nią wilkiem, a potem machnął ręką.

– Poszedłem innym tropem. Pewnie mi nie uwierzysz, ale...

Opowiedział jej wszystko, czego zdołał się dowiedzieć przez ostatni tydzień. Gdy zaczynał mówić, czuł się nieswojo. Że wtajemnicza w to akurat ją, że nie ma tylu zahamowań co przy Marcie, że nie musi się niczego bać. Minęło dziesięć minut ich spaceru wypełnionego jego opowieścią, kolejne siedem, doszli do tamtej ławki, minęli ją, znowu do niej wrócili, a Marcin widział po oczach Anki, jak rośnie jej podziw i zainteresowanie. Z tyłu głowy miał obietnicę daną Marcie, że to tylko rozmowa, nic więcej. Ale Anka przez cały czas zachowywała zrelaksowany dystans. To go uspokajało. Wyluzował się.

W końcu usiedli na ławce. Marcin mógłby przysiąc, że to ta sama, na której siadywał z Arturem.

– Ten facet na wózku, Major – powiedział. – Zanim odjechał, rzucił mi coś ciekawego. „Tony Orłowski”. Takie hasło, na które ten jego burdel pustoszał, i wtedy ktoś się zjawiał. Do Alicji. Nie chciał mi zdradzić tożsamości, to oczywiste. A może to był tylko taki żart z jego strony. Nawiązanie.

– Do czego? – Anka przekrzywiła głowę. – Do nazwiska?

– To najprostsze wytłumaczenie.

– Zbyt proste.

– Może i tak – zgodził się Marcin. – Ale posłuchaj teraz tego. Mój nowy dyrektor departamentu nazywa się Orlicz.

Anka parsknęła śmiechem.

– Nie żartuj. Takie rzeczy się nie zdarzają.

– Wiem, ale jest tego więcej – ciągnął Marcin niezrażony. – Orlicz mi powiedział, że bywał kiedyś w Warszawie, raz w miesiącu, służbowo. To przecież pasuje. Jest

artystą, rzeźbiarzem. I wiesz co? Z jakiegoś powodu ostatnią rzeźbę stworzył osiem lat temu, a potem już nic, przez tyle lat nic nie zrobił. Czy to nie dziwne?

– Przyznaję, ma to jakiś pokrętny sens.

– I jeszcze róże.

– Jak na tym... medalionie, tak?

– Tak. Przez trzy ostatnie lata, gdy tworzył, w jego rzeźbach pojawiały się róże. Na każdej.

– Hmm. – Anka się zamyśliła. Przez chwilę jej palce wykonywały w powietrzu falujące ruchy. – Artysta, mówisz... – powiedziała cicho. – Może to była jego muza? Źródło inspiracji?

– Nie mógł znaleźć sobie innego obiektu?

– Niektórzy artyści to nieźli psychopaci. Zwyczajny człowiek nie jest w stanie ogarnąć ich motywacji. Jeśli ten twój Orlicz rzeczywiście miał z tym coś wspólnego, to może był jakiś powód? Fetysz? Jej zapach?

Marcin miał gotową odpowiedź.

– Oczywiście. Myślę, że to o nie chodzi. Chociaż to bardzo dziwne, bo jedno było chore. To możliwe, żeby fetyszem było coś brzydkiego?

– Wszystko może być fetyszem. – Anka jak na zawołanie zagarnęła błękitnymi paznokciami uciekające spod czapki włosy, a Marcin odchrząknął. – W jej przypadku pewnie chodziło o te dwa kolory. Dziwne i fascynujące jednocześnie.

Marcin spojrzał na jedną jedyną kaczkę, która odłączyła się od leniwego stada i podreptała w stronę stawu.

– To pewnie tylko głupi zbieg okoliczności, ale nie mogę się pozbyć tego Orlicza z głowy – powiedział. – Albo już popadam w paranoję.

– Wiesz o nim coś jeszcze?

– Tylko tyle, że z całego departamentu wybrał sobie akurat mnie na kogoś w rodzaju przewodnika. Chce, żebym mu załatwił wejście na koncert muzyki symfonicznej.

– A to ciekawe. – Anka strzeliła oczami. – Mój szef proponował mi dzisiaj bilety na sobotę. Nie może pójść. Sala koncertowa Polskiego Radia.

– I nie wzięłaś?

– Myślałam, że w sobotę popracujemy nad scenariuszem. Bo zapomniałam ci powiedzieć, ale Patryk zabiera Julkę na weekend do swoich rodziców, więc chata wolna jakby co.

Marcin przygryzł wargi.

– Wybacz, ale nie mogę – mruknął.

– Boisz się. Boisz się, co powie żona, tak?

– A ty? Wyobraź sobie, że oznajmiasz Czarnej Wdowie: „W weekend chcę popracować z byłym chłopakiem. Mamy wspólną fascynację. Jego stary scenariusz”.

– Wzruszyłby ramionami.

– No niestety, Marta taka nie jest.

– Albo jeszcze taka nie jest.

Wyglądała na zawiedzioną. Przez kilka długich sekund nie odzywali się do siebie i patrzyli każde w swoją stronę. Anka pierwsza przerwała krępujące milczenie.

– To co nam zostaje? – spytała.

Marcin przez chwilę patrzył na swoje paznokcie.

– Załatwisz mi ten bilet? – spytał. – Jeśli Orlicz poczuje się przy mnie swobodniej, to może uda mi się coś z niego wyciągnąć. Jakieś słowo albo zdanie. Inaczej sobie tego nie wyobrażam. Ministerstwo to nie jest dobre miejsce na zabawy w szpiegowanie.

– Oj, Marcin. W pewnych sprawach jednak niewiele się zmieniłeś. Ostrożny jak zawsze.

– Powiedzmy, że... przyczajony.

Pożegnali się. Anka ruszyła ścieżką w stronę placu Bankowego, Marcin został jeszcze chwilę na ławce. Jedna rzecz nie dawała mu spokoju. Ten facet, Orlicz, osiem lat temu był prowincjonalnym rzeźbiarzem. Dopiero teraz wskoczył na trampolinę i dostał stanowisko w Warszawie. Czy człowiek pokroju Majora mógł uważać kogoś takiego za przyjaciela i trzymać dla niego swój cenny asset? Po co?

Nie miał żadnych odpowiedzi. Wstał, poprawił płaszcz i ruszył z powrotem w kierunku placu Piłsudskiego.

Mężczyzna na wózku podniósł pilota z małego białego stolika i nacisnął guzik. Ekran jego wielkiego telewizora zgasł, a on odłożył wolno pilota i zamknął zmęczone oczy. Przez lata nazywany przez przyjaciół i wrogów Majorem, od zawsze starał się, aby wrogów mieć jak najmniej, a przyjaciół jak najwięcej. Dziś tych pierwszych nie miał wcale, a z tych drugich ostał mu się tylko Henryk, no i może dwa leniwe koty wylegające się przy grzejniku, Lucjan i Ryfka. Pusty piętrowy dom na północnych obrzeżach Warszawy, pusty zaniedbany ogród, w którym kiedyś on i jego приятели gromadzili się przy grillu, przy niewielkim basenie. Rozmowy, biznesiki, przyjemności, wzajemna pomoc, „ty mi to, ja tobie tamto”. Nie wprost, w domyśle, po męsku.

Minęło. Skończyło się.

Od ośmiu lat jego dni były do siebie dość podobne. A właściwie noce, bo wstawał późno i zwykle czytał do czwartej nad ranem. Boże, ileż ciekawych książek można skonsumować, gdy zostało się tak brutalnie i zniecka pozbawionym władzy

w nogach, a tym samym władzy nad czymkolwiek. Czy tamta władza była zatem iluzją? Chyba tak. A może faktycznie tylko grą, jak to powiedział wczoraj w muzeum temu nieco wystraszonemu scenarzyście.

Budzi się więc o dziesiątej. Do sypialni przychodzi jego opiekunka Luda, duża kobieta po pięćdziesiątce, Ukrainka z tej części kraju, gdzie wojna od kilku lat nie daje ludziom spokoju. Pomaga mu przejść na wózek i odprowadza go do łazienki, jest tam specjalny brodzik z taboretami i uchwyty. Sam bierze prysznic, nie chce pomocy, ale jest Ludzie wdzięczny, że zaraz potem czeka na niego śniadanie. O jedenastej przychodzi do niego Henryk, stary taksówkarski wyga, od zawsze w swojej brązowej skórze, wysoki, wąsaty, z kostropatą twarzą. Nie musi tego robić, ale przynosi w plastikowych pojemnikach obiady, które robi jego stara matka. Same rarytasy polskiej kuchni: bigos, gołąbki, schabowe, mielone, ziemniaki purée albo kluski śląskie. Luda jest wtedy zła, trochę na pokaz, bo dzięki temu ma przecież więcej czasu na rozmowy przez komórkę z córką, która też pracuje w Polsce, na kasie w supermarkecie, na drugiej zmianie. Henryk codziennie przynosi trochę wiadomości z miasta, które już nie jest miastem Majora, to zupełnie inna Warszawa, takich jak on już właściwie nie ma, wymarli albo wylinieli jak on. Brudną kasę robi się dzisiaj w wieżowcach, w białych koszulach i garniturach za kilka tysięcy. Henryk przynosi też „Fakt” i „Super Express” i tę trzecią gazetę, której Major nie czyta. Nie to, że nie lubi, ale wystarczają mu tamte dwie. Na lekturze czas szybko mija do piętnastej, potem film, Canal+ albo HBO, albo Kieślowski z DVD. Major ma dla Kieślowskiego szacunek, ale gdy Henryk pyta, co było oglądane, to odpowiada, że Scorsese albo Soprano.

Wieczorem Henryk przychodzi drugi raz, żeby jeszcze pół godziny posiedzieć i pogadać, chociaż Majorowi się wydaje, że raczej po to, żeby zabrać plastikowe pojemniki i sprawdzić, czy wszystko zostało zjedzone. Czasami robi za jego opiekuna, jak w niedzielę pod kościołem i wczoraj przed muzeum. Potem już tylko Luda pomaga Majorowi przebrać się w piżamę i zostaje czekanie na sen przy lekturze. Co innego może robić samotny inwalida, któremu zostało na koncie akurat tyle pieniędzy, żeby mieć na opiekunkę, nie umrzeć z głodu i we względnym luksusie dotrwać do momentu, gdy upomni się o niego kostucha?

Nie przypuszczał, że kostucha w pierwszej kolejności zgłosi się po jego tępego siostrzeńca. Nigdy go nie lubił, uważał go za półgłówka, który nadaje się tylko do ćpania i kozaczenia. Sam nie miał dzieci, żona nie chciała, on nie nalegał. Mimo to nie żywił wobec Norberta żadnych ojcowskich uczuć. To nie była jego krew, tylko tego fajfusa, który trzydzieści lat wcześniej przybajerował jego głupią młodszą

siostrę kilkoma wyjściami na dyskotekę, zrobił dzieciaka, a potem pewnego dnia gdzieś spierdolił i tyle go widzieli.

Nawet się nie wzruszył, kiedy dowiedział się o tej kraksie na S8. Najpierw pomyślał, że kretyn pewnie wciągnął parę kresek i gdzieś za bardzo się spieszył. Potem dowiedział się, że w samochodzie był też ten Adam. Stare sprawy, głęboko zakopane, zbyt szybko podejmowane decyzje – ktoś musiał się tym interesować, ktoś musiał tego nieboraka wyciągnąć za uszy, bo facet sam z siebie nie był do tego zdolny. Potem zadzwonił ten koleżka, nakręcony jak katarynka, i wszystko stało się jasne. Historie Adama i tamtej dziewczyny z dziwnymi oczami – dwa z trzech jego największych wyrzutów sumienia – wyszły na światło dzienne.

– To tylko ja – doszedł jego uszu głos z przedpokoju.

Oto i Henryk, po raz drugi dzisiaj, chociaż Major powiedział mu rano, że nie musi przychodzić, że może odebrać sobie wczorajszą eskapadę do muzeum powstania. Facet wszedł do salonu, w brązowej skórce, bez uśmiechu. W ręku trzymał zwiniętą w rulon gazetę i przygryzał suche wargi pod krótkim wąsem. Major spojrzał pytająco.

– O co chodzi, Heniu?

– No, jedna sprawa, że wiozłem dzisiaj, no... wiozłem Di.

– Serio? – zdziwił się Major. – Co u niej?

– Nie gadaliśmy, bo ona mnie w ogóle nie poznała. – Henryk wyglądał na speszonego. – Wypindrzona strasznie. Cycki se chyba zrobiła, a już na pewno ten, no... makijaż perma-coś-tam. Mówiła tylko: „Zawieź mnie pan szybko do Promenady, bo spotkanie mam”.

– Ale dobrze wyglądała?

– No normalnie, tylko tak jakoś staro na twarzy.

Major pokiwał głową. Nie miał wieści o Dianie od dobrych dwóch lat. Po tamtej sprawie w Stokrotce, gdy w końcu wrócił ze szpitala i przechodził rehabilitację, Di dzielnie przy nim stała. Wspierała go, jak umiała. Później ciało i umysł Majora zaczęły wiotczeć z dnia na dzień, coś mu się przestawiło w mózgu, jakieś zapadki bezpowrotnie się zamknęły, ale żadne nowe się nie otworzyły. Kapcaniał, kurczył się na tym wózku inwalidzkim. Trzy lata po tamtym strzale był już tylko cieniem dawnego Majora i wtedy w Di też coś pękło. Za bardzo była przyzwyczajona do tamtej gry, „żono moja, serce moje” przy grillu, blichtr na miarę przedmieść. Pewnego dnia ktoś życzliwy doniósł Majorowi, że Di ma romans z facetem z ursynowskiej siłowni, odmładza się dla tamtego, botoks i te sprawy. Rozwód był dość spokojny, Diana zabrała samochód i co cenniejsze bibeloty, a Major został sam w niemal pustym domu.

– A ta druga sprawa, Heniu? – spytał chrapliwie.

– Ta druga jest taka, że w tej gazecie jest dzisiaj o Norbercie, że się wjebali z tym drugim w ciężarówkę. – Henryk podniósł rulon i zrobił wymowną pauzę. – Strasznie dużo jest tam bzdetów, jakieś dziwki, medaliony. I że Norbert tego spalonego...? Kurwa, zawsze myślałem, że to ten drugi...

– Chętnie przeczytam – przerwał mu Major. – Która strona?

Henryk podszedł do wózka i podał gazetę.

– Szósta.

– Dziękuję, Heniu. – Major podniósł wzrok i spojrzał wymownie na zatroskaną twarz mężczyzny. – Luda da ci pojemniki. Przekaż mamie, że gołąbki pierwsza klasa. Co jutro?

– Naleśniki będą.

– To ja z serem poproszę. Dawno nie jadłem z serem.

Henryk pokiwał głową. Wyszedł z powrotem do przedpokoju, a Major został sam z „Twoją Gazetą” na kolanach. Powoli otworzył na stronie szóstej. Jego wzrok od razu padł na małe zdjęcie w lewym dolnym rogu. Pistolety i róże. Rozdziawił usta i poprawił okulary.

– Jebany... – mruknął. – Skąd on to, kurwa, wytrzasnął?

Przeczytał artykuł. Skrzywił się. Jeszcze raz przeczytał. Więc ten nakręcony koleś musiał być dziennikarzem z tej gazety. Co też musiało mu się ubzdurać, żeby zabierać się z takim animuszem za stare i w sumie nieważne sprawy?

Dziwne było to wszystko. Siedem miesięcy po śmierci Artura spotkali się z Dariuszem pewnego zimowego wieczora pod ich „dzwonkami”. Dariusz trzymał się zaskakująco dobrze, a on dopiero zaczynał wychodzić na zewnątrz, wciąż nie mógł się pogodzić z wózkiem. Już wcześniej próbował wyciągnąć od swoich podwładnych, który z nich posłał za chłopakiem komando śmierci. I co to byli w ogóle za ludzie? Skąd się wzięli? Jak dorwali Artura i tamtą dziewczynę? Żaden z nich się nie przyznał. Nikt nie umiał też Majorowi wytłumaczyć, co się tak właściwie stało po postrzale. W dziewczynę coś wstąpiło. Gadała z Lampardem jak równa z równym, a Artur wciąż celował z tego swojego pistoletu, który ni stąd, ni zowąd zmaterializował się w jego dłoni. Lampard dał dziewczynie kluczyki do białego audi. Wyszli.

I tak właściwie kończyła się ta historia. Dla Majora było niezrozumiałe, dlaczego żaden z nich nie wziął odpowiedzialności, choć mogli na tym ugrać szacunek i wdzięczność swojego szefa. Nie miał ochoty ani siły w to wnikać, bo był przekonany, że chłopaka spotkało to, na co zasłużył. Walczyły w nim dwa uczucia: nienawiść do Artura za ten wózek i podziw, że zdobył się na taki gest dla tej wiecznie naćpanej dziewczyny.

Więc gdy spotkali się z Dariuszem w mroźny lutowy wieczór pod kościołem, nie miał dla zdruzgotanego ojca żadnych odpowiedzi. Wolał dalej trzymać Sosnowskiego w szachu, więc wybrał niedopowiedzenie. I jakiś rodzaj rekompensaty, żeby facetowi nie przyszło do głowy rozpowiadać o nie swoich sprawach.

Zacisnął zęby. Zalały go złość, żal i poczucie krzywdy. Sam Szatan podkusił go, żeby zamachnąć się na tamtą dziewczynę kijem. Był przekonany, że chłopak weźmie nogi za pas i więcej go nie zobaczą. Pomyłka, jakże bolesna. Sam Szatan podszeptał, żeby zgodzić się, w imię męskiej przyjaźni, na comiesięczne igraszki pewnego mężczyzny z tamtą dziewczyną. W tym cholernym artykule nie było ani słowa o tym, że wszystko być może zostałooby tak samo jak zawsze – Di u jego boku, „żono moja, serce moje”, grille, biznesiki, sprawne nogi zamiast wózka – gdyby nie zgodził się na prośbę tamtego mężczyzny, dawno temu. To nie Artur jest temu wszystkiemu winien. To tamten. Dlaczego nie miałyby narobić mu stracha? Niech wie, że coś czai się za rogiem.

Podjechał wózkiem do okrągłego stolika i podniósł komórkę. Wybrał numer. Tony Orłowski. To nie było żadne hasło. Major lubił nazywać tak w myślach tamtego mężczyznę.

Przywitał się zdawkowym „dobry wieczór”.

– Warto by było, żebyś śledził w najbliższych dniach czerwoną prasę – powiedział z bladym uśmiechem w kącikach spierzchniętych ust. – Niektóre sekrety przestają być sekretami. A jeśli będę miał taki kaprys, to może sam też przyłożę do tego rękę. Kto wie, może już przyłożyłem? – Słuchał przez chwilę nerwowego odchrząkiwania. – Pozdrowienia od Artura Sosnowskiego – dodał cicho i się rozłączył.

– Dżizas... – mruknął Marcin.

Już miał wejść na klatkę, gdy zdał sobie sprawę, że zapomniał o kulinarnych zachciankach Marty. Zerknął na zegarek, było wpół do siódmej, w miarę wcześnie, ale ten rejon Żoliborza był marketową pustynią. Jogurciki, czekolada, korniszony – to pewnie dałoby się kupić w Żabce za rogiem, ale z mrożonymi truskawkami może być pewien problem. Musiał więc wrócić niemal do przystanku i zajść do odnowionego sklepu Społem.

Ruszył przez skwer. Czuł się rozdarty. Wiedział, że z Anką u boku napisaliby ten scenariusz w góra trzy tygodnie. Tylko na podstawie dotychczasowych odkryć, bez dalszego zagłębiania się w nie swoje sprawy, brudne i cuchnące. Czy to, kim był Tony Orłowski, ma jakiegokolwiek znaczenie dla scenariusza? Nie.

Gdyby teraz zrezygnował, najbardziej żał by mu było spotkania z prawdziwą Alicją. Chciał ją zobaczyć, spytać, jak to naprawdę wyglądało z nią i z Arturem. Czy była w nim zakochana? Czy może potrzebowała go tylko do tego, by wydostać się

z tamtej sytuacji? Czy o nim myśli? Wspomina go? Bo że ta dziewczyna żyje, Marcin był niemal pewien. Czuł to.

Wszedł do sklepu, wziął koszyk i ruszył między półki i zamrażarki. Pokręcił się po zabłoconych alejkach, wpakował do koszyka zamówione przez Martę frykasy i trochę rzeczy na kanapki. Gdyby się zdecydował na pisanie z Anką, co powiedziała by Marta? Jest w ogóle po co pytać? „Nie bądź takim pieprzonym tchórzem, Marcin. Przedstaw sprawę jasno, obiecaj, że to tylko praca, zresztą Anka wyraźnie powiedziała, że nie interesuje jej romans. Jest zafiksowana na Alicji”.

Zapłacił przy kasie i wyszedł. Po drugiej stronie ulicy dostrzegł logo nowej cukierni, to samo, które zawsze przyciągało Martę do stoiska w galerii handlowej. Stawała jak oczarowana przy witrynie i gdy wreszcie kończyła wodzić palcem tuż przy szybie, zawsze zamawiała monokl z rodzynkami i maślane ciastka, którym nie mogła się oprzeć.

Przebiegł przez ulicę w przerwie między samochodami. Stwierdził, że jeśli ma mieć jakieś szanse w pertraktacjach z Martą, to powinien zaopatrzyć się w rodzynkowo-maślaną amunicję.

Dariusz Sosnowski odłożył „Twoją Gazetę” na półeczkę przy sedesie. Zacisnął zęby i wpatrzył się w brązowy zaciek na drzwiach toalety.

Adam poszedł po sprawiedliwość. Major stracił siostrzeńca. On stracił rekompensatę i niczego się nie dowiedział. To by było na tyle. Skończyło się. Ten artykuł był jak wielki wykrzyknik na końcu zdania i Dariusz był niemal przekonany, że za kilka dni sprawa ucichnie. Tym razem już na zawsze.

Coś nie dawało mu jednak spokoju. Otworzył gazetę jeszcze raz i przebiegł wzrokiem po artykule. Ten podpis. „O co, do diabła, chodzi?”

Olśniło go. Zrozumiał, po co jest ten tekst, po co podpis i po co zdjęcie medalionu. „Chcą ją wywabić. Chcą, żeby się do nich odezwała”.

Zastanawiał się, czy powinien po wyjściu z kibla wyciągnąć tamten telefon, pójść pod składzik z narzędziami, zadzwonić do niej i stanowczo zabronić jej wszelkiego kontaktu. Bo jeśli ona zacznie z nimi rozmawiać, to może się zrobić jeszcze większy bałagan. Nie będzie w stanie jej kontrolować. Wszystko może się zawalić. Wszystko.

Nie. Dziewczyna nie posłucha. Powinien to przeczekać. Niewielka szansa, że ona to przeczyta. Prawie żadna. Jeśli do niej zadzwoni, to da jej tym samym znać, że taki artykuł właśnie się ukazał. A na to Dariusz nie mógł sobie pozwolić.

Spuścił wodę i umył ręce. Zabrał gazetę z półeczki i wyszedł z toalety. W korytarzu minął córkę. Weronika spojrzała na niego uważnie.

– Dasz mi? – Wskazała gazetę. – Też lubię sobie poczytać na kiblu.

– Jeszcze nie skończyłem – odpowiedział szorstko i ruszył do salonu.

Marta uśmiechnęła się błogo, patrząc na puste opakowanie po dużym jogurcie o smaku pieczonych jabłek, i zaczęła się zastanawiać, co dalej: zimne truskawki z cukrem trzcinowym czy maślany rogalik. Sięgnęła po ciastko i ugryzła kawałek. Cudowny smak rozlał się po jej podniebieniu, a ona wiedziała, że to obżarstwo źle się skończy.

Marcin siedział na kanapie i opowiadał o spotkaniu z Anką. I o tym, że dzisiaj przez przypadek wpadł na dziwny pomysł. Tak naprawdę to na dwa dziwne pomysły. Dyrektor departamentu mógł być klientem tamtej dziewczyny. I pisanie scenariusza z Anką. Nie było dnia, żeby jej czymś nie zaskakiwał, ale Marta póki co nie komentowała. Delektowała się smakami.

Objadając się, słuchała, co ma jej do powiedzenia. Widać było, że starannie dobiera słowa. Szybko go przejrzała – zależało mu na jej zgodzie, chciał, żeby uśmiechnęła się, poklepała go po plecach i powiedziała: „Tak, Marcin, to świetny ruch”. Z początku było jej nieswojo, że ta jego eks miała by dalej się koło niego kręcić, ale z każdym kolejnym kęsem odpływała do krainy zen. Przymknęła oczy i zobaczyła pod powiekami wagę. Trzymała ją wielka boska postać, chyba nie Temida, bo nie miała przepaski i patrzyła przenikliwie wprost na Martę. Może Atena? Lewa szala to ukryte w mroku bagno. Prawa – różowy pokój hotelowy z dwiema maszynami do pisania. Mądra bogini przez chwilę trzymała wierzgającego Marcina między kciukiem a palcem wskazującym, a potem położyła go na lewej szali jak niesforne zwierzątko. Ogarnięty szalem poszukiwania tamtej dziewczyny tonął powoli i w końcu zniknął w topieli.

– I co o tym wszystkim sądzisz, Marta? – usłyszała ostrożne pytanie.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego bez emocji.

– Okej – odpowiedziała.

– Okej co?

Patrzył na nią z rozdziawionymi ustami i wyglądał, jakby zabiła go tą odpowiedzią. Miała ochotę się roześmiać, ale postanowiła zachować kamienną twarz.

– Powiedz mi tylko jedną rzecz – zaczęła. – Czy według ciebie praca nad tym scenariuszem ma sens? Przysiądziesz nad tym? Zrobisz to czy zrezygnujesz przy pierwszej nadarzającej się okazji?

– Nie wiem, co odpowiedzieć. – Marcin się zmieszał.

– W tym problem.

Wstał z kanapy i stanął przed nią. Patrzyła na jego twarz, próbując odgadnąć, o co tak naprawdę mu chodzi. W jego oczach nie było determinacji, tylko to, co zawsze: niepewność, zagubienie, niemała prośba o to, żeby ktoś zdecydował za niego.

– Marcin, zgadzam się. – Uśmiechnęła się. – Nie wiem, czy nie będę tego żałować...

– Ance nie chodzi o żaden romans, tylko praca.

– Co mnie obchodzi Anka. O co chodzi tobie?

Wiedziała, że przegina i że jeszcze chwila, a Marcin wycofa się i jej plan odciągnięcia go od prawdziwej Alicji, śmierci Artura, gangsterów i Stokrotek spali na panewce. Uniosła pojednawczo dłoń.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale wiesz... Jak zobaczysz u siebie pierwsze symptomy... no wiesz czego, to...

– Tak. – Pokiwał energicznie. – Wiem, o co ci chodzi.

Patrzył jeszcze na nią pytająco, ale wzruszyła tylko ramionami, jakby audyencja dobiegła końca. Czuła, że ugrała dwie sprawy: Marcin zajmie głowę pisaniem i będzie się pilnował przy tamtej kobiecie. Trzecią sprawę mogła ruszyć dopiero, gdy on zniknie na chwilę, pod prysznicem czy z Dżeki na wieczornym spacerze.

– Pójdiesz z psem? – Posłała mu wymowne spojrzenie.

– Jasne, oczywiście.

– Super.

Poczekwała, aż założy kurtkę i przywoła Dżeki. Gdy wyszedł i zamknął cicho drzwi, sięgnęła po komórkę. Orlicz. Jeśli ten facet z ministerstwa jest czemukolwiek winien... W głębi duszy nie dowierzała, że Marcin przestanie grzebać przy cudzych sprawach. Andrzej Rulewski – on załatwi to szybciej, a Marcin obejdzie się smakiem i wróci do rzeczywistości.

Wstała powoli, podeszła do okna i wyjrzała. Stał przy śmietniku, a spuszczone ze smyczy Dżeki krążyła między klombami i wąchała zapachy wszystkich okolicznych psów. Marta zastanowiła się po raz ostatni. Zdecydowała się i napisała, co miała napisać.

Wcisnęła ikonkę z kopertą i odłożyła telefon na stół.

Stał przy śmietniku i wodził wzrokiem za Dżeki. Nie mógł uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. Znienacka wszystko zaczęło się układać, a to wydawało mu się mocno podejrzane. Alicja, ta prawdziwa, na chwilę przestała go interesować. Tak samo jak Tony Orłowski, kimkolwiek był. Poczł się dziwnie lekki. On i Anka – gdy już wreszcie usiądą przy laptopach, wypełnią wszystkie luki w tej historii. Czy trzeba pchać dalej palce między drzwi, jak to powiedział Major?

Póki miał u swojego boku Andrzeja Rulewskiego, mógł brnąć w tę mroczną przygodę. Ale teraz to chyba nie miało już sensu. No i była jeszcze jedna sprawa, którą zaniedbał.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza telefon i z ciężkim sercem wybrał numer swojego ojca. Sygnały w słuchawce przeciągały się w nieskończoność. Wiedział, że gdyby odezwała się poczta głosowa, to po prostu by się rozłączył. Nie byłby w stanie nic powiedzieć.

– Halo, Marcin? – usłyszał w końcu w słuchawce nieco zaspany głos. – Przepraszam cię, że tak długo nie odbierałem, ale zmogło mnie i musiałem się położyć. Coś się stało? Coś ważnego? Coś z Martą? – Ojciec ożywiał się z każdym słowem. – To przecież chyba jeszcze nie czas...

– Dobry wieczór, tato – powiedział Marcin cicho. – Wszystko w porządku. Nic się nie stało. Tak naprawdę...

Urwał, bo poczuł w głowie przeraźliwą pustkę. Jakby był na egzaminie, do którego się nie przygotował. Żadnej myśli, nic...

– Coś się jednak stało. – Grzegorz Bielawski przerwał ciszę. – Inaczej byś do mnie nie zadzwonił. Kiedy ostatni raz dzwoniłeś? Chyba przed ślubem, tak?

– Nie atakuj mnie...

– Przecież nie atakuję, tylko stwierdzam smutny fakt. Tak naprawdę to cieszę się, ale nie znam powodu twojego telefonu, więc nie wiem, czy nie za wcześnie. Może...

– Poczekaj, tato – przerwał Marcin. – Nie mów nic przez chwilę. Daj mi się zastanowić.

– Dobrze.

W słuchawce zaległa cisza, a Marcin próbował skupić zamglony wzrok na czymkolwiek. Ciemne krzaki, znikająca w nich raz po raz Dżeki, pusta ławka. Samochody zaparkowane wzdłuż wąskiej uliczki. Wszystko to zlewało się w coś na kształt bardzo ogólnego planu w filmie, a Marcin potrzebował detalu. Zbliżenia.

Spojrzał na śmietnik. Dostrzegł na metalowych drzwiach białą wlepkę z gapiącym się prosto na niego ufoludkiem i napisem: „Strzeż się ludzkości”. Postanowił, że to będzie jego kotwica na najbliższą minutę. Minutę, która mogła zdecydować o wielu sprawach.

– Tato... – zaczął. – Wiem, że nasze kontakty są nie takie, jakie powinny być. Ty i mama, wasze sprawy, ja... Przez długi czas wersja mamy była dla mnie okej. Nie potrzebowałem twojej do szczęścia. Może to dziwne, ale... Tak było lepiej, można się było tego trzymać. Wszystko jest prostsze, kiedy nie trzeba słuchać dwóch osób... Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak – odpowiedział ojciec cicho. – Ale...

– Poczekaj, poczekaj jeszcze – przerwał mu Marcin. – To mi już nie wystarcza. Jestem z Martą, zaraz będzie Jurek, a ja się zaczynam gubić. Wiem tylko, że byłeś fajny, ale w pewnym momencie to się skończyło. Wiem, co myśli o tym mama, ale

zacząłem widzieć dziury w jej wersji, bo ona już tak mocno w to wierzy, że nie da się z nią rozmawiać. Nie wiem, jakie wy błędy popełniliście, nikt mi nie powiedział prawdy, takiej prawdziwej. I boję się, że ja zrobię to samo. A może to była jakaś głupota? Może wy wcale nie musieliście się rozstawać? Nie wiem...

Zamilkł, bo wlepka z ufoludkiem przestała działać i znów zapadł się do środka.

– Marcin – odezwał się ojciec. – To chyba nie jest rozmowa na telefon, nie?

– Chyba nie.

– Będę w piątek w Warszawie. Mam jakieś dokumenty, które muszę gdzieś złożyć.

Przyjść do was?

– Wolałbym rozmowę w cztery oczy.

– Więc podejść pod ministerstwo o szesnastej. Pójdziemy na kawę. Czy to jest dobry pomysł?

Marcin zamrugał oczami. Tuż przed nim siedziała Dżeki i patrzyła z niemym pytaniem w brązowych ślepiach. „To dobry pomysł, Dżeki? – spytał w duchu. – Jak myślisz?”

– Tak, tato – odpowiedział. – Tak zrobimy.

Środa,
18 października, 9:16



Już w drodze na kolegium Andrzej czuł, że coś się święci. Wiele twarzy przyglądało mu się nieco zbyt uważnie. Gdy mijał dwie laski w sweterkach, zdążył zauważyć, że strzeliły oczami, jakby opowiedziały sobie właśnie świetną plotkę. Nie miał czasu na grzebanie w necie, wyszedł z windy spóźniony, dziesięć minut przed briefingiem w sali konferencyjnej, gdy większość redakcyjnej młodzieży tłoczyła się już pod szklanymi drzwiami w oczekiwaniu na Garbarka. Zdążył jeszcze podejść do swojego biurka, ale stało puste, tak jak je zostawił poprzedniego dnia. Spodziewał się zobaczyć na nim żartobliwe karteczki, jak w amerykańskich filmach, typu: „Wiem wszystko, Frodo”, „My preciousss” albo figurkę hobbita z posklejanych gazet.

Kolegium przeszło dość szybko i Andrzej czuł, że zbliża się do końca, gdy Garbarek podszedł do laptopa. Po chwili na dużym telewizorze pojawił się wczorajszy artykuł Andrzeja, a właściwie jego portalowa wersja. Po sali przeszedł szmer, jakby aprobaty, ale nie do końca. Szum komentarzy, które Andrzej próbował bez powodzenia rozróżnić.

– Tak, drodzy państwo – powiedział Garbarek teatralnie. – Kto by się spodziewał, że tytuł najbardziej komentowanego materiału w tym miesiącu przypadnie dziełu naszego starego wyjadacza. Gratulacje, Andrzej. – Wyciągnął dłoń, jakby oczekiwał, że Rulewski natychmiast wystąpi przed szereg, uśmiechnięty i rozpromieniony jak zwycięzca korporacyjnego konkursu na najlepszego sprzedawcę garnków.

– Miesiąc się jeszcze nie skończył – zawołał ktoś odważny z tyłu.

„Podrażnił ich – pomyślał Andrzej. – I o to chodziło”.

– Andrzej Rulewski – kontynuował wicenaczelnny z ręką wyciągniętą w powietrzu, świdrującym wzrokiem nakazując Andrzejowi, żeby przestał się wygłupiać, nie robił scen i wyszedł w końcu na środek. – Człowiek, który ze starej zapomnianej sprawy potrafił zrobić świeży, wciągający materiał. Od wczoraj pięćdziesiąt tysięcy odsłon i ponad osiem tysięcy komentarzy, z przyrostem dwudziestu na minutę.

W szmerze dookoła Andrzej wychwycił dwa męskie głosy. Że temat z dupy, szajs, wymyślona bajka, żadne dziennikarstwo. Obrócił głowę i poszukał źródła. Zrobiło mu się nieprzyjemnie gorąco, ogarnęło go coś w rodzaju klaustrofobii. Postanowił jednak wyjść do Garbarka. Podszedł i ucisnął śliską dłoń wicenaczelnego.

– Dzięki, ale nie wiem, czy jest co świętować – mruknął.

– No, nie bądźmy tacy skromni – odpowiedział tamten z krzywym uśmiechem. – Gazeta potrzebowała takiej bomby. Oklaski dla Andrzeja poproszę.

Grono redakcyjne zaklaskało, ani przesadnie głośno, ani z wielkim entuzjazmem. Andrzej z zaciśniętymi ustami wyłowił wzrokiem tych gostków od brzydkich komentarzy. Klaskali ostentacyjnie, jak dzieciaki w cyrku. Nachylił się do ucha Garbarka.

– Mogłeś to załatwić inaczej – powiedział cicho.

– Nie ma to jak motywacja, stary. Teraz będą chcieli się z tobą trochę pościgać.

– Może tak, a może i nie.

Wymuszony aplauz ucichł. Garberek uniósł dłoń.

– Teraz do roboty, drodzy państwo. Podtrzymajcie ten ogień.

Redakcja odpowiedziała szumem rozmów i tłokiem przy wyjściu z sali konferencyjnej. Garberek odczekał chwilę.

– Tak między nami, Andrzej. – Nachylił się konfidencjonalnie. – Po chuj dałeś ten dziwny podpis na końcu?

– A co? Nie zadziało? Chciałeś odzewu społeczeństwa, to masz.

– Więc co to było? Taka podpucha dla targetu?

– Coś w tym guście. Dasz mi moment, żebym mógł się zapoznać?

– Jasne, jasne. Idź.

Andrzej wyszedł z sali i ruszył do swojego miniakwarium. Po drodze zastanawiał się, którą sprawą powinien zająć się najpierw. Szumem na forach wokół artykułu i mejlami, wśród których mogła być odpowiedź Alicji? Czy może tym wczorajszym SMS-em od Marty Bielawskiej, z dziwnymi informacjami na temat jakiegoś Orlicza z ministerstwa kultury?

Odpalił laptopa. Usiadł wygodnie i poczekał, aż załaduje się pulpit. Wszedł na portal gazety. To ciekawe, że jeszcze wczoraj link do internetowej wersji jego artykułu był niemal niewidoczny, ukryty między włamaniami do sklepu monopolowego w Wielkopolsce a pierwszym śniegiem w Tatrach. Naprawdę aż tylu ludzi przewinęło stronę, kliknęło w ten artykuł i jeszcze zostawiło komentarz? Najwyraźniej tak. Dzisiaj z rana Garberek zadbał o ekspozycję. Każdy, kto wszedł na portal, od razu był atakowany krzyżującym tytułem i fotomontażem – Alicja, przerobiona w Photoshopie z jakiegoś zdjęcia porno z sieci, zapikselowane sutki, a na szyi medalion, jak u jakiegoś pieprzonego Wiedźmina.

Komentarze. Czego tu nie było? Kłótnie między trollami, która partia miała monoPOL na dymanie nieletniej prostytutki. PedofileOjcobójcy? Czy może Przystojni_i_Seksowni? „W każdym razie nie Biedroń” – zauważył ktoś przytomnie. Bo że cała sprawa ma polityczne tło, nikt nie wątpił. Andrzej z rosnącym znużeniem przewijał forum i zastanawiał się, czy Polacy są jedynym narodem na świecie, któremu wszystko z automatu kojarzy się z polityką.

Między pojedynkami trolli i hejterów wyłuskał, jak ziarenka wśród plew, przechwałki prowincjonalnych Don Juanów i bywalców rozsianych po całym kraju burdeli. „Znam tego lachona z foto” – pisał Rafciu80. „Nocny powrót, norma wyrobiona, kiwa mi się głowa nad kierownicą, a z Wrocka do Wawy jeszcze sporo kilosów, zajeżdżam na stację, redbull, wchodzę na anonsiki – no tego mi było trzeba. Skręcam w Sieradzu, mały domek, przytulny. Lala jak marzenie, wszystko na full, te sprawy. Kimnąłem się w zajeździe i rano jak nowo narodzony”. Post Rafcia zainicjował wyścigi, który co zaliczył, w jaki sposób i gdzie, i na pewno właśnie z tą Alicją z artykułu. „Super, gratuluję – pomyślał Andrzej zgryźliwie. – Co z tego, skoro ta twarz i to ciało to tylko mokry sen grafika z redakcji. Nic więcej”.

Mimo to poczuł ekscytację, gdy wchodził na pocztę z imieniem hobbita. A nuż ona też się odezwała? Może czeka już tam na niego niezwykła opowieść? Kliknął ikonkę i zamarł.

Pół setki wiadomości. Już po tematach i adresach wiedział, że większość tego to badziewie, ale przeglądał mejl po mejlu. Część powtarzała schemat z komentarzy: „Byłem w takim to a takim przybytku, laska podobna, tylko może cycki nie tak ładne jak na foto. Może ona i była Alicja, ale nie pytałem”. Albo: „Ta z szosy to mi mówiła, że można jej mówić Alicja, ale słaba była, za te pieniądze...”. I tak dalej. Między tymi wynurzeniami parę rozneglizowanych fotek od prowincjonalnych lolitek w podwiązkach, które z nadąsanymi minami kusiły: „Hejka, Frodo, nudzę się, szukam sponsora, dla ciebie mogę być Alicją, wyślij mejla, całuski, xxx”.

Andrzej czytał i kasował. Zanim skończył, pojawiło się pięć nowych wiadomości, wszystkie w ten sam deseń. Oparł podbródek na dłoniach i ze znużeniem wpatrywał się w ekran laptopa. Cóż, póki co nic z tego nie wyszło, oprócz szumu. Potrafił sobie wyobrazić, jak wczorajsza gazeta krąży z rąk do rąk, w przerwach między kładzeniem kafelków, w hurtowniach gdzieś na Podlasiu, czytana w McDonalddie przy hamburgerze, w małych wiejskich sklepach, po raz drugi i trzeci, komentowana przy tanim piwie i papierosie. Szum szumem, ale ta prawdziwa, jedyna Alicja – ona się nie odezwała.

Jeden mejl wyróżniał się, ale i tak zalatywał fałszem. „To ja jestem Alicja. Mogę ci wszystko opowiedzieć. Tylko wiesz, potrzebuję kasy. Dogadamy się?” Andrzej pomyślał, że trzeba to jak najszybciej sprawdzić. Rozwiń skrót JRR? Banalnie proste, pierwsza z brzegu odpowiedź w Google wskazywała na Tolkiena. Książki nie czytał, a z filmu pamiętał głównie wkurzającego Legolasa, ciapowatego Sama i przemianę Galadrieli. Przy zwierciadle czarodziejka straciła na chwilę panowanie nad sobą i twarz Cate Blanchett przetransformowała się w przerażającą strzygę, z głosem niczym z piekielnych czeluści.

„Pewnie. Kasa nie gra roli. Pamiętasz, jak Arwena zmieniła się przy zwierciadle? Nie przypuszczałem, że Liv Tyler tak dobrze to zagra”.

Wysłał mejla. Wyciągnął z kieszeni komórkę i jeszcze raz przeczytał wiadomość od Marty. Dziewczyna musiała na serio przejąć się ich układem. On nie miał jej na razie nic do przekazania, a ona pisała: „Marcin podejrzewa swojego nowego dyrektora. Orlicz. Władysław czy Waldemar, nie pamiętam. Ten mafioso nagadał mu, że do Alicji przychodził jakiś Orlowsky, taka ksywa. Sprawdzisz go? Ufam, że zrobisz to sprawniej niż mój mąż ;-) pozdro, Marta”.

Wpisał w Google „Orlicz ministerstwo”, nie spodziewając się zbyt wiele, i niezbyt wiele znalazł. Włodzimierz. Jedna fotka, zrobiona całkiem niedawno, na szarym płóciennym tle. Nieufne oczy, zgaszone, jakby facet nie dowierzał, że to naprawdę jego sesja zdjęciowa. Oprócz tego kilka obrazków sprzed dekady i dawniejszych, artysta w otoczeniu swoich dzieł, gdzieś na prowincji, w warsztacie przy piętrowym drewnianym domu, w ogrodzie, wszędzie metalowe stwory. Jedno z rodziną, też stare – żona w kolorowej spódnicy i chustce na głowie, dwójka nastolatków w T-shirtach i krótkich spodniach. Artystyczna rodzina z domu na skraju pomorskiego lasu.

No i jeszcze strona z pracami Orlicza. Andrzej przejrzał zdjęcia, niemal przykleił się do ekranu i zaraz potem domyślił się, czemu Marcin tak się nim zainteresował. Róże. Poskręcany metal na pierwszy rzut oka maskował kwiaty, ale niewątpliwie one tu były. Zaczęły się pojawiać jednaście lat temu, a trzy lata później Orlicz wykonał ostatnią rzeźbę.

Podobne internetowe śledztwo na pewno zrobił też Bielawski, ale Andrzej miał do dyspozycji jeszcze redakcyjne archiwum. Jedna szansa na milion, bo rzeźbiarz z Pomorza to nie był temat dla „Twojej Gazety”. Musiałby ukatrupić żonę, przejechać kogoś na pasach albo zdetonować na wernisażu bombę ukrytą w tym żelastwie.

Nic nie znalazł.

Przejrzał jeszcze raz stronę poświęconą rzeźbom i wyłuskał z biografii, że Orlicz większość życia spędził w małym mieście na południe od Gdańska. Sprawdził w Google’u, czy nie ma tam przypadkiem lokalnej gazety. Była. Wyszukał telefon do sekretariatu. Przedstawił się i spytał o dziennikarzy, którzy mogliby pamiętać, co działo się w tamtym miasteczku osiem lat temu.

– Pewnie Jurek Tomczyk będzie coś wiedział, ale on jest teraz na chorobowym – odpowiedziała chrapliwie kobieta, z głosu namiętna palaczka przed pięćdziesiątką. – To coś ważnego?

– Jeszcze nie wiem. Dałaby mi pani do niego kontakt? Być może przyda mi się kilka faktów z historii waszego miasta do artykułu.

– Naszego miasta? – zdziwiła się. – A to ci heca.

– A co? Z niczego nie słyniecie?

– Bo ja wiem? Chyba tylko z tego, że mieszka u nas ten rzeźbiarz od metalowych konstrukcji.

– Orłowski? – Andrzej przekrzywił głowę.

– Nie. Orlicz.

– No widzi pani. W każdym miejscu znajdzie się coś ciekawego.

Połączyła jej lokalny patriotyzm i dała mu numer do Jerzego Tomczyka, dziennikarza przed emeryturą, który ostatnio stanowczo zbyt często przebywał na zwolnieniach lekarskich.

Jeszcze raz otworzył pocztę i odczytał wiadomość od rzekomej Alicji: „Sorki, nie bardzo wiem, o co chodzi. To jak będzie? Wyślę ci numer konta. Jak zrobisz mi przelew na tysiąka, to wszystko ci powiem. Alicja”.

Przez chwilę myślał, że może zatrzymała się na książce i nigdy nie obejrzała filmu, ale wszystko w tym mejlu wskazywało na to, że to zwykła naciągaczka. Nie odpisał.

Marcin zrobił porządek na biurku. Świeże wnioski po lewej stronie, te już sprawdzone w prawym górnym rogu obok monitora, spryskanego płynem czyszczącym do ekranów i wytartego miękką szmatką. Czuł się podekscytowany, choć próbował tamować emocje i po raz pierwszy od dłuższego czasu zająć się pracą, za którą dostawał pensję. Jeden wniosek, drugi, trzeci – papiery trafiały na stertę przy monitorze. Nagle wszystko się wyprostowało. Pierwsza od miesiący rozmowa z tatą, kryzys z Martą zażegnany. Czuł też, że powinien zadzwonić do Anki. Czy uda im się to napisać? Jasne, że się uda, muszą tylko zacząć. Adler mówił coś o spotkaniu z producentem. Kiedy to miało być? Marcin za cholerę nie pamiętał.

– Jak ci idzie opieka nad Orliczem? – spytała Patrycja sarkastycznie. – Byliście już w kinie i w zoo?

– Nie, ale dzięki za przypomnienie.

Wstał z telefonem w dłoni i wyszedł na korytarz, po drodze posyłając koleżance minę z gatunku „bardzo śmieszne”.

– Cześć, Anka – powiedział po kilku chwilach do słuchawki. – Nie zgadniesz.

– Orlicz ci się ze wszystkiego wygadał? – Zachichotała. – Masz to na taśmie?

– No nie, tak dobrze to nie ma. Ale Marta dała mi zielone światło.

– Pieprzysz.

– Zgodziła się. Możemy pracować.

– Kurczę, to niesamowite. Zuch dziewczyna. Chciałabym ją poznać. A może przyjdźcie razem? Co trzy głowy to nie dwie.

Marcina zatkało na moment.

– To nie jest taki głupi pomysł – przyznał.

– No cieszę się, Marcin, naprawdę – dodała Anka.

– A co z tym biletem dla wiesz kogo?

– Będę miała w piątek. Podrzucę ci koło piętnastej, jak będę jechała odebrać faktury w centrum.

Dogadali kilka spraw. Ona miała uporządkować swoje notatki o Alicji, on spisać w punktach wszystko, co z tej prawdziwej historii Artura nadawało się do scenariusza. Kiedy skończyli rozmawiać, Marcin poczuł błogi spokój. Wszystko zdawało się iść w dobrym kierunku.

Jerzy Tomczyk odebrał telefon od Andrzeja dopiero za trzecim razem. Miał zmęczony głos, trochę bełkotliwy, jakby strzelił ze dwa piwa przed obiadem. Ożywił się na wieść o tym, że dzwoni do niego dziennikarz z Warszawy. Andrzej opowiedział facetowi podobną bajeczkę jak babce z jego redakcji. Rozejrzał się po palarni i zapalił papierosa.

– I do czego jestem panu potrzebny? – spytał Tomczyk.

– Wie pan, takiemu miastu jak wasze zawsze przyda się jakaś promocja, nie?

– Pan mnie nie bujaj, pan nie jesteś z „Travelera”.

– No nie.

– Więc o co chodzi?

Nie było sensu ściemniać. Andrzej strzepnął popiół.

– Orlicz, mówi to panu coś? – Ściszył głos. – Facet instaluje się na dość wysokiej posadce w stolicy.

– Serio? – zdziwił się Tomczyk. – No w sumie... Ostatni raz widziałem go ze dwa tygodnie temu.

– To ciekawa postać?

– Pod jakim względem? Artystycznie to taka nasza maskotka, jego rzeźby...

– A pod jakimkolwiek innym?

– O co panu chodzi, panie Rulewski?

Andrzej wyczuł, że facet trochę zbystrzał. „Pewnie nabrał podejrzeń, że chcę zrobić Orliczowi koło pióra – pomyślał. – Zaraz odłoży słuchawkę i po zawodach”.

– Nic wielkiego nie chodzi mi po głowie, panie Tomczyk – powiedział wolno. – To w sumie rutynowa sprawa. Każdą nową figurę staramy się poznać. Czym się taki ktoś zajmował, jaki ma dorobek. To się później przydaje do wywiadów.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Andrzej wiedział, że w ciągu kilku sekund pozna wynik tej rozmowy. „Nie odkładaj, nie odkładaj...”

– To co chce pan wiedzieć o Orliczu? – Tomczyk brzmiał, jakby potrzebował znów się nawodnić. Po pierwszym ożywieniu nie został nawet ślad.

– Osiem lat temu przestał rzeźbić. Miał jakiś powód?

Milczenie. Andrzej czekał cierpliwie, wpatrując się w żar papierosa.

– Wie pan, to są przykre i dziwne sprawy, a ja nie znam szczegółów – powiedział w końcu facet.

– A w wielkim skrócie?

– Orlicz próbował się wieszać. W lesie, z samego rana. Znalazł go myśliwy, całe szczęście. Odciął go, przyjechało pogotowie, zawieźli go do jakiegoś ośrodka. Posiedział tam z pół roku i wrócił. Ale żadnej rzeźby już potem nie zrobił.

– Dlaczego się wieszał?

– A skąd mam wiedzieć? Dużo się u nas gada, ale z Orliczem to nikt nic tak naprawdę nie wiedział. Pod lasem mieszkał, z dala od wszystkich.

– A co ludzie gadali?

– Że artysta, depresja, wrażliwy człowiek.

– Okej. Pamięta pan, co to był za miesiąc?

– No pamiętam, bo to było zaraz po wakacjach. Wrzesień. Sam początek września.

Andrzej poczuł znajome pulsowanie w skroniach. Z rozsypanych puzzli jeden właśnie magicznie wskoczył na swoje miejsce.

– On ma jakąś rodzinę, prawda?

– Tak, jego żona dalej tu mieszka pod lasem. A dzieciaki, jak to dzieciaki. Córka studiowała w Warszawie, a teraz to nie wiem, chyba siedzi w Anglii w jakimś banku. Syn studiuje w Gdańsku.

– Dziękuję. Nie będę już panu zawracał głowy.

Andrzej rozłączył się i głośno wypuścił powietrze. Jeszcze nie wiedział, co zrobi z tą nową wiedzą. Na razie musiał to wszystko przetrwać.

Marcin zapukał do gabinetu dyrektora departamentu. Gdy usłyszał ciche „proszę”, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Orlicz stał przy oknie i wpatrywał się w wąski wycinek Krakowskiego Przedmieścia, z pomnikiem księcia Poniatowskiego i Pałacem Prezydenckim po drugiej stronie ulicy. Lekko przygarbiony, obrócił się i uniósł brew nad okularami. Marcin wciąż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że facet zupełnie tu nie pasuje. I że podświadomie czeka, aż ktoś zapuka do drzwi i powie mu, że okres próbny się skończył i może wracać do domu.

– Będę miał dla pana dyrektora bilet na sobotę wieczór. Beethoven i Czajkowski.

– Która symfonia? – ożywił się Orlicz. – W sensie: Beethovena.

– Zdaje się, że siódma, ale mogę jeszcze sprawdzić.
– Wagner mówił o niej: „apoteoza tańca”. Dobry wybór, panie Marcinie. Jest żywiołowa, spontaniczna. Przyda mi się.

– Cieszę się. – Marcin starał się ukryć rezerwę. A potem postanowił się przyznać.
– Oglądałem w internecie galerię pańskich rzeźb.

– Doprawdy? – Na twarzy Orlicza pojawił się cień zdziwienia.

– Tak. Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie spotkałem się z twórczością opartą na metalu. No, oczywiście poza biżuterią. Robił pan też biżuterię?

Orlicz uniósł podbródek i z tą swoją niewyraźną miną wpatrywał się w sufit, jakby szukał tam inspiracji.

– Nie, panie Marcinie – powiedział w końcu. – Zawsze ciągnęło mnie do dużych form. W skali makro, nie mikro, jeśli mogę tak powiedzieć. Ale to już historia. Tamte rzeźby przynależały do innego czasu. Tak naprawdę powinienem zdjąć już tę stronę z sieci, ale córka mi nie pozwala. Opłaca domenę i serwer.

– Można gdzieś jeszcze zobaczyć te rzeźby na żywo? – spytał Marcin i dostrzegł w oczach Orlicza zniecierpliwienie.

– Wie pan, część rozebrałem – odpowiedział dyrektor sucho. – Część rdzewieje gdzieś w jakichś parkach. Więc raczej nie zaspokoi pan ciekawości.

– Podobał mi się motyw kwiatowy w ostatnich rzeźbach – drążył Marcin, choć wiedział, że balansuje na krawędzi.

– Ach tak, dopatrzył się pan?

– Jakoś mi się udało.

– Niektóre inspiracje okazały się z czasem niewarte tego miana, panie Marcinie.

– Nie za bardzo rozumiem. Nie jestem artystą.

Orlicz odwrócił się z powrotem do okna.

– To prywatne sprawy. Ale dziękuję za bilet i za to, że pan pamiętał. Chciałbym powiedzieć, że się odwdzięczę, ale nie wiem, czy to wypada na tym stanowisku.

– Bilet przyniosę w piątek – rzucił Marcin z ręką na kłamce.

– Dziękuję.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Zamknął za sobą i pomyślał, że Włodzimierz Orlicz zdecydowanie zasługuje na bliższą obserwację. Nie miał tylko pojęcia, jak się do tego zabrać ani czy w ogóle powinien to robić.

Andrzej postanowił: Orlicz z ministerstwa wart był zainteresowania, choćby dlatego, że osiem lat temu chciał się wieszać – po wakacjach, podczas których Alicja zapewne wymknęła się swoim opiekunom. Przez trzy lata wplatał w swoje dzieła róże. Gdyby te metalowe stwory nosiły jeszcze pistolety, sprawa byłaby jasna jak

słońce. Ale nie nosiły. Andrzej po powrocie z palarni jeszcze raz dokładnie przejrzał galerię Orlicza, ale nie znalazł żadnych motywów z bronią.

„Mała obserwacja nie zaszkodzi, może za to przynieść kilka odpowiedzi” – pomyślał. Wpatrywał się w blat, nerwowo stukał kciukami o krawędź laptopa i zastanawiał się, czy nadać sprawie służbowy bieg – czy pójść do Garbarka i korzystając z jego entuzjazmu, wyprosić na parę dni któregoś z etatowych fotografów. Tyle że w ten sposób pozbawiłby się wszelkiej kontroli. Jeśli Orlicz zrobi coś głupiego, to Andrzej chciał mieć możliwość przyciśnięcia faceta i zdobycia pełnego obrazu. Znał wicenaczelnego – Garbarek nie będzie się bawił w subtelności. Rozpęta aferę. Po porażce z Majorem Andrzej miał zamiar działać ostrożniej i w bardziej przemyślany sposób.

Wyszukał w telefonie namiar na Mundka – fotografa, z którym osiem lat temu był w tamtym lesie, przy zwłokach Igora. Mundek już od dawna nie wystawał w redakcji w oczekiwaniu na temat. Z tego, co Andrzej wiedział, prowadził teraz prywatną działalność i darował sobie denatów. Oprócz ścianek i ustawek robił też śluby, ale od czasu do czasu Rulewski widywał u konkurencji zrobione mocnym teleobiektywem fotki ryjów z sopockich plaż, podpisane pseudonimem „Ed Moon”.

– Cześć, Mundi – powiedział chwilę potem, zakrywając dłonią słuchawkę. – Pamiętasz jeszcze Rulewskiego z redakcji?

– Siemanko, Andrzej. Co jest? Masz dla mnie zlecenie?

– Jakbyś zgadł.

– Macie w gazecie parcie na ryjów przy grobach bliskich?

Andrzej się skrzywił. No tak, święto zmarłych zbliżało się wielkimi krokami.

– Nie, to zupełnie inna sprawa – odparł. – Ale chciałbym, żeby to zostało między nami. Prywatnie póki co. Jak coś wyjdzie, to oczywiście publikacja, płacimy i tak dalej.

– A jak nie wyjdzie?

– To albo się dogadamy, albo zapłacę ci za pusty przebieg.

Mundek najwyraźniej przeżuwał tę ideę, bo nie odzywał się przez chwilę.

– W terenie? – spytał w końcu.

– Warszawa. Człowiek z rządu. Nowy, nic o nim nie wiem.

– To ma coś wspólnego z tamtym medalionem?

– Czytałeś? – zdziwił się Andrzej.

– No, czasami sprawdzam, co się dzieje w starej robocie. – Mundek trochę się ożywił. – Naprawdę dorwałeś tych od Igora?

– Naprawdę. I dostałem przy tym po dupie. Porsche poszło do kasacji.

– Ja pierdołę...

Andrzej nie wiedział, czy to komplement, czy wyraz dezaprobaty.

– To jak będzie, Mundek? – Podniósł wzrok i rozejrzał się po redakcji. – Pojeździsz kilka dni za panem Orliczem? Większość dnia spędza pewnie w robocie. Chciałbym się dowiedzieć, co porabia wieczorami. No i weekend się zbliża. Jak nic nie wyniuchasz, trudno.

– Wiesz, Andrzej... – Mundek się zawahał. – Tamto z Igorem... Ja robię teraz zupełnie inne rzeczy. Panny młode, kwiatki, w lecie jeżdżę podglądać ptaki do puszczy.

– Ed Moon to nie ty? – spytał Andrzej z krzywym uśmiechem. – Tu nie będzie żadnych trupów. Chodzi mi tylko o to, czy pan Orlicz jest porządny, czy może lubi sobie czasem coś nietypowo zadymać. – Dostrzegł między biurkami idącego w jego kierunku Garbarka i odwrócił głowę. – To jak? – spytał cicho. – Muszę wiedzieć.

– Okej – odpowiedział Mundek bez entuzjazmu. – Kolo będzie miał ogon. Do niedzieli.

– Jestem ci coś winien?

– Na razie nie. Może kiedyś.

– Facjatę znajdziesz w Google. Włodzimierz Orlicz. Muszę kończyć, bo nadchodzi hiszpańska inkwizycja.

Garberek stanął tuż za plecami Andrzeja i odchrząknął. Andrzej rozłączył się i podniósł wzrok.

– Mam pomysł, jak pociągnąć temat. – Wicenaczelnny znacząco uniósł brew. – Napiszesz, że ta dziwka się odezwała. I że chce kasy za swoje informacje. Ale że się zastanawiamy na razie i że będziemy z nią negocjować.

Andrzej się wzdrygnął. Pomysł szefa skojarzył mu się z mejlem tej naciągaczki, która chciała przelewu na tysiąc złotych. Czyżby napisała też na adres Garbarka, zirytowana tym, że Andrzej nie zareagował na jej propozycję?

– Jestem za tym, żeby poczekać – powiedział.

Garberek przez chwilę patrzył na Andrzeja bez emocji.

– To twój temat. – Splótł dłonie i strzelił palcami. – Nie zamierzam się wtrącać. Tylko trzymaj rękę na pulsie, okej?

– Nie inaczej.

Wicenaczelnny obrócił się na pięcie i odszedł w stronę swojego akwariarium niby swobodnym krokiem, ale Andrzej wiedział, że w środku aż się w nim gotuje. Miał niejasne przeczucie, że tym wczorajszym artykułem narobił wokół siebie więcej smrodu i zamieszania, niż zamierzał.

Czwartek,
19 października, 18:40



„Napisze... Nie napisze...”

Mżawka zraszała mu twarz, ale Andrzej nie czuł chłodu. Truchtał po tonących w mroku działkowych alejkach i przy kolejnych wydechach mruczał do siebie słowa, które przypominały wyliczankę z dzieciństwa.

„Kocha, nie kocha. Kocha, lubi, szanuje...”

Alicja nie odpisała. Ta prawdziwa. Mijał kolejny dzień, a na skrzynkę z imieniem karzełka z powieści nic nie przyszło. To znaczy owszem, przyszła cała masa gówna podobnego do tego wczorajszego, które Andrzej przeglądał z rosnącym zniecierpliwieniem. Czytelnicy jego gazety mieli naprawdę bujną wyobraźnię. I jeszcze te anonse od początkujących panienek, podszywających się pod słynną prostytutkę. Dodał mejl z adresem Frodo do przeglądarki poczty w swoim telefonie i mimo zniechęcenia sprawdzał co kilkanaście minut.

Cała sprawa stawała się powoli głupim żartem, który sam sobie spłatał. W redakcji gęstniała wokół niego atmosfera, wymuszony przez Garbarka aplauz sprawił, że wszyscy gapili się na niego z politowaniem. Przed południem minął się w przelocie z wicenaczelnym i dostrzegł w jego oczach coś, co nie dawało mu spokoju. Garbarek się przyczajał, nie podobało mu się, że Andrzej nie pociągnął tematu wczoraj ani dziś. To było jak zapowiedź odstawki: „Czekam, ale moja cierpliwość się kończy. Wyprztykałeś się z amunicji, stary. Jesteś wyliniałym psem, który jeszcze próbuje warczeć, ale najostrzejsze zęby już mu wypadły”.

Biegł coraz wolniej. Żwir pod butami zgrzytał jeszcze przez chwilę i Andrzej bezwiednie stanął przy zniszczonej altance otulonej kopcem zgniłych liści. Rozejrzył się niewidzącym wzrokiem. Szum samochodów z alei Witosa brzmiał jak syk pary uchodzącej z gigantycznego czajnika.

Przymknął oczy i próbował wyobrazić sobie tę dziewczynę. Co by poczuła, gdyby jednak to przeczytała? Nie widział ani jej twarzy, ani figury, tylko te dziwne oczy w różnych kolorach. Nie miała żadnych właściwości, oprócz tego, że dalej nazywał ją w myślach „małą dziwką”, więc nagle na szczupłych udach pojawiły się czarne pończochy. Zaraz potem obok tej nieokreślonej postaci wypłynął z mglistej ciemności spocony klient. Brał Alicję od tyłu, a ona czytała „Twoją Gazetę”, podpierając się łokciami o materac, ziewała i co jakiś czas odwracała się przodem do podnieconego faceta. Nie wiedzieć czemu typ nagle dostał zmęczoną twarz, którą Andrzej oglądał na co dzień w lustrze.

„Kurwa, czy ja naprawdę jestem hieną?” Otworzył oczy i próbował wyostrzyć wzrok na zrujnowanej altance. Banalny epitet, lubią nim rzucać wszyscy ci, których mierzi brudzenie sobie rąk obrzydliwościami tego świata. Później cicho i wstydliwie otwierają czerwone gazety, przeglądają plotkarskie portale przy porannej kawie i chciwym wzrokiem zaczytują się w sensacyjnych historiach, które tacy jak on wygrzebują z gówna. Dreszcz emocji na plecach, a potem pogardliwe wydęcie warg. Oczyszczeni tym krótkim rytuałem wracają do swojego sterylного życia. A on dalej grzebie w szlamie i mule.

Jak szambonurek.

Jego apartament jeszcze nigdy nie wydawał mu się taki obcy i nierealny. Łóżko do spania i pieprzenia, szklany stolik w sam raz na butelkę whisky i laptopa, fotel, szafa z przesuwными drzwiami. Klatka dla samca, lekko pozłacana. Żadnych pamiątek, żadnego ciepła, zero kuchennych zapachów. Ani śladu po tych wszystkich kobietach, które przewinęły się przez to mieszkanie na dzień, dwa, tydzień.

Stał nieruchomo w przedpokoju i czuł, że ogarnia go to, co nazywał chandrą. Przemógł się, wyciągnął przed siebie dłoń i wpatrywał się w linię życia. Nie miał pojęcia, co oznacza to rozwidlenie w połowie. Zawał? Ciężką chorobę? Zmianę?

Zacisnął dłoń i włożył ją do kieszeni kurtki. Dotknął kciukiem ukrytego tam telefonu i przypomniał sobie o Teresie, której numer dwa dni temu zapisał w kontaktach. Błądził wzrokiem po pokoju, jakby szukał czegoś, co odwiedzie go od tego pomysłu. Nie znalazł.

– Możemy pogadać? – wystękał chwilę potem do słuchawki. – Okej, będę za czterdzieści minut.

Zamknął drzwi na klucz i podszedł do windy.

Przeszło mu przez myśl, żeby dostać się w okolice Politechniki metrem, ale nie był w stanie przezwyciężyć wstrętu do komunikacji miejskiej. Zamówił taksówkę, wysiadł przed placem Konstytucji i przeszedł kilkaset metrów na piechotę, osłaniając twarz przed coraz mocniej zacinającym deszczem. Gdzieś tu niedaleko była ta Cordoba, pod którą zaczepił w piątek Doktora Roba, ale teraz nieoficjalny klub na ostatnim piętrze kamienicy był już tylko mglistym wspomnieniem.

Zanim zdążył się rozmyślić, zobaczył Teresę, siedziała przy zalanym strugami deszczu oknie kawiarni nad dużym białym kubkiem. Przystanął na chwilę. Miał dziwne wrażenie, że kobieta czeka na kogoś innego. Chyba nie była do końca w jego typie. Wymagała dojrzałości. Pomyślał, że jeśli przekroczy próg tej kawiarni, to będzie jak wejście na nieznane terytorium. Nie pomogą mu żadne sztuczki, gry słów ani wyuczone na pamięć flirciki.

Przemógł się i wszedł. Przywitali się nieśmiałym „cześć”.

– Jeśli masz zamiar powiedzieć, że to miejscowa dla żebraków czy coś o talonach z Caritasu, to obróć się na pięcie i wyjdź – wyrecytowała Teresa zaraz potem.

Wpatrywała się w niego pytająco, a on rozejrzał się dookoła. Normalna śródmiejska kawiarnia, jakich wiele. Mimo deszczu i wczesnego wieczora prawie wszystkie stoliki były zajęte.

– Nie wiem, o co ci chodzi – wymruczał. – Miejsce dobre jak każde inne.

Rozluźniła się, odchyliła się na siedzeniu, a na jej twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

Dość szybko zorientował się w dwóch sprawach. Po pierwsze, jeśli chciał coś tutaj ugrać, to musiał zachować ostrożność. Słowo klucz: „szacunek”. Było ciężko, orka na ugorze. Żadnych głupich tekstów ani docinków, to nie randka nastolatków. Powstrzymał się od bajerowania, zresztą nie miał na to ochoty. Po drugie, zdał sobie sprawę z istnienia czegoś takiego jak strefa komfortu. On miał swoją, ona swoją, wiklinowe krzesła dawały bezpieczne oparcie, a stolik był na tyle długi i szeroki, że oprócz dwóch kaw mieścił jeszcze mur i fosę, przez które od czasu do czasu przerzucali jakieś zdanie i cierpliwie czekali na odpowiedź.

– Wykrztusisz wreszcie, co cię tak naprawdę gryzie, Andrzej? – Teresa splótła dłonie.

Poczuł się jak w gabinecie terapeuty, u którego nigdy nie był. Wzruszył ramionami i spojrzał za szybę, ale deszcz nie zachęcał do ucieczki.

– Sprawy zawodowe – odpowiedział niepewnie.

– Witaj w klubie. – Uśmiechnęła się gorzko. – Wypalenie? Czy może młodzież depcze ci po piętach?

– Tak jakby. To znaczy tak, może to wypalenie. Zresztą nie wiem. – Skrzywił się. – Powiedz mi, jak odbieracie tam na zewnątrz takich ludzi jak ja?

– Kto to „my” i co to „na zewnątrz”?

– No, w innych redakcjach?

Teresa upiła łyk kawy. Andrzej miał wrażenie, że waży słowa.

– Tylko szczerze – dodał. – Nie potrzebuję fałszywej otuchy.

– Chyba sam dobrze wiesz, Andrzej. – Spuściła wzrok. – To jak z kinem. Jest kino artystyczne, jest dobra sensacja, a potem to, co od razu idzie na płyty i nawet nie wchodzi na ekrany. A na końcu są pornosy. Wy jesteście takim pornosem. Codziennie robicie ludziom loda. Tym, co szukają potwierdzenia, że każdy co bogatszy albo z większym talentem to szuja, na którą zawsze się coś znajdzie.

– Pieprzenie – wycedził. – Wy też robicie dobrze waszym i jeszcze do tego jesteście tacy, kurwa, samozadowoleni.

– My działamy w branży, że tak powiem, cukierniczej. Dużo lukru.

– Za dużo. Zrzygać się można.

– To chcesz tej fałszywej otuchy czy nie?

– Sam nie wiem. – Przymknął oczy. Czego właściwie oczekiwał po tym spotkaniu?

– Kiedyś wydawało mi się – zaczął powoli – że potrzebna jest równowaga. Że my jesteśmy pistolety, odważni i bez skrupułów, i że trzeba się dopieprzać do różnych ludzi, którzy uważają, że są ponad wszystkim. Mało mnie interesuje, czy to polityk, czy artysta, jak robi jakieś grube świństwo albo jest pieprzonym hipokrytą, to mamy prawo mu to wytknąć. I będziemy mu to wytykać tak długo, aż przyjdzie skamleć z przeprosinami albo schowa się raz na zawsze w jakiejś norze i przestanie obnosić się po waszych kolorowych pismach ze swoim fałszywym uśmiechem.

– Ja siedzę głównie przy zdjęciach z pokazów mody, więc pliz, nie praw mi kazań, okej? – Teresa wpatrywała się w swoje czerwone paznokcie. – Ani mnie to ziębi, ani grzeje. To nie ja decyduję, kogo wpuścić na rozkładówkę. Nie przeprowadzam wywiadów. Nie sprawdzam, czy przypadkiem ci ludzie nie mają czegoś na sumieniu.

– Przepraszam – wydukał Andrzej. – To nie miało zabrzmieć jak atak.

– Przyjęte. – Uśmiechnęła się. – Powiedziałaś „kiedyś”. To jak jest teraz?

Nie chciał znowu wpaść w natrętne perorowanie ani prowokować Teresy do kolejnych przykrych dla niego refleksji.

– Ta cała zabawa psuje człowieka – odpowiedział cicho. – A złote żniwa kiedyś się kończą. Żli ludzie są dziś ostrożniejsi, nie dają się łatwo podejść. Albo może sporządnieli, sam nie wiem. Ale wciąż jest nacisk, trzeba robić materiały jak dawniej, nawet jak nie ma z czego. Wtedy czepiamy się każdego badziewia. Robimy sobie jaja z kogoś, kto zrzygał się przed klubem, albo dopierdalał mu, bo jest za bardzo uśmiechnięty. Albo zbyt smutny. Albo że założył brzydką czapkę.

– Zawsze możesz odejść, nie?

Andrzej zmarszczył brwi. „Odejść? Do czego? Łatwo wyrzucić z siebie taki banał, żeby zawisł w powietrzu jak wielki znak zapytania. Tylko nic z tego nie wynika”.

– Za dużo mam do stracenia – opanował irytację. – Nie widzę żadnych otwartych drzwi.

Twarz Teresy stężała. Chyba trafił również w jej czuły punkt.

– Dobra, skończmy ten temat. – Wychylił się przez stolik, ale nie miał odwagi dotknąć jej dłoni. – Możemy porozmawiać o czymś innym?

– A o czym?

– O tobie?

Teresa zabębniła paznokciami o blat.

– Mam czterdzieści trzy lata – zaczęła. – Dwoje nastoletnich dzieci. Córkę i syna. Mąż odszedł do młodszej i wpędził mnie w taką wściekłość na was, pieprzonych

facetów, że pewnie każdy, kto mnie zna, uważa mnie za cholerną zgryźliwą pipę. Całymi dniami siedzę w redakcji i przebieram cudze zdjęcia. Sama nawet nie umiem zrobić fotki, może oprócz selfie z komórki. Jak wracam do domu, to chce mi się spać i wyć. Wystarczy? Czy może porozmawiamy o czymś innym?

Andrzej słuchał tej spowiedzi i czuł, że mięknie.

– A o czym? – spytał z błyskiem w oku.

To coś innego okazało się nie tak trudne, jak się Andrzejowi z początku wydawało. Teresa opowiadała, że lubi weekendowe wypadki do lasu. I że przydałby się jej towarzysz, żeby nie musiała z nudów pstrykać selfie na tle drzew. Wyobraził ich sobie na górskich rowerach, ona w kasku, on bez, jak we dwójkę przemierzają wąskie piaszczyste ścieżki i podskakują na korzeniach. A potem zatrzymują się na małe piwko albo kawę z termosu pod leśną wiatą.

Wkrótce okazało się, że Teresa jest taką samą jak on fanatyczką amerykańskich seriali. Andrzej zaśmiał się, kiedy powiedziała, że robiła parę podejść pod Grę o Tron, ale zawsze odpadała na trzecim odcinku. Mieli już plan. Ich potencjalne następne spotkanie wyszły z chłodnego pomieszczenia wentylatorni i przeniosły się do łóżka w mieszkaniu Andrzeja, przed wielki telewizor. Zawsze to jakiś krok naprzód.

Słuchał właśnie z uśmiechem jej wyводу na temat tego, jak Dexter zepsuł się po trzecim sezonie, gdy zauważył na wyciszonym telefonie połączenie od Mundka.

– Sorki, muszę odebrać – powiedział, a Teresa kiwnęła przyzwalająco.

Wstał i wyszedł z kawiarni do pustego zadaszzonego ogródka. Poszukał wzrokiem popielniczki. Była, więc zapalił papierosa i oddzwonił.

– Co tam? – spytał cicho. – Robisz dla mnie Orlicza?

– Wczoraj nie dałem już rady, ale dzisiaj siedzę mu na ogonie od Krakowskiego Przedmieścia – powiedział Mundek. – Póki co nudy. Facet wyszedł z pracy i pojechał swoim oldskulowym garbusem pod hotel Reytan. Po godzinie wyszedł i zrobił sobie spacer po Puławskiej, a potem łąził po Morskim Oku. Tak naprawdę to nie mam żadnych fot, bo cały czas był sam. Jak skończył się szwendać po parku, to poszedł do Carrefoura i zrobił małe zakupy w Rossmannie. Teraz siedzi w kawiarni.

– I co?

– Pije kawę i czyta książkę. Życzysz sobie fotę?

– Zachowaj swoją przykrywkę na lepszą okazję.

– To naprawdę beznadziejna robota, Andrzej. Zimno i nudno. Odzwyczailem się. Do kiedy mam ci go namierzać?

Andrzej wydmuchał dym i zerknął przez szybę na zniecierpliwioną Teresę, która przesuwała palcem po ekranie swojego smartfona.

– Przez weekend, okej? Jeśli nie zrobi nic ciekawego do niedzieli wieczorem, to zwijasz kram.

Mundek westchnął przeciągle.

– Okej. I nie chcę za to kasy. Kiedyś, przy piwku, opowiesz mi wszystko o tamtym medalionie. Umowa stoi?

– Stoi. – Andrzej uśmiechnął się pod nosem. – Dawaj znać, jak koleś zrobi coś niecodziennego.

Rozłączył się. Kiedy wrócił do kawiarni, Teresa stała przy wieszaku i zakładała płaszcz.

– Przepraszam – mruknął.

– Nie ma za co – odpowiedziała bez troski.

– Już idziemy?

– A co? Masz ochotę jeszcze pogadać?

Kiwnął głową. Wyszli z kawiarni, przeszli kilkadziesiąt kroków i wsiedli do samochodu Teresy zaparkowanego na tyłach Politechniki.

Zjechali z Trasy Łazienkowskiej w szeroką i pustawą o tej porze Czerniakowską. Zamienili kilka słów, a potem Teresa w milczeniu patrzyła przed siebie. Dała się prowadzić Andrzejowi, poprosił, żeby skręciła w nowe osiedla na Siekierkach. W końcu wjechali na ciemną, wyłożoną betonowymi płytami drogę dochodzącą do wału przeciwpowodziowego.

Teresa wyłączyła silnik i światła. Andrzej uchylił szybę i do samochodu wpłynęło chłodne powietrze pachnące Wisłą.

– Zimno – zamruczała. – Mógłbyś zamknąć?

Zamknął. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Chciałeś pogadać, to spotkanie było bardzo miłe. – Spojrzała na kierownicę. – Czy musimy to teraz psuć?

– Nie chcę niczego psuć – wydusił.

Właściwie po co ją tu przyciągnął? Chyba taki miał nawyk, nie kontrolował tego. Każda rozmowa w klubie kończyła się pieprzeniem, każda randka równała się wizycie w łóżku. Podobał mu się pomysł, że mogliby coś razem obejrzeć albo pojechać na rowerach do lasu, ale od tych myśli nie robił się twardy. Bez tego czuł się nieswojo. Nie był sobą.

Patrzył więc na jej profil, długi nos i wargi, które kiedyś pewnie były pełne, ale teraz – bez szminki ani nawet błyszczyku – miały szorstką fakturę i nie zachęcały do pocałunku. Wciąż zerkała przed siebie, na tonące w mroku nadwiślańskie zagajniki. Andrzej miał wrażenie, że na coś czeka, ale nie wiedział na co. Na jego inicjatywę?

Czy może chciała przekręcić kluczyk w stacyjce i po prostu odjechać, wyrzucając go gdzieś po drodze?

Przymknął oczy i przypomniał sobie tę scenę z wentylatorni. Uderzenie w twarz, którego się nie spodziewał. Bicie jej serca, gdy zaraz potem go przytuliła. Po tym numerze powinna już nigdy się do niego nie odezwać. A mimo to była tu. Może ona jednak to lubi? Może to jest jakiś sposób na przerwanie tej cholernej ciszy?

– Uderz mnie – powiedział nagle, bez uprzedzenia.

– Że co? – Teresa spojrzała na niego i skrzywiła się w zaskoczonym uśmiechu.

– Uderz mnie, kobieto.

– To tak nie działa. – Uniosła obie dłonie, jakby przepraszała.

Chwycił ją za włosy, jak wtedy, tylko lżej. Nie chciał, żeby bolało, ale przyciągnął ją do siebie i popatrzył jej prosto w oczy.

– Uderz.

– Puszczaj, debilu! – wysyczała, ale bez nienawiści. Zobaczył w jej oczach niebezpieczne ogniki, niedowierzanie i...

„Czyżby jednak lubiła tę grę?”

Zapatrzył się w te ogniki. Były fascynujące. Nie zauważył momentu, kiedy zwinęła prawą dłoń w pięść, a potem krótkim bokserским ciosem wyrznęła go w policzek.

– O kurwa... – wymamrotał, puścił jej włosy i chwycił się za twarz.

– Zadowolony? – prychnęła Teresa. – I po co ci to było?

Nic mu to nie dało. Nie miał erekcji, tylko policzek bolał jak cholera. Nagle poczuł, że schodzi z niego całe napięcie, jakby zapadał się w sobie, ale w niewyobrażalnie przyjemny sposób. Było mu już wszystko jedno, w tym momencie nie musiał brać tej kobiety, ani żadnej innej. Nic nie musiał. Po raz pierwszy od dłuższego czasu opuściło go przeświadczenie, że musi sobie coś udowodniać.

Poczuł na swoich włosach dłoń Teresy. Głaskała go po skroni, a potem po dwudniowym zaroście.

– Chodź tu, ty tępym gamoniem – powiedziała miękko. – Że też muszę zawsze trafiać na trudne przypadki.

Przyciągnęła go do siebie, oparł głowę na jej ramieniu. Siedzieli tak długo, nic nie mówiąc. Po prostu trwali w tej dziwnej chwili.

Wrócił do domu i oszołomiony patrzył przed siebie. Jego pokój wydawał się tak samo obcy jak wcześniej, ale Andrzej nie czuł już przenikającej do szpiku samotności. Bez zastanowienia zrzucił kurtkę na podłogę. Buty i spodnie wylądowały na środku pokoju, a potem zgasił światło i położył się w bokserkach i podkoszulku na łóżku. Po minucie poczuł, że odpływa. Ale nie...

Zanim zapadł w sen, zobaczył pod powiekami coś bardzo dziwnego. To było jednocześnie przerażające i uspokajające. Wirujący elektryczny portal wsysał go bezgłośnie, muskając prądem podstawę czaszki i palce u stóp. Poduszka była niewiarygodnie miękka i Andrzej czuł, że jego głowa zapada się w nią jak w galaretkę. Niewidzialna siła próbowała wyciągnąć go z tego świata, z jego ciała.

Trwało to tylko chwilę, a potem wszystko zamarło, wirujący portal rozplynął się w ciemności. Zanim zasnął, Andrzej zdążył pomyśleć, że chciałby nazajutrz obudzić się w innym mieście, a może na innej planecie. Albo zacząć wszystko od początku.

„Jestem egzotycznym kwiatem, jestem południowym owocem, jestem rajskim ptakiem” – szeptała dziwna zwiewna postać, którą zobaczył w swoim śnie. Nie była to żadna ze znanych mu kobiet. Ani Marysia, ani Shae, ani Teresa, ani jego sobotnie zdobycze. Nie miała twarzy, płaśała wśród trzciny, przeskakiwała z jednej lilii wodnej na drugą, jak Calineczka.

A potem wyskoczyła w stronę błękitnego nieba, pomknęła ku oślepijącemu słońcu i zniknęła.

Obudził się nagle i zobaczył wokół siebie nieprzeniknioną ciemność. Po minucie zdał sobie sprawę, że coś musiało się stać z elektrycznością, bo osiedlowe alejki tonęły w mroku. Po omacku wstał z łóżka i doszedł do włącznika. Pstryknął, ale nic się nie zmieniło. Pokój wciąż był ciemny.

Wrócił do łóżka i wymacał na stoliku swojego laptopa. Otworzył go, ekran potrzebował chwili, żeby zaświecić. Wpisał hasło, pomylił się, zaklął pod nosem i zerknął na zegar w laptopie. Była trzecia nad ranem, lecz mimo to oprócz delikatnej mgły pod czaszką czuł się dziwnie rześki.

Ostrożnie wpisał znów hasło, tym razem laptop powitał go standardowym dźwiękiem. „Ciekawe, czy piszą coś o tej awarii prądu na jakimś portalu”. Zanim zdążył włączyć przeglądarkę, laptop wyświetlił ostrzegawczy komunikat. A potem zgasł.

Andrzej zaklął pod nosem. Miał jeszcze komórkę, a w niej pocztę z tym nowym adresem. Nie oczekiwał zbyt wiele. Właściwie pogodził się już z tym, że tamta dziewczyna nie odpisze.

Podniósł telefon i wcisnął ikonkę poczty. Biała poświata niemal go oślepiła, ale nie zwracał na to uwagi. Zastygł i zaczął chłonać całym sobą treść mejla, na którego tak długo czekał.

Drogi Frodo,

już na początku przyznam Ci się, że czekałam na ten artykuł, i się doczekałam, z uwagą przeczytałam, trochę fantazyjny, jakby nie do końca o mnie, słynna nie jestem i nigdy nie byłam. No tak, prostytutka, tak to można nazwać, ale nie

z wyboru, moje oczy nie są przepiękne, gratuluje wyobraźni. Ale skoro wspomniałeś o medalionie... Powoli coś odkrywasz, to miało pozostać na zawsze w mroku, ale jasność pomалу przebija. Ogień pomaga wspomnieniom, lubię ogień, wypala i oczyszcza.

Żyję sobie na uboczu i chyba dobrze mi z tym. Mogłabym napisać, że starałam się zapomnieć, ale to nie tak, bo ja wciąż próbuję sobie przypomnieć. Moja nienawiść nie miała celu, oni nie mają twarzy, więc jest jak powolny żuk, pełźnie raz tu, raz tam, twarze mi umknęły, rozmyły się, a one są mi potrzebne, żeby poczuć taki prawdziwy gniew. Więc co mi zostało? Ciekawość, ale ja to nazywam poszukiwaniem pośród mroku. Z ciekawością można walczyć, a poszukiwanie to misja. Z tym się nie walczy. Słaby uśmiech rano zakładam i przeżywam kolejny dzień, a wieczorami szukam w ogniu twarzy pośród mglistych wspomnień.

Chciałabym, żebyś wiedział o różnych sprawach. Od Ciebie zależy, czy podążysz zwierzętym tropem.

Najpierw mieszkałam w małym mieście. Miałam wtedy jakieś imię, ale zatarło się w mojej pamięci, chyba najgłębiej się ukryło, nie potrzebuję go. Częściej mówiono do mnie: „mała, dziecko, dziewczyno”. Nie wiem, czy żyje tam dalej moja matka, ani co się stało z człowiekiem, który miał być moim drugim ojcem. Odzyskałeś strony scenariusza, które Artur dał znajomym? Jeśli tak, to może już wiesz, czemu wsiadłam do autokaru i wyjechałam do miasta. Tamten dom, moja rodzina, nie mogłam tam dłużej zostać, ciemność owinęła się wokół mnie jak całun, jeszcze jeden dzień i ten całun by mnie zadusił.

Moje oczy zawsze były inne. Teraz wiem, że różne kolory tęczy to coś ładnego, ale w małym miasteczku ludzie różnie gadali, diabli pomiot na przykład. Dla mamy byłam ładną dziewczynką, dla ojca też, póki żył. Ten drugi patrzył na mnie zdziwiony, przestraszony, z obrzydzeniem. No i reszta, zwłaszcza dzieciaki. Jak miałam z pięć lat, to jakieś dwa bachory chciały mi to zielonkawe oko wydłubać. Patykami. Z tego zrobiła się blizna. I z czasem zaćma.

Więc miałam oko chore i oko zdrowe. Lewe, niebieskie, widziało świat ostro, brzydki, okrutny i zły, przymykałam je, żeby oglądać świat przez prawe, to chore, już nie zielonkawe, a zażółcone. Wszystko było wtedy jak przez mgłę, ale to było nawet miłe, przypominało sen. Nauczyłam się też tłumić dźwięki w moich uszach. Siadałam w kącie, przymykałam zdrowe oko, wyłączałam się i trwałam tak godzinami. Oni tam na zewnątrz żyli swoim dziwnym życiem, a ja miałam swoje.

Nauczyciele postawili na mnie krzyżyk. Z dziwnymi oczami, jeszcze chyba głupia, nie odpowiada na pytania, gapi się tylko i mało mówi. W sumie im się nie dziwię, nie wiedzieli, że chłonę jak gąbka to, co mnie naprawdę interesuje. Lubiałam czytać,

oglądać obrazki w książkach, trochę za dużo, zwłaszcza przy moim wzroku. W moim świecie ludzie z zewnątrz byli dziwnymi postaciami, trochę jak ze strasznej bajki. Dziwne historie, śniłam na jawie, śniłam przed snem. Byłam tam trochę jak Alicja z Krainy Czarów, ale to przeczytałam dużo później. Nauczyciele, matka, ojczym – w moich historiach mieli wielkie uszy, kocie buzie, cztery nogi, mogłam ich wtedy oswoić, pogłaskać. Mogłam kazać warować ojczymowi, staremu wyliniałemu psu. Mogłam ubrać braciszka w strój księcia z bajki. Matkę przebierałam w suknię i kazałam jej tańczyć. Taka dobra wróżka, którą niemal wszyscy wokół uważają za małą wiedźmę.

A potem nie wytrzymałam i wyjechałam do waszego miasta. Zadzwoiłam do kuzynki, Majka miała na imię, nie była zadowolona, ale nie dałam się zbyć. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że ten telefon to wyrok. Byłam w desperacji, a może po prostu naiwna, mogłam sprzątać, zmywać podłogę, prać i obierać ziemniaki. Miałam chyba czternaście lat.

Zamieszkałam w dziwnym domu pod miastem. Poznałeś ten dom? Pod lasem, otoczony sosnami, jak wartownikami. Nie było tam wiele pracy, trochę sprzątnia, odkurzania, prania pościeli, jeździłam z Majką na zakupy. Chyba nawet była zadowolona, że miała pomoc, nie traktowała mnie źle, tylko trochę się naśmiewała, że jestem pokrak, ale nie bolało. Znow się wyłączałam, zwłaszcza gdy zdarzały się tłumne wieczory, dom pulsował wtedy muzyką, śmiechami, okrzykami mężczyzn. Wolałam znieść do piwnicy materac i zwinąć się w kulkę, odpływałam do moich bajek. Wyobraźnia bywa pomocna. Stara karczma, leżę na sianie, a tam obok Majka jest karczmarką w obcisłej białej sukni z dekoltem, na zmęczonych rumakach podjeżdżają obszarpane rzezimieszki albo piraci, piją wino z dzbanów i zabierają na górę dziewczyny. Zasypiałam mocno i śniłam najdziwniejsze ze snów, rano wstawałam i mogłam dalej sprzątać, jak Kopciuszek, czysta i nieskalana.

Może byłam głupia, pewnie tak uznasz, no bo jak to, w dzisiejszych czasach? Ale ja naprawdę nigdy wcześniej nie słyszałam o prostytutkach. I ten dom był dziwny, ale w moim przypadku powiedzenie „przymknąć na coś oko” pasuje jak ulał, czyż nie, drogi Frodo?

Niewiele czasu minęło, może dwa albo trzy miesiące, kiedy Majka przyszła i powiedziała, że komuś się tam spodobałam, nie powiedziała komu. Że może będzie jakaś impreza, czy coś w tym rodzaju, takie bla bla bla, a ja słuchałam, jak gada, i patrzyłam, jak uśmiecha się znacząco. Jej facet przyniósł sukienkę i Majka przebrała mnie do nowej roli. To, co zobaczyłam w lustrze, było jak lepsza wersja mnie, mała kobieta. Gdyby nie prawe oko, to wyglądałabym jak aktoreczka przed swoim

pierwszym występem. Ale Majka powiedziała, że to nie szkodzi, że to nawet lepiej, że moim wielbicielom spodobały się właśnie te oczy.

Nie było żadnej imprezy.

Majka i jej facet przynieśli kieliszek z jakimś płynem. Nie piłam nigdy wcześniej wina, to było gorzkie, ale Majka kazała dopić do dna. Że to dla mojego dobra, że nie muszę wiedzieć, że to będzie jak sen, że nic nie będę pamiętać. Zaraz potem wszystko zrobiło się mgliste i odpłynęłam do mojego świata, do moich bajek i stworków z wielkimi uszami, wesoła karczma, potem zapanowała ciemność, poruszałam się jak po omacku, jakby otaczała mnie lepka ciecz. Przedzierałam się przez tę ciecz, unosiłam się w miodzie, płynęłam. Słyszałam dźwięki, stłumione. Czułam, że ktoś robi coś z moim ciałem, może rozbiera z tej sukienki, ale to nie było do końca moje ciało, jakbym była w kapsule. Oczu nie mogłam otworzyć, powieki były zbyt ciężkie, jakby ktoś je zasznurował.

A potem nagle zaczęłam się wybudzać. Dostałam w twarz. Tak, poczułam to wyraźnie tego pierwszego dnia, ktoś uderzył mnie w policzek i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Następnego dnia obudziłam się z ciężką głową i jeszcze cięższym ciałem. Oprócz siniaka na policzku nic mnie nie bolało, tylko Majka była zła, przez tydzień gapiła się na mnie wrednie i nic się nie odzywała. Doszłam do wniosku, że w jakiś sposób popsułam jej szyki.

Po czterech tygodniach się powtórzyło. Dokładnie to samo, znów sukienka i pończochy. Ale tym razem Majka i jej facet nie byli już tacy mili, dziwnie się uśmiechali. I nie przynieśli kieliszka z winem, tylko strzykawkę. Miałam osiem lat na grzebanie w sieci, co ta strzykawka mogła zawierać. Doszłam do wniosku, że to mogła być ketamina. Albo jakiś inny anestetyk. Ale tak naprawdę to nie wiem. Nazwałam to trucizną.

Tym razem mój wielbiciel albo wielbiciele mieli łatwe zadanie. Odpłynęłam kompletnie, nic nie czułam. Moja bajka została zatruta. Przez następne dni, gdy przymykałam oczy, to pojawiały mi się pod powiekami przerażające kreatury, które chciały czegoś od mojego ciała, a ja nie miałam pojęcia czego, zaglądały we mnie, badały, nękały śliskim przenikliwym dotykiem. Dochodziłam do siebie przez trzy tygodnie, oczyszczałam stopniowo moją bajkę, wyrzucałam potwory. To było na nic, bo...

Miesiąc po miesiącu, to samo, zawsze to samo. Strzykawka. Ciemność. Ból. Otepienie. Nie miałam już sił na oczyszczenie mojej bajki, czas się skurczył, przestawało go na to wystarczać. A mi przestało zależeć. Stwory o dziwnym dotyku wygoniły wszystko pozostałe, rozpanoszyły się, nie dawały odpocząć, cały czas

czegoś ode mnie chciały. Moje zdrowe oko zachorowało, moje chore oko zbystrzało. Napełniało się nienawiścią do wszystkiego, co się porusza, mówi i czegoś ode mnie chce. Żyłam przez trzy lata w przerażającym sanatorium, wrywano mnie z mojego materaca raz na miesiąc na dziwne badania, wtłaczano w moje żyły substancję, po której czułam, że nie żyję. Nie miałam czasu na powrót, miesiąc między kolejnymi Tymi Dniami kurczył się w mojej głowie coraz bardziej, aż w końcu wydawało mi się, że to mijają tylko kilka dni, kilka godzin, i znowu wlekli mnie z materaca do przebieralni i do strzykawki.

Jakiś czas potem Majka przyniosła mi piękny prezent i zawiesiła na szyi. Medalion. Dotknęłam go, był chłodny, ale przyjemny w dotyku. Obejrzałam swoje odbicie w lustrze. To były róże i pistolety. Dziwne, pomyślałam, ale piękne. Majka powiedziała, że ktoś bardzo mnie ceni, lubi mnie, chciał mi sprawić przyjemność, i że chciałby, żebym nosiła ten medalion. Spytałam, czy to jeden z moich wielbicieli. Pokręciła tylko głową, ale tak, że jej nie uwierzyłam. Bałam się pytać dalej albo zarzucać jej kłamstwo, wtedy miałam w głowie tylko smołę, więc uczepiłam się jednej myśli: ktoś chce dać mi amulet, żeby mnie chronił. Nazwałam go w myślach Czarodziejem. Od tamtej pory, gdy było mi bardzo, bardzo źle, dotykałam mojego medalionu. Czasami przyzywałam Czarodzieja, żeby mnie uratował przed stworami, ale on nigdy nie przyszedł. Miałam za to mój medalion.

Smoła gęstniała. Musiałam się ratować. Poprosiłam Majkę, żeby przyniosła mi książki, takie dla dzieci, ale nie takie nowe, z kolorowymi obrazkami. Takie, jak były kiedyś, jak w bibliotece w tamtym małym mieście. Chciałam mieć broń przeciwko potworom. Nie wiem, dlaczego i jak to zrobiła, ale przyniosła mi najlepsze książki do walki z moją ciemnością. Dorotkę w krainie Oz, pięcioro dzieci i coś, Mary Poppins. Ale najbardziej wsiąklam w Alicję. Zostałam Alicją, tak się nazwałam. Zaprzyjaźniłam się z białym królikiem i mruczącym kotem. Królowa Kier mnie przerażała, ale potem zostałam jej dobrą znajomą. Dzięki tym książkom nieco szybciej wychodziłam z zamroczenia.

Oprócz Tych Dni były jeszcze dni zwykłe. Majka po jakimś czasie nie miała oporów, żeby proponować mi tym mniej wymagającym, którzy nie bali się przyćpanego dziwoląga z opadającą powieką. Czasami przychodził do mnie taki chłopak, mówił, że jest muzykiem i że napisał o mnie piosenkę, przeczytał mi, coś o dziwnej miłości i pokrewieństwie dusz, o różach i pistoletach. Najpierw był trochę nieśmiały i czuły, potem mu przeszło i robił to ze mną na różne sposoby. Przestał gadać o piosenkach, za to pewnego dnia ukradł mi moje róże i pistolety. Mój ukochany talizman, mój medalion od Czarodzieja. Wiedziałam, że to on. Płakałam i poskarżyłam się Majce. Powiedziała, że powie o tym komuś. Ja wtedy zrobiłam

straszna rzecz – napuściłam takiego jednego chłopaka na tego, co mi ukradł medalion. Tak bardzo chciałam go odzyskać, ale i tak nie odzyskałam. Bez niego było mi ciężiej. Nie mogłam prosić Czarodzieja o opiekę. Czułam się bezbronna.

Kończę na dzisiaj, bo czuję, że się wyczerpałam. Jutro muszę wstać i popracować przy moich kwiatach. Gdy hoduje się róże w szklarni, to pracy jest na cały rok.

Odezwę się jeszcze

Samwise Gamgee

PS Wolałabym, żeby nie było już więcej żadnych artykułów. Niech to będzie tylko dla Twoich oczu. Jeśli już masz gdzieś to wykorzystać, to w scenariuszu, który pisaliście z Arturem.

Piątek,
20 października, 11:10



Puk, puk. Andrzej zastukał w metalową framugę przy wejściu do akwarium Garbarka. Wicenaczelnym uniósł głowę znad laptopa.

– Chcesz przeczytać mejla od tej Alicji? – spytał Andrzej, przestępując próg z błyskiem w oku.

– Już go czytałem.

Zamurowało go, ale Garbarek chyba nie żartował.

– Co masz taką minę, człowieku? – Wicenaczelnym odchylił się na krześle. – Założyłeś skrzynkę na firmowym serwerze. Jedno słowo i mam do niej dostęp. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Andrzej nie wiedział, czy ma. Zrobiło mu się nieswojo. Do tej pory miał pełną autonomię, nikt nie śledził jego ruchów. Wystarczały kolegia i mniej oficjalne spotkania w akwarium, na których w grubych słowach omawiali strategię jego kolejnych artykułów.

– Jakoś to przełknę. I co o tym sądzisz?

Podszedł do biurka i podał Garbarkowi kartki z wydrukowanym mejlem. Wicenaczelnym przez dłuższą chwilę błądził po nich wzrokiem, ale Andrzej miał wrażenie, że facet nie czyta.

– Nie wygląda to jak tabuny spoconych klientów z najwyższej półki – powiedział w końcu Garbarek z jadowitym uśmieszkiem. – Pigułka gwałtu?

– Strzykawka. Chyba głupi jaś.

– Na to samo wychodzi.

– Z jakiej półki, to nie wiem, ale takich rzeczy nie robi się dla byle kogo. Dyskrecja, jakby chodziło o papieża.

Garbarek przez chwilę siedział zamyślony i robił w powietrzu dziwne ruchy palcami, jakby pisał na niewidzialnej klawiaturze.

– Wiesz najlepiej, co masz z tym zrobić, Andrzej – zaczął z przymkniętymi oczami, pod którymi Rulewski widział poruszające się gałki oczne. – Naszego targetu nie interesuje pierdolona Dorotka z Oz czy inne ludki z wyobraźni tej dziewczyny. Możesz napisać, że była lekko psychiczna, no taki niedorozwój, żeby było trochę współczucia, no wiesz, ale bez przesady, nie to że miała schizy, tego nikt nie lubi. No i tę strzykawkę zostaw, to jest mocny motyw.

Andrzej czekał z rosnącą niecierpliwością, aż Garbarek wyprztyka się z pomysłów.

– Faceta na razie nie wrzucaj, póki nie wyczaimy, o kogo chodzi. – Wicenaczelnny otworzył oczy i gadał coraz szybciej. – Trzeba stopniować napięcie. Zrobimy z tego serię, pociągniemy temat na cały następny tydzień. Ten jej przyjazd do złej Warszawy puść jutro do weekendowego wydania. Możesz dać jakiś kolor w tym wszystkim, że ją okradli na dworcu, czy coś takiego. No i w tym burdelu zrób z niej niewolnicę Isaurę, rozumiesz... nie może wyjść z piwnicy, przywiązali ją do kaloryfera. Grubość łańcucha zostawiam tobie.

Andrzej ostrożnie wyjął kartki z mejlem Alicji ze śliskich dłoni Garbarka.

– To wszystko bardzo ładnie brzmi – zaczął powoli. – Ale nie wiem, czy zauważyłeś mały szczegół na końcu listu.

– Jaki szczegół?

Andrzej chciał podejść za fotel i pokazać palcem postscriptum, ale wołał jednak zachować dystans. Złożył kartki na pół i cofnął się o dwa kroki.

– Alicja nie chce, żeby to poszło w świat – powiedział.

– To ta sama, co chciała tysiąka? Nie wyczułem w tamtym mejlu jakichś zahamowań z jej strony.

– Nie ta sama.

– Masz z tym jakiś problem, stary? – Garberek zaśmiał się nieprzyjemnie. – Zawarłeś z nią jakąś umowę? Nie zapomniałeś przypadkiem, że w pierwszej kolejności jesteś dziennikarzem?

Dziennikarzem? Dobre sobie. Andrzej miał coraz więcej wątpliwości, zwłaszcza po wczorajszych umoralniających gadkach Teresy.

– Spójrz na to z innej strony. – Podrapał się po zaroście. – To jest pierwszy mejl od niej. Jeśli teraz zniszczymy jej zaufanie, to nie napisze nam następnego.

– A co jeszcze może nam napisać ta dziewczucha z amnezją? Przecież nic więcej nie wie o swoim adoratorze, teraz ruch jest po naszej stronie. – Garberek odjechał fotelem od biurka. – Poza tym widziałeś forum na portalu. Ludzie się zagotowali, każdy Janusz z wózka widłowego i każda Karinka z warzywniaka chce wiedzieć więcej o dziwce z medalionem. Straciliśmy już dwa dni i cała para idzie w gwizdek.

– Niech poczekają.

Garberek patrzył przez chwilę zimnym wzrokiem, a Andrzej miał wrażenie, że znów jest na rozmowie kwalifikacyjnej sprzed lat i ktoś ocenia po jego twarzy przydatność do tej parszywej roboty.

– Czy tobie ktoś obciął jaja, Andrzej? – spytał Garberek bez sympatii. – Ty i ja robiliśmy tę gazetę przez tyle czasu i bywało, że to ja musiałem cię przystopować. Rwałeś się w największe ryzyko, byle tylko rzucić Januszowi i Karince krwisty stek na śniadanie. A teraz wyglądasz, jakbyś wcale nie chciał pisać tego artykułu.

Andrzej patrzył na wicenaczelnego z pulsującymi szczękami. Czuł, że przyrósł stopami do zielonkawej wykładziny. Miał już coś na końcu języka, ale się powstrzymał.

– Na szczęście teraz to ja rządę tą działką. – Garberek zaświecił oczami jak kobra.
– I ja odpowiadam przed zarządem, póki naczelny nie raczy wrócić z przedłużonych wakacji. Jeśli przygody tej pieprzonej dzidzi zrobią mi słupki, to się nie zawaham, żeby puścić to choćby jutro. Koniec tematu.

Nie było sensu dyskutować. Garberek nic by nie zrozumiał, pewnie trząśł portkami o posadę albo może już budował pozycję na wypadek, gdyby naczelny postanowił nie wracać z urlopu. „Twoja Gazeta” ledwo trzymała się na powierzchni, w każdej innej sytuacji Andrzej przyznałby Garbarkowi rację i poszedł do komputera, żeby ochoczo wystukać kolejny odcinek tej brudnej sagi z przedmieść. Tyle że od tamtego wieczora w lesie z Norbertem i Adamem coś w nim pękło, ta naprężona struna, zawsze gotowa do wydania jazgotliwego dźwięku. A wczorajszy wieczór z Teresą jeszcze bardziej go zmiękczył.

– Nie poczekaś do poniedziałku? – spytał cicho. – Niech napisze chociaż jeszcze jednego mejla.

Garberek chyba nie dosłyszał. Gapił się w monitor laptopa i gorączkowo przesuwiał palcem po touchpadzie.

– To przecież lepiej dla gazety, żeby był dalszy ciąg historii, nie? – Andrzej czuł wzbierającą wściekłość, że wicenaczelnny nie raczy nawet na niego spojrzeć.

Garberek w końcu podniósł wzrok.

– Co mówiłeś?

– Że do serii lepiej byłoby mieć więcej materiału – wycedził Andrzej.

Facet niepewnie rozejrzał się na boki.

– Mógłbyś poczekać chwilę za drzwiami? – spytał tonem, z którym nie warto było dyskutować.

Andrzej zmiął w ustach przekleństwo. Nic nie uzyskał, Garberek miał go w dupie. Obrócił się i ciężkim krokiem wyszedł z akwarium.

– I zamknij drzwi – dorzucił wicenaczelnny. – Wyjdę do ciebie za dwie minuty.

Andrzej patrzył z goryczą na kotłującą się redakcję. Nie miał zamiaru czekać nawet dwóch minut na tego fagasa. Chociaż może zdoła coś jeszcze wskórać? Może warto postawić sprawę na ostrzu noża? Zaszantażować?

Nie słyszał nic przez szybę, ale widział, jak Garberek patrzy w monitor i jednocześnie cicho i stanowczo gada z kimś przez stacjonarny telefon.

Przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić pocztę na telefonie. Tamtą pocztę. Wcisnął ikonkę z kopertą. Aplikacja przez chwilę łączyła się z serwerem i wypłuła na ekran

parę wiadomości. Już nie tak dużo, jak zaraz po publikacji artykułu, ale jedna od razu przykuła jego wzrok. Poczul znajomy dreszcz ekscytacji. To była Alicja. Nerwowo wcisnął przycisk.

Wiadomość wypełniła ekran – małe litery, prawie nie do rozczytania. Andrzej przesunął palcami po ekranie i powiększył obraz.

„Drogi Frodo, nie mogłam się doczekać. Na szczęście mam dobre układy w pracy i szef dał mi wolny piątek...”

– Już możemy – usłyszał za plecami głos Garbarka.

Zgasił ekran i spojrzął nerwowo na wicenaczelnego. Garberek wyglądał na zadowolonego z siebie. Andrzej schował telefon do kieszeni marynarki.

– Wejdz.

– Wyłuszczyłeś już swoje racje.

– Mimo wszystko wejdz – nalegał Garberek.

Andrzej bez entuzjazmu wszedł do akwarium i zamknął drzwi. Garberek usiadł na skraju biurka ze skrzyżowanymi rękami. „Czy zdążył już przeczytać drugiego mejla? To dlatego dzwonił gdzieś ze stacjonarnego telefonu?”

– Może powinieneś wziąć parę dni wolnego? – Wicenaczelnny przybrał na twarz uśmiech, który Andrzej dobrze znał, ale dotąd nigdy nie był jego adresatem. Ten uśmiech mówił: „Ja, gazeta, twój pracodawca, w uznaniu zasług przyznaję ci teraz honorowego kopniaka w dupę”.

– Bardzo chętnie. – Andrzej wyszczerzył zęby. – Ale dopiero gdy dokończę tę sprawę.

– Dokończę sprawę? Jak chcesz dokończyć coś, czego nawet nie zamierzasz zacząć?

Zmrużył oczy. „Powiedzieć? Ten kutafon i tak zaraz przeczyta tego mejla”.

– Uznajmy na ten moment, że dziwka więcej nie napisze – ciągnął Garberek. – A ja potrzebuję tego artykułu. Jak napisze, to będziemy się martwić.

„Więc jednak nie przeczytał?” – Andrzej starał się zachować pokerową twarz.

– Natomiast tobie przydałoby się trochę świeżego powietrza. – Garberek klepnął się po udach, zadowolony z siebie. – Znajdź sobie jakąś sprawę w terenie. Albo idź na urlop.

Andrzej momentalnie poczerwieniał. Miał ochotę podejść do biurka i złapać tamtego za chudą szyję, a potem dusić tak długo, aż z oczu kobry pociekłyby łzy. Po tylu latach wspólnego grzebania w cudzych brudach spodziewał się chociaż elementarnej lojalności, a nie prostej gadki szefa do podwładnego.

– Zanim wyjdę – zaczął przez zaciśnięte zęby. – Możemy jeszcze sprawdzić, czy nie napisała czegoś więcej?

Wicenaczelnym przez chwilę patrzył na niego z niechęcią.

– Ależ oczywiście. – Rozchmurzył się, odbił od biurka, obszedł je i usiadł. – Możemy.

Andrzej podszedł wolno za jego plecy. Spojrzał na ekran laptopa.

– Nic nie przyszło. – Garberek nie krył satysfakcji.

Andrzej się skrzywił. Coś tu śmierdziało. W skrzynce na ekranie laptopa było kilka dzisiejszych mejli od podekscytowanych czytelników. Ale wiadomości od Alicji nie było.

– Okej – mruknął.

– To jak będzie? – Wicenaczelnym obrócił głowę. – Bierzesz wolne czy mam wymyślić ci coś do roboty w portalu?

„Pierdol się, gnoju...” – rzucił w myślach Andrzej i poczuł, że musi jak najszybciej wyjść, popędzić do swojego komputera i odczytać wiadomość, która dziwnym trafem nie wpadła do skrzynki Garbarka.

– Zastanowię się i dam ci znać do szesnastej – powiedział sucho.

Wyszedł zza fotela wicenaczelnego i podszedł do drzwi.

– Do piętnastej trzydzieści poproszę. – Usłyszał za plecami. – Zaczynam dziś weekend trochę wcześniej.

Doszedł na miękkich kolanach do swojego biurka. Włączył pocztę w przeglądarce, wpisał adres Frodo i hasło. Zrobiło mu się nieswojo. Bardzo nieswojo.

Nie było tam mejla od Alicji.

Rozejrzał się i wyjął telefon z kieszeni marynarki. Wcisnął ikonkę z kopertą.

Był. Na telefonie wciąż miał wiadomość, którą odebrał pod akwariem.

„O co, kurwa, chodzi?” – pomyślał i poczuł, że trzęsą mu się ręce. Czy pieprzony Garberek był do tego zdolny? To dlatego kazał mu wyjść na dwie minuty z akwariem: zobaczył nowego mejla, zamknął się, zadzwonił do informatyka i kazał skasować wiadomość z serwera. Ale po co?

Jak to po co? Żeby mieć całą sprawę pod kontrolą. Podjął decyzję, już wtedy podjął decyzję, że Andrzej idzie w odstawkę. Chciał go wydymać i prawie mu się udało.

„Gdybym nie wyjął wtedy telefonu i nie sprawdził poczty...”

Andrzej gorączkowo zastanawiał się, co zrobić. „Iść do tego fagasa i pierdolnąć nim o szybę, aż akwariem rozprysnie się w drobny mak!” Nie, to nie ma sensu. Zrobi się widowisko na całą redakcję, a jedyny rezultat to, że natychmiast go wyleją i nic już nie ugra. A tak miał w ręku chociaż jakąś marną kartę...

Marną? Andrzej poczuł, że oba środkowe palce bezwiednie układają mu się w oczywisty gest. „Chciałeś mnie wydymać, ale sorry, to nie jest takie proste”.

Przepisał z telefonu na kartkę adres, z którego pisała dziewczyna. „SamwiseGamage64783”, domena z darmowym hostingiem. Otworzył przeglądarkę i wszedł na prywatną pocztę.

„Nie pisz więcej na tamten adres. Jest spalony. Jeśli masz coś jeszcze do dodania, pisz tutaj. Jeśli będzie coś na twój temat w gazecie – z góry przepraszam!”

Chciał się podpisać jako Marcin Bielawski, ale miał w adresie mejlowym swoje imię.

„Pozdrawiamy, Marcin i Andrzej”.

Wcisnął „wyślij” i odetchnął z ulgą. Pieprzony Garbarek nie dostanie już więcej wiadomości. Andrzej miał tylko nadzieję, że w tym drugim mejlu nie opisała całej historii. I że będzie jeszcze jakiś trzeci.

Drogi Frodo,

nie mogłam się doczekać. Na szczęście mam dobre układy w pracy i szef dał mi wolny piątek.

Skończyłam na tym, jak skradziono mi mój medalion, mój podarek od Czarodzieja. Teraz myślę, że może Czarodziej wcale nie był taki dobry i że ten przedmiot miał mnie z nim związać jeszcze mocniej. Ale wtedy byłam naprawdę nieszczęśliwa, więc uczepiłam się myśli, że to mój amulet do walki z ciemnością. Nie miałam siły, moje ręce odmawiały mi posłuszeństwa. Czarna smoła w głowie nie mogła być czarniejsza. I wtedy wydarzył się mały cud.

Niedługo po kradzieży zjawił się u mnie chłopak, starszy ode mnie. Gdy weszłam do pokoju, zobaczyłam tylko kolejnego faceta, który czegoś ode mnie chce. Ale on nic nie chciał, nie pamiętam, chyba usnęłam w końcu na jego ramieniu, biło od niego coś ciepłego, jego ramię było jak miękka poduszka. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby został, ale on musiał pójść. Nawet nie było mi smutno, wszyscy tylko wchodzili i wychodzili.

Wrócił następnego dnia, ale nie wieczorem. Siedziałam na ławce za domem, świeciło jasne słońce i padało mi na twarz, oszołomiona, czułam tylko to ciepło, on podszedł do mnie, nie miałam siły otworzyć oczu, wyczułam cień na twarzy, usłyszałam głos. Przywitał się i przeprosił za wczoraj, chociaż nic między nami nie było, więc nie wiedziałam, o co mu chodzi. Powiedział, że nazywa się Artur, nic nie odpowiedziałam, tylko potarłam powieki i popatrzyłam w górę, na jego sylwetkę, za którą świeciło słońce. Milczałam. Może wrócił, bo się namyślił? Może jednak chciał tamtego, żeby się pochwalić kolegom? Brzydkie myśli bulgotały w mojej smole jak w kociołku.

Ale on dalej nic ode mnie nie chciał. Był tak samo dziwny jak ja, bo mało o coś pytał i mało mówił, bardziej patrzył, przypatrywał się. Najpierw poczułam złość, że

gapi się jak w zoo, ale nie, nie oceniał mnie. Chciał po prostu być obok. Mnie cały czas zdawało się, że zaraz powie coś, co zniszczy ten czar, odezwie się jakimś głupim żartem i znów okaże się, że mam rację, jest tylko kolejnym głupkiem. Ale jakoś mu się udało. Nie zniszczył tego.

Znowu przyszedł, następnego dnia, i w końcu powiedziałam mu, że nazywam się Alicja. Że TERAZ nazywam się Alicja. Ładnie, powiedział i nieco dziwnie się uśmiechnął, jakby to była jakaś gra. Poszłam do domu i zapytałam Majki, czy mogę iść na spacer. Zgodziła się, chyba dlatego, że nie widziała Artura, myślała pewnie, że idę się przejść. Poszliśmy więc między drzewa za domem, nogi miałam jak z waty, bo rzadko wstawałam z materaca, słońce było białe, a ptaki strasznie hałasowały. Doszliśmy do mrowiska, wibrowało od czarnych mrówek. Zaczął coś mówić, ale jak zobaczyłam te mrówki, to wyobraziłam sobie, jak mnie oblażą, nie mogę się ruszyć i w końcu wciągają mnie do mrowiska. Odwróciłam się i odbiegłam z powrotem. Nie gonił mnie, zawołał tylko „Alicja!”, ale jakoś tak cicho, przez ściśnięte gardło.

Całą noc kręciłam się na materacu. Nie mogłam zasnąć, bo jego twarz nie chciała mi wyjść z głowy, była jak wielka jasna płachta i rozświetlała moją smołę milionami migoczących ziarenek. Ta jego twarz tak mi wypełniła głowę, że nie było już miejsca dla Królowej Kier, ani Białego Królika, ani Dorotki czy Stracha na Wróble, ale nie uspokajało mnie to ani trochę. Ta twarz miała mądre szare oczy i tajemniczy uśmiech, ale gdzieś głęboko czułam, że jeśli wyciągnę dłoń, to wpadniemy razem w przepaść. Ja – przerażony szcurek, wyciągano mnie na chwilę z klatki, karmiono, dawano lekarstwo, tu w tej klatce było moje miejsce, taki był mój los. Widocznie tak już musi być, dziewczyno.

Ale następnego dnia znowu czekałam na niego na ławce. I następnego, i następnego. Przychodził codziennie, czasem co drugi dzień. W końcu Majka go zauważyła, ale nic nie powiedziała. Chodziliśmy do lasu, siadaliśmy w trawie, albo leżałam i pozwalałam, żeby słońce grzało mi twarz. Pilnował się, żeby nie zasłaniać mi słońca. Topniałam bardzo powoli, nie byłam gotowa, żeby powiedzieć coś o sobie, zresztą o czym? Dziesiątki Tych Dni. Chłopak, który ukradł mi medalion. Materac w piwnicy. Książki dla dzieci. Trochę było mi wstyd, ale raz przyniosłam mu te moje książki. Nie śmiał się ani trochę, poprosiłam go więc, żeby czytał mi o Alicji, Dorotce i reszcie swoim głosem. Słuchałam tego i było to jak balsam. Rozpuszczałam smołę.

Zapytałam Majki, ile mi zostało do kolejnego Tego Dnia, dziesięć, może dwanaście dni, powiedziała. Miałam jeszcze trochę czasu, żeby słuchać Artura i jego głosu. Moje myśli znów zaczęły płynąć i poczułam się po raz pierwszy od dawna jakąś osobą, jeszcze nie konkretną, ale jakąś.

To sprawiło, że wtedy przeżyłam Ten Dzień inaczej, niemal na jawie. Jakimś cudem trucizna nie zadziałała jak zawsze. Trzymałam się kurczowo świadomości, słyszałam więcej dźwięków, czułam więcej dotyku, choć dalej nie mogłam otworzyć oczu. Ktoś coś do mnie mówił, dużo, opowiadał, ale ten głos był rozciągnięty jak guma i nawet jeśli coś rozumiałam, to i tak nic nie zapamiętałam. Potem ten człowiek położył się obok, a potem na mnie. Próbowałam wyczuć coś palcami, cokolwiek. Coś czułam, ale trucizna była jednak silniejsza.

Próbowałam wyciągnąć tę informację z głowy, ale to było jak ze snem, którego rano nie można sobie przypomnieć. To zostało gdzieś głęboko, ale nie potrafię tam dotrzeć. Jest zapisane. Ogień pomaga, Lady Galadriela tak się stara, proszę ją często, żeby pokazała mi w swoim zwierciadle, co się stało, ale za każdym razem obrazy są inne. Nie wszędzie mogę dotrzeć. To, co napisałam tu i wcześniej, podpowiedział mi ogień. Jemu nie wolno zarzucać kłamstwa. Przemawia przez niego mądrość.

Potem zaczęłam znikać z domu na dłużej, nie pytałam już Majki o zdanie, ale wyczułam, że moja przyjaźń z Arturem zaczyna komuś przeszkadzać. Nie chcieli mnie wypuszczać, ale też nie robili nic, żeby mnie uwięzić. Więc to było dla mnie jak zabawa w kotka i myszkę z Majką. Artur podjeżdżał kawałek dalej samochodem ojca, wsiadałam i jechaliśmy kilka kilometrów, skręcaliśmy na mały leśny parking i szliśmy na polanę. Chciał, żebym odetchnęła innym powietrzem. To powietrze było w sumie takie samo, ale moja głowa z dala od tamtego domu zaczynała żyć innym życiem.

Artur przyniósł SWOJĄ książkę. Miał swoją bajkę, ale była inna niż moje. Nie taka dla dzieci. Też czarodzieje, też magia, ludki, krasnoludy. Ale gdy Artur mi ją czytał, to miałam uczucie, jakbym leciała w powietrzu. Było dobro i było zło, ale cel był jeden – ocalić świat przed złem. Nie dać się opętać pierścieniowi. Przewyciężyć wszystko i wrzucić go w odmęty lawy. Stwory były tam jeszcze straszniejsze niż w mojej głowie, ognisty Balrog, pajęczycyca Szeloba, zwaliste orki o wykrzywionych twarzach, przerażające wilki, upiory, no i najgorsze ze wszystkiego – oko na szczycie wieży. Słuchałam głosu Artura i ponosiła mnie wyobraźnia: on i ja to tych dwóch małych hobbitów na przedziwnej wędrówce, Frodo i Sam. Kochałam elfią czarodziejkę Galadrielę, taka była piękna, zwiewna, ale i straszna. Chciałam nauczyć się przyzywać Galadrielę, żeby dawała mi moc i otuchę. Wiedziałam, że pewnego dnia przyjdzie. No i kochałam dziwną miłością Golluma, biedne stworzenie zniszczone przez pierścień. Gollum i ja. Mój medalion, mój ssskarb...

Dostałam od Artura pierwszy tom, z dedykacją. Czytałam jeszcze raz wieczorami, na materacu, przy lampce, a potem chowałam książkę za kaloryfer, pewnie dalej tam leży. Dowiedziałam się, że nadchodzą wakacje i Majka dostała polecenie od kogoś ważnego. Mamy pojechać na Mazury. Te wszystkie młode i starsze dziewczyny,

smutne, wesołe i te, którym było wszystko jedno. I ja na dokładkę. Będzie niekończąca się impreza, a my będziemy na deser.

Następny Ten Dzień wypadł piątego dnia wakacji.

Ściskam

Sam

Andrzej rozejrzył się po redakcji – nikt na niego nie patrzył, nie zwracał uwagi.

Schował telefon do marynarki. Nie wiedział, co myśleć o tym mejlu. W tej historii nie było niczego, co nadawałoby się na sensacyjny artykuł. Dramat wykorzystanej dziewczyny, która wpadła z deszczu pod rynnę. Ten chłopak pojawił się nagle i dzień po dniu wyciągał ją z bagna, czytając jej na głos książki. To wszystko było takie nierealne. Andrzej zastanawiał się, dlaczego Alicja przez tyle lat ani razu o sobie nie zawalczyła. Dlaczego nie uciekła? Nie miała dokąd?

W fantazję... W książki dla dzieci. Próbował to sobie wyobrazić, postawić się w jej sytuacji, ale dochodził do ściany i stwierdzał, że nie starcza mu wyobraźni. Przypomniawszy sobie Teresę i jej mocne ciosy. A te wszystkie dziewczyny z klubów? Można było powiedzieć o nich wiele, ale nie to, że były bezwolnymi ofiarami. Uwodził je, ale nigdy do niczego nie zmuszał. Mogły wyjść w każdej chwili i często wychodziły. Nawet Marysia – była cicha, spolegliwa, ale nigdy, przenigdy...

Strzykawka. To, co zawierała, odbierało tej dziewczynie wolną wolę. Tyle pisała o ciemności. Odurzona, wychodziła z niej powoli, krok po kroku, ale jej tajemniczy wielbiciel lubił regularność. Zjawiał się co miesiąc. Dziewczyna w pewnym sensie stała się narkomanką.

Narkomanką? Gdzieś już spotkał się z tym określeniem, przy okazji tego całego grzebania w cudzej przeszłości. To było chyba na początku tej przygody, jeśli można to tak nazwać.

Przymknął oczy. „Chłopak i narkomanka”.

Tak. To był ten artykuł sprzed ośmiu lat, z jakiegoś mazurskiego miasteczka. Wydrukował go wtedy i...

Andrzej przełknął ślinę, otworzył szufladę biurka i przerzucił szybko kilka cienkich skoroszytów. Znalazł między nimi parę kartek, a wśród nich ten wydruk.

„Co za noc! Lipcowy wieczór, który wstrząsnął miasteczkiem!” Do szpitala przywieziono motocyklistę, który rozbił się na drzewie, a potem na parkingu przed szpitalem dwóch sanitariuszy znalazło nieprzytomnego chłopaka bez dokumentów i narkomankę. Potem jeszcze płonęła jakaś stodoła, ale to Andrzeja nie interesowało. „Złe czasy nastały” – tłumaczyła z przejęciem młodemu reporterowi sześćdziesięcioletnia Maria. Wtedy Andrzejowi wydało się to śmieszne, ale teraz brzmiało jak ponury komentarz do historii Alicji.

Zajrzał jeszcze raz do szuflady i wygrzebał wydruk zdjęcia pogruchotanego motocykla. Nie miał chyba nic wspólnego ze sprawą, ale Andrzej nie chciał przegapić żadnego tropu. Spiął oba wydruki zszywaczem, zgiął wpół i schował do kieszeni.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to mam nagrany jeden mały temat.

Znów stał w akwarium i patrzył, jak Garbarek, pieprzony zdrajca, mały obleśny skurwiel, piłuje paznokcie metalowym pilnikiem.

– Gdzie? – Wicenaczelnym był już chyba myślami na piątkowej imprezie.

„Dobre pytanie. Jeśli przeczytał mejla do końca, to już wie, że chodziło o Mazury”.

– Za Tomaszowem – wycedził Andrzej.

– Mazowieckim?

– Lubelskim.

– I co takiego tam jest w tym Tomaszowie? – Garbarek zdmuchnął z palca biały pył.

– Cerkiew prawosławna i cmentarz żydowski. – Andrzej nie krył rozdrażnienia. – Zniknę ci z oczu, jak sobie życzyłeś, ale darujmy sobie pytania, okej?

Wicenaczelnym najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Odłożył pilnik i zajął się zawiązywaniem sznurówek w beżowych pantoflach.

– Jedziesz sam? – spytał od niechcienia. – Czym? Może zabierzesz jakąś lalę z portalu?

– Obejdzcie się. Wolę własne towarzystwo.

– Jak uważasz.

Wiedział już, że pod jego nieobecność Garbarek zrobi ruch i odda sprawę komuś innemu, jakiemuś bezmyślnemu wyrobnikowi. Z drugiego listu Alicji zrobią kolejny bzdurny artykuł. Straci jej zaufanie, tak jak wcześniej stracił zaufanie Marcina Bielawskiego.

Miał niewiele czasu. Wyszedł z akwarium i wybrał numer Teresy.

– Hejka. Nie masz ochoty na weekendowy wypad w Polskę? – spytał cicho.

– Myszka Miki, Marcin.

– Co?

– Ta naklejka na schowku. Podoba mi się, pamiętam taką z dzieciństwa. To mnie w sumie przekonało. Zadzwoń do niego i powiedz, że chcemy ten samochód. Zwłaszcza że cena wydaje się okazyjna.

Marcin słuchał głosu Marty w słuchawce i gapił się w monitor. Było piętnaście po trzeciej, niedługo musiał wyjść przed budynek i odebrać od Anki bilet na jutrzejszy koncert dla dyrektora Orlicza.

– Prześlę ci MMS-a, tak dla przypomnienia – ciągnęła nakręcona Marta. – Zrób coś dla nas w końcu, Marcin. Za miesiąc będziesz ojcem.

– Nie musisz mi przypominać...

– Chyba jednak muszę – powiedziała zgryźliwie. – Czego szukałeś wczoraj pół wieczora w laptopie? Czy przypadkiem nie Stokrotki? Wydawało mi się, że jak już zgadasz się z Anką, to odpuścisz sobie grzebanie przy tamtej dziewczynie. Scenariusz, pamiętasz?

W końcu zamilkła, a Marcin zacisnął zęby. Może i miała rację, ale jej upierdliwość wkraczała na nowy nieznośny poziom. Jutrzejsze spotkanie we trójkę w sprawie scenariusza – on, Marta i Anka – traciło właśnie aurę czegoś świeżego i kreatywnego. Nawet nie chciał go sobie wyobrazić.

Pożegnali się zdawkowym „na razie”, a po chwili na ekranie komórki pojawiło się zdjęcie okrągłej naklejki na schowku w fordzie focusie Jana Adlera.

Marcin wziął głęboki wdech i wybrał numer aktora.

– Dzień dobry, panie Janie – powiedział po chwili. – Czy oferta z focusem wciąż aktualna?

– Dzień dobry. Żona zdążyła sprzedać ten samochód – usłyszał w słuchawce głos Adlera mówiącego do zestawu głośnomówiącego, cichą muzykę klasyczną i komendy z GPS-a. – Znalazła kupca i zanim zdążyłem zaprotestować w pana imieniu, to focusa już nie było.

– Marta mnie zabije...

– Przykro mi niezmiernie, panie Marcinie. – Adler nie zabrzmiał jak ktoś autentycznie zasmucony. – Na pewno trafi pan coś innego, mało to tego w internecie? A jak się ma sprawa naszego scenariusza? Znalazł pan czas?

Marcin przygryzł wargi.

– Niczego jeszcze nie napisałem – powiedział wolno. – Ja i znajoma... Jesteśmy na etapie rozpisywania postaci. Ale teraz mogę już wziąć się w garść i ruszyć z tematem. Myśli pan, że nie jest jeszcze za późno?

– Za późno na co? – Adler roześmiał się cicho. – To nie piekarnia. Natomiast... Myślę, że najwyższy czas, żeby porozmawiał pan z moim kolegą producentem.

– Mam się z nim spotkać? – Marcin się spiął. – Kiedy?

– Nie pamięta pan? Mówiłem panu przecież, że w weekend jest otwarcie nowego hotelu – ciągnął Adler beztrąsko. – Tak się składa, że za dwie godziny wyjeżdżam z Warszawy. Będzie bal, jeśli można to tak nazwać. Musi pan pojechać, koniecznie. Będziecie mieli dużo czasu na rozmowę. Przed balem, w trakcie albo po balu, to już zależy od ilości serwowanych alkoholi.

– Ale co? Teraz? Już?

– Miał pan jakieś inne plany na weekend? – Marcin wyczuł w głosie Adlera znajome rozbawienie.

– Mieliśmy przysiąść nad scenariuszem z żoną i z tą znajomą. Pomyśleć o postaciach i w ogóle. Nie mógłbym spotkać się z tym producentem po niedzieli?

– To zabiegany facet. Nowy hotel, nowe obowiązki, pewnie znowu przez jakiś czas nie będzie go w Warszawie. Poza tym, jeśli się nie dogadacie, to po co panu scenariusz?

Marcin poczuł, że czoło rozgrzało mu się od tej rozmowy. Co powie na to Marta? A Anka? Obie będą rozczarowane, a Marta dodatkowo pełna podejrzeń, o co chodzi z tym niespodziewanym wyjazdem.

Adlera najwyraźniej znudziło czekanie.

– Umówiłem się, że o siedemnastej zgramę z placu Trzech Krzyży Pawła Dąbrowę. To ten młody aktor z prelekcji. Otello. Będzie czekał pod pomnikiem Witosa. Jeśli się pan zdecyduje, to proszę do niego dołączyć.

– Dobrze – powiedział Marcin cicho.

– Głowa do góry, panie Marcinie! Znajdzie pan inny samochód, dogada się z panem Lamparskim. Życie to wyzwanie, niech pan tak na to spojrzy.

– Mam nadzieję, że spodoba mu się Czajkowski. – Anka podała Marcinowi bilet.

– Z tego, co wiem, bardziej czeka na siódmą Beethovena.

Zerknął na parking przed ministerstwem i Krakowskie Przedmieście. Dwie minuty temu, zanim zjawiała się Anka, wydawało mu się, że jakiś facet z aparatem fotograficznym stoi przy garbusie Orlicza. Wyglądał, jakby koniecznie musiał skorzystać z toalety, a teraz go nie było. Marcin przeżuwał jeszcze przez chwilę to, co miał za moment powiedzieć, ale nie było sensu owijać w bawełnę.

– Nic nie wyjdzie z jutrzejszego spotkania – stwierdził cicho.

– Rozmyśliła się? – Anka spojrzała z ukosa.

– Nie. Po prostu musimy to przełożyć. Mój protektor koniecznie chce, żebym pojechał z nim na spotkanie z producentem. Mówi, że od tego zależy los scenariusza.

– No, to... Ruszymy po weekendzie, prawda?

– Tak.

– Dobrze, że miałam plan awaryjny na sobotę. – Anka mrugnęła porozumiewawczo. – Coś tak czułam, że z tobą nie da się nic prosto i bez awarii.

Zdziwił się, ale nie wnikał. Anka kiwnęła mu na pożegnanie, ruszyła przez parking i po chwili zniknęła za rogiem. Marcin wrócił do lobby i przystanął obok stanowiska faceta z ochrony. Patrzył z ciekawością na rozgrywającą się przed nim scenę.

Dwóch mężczyzn w ciemnych kombinezonach stało przy drewnianej skrzyni z tajemniczą rzeźbą, której przez tyle czasu nikomu nie chciało się otworzyć. W rękach mieli łomy i wprawnymi ruchami oddzielali od siebie ścianki.

Skrzynia rozpadła się na boki. W pierwszej chwili Marcin myślał, że ma przed sobą kupę rudego od rdzy złomu. Podszedł parę kroków i się przyjrzał. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w ślad za Orliczem przybyła do ministerstwa jedna z jego rzeźb.

Dwumetrowa kobieca postać, zbudowana ze skorodowanych prętów, śrub, kół zębatych i innych elementów powyjmowanych z różnych silników i turbin. Kobieta wyciągała ręce przed siebie, a za jej głową falowały długie włosy, jakby dmuchał jej w twarz niewidzialny wentylator. Marcin nie mógł oderwać wzroku od tej konstrukcji. Olbrzymi android też zdawał się patrzeć na Marcina dwoma kółkami zębatymi, bez uśmiechu. Przypominał industrialną wersję któregoś z kamiennych posągów z Wysp Wielkanocnych.

Po chwili do lobby wszedł Orlicz. Marcin zauważył na jego twarzy zdziwienie. Podszedł.

– Więc jednak nie porzucił pan dyrektor pracy twórczej? – spytał.

Orlicz wpatrywał się w rzeźbę jak oczarowany kolekcjoner.

– To nie moja – powiedział. – Ale miło wiedzieć, że ktoś podjął takie wyzwanie. To jak sztafeta pokoleń. Wielki talent, kimkolwiek jest autor. Gratuluję.

Marcin sięgnął do kieszeni i podał Orliczowi bilet.

– Jutro, dziewiętnasta.

– Dziękuję.

Zostało mu tylko zadzwonić do Marty i powiedzieć, że porażka z samochodem Adlera to nie była jego wina, tak po prostu wyszło. A ten nieoczekiwany wyjazd poza Warszawę to szansa, na którą długo czekał. Martwiło go tylko to, że będzie musiał

pojechać z Adlerem od razu po pracy, z teczką, w płaszczu, dzinsach i marynarce. I że Marta pomyśli, że po raz kolejny robi ją w balona.

Nie odebrała. Marcin zerknął jeszcze raz na godzinę i zrobiło mu się nieswojo. Przypomniawszy sobie, że gdy o szesnastej wyjdzie z pracy, na parkingu będzie czekał na niego nie kto inny jak Grzegorz Bielawski, jego ojciec.

Najwyraźniejszy obraz taty w jego pamięci pochodził jeszcze z czasów, gdy Marcin miał osiem lat, a jego ojciec trzydzieści pięć. Wysoki blondyn, szczupły, sprężysty, uśmiechnięty. Dobrze skrojony garnitur. Własne biuro rachunkowe. Żadnej złości, żadnej patologii, chyba w ogóle nie pił, a palił tylko okazjonalnie. Gdy wracał wieczorem z pracy, przychodził do pokoju Marcina, wypytywał, czy w szkole nikt mu nie dokucza, a potem czytał rozdział albo dwa jednej z wielu książek stojących na półce, starych wydań z czasów dzieciństwa Julii. Nie załapali się na Harry'ego Pottera, pierwszy tom wyszedł w Polsce niedługo po rozwodzie rodziców.

Ostatni raz widział ojca na swoim ślubie, prawie dwa lata temu. Widział – to za dużo powiedziane. Był wtedy przerażony, zaaferowany, sala weselna szybko utonęła w półmroku i słabym blasku świateł. Julia zadbała o to, by Grzegorz i Olga siedzieli dalej niż główna część rodziny i nie rzucali się w oczy. Podziękowania z kwiatami – szybkie, skoncentrowane na Julii i rodzicach Marty. Przed oczepinami Grzegorz poprosił Martę do tańca, ale pół minuty później podeszła do nich w podrygach Julia i z szelmowskim uśmiechem odbiła synową. Wtedy Marcin myślał, że to super, że tata nie robi scen, nie pcha się przed szereg. Po jakimś czasie spróbował postawić się w jego sytuacji i stwierdził ze zdziwieniem, że Grzegorz Bielawski zniósł te upokorzenia z wielką godnością.

Nie miał szansy obserwować na bieżąco, jak jego ojciec się starzeje, jego płowa czupryna rzadnie, a policzki stają się obwisłe. W ich wspólnej historii ziała wielka wyrwa. Mimo to, gdy wyszedł przed ministerstwo i podszedł do starszego mężczyzny, patrzącego z uwagą na Krakowskie Przedmieście, poczuł, że jest we właściwym miejscu i o właściwym czasie.

Przywitali się mocnym uściskiem dłoni, a potem na dobrą minutę zapadła cisza. Ojciec patrzył z niepewnym uśmiechem, a Marcin nie miał ochoty zaczynać rozmowy tu, na ministerialnym parkingu.

– Masz duże oczekiwania względem tego spotkania? – spytał w końcu Grzegorz Bielawski. – Nie wiem, czy sprodam. Przyzwyczaiłem się do tej ciszy między nami.

– Boję się tak samo jak ty – odparł Marcin i poprawił kołnierz płaszcza.

Usiedli w kawiarni niedaleko budynku ministerstwa, tej samej, w której w zeszły wtorek Marcin miał się spotkać z Andrzejem Rulewskim. Nie wiedział, jak dojść do najważniejszych pytań, więc przez piętnaście minut opowiadał ojcu o perypetiach

związanych z ciążą Marty, o wizycie Julii i o tym, że dostał właśnie od losu szansę na wyrwanie się z biurowej matni.

– To wszystko fajnie brzmi, Marcin – powiedział ojciec znad czarnej kawy bez cukru. – Jest okazja i ja też bym w to wszedł na twoim miejscu. Tylko musisz mieć oczy szeroko otwarte. Nikt nie daje nic za darmo. Ludzie kierują się własnymi interesami, wiesz, kłamstwa, brzydkie zagrywki, łamanie umów. Coś o tym wiem. Ograniczone zaufanie to podstawa. Nie rób nic na szybko, daj sobie czas na zastanowienie. Takie jest moje zdanie.

– Póki co, jadę porozmawiać. – Marcin poczuł, że te dobre rady trochę podcinają mu skrzydła. – Najgorsze jest to, że muszę to zrobić zaraz. Nie wiem, jak Marta to odbierze.

– Skoro już jestem w Warszawie i mam okazję, to spotkam się z synową i wszystko jej wytłumaczę. – Grzegorz uśmiechnął się znacząco. – Oczywiście, jeśli mi pozwolisz.

– O ile nie będziesz kopał pode mną dołków jak mama.

– Nie mój styl, Marcin.

Upili po łyku kawy i odstawili filiżanki na spodki niemal w tym samym momencie.

– Może się mylę, ale... – zaczął po chwili Grzegorz. – Myślę, że wiem, skąd ten telefon.

– Skąd?

– To byłby dla mnie zaszczyt, gdybyśmy się pogodzili, właśnie teraz. Mały Jerzy może mieć dwóch dziadków, prawda? Jego nic nie obchodzi, że dziadek z babcią się poprztykali wieki temu.

Marcin uśmiechnął się pod nosem. Akurat od tej strony tego nie rozpatrywał, ale ojciec trafił w czuły punkt. Nieraz łąpał się na tym, że zazdrości Marcie pełnej rodziny.

– To miła wizja, tato – powiedział. – I myślę, że da się zrobić. Ale ja mam do ciebie bardzo wiele pytań. Pewnie nie zadam ich dzisiaj od razu. Nie wszystkie. Od czegoś muszę zacząć.

– Brzmi... bardzo groźnie.

– Przykro mi. Dla mnie bardziej groźne byłoby, gdybym ich nie zadał.

– Więc... Jakie jest pierwsze?

Marcin uciekł wzrokiem za szybę, na Krakowskie Przedmieście, dziś bez miesięcznic, transparentów i podniosłych modłów. Zanim zdobył się na odwagę, po bruku przejechała stoszesnastka, a wycieczka japońskich turystów zrobiła krótką przerwę przed pomnikiem Józefa Poniatowskiego i ruszyła dalej.

– Zdradziłeś ją? – spytał w końcu.

– Tak – przyznał cicho ojciec.

– To była twoja pierwsza zdrada?

– Tak.

– Dlaczego? – Marcin oparł czoło na dłoni. – Co się z wami stało?

– Nie chcę zrzucić niczego na Julię. – Grzegorz Bielawski podniósł łyżeczkę i zaczął wpatrywać się w przybrudzony kawał metal. – To było jakby... jakby powolne rozdzielanie się. Ja się bardzo powoli odkochiwałem. Im bardziej się odkochiwałem, tym bardziej Julia, twoja matka... tym bardziej ona chciała zaznaczyć, że jesteśmy razem. Że coś sobie obiecaliśmy. I robiła się coraz bardziej natarczywa w tym wszystkim. Ja... ja przez długi czas zatrzymywałem się na fantazjach. Tylko. Ale Julia próbowała mi wmawiać, że na pewno kogoś mam na boku. Każde spóźnienie, każdy wyjazd. Robiła sceny, ciągle musiałem się tłumaczyć z czegoś, czego nie było. Z mojej strony na początku to był tylko dystans. Który zresztą próbowałem jakoś przełamać, ale słabo mi to wychodziło.

– Poczekaj. – Marcin uniósł palec. – Chcesz mi powiedzieć, że ona tę zdradę tak jakby sobie... wyśniła?

– Nie wkładaj sobie do głowy takich rzeczy, Marcin. – Ojciec uśmiechnął się smutno. – Każdy jest kowalem swojego losu.

– Ale jednak.

– Zaraziłem ją tym swoim dystansem, a w końcu uczeń przerósł mistrza. Nawet gdy próbowałem coś zrobić z naszym związkiem, ona wciąż miała w głowie podejrzenia. Ba! To nie były podejrzenia, ona wiedziała na pewno, że coś jest na rzeczy. Kwiaty? Dlaczego kwiaty? Bo pewnie coś przeszkrobałem. Bardziej intymne rzeczy to może sobie darujemy, co?

– Może tak – mruknął Marcin.

– No i w końcu coś we mnie pękło, zrobiło mi się wszystko jedno. Poznałem na wyjeździe do Wrocławia Olgę, poszliśmy na kawę, do kina. Tam nawet nie było seksu na początku. Po prostu było mi przy niej tak błogo, że nie chciałem wracać do domu.

Marcin słuchał tego z rosnącą obawą, że za chwilę zawilgotnieją mu oczy. Czuł, że nie może przełknąć śliny przez ściśnięte gardło. Wyznanie ojca trochę przypominało jego własne odczucia w małżeństwie z Martą – te, które pchnęły go na terapię. Może nie wszystko, Marta nie doszła jeszcze do tego etapu co Julia...

– To o dystansie doskonale rozumiem, sam w to wpadłem – powiedział cicho. – Wszystko robi się z czasem takie szare. Nie chcę, żeby to samo spotkało mnie i Martę.

– Nie musi, Marcin. Nie pielęgnuj tego uczucia.

– No dobra, nie chciałeś wracać, ale jednak... – Marcin się zawahał. – Po tej strasznej kłótni w przedpokoju widziałem przez pół roku, że się starasz. Ja wtedy nie wszystko rozumiałem, ale jakoś tak instynktownie ci kibicowałem. Że tata chce coś naprawić i na pewno mu się uda, cokolwiek ma tam do zrobienia.

– A jak myślisz, dlaczego?

Marcin spojrział w oczy ojca i wyczytał w nich odpowiedź.

– Ale tak jak powiedziałem na początku – podjął po chwili Grzegorz. – Nie obwiniajmy Julii. Dla niej po prostu łatwiejsza do przełknięcia była myśl, że zostanie sama z tobą.

– Tak też myślałem. Może ona miałyby więcej do powiedzenia, ale wyciągnąć coś z niej to... – Marcin mimowolnie spojrział na komórkę. Szesnasta trzydzieści dziewięć. – Cholera, muszę się zbierać, jeśli mam się spotkać z Adlerem. Tyle pytań jeszcze...

– Sam mówiłeś, że to dopiero początek. Zdałem test?

– To nie był żaden test, tato – zachnął się Marcin, wstał i położył ojcu dłoń na ramieniu. – To było coś... Najważniejsza chwila w moim życiu, no może poza ślubem.

– Cieszę się.

– Dopij kawę i jedź na Żoliborz. Marta na pewno się ucieszy.

Grzegorz też wstał. Wciąż wydawał się zawstydzony tą całą sytuacją. Marcin wahał się przez moment, ale w końcu go objął i poklepał po plecach.

– Jeszcze jedno, tato – spytał. – Ty jesteś szczęśliwy z Olgą? Ona jest inna niż mama? To w końcu już dwadzieścia lat.

– Udało mi się nie popełnić tych samych błędów – odpowiedział ojciec i spuścił wzrok. Zapraszam na stronę exsites.pl

Przeszedł przez pasy na rondzie de Gaulle'a, minął budynek giełdy i zobaczył kopułę kościoła na placu Trzech Krzyży. Pomyślał, że będzie musiał poprosić Adlera, by ten zatrzymał się po drodze przy jakimś markecie. Szczoteczka, pasta, skarpetki i jakieś bokserki na zmianę. Tyle powinno wystarczyć.

Zerknął na zegarek, dochodziła siedemnasta. Przeszedł przez plac i doszedł do pomnika Witosa, spodziewając się grupkę deskorolkarzy, którzy mieli tam kiedyś nielegalny skate park. Pusto. Albo było za zimno, albo straż miejska w końcu wybiła młodzieży tę miejscówkę z głowy. Poszukał wzrokiem młodego aktora – tego, który był podobny jednocześnie do Artura i do Jima Morrisona. Był, siedział na murku w brązowej skórzanej kurtce, palił papierosa i patrzył spod ściągniętych brwi na kościół Świętego Aleksandra.

– Cześć – rzucił Marcin, a aktor podniósł głowę. – Marcin Bielawski. Mamy zdaje się jechać razem z panem Adlerem do jakiegoś hotelu.

– Pink Rose – odpowiedział tamten. – Tak się nazywa ten przybytek. – Wstał sprężystym ruchem z murka i podał Marcinowi dłoń. – Paweł. Paweł Dąbrowa – przedstawił się. – Więc to ty jesteś scenarzystą tego filmu, w którym mam zagrać?

Bielawski zaniemówił. Patrzył przez chwilę na chłopaka szeroko otwartymi oczami.

– Zagrać? Jeszcze nic nie napisałem.

– Adler mówił co innego. Ten Artur to był twój kolega?

– Tak.

– Kiedy już tam dojedziemy, to pogadajmy w spokoju, ty i ja. – Paweł zaciągnął się papierosem. – Opowiesz mi o nim, chciałbym spróbować wczuć się w postać.

Marcin wciąż nie mógł uwierzyć. Stał przed nim chłopak niedużo po dwudziestce, w skórzanej kurtce, z niebieskimi, ostro spoglądającymi oczami i kędzierzawą fryzurą daleko za uszy. Wyglądał jak kopia Artura, a teraz oznajmił bez zbędnych ceregieli, że będzie go grał.

– Czy Adler mówił coś jeszcze?

– Nie wiem, sam możesz go zapytać. – Paweł Dąbrowa wskazał na nissana w kolorze szary metalik, który właśnie wjechał na chodnik i włączył światła awaryjne.

Szyba w przednich drzwiach opuściła się bezgłośnie.

– Pakujcie się, chłopcy – zawołał wesoło Jan Adler. – Bal w Pink Rose dopiero jutro wieczorem, ale my przecież mamy wiele spraw do omówienia.

Kiedy wyjechali z Warszawy na szosę gdańską, Marcin poprosił Adlera, żeby zatrzymali się na pół godziny przy supermarkecie w Łomiankach. Krążył z wózkiem między alejkami, miał już szczoteczkę, pastę, szampon i płyn pod prysznic. Brakowało jeszcze bielizny. Gdy zawracał w kierunku działu męskiego, usłyszał dzwonek w telefonie. To dzwoniła Marta.

– Cześć, słonko. – W słuchawce zabrzmiał jej miły głos. – Mam nadzieję, że miałaś dobre popołudnie, bo ja całkiem, całkiem. No i jeszcze ta nieoczekiwana wizyta. Wypiliśmy z twoim tatą herbatę, a teraz pokazuję mu moje zdjęcia. Jest megasympatycznie. Podśmiewamy się nawet trochę z Julii i jej ostatnich odwiedzin.

– Ja się nie podśmiewam... – dopowiedział Grzegorz w tle.

Marcin postarał się z całych sił, żeby wypaść spokojnie i sympatycznie.

– Czy tata ci przekazał? – spytał. – Adler nie dał mi żadnego pola manewru, musiałem prosto po robocie się z nim spotkać. Wymyślił mi rozmowę z producentem. W sprawie scenariusza.

– Twój tata tak to przekazał, że nie miałam nawet szansy się pogniewać – powiedziała Marta. – Spotkanie z Anką przełożyłeś?

– Tak.

– Głowa ci odpocznie od tych wszystkich Stokrotek. Spisz się dobrze na tej rozmowie.

Westchnął z ulgą.

– Tylko jedno pytanie: daleko jedziesz?

– Kurczę, zapomniałem spytać. Cały czas mam w głowie, że to gdzieś pod Warszawą. Jak jesteś przy kompie, to sprawdź, pliz. To chyba hotel. Pink Rose.

Długa cisza. Marcin słyszał, jak Marta stuka w klawisze.

– No trochę daleko od Warszawy. – Zaśmiała się nerwowo. – Pink Rose hotel and spa. Jutro uroczyste otwarcie. Miejscowość Karmany.

– Nic mi to nie mówi.

– A może powinno. To Mazury...

A więc jesteśmy...

Niby razem, a jednak osobno. Z mojej winy. Ściągnąłem Marcina na dziki biwak niedaleko Karmanów. Pożyczyłem od niego namiot i przyjechałem tu pierwszy, jak tylko zobaczyłem, że tamten dom opustoszał. Ally wywiedziała się od którejś z koleżanek, jak ta miejscowość się nazywa. Powiedziała mi, ale widziałem, że z ciężkim sercem. Chyba nie chciała, żebym tu za nią przyjeżdżał. Ma swój plan, coraz bardziej odpływa. Musi się dowiedzieć, kto stoi za tym, że ją tam trzymają. To ktoś bliski temu facetowi, dla którego robi mój stary. Kto? Nie mam pojęcia. To musi być ktoś ważny. Mam straszne przypuszczenia, że ojciec pasuje do tego schematu. Przysługa za przysługę, nie?

Dojechał Marcin. Cel? On ma jeden cel – pisanie scenariusza. Kusi mnie, żeby mu powiedzieć: „stary, ty i ja mamy w głowie dwa różne filmy, to się nigdy nie sklei”. Mój to czerni, ta smoła, którą miałem nadzieję wyciągnąć z głowy Ally, a która teraz przykleiła się też do mojej. To już nawet nie byłby Władca Pierścieni w warszawskiej scenerii, tylko najbrudniejszy z Harrych albo jakiś japoński slasher. Po nocach śni mi się, że rozpierdalam ich wszystkich maczetą albo samurajskim mieczem. A jego film? Jego jest beztroski i pełen nadziei – że wszystko w końcu się układa, każdy zasługuje na szansę, jesteś samotny i bez pomysłu na życie, ale kosmos zsyła ci uśmiechniętą laskę i dalej jest jak w komediach z Hugh Grantem.

Muszę się czyścić z tych myśli, które przysysają się do mnie we śnie jak ośmiornica. Więc przepływam codziennie dwa kilosy w chłodnym jeziorze, dopływam do miejsca, z którego widać pensjonat, wyobrażam sobie, że tam

wchodzę i rozmawiam z tym najważniejszym gościem. Jestem w końcu synem jego prawnika, to taka uspokajająca polisa na życie. A potem zawracam, walcząc ze zmęczeniem.

Czasem mam ochotę odpuścić sobie na środku jeziora i żeby już niczego nie było...

Dwie sytuacje z tego pierwszego tygodnia. Numero uno. Plener. Przed namiotem – dzień. Słońce pali jak oszalałe. Wkładam dzinsy, jedne jedyne, co je zabrałem na te Mazury. Grzebię w kieszeniach, czy nie ma tam monet. Wkładam palec do kondomówki, czuję tam jakiś papier. Wygrzebuje go. Przycięta nożyczkami tekturka z jakimiś bazgrołami długopisem. Nie pamiętam, żebym coś takiego tam wkładał.

Czytam. Raz, drugi. Bierze mnie pusty śmiech.

– Ty, Marcin – wołam w stronę namiotu. – Zobacz, jaki mesydz znalazłem w spodniach.

Wychodzi, niewyspany i chyba zły. Skubany cały czas mnie ciśnie o mój zielony zeszyt, a ja mu zawsze mówię: „Jeszcze nie teraz, stary, to nie jest skończone, wykończę, to ci pokażę”, a na twarzy mam głupawy uśmiech. Albo zbywam go, żeby tłukł dalej tę swoją telenowelę.

– Co to? – pyta, bierze ode mnie tekturkę i czyta te bazgroły. – To twój ojciec napisał?

– No – potwierdzam. – Tylko coś mu się osoby w zdaniu poprzestawiały.

– Co masz zamiar z tym zrobić? – Marcin oddaje mi papier z poważną miną.

– Taa, zastanówmy się. – Gapię się z ukosa. – Może być na podpałkę.

Patrzy na mnie, jakby miał ochotę wytłuc mi ten pomysł z głowy. Lubię tę jego dobroć serca wypisaną na twarzy. Jakby mówił: „Daj mu szansę, człowieku, może gość nie zasługuje, ale w końcu to dla twojego dobra”. No jasne, że nie zasługuje, ten mój stary, ale ty nic o tym nie wiesz i chyba nie chciałbym, żebyś się dowiedział.

– Weź to schowaj – mówi. – Sam wiesz czemu.

– Czyżby? – droczę się z nim. – A czy przypadkiem świat nie jest pięknym i bezpiecznym miejscem?

– Ty, Artur, masz chyba inne zdanie.

– Tak jakoś się złożyło.

– Więc nie świruj i to schowaj – cedzi mój kumpel Marcin i patrzy na mnie tak, że po raz pierwszy od bardzo dawna biorę go na poważnie. Przez chwilę ma jakiś taki błysk w oku, jak u złego psa. – Skoro to napisał, to jesteś mu to winien. Żeby zostawić to tam, gdzie było.

– Nic mu nie jestem winien – mówię, ale czuję, że ma rację. – No dobra. Przekonałeś mnie.

Wkładam tekturkę do kondomówki, a Marcin kręci głową i wraca do namiotu.

Sytuacja numer dwa, następnego dnia. Szosa do Karmanów – dzień. Oczywiście plener, a jakże. Idziemy do sklepu po bułki, chińskie zupki i parę browarów na wieczór. Marcin jest w dobrym humorze, pochwalił mi się wcześniej, że rzucił swojemu bohaterowi kłody pod nogi. Już nie jest tak cudownie: Anitę ciągną wojaże, chce zwiedzić Paryż i Amsterdam, a Kornel najchętniej widziałby ich razem na miejscu, bo wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. No i git. Będą musieli się spać. Da jej pojechać? Pojadą razem? Czy może zakończy się to łzawym pożegnaniem na Okęciu? Nawet mnie tym na chwilę odciągnął od myśli o Ally i o tym, żeby popłynąć do pensjonatu i z nią pogadać. Zobaczyć, jak się miewa. Cholera, a może dałaby radę dopłynąć na tę samotną wyspę pośrodku jeziora...?

– Anka mówiła, że chętnie by cię poznała – mówi Marcin. – Myślisz, że jest szansa na spotkanie przy piwku po powrocie?

– Jakaś szansa zawsze jest – odpowiadam. Nie wiem, czemu jestem taki popieprzony, ale zawsze, jak mówi o tej Ance, to mam ochotę mu dogryzać. – Tylko zdajesz sobie sprawę, że mogę zawrócić twojej lasce w głowie? Znam lepsze filmy. I w ogóle niezły ze mnie gość. Jak się postaram, oczywiście. Przejrzyj na oczy ta twoja Anka. Musi przejrzeć, bo chyba jest ślepa.

– Sranie w banie – mruczy Marcin, ale i tak widzę, że się czerwieni.

Przez chwilę idziemy w milczeniu. Chyba mocno załazłem mu za skórę, bo aż policzki mu drżą.

– Ja pieprzę – wybucha w końcu mój biedny koleżka. – Ty masz... Ty masz jakiś personality disorder, Artur. Ja bym obstawiał borderline. Najpierw żeś mnie sobie wyidealizował, jaki to będzie ze mnie zajebisty partner do pisania, a potem robisz wszystko, żebym cię znienawidził. Wszystkie sceny? Złe. Ja? Nie taki jak ci kolesie z boiska. Co ja jestem? Pieprzony worek treningowy?

Teraz to ja się czerwienię. Jeszcze nikt nigdy nie walił mi kawałków o mojej psyche. Przystaję na poboczu, a on dopiero kilka kroków dalej. Obraca się i łypie na mnie.

– Nie za mocno pojechałeś? – warczę. – Co to jest, kurwa, borderline?

– Weź se sprawdź.

– No nie, panie psychologu. Stawiasz diagnozę, to się teraz tłumacz.

– Nie.

Rozwalił mnie tym. Nie wiem, co mam myśleć. A kiedy nie mam o czym myśleć, to zaraz przychodzi mi do głowy, że jestem nie tam, gdzie powinienem. Powinienem być z nią i czytać jej dalej, dokończyć książkę, a nie stać tu i gapić się tępo przed siebie. To jest najważniejsze. Od dwóch i pół miesiąca to kręci całym moim życiem.

I zaraz przerażenie. Że cały ten trud jest na marne. Że tak naprawdę wcale nie jestem jej potrzebny. Ona nie chce stamtąd odejść, ale przecież i tak nie uda jej się

tam dowiedzieć, dla kogo ją trzymają. Nie ma takiej możliwości. Muszę tam popłynąć i spróbować ją przekonać, że ta prawda nie jest jej do niczego potrzebna. Tylko wolność.

Od tych myśli aż mi pociemniało przed oczami. A Marcin, ten dobry człowiek, na którego nie zasługuję, zdążył już ochłonąć i patrzy na mnie z troską.

– Sorry, może rzeczywiście przegiąłem – mówi.

„Może tak, a może nie” – myślę. Nie mam okazji powiedzieć tego na głos, bo za naszymi plecami słychać nagle warkot silnika na wysokich obrotach. Cały las drży od tego hałasu, jakbyśmy znaleźli się na torze formuły jeden.

Instynktownie schodzimy głębiej na pobocze, a chwilę potem z wielką prędkością przelatuje obok nas białe audi, podskakując na nierównym asfalcie. Nie jest to sportowa maszyna, zwykłe auto, i czuć, że kierowca docisnął gaz do samej podłogi i że silnik ledwo to wytrzymuje.

Potem to białe audi hamuje z piskiem opon, potrzebuje ze stu metrów, żeby się zatrzymać. Patrzymy na to z Marcinem jak zaczarowani, ale ja czuję, że coś jest nie tak. Samochód zaczyna cofać w naszym kierunku. Jedzie tak esami-floresami i zatrzymuje się znów, tym razem dziesięć metrów od nas. Warszawskie numery. Za kierownicą siedzi jakiś duży typ, wydaje mi się, że gapi się na nas przez lusterko. Na miejscu pasażera jest drugi facet, odwraca się i patrzy na mnie. Ma złote okulary.

Jestem niemal pewien, że to ci z pensjonatu.

– Co jest grane? – pyta Marcin, a ja nie odpowiadam.

Czekam, aż coś się wydarzy. Któryś z nich wysiądzie? Będą nas gonić? Nic takiego się nie dzieje. Ruszają. Najpierw powoli, a potem kierowca znów wdusza pedał gazu i białe audi z rykiem znika, ścinając zakręt. Królowie szosy.

Panowie życia i śmierci.

Sobota,
21 października, 8:40



Andrzej zgasił papierosa, stanął w progu balkonu i otaksował wzrokiem rozświetlony słońcem pokój. Za czterdzieści minut Teresa miała podjechać pod szlaban na osiedlowym parkingu. Sobotni poranek był wyjątkowo jasny, ale termometr na oknie wskazywał minus jeden. Balustrada balkonu przykryta była cieniutką warstwą szronu.

Zamknął balkon i wyszedł do przedpokoju. Podniósł torbę podróżną, założył ją na ramię i pokręcił głową z dezaprobatą. Trochę za dużo do niej spakował. Trzy koszule na zmianę, bielizna, dżinsy, adidas, kurtka z futrzanym kołnierzem, laptop i router – kiedy wkładał rzeczy do torby, wydawało mu się, że to niewiele. Na sobie miał beżowe chinosy, koszulę i kardiganową kamizelkę, a na tym granatową marynarkę. Do tego buty sztyblety i nieśmiertelny płaszcz z wełny merynosa. Niemal idealny strój do akcji, którą miał zamiar przeprowadzić: wkrętki w mazurskim szpitalu.

– Powiesz mi, dokąd jedziemy? – spytała Teresa, gdy wsiadł do samochodu. – I czemu musiałam ubrać się jak biurwa?

Spojrzał na nią. Miała wyglądać na jego sekretarkę: szara spódnica, szary żakiet, nijaki makijaż. Założyła też okulary w plastikowych oprawkach, których Andrzej do tej pory nie miał okazji widzieć. Ciuchy do łożenia po lesie zabrała do torby, tak jak on.

– Jedziemy na Mazury. Do Gryczewa – zaczął. – A konkretnie do szpitala. Chcę dowiedzieć się więcej o pewnej sprawie sprzed ośmiu lat. Najlepiej by było uderzyć od razu do dyrektora.

– Też mi wypad na weekend – prychnęła Teresa. – Ale rozumiem, że taki masz styl. Praca i odpoczynek, dwa w jednym. Przyjemne z pożytecznym. Przyznaj od razu, że chodziło ci głównie o mój samochód.

Poczerwieniał. Tak to mogło wyglądać.

– Przeprowadzę z panem dyrektorem mały wywiad. Jak już to załatwimy, to możemy całą niedzielę przejechać po mazurskich lasach.

– Wywiad? – Teresa uśmiechnęła się złośliwie. – Chcesz wejść, zamachać legitymacją prasową z brukowca i zrobić wywiad z dyrektorem szpitala?

– Nie dzisiaj. Dzisiaj zrobię to jak za starych dobrych czasów.

Chyba nie rozumiała, o co mu chodzi. Andrzej z tajemniczą miną wybrał numer, który znalazł wczoraj wieczorem w necie. Przełączył na tryb głośnomówiący i zerknął z ukosa na Teresę.

Po trzech sygnałach usłyszeli cienki kobiecy głos, który według Andrzeja należał do szczupłej i nieco przestraszonej blondynki przed trzydziestką.

– Szpital powiatowy w Gryczewie, sekretariat dyrekcji, słucham?

Andrzej w mgnieniu oka przybrał ton, którego po raz ostatni użył do pozyskania adresu domowego Marcina Bielawskiego. Dawno temu razem z Garbarkiem dzwonili do różnych urzędów i wyciągali w ten sposób informacje od nieświadomych niczego sekretarek i asystentek.

– Halo, dzień dobry, z tej strony Antoni Błaszak, podsekretarz departamentu kontroli z Ministerstwa Zdrowia. – Oparł głowę o miękki zagłówek. – Wiem, że jest sobota, ale właśnie dostałem od pana ministra listę placówek do skontrolowania i widzę tu przed sobą wasz adres. Pan minister chciałby mieć w poniedziałek na biurku raport.

– Ale... czy mogę przełączyć rozmowę do pana dyrektora? – spytała kobieta z paniką w głosie.

– To nie będzie konieczne. Proszę tylko przekazać panu dyrektorowi, że około trzynastej przyjedzie do państwa starszy specjalista Andrzej Rulewski. Właśnie wyjechał spod budynku, mamy tu w Warszawie korki, rozumie pani, stolica, ale powinien wyrobić się na trzynastą. Więc niech dyrektor poczeka na niego. To nie zajmie długo. Tylko kilka pytań.

– Tak, tak, oczywiście...

– Cieszę się niezmiernie. I przepraszam za zamieszanie. No ale rozumie pani, panu ministrowi bardzo zależy. Do zobaczenia.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. To „do zobaczenia” wymknęło mu się bezwiednie, ale wiedział, że przerażona sekretarka nie zauważy wpadki. Nigdy niczego nie zauważały, onieśmiałe czarującym tonem Andrzeja i warszawskim splendorem, który spływał na nie bez żadnego uprzedzenia.

Myślał, że zrobi na Teresie wrażenie, ale gapiła się na niego z zażenowaniem.

– Czy to legalne? – spytała cicho.

– Niezbyt. Nie jest, nie było i nigdy nie będzie.

– No dobra. Niezłą ma pan bajerę, panie Andrzeju. – Zacisnęła dłoń na dźwigni zmiany biegów i wrzuciła jedynekę. – Nie każmy panu dyrektorowi czekać.

– Pan Lamparski jeszcze nie przyjechał. Może przejdziemy się po hotelu, panie Marcinie? – Jan Adler stał w drzwiach pokoju hotelowego i patrzył na Marcina z uśmiechem.

Dojechali do Pink Rose wczoraj około dwudziestej pierwszej. Marcin ledwo widział na oczy i od razu rzucił się na łóżko w przestronnej jedyńce na drugim piętrze. Spał jak zabity. Kiedy się obudził, nie był do końca pewien, gdzie się znajduje.

W powietrzu unosił się zapach nowości – sosnowego łóżka z miękkim materacem, błękitnej pościeli wyjętej prosto z opakowania i akrylowej farby w kolorze piasku pustyni. Wszystko było czyste, dziewicze. Marcin musiał być pierwszym gościem, który kiedykolwiek spał w tym pokoju. Zdążył jeszcze zerknąć przez okno na przykryte mgłą jezioro, gdy ktoś zastukał do drzwi. Gdy otworzył, w korytarzu stał Adler, ubrany w czerwony golf i zielonkawą marynarkę.

– To jak, pójdziemy na mały rekonesans? – spytał aktor, widząc zdziwioną minę Marcina. – Pan Lamparski, producent, pamięta pan?

Marcin pokiwał głową. Wyszedł niemrawo z pokoju i ruszyli razem długim korytarzem.

– Nie wygląda pan na specjalnie wypoczętego – stwierdził Adler z ironią. – Ale gdyby zdołał pan na chwilę się skupić, to chciałbym powiedzieć panu o kilku sprawach.

– Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze, pan Lamparski bardzo chce zrobić ten film. Myśli, że pan ma już cały scenariusz w głowie, a może i na papierze. Celowo nie wyprowadzałem go z błędu. Czy przemyślał pan przez noc historię, którą mu opowie?

– Nie do końca. – Marcin poczuł drapanie w suchym gardle.

– No to będzie pan musiał coś zaimprovizować. – Adler uśmiechnął się krzywo. – Po drugie, z tego, co wiem, to przygotował już dla pana umowę. Radziłbym nie wybrzydzać. Jest pan debiutantem, bez żadnego dorobku, no i, jak się okazuje, niezbyt zdyscyplinowanym.

Wszystko to była prawda, ale w ustach tego mężczyzny zabrzmiała wyjątkowo przykro. Marcin zupełnie nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Doszli do przestronnej klatki schodowej wyłożonej kwadratowymi płytkami z rzeźbionymi motywami roślinnymi. Naprzeciwko nich za przeszkłonymi drzwiami tonęła w ciemności sala z torami do kręgli i stołami bilardowymi.

– Męskie rozrywki – zauważył Adler na schodach. – Ale dzisiaj impreza raczej tu nie zawita.

– Jest jeszcze jakieś „po trzecie”? – spytał Marcin z kamienną twarzą.

– Po trzecie, pan Lamparski chciałby, żeby znalazła się w tym filmie rola dla niego.

– W oczach Adlera znów pojawiły się ironiczne iskry. – I to nie jakaś drugoplanowa. Więc radziłbym panu przyjrzeć mu się uważnie na tym spotkaniu. Rozumie pan, żeby mógł pan potem stworzyć dla niego postać. Na miarę jego możliwości oczywiście – dodał po chwili i poklepał Marcina po plecach.

Marcin zwolnił kroku i poczuł się nagle potwornie samotny. Adler schodził przed nim, wyprostowany jak trzcina, dystyngowany, a Marcin patrzył na jego plecy

i zastanawiał się nad jedną podstawową kwestią: „Czy ten facet to zaplanował?”. Wydawało się, jakby wszystko szło po jego myśli i jakby był bardzo zadowolony z krępującej sytuacji, w jakiej znalazł się Marcin.

Wyszli z klatki schodowej. Za rozsuniętymi na boki szklanymi drzwiami rozpościerała się długa i szeroka sala z wysokim sufitem i niedużą sceną. Przy okrągłych stolikach kelnerzy poprawiali krzesła z wysokimi oparciami, przybrane w biały materiał. Marcin na pierwszy rzut oka ocenił, że stolików było ze dwadzieścia, może trzydzieści. Przy każdym z nich zmieściłoby się z dziesięć osób. Szykowała się olbrzymia impreza na co najmniej dwustu gości.

– Tam nie wchodźmy – powiedział Adler. – Nie będziemy przeszkadzać obsłudze.

– A na zewnątrz?

– Za lekko się ubraliśmy. Poza tym... Czeka na nas śniadanie.

Adler szybko skończył swój miks dwóch sałatek ze szwedzkiego stołu, nie dopił do końca kawy i puścił się w obchód kafeterii. Marcin patrzył znad swoich kanapek z wędliną i serem, jak aktor z gracją lawiruje między stolikami, podchodzi do kolejnych osób, uśmiecha się i z każdym zamienia kilka słów. Faceci w marynarkach wstają na jego widok, a ich towarzyszki – jeszcze sauté i nie do końca rozbudzone – zerkają na niego ciekawsko znad filiżanek. To byli ci goście Pink Rose, który którzy przyjechali w piątek wieczorem, tak jak Adler, Marcin i Paweł Dąbrowa. Nie było ich wielu, może ze dwadzieścia osób. Na parking, widoczny za dużym oknem, dopiero zaczynały zajeżdżać auta, przy których porsche Rulewskiego wyglądałoby jak opel corsa przy mercedesie.

Między gryzem kanapki a łykiem kawy z mlekiem Marcin obserwował, jak z samochodów wychodzą kolejni goście. Najczęściej faceci z partnerkami, może to były żony, ale nie był pewien. Nieśli za nimi pokrowce ze strojami wieczorowymi. Zdarzały się też gorsze samochody i pary, które na pierwszy rzut oka nie pasowały do całej tej biznesowej otoczki. Marcin żuł kanapkę i zgadywał. Ten tu to może być polityk z młodą żoną, on starszy, ona wygląda trochę, jakby wyciągnął ją z jakiejś wioski i przebrał w kostium z sieciówki. Mają na twarzach lekki przestrah, nie do końca wiedzą, jak się zachować, pewnie od razu uderzą do pokoju i przesiedzą tam do samej imprezy. A ten wysoki, w obcisłych spodniach rurkach i rozpiętej mimo chłodu skórzanej kurtce – może jakiś projektant mody? A może ktoś z telewizji? Cholera wie.

Podjechał jeszcze jeden samochód, chyba najdroższy z całej stawki – stalowoszary, ze lśniącą klapą silnika i wielkimi halogenami, błoto i brud wydawały się nie trzymać karoserii, jakby była nasmarowana jakąś magiczną substancją. Zaparkował pod samym hotelem, na miejscu oznaczonym tabliczką. Od strony

kierowcy wyszedł zwałisty łyсы mężczyzna w marynarce ciasno opinającej muskularne barki. Nieco zbyt ciężkim krokiem obszedł samochód i otworzył drzwi od strony pasażera, z których wyłoniła się młoda kobieta z długimi falującymi włosami.

– No i proszę, pan Lamparski przyjechał. – Marcin usłyszał nad sobą głos Adlera. – Przywiózł gwiazdę wieczoru.

Przyglądał się kobiecie, cierpliwie czekającej, aż potężny facet wyciągnie z bagażnika kilka pokrowców. Gdzieś już ją kiedyś widział. Nie na żywo, raczej na jakimś plotkarskim portalu. To była chyba Jovita, wschodząca gwiazda piosenki.

– Będzie koncert? – spytał Adlera, ale aktor zdążył już odejść w kierunku drzwi. Jeszcze parę kroków i już witał się w holu z Lamparskim i jego towarzyszką.

Odsunął talerz i dopił kawę. Powoli zbliżał się ważny moment, będzie musiał w końcu stanąć twarzą w twarz z tajemniczym producentem i przedstawić się z jak najlepszej strony. Niemal jak rozmowa o pracę. Usiądą pewnie przy jednym z takich stolików – on, ten Lamparski i Adler. Tak, Marcin stanowczo wolałby mieć starego aktora u swojego boku. Ściszone muzyka, Lamparski pyta rzeczowo, co Marcin zdążył już napisać. Marcin nie ma nic, ale wie, że razem z Anką dadzą radę. Nie zna jeszcze wszystkich szczegółów, mimo to słowa same płyną z jego ust, a producent patrzy na niego z zainteresowaniem.

To była bardzo miła wizja i Marcin miał nadzieję, że okaże się prawdziwa.

– Wejdźmy tu na moment – rzucił chrapliwym głosem Lamparski.

Wskazał Marcinowi i Adlerowi otwarte drzwi do niewielkiego apartamentu na drugim piętrze. Adler wszedł pierwszy, za nim niepewnym krokiem ruszył Marcin. Wielki łyсы mężczyzna zamknął drzwi i podszedł do czarnego metalowego stołu ze szklanym blatem.

– Można usiąść. – Wskazał na krzesła ze skajowymi oparciami.

Marcin zerknął na Adlera. Aktor miał na twarzy dziwny nieobecny uśmiech, jakby uważał, że jego osoba nie jest tu do niczego potrzebna.

– Postoję – powiedział. – Ale pan Marcin... Zapraszam.

Marcin usiadł i poczuł na udach chłód sztucznej skóry. Rozejrzał się. W głębi nieukończonego apartamentu stało duże małżeńskie łóżko z podwieszonym baldachimem z muślinu. Ze ściany wystawał pusty uchwyt na telewizor, który czekał nierozpakowany w ogromnym pudle opartym o szafki nocne.

Lamparski położył na stole plastikową teczkę na dokumenty, otworzył ją i wyjął pojedynczą zadrukowaną kartkę.

– Tu jest umowa dla ciebie – oznajmił bez zbędnych wstępów i przesunął papier po blacie.

Marcina ogarnęło dziwne uczucie, że coś tu jest nie tak.

– Nie będziemy rozmawiać o filmie? – Przełknął ślinę.

– Nie mam teraz czasu. – Lamparski przejechał zębami po grubych wargach. – Janek mówił, że dasz radę mi to napisać.

Marcin się zawahał. Może to i lepiej? Będzie miał więcej czasu na przemyślenie wszystkiego. Duży mężczyzna po drugiej stronie stołu wyglądał na kogoś, kto lubi załatwiać sprawy w błyskawicznym tempie. Chyba spieszyło mu się do gości zjeżdżających do Pink Rose.

Nachylił się nad umową. W miejscu na jego dane wpisane było koślawymi wielkimi literami: „Mariusz Bielawski”.

Mariusz?

Czytał dalej. Do jego obowiązków należało napisanie scenariusza w ciągu trzech do sześciu tygodni, zgodnie z wytycznymi i wskazówkami Producenta – tu Marcin wrócił wzrokiem do nagłówka umowy, ale znalazł tam tylko nazwę spółki, która nic mu nie mówiła. W razie niewywiązania się z umowy w określonym terminie czekała go kara umowna w wysokości potrójnego wynagrodzenia. Zmarszczył brwi i przesunął palcem po wydruku aż do miejsca, gdzie Lamparski wpisał długopisem kwotę gaży.

Trzy i pół tysiąca złotych. Nieco więcej niż jedna pensja w ministerstwie na najniższym stanowisku. Marcin poczuł, jak krew zaczyna mu pulsować w skroniach. Tyle czasu myślał o scenariuszu, a nie sprawdził na żadnym blogu, ile tak naprawdę zarabiają scenarzyści. Okej, jest debiutantem. Okej, nie ma dorobku, jest niezorganizowany i czas przecieka mu przez palce. Nie ma też pewnie talentu. Mimo to czuł w głębi serca, że ktoś robi sobie z niego mocno nieśmieszny żart.

– Przeczytałeś już? – spytał Lamparski bez sympatii.

– Czy... Czy mógłbym wziąć ten egzemplarz? – wydukał Marcin pod nosem. – Skonsultować się... z żoną? I z koleżanką?

– A co tu jest do konsultowania? – Facet uniósł dłoń zniecierpliwiony. – Konsultować to się będziemy później, jak przyniesiesz mi scenariusz.

Marcin obejrzał się za siebie. Adler stał przy dużym oknie i przyglądał się w milczeniu mgle unoszącej się nad jeziorem.

– Czy mógłbym chociaż wiedzieć, jaką ma pan wizję tego filmu? – spytał Marcin cicho.

Lamparski ściągnął brwi. Czoło pokryły mu zmarszczki, a jego łysina przez moment zabłysła złowrogo w świetle wiszącej pod sufitem jarzeniówki. Marcin pomyślał, że kolejne pytanie może się okazać błędem kosztującym go wyrzucenie

z tego pokoju. Facet wyglądał, jakby nigdy nie poświęcił nawet sekundy na myślenie o tym filmie.

– Ma być po prostu zajebisty – powiedział bez pośpiechu. – To ma być, kurwa, hicior. A teraz weź sobie ten papier i przemyśl, co tam chciałeś przemyśleć. Pogadamy jeszcze po obiedzie.

Marcin szybko pokiwał głową. Lamparski wstał i nie mówiąc już ani słowa, wyszedł z apartamentu.

– O co chodzi, panie Marcinie? – Adler wciąż patrzył za okno z dłońmi na parapecie. – Ma pan jakieś wątpliwości?

Marcin przymknął oczy i potarł powieki tak mocno, aż pojawiły się pod nimi jasne punkciki.

– Nie wiem, sam nie wiem – wystękał. – Skąd pan zna tego człowieka? Kto to w ogóle jest?

– Pan Lamparski jest biznesmenem. – Głos Adlera zabrzmiał sucho i nieprzyjemnie. – Ważne, że chce dać panu szansę na debiut i jeszcze zapłacić za to pieniądze.

Oczami wyobraźni Marcin zobaczył Lamparskiego, jak zdejmuje marynarkę, zakasuje rękawy i wielkimi obcęgami wrywa mu paznokieć po paznokciu za każdą źle napisaną scenę. Albo żąda zwrotu swoich pieniędzy, z dnia na dzień obrastających w odsetki.

– Muszę się zastanowić.

– Byle szybko. – Adler odepchnął się od parapetu. – Nie będziemy czekać w nieskończoność.

– Daleko jeszcze? – spytał Andrzej, gapiąc się w telefon.

Teresa spojrzała na GPS pod przednią szybą.

– Zostało nam jakieś piętnaście kilometrów.

Podróż minęła im zaskakująco szybko i bezproblemowo. Przed Nidzicą natrafili na rozkopaną szosę i musieli nadrobić drogi objazdami, ale i tak mieli ze czterdzieści minut w zapasie. Jeszcze na szosie gdańskiej zatrzymali się na stacji benzynowej i zjedli po hot dogu. Potem zjechali w prawo pod Olsztynkiem i od pół godziny krążyli po drogach powiatowych.

– Jak to jest w tej twojej gazecie, Andrzej? – spytała Teresa. – Chodzisz po mieście i robisz podchody pod celebrytów?

– Kiedyś tak było, ale teraz najlepiej czuję się za biurkiem – odpowiedział, zerkając przez boczną szybę na pokryte delikatnym szronem świerki. – Trochę jak generał, co to siedzi w sztabie, zbiera meldunki od zwiadowców i wysyła swoje oddziały na akcję.

„Już niedługo” – pomyślał z goryczą. Garbarek już o to zadba. Martwiło go też, że nie czuł adrenaliny. Zaraz będzie odgrywał nadgorliwego urzędnika z Warszawy przed zakłopotanym dyrektorem szpitala, a czuł się pusty i bez werwy. Zerknął na prędkościomierz. Teresa jechała niecałe osiemdziesiąt na godzinę.

– Zawsze mnie żenowało to wasze słowo na nich. – Uśmiechnęła się brzydko. – Ryje. To przecież obrzydliwe. Kompletny brak szacunku. Nic dziwnego, że was nienawidzą.

– Tak to już wyszło. Paparazzi to wymyślili i tak zostało. A wiedziałaś, że ryjem może być też polityk? Albo nawet dziennikarz z telewizji? Ktokolwiek znany. Ja najwięcej radochy miałem z polowania na szanownych panów posłów. Oni są jak pieprzone dzieci we mgle. Kręcą te swoje wałki, a potem chowają się przed aparatem, jakby to był karabin snajperski.

Teresa parsknęła śmiechem. Andrzej uśmiechnął się pod nosem i zerknął przez przednią szybę. Przed sobą mieli łuk na szosie, po lewej świerkowy las, a po prawej zamglone brunatne pole z samotną krową.

– Te miśki nigdy nie znały umiaru, a dla nas to była największa satysfakcja, żeby napisać, jak się obzarł jeden z drugim za pieniądze podatników. I do tego fota, jak wywija orła na łodzie przed restauracją.

Teresa weszła w zakręt. Uśmiech zamarł jej na twarzy.

Ciężarówka. A obok wyprzedza ją jakieś auto. Na ich pasie.

Teresa krzyknęła. Puściła gaz i z całej siły odbiła kierownicą w prawo. Potem w lewo, potem znowu w prawo. Jej volvo zatańczyło na asfalcie. Słysząc klakson tego idioty, chyba się zmieścił, ale volvo dalej tańczyło, wychyliło się i poleciało prosto w brunatne pole.

„Nie chcę umierać!” – krzyczał umysł Andrzeja jak oszalały, a przed przednią szybą śmigały krzaki i wysoka trawa na nasypie. Andrzej poczuł, że wali głową o dach, a jego spętane pasami ciało poleciało w przód.

A potem na kilka długich chwil zapanowały cisza i ciemność.

– Trzy i pół tysiąca?! – Paweł Dąbrowa miał taką minę, jakby ktoś zaproponował mu udział w reklamowaniu kopania rowów w spocie dla sołtysa. – Tyle dostaje moja kumpela za dzień zdjęciowy w telenoweli.

Stali w hotelowym korytarzu z dala od wścibskich uszu. Marcin zerkał, czy nikt nie wychodzi w ich stronę z klatki schodowej.

– Szukałem w necie, ale niewiele znalazłem – powiedział. – Tylko blog jednego scenarzysty. Napisał, żeby się targować, bo jeszcze nigdy nie widział, żeby debiutant targował się o kasę.

– Ty, no nie wiem... – Młody aktor oparł się plecami o ścianę. – Ale słyszałem o jednym koleśku, co wyciągnął dwie dychy za debiut. Już nie mówię o tych, co mają nazwisko i pewnie dociągają do stówki.

– Do stu tysięcy? – Marcin poczuł mrowienie na karku.

– No nie, tak wysoko to nie celuj. – Dąbrowa uśmiechnął się znacząco. – Ale za trzy i pół koła to bym pomyślał, że ktoś chce mnie nieźle wychujać.

Marcin przyznał w duchu, że to faktycznie wygląda tak, jakby Lamparski z Adlerem znaleźli sobie łośia.

– A co z naszą rozmową? – spytał Paweł po chwili. – Mieliśmy pogadać o twoim koledze.

– Teraz to chyba nie jest dobry moment. Może na tej imprezie wieczorem? Jeśli coś wyjdzie z drugiej rozmowy z Lamparskim.

– Spoko.

Paweł odbił się od ściany i ruszył korytarzem w stronę kafeterii. Marcin nie mógł pozbyć się wrażenia, że chłopak ma coś z Artura, mimo że wydawał się zdecydowanie bardziej otwarty, no i nie nosił w plecaku pistoletu. Miał za to na podorędziu szczerą i jakąś taką bezinteresowność, a to bardzo mu odpowiadało.

Teraz Marcin musiał tylko uruchomić wewnętrzny kalkulator i szybko przeliczyć, ile powinien zaśpiewać Lamparskiemu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zobaczył oczyma wyobraźni siebie w towarzystwie żony i jeszcze jednej, bardzo malutkiej osoby. Małego Jurka, który pewnie nie mógł się już doczekać, kiedy otworzy oczy i zobaczy po raz pierwszy ten bardzo dziwny świat.

Minęło półtorej minuty, zanim się ocknęli. Andrzej powoli otworzył oczy. Najpierw zobaczył przednią szybę z wielkim pęknięciem dokładnie naprzeciwko jego głowy. Zakaszłał i popatrzył na siedzenie kierowcy.

Teresa z rozeźloną miną ostrożnie dotykała twarzy.

– Nic ci się nie stało? – Spojrzała na Andrzeja uważnie. – To się naprawdę wydarzyło? Czy my, kurwa, naprawdę żyjemy?

– Na to wygląda.

– Ja pieprzę, co za masakra – wymamrotała. Oparła głowę o zagłówek, parsknęła, a po chwili zaśmiała się histerycznie. – No i co teraz z naszą wyprawą do szpitala? – Uszy Andrzeja zaatakował jej podniecony głos. – Może poprosimy ich o darmową podwózkę?

– Nie jest chyba aż tak źle – odpowiedział cicho.

Odpięli się z pasów. Andrzej szarpnął zablokowane drzwi. Teresa naparła ramieniem i otworzyła po swojej stronie, wypadła z auta na kolana i wypluła z siebie kolejne spazmy śmiechu, prosto w brunatną ziemię. Odeszła na czworakach kilka kroków, a chwilę potem w drzwiach od strony kierowcy pojawił się Rulewski. Coś go trzymało w aucie, chyba but zaklinowany przy dźwigni zmiany biegów. Sięgnął dłonią, rozpiął suwak i wypadł na ziemię obok Teresy. Wstała powoli, otrzepała się i popatrzyła na leżącego Andrzeja.

– Urzędnik z ministerstwa... – Zgięła się wół, dysząc. – Chyba z ministerstwa pieprzonego rolnictwa. Departament gnoju i rozpaczy.

– Spójrz na siebie – wystękał Andrzej, łypiąc na nią z ziemi.

Teresa wróciła do auta po torebkę. Wyjęła z niej puderniczkę i spojrzała do lusterka.

– Cztery plus, całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. – Poprawiła włosy. – Ale pan, panie Andrzeju, co najwyżej dostatecznie.

– Myślisz, że pojedziemy? – spytał.

Wzruszyła ramionami i wróciła do samochodu. Usiadła za kierownicą i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik odpalił za drugim razem. Po chwili koła zabuksowały po zmarzniętej ziemi, a potem volvo powoli potoczyło się w kierunku wąskiej polnej drogi, którą pięćdziesiąt metrów dalej przecinała szosa. „Chce mnie tu zostawić na pastwę losu!” – pomyślał Andrzej w panice. Zamachał w stronę tylnej szyby, volvo stanęło i zawarczało silnikiem. Podbiegł, czując ostry ból w kostce. Chwycił za klamkę drzwi od strony pasażera i szarpnął – bez skutku, więc wpakował się na kanapę z tyłu.

– A pan co? – Teresa zmieniła głos, brzmiała teraz jak stary warszawski taksówkarz. Łypnęła przez lusterko. – Ja tylko na Pragę.

– Pani da spokój – mruknął Andrzej. – Sprawa jest pilna.

Zerknął na zegarek. Minęła trzynasta, powinni już być w szpitalu. Wybrał na komórce numer, pod którym parę godzin temu czarował mazurską sekretarkę.

– Halo, z tej strony starszy specjalista Andrzej Rulewski z ministerstwa... no, tego... zdrowia. – Tym razem to on zmienił ton na niższy i wychrypiał do słuchawki.
– Mieliśmy wypadek kilka kilometrów przed waszym miastem.

Sekretarka była bardzo przejęta. Chyba nie poznała, że dzwoni do niej ten sam facet co rano. A to, co powiedziała potem, sprawiło, że na ustach Andrzeja pojawił się błogi uśmiech.

– Czekają na nas z obiadem. Pan dyrektor i jego żona – szepnął do Teresy, zasłaniając telefon. – To wspaniale, bardzo dziękujemy.

Ruszyli, a Andrzej dotknął wielkiego guza na czole.

– Gdybym spotkał tego skurwiela, tobym go chyba utłukł na miejscu – wymruczał.
– No jak nic. Trzeba wozić ze sobą bejsbola, dogonić takiego i wytłuc mu z głowy wyprzedzanie na ciągłej. I to na zakręcie. Ja pierdolę...

– Coś w tym jest – potwierdziła Teresa, zerkając na niego przez tylne lustro.

Dziesięć minut później minęli tabliczkę z nazwą Gryczewo. Ujechali kilkaset metrów, kiedy Andrzej zauważył wśród ceglanych budynków mały market.

– Zatrzymajmy się na chwilę – rzucił. – Zaraz wracam.

Teresa ostrożnie wjechała na krawężnik i zgasiła silnik. Andrzej wysiadł, pokuśtykał do sklepu i od razu podszedł do półki z gazetami. „Fakt” i „Super Express” zdążyły już zniknąć, ale „Twoja Gazeta” wciąż była. Dwa ostatnie egzemplarze.

Znalazł stronę szóstą i pokręcił głową zniesmaczony.

A więc jednak. Garbarek dopiął swego.

– No dobra. – Lamparski po raz drugi tego dnia zasiadł przy szklanym stole w niewykończonym apartamencie małżeńskim na drugim piętrze. – Opowiedz mi, jak to widzisz, zanim zajmujemy się twoją kasą.

Tym razem Adler usiadł przy stole, bliżej Lamparskiego niż Marcina. Marcin czuł się jak na wyjątkowo nieprzyjemnej rozmowie o pracę, samotny naprzeciwko dwóch pewnych siebie gości, którzy chcieli coś ugrać jak najmniejszym kosztem. Adler miał na ustach swój standardowy ironiczny uśmiech, a Lamparski wyglądał jak lew obserwujący cherlawą antylopę stojącą u wodopoju.

– W centrum uwagi chciałbym postawić młodego chłopaka – zaczął Marcin, zerkając nerwowo na Adlera, u którego jednak nie znalazł wsparcia. – Jest idealistą, chce przejść przez życie w zgodzie z własnym sumieniem. Idzie mu jak po grudzie, ale to on sam rzuca sobie, no, jak to powiedzieć...

– Kłody pod nogi – dokończył Adler.

– Dokładnie. Ma słaby kontakt z rodziną, nie pracuje tam, gdzie mógłby wykorzystać swój talent. Czytał bardzo dużo literatury, ma swoje ulubione filmy...

– Jak każdy – wtrącił bez emocji Lamparski.

– Gwiazdne wojny, Indiana Jones, Rocky, Matrix, Batman. Walka ze złem, przygoda – ciągnął Marcin niezrażony. – No i są jeszcze książki, które niektórzy tak kochają, że nawet nie chcą oglądać ich ekranizacji, żeby mieć swój własny film w głowie. Taki, który sami wciąż na nowo reżyserują.

– Jak Władca Pierścieni? – Adler zmrużył oczy.

Marcin drgnął zaskoczony.

– Tak, jak Władca Pierścieni. – Spojrzał na Adlera, ale nie zdołał niczego wyczytać z jego twarzy. – Ten chłopak, młody idealista, widzi świat przez pryzmat tej książki. Jest dobro i jest zło. Między nimi przebiega wyraźna granica. Tym złym ciężko jest ją przekroczyć. Prawie nigdy im się nie udaje, bo zło jest zbyt silne. Ale na dobrych wiecznie czeka pokusa. Jak ten pierścień, który miał hobbit i który wabił go w stronę zła.

– Dobra, do rzeczy. – Lamparski zerknął na zegarek.

Marcin dotknął językiem spieczonych warg.

– Nasz bohater styka się ze złem – powiedział. – Miejsce, w którym mieszkał i które uważał za oazę spokoju, zostaje zbrukane. Zawsze myślał, że zło czai się tylko w centrum, ale teraz wie, że może być wszędzie, także na przedmieściach. Kolejne łuski spadają mu z oczu. Nie chce być bezbronny, więc kupuje pistolet. Dzięki temu czuje się bezpieczny, ale wpada też w paranoję.

– No, w końcu coś ciekawego. – Lamparski zerknął na Adlera. – Jest giwera, jest zabawa.

Marcin przez chwilę patrzył na wielką łysą głowę Lamparskiego i próbował ułożyć dalszy ciąg historii. Coś było nie tak z prawym uchem tego faceta, ale Marcin nie wiedział co. Małżowina tuż pod wygoloną linią włosów miała niecodzienny kształt, jakby ktoś dokleił kawałek sztucznej skóry nad blizną po cięciu wielkich nożyc.

– Jest jeszcze drugi wątek. – Marcin wlepił wzrok w ścianę za producentem, ale zrekonstruowane ucho Lamparskiego wciąż go przyciągało, więc przymknął powieki. – Nieszczęśliwa prostytutka ze skazą w oczach. Trzymają ją w zamknięciu, bo ktoś ważny się w niej zakochał. Nie wiem kto. Może jakiś polityk? Szprycują ją narkotykami, żeby ten ktoś mógł ją gwałcić bez ryzyka, że dziewczyna pozna jego tożsamość. Ten ktoś wiecznie stoi w cieniu i pociąga za niewidzialne sznurki. Wścieka się, bo nasz bohater poznaje przez przypadek tę prostytutkę i zakochują się w sobie. Robi wszystko, żeby pozbyć się tego chłopaka i mieć ją tylko dla siebie. Ale miłość jest silniejsza. Dziewczyna zachodzi w ciążę i chcą razem uciec, chłopak jest przerażony, wie, że może stracić życie, ale bierze pistolet i idzie uratować ukochaną. To wszystko dzieje się na Mazurach, w jakimś pensjonacie...

Otworzył oczy i zobaczył przed sobą twarz Lamparskiego z zaciśniętymi szczękami i szeroko otwartymi oczami. Facet wyglądał, jakby walczył z pokusą rozszarpania Marcina na strzępy. Adler lekko przechylił głowę i powolnymi ruchami drapał się po skroni.

Po chwili producent wypuścił głośno powietrze.

– No i co było dalej? – spytał spokojnie, zbyt spokojnie. – Zabili go czy uciekł?

– Życie mówi, że zabili – mruknął Marcin. – Chociaż ja osobiście wolałbym, żeby jakoś udało mu się wyjść z opresji i żeby zagrał im wszystkim na nosie.

– I żyli długo i szczęśliwie, tak?

– Coś w tym guście.

– Gdzie tu rola dla mnie? – Lamparski odchylił się na krześle.

– Jest w tej historii taki gangster, do którego bohater strzela w pensjonacie. To do niego należała decyzja, co zrobić z dziewczyną. Ale chciał sobie z chłopaka zażartować i trochę się przeliczył. Potem jeździ na wózku, myśli, że przeżywa moralne przebudzenie, ale tak naprawdę wewnątrz jest bardzo złym człowiekiem.

Lamparski wydał z siebie mrukliwy dźwięk.

– Nie przekonuje mnie ta historia – powiedział z zaciśniętymi szczękami. – My z Jankiem mieliśmy inny pomysł. Zostawiamy te gadki z boiska i dziwkę z oczami. Akcję przenosimy do Wrocławia. Poza tym dużo cycków i strzelaniny.

– No, to raczej twój dodatek – wtrącił z ironią Adler.

– Tego lamusa od giwery możemy zostawić, skoro tak ci na nim zależy – ciągnął Lamparski. – Ale z pensjonatem to trzeba zmienić. Przychodzi z tą giwerą, stawiają mu browara i wtedy widzi, że nie takie znowu straszne z nich chłopaki, nie? – Zaśmiał się sam do siebie. – Potem już mogą żyć sobie długo i szczęśliwie, ale dziwka się nim nudzi i wraca do tego, co najbardziej lubi, bo kręci ją życie na... na...

– Na krawędzi – dokończył Marcin ze ściśniętym gardłem.

– Dokładnie. – Lamparski klasnął w dłonie. – No i git. A teraz wróćmy do tej umowy, bo pewnie ci chodziło o kasę, nie?

Marcinowi przeszło przez myśl, że będzie pluł sobie w twarz do końca życia, jeśli napisze taki scenariusz.

– Myślałem bardziej o... – zająknął się. – No, takiej bardziej rynkowej stawce.

– To znaczy?

– No takiej, jak dostają scenarzyści za film.

– Ile?

– Trzydzieści pięć tysięcy – wyrzucił z siebie Marcin.

Lamparski wpatrywał się w niego z drgającymi policzkami. Marcin zerknął na Adlera, który ukrył twarz w dłoniach.

– Dwadzieścia pięć? – spytał szybko.

– Wiesz, chłopaku – zaczął producent ze źle skrywaną wściekłością. – Oglądałem ostatnio Strażników Galaktyki. I jakoś, kurwa, nie widziałem twojego nazwiska w napisach końcowych. Uśmiełem się na Pitbullu, ale tam też cię nie było. Więc możesz mi, do kurwy nędzy, wytłumaczyć, skąd żeś wytrzasnął taki rodzaj pieniądza?

Marcin poczuł, że musi koniecznie pójść do toalety, bo inaczej zsika się w bokserki. Facet był przerażający, ale jeszcze bardziej przerażające było to, że Marcin nie miał nic więcej do powiedzenia.

– To może ja już pójde – szepnął.

Chciał wstać, ale nie czuł własnych nóg.

– Nie tak szybko – wycharczał Lamparski. – Może najpierw wytłumaczysz mi to.

Wyciągnął z plastikowej teczki na dokumenty „Twoją Gazetę” i rzucił na stół tuż przed Marcinem.

– Dzisiejsza. Szósta stronę znajdź.

Adler oderwał dłoń od twarzy i popatrzył z zaciekawieniem, a Marcin przerzucił szybko kilka stron. Na szóstej bił po oczach wielki czerwony tytuł: SPOWIEDŹ ALICJI!!! prostytutka przemówiła!!! Marcin poczuł, jak na twarzy wykwita mu palący rumieniec. To nie był wstyd, to była wściekłość. „Zrobił to! Jakim cudem Rulewski do niej dotarł?”

Gorączkowo przebiegł wzrokiem po tekście, napisanym w dość tandetnym stylu. To był już drugi artykuł z serii. Kiedy zatem ukazał się pierwszy? To na pewno dotyczyło Alicji, bo już w drugim zdaniu znalazł się medalion, magiczny amulet, o który wszyscy walczyli jak szaleńcy. Igor, dobry chłopak i niespełniony talent, i diler Doktor Rob. A teraz odezwała się do redakcji wywołana do tablicy prostytutka, której nieudolny portret wyprodukował redakcyjny grafik. O, jakież straszne męki musiała wycierpieć w rodzinnym domu ta upośledzona dziewczyna, skoro pewnego dnia wsiadła do autokaru i pojechała w czarną noc do stolicy. Okradziona na dworcu, pobita przez grupę żebraków, trafiła pod skrzydła handlarzy żywym towarem, którzy latami więzili ją w piwnicy i wykorzystywali jako ekskluzywną prostytutkę dla...

„Ciąg dalszy w poniedziałek. Wstrząsająca historia Alicji jest już w drodze na duży ekran. Pracuje nad nią znany scenarzysta”.

Marcin starał się przełknąć gorzką pigułkę, ale cały drżał. Rulewski okazał się wyjątkowym skurwielem. Wzrok Marcina powędrował do podpisu pod artykułem: „Garb”. To takiego pseudonimu używał? Po co dowalił na koniec to zdanie o scenariuszu? Chciał zrobić sobie z niego okrutny dowcip?

Chwilę potem dojrzał coś, co sprawiło, że pociemniało mu przed oczami i pomyślał, że za chwilę oszaleje. Pod tekstem niczym kolec kłujący prosto w oko tkwiło małe zdjęcie medalionu. Nie grafika, zdjęcie! A obok podpis małutkimi literami, który Marcin rozpoznał od razu, nawet bez obracania gazety o dziewięćdziesiąt stopni.

„Fot. Marta Bielawska”.

– Zajebicie to sobie wymyśliłeś – usłyszał szyderczy głos Lamparskiego.

Podniósł zamglony wzrok. Łysa głowa producenta wciąż tkwiła dwa metry od niego, ale rozmyła mu się w zażawionych oczach, usta faceta poszybowały na chwilę do czoła, a oczy zbiegły się u nasady nosa w jedno przerażające ślepię cyklopa.

– Jaki cel miałeś, kurwa, jak sprzedawałeś tę historyjkę? – spytał Lamparski. – Chciałeś podbić cenę? Że niby zaraz zaczną się do ciebie dobijać inni, z większą kasą? To się nazywa nielojalność, człowieku. I ty mi chciałeś wcisnąć bajdurzenie o moralności?

Marcin gapił się na producenta. Nie było sensu niczego tłumaczyć. Przy artykule jak byk stało nazwisko jego żony.

Wziął bardzo głęboki oddech i mgła między skroniami nieco się przeredziła. Ten facet i tak napawał go lękiem i obrzydzeniem. Wyglądał jak gangster i zachowywał się jak gangster. Pewnie chciał gdzieś ulokować resztkę kasy, która została mu po postawieniu tego wielkiego hotelu nad jeziorem. I nakręcić gniota, byle tylko dostać się na ściankę na premierze i pstryknąć sobie kilka fotek z gorącymi nazwiskami.

– Tak, taki właśnie miałem cel – odparował hardo. – Mam żonę w ciąży i pracę, której nie lubię. Trzy i pół koła za scenariusz kompletnie mnie nie urządza. Mogę zabrać sobie tę gazetę? – dodał po chwili w przypiływie bezczelności.

– Możesz – wycedził Lamparski. – I ten papier z umową też. Na pamiątkę.

Adler z rozdziawionymi ustami patrzył to na jednego, to na drugiego.

– Panowie, po co od razu takie żale? – powiedział. – Trzeba usiąść do negocjacji.

– Chuj, nie negocjacje – warknął Lamparski, wstał i wyszedł szybko z apartamentu, z mięśniami napiętymi jak postronki i nabrzmiałymi żyłami na skroniach.

Trzasnęły drzwi. Adler pokręcił głową zdegustowany.

– Dlaczego nic mi pan nie powiedział o tym artykule? – spytał.

– Bo nic o nim nie wiedziałem.

Dopiero po wyjściu Lamparskiego Marcina zalała fala wściekłości na Martę. Paktowała z Rulewskim, wygrzebała z pudła medalion i cyknęła fotkę. Oszukała go, grała obrażoną, lecz wyrozumiała żonę, a za jego plecami... Co jeszcze miała na

sumieniu? Obiecał sobie, że kiedy Adler zniknie mu z oczu, zadzwoni do niej i nie wybaczy dopóty, dopóki nie usłyszy przekonującego powodu. I szczerych przeprosin.

– Znalazł pan Alicję? – usłyszał głos Adlera jak przez watę, jakby złość przytłumiła mu słuch. – Jak to jest w ogóle możliwe?

Czerwony jak burak Marcin zacisnął bezwiednie pięść.

– Przecież mówię, że nie mam nic wspólnego z artykułem.

– To po co pan tak powiedział Lamparskiemu?

– Żeby się ode mnie odpiardolił, rozumie pan?

Adler się skrzywił. Chyba nie rozumiał.

– Wciągnął mnie pan, panie Janie, w pułapkę. – Marcin próbował się uspokoić, ale wciąż miał przed oczami upokarzającą rozmowę sprzed paru chwil i duet Marta–Rulewski z medalionem w dłoniach. – Nie wiem, co to za facet. I nie chcę wiedzieć. Nie obchodzi mnie, po co pan się z nim koleguje. To pana sprawa. Ale naprawdę, wolę siedzieć w nudnym biurze niż pisać scenariusz pod dyktando tego prymitywa. I bać się, że zrobi coś mnie albo mojej rodzinie, jak mu się cokolwiek nie spodoba.

Adler podniósł obie dłonie w uspokajającym geście.

– Ma pan rację. – Popłynął głos słodki jak miód. – Jak najbardziej pana rozumiem w tej sytuacji.

Marcin poczuł ostrzegawcze ukłucie pod sercem. „Czy ten facet jest tak dobrym aktorem, że potrafi dostosować się do każdych okoliczności?”

– To wszystko moja wina – ciągnął Adler. – Przepraszam, powinienem był pogadać wcześniej z Lamparskim i przedstawić mu pana sytuację materialną.

– Przecież jeszcze dziś rano mówił mi pan, że skoro jestem debiutantem, to powinienem kłaść uszy po sobie. Po co ta gadka?

– No wie pan, czuję wyrzuty sumienia. – Adler położył dłoń na sercu. – Przywiozłem tu pana, narobiłem nadziei. Może przemyśli pan jeszcze tę sprawę? Może doszlibyście do kompromisu?

Dla Marcina najlepszym kompromisem byłoby w tej chwili, gdyby mógł wyjść z Pink Rose i w spokoju odjechać do Warszawy.

Adler podszedł do okna.

– Ktokolwiek napisał ten artykuł, wie już, gdzie jest tamta dziewczyna – powiedział cicho. – Czy nie jest pan ciekaw, co ona ma do powiedzenia? Może zna zakończenie tej historii, którego pan tak desperacko potrzebuje?

Marcin zacisnął pięści. Znał zakończenie, odkąd spotkał się z Majorem w muzeum. Aktor nadal stał przy oknie i wpatrywał się w jezioro.

– Nawet jeśli nie powstanie żaden film, to nie jest pan ciekaw? Ja byłbym na pana miejscu.

– Jestem. – Marcin poczuł się nagle przeraźliwie zmęczony. – A teraz przepraszam, ale muszę do kogoś pilnie zadzwonić.

Obiad z dyrektorem szpitala i jego żoną minął w przyjacielskiej atmosferze, chociaż Andrzej nie mógł wyzbyć się przeczucia, że za chwilę wymusknie mu się coś, co ich zdemaskuje. Raczej jemu, bo Teresa perfekcyjnie grała rolę nie tyle sekretarki, ile asystentki z działu kontroli finansów.

– No dobra, przejdźmy do konkretów. – Andrzej wziął szklanekę z gazowaną wodą i starał się skupić na ulatujących z niej bąbelkach. – Jest taka sprawa, krąży po ministerstwie już od jakiegoś czasu. Osiem lat temu w lipcu przywieziono do was na parking chłopaka i dziewczynę. On był pobity, bardzo ciężko. Potem zmarł. Ojciec tego chłopaka robi od jakiegoś czasu podchody pod jakieś grubsze odszkodowanie. Że niby wasz szpital zaniedbał, że nie było należytej opieki. My to traktujemy bardzo serio, bo ten ojciec ma różne znajomości, kto wie, czy nie będzie startował w najbliższych wyborach. No i wie pan, chciałbym przejrzeć dokumentację leczenia tego chłopaka. I tej dziewczyny przy okazji też.

Dyrektor szpitala w Gryczewie, niski krępy mężczyzna przed sześćdziesiątką i z poczciwą twarzą, patrzył na Rulewskiego z atencją i kiwał głową. Andrzejowi zrobiło się przez chwilę głupio, że robi tamtego w konia. „Nie robię nic złego” – powtarzał sobie w myślach.

– Ja tu szefuję od dwóch lat, panie Andrzeju, przyjechałem z innego miasta, więc tej sprawy nie znam – powiedział dyrektor. – Pamięta pan konkretną datę? Nazwisko?

Rulewski zdał sobie sprawę, że zostawił wydruk artykułu w torbie podróżnej, która stała teraz w szatni.

– Sosnowski. Artur Sosnowski – powiedział. – A dziewczyna... może Alicja? Nazwiska nie znam. Lipiec osiem lat temu.

Dyrektor myślał przez chwilę.

– Dzisiaj to już chyba sobie darujemy, ale jutro zadzwonię do pani Halinki z archiwum. Żeby przyszła na godzinę i wszystko panu pokaże. No i zrobię mały wywiad, kto się wtedy zajmował tym...

– Arturem. Sosnowskim – dokończył Andrzej. – Bardzo panu dziękuję. Rozumiem, że jutro niedziela, może to kłopot?

– Ależ skąd. – Mężczyzna uśmiechnął się i rozłożył ręce. – My tu mamy wszędzie blisko. I nic się nie dzieje.

Dyrektor i jego żona podziękowali za wspólny posiłek, wstali i po chwili wyszli z restauracji. Andrzej zerkał na Teresę, mocno już zmęczoną, jakby schodziło z niej całe napięcie. I szok po wypadku.

– Idziemy do hotelu? – spytała, ziewając.

„Hotel to pewnie za duże słowo” – pomyślał. Kiedy jechali do szpitala, minęli dwa zajazdy, ale Andrzej stwierdził, że najlepiej będzie zerknąć w smartfonie na mapę i znaleźć coś jak najbliżej szpitala. Nawet jeśli to będzie prywatna kwatery.

Było coś, kilkaset metrów stąd. Dwa pokoje z pojedynczymi łózkami. Akurat tyle, ile potrzebowali.

Sprawdził jeszcze raz pocztę, na wszelki wypadek.

Był mejl. Znowu napisała, na jego prywatny adres, tak jak ją o to prosił. Przeczytał szybko, zerkając na ślaniającą się na nogach Teresę. W wiadomości było coś, co przykuło jego uwagę. To mogło być coś ważnego. A obiecał przecież Marcie, że wyśle jej cokolwiek, co mogłoby sygnalizować, że jej mąż jest w niebezpieczeństwie.

Nie zamierzał teraz łamać tej obietnicy.

Marta przeczytała SMS-a od Andrzeja i zamarła. Podświadomie czekała na tę wiadomość, odkąd sprzedała Rulewskiemu informację o Orliczu. Zdała sobie sprawę, jaką jest pieprzoną szczęściarą, że wygrzebała się wtedy we wtorek z domu, pojechała pod redakcję i porozmawiała szczerze z tym facetem.

Wstała z sofy i zdjęła z regału karton ze starociami. Znalazła przedpotopową nokię, drżącymi palcami włożyła kartę prepaid do slotu i podłączyła ładowarkę.

Po chwili telefon ożył i zagrał muzykę, która przywołała wspomnienia z późnego liceum. Marta potrząsnęła głową, jakby chciała fizycznie je stamtąd usunąć, a potem ostrożnie, żeby niczego nie przekreślić, przepisała słowo w słowo treść wiadomości od Rulewskiego.

Klik. Klik. Wyślij.

Czy tutaj nie ma zasięgu? Nie, to niemożliwe. Przecież jeszcze przed drugim spotkaniem z Lamparskim Marcin grzebał w necie i szukał po blogach informacji o zarobkach scenarzystów. Korzystał wtedy z połączenia z komórki i wszystko działało. Teraz próbował dodzwonić się do Marty i zjechać ją w najgorszych słowach za zdjęcie do brukowca, ale słuchawka twardo odpowiadała mu tylko kilkoma melodyjnymi dźwiękami i wnerwiającym głosem: „Połączenie nie może być zrealizowane”.

To ten niezapłacony rachunek... Tyle czasu przypominali mu o tym, a on to olał. Został sam ze swoją wściekłością. „Podziękuj operatorowi, Marta. Dzięki niemu nie usłyszysz kilku przykrych epitetów na swój temat”.

Pomyślał, że może wysłać Marcie zjadliwego SMS-a, ale to też nie było możliwe. Wciąż trzymając w ręku komórkę, stanął przy wejściu do wielkiej sali i patrzył.

Wszystko było dopięte niemal na ostatni guzik. Okrągłe stoły przykryte białymi obrusami, elegancka zastawa, sztuce, potrójne świeczniki. Młodzi kelnerzy

i kelnerki krążyli między stolikami i ustawiali wypucowane na połysk kieliszki i szklanki. Na scenie technicy przestawiali mikrofony i sprawdzali nagłośnienie, dając znaki komuś w głębi sali. Gdzieś z boku sceny mignęła Marcinowi Jovita, ta młoda piosenkarka, w cienkiej czerwonej kurtce, spod której wystawała błękitna sukienka do kolan.

Niedługo miała zacząć się impreza i Marcin zastanawiał się, czy aby na pewno jest na niej mile widziany. Nie miał żadnych ciuchów na zmianę – tylko dżinsy i marynarkę, w których wyszedł wczoraj z pracy.

Znajomy dźwięk. Ktoś mu przysłał SMS-a. Jakiś nieznany numer, pewnie spam jak zawsze, ciągle dostawał od obcych numerów zaproszenia do jakichś sondaży albo na zabiegi fitness. A może to operator wspaniałomyślnie darował mu rachunek i przywrócił połączenia?

Spojrzał na wiadomość. „Wystrzegaj się łysego chuja...”

Komórka wyleciała mu z rąk i spadła na miękką wykładzinę.

Nie wiem, do którego z was piszę. Tak, wiem, że jest was dwóch. Co to znaczy, że tamten adres jest spalony, ktoś się do niego włamał? To chyba nieważne, kupiłam dziś gazetę, przeczytałam nowy artykuł, to było jak zdrada, nienawidzę zdrady. I kłamstwa.

Tam na Mazurach... Gdy wpatruję się w ogień i próbuję sobie przypomnieć tamtą sytuację w pensjonacie, i kto kazał wysłać za nami tych, co skopali Artura, widzę go, to jest taki wielki łysy facet. Z uciętym uchem, tak, to mógł być on. Obudziłam się i rozmawiałam z nim nad tamtym umierającym mężczyzną, nazwałam go Walet Kier, próbowałam go przekonać, że ten umierający jest ważniejszy niż ja i Artur. Wyglądał, jakby moje oko go zakłęto, więc gdy czar przysł... Czy był też moim oprawcą, który gwałcił mnie nieprzytomną przez trzy lata? Tego nie wiem, nie, chyba nie, niczego nie jestem pewna, ale to był ork, to był Uruk-hai, z orkami można być pewnym tego, że chcą krzywdy, krwi i śmierci.

To jest mój ostatni e-mail, drodzy panowie. Zaryzykowałam, postąpiłam lekkomyślnie, czy spadnie na mnie kara? Wydacie mnie? Spytałam mojej Pani, ja sama nie jestem niczego pewna, przez osiem lat mówiłam sobie, że nie warto wiedzieć. Coś dziwnego znowu zaczyna się dziać z moją głową...

Pozdrawiam
niegdyś Alicja

„Wystrzegaj się łysego chuja z uciętym uchem. To on kazał zabić Artura. Mógł też gwałcić Alicję”.

Marcin przeczytał wiadomość od nieznanego numeru po raz czwarty, a może piąty. Siedział przy okrągłym stole z boku sali, przy samej ścianie. Dostał miejsce razem z Pawłem Dąbrową i siedmioma innymi młodymi osobami. Nikt nie czepiał się go za dzinsy i niezbyt świeżą marynarkę.

Impreza inauguracyjna hotelu Pink Rose w Karmanach zaczęła się punktualnie o dziewiętnastej. Najpierw na scenę wyszedł Lamparski w towarzystwie dwóch hostess w jasnych sukienkach z odkrytym dekoltem, a jaskrawy snop światła padł na jego łysą głowę. Marcin nie mógł dojrzeć szczegółów, ale i tak cały czas miał przed oczami ucho swojego niedoszłego producenta, zrekonstruowane nad poziomą blizną, której okoliczności powstania Marcin nawet nie próbował sobie wyobrazić.

Oklaski. Przemowy. Oklaski. Podziękowania. Lamparski dziękował kurtuazyjnie swojej żonie – czterdziestoletnia blondynka wstała na chwilę i posłała na boki parę

zawstydzonych uśmiechów, a jupiter rozświetlił kolię na jej szyi. Za wsparcie, za wiarę, za to, że zawsze przy nim była. I za trzech wspaniałych chłopaków, których mu dała. Marcin nie wiedział do końca, co myśleć o tym, że łysy chuj, który posłał za Arturem komando śmierci i być może gwałcił Alicję, mógł być też przykładowym mężem i kochającym ojcem.

„Pink Rose – mówił Lamparski – to nowa gwiazda wśród mazurskich hoteli. Tu zawsze będą czekać na was miła obsługa i niepowtarzalne rozrywki. Tu odpoczniecie od zgiełku stolicy. Chillout. Basen, spa, kręgielnia. Bar pełen trunków i najlepsza kuchnia. Czyste jezioro i pachnące żywicą lasy”.

„Brudny seks, narkotyki i przemoc” – dopowiedział w myślach Marcin.

Lamparski zszedł ze sceny, zegnany brawami, które nie brzmiały co prawda jak rześiste oklaski, ale i tak mogły połechtać ego tego faceta. Na scenę weszła Jovita z jazzowym kwartetem.

– Zanim damy czadu, chcielibyśmy zagrać kilka coverów – powiedziała do mikrofonu.

Światła przygasły i sala utonęła w fiolecie i różu. Marcinowi przeszło przez myśl, że mógłby teraz usłyszeć Blue Velvet, tę rzewną piosenkę śpiewaną z ryzykownym europejskim akcentem przez Isabellę Rossellini w filmie Lyncha. Ale Jovita po kilku taktach wprowadzenia na kontrabasie zaintonowała jakiś przedwojenny polski szlagier, którego Marcin nie znał.

– Chyba nieźle zamieszałeś – usłyszał, jak Paweł Dąbrowa mówi mu cicho do ucha. – Wpadłem przed imprezką na Adlera i tego łysego. Łysy opierdalał Adlera, że przywiózł mu, jak on to powiedział... Pojebanego lamusa?

– Tak powiedział? – Marcin się skrzywił. – Cóż, nie było go stać na moje usługi.

– Czyli nie będzie filmu?

– O to musisz spytać łysego. Ja do tego ręki nie przyłożę.

– Szkoda. Myślałem, że wyjdzie z tego coś fajnego.

Jovita miała naprawdę dobry głos, a jej zespół składał się z jazzmanów wysokiej klasy. Zwłaszcza perkusista – nigdy nie gubił rytmu, wkładał w grę dużo serca i ciekawie kombinował na werblu i talerzach. Marcin słuchał z przyjemnością kolejnego szlagieru, to był chyba Mieczysław Fogg, zmieniony lekką improwizacją i wrażliwością Jovity w coś, co skojarzyło mu się ze swingującym Londynem i latami sześćdziesiątymi.

Przymknął oczy. Cała wściekłość na Martę i jej współudział w publikacji artykułu powoli parowała. Zastanawiał się, kto mógł ostrzec go tym SMS-em. Rulewski? A może Adler? Czy to możliwe, że aktor prowadził jakąś dziwną grę i z jednej strony

przyjaźnił się z Lamparskim lub udawał przyjaźń, a z drugiej wiódł Marcina w kierunku rozwiązania zagadki? Byłby do tego zdolny, bez wątpienia.

Rozejrzał się po sali tonącej w różowej poświacie i znalazł Adlera przy najważniejszym stoliku, w samym centrum. Aktor siedział razem z Lamparskim, jego żoną i z trzema eleganckimi parami w średnim wieku. Był sam, bez bogatej żony, wpatrywał się w śpiewającą na scenie dziewczynę w błękitnej sukience i od czasu do czasu nachylał się do ucha Lamparskiego. Marcin nie widział dokładnie ich twarzy, ale nie wyglądali na pogniwanych.

– Ty, Marcin, może podejmiemy bliżej sceny? – zagadał mu do ucha Paweł Dąbrowa. – Dupa mi zdrętwiała od tego siedzenia.

Wstali i powoli przeszli wzdłuż ściany do drzwi wejściowych. Z tego miejsca widzieli nie tylko Jovitę i jej zespół pod zupełnie innym kątem, ale mieli też świetny widok na stół Lamparskiego. I nadal byli ukryci w cieniu.

Wybrzmiał finałowy akord coveru Mieczysława Fogga, nagrodzony oszczędnymi brawami.

– Zanim skończymy ten set – zagała Jovita do mikrofonu – chcielibyśmy zadedykować ostatni utwór wszystkim złamanym sercom na tej sali. Mam nadzieję, że nie ma ich zbyt wiele – dodała z ujmującym uśmiechem.

Najpierw rzewne intro na saksofonie i delikatne dzwoneczki, uderzane z gracją przez perkusistę. Lekki akcent szczotką na werblu. W melodię saksofonu przeniknęły ciepłe dźwięki pianina, a Jovita wyglądała, jakby szukała natchnienia pod sufitem, z mikrofonem w splecionych pod twarzą dłoniach.

„Miłość ci wszystko wybaczy, smutek zamieni ci w śmiech...”

Marcin poczuł ciarki na plecach. Wpatrywał się w piosenkarkę jak urzeczony.

„...miłość tak pięknie tłumaczy zdradę i kłamstwo, i grzech”.

To było coś bardzo dziwnego. Niepokojącego.

„Choćbyś ją przeklął w rozpacz, że jest okrutna i zła...”

Marcin spojrzał w stronę centralnego stolika.

„...to miłość ci wszystko wybaczy, bo miłość, mój miły, to ja”.

Adler miał nieruchomą twarz i obwisłe policzki staruszka. Patrzył na scenę bez żadnych emocji, ale Marcin miał wrażenie, że mężczyzna zapada się do środka, schodzi gdzieś głęboko na samo dno swojej duszy. Wyglądał jak wydrążona skorupa, cień człowieka. Musiał przeżywać teraz na nowo coś przykrego.

Druga część piosenki nie miała już takiej siły, ale Marcin wiedział, że emocjonalny refren niebawem powróci. Przymknął oczy i przypomniał sobie tamto zdjęcie, które wygrzebał z portfela, gdy nocował w domu Adlera. Czarno-białe, ziarniste, rozmyte. Młody Adler i dziewczyna na moło, wczesne lata siedemdziesiąte, on uśmiecha się

do aparatu, jakby całe życie było jeszcze przed nim. Ona mruży oczy, ma zmęczoną twarz i jakąś nieuchwytną wiedzę, może o tym, że niedługo odejdzie? „Pamiętaj o mnie” – brzmiał napis na odwrocie.

Tosia.

„Ona umarła” – pomyślał Marcin. Może była jego największą młodzieńczą miłością. Może najlepszą przyjaciółką. Trzymał jej zdjęcie w portfelu aż do tej pory. Człowiek zagadka, skrywający przed światem swoje prawdziwe emocje i motywy.

Solo na saksofonie w końcówce było stanowczo za bardzo jazzowe, czar przedwojennej kawiarni powoli pryskał, a duch Hanki Ordonówny ulatywał, jakby zawstydzony tym, że został przywołany na inaugurację przybytku zbudowanego za pieniądze zarobione na ludzkiej krzywdzie i nieszczęściu.

– Dziękujemy państwu! – zawołała Jovita do oklaskującej sali. – A teraz zmieniamy instrumentarium i dajemy czadu! Miłej zabawy!

Kwartet zniknął za sceną, pojawiło się za to dwóch didżejów. Po chwili Pink Rose zadrżał od tłustego bitu i syntezatora.

Zaczęła się dyskoteka.

Właścicielka kwatery w centrum Gryczewa była mocno zdziwiona, że ktoś zawitał do niej w ten wczesny październikowy wieczór. Na szczęście nie miała nic przeciwko temu, żeby Andrzej i Teresa zajęli dwa pokoje na piętrze. Andrzej zapłacił za dwie noce z góry.

Teresa coraz bardziej wyglądała, jakby za chwilę miała się rozchorować.

– Łamie mnie w kościach – powiedziała na korytarzu ze zbolałą miną, chociaż Andrzej dostrzegł w jej oczach filuterne ogniki. – Ale jak masz ochotę, to przyjdź do mnie potem. Wezmę prysznic i możemy sobie trochę pogawędzić.

Jeszcze niedawno Rulewski dobrze by wiedział, jak może się skończyć taka pogawędka. Dzisiaj postanowił jednak zagrać nowego człowieka, któremu nie tylko seks w głowie. Może z czasem wejdzie mu to w krew. Trzeźwy i rzeczowy sposób bycia Teresy dobrze mu robił, lubił jej poczucie humoru. To dziwne, ale miał wrażenie, że powoli zarówno on rozmiękczał jej chitynowy pancerzyk, jak i ona jego.

– Weź dwie aspiryny i pod kołdrę. – Uśmiechnął się i żartobliwie dotknął dłonią jej czoła.

Nie wyglądała na rozczarowaną, po prostu kiwnęła głową.

– Wyśpij się, kocie.

Odwróciła się i po chwili zniknęła za drzwiami. Andrzej został na korytarzu i zastanowił się jeszcze przez moment, czego tak naprawdę szuka w tym mazurskim miasteczku. Chłopak zmarł, a dziewczyna? Czy mógł trafić tu jeszcze na jakiś jej ślad?

„Jutro się okaże”. Wszedł do drugiego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Przejechał palcem po ekranie komórki i wybrał numer Mundka.

– Siema. Jak się ma pan dyrektor? – spytał.

– Całą sobotę przesiedział w hotelu. Dziesięć minut temu zniknął mi w drzwiach sali koncertowej na Woronicza – odpowiedział fotograf. – Sorry, ale na biletowaną imprezę nie dałem rady się wbić.

– Spoko. Poczekasz tam na niego?

– Poczekam. Pamiętaj, że jutro o dwudziestej kończę z tym szajsem?

– Jasne. A na razie miej oczy szeroko otwarte.

Włodzimierz Orlicz podparł głowę na dłoni i słuchał Romea i Julii Czajkowskiego. Energetyczne momenty, pełne dzikiej pasji, z partiami instrumentów dętych niemal jak z filmów sensacyjnych, a potem ta delikatna część, płynąca powoli, z tematem na flecie, niby zmierzająca do jakiejś kulminacji, ale zaraz znów skręcająca w magiczne rejony, by za chwilę wrócić w niepokój – wszystko to uruchamiało w głowie mężczyzny dalekie wspomnienia. Osiem lat temu w jego umyśle szalała podobna karuzela – z zadumy wpadał w ekstazę, by zaraz czuć samotność, potem złość i chęć mordu. I znów smutek, by na końcu dojść do wniosku, że nie potrafi już sobie z tym wszystkim poradzić. Wiedział, że mógłby udać się po pomoc, ale domyślał się, że na końcu tej drogi czai się wspomagana farmaceutykami pustka. Wchodząc wtedy na zwalony pień i zawiązując sznur na grubej gałęzi, oczekiwał, że tylko minuty dzielą go od tego, że aniołowie, kimkolwiek są, zagrają mu coś w rodzaju tego, co teraz słyszał – cudownych fanfar, i że te fanfary będą rozbrzmiewać już zawsze. Bardzo chciał wiedzieć, jak to będzie. Nie dowiedział się. Tamten mężczyzna przyszedł do lasu zabijać, ale tego ranka nie zabił ani kaczki, ani sarny. Zajął się wisielcem. Orlicz do dzisiaj nie miał pewności, czy powinien być temu facetowi wdzięczny, czy może przeklinać jego nadgorliwość.

Wciągnął głęboko powietrze i poczuł przyjemny, delikatny zapach kwiatowych perfum młodej kobiety siedzącej na lewo od niego. Zerknął ostrożnie. Wpatrzona w orkiestrę, miała ciemne włosy zaczesane gładko wzdłuż głowy, czarną sukienkę, kozaki i kurtkę ramoneskę. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech, jakby zdała sobie sprawę, że mężczyzna obok przypatruje się jej profilowi. Zaraz potem przekrzywiła głowę i spojrzała na niego. W jej oczach było coś dziwnego, ale w tym mroku Orlicz nie mógł dojrzeć, co to takiego. Wydał wargi, poprawił okulary i wrócił do kontemplacji Romea i Julii. Nie potrafił skupić się na muzyce, jego myśli zajęte były już tylko tym, czy tamta młoda kobieta zerka na niego, a jeśli nie – może znów spojrzeć ukradkiem? Chciał złowić jakiś detal jej twarzy. Dostrzec i rozpoznać tę dziwność w jej oczach.

Na tych rozmyślaniach, niemal jak u piętnastolatka, który na szkolnej imprezie zastanawia się, czy podejść do nieznajomej dziewczyny, minęła mu ostatnia część fantazji orkiestrowej Czajkowskiego. Rozbłyły światła, a Orlicz ze zdziwieniem stwierdził, że krzesło po jego lewej stronie jest puste.

Wyszedł do foyer wypełnionego gwarem i zapachem perfum. Po raz pierwszy od dłuższego czasu wyprostował się i od razu poczuł w barkach tępy ból, jakby ktoś od lat siedział mu na ramionach. Wszystkie te twarze były ładne, sympatyczne, inteligentne i uśmiechnięte, ale on szukał tylko tej jednej – jego towarzyszkę z fotela obok. Obrócił się w stronę stoiska z płytami kompaktowymi.

Stała tam, w czarnej kurtce, sukience i kozakach, przeglądała okładki. Podeszedł i zerknął przez ramię. Podniosła na niego wzrok.

– O, to pan – powiedziała głosem nieco zbyt niskim jak na jej wiek i urodę, przyjemnie nosowym, z lekką chrypką. – Jak się panu podobała pierwsza część?

Zawahał się, onieśmielony jej bezpośredniością.

– Czajkowski to czysta emocja – zaczął niepewnie. – Ale siódma Beethovena... Prawdę mówiąc, czekałem na nią przez ostatnie pół godziny.

– No to się pan doczekał. – Kobieta w ramonesce uśmiechnęła się promiennie. – Co tak się w niej panu podoba?

– Allegretto.

Przerwała przeglądanie płyt i obróciła się do niego przodem. Dopiero teraz mógł przyjrzeć się jej oczom, które zwróciły jego uwagę już w półmroku sali koncertowej. Starał się, żeby jego spojrzenie nie było zbyt nachalne, ale nie dało się. Patrzył jak oniemiały. Prawe oko kobiety było ciemnoniebieskie, a lewe... Lewe było zielonkawe, dziwne, nienaturalne, jakby pomalowane.

– Patrzy pan na...?

Spuścił wzrok.

– Heterochromia iridis. Tak to się fachowo nazywa – wyjaśniła kobieta bez cienia zażenowania. – Ale wróćmy do Allegretto. Powie mi pan o tym coś więcej?

Całe ciało zaczęło odmawiać mu posłuszeństwa, jak przy ataku paniki, jak wtedy, gdy na początku swojej drogi artystycznej wpadał w totalny przestraw, czy to, co robi, ma w ogóle jakiś sens. Zastanawiał się przez moment, czy nie odejść, ale to byłoby niegrzeczne. Poza tym ta kobieta i tak za chwilę usiądzie obok niego w sali koncertowej. Mógł też zejść do szatni, założyć płaszcz i wyjść, tylko czemu to by miało służyć? Straciłby Beethovena, dla którego tu przyszedł.

Przemógł się, a ona patrzyła na niego z zaciekawieniem.

– Allegretto, proszę pani, cóż ja mogę powiedzieć... – wydukał, starannie unikając patrzenia jej w oczy. – Proszę uważnie posłuchać. Ten motyw pojawia się w filmach.

Możemy porozmawiać po koncercie i powie mi pani, czy już kiedyś to słyszała.

– Okej – odpowiedziała, przeciągając „o”. – To co? Wracamy?

– Ja za chwilę, pani wybacz.

Kiwnęła głową i weszła na salę. Orlicz wyjął z kieszeni spodni bawełnianą chustkę i wytarł pot z czoła. Przymknął oczy, powstał w miejscu jeszcze kilka chwil, a gdy zabrzmiał dzwonek, ruszył do drzwi.

Dyskoteka trwała w najlepsze, salę omiatały kolorowe światła z czterech ruchomych głowic, a pod sufitem kręciła się lustrzana kula. Jovita i didżeje to podkręcali, to przykręcali tempo, a rozbawione pary, kółka, trójkąty i wielokąty opanowały parkiet. Kelnerzy raz po raz przynosili do stolików kolejne butelki drogich wódek w kubekach z lodem, towarzystwo z tyłu sali wołało wino, dużo wina. A stolik Lamparda raczył się jackiem daniel'sem. W powietrzu czuć było pot, alkohol i nieprzyjemny zapach rozkręconej na maksimum klimatyzacji. Marcinowi wszystko to kojarzyło się z weselem, tyle że Jovita omijała z dala regiony disco polo, a w perspektywie nie było oczepin.

– Dziękujemy bardzo! Zapraszamy na przerwę! – wykrzyczała.

Jak na zawołanie sala wypełniła się przenikliwym światłem, ale Lamparski spojrzał groźnie na kogoś z obsługi, ten ktoś najwyraźniej zrozumiał swój błąd i przywrócił pokrętem przyjemny półmrok. Marcin zobaczył, że Adler odrywa się od centralnego stolika i idzie w jego kierunku z niewyraźnym uśmiechem. „Za dużo jacka daniel'sa, panie Janie” – pomyślał. Sam wypił jedną wódkę z colą, chociaż Paweł Dąbrowa co chwilę namawiał go na kolejne shoty.

– Panie Marcinie kochany. – Aktor wyciągnął w jego stronę rękę. – Rozmawiałem z naszym panem producentem.

– No i? – Marcin starał się zachować dystans, ale Adler miał już za dużo w czubie, żeby to zauważyć.

– Nie ma nic przeciwko temu, żeby dać panu tydzień na zastanowienie. Jest o krok od porozumienia, to prawie jak okrągły stół. No, niech pan powie, czy to nie jest dobra wiadomość?

Marcin miał na końcu języka pytanie, czemu aktor zadaje się z kimś takim jak Lamparski. Z mordercą i gwałcicielem. I czy przypadkiem to wszystko nie było ustawione? Powstrzymał się, to nie był czas ani miejsce na takie zagrania.

– Może i dobra, ale ja już chyba nie jestem zainteresowany – mruknął pod nosem.

– Co pan mówi? – Adler wpatrywał się z rozbawieniem w jego twarz.

– Że jest już chyba za późno – powtórzył Marcin głośniej.

– Nigdy nie jest za późno na dobry interes.

– To pan tak twierdzi.

– Wiem, co mówię. Niech pan idzie za mną.

Marcin nie miał ochoty, ale Adler pociągnął go za rękaw.

– Gdzie jest Dąbrowa? – spytał bełkotliwie. – Pstrykniemy sobie fotkę.

Rozglądał się przez chwilę po sali. Marcin dostrzegł Pawła pierwszy – stał w grupie młodych ludzi i wyglądał, jakby opowiadał dowcip. Adler zamachał do niego, Dąbrowa przeprosił towarzystwo i ruszył w ich kierunku.

– Chodź, chodź, mój ty Otello. Zrobimy sobie pamiątkowe foto.

Wypchnął Pawła przed siebie. Marcin szedł trzy kroki za Adlerem, który przystanął, odwrócił się nieoczekiwanie i spojrzał na Marcina przenikliwie, mimo wypitej whisky.

– Ja wiem wszystko – wyszeptał. – I musisz mi zaufać, jeśli chcesz, żeby to wszystko dobrze się skończyło.

– O czym pan mówi? – Marcin poczuł, że cierpnie mu skóra.

– Już ty sam wiesz o czym. O tym, co się stało w Stokrotce.

Przez chwilę patrzył wzrokiem mędrca, który wie, ale nie powie. Potem zatoczył się lekko i ruszył w stronę Lamparskiego, który stał pod sceną z niewysokim spoconym mężczyzną w poluzowanym krawacie i dyskutował o czymś ściszym głosem. Marcin zauważył, że na widok Pawła Dąbrowy łysy producent spiął się i wybałuszył oczy, jakby zobaczył ducha.

– Pomyślałem sobie, że fajnie będzie mieć zdjęcie naszej czwórki, nie sądzisz? – powiedział głośno Adler do Lamparskiego. Wyjął z marynarki telefon i podał go spoconemu facetowi. – Może pan?

Stanęli we czwórkę: Dąbrowa, Lamparski, Adler i Marcin, który – choćby chciał – nie potrafił teraz przywołać na twarz niczego, co przypominałoby uśmiech. Spocony facet męczył się przez chwilę z telefonem. Błysnął flesz, a potem drugi.

– Dziękuję – mruknął Adler i zabrał tamtemu komórkę.

Marcin miał ochotę odciągnąć aktora w jakieś ustronne miejsce i wypytać dokładnie, o co mu chodziło, ale Adler stracił nagle całe zainteresowanie i bez słowa ruszył w stronę Jovity i jej didżejów, jak podchmielony wujek, który chce zamówić stary hicior z dedykacją. Lamparski spojrzał krzywo na Marcina, jakby nie było żadnej drugiej szansy, i Marcinowi przeszło przez myśl, że Adler po raz kolejny sobie z niego zakpił.

Włodzimierz Orlicz patrzył na włosy kobiety, lśniące czernią i spływające na ramoneskę. Stała dwa metry od niego i owijała wokół szyi długą chustkę, a on wręczył numerki szatniarzowi i czekał na swój płaszcz i kapelusz. Odwróciła się do niego i spojrzała filuternie.

– Miał pan rację – powiedziała z chrypką. – Allegretto z siódmej symfonii. Gdy to usłyszałam, od razu przypomniałam sobie scenę z filmu.

– To był... – zaczął Orlicz, ale przerwał, gdy uniosła palec z paznokciem pomalowanym na ciemny błękit.

– Zróbmy test – rzuciła z uśmiechem. – Każde z nas mówi tytuł. Na trzy. Raz, dwa, trzy...

– Jak zostać królem – powiedział.

– Nieodwracalne – wychrypiała w tym samym momencie.

– Nie znam. – Orlicz łypnął znad okularów, zsuniętych na czubek nosa.

– To francuski film, strasznie brutalny, potwornie dołujący. Oglądałam go tylko raz i ledwo wytrzymałam, ale ostatnia scena utkwiła mi w pamięci właśnie przez tę muzykę. Monica Bellucci jest w ciąży, leży na łóżku pod plakatem filmu Kubricka, a potem kamera wyjeżdża przez okno i ona leży w parku, czytając książkę. Wszystko jest takie kolorowe, zieleń nienaturalnie soczysta, dzieci biegają, psy. A to tak naprawdę pierwsza scena, bo film jest opowiedziany od tyłu.

– Rozumiem. – Orlicz odebrał płaszcz z szatni i zajął się zapinaniem guzików.

– A w pana filmie? Oglądałam, ale nie pamiętam.

– Król Jerzy Szósty walczy ze swoją największą słabością i przemawia do Anglików tuż po rozpoczęciu drugiej wojny. To podniosła scena.

– Moja była smutna i przejmująca, bo ta dziewczyna została brutalnie zgwałcona i leżała w śpiączce, a całe życie było jeszcze przed nią. Przypadek sprawił, że napatoczyła się na zbirów.

– Myślę, że w takim razie Allegretto bardziej pasuje do pani filmu. Oddaję je.

Kobieta uśmiechnęła się i ruszyła do wyjścia.

– To miłe z pana strony. – Obejrzała się za siebie. – Ale król Jerzy też na nie zasłużył.

– Niech będzie. Więc remis.

Pchnęła drzwi i po chwili oboje szli powoli po parkingu w czymś, co nie mogło się zdecydować, czy jest mżawką, czy deszczem. Orlicz przełknął ślinę.

– Kogoś mi pani przypomina – powiedział.

– Też rozmawiał pan z nią o muzyce i filmach?

– Między innymi.

– Jestem do niej podobna? – spytała, a jej zielonkawe oko odbiło światło parkingowej latarni.

Orlicz się zatrzymał. Poczował przyjemne ciepło rozlewające mu się po klatce piersiowej. Dawno niczego takiego nie czuł, myślał, że już nigdy tego nie zazna.

Teraz stał w mżawce i wpatrywał się w twarz kobiety, jakby nieco zakłopotanej własną śmiałością.

- Ma pani ochotę na kawę? – spytał.
- Dziś już jest trochę za późno – odpowiedziała.
- A jutro?
- Jeśli pasuje panu szesnasta i włoskie bistro.
- Gdzie?

Wymieniła nazwę, a on starał się dopasować do niej jakiś rym, żeby łatwiej mu było zapamiętać. Znalazł w dziecięcym wierszyku.

- Przyjdę.
- A więc do jutra. – Kobieta uśmiechnęła się i ruszyła przed siebie. – Proszę mnie nie wystawić.
- Nie wystawię. – Orlicz włożył kluczyk i otworzył drzwi garbusa. – Jak pani ma na imię? – zawołał za nią.

Zatrzymała się na chodniku i zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

- Jutro. – Pomachała na pożegnanie i poszła w swoją stronę.

Pomyślał, że to były jedne z najdziwniejszych chwil w jego życiu. Podobne do tamtych jedenaście lat temu, gdy poznawał tamtą dziewczynę. Tyle że wtedy wiedział, czego oczekiwać, przeczuwał pewne sprawy, ostrożnie inicjował. Dzisiaj został wzięty kompletnie z zaskoczenia i nie wiedział, co o tym myśleć. Wsiadł do samochodu, odpalił silnik i po chwili wyjechał przez bramę.

Andrzej leżał w łóżku. Już niemal zasypiał, gdy nagle wybudził go dzwonek komórki. Podniósł się na łokciu i spojrzął na telefon. Mundek.

– Obiekt wyszedł z filharmonii, czy jak to się tam nazywa. – Głos fotografa wystrzelił do słuchawki jak z procy. – Gadał przez chwilę z jakąś laską. Możliwe, że dopiero co się poznali, ale nasz pan dyrektor wyglądał, jakby się zabujał.

- Po czym to poznałeś? – mruknął Andrzej.
- Mowa ciała, stary, zresztą ona nie była lepsza. Flirciara, ale ładna, fajny outfit.
- Masz jakieś fotki?
- Jasne, że mam. Prześlę ci za godzinę co lepsze.
- Widać tam jej twarz?
- No, tylko z profilu.
- A dałbyś radę zrobić mi ją en face?
- Poszła na piechotę, chyba do metra Wierzbno – jęknął Mundek. – Mam teraz popylać za nią?
- Jedno zdjęcie, pliz. – Andrzej wpatrzył się błagalnie w sufit. – Wystarczy jedno.

– Dobra, to kończę, bo mi spierdoli – wysapał Mundek i rozłączył się bez ostrzeżenia.

Andrzej odłożył komórkę na szafkę nocną. Coś zaczynało się dziać. Oczywiście nikt nie mógł zabronić dyrektorowi departamentu flirtować na parkingu z nieznajomą. Lub znajomą – jeśli wiara Mundka we własne zdolności rozpoznawania mowy ciała miała się okazać nieco na wyrost.

Obrócił się na bok, zamknął oczy i od razu zobaczył pod powiekami krzaki i wysokie trawy przed przednią szybą volvo Teresy. Najpierw porsche, a dzisiaj... Coś deptało mu po piętach, a on nie wiedział co. Byłoby cudownie, gdyby udało mu się do jutra zamknąć ten temat i wziąć tydzień prawdziwego wolnego.

Paweł Dąbrowa podszedł do pustego stolika, wychylił pięćdziesiątkę wódki i popił colą. Marcin stanął za jego plecami.

– Możesz mi powiedzieć coś więcej o Adlerze? – spytał cicho. – Czy ten facet wiecznie w coś gra? Mam wrażenie, że on nigdy nie wychodzi z jakiejś roli.

– Wielki aktor. – Paweł patrzył półprzymkniętymi oczami. – Wspaniały nauczyciel. Mistrz. Mój guru.

– Rozumiem. Ale czy wy wszyscy gracie też w życiu, czy tylko on tak ma?

– Nie wiem. Może to przychodzi z wiekiem. Mówił mi kiedyś, że czuje się spełniony, choć role na teatralnych deskach nie dają mu już satysfakcji. Chciałby zagrać jeszcze jedną. Wielką. Ale...

– Ale co?

– ...ale bardziej w życiu niż w teatrze – dokończył Dąbrowa.

Marcin poczuł, że musi jednak strzelić drinka. Nalał sobie wódki z colą i sączył przez słomkę na stojąco.

– Ej, człowieku. – Dąbrowa nagle się ożywił. – Zgadałem się tu z taką jedną dziewczyną, modelka czy blogerka. Nie chcesz do nas dołączyć na małe ziółko?

Marcin pokręcił tylko głową. Coś go zaciekawiło. Zobaczył, że ktoś stoi w drzwiach prowadzących na hotelowy korytarz i wpatruje się uważnie w Pawła Dąbrowę. Bardzo uważnie. Facet wprost nie mógł oderwać od młodego aktora wzroku. Miał z pięćdziesiąt lat, pociągłą twarz poraną zmarszczkami i spore zakola. To był ktoś z obsługi, ubrany w biały fartuch. Marcin dopiero po chwili dostrzegł, że facet miętoli w dłoniach wysoką białą czapkę. To musiał być kucharz z Pink Rose. Może wyszedł na papierosa i wracając, dostrzegł już niezłe wstawionego Dąbrowę?

Marcin postanowił zaryzykować. Ruszył w jego stronę i doszedł do niego dokładnie w momencie, gdy tamten zmitygował się i chciał odejść w kierunku pomieszczeń gospodarczych.

– Podobny, nie? – spytał.

Tamten spojrzał na niego zaskoczony. W jego piwnych oczach czaiła się nieufność.

– Do kogo? – mruknął szorstko.

– Do tamtego chłopaka, osiem lat temu – brnął Marcin. – Pracował pan tu wtedy, prawda? W Stokrotce?

Kucharz rozejrzał się i nerwowo zwinął czapkę w kulę.

– Jestem kolegą Artura. – Marcin ściszył głos. – Tego chłopaka, który wystrzelił.

– Nie tutaj. Później, jak wydamy dania – wyszeptał tamten. – Wyjdź na tyły za dwadzieścia minut.

Głos Mundka w słuchawce komórki Andrzeja brzmiał jak szmer skrzydeł podnieconego trzmiela.

– Wyprzedziłem ją, miałem pół minuty, żeby się ustawić, oparłem tele na siedzeniu, wycelowałem, weszła mi prosto w kadr, idealnie wyszło, trochę szumu, ale nic się nie rozmyło.

– Kiedy mi wyślesz? – spytał Andrzej z nosem w poduszce.

– Widzę jakiś bar, rozstawię lapka, no to jakieś siedem minut mi zajmie. A jak nie, to na stojaka zgram.

– Spoko. Poczekam. I tak nie mogę spać.

Andrzej wstał z łóżka. Wziął telefon, wyszedł po cichu na korytarz i zapukał do drzwi pokoju, w którym nocowała Teresa. Otworzyła mu chwilę później w białej koszulce i majtkach, ze zmierzwionymi włosami i dziwnym spojrzeniem w nieco załzawionych oczach.

– Dobrze, że jesteś. Nie mogę spać – wyjęczała.

– Przez tego debila na zakręcie?

– Nigdy w życiu nie miałam takiej sytuacji. Ilekroć przymykam oczy, widzę ten samochód. A potem to, jak lecimy w tamto pole. No i chyba mam ze trzydzieści osiem stopni.

– Po piwku? – Andrzej oparł się o framugę.

– Brałam aspirynę, ale chyba bez tego nie zasnę.

– Oddam ci za naprawę.

Machnęła tylko ręką i zamknęła drzwi. Wrócił do pokoju, wyjął z torby bawełniany dres i wciągnął go szybko na siebie. Wziął telefon i portfel ze stolika, wyszedł na korytarz i zszedł po schodach. Skrzypiały jak cholera. Przeklął pod nosem, słysząc jakiś ruch za uchylonymi drzwiami na parterze. Po chwili rozwarły się z jękiem i pojawiła się w nich głowa gospodyni w papilotach.

– Nie za późno na spacer? – spytała.

– Przepraszam. – Andrzej uniósł dłonie. – Piwko by się nam przydało. Ta stacja pewnie całodobowa, prawda?

– Ta nie. Całodobowa jest za miastem, na Olsztynek.

– Kurde.

– Ale mam wiśniówkę własnej roboty. Reflektuje pan?

Andrzejowi zaświeciły się oczy. Kiwnął energicznie, a głowa kobiety zniknęła w pokoju. Wsłuchiwał się w stukot szkła, gdy komórka zawibrowała mu w dłoni. Przejechał palcem po ekranie i odczytał wiadomość od Mundka.

Twarz młodej brunetki wypełniła ekran. Andrzej powiększył zdjęcie i wpatrzył się w bladą poświatę. Nie mógł oderwać wzroku.

Oczy kobiety miały różne kolory.

– Kurwa – szepnął do siebie.

– Oto i wiśnióweczka. – Kobieta zmaterializowała się przed nim nie wiadomo skąd.

– Ile się należy? – spytał, wciąż zerkając na komórkę.

– A to już jutro się rozliczymy. Miłego wieczoru.

Andrzej wziął butelkę i ruszył po schodach. Alicja czy nie – musiał koniecznie dać znać Mundkowi, żeby następnego dnia nie spuszczał dyrektora Orlicza z oczu.

Marcin upewnił się, że Lamparski jest zajęty rozmowami z gośćmi. Adlera nigdzie nie było od kilkunastu minut. Jego talerz z kaczką po prowansalsku i opiekаныmi warzywami parował na stole i powoli stygł.

Wyjście na tyły okazało się trudniejsze, niż się Marcinowi z początku wydawało. Zaplecze hotelu oddzielone było od parkingu płotem wysokim na dwa metry, z zamkniętą na cztery spusty bramą i drewnianymi drzwiami z domofonem. Mazurska noc była naprawdę chłodna, Marcin szybko poczuł, że grabieżą mu dłonie. Szedł wzdłuż parkanu i szukał jakiegoś przejścia, zerkając od czasu do czasu, czy nikt go nie obserwuje. Goście hotelowi trzymali się jednak blisko drzwi, popalali papierosy szybkimi haustami i znikali w środku.

Im dalej od głównego wejścia, tym było ciemniej. Większość okien na piętrach tonęła w mroku. Młoda kobieta parsknęła wulgarnym głośnym śmiechem – to w pokoju na drugim piętrze trwała jakaś odłączona od głównej imprezy libacja. Dwa podpite męskie głosy komentowały, że bal na parterze zrobił się chujowy i że lepiej będzie, jeśli ona teraz zajmie się Rysiem, a Witek popatrzy. A potem na odwrót.

„Miłej zabawy” – pomyślał Marcin. Parkan ciągnął się w nieskończoność, a on nigdy wcześniej nie skakał przez płot. Ogarnęło go zwątpienie. W końcu natrafił jednak na skrzynię z piachem, stała w krzakach przy płocie. Wszedł na nią i wyrzwał na drugą stronę ogrodzenia.

Pięćdziesiąt metrów od niego, przy schodach prowadzących na rampę, stał kucharz i rozglądał się niecierpliwie. Zaciągał się papierosem, spowity gęstą chmurą dymu. Marcin napiął wątle mięśnie, podciągnął się z jękiem i położył się brzuchem na szczycie parkanu.

Kucharz zauważył ruch na płocie, zgasił szybko papierosa i ruszył w stronę Marcina.

- Hej! – Marcin wydał z siebie zduszony okrzyk. – To ja.
- Co ty, kurwa, wyprawiasz? Jest wyjście z korytarza.
- Nie wiedziałem.

Przeczółgał się okrakiem po płocie jakieś dwa metry i zeskoczył obok choinki. Upadł i skrzywił się z bólu. Facet wyciągnął w jego stronę żylaste ramię i pomógł mu wstać.

- Dobra, zostańmy tutaj – powiedział. – Pytaj, o co chciałeś.

Marcin schylił się, żeby zaczerpnąć tchu. Wyprostował się z trudem i patrzył przez chwilę na kucharza. Facet wyglądał na miejscowego, który z niejednego pieca chleb jadł. Trochę jak rybak, trochę jak marynarz. Ale nie jak gangster.

Było w nim coś, co mówiło Marcinowi, że można mu zaufać. Więc zaczął pytać, a facet opowiadać.

Osiem lat temu w wakacje Olaf pracował w Stokrotce już trzeci sezon z rzędu. Każdego lata na początku lipca do pensjonatu sprowadzało się warszawskie towarzystwo, żeby zażywać mazurskich rozrywek. Panowie zajeżdżali swoimi wypasionymi, zapewne kradzionymi furami, witani w progę przez eleganckiego mężczyznę w okularach ze złotymi oprawkami. Świta Majora nie zwracała się do niego inaczej jak „szefie”. Olaf nigdy się z nimi nie kolegował, a oni traktowali miejscową obsługę raczej z rezerwą.

Były też panienki, zwiezione w dwóch minibusach. Nie były ani specjalnie ładne, ani zbyt seksowne. Takie tam, żujące gumę solary-lambadziary, z silikonem wylewającym się z dekoltów i zrobionymi wargami. Niektóre prawie nie mówiły po polsku, albo bardzo słabo. Olaf czasem zerkał na nie z kuchni, ale trzymał się z daleka.

Jedna była inna. Niska, chuda, prawie nie miała cycków i wyglądała jak dziecko. Zawsze trzymała się z boku i rzadko wychodziła ze swojego pokoju. Olaf najpierw pomyślał, że to może córka albo jakaś krewna Majora, bo nie pasowała mu na dziwkę. Ale łysy Lampard – bo tak Olaf mówił o Lamparskim – traktował ją tak samo jak pozostałe. Jedno jest pewne: żaden z tych napakowanych twardzieli nigdy nie wybrał sobie tej dziewczyny do pokoju. Żaden.

Trzeciego dnia Olaf miał dłuższą przerwę i poszedł przywitać się z Kurowskim, starym rybakim, który akurat cumował drewnianą łódź przy moło. Kura palił jak smok i bardziej charczał, niż mówił, ale trzymał się prosto i codziennie przepływał łodzią jezioro wzdłuż i wszerz, nawet jeśli nie miał w tym żadnego interesu.

– Jakiś chłopaczek na drugim brzegu pytał mnie dzisiaj, czy nie przewiozę go do Stokrotki – wyskrzypiał Kura. – Nie wyglądał na takiego, co by go tu mogło coś interesować, to mu powiedziałem, że nie – dodał, puścił oko i spojrzał znacząco na budynek pensjonatu stojący na wzgórzu.

– Może chciał się zabawić? – Olaf się skrzywił. – Co z tobą, Kura? Nie chciałeś sobie dorobić?

– Nie wyglądał też na takiego, co by śmierdział forszą. – Kurowski włożył w kącik ust dopalonego kiepa. – Powiedział, że sam se dopłynie.

– Spory kawał. Sportowiec jakiś czy co?

– Chuj go wie.

Olaf jeszcze chwilę pogawędził z Kurą o lokalnych wiadomościach i o tym, że w Stokrotce żrą na potęgę, a jak już dorwą się do wody wieczorem, to chleją do rana i całą noc słyszą tylko wrzaski i dymanie. I że za dwa dni będzie pieczony baran, co go jakiś znajomy Majora wysłał w prezencie aż spod samiuśkich Tater.

Potem ruszył po kamiennych schodach z mola pod pensjonat. Już miał wejść w boczną furtkę prowadzącą do garażu i do kuchni, kiedy zobaczył nagle w krzakach czyjąś głowę, z mokrymi włosami przyklejonymi do czoła. Przystanął. Tamten go nie zauważył i dalej wpatrywał się w budynek, jak jakiś ninja albo inny Karate Kid.

A potem ten mokry zaczął rzucać kamyczkami w okna na piętrze. Celował we wszystkie po kolei, od lewej, czasem nie trafiał. Olaf co i raz słyszał brzęk szyby, chciał nawet podejść do chłopaka i go opieprzyć, ale był ciekaw, o co tamtemu chodzi i którą dziwkę chce tymi kamyczkami wywabić. Raz okno się otworzyło, wyrzała jedna z tych dziewczuch i zawołała coś po rusku czy po bułgarsku. Tamten poczekał i rzucał dalej, aż w końcu otworzyło się drugie okno od końca i wyrzała tamta dziewczyna. Ta niska, zawsze smutna. Uśmiechnęła się, głowa chłopaka zniknęła, ale Olaf widział jeszcze, jak w zagajniku odginają się gałęzie.

Zaraz potem ona wyszła powoli zza budynku, poszła w ten zagajnik, a Olaf ruszył z miejsca, bo wcześniej tylko stał nieruchomo i patrzył. Szedł cicho, uważał, żeby nie nadepnąć na gałązki, i nasłuchiwał, skąd dochodzą głosy chłopaka i dziewczyny. Kiedy już słyszał ich wyraźnie, to ukucnął i przytulił się policzkiem do chudego pnia.

– Wyjedźmy, nawet dzisiaj – mówił chłopak przejęty. – Nie musisz tu być. Zabiorę cię, pójdziemy na autobus. Powiem Marcinowi, że koniec wakacji.

– Jeszcze parę dni. – Ona miała cichy głos, taki bezszelestny, jakby ktoś rzucił na nią czar albo coś i nie mogła mówić głośno. – Chcę wiedzieć, muszę się dowiedzieć.

– Nigdy się nie dowiesz. – Chłopak się zdenerwował. – To nie ma sensu. Znowu ci to zrobią, zawsze jest tak samo. To nie jest tego warte.

– Poproszę ją. Ona jest już tak blisko, coraz bliżej. Czuję, że teraz mi się uda. Już raz coś poczułam, ale nie wiem do końca co. Muszę poczuć to jeszcze raz.

– Kto był blisko? – spytał Marcin.

– Jakaś lejdi – odpowiedział Olaf. – Gradiela, czy coś takiego.

– Ma pan... ma pan doskonałą pamięć.

– Wiesz, ja o tym twoim Arturze rozmyślałem przez kilka dobrych lat.

Chłopak oddychał szybko w bezsilnej złości. Olaf próbował ich dojrzeć przez krzewy i iglaste gałęzie, ale widział tylko ich włosy: jego już powoli wysychały, ciemne i zmierzwiłone, a jej były jasnobrązowe, rozczesane w przedziałek na środku, błyszczały w słońcu.

– Spotkajmy się jutro – zaproponował. – Opowiem ci, jak to się skończyło. Jest taka wyspa na środku jeziora.

– Nie dopłynę tam, nie umiem pływać.

– Coś wymyślę. Chcę się z tobą spotkać.

Nic więcej nie powiedziała, tylko wtuliła się w niego. A potem odeszła w kierunku Stokrotki. Olaf słuchał jej kroków, dopóki nie ucichły. Wyrzał zza pnia. Sylwetka chłopaka zniknęła powoli w krzakach, gdy szedł przez zagajnik w stronę jeziora.

– Hej, poczekaj! – zawołał Olaf.

Chłopak usłyszał go i zaczął biec. Olaf nie wiedział dlaczego ani po co to robi, ale koniecznie chciał go dogonić. Biegł za nim przez świerki i sosny, a gdy dotarł do piaszczystego urwiska, zobaczył już tylko jego głowę nad taflą wody.

– Poczekaj! Mogę ci pomóc.

Tamten zatrzymał się, zanurkował i po chwili wynurzył się twarzą do Olafa.

– Jak? – spytał przez ściśnięte gardło.

– No nie wiem, pogadam z Kurą, żeby przewiózł ci tę twoją lubą.

– Zrobisz to, człowieku?

– Spróbować nie zaszkodzi, nie? – Olaf wyszczerzył zęby. – Jutro w południe na wyspie?

Nie obyło się bez małej łapówki dla Kurowskiego, którą Olaf wyciągnął ze stokrotkowego składziku na mocne alkohole. Dziewczynę zagadał przy śniadaniu, wyciągnął ją na zewnątrz. Była nieufna, patrzyła na niego badawczo tymi swoimi dziwnymi oczami, od których przechodziły go ciarki. Poszli pod parkan i Olaf wyłuszczył jej swój plan: pójdzie na molo o wpół do dwunastej i Kura przewiezie ją łodzią na wyspę. Zostawi ją tam i będą mieć kilka godzin dla siebie, ona i ten jej chłopak.

– Dziękuję.

Olafowi wydało się, że dostrzegł w tym lewym niebieskim oku jakąś iskrę, i zrobiło mu się miło na sercu, że robi dobry uczynek. Tylko to prawe patrzyło wciąż jakby z wyższością, takie nieobecne, zwierzęce, złe. Kojarzyło się Olafowi z okiem jakiegoś gada, jaszczurki, a może nawet żmii.

Dziewczyna powiedziała w Stokrotce, że idzie na spacer do lasu, i wszyscy tylko wzruszyli ramionami. Dziewuchy żuły gumę i przeglądały telefony, a faceci opalali się na leżakach, grali w bilard w holu i popijali poranne browary. Tylko łysy Lampard, ten najostrzejszy zawodnik, miał jakieś „ale”, czepiał się jej. W końcu jednak on też dał jej spokój. A Majora akurat nie było w Karmanach.

Po kilku godzinach Kura przywiózł ją z powrotem. Spojrzała na Olafa z niemą wdzięcznością i weszła po schodach do swojego pokoju.

Następnego dnia przyjechał baran i Olaf miał mnóstwo pracy w kuchni. Gdy wyszedł na papierosa około szesnastej, to szybko wyczuł, że wokół tej dziewczyny robi się dziwne zamieszanie. Poczł się nieswojo. Miał nadzieję, że nie zrobił jej niedźwiedziej przysługi tą wycieczką na wyspę. Ale chodziło chyba o coś innego. O co – tego dowiedział się dopiero wieczorem.

Z piętra dochodziły jakieś krzyki. Gdy Olaf wyszedł z kuchni do holu z wiadrem pełnym obierek, rozpoznał pogardliwe szczeknięcia Lamparda i spokojny, lecz niemiły głos Majora. Dziewczyna niewiele mówiła, albo może mówiła tak cicho, że nie dało się tego usłyszeć z parteru. Inne dziewczuchy obsiadły schody i wywracały oczami.

Potem wszystko ucichło i wydawało się, że wrócił spokój. Z pozoru, bo w powietrzu czuć było napięcie. Olaf po raz kolejny tego dnia wyszedł na papierosa za pensjonat. I wtedy zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

Lampard z Majorem stali przy moło i rozmawiali z Kurowskim. Dali mu dwie flaszki, dziękował tak, że prawie padał im do nóg. Olaf modlił się z całych sił, żeby tamten go nie wsypał, i chyba Pan Bóg go wysłuchał, bo Kurowski odpłynął na drugi brzeg, a Lampard i Major wrócili do pensjonatu i nawet nie zaszczycili Olafa spojrzeniem. Odetchnął z ulgą.

Minęła godzina, słońce powoli zniknęło za wierzchołkami drzew na drugim brzegu. Na środku holu pojawiło się duże rzeźbione krzesło. Wyglądało jak tron. Chwilę potem Lampard zniósł po schodach nieprzytomną dziewczynę, przebraną w halkę i pończochy, starannie uczesaną, ze spinkami we włosach i powiekami zabarwionymi ciemnobłękitnym cieniem. Posadził ją na tronie i kazał dwóm innym dziewczynom pilnować, żeby się nie zsunęła. Wyszedł za pensjonat i długo go nie było. Kiedy wrócił, dał znak i wszystkie dziewczyny zniknęły na piętrze, a na parterze zostało tylko dziesięciu facetów w różnym wieku, Lampard z kijem bejsbolowym w dłoni i Major popijający koniak przy stole bilardowym.

– Już płyną – powiedział łysy olbrzym ze złym spojrzeniem.

Olaf widział to wszystko przez uchylone drzwi kuchni. Mięso dochodziło powoli w wielkim piekarniku, w powietrzu unosił się zapach pieczonej baraniny.

– Ty, Olaf, ocipiałeś, żeby zniknąć na tyle czasu w taką noc?! – dobiegł ich głos od strony rampy.

Starsza otyła kucharka w przybrudzonym fartuchu wyszła z hotelu i gapiła się na Marcina i Olafa stojących pod parkanem. Trzymała się pod boki rozeźlona, z siwymi włosami zaczesanymi wzdłuż głowy w długą kitę.

– Z kim ty tam chłasz, co?! – wykrzyczała.

– Co się tak pieklisz, kobieto? – odkrzyknął Olaf. – Już idę.

Marcin usiadł na kamieniu i martwo gapił się w ciemność. Więc to jednak nie paranoja pchnęła Artura prosto w objęcia tych facetów. Zwabili go tu, wykorzystując starego rybaka... Pierwsza wersja Majora.

Olaf zerknął na elektroniczny zegarek.

– Dwudziesta trzecia prawie. Słuchaj, ja muszę jeszcze chwilę tam podziałać. Jeszcze jeden gorący posiłek został, a potem oni już będą dogorywać. Powiem ci, co masz zrobić.

Marcin patrzył zdumiony, jak Olaf wyciąga coś z kieszeni i wkłada mu do ręki.

– Masz tu klucz – powiedział kucharz. – Wyjdiesz przez te drzwi z domofonem, przejdziesz przez parking i pójdziesz kawałek przez las. Zobaczysz taki piętrowy dom, a za nim jezioro. To będzie Stokrotka. Tam teraz nikogo nie ma. Nie zapalaj światła w holu, tylko wejdź do kuchni i dopiero tam zapal. Kapujesz?

Marcin pokiwał głową.

– Jak wszystko ogarnę tutaj, to przyjdę i opowiem ci resztę.

– Ale...

– Nie bój się, nie wystawię cię.

Olaf podniósł jeszcze obie dłonie w uspokajającym geście, odszedł w stronę rampy i za moment zniknął w drzwiach. Marcin musiał chwilę pomacać w ciemności, ale w końcu znalazł przycisk. Zamek w furtce zabrzączał i Marcin wyszedł na skrytą w mroku ścieżkę prowadzącą z powrotem na parking przed hotelem Pink Rose. Tym razem nikt nie palił przy wejściu. Idąc wzdłuż okien, Marcin zerkał na salę, rozochoconych gości przy stolikach i kelnerów roznoszących wielkie półmiski z płonącymi szaszłykami.

Przeszedł przez parking między tymi wszystkimi drogimi samochodami. Ominął asfaltowy podjazd, obszedł jeszcze kilka aut i ukryty wśród drzew blaszany kontener, za którym zaczynała się piaszczysta ścieżka prowadząca przez tonący w mroku las. Marcinowi serce podeszło do gardła na myśl o tym, że będzie musiał oddalić się od hotelu i wejść w zimną, ciemną i nieprzyjazną gęstwinę. Zapalił latarkę w telefonie i niepewnie ruszył przed siebie.

Po kilkunastu krokach odwrócił się na chwilę. Światła Pink Rose zniknęły i zaległa przerażająca cisza. W powietrzu czuć było zapach jeziora i Marcin postanowił skupić się na tym zapachu, żeby odgonić histeryczne myśli. Oto idzie sam przez ciemność do starego pensjonatu. Tego samego, w którym Artur osiem lat temu postrzelił Majora.

Na szczęście las szybko się skończył, jeszcze kilkadziesiąt metrów wzdłuż szumiących w jesiennym wietrze traw i ukazał się duży piętrowy budynek ze spadzistym dachem. Przypominał trochę prywatne pensjonaty, w których Marcin

zatrzymywał się z Martą podczas wakacji w Zakopanem, ze ścianami z grubych bali, podmurówką z polnych kamieni, zadaszonym gankiem i tarasem. Olaf musiał mieć rację – nikogo tu nie było, na piaszczystym parkingu nie stał żaden samochód, a budynek był ciemny i wyglądał na opuszczony.

Wziął głęboki oddech i raz jeszcze spojrzął na klucz, który trzymał w dłoni. Przeszedł przez parking i wszedł na ganek.

Nawet gdyby Olaf go nie ostrzegł, to Marcin i tak bałby się zapalić światło. Wszedł do Stokrotki i przez chwilę stał w progu obszernego holu, przyzwyczajając wzrok do ciemności, wdychał zapach kurzu i wyobrażał sobie, co musiał czuć Artur, gdy z pistoletem (w plecaku? za paskiem spodni z tyłu?) stanął tu osiem lat temu i zobaczył to, co zobaczył. Nieprzytomną Alicję na wielkim krześle przypominającym tron. Majora popijającego koniak przy stole bilardowym. Lamparda z kijem bejsbolowym i resztę anonimowej bandy porozstawianej po kątach. Bał się, że zobaczy zaraz wszystkie te wilcze oczy wpatrujące się w niego, tak jak wpatrywały się kiedyś w Artura.

Stół bilardowy wciąż stał w głębi holu, tuż obok drewniane schody pokryte dywanikiem prowadziły na piętro, gdzie Alicja tęsknie wypatrywała Artura przez okno. Jedynym elementem wystroju, który musiał pojawić się później i nie pasował do scenerii dramatu sprzed lat, była wielka sofa z czarnej sztucznej skóry. Stała na samym środku, z drewnianym stolikiem u boku. Wyglądała na nową i bardzo wygodną.

Nagle Marcin usłyszał na piaszczystym parkingu śmiech jakiejś dziewczyny, przytłumiony przez szyby w oknach. Ktoś z nią rozmawiał cichym głosem, oboje wydawali się wstawieni i rozbawieni. Marcin błyskawicznie przytulił się do ściany przy oknie i wyjrzał, ale dwójka zagubionych gości z Pink Rose zniknęła mu z pola widzenia, zanim zdążył im się przyjrzeć. W panice rzucił się do drewnianych drzwi i zanurkował w starej, tonącej w ciemności kuchni. Zdążył jeszcze przytknąć drzwi i przykucnąć.

Drzwi wejściowe do pensjonatu zaskrzypiały i Marcin zamarł.

– Uuu, spooky – usłyszał głos Pawła Dąbrowy. – Niezły klimacik.

– Ty, no nie wiem – odezwała się dziewczyna. – Nie chcę jarać w takim horrorze.

– Dobra, to się chociaż rozejrzemy.

A więc to był Paweł, młody aktor. Najwyraźniej znudziła mu się impreza na sali i przyprowadził nowo poznaną panienkę do Stokrotki z zamiarem wypalenia dzointa. Marcin gorączkowo myślał, co się stanie, kiedy przyjdzie Olaf i zastanie tu oprócz niego jeszcze tamtą dwójkę. A jeśli się zdenerwuje i nie będzie dalszego ciągu historii?

– Ej, schowaj się szybko. – Paweł wydał z siebie przestraszony szept. – Zobacz, tam idzie łusy.

Marcin nie mógł uwierzyć. Lamparski?

– Spieprzajmy stąd – zapiszczała dziewczyna. – Może nas nie zauważy.

– Za późno, kurwa! – Paweł wpadł w panikę. – Tam są jakieś drzwi!

Zanim Marcin zdążył drugi raz pomyśleć, kuchenne drzwi uderzyły go z całej siły w plecy, jakaś postać w wieczorowej sukience potknęła się o jego nogi i runęła na podłogę. Zaraz potem to samo spotkało Pawła, który poleciał prosto na szafkę od zlewozmywaka.

– Kurwa, co jest grane? – wyjęczał. – Nic ci się nie stało?

– Pablo, tu... tu jest ktoś jeszcze. – Dziewczyna była bliska płaczu. – To chyba czyjeś ciało.

Marcin czuł, że nerki będą boleć go jeszcze przez tydzień, ale nie było czasu, żeby się nad sobą użalać.

– Opanujcie się, ludzie – wyszeptał. – To ja, Marcin.

– Jaki Marcin? Od scenariusza? – Paweł próbował dojrzeć cokolwiek w ciemności.

– Tak, przestańcie już. Nie chcecie chyba, żeby Lamparski nas tu wszystkich przyłapał.

Chciał jeszcze zamknąć drzwi od kuchni, ale nie zdążył. Ktoś musiał naprzeć całym ciałem na drzwi wejściowe, bo uderzyły w ścianę tak mocno, że aż zabrzęczały szyby w oknach. Marcin, Paweł i dziewczyna trzymali dłonie przy ustach i starali się oddychać jak najciszej. W holu zapaliło się światło i przez na wpół otwarte drzwi wpadła do kuchni żółta poświata.

– Chodźcie, chodźcie, świnki moje...

Marcin wyczuł po głosie łysego, że musiał być już mocno wstawiony.

– No niezły masz tu, kurwa, pensjonacik – zaskrzeczał przepity kobiecy głos, którego właścicielka miała w czubie niewiele mniej od Lamparskiego.

– To gdzie byś chciał, żebym zrobiła ten pole dance? – zagdakała druga. – Tu nie ma żadnej rurki.

– A bez rurki nie dasz rady? – wycharczał Lamparski. – Wista się zajmie lodzikiem, a ty dajesz pokaz.

„Wista? Co to za ksywa?” – skrzywił się Marcin. Teraz, gdy paliło się światło w holu, dostrzegał już twarze Pawła i jego koleżanki. Wciąż trzymali dłonie przy ustach, ale w oczach młodego aktora nie było paniki. Raczej jakieś rozbawienie. Tylko dziewczyna wciąż wyglądała na przerażoną.

Jedno z tamtej trójki wcisnęło jakiś przycisk i z dużych głośników ukrytych gdzieś w holu popłynęło disco. Marcin nie wiedział, czy Wista zajęła się już lodzikiem, ani

czy ta druga zaczęła wywijać piruety przed Lamparskim. Jeśli z czarnej skórzanej sofy dochodziły jakiegokolwiek dźwięki, to utonęły w głośnie muzyce i zachętach wokalisty, „żebyś dała z siebie wszystko, moja mała szantażystko”.

– Kuźwa, co z nim jest?

To chyba była Wista i jej przepity głos.

– Ej, Lampard, co ty odpierdalasz?

– Ty, no usnął chyba, ja pierdołę.

Jak na zawołanie z sofy dobiegło przeraźliwie głośnie chrapnięcie, które zabrzmiało, jakby na arktyczną wysepkę wypłynął spod lodu mors i przyzywał wszystkie okoliczne samice.

– To co robimy? – dopytywała ta druga.

– Ty no, jak pójdziemy, to będziemy mieć przejebane.

Marcin zerknął na Dąbrowę i dziewczynę. Paweł kręcił głową w rytm muzyki i ledwo powstrzymywał rżenie, ale Marcinowi nie było do śmiechu.

– Mamy jakiś plan? – wyszeptał.

W tym momencie Wista musiała wyłączyć muzykę, bo w pensjonacie nagle zrobiło się cicho i tylko Lamparski wciąż chrapał co parę sekund. Paweł spojrział na Marcina z szelmowskim uśmiechem i uniósł palec. Gestem kazał Marcinowi i dziewczynie zostać na podłodze, a sam podszedł na kolanach do blatu, wysunął rękę i z całej siły pchnął obrotowe drzwiczki w okienku do wydawania dań. Po holu poniosło się przeraźliwe skrzypnięcie nienaoliwionych zawiasów, drzwi stuknęły o ścianę i natychmiast się zamknęły.

– Kurwa! – krzyknęła Wista. – W tej budzie straszy!

– Lampard, obudź się, do jasnej cholery! – piszczała druga.

Przerażony Marcin patrzył z niemym wyrzutem na zadowolonego z siebie Dąbrowę. Łysy zaraz wstanie, zostaną nakryci i skończy się to rzezią!

Ale Lamparski zamruczał tylko coś przez sen.

– Ja wychodzę, jebać to. – Wista zastukała obcasami o parkiet. – Zostajesz?

– No chyba cię pojebało.

Drzwi wejściowe otworzyły się i do środka wpadło świeże powietrze. Marcin jeszcze przez chwilę słyszał, jak panienki gadają coś do siebie podnieconymi głosami na parkingu. A potem była już tylko cisza, przerywana chrapnięciami Lamparskiego.

– Coś ty sobie, człowieku, myślał? – Marcin otarł pot z czoła.

– Nie zadziałało? Zadziałało.

– Ja pieprzę – wyszeptła dziewczyna, po raz pierwszy od kilku minut.

Wyszli na czworakach z kuchni, najpierw Paweł, za nim jego koleżanka, a na końcu Marcin. Lamparski siedział na sofie z głową odchyloną na oparciu i członkiem

miętko zwisającym nad spuszczone do kolan spodniami. Marcin w pierwszej chwili chciał jak najszybciej wyjść, ale ten widok nie dawał mu spokoju. Cała trójka stanęła na nogi i patrzyła w milczeniu na obnażonego faceta.

– Coś ci pokażę – wyszeptał Marcin do Pawła.

Aktor spojrział pytająco.

– Dostałem to dzisiaj wieczorem.

Znalazł w telefonie SMS-a od nieznanego numeru i podał Pawłowi komórkę. Chłopak przez chwilę wpatrywał się w ekran. W ciągu kilku sekund z jego twarzy zniknęła wesołkowatość, jakby wyparował cały wypity wcześniej alkohol.

– I to jest ten chuj? – Wskazał na Lamparskiego.

Marcin kiwnął głową.

– Co tam jest? – spytała dziewczyna.

– Nieważne – rzucił obcesowo Paweł. – Wracaj do hotelu.

Nie trzeba było dwa razy jej tego powtarzać. Obejrzała się w drzwiach, ale Dąbrowa skinął głową z poważną miną. Marcin zobaczył przez okno, że zatrzymała się na piaszczystym parkingu, zdjęła buty na obcasach i dalej pobiegła na bosaka.

– Co z nim zrobimy? – spytał młody aktor.

– Nie mam pojęcia. – Marcin dotknął dłońmi spoconych włosów. – Kucharz ze Stokrotki może to potwierdzić, ale pewnie nie będzie chciał. Jedyne, co mam, to ten SMS.

– Może zwiążemy go i zrobimy mu małe przesłuchanie?

– Zastanów się. Zabije nas obu. Nawet jeśli nie teraz, to kiedyś.

– To co możemy zrobić? – Paweł nie dawał za wygraną.

Wyglądał teraz prawie jak Artur, kiedy dawno temu pokazywał Marcinowi w kibelu pistolet. Ten sam ogień w oczach. Ta sama niezgoda na rzeczywistość.

– Odlejmy mu się na twarz – zawyrokował w końcu Dąbrowa z zaciśniętymi szczękami.

Marcin rozdziawił usta. Próbował wyobrazić sobie, jak stają przy sofie, rozpinają rozporki i sikają tamtemu na łysą głowę. Ale koniec końców Lamparski budził się w tej wizji, chwycił któregoś z nich za gardło i rzucał nim przez cały hol.

– To nie takie głupie – wyszeptał. – Ale zrobmy to trochę inaczej.

Przez kilka długich chwil grzebali po szafkach w kuchni, starając się robić jak najmniej hałasu. W końcu w starym kredensie z tyłu pomieszczenia znaleźli słoik z czymś, co wyglądało jak cukier puder. Przysunęli stolik bliżej rozchylnych nóg Lamparskiego. Paweł wysypał na blat zawartość słoika, część ułożył w sterzący kopczyk, a część rozdzielił swoją kartą debetową w równe ścieżki.

Kiedy uznali, że nie da się już bardziej poprawić scenografii, stanęli po obu stronach łysego producenta, rozpięli rozporki i chlusnęli ciepłym moczem na opuszczone spodnie faceta i podłogę pod jego butami. Patrzyli w napięciu na twarz Lamparskiego, gotowi w każdej chwili do ucieczki, ale tamten nawet nie drgnął.

Opróżnili pęcherze, zapięli rozporki i odeszli na kilka metrów. Paweł wycelował komórkę. Błysnął flesz. To był kolejny moment, kiedy Marcinowi podskoczyło ciśnienie, ale Lamparski tylko obrócił głowę na oparciu sofy.

– Wista...

Cofnęli się o krok. Paweł zaczął grzebać w komórce.

– Co robisz? – Marcin rzucił się w jego stronę.

– Wrzucę na fejsa.

– Oszalałeś? Chcesz, żeby cię namierzył?

– To co robimy?

Marcin patrzył przez chwilę na mokrego od ich moczu Lamparda i bajzel na stole.

– Znam kogoś, kto zrobi dobry użytek z tego zdjęcia – powiedział cicho. – Niech no tylko ten skurwiel pojawi się kiedyś na ścianie i zacznie szczerzyć się do aparatu.

– Tabloid? – Paweł się skrzywił. – Chociaż w sumie, czemu nie.

Marcin stwierdził, że nic tu po nich. Olaf się nie pojawił, a może szedł już do Stokrotki, gdy zobaczył Lamparskiego i jego towarzyszkę? Dokonali w każdym razie swojej małej zemsty. Może nie było to tak spektakularne, jak finałowe pojedynki w westernach, lecz mimo to Marcin oprócz zażenowania czuł też przyjemny dreszczyk satysfakcji. Może gdyby był Clintem Eastwoodem albo Batmanem...? Ale był tylko dwudziestoośmioletnim urzędnikiem z Warszawy i nie przychodził mu do głowy żaden inny pomysł na ukaranie łysego skurwysyna.

Wrócili na salę. Jovita kończyła akurat kolejny set. Część gości zdążyła rozejść się po pokojach, Adlera nigdzie nie było, ale na sali wciąż bawiło się ze sto dwadzieścia osób. Z czego może dwie albo trzy trzeźwe, nie licząc Marcina i rześkiego jak skowronek Pawła.

Dąbrowa przemknęła jak cień obok konsoly i zgarnęła z niej bezprzewodowy mikrofon. Marcin widział jeszcze, jak chłopak siada przy ich pustym stoliku pod ścianą, patrzy przed siebie, a potem zsuwa się pod biały obrus i siada pod stołem. Po chwili z głośników popłynął głos pobrzmiwający tonem konferansjera z dancingu.

– Szanowni goście. Czas na gwóźdź programu. Gospodarz serdecznie zaprasza państwa na specjalny poczęstunek do pensjonatu Stokrotka. Prosimy o wyjście na parking i przejście ścieżką przez las. Kierujcie się w stronę światła, drodzy państwo, idźcie w stronę światła.

Marcin patrzył ze zdumieniem, jak ludzie ochoczo wstają od stolików i rzucają się do wyjścia. Przy drzwiach powstał zator, jakiś mocno wstawiony facet w rozpiętej koszuli próbował kierować ruchem, ale w końcu machnął ręką i zniknął w tłumie.

Marcin podszedł stolika, znad którego wystawała głowa Pawła.

– A my? Idziemy spać? – spytał.

– No co ty? – Dąbrowa puścił oko. – Nieobecny znaczy winny. Poza tym nie darowałbym sobie, gdybym tego nie zobaczył.

Wyszli z hotelu i podążyli za wesołym korowodem. Nie udało im się wejść do Stokrotki, wmieszali się więc w tłum przed starym pensjonatem, a potem wsłuchiwali się w komentarze podnieconych gości. Marcin odczekał jeszcze pięć minut i ruszył z powrotem do Pink Rose. Każda komórka jego ciała błagała o odpoczynek.

Wrócił do pokoju, walnął się na łóżko i zasnął.

Dziewczyna w białej kurtce po cichu zamknęła za sobą drzwi. Idąc przez ogród, spojrzała na tonącą w mroku szklarnię z różami. Włączyła latarkę i weszła na kręty chodnik zrobiony z drewnianych krążków. Miała zamiar pójść w najdalszy zakątek ogrodu, z dala od starego domu z omszałymi ścianami zarośniętymi wiecznie zielonym bluszczem.

Z latarką w ręku dotarła do końca chodnika i zeszła na wilgotny piach. Po kilkunastu metrach ogród urywał się i przechodził w rzadki brzoźowy zagajnik. Za nim dziewczyna miała swoją polanę do rozmów z ogniem, z kamiennym paleniskiem i krzeselkiem turystycznym.

Zebrała z ziemi ułamane gałęzie, z pobliskiego stosiku przykrytego brezentem przyniosła jeszcze kilka ociosanych i wysuszonych pniaków. Nie lubiła zapachu podpałki, ale nie chciała tracić czasu.

Pięć minut później siedziała na krzeselku z policzkami między dłońmi i wpatrywała się w buchające coraz śmielej płomienie. Potrzebowała jeszcze kilku minut, żeby wejść w stan, gdy jej wzrok rozmywał się i zamiast płomieni zaczynała widzieć falującą płachtę we wszystkich odcieniach czerwieni. W myślach nazywała to przejściem. Czasami pomagała sobie, wpatrując się w swoje dwa złączone palce krążące między jej oczami a ogniem.

„Lady Galadrielo, oto jestem”. Biała szata zafurkotała na wietrze, a dziewczyna poczuła, że płynie zaraz za zwiewną postacią i przenika falujący czerwony materiał na drugą stronę.

Ciemność jest wszystkim, jestem jak mały okruch, wyrzucony gdzieś w nicość. Dryfuję i nic nie widzę, staram się znaleźć jakiś kierunek, jakiś bardzo cichy głos mówi do mnie: podążaj za światłem. Ale wokół mnie nie ma żadnego światła, tylko

jakaś blada mleczna poświata na horyzoncie, ale to jest bardzo daleko i nie ma żadnego źródła. Na zewnątrz ktoś coś do mnie mówi, to chyba mężczyzna, ale to jest tak, jakbym była zamknięta w szklanej kuli pod wodą, a ten mężczyzna jest na brzegu.

Chcę zobaczyć tamten dzień, jeden z ostatnich Tamtych Dni. Poznałam już Artura, moje postacie z baśni posmutniały, czują, że chcą je opuścić. Pytają: „Dlaczego i po co, przecież jest nam razem tak dobrze, tyle razem przeszliśmy”. Ale ja mówię im, że to już pora. Bo jeśli tu zostanę, to w końcu umrę, czy tego chcecie? Nic nie odpowiadają, są ułuda, nie są prawdziwe. Nie mogę zostać, muszę wydostać się do realnego świata, rozplývają się powoli w nicości, najdłużej trzyma się ze mną zła Królowa Kier. Można powiedzieć, że przez ten długi czas była moją przyjaciółką. Mówi, że jeśli wygram tę partię szachów, to powie mi: „Żegnaj, Alicjo”. Tam na zewnątrz ten mężczyzna po raz trzydziesty piąty robi coś z moim ciałem, a tu gram z Królową o moje życie.

Wystawiam swojego hetmana, ale wiem, że dzięki temu jej król znajdzie się w potrzasku. Jeszcze kilka ruchów i jest, szach-mat, Królowa Kier jest wściekła, ale nic nie może zrobić. Dała słowo. Mówi: „Żegnaj, Alicjo” i rozplýwa się jak reszta. Znowu zostaję sama w pustce, ale czuję, że to moje pierwsze zwycięstwo, mój okrucieństwo, jakby z dumy. Czuję się, jakbym wchłaniała tę przeraźliwą próżnię i przemieniała ją – też w pustkę, tylko jaśniejszą, taką różową. Nie jestem już w czerni, tylko w bladej czerwieni, i nagle zaczynam czuć własne ciało. Dalej nic nie widzę, ale już słyszę tego mężczyznę, i czuję, jak próbuje wpychać się między moje nogi. Jest dziwnie miękki. Jest przez to zły. Gniecie moje ramiona, chwyta mnie za włosy i ciągnie, podnosi głowę, a potem przydusza z powrotem do poduszki. Szczypie. Krzyczy, ale jakoś tak cicho, jakby nie chciał, żeby go usłyszano. „Obudź się, obudź się” – sączy mi do ucha. „Obudź się, dlaczego zasnęłaś? Wstań wreszcie i powiedz coś do mnie, czekam, aż wstaniesz i spojrzysz na mnie”.

Nie wiem, o co mu chodzi, najpierw truł mnie i chciał, żebym spała, żebym była nieprzytomna, a teraz wali moją głowę o poduszkę i jest zły, że się nie budzę. Nie wiem, o co chodzi. Ale to już nieważne, bo on przestaje, a ja czuję, jak coś ciepłego spływa mi po piersiach i brzuchu.

Chcę wsłuchać się uważnie, bo on dalej coś mówi. Znowu jestem w pustce, tej różowej, szkarłatnej, przyjemnej, nikogo tu nie ma, a ja nie jestem już okrucieństwem, tylko steruję tą pustką, jakby była moim statkiem kosmicznym. Mam kontrolę. Nie widzę pokoju, ani tego mężczyzny, za to słyszę coś, jak przez mgłę...

„Walczyłem o ciebie tak długo, a ty tak po prostu sobie poszłaś. Jak mogłaś mi to zrobić? Co ty sobie myślałaś? Zostawiłaś mnie. Obudź się wreszcie i popatrz na

mnie. Jestem tu dla ciebie. Czekam na ciebie. Wstań”.

To wszystko znika, a pojawiają się naraz skaliste góry. Pojawia się też Lady Galadriela. Zerka na mnie przez ramię i płynie przed siebie, ja za nią, prowadzi mnie przez wąwóz, na którego końcu widzę znajomy czerwony materiał, falujący na niesłyszalnym wietrze. Wszędzie jest tylko cisza i cisza.

Przepływamy na drugą stronę i... to jest tamto miasto, ze strzelistą szarą wieżą z zegarem pośrodku. Szary dzień, a wszyscy wokół stoją w miejscu, jakby zatrzymani w czasie. Moja przewodniczka znika, a ja widzę siebie, widzę swoją białą kurtkę. Ta druga ja siedzi na ławce pod pałacem i ma uniesioną głowę, wpatruje się w niebo. Nie, ona wpatruje się z napięciem w zegar. Więc ja też podnoszę wzrok.

Jest za dwadzieścia piąta.

I wtedy wychodzi zza mnie jakaś dziwna ciemna postać i podchodzi do mnie, tej na ławce. Kładzie jej dłoń na ramieniu. A potem oboje znikają.

Dziewczyna otworzyła oczy. Nie wiedziała, co sądzić o tej nieoczekiwanej wizji. Musiała ją sobie zinterpretować. Ogień nie kłamie. Jemu nie wolno zarzucać kłamstwa. A skoro tak, to ona musi tam pojechać. Musi znaleźć w sobie siłę i stawić się na wezwanie, za dwadzieścia piąta, pod strzelistą wieżą pośrodku miasta.

Ale kiedy? Zmrużyła oczy i jeszcze raz wejrzała w ogień.

„Lady Galadrielo, daj mi odpowiedź. Kiedy?”

– Jutro – szepnęła. – To ma się stać jutro.

Niedziela,
22 października, 8:50,
FINAŁ



Dziewczyna w białej kurtce mocniej nasunęła kaptur na głowę. Weszła na błotnistą ścieżkę pośród brzozowych zagajników. Jej czarne adidas zostawiły w błocie ślady i pomyślała, że kiedy będzie wracać tędy dziś wieczorem, będą to jedyne ślady na ścieżce. O ile wróci. O ile nie spadnie deszcz i ich nie zmyje.

Wyszła na dziurawą szosę pośród cichych o tej porze roku ściernisk. Miała do przejścia jeszcze kilometr. Potem dotrze na pojedynczy krótki peron, poczeka piętnaście minut. Przyjedzie pomarańczowy podmiejski pociąg i zawiezie ją do najbliższego miasta. Tam przesiądzie się do kolejnego pociągu, potem jeszcze do następnego.

O piętnastej wyjdzie z przejścia podziemnego i znów zobaczy ten wielki szary budynek w samym centrum miasta. Wieżę Saurona. Musi znaleźć ławkę i poczekać, aż wskazówki na zegarze wskażą szesnastą czterdzieści. Tak jej podpowiedział ogień. I Lady Galadriela.

Krok za krokiem. Krok za krokiem, po dziurawej szosie.

Przy śniadaniu nie było innego tematu niż to, co goście balu inauguracyjnego Pink Rose zobaczyli, gdy wesoły pijany tłum wlał się przez wąskie drzwi opuszczonego pensjonatu. Marcin wstał dość wcześnie i był świadkiem tego, jak spora część gości w zażenowaniu schodziła z pięter i cicho rozmawiając, kierowała się prosto na parking. Kolejne samochody odjeżdżały i do dziewiątej przed budynkiem zostało najwyżej dziesięć aut. Ci, którzy zostali, siedzieli w kafeterii przy sałatce i kanapkach, zerkali na siebie ukradkiem i żartowali na ucho. Atmosfera była napięta, czuć było w powietrzu, że każdy chce jak najszybciej dokończyć śniadanie i opuścić hotel przed pojawieniem się Lamparskiego. Właściciel Pink Rose zniknął gdzieś i nie pojawiał się przez cały ranek, a Marcin nie potrafił sobie nawet wyobrazić, co dzieje się w głowie tamtego. Czy gdy ochłonie po tym potwornym upokorzeniu, wparuje do kafeterii z nabiegłymi krwią oczami i wielkim shotgunem? Czy rozpocznie polowanie na sprawców?

Ten widok... Lampard z opuszczonymi, mokrymi od moczu spodniami, ze smętnie zwisającym penisem, pochrapujący jak mors. I góra „kokainy” na stoliku. Na szczęście żaden z pijanych gości nie próbował wetrzeć sobie w dziąsła tego specyfiku, więc wszyscy ci mężczyźni i kobiety w strojach wieczorowych zapamiętali tę wersję już na zawsze.

– Panowie, mam nadzieję, że to nie wy za tym stoicie? – Adler nachylił się konfidencko nad blatem.

Marcin Bielawski i Paweł Dąbrowa popatrzyli po sobie tak, jak się wcześniej umówili. Niemal ze świętym oburzeniem.

– Mistrzu, ujaraliśmy się w moim pokoju i gadaliśmy o filmach – oświadczył Paweł z poważną miną. – Potem zeszliśmy na salę po coś do żarcia i akurat wtedy zaczęło się to całe zamieszanie.

Adler pokiwał głową.

– Panie Janie – wtrącił Marcin. – To, że z naszych negocjacji nic nie wyszło, nie oznacza, że mam coś do pana Lamparskiego. Mam inne sprawy na głowie. Nie potrzebuję mieć w tym facecie wroga.

– Mhm. – Adler się zamyślił. – Ale Lamparski będzie szukał winnego. Jeśli mnie spyta, to powiem, że siedziałem z wami w tym pokoju. No, może nie paliłem marihuany, ale o filmach to akurat mam dużo do powiedzenia.

Paweł Dąbrowa spojrział na Adlera z wymownym półuśmiechem.

– No nie, panowie – zachnął się Adler. – Ja na pewno nie miałem z tym nic wspólnego.

– Proponuję Siedmiu samurajów – powiedział Dąbrowa. – Mam na górze płytę, więc będziemy kryci.

– Okej, niech będzie. – Adler wzruszył ramionami. – A swoją drogą słyszałem z drugiej ręki, że to było prawie jak dzieło sztuki.

– Siedmiu samurajów? – spytał Marcin. – No jasne, klasyka.

– Nie. Ta akcja z Lamparskim.

Pokiwał głową w milczeniu. Temat był śliski i lepiej było go nie ciągnąć. Dokończyli śniadanie. Paweł podziękował, wstał i wyszedł z kafeterii. Marcin zaczął się zastanawiać, czy uda mu się odnaleźć kucharza Olafa, czy warto i co jeszcze mógłby od niego usłyszeć.

Adler wytarł usta chusteczką.

– Zdaje się, że wczoraj na balu dałem ostro w palnik i powiedziałem panu coś dziwnego.

Marcin spojrział na Adlera pytająco.

– Nie pamięta pan?

– Że... – Marcin się zawahał. – Że wie pan, co się stało w Stokrotce?

– Tak. Ale nie chodzi o samo zdarzenie. Raczej o genezę.

Aktor przez moment drapał się po nieogolonych policzkach.

– Słyszałem różne plotki. – Nachylił się nad blatem i ściszył głos. – Wie pan, osiedle jakiś czas żyło śmiercią Artura. Różni ludzie różnie gadali. Chodziłem

przecież do sklepu, zanim się stamtąd wyprowadziłem. Ktoś kiedyś widział Artura z tamtą dziewczyną. Ktoś inny skojarzył ją z burdelem, bo akurat poszedł tam na panią. Ktoś widział coś jeszcze, albo sobie dopowiedział.

– Do czego pan zmierza, panie Janie?

– Komuś bardzo się nie podobało, że Artur zakochał się w tej dziewczynie.

Marcin przez długą chwilę patrzył na nieogoloną twarz Adlera. Adler też patrzył na Marcina, jakby badał, czy jego rewelacja wywarła odpowiedni skutek.

– Pamięta pan pewien wieczór u mnie w domu? – spytał aktor cicho. – Ten, gdy kazałem panu zostać na schodach?

Pamiętał. To było wtedy, gdy Adler zaczął sugerować ojcu Artura zainteresowanie Alicją, a Dariusz Sosnowski zmieszał się i wyszedł.

– Tony Orłowski – mruknął Marcin.

– Słucham...? – Adler uniósł brwi.

Marcin zdał sobie sprawę, że w tym momencie się zdradził. Ale było już za późno, żeby się wycofać.

– Wiem, że był facet lub faceci, którzy używali tego pseudonimu w tamtym burdelu – powiedział, patrząc w oczy Adlerowi. – Taka przykrywka. Burdel pustoszał raz na miesiąc, a on lub oni mogli robić z Alicją, co tylko chcieli.

– Ciekawa teoria – odpowiedział po chwili Adler. – Ale Tony Orłowski? Nigdy nie słyszałem. To jakiś Niemiec?

Marcin zastanawiał się, czy wypowiedzieć na głos nazwisko „Orlicz” i pociągnąć temat w tym kierunku. To miałyby sens, Adler mógł coś wiedzieć o tajemniczym rzeźbiarzu z Pomorza. Ale najpierw chciał się przekonać, co aktor miał mu do powiedzenia.

– Nie wiem. Nie wydaje mi się, chociaż tak to brzmi. Ale pan, zdaje się, chciał mi przed chwilą powiedzieć, że to był ojciec Artura?

Adler nachylił się jeszcze bliżej.

– Tak – powiedział. – Taka była plotka na osiedlu.

– To... To się nie trzyma kupy.

– Niech pan odłoży na bok sentymenty i proste rozumowanie.

Sentymentu do starego Sosnowskiego nie czuł, przypomniał sobie za to gorejącą niezdrowym blaskiem twarz Majora, który grał z nim w psychologiczne gierki w muzeum. Człowiek na wózku był przetrącony przez tamten nieszczęsny strzał Artura, ale osiem lat wcześniej mógł uważać się za króla sceny i Mefistofelesa w jednej osobie. Może Dariusz Sosnowski jechał już do Stokrotki, a Major tylko czekał na nieoczekiwaną konfrontację ojca i syna, żeby nacieszyć oczy chaosem, który by nastąpił?

– Nie działa pan sam – Usłyszał głos Adlera. – Dobrze o tym wiem, bo przyznał mi się pan, że nie miał nic wspólnego z artykułem w brukowcu. Skąd pojawił się nagle w pana życiu tamten dziennikarz?

Rulewski. Major zapewniał, że wynajął go, żeby mieć na Marcina oko i wiedzieć o jego postępkach. Skąd Major i Rulewski mogli mieć na niego namiary? Rulewski zadzwonił do niego niemal natychmiast po...

...po tym, jak Marcin zawitał do tamtego domu po scenariusz i zostawił Dariuszowi Sosnowskiemu wizytówkę na stole w kuchni.

To nie Major wynajął Rulewskiego. To ojciec Artura.

Dotknął skroni i próbował ją rozmasować.

– Ale po co? – wyszeptał.

„Jak to po co? – odpowiedział sam sobie. – Dariusz Sosnowski przez lata płacił Alicji pieniądze, które dostawał od Majora w ramach rekompensaty za śmierć syna. Wyrzuty sumienia? A może dalej się spotykali, w tajemnicy? Dalej płacił jej za seks? Czy chciał trzymać rękę na pulsie?”

– Ja tylko mówię panu, o czym ludzie szeptali – powiedział cicho Adler. – Ale, jak to mówią, w każdej plotce jest ziarno prawdy.

„Kłamstwa, wszędzie kłamstwa” – natrętna myśl pełzała Marcinowi pod czaszką jak robak. Kłamał Sosnowski, kłamał Major w muzeum. Dziennikarz też go oszukał, a potem Marta. Prawda wciąż była ukryta, znała ją tylko Alicja, ale dostęp do niej miał nie on, a Rulewski.

Adler nadal siedział z poważną ściągniętą twarzą i wpatrywał się w niego bez słowa. Marcin nie wiedział, czy aktor czeka jeszcze na jakąś odpowiedź z jego strony.

– Muszę zadzwonić. – Marcin przełknął ślinę. – Użyczy mi pan telefonu na chwilę?

– Jasne.

Aktor podał Marcinowi swojego iPhone'a, a potem taktownie wstał, podszedł do kontuaru i nalał sobie kolejną filiżankę kawy z ekspresu. Marcin przepisał ze swojego telefonu numer Marty i zadzwonił. „Teraz nie pora na opieprz za zdjęcie przy artykule – powtarzał sobie w myślach, słuchając kolejnych sygnałów. – Bądź miły i rzeczowy. I nie daj się ponieść emocjom”.

– Cześć, to ja, dzwonię z telefonu Adlera. – Starał się nadać swojemu głosowi neutralny ton. – Tu wszystko okej, negocjacje co prawda nie wyszły, za dużo kasy zaśpiewałem za ten scenariusz. Dałabyś radę wejść na konto i zapłacić mój rachunek za telefon?

Weronika Sosnowska zdała sobie sprawę, że musi działać szybko. Rodzice poszli do kościoła, wcześniej niż zwykle, na dziesiątą, a ona wreszcie wiedziała, gdzie jej

stary trzyma tę pieprzoną komórkę, z której wydzwaniał pod składzikiem do dziewczyny Artura.

Odkąd wrócił wczoraj z zakupów w osiedlowym sklepie, warczał, syczał i rzucał z oczu błyskawice. Potem matka kazała mu wygarnąć z ogrodu resztę liści, które zdążyły spaść od ostatnich porządków. Poszedł tam czerwony jak burak. Weronika miała ochotę podejrzeć, czy znowu nie zadzwoni spod składziku do dziewczyny, ale zajął się wściekłym grabieniem ze wzrokiem wbitym w trawnik.

Wtedy Weronika zobaczyła w kuchni gazetę, którą czytywał ojciec. To był ten brukowiec, który czasami sama zabierała do kibla, żeby pośmiać się z durnych artykułów na stronie szóstej. Zerknęła, czy nikt nie idzie. Przerzuciła parę kartek i zrobiło jej się słabo.

Artykuł o prostytutce Alicji. Zdjęcie medalionu. „Ja pieprzę” – pomyślała. Zdjęcie zrobiła jakaś Bielawska. Możliwe, żeby to był ktoś z rodziny tego Marcina? Dziwaczne historie o dzieciństwie tej dziewczyny. I jeszcze na koniec coś w stylu: „Będzie film, znany scenarzysta już pisze scenariusz”.

Weronika już wiedziała, że ojciec piekli się za ten artykuł. Wyglądało na to, że Marcin Bielawski zrobił nieoczekiwany ruch do przodu, zniecierpliwiony tym, że Weronice nie udało się namierzyć tajnego telefonu ojca. No i z artykułu wynikało, że nawiązali kontakt z Alicją.

Coś tu jednak nie grało. Jeszcze w poniedziałek byli razem w muzeum, potem przez cały tydzień codziennie rozmawiali, a Bielawski z coraz większą rezygnacją dopytywał, czy Weronice udało się znaleźć komórkę. Jaki to miało sens, skoro w sobotę w brukowcu dali ponoć już drugi artykuł z jakiejś serii? To kiedy był pierwszy? Kiedy Marcin zdążył nawiązać kontakt z Alicją?

Postanowiła, że nie będzie zaprzętać sobie tym głowy, tylko skupi się na ojcu. Jeśli był wściekły, to może jednak znowu gdzieś zadzwoni.

I rzeczywiście, wieczorem poszedł pod składzik i gadał z kimś około minuty. Weronika dała sobie spokój z podsłuchiowaniem i tylko zerkała na ojca, ukryta za rogiem. Kiedy skończył rozmawiać i ruszył z powrotem do domu, weszła pierwsza. Już wiedziała, że nie ukryje telefonu w garażu, zdążyła przetrząsnąć go kilka razy, ale niczego nie znalazła. Pytanie teraz brzmiało: „Piwnica czy strych?”.

Przyczała się na sofie przed telewizorem. Ojciec wszedł po chwili i bez słowa ruszył w stronę schodów na górę. A więc nie piwnica! Zerwała się i cicho jak kot podeszła do poręczy. Weszła krok, potem drugi. „Dziwne, nie skrzypią stare schody na strych”.

Jeszcze krok i kolejny, widziała już korytarz na piętrze i...

Drzwi do pokoju Artura były uchylone, a w środku ktoś najwyraźniej był. Ktoś? To oczywiste kto.

Chciała to zrobić natychmiast, jeszcze tego samego wieczora, ale postanowiła odłożyć przeszukanie pokoju do niedzieli. Wtedy nikt jej nie nakryje, starzy pójdą do kościoła, a potem na tradycyjne zakupy w supermarkecie.

„Jestem Yesseris, to misja szpiegowska na dworze Karmazynowego Króla. Muszę być szybka i ostrożna. Muszę być dokładna”.

Nie znalazła komórki w szafie, chociaż przejrzała wszystkie wyprasowane T-shirty i obmacała każdą nogawkę dżinsów. W szufladzie biurka znalazła tylko stare rysunki Artura. „Nieźle rysował ten mój brat – stwierdziła. – Kurczę, miał te same zajawki co ja, krasnoludy, paladyni, łucznicy, trolle”.

Zajrzała pod materac i za monitor starego komputera. Nigdzie nie było komórki ojca.

„To koniec” – pomyślała z rozpaczą. Musiał mieć jednak jakiś tajny schowek, może jakąś luźną klepkę pod wykładziną, ale nie zamierzała robić aż takiej rozpierduchy.

Już miała wyjść z pokoju i stanęła w progu. Czy jest tu jeszcze jakiś kąt, który można sprawdzić?

Łóżko, szafa, biurko, monitor, komputer.

Komputer.

Pod biurkiem stał stary pecet Artura w wysokiej blaszanej obudowie. Weronika podeszła wolno do biurka i uklękła. Obudowa miała z tyłu czarne śruby, solidnie przykręcone, więc Weronika zeszła na dół po śrubokręt.

Po kilku chwilach mocowania się ze śrubami boczna ścianka odpadła i Weronika zajrzała do zakurzonego wnętrza. W kieszeni na twardy dysk leżał w foliowej torebce telefon. A na dnie obudowy stare pożółkłe wydanie „Twojej Gazety”.

Przez moment myślała gorączkowo, co teraz zrobić. Włączyła telefon, modląc się, żeby się nie okazało, że ojciec zabezpieczył go PIN-em. „Uff, nie zrobił tego...” – odetchnęła w duchu. Spisała jedyny numer w książce adresowej do swojej komórki, a potem wyłączyła telefon ojca, schowała go z powrotem do folii i skręciła obudowę. Wszystko wyglądało tak, jakby nikt nigdy tu nie zaglądał.

Wróciła do swojego pokoju i usiadła na łóżku. Najpierw pomyślała, żeby zadzwonić do Marcina i podzielić się radosną nowiną. Ale ciekawość była silniejsza.

Zadzwoń do tej dziewczyny i powie, kim jest. Siostrą Artura. Chciała usłyszeć jej głos. Chciała coś wreszcie wiedzieć. To nie może być tylko sekret ojca, on nie może być jej jedynym powiernikiem, bo jest już stary i robi głupoty. Sam powiedział, że narobił strasznego bałaganu. A potem wyjaśni, że szukają jej – ona i Marcin. I dopiero potem da kobiecie namiary na Bielawskiego.

Z bijącym jak młot sercem wybrała numer i czekała długą chwilę.

– Cześć, błagam, nie rozłączaj się, bardzo proszę – powiedziała drżącym głosem. – Nazywam się Weronika Sosnowska, jestem siostrą Artura. Chcę poznać prawdę.

Kiedy już załatwił sprawę niezapłaconego rachunku, poczuł się odrobinę lepiej. Dopiero po chwili dotarło do niego, że jest niedziela i zaksięgują przelew dopiero jutro rano. Oddał telefon Adlerowi.

– Kiedy wracamy? – spytał.

– Miałem zamiar wyjechać około czternastej – odpowiedział aktor. – Spiesz się panu?

Marcin rozejrzał się nerwowo. Każda kolejna minuta w Pink Rose groziła konfrontacją z Lamparskim, który musiał się w końcu uaktywnić i będzie pewnie szukał winnego. Miał nadzieję, że Adler dotrzyma słowa i w razie czego sprzeda łysemu bajeczkę o Siedmiu samurajach.

– Ma pan jeszcze trochę dnia. – Adler wytarł usta serwetką. – To fakt, o tej porze roku i w tej temperaturze Mazury nie są tak malownicze jak latem, ale może i tak warto skorzystać. No chyba że woli pan kręgle.

– Pokręcę się.

Marcin wyszedł z kafeterii, wszedł na drugie piętro i ruszył korytarzem hotelowym pod drzwi pokoju Pawła Dąbrowy. Zastukał. Młody aktor otworzył drzwi w samych dżinsach, bez koszulki.

– Spakowałaś się? – spytał Marcin. – Adler chce wyjechać o czternastej.

– Jadę wcześniej. – Dąbrowa przeciągnął się, aż strzeliły stawy. – Tamta laska zabierze mnie za pół godziny.

Marcin przygryzł wargi. Wyglądało to jak przemyślana decyzja. Sam chętnie zabrałby się z Dąbrową i jego nowo poznaną koleżanką, ale miał zamiar poszukać jeszcze Olafa. Kucharz urwał wczoraj swoją opowieść w najmniej oczekiwanym momencie.

Dąbrowa podszedł do łóżka, na którym stała jego torba podróżna. Wyciągnął z niej czarny T-shirt i wrzucił na siebie z gracją. Pod nadrukowaną fioletową głową sowy widniał angielski cytat z dobrze znanego Marcinowi serialu.

„Sowy nie są tym, czym się wydają”.

– Lubisz Twin Peaks? – spytał grzebiącego w torbie chłopaka.

Paweł uniósł głowę zaskoczony. Po chwili dotarło do niego, o co Marcinowi chodziło.

– Aaa, to. Prezent od dziewczyny. Byłej.

Marcin tylko pokiwał głową.

– Słuchaj, co do Adlera... – zaczął Dąbrowa. – Pamiętasz, co ci wczoraj mówiłem? Że gada jak potłuczony o tym, że jedyna wielka rola, jaka mu została, to ta do odegrania w realu, nie?

– Coś takiego mówiłeś.

– No więc myślę, że on tę rolę właśnie teraz gra. Nie zostało mu już wiele życia. Ten zawał ostatnio to był pikuś. Miewał już gorsze perypetie.

Marcin nie wiedział, co odpowiedzieć. Paweł zasunął suwak w torbie i wyciągnął dłoń.

– W każdym razie miło było cię poznać. – Uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że dobrze wykorzystasz fotę, którą wczoraj strzeliliśmy łysemu.

– O ile mi ją prześlesz. Nie rób nic głupiego. Żadnych fejsów, okej?

Pożegnali się. Marcin zszedł na dół i rozejrzał się nerwowo, ale Lamparda wciąż nigdzie nie było. Przechodząc obok kafeterii, zdał sobie sprawę, że hotel Pink Rose niemal opustoszał. Za dużymi oknami stały trzy, może cztery samochody, w tym nissan Adlera i wypasione auto Lamparskiego. Podszedł do wahadłowych drzwi prowadzących do kuchni i pchnął je lekko. Spod białych czapek niosły się na niego zaciekawione spojrzenia.

– Jest tu gdzieś taki kucharz Olaf? – spytał. – Pożyczył ode mnie zapalniczkę i nie oddał.

Młody pomocnik odłożył tasak, którym kroił pora w cienkie krążki.

– Poszedł do domu się wyspać – powiedział chłodno. – Będzie wieczorem.

– A gdzie mieszka? To moja ulubiona zapalniczka.

Tamten badał przez chwilę Marcina wzrokiem, jakby nie mógł uwierzyć, że stojący przed nim frajer ma tyle tupetu, żeby iść do Olafa i budzić go, bo nie może się obejść bez swojej zapalniczki.

– Numer piętnaście – rzucił w końcu przez zęby.

– Co numer piętnaście? Przy jakiej ulicy?

– Tu jest tylko jedna.

W Karmanach była tylko jedna ulica, a właściwie wąska brukowana droga, na której dwa samochody miałyby problem z minięciem się. Wzdłuż drogi stały w nierównych odstępach niewielkie domy – drewniane, z pustaka, jeden czy dwa skojarzyły się Marcinowi z poniemiecką zabudową z czerwonej cegły, z dekoracją nad oknami w kształcie rozciągniętej podkowy.

Zastukał parę razy. Zaspany kucharz otworzył drzwi w samych slipkach i podkoszulku.

– Czego chcesz? – spytał bez cienia sympatii.

– Pogadać. Nie dokończyliśmy.

– Spierdalaj.

Marcina zatkało. Nie spodziewał się takiego powitania. Wczoraj za hotelem kucharz był zdecydowanie bardziej otwarty i spokojliwy.

– Na chuj zrobiłeś Lampardowi ten kawał? – spytał Olaf. – Nudziło ci się?

– To nie ja – odpowiedział Marcin ostrożnie. – Jak go zobaczyłem, to ukryłem się w krzakach.

– A to dziwne, bo ja też wlałem w krzyny i jakoś cię tam nie widziałem.

– Może to te dwie panienki? – brnął Marcin. – Te, co z nim przyszły.

– Te kurwy? Nie sądzę. A może to ten koleżka podobny do twojego kumpla? I ta jego chuda laska, co się z nią lizał, jak szli do Stokrotki.

Marcin zacisnął zęby.

– A nawet jeśli to ja? – warknął. – Chyba należała mu się jakaś nauczka, nie?

– A skąd ty wiesz, że zrobił coś twojemu kumplowi?

– Dostałem SMS-a. O łysym chuju z obciętym uchem.

Olaf najwyraźniej poczuł się zmęczony tą pyskówką. Podrapał się po policzku, odsunął się z progu i gestem zaprosił Marcina do małej kuchni z piecem węglowym i odstającym od posadzki linoleum.

– Zrobiłeś Karmanom niedźwiedzią przysługę – powiedział, włączając elektryczny czajnik. – Lampard i Pink Rose to była jakaś szansa. Tu nie ma innej roboty. A po tej akcji to nie wiadomo, jak będzie z tym hotelem. Słyszałem, że goście się rozjechali. Karmany znowu będą w ciemnej dupie.

– Budynek zostanie. Może najwyżej właściciel się zmieni.

Olaf mruknął coś niezrozumiałego. Przez chwilę kręcił głową i gapił się to na sufit, to na Marcina.

– Co jeszcze chcesz usłyszeć? – spytał w końcu.

Marcin spojrzał na paznokcie.

– Może to, co się stało w Stokrotce...

– Jak chłopak wszedł do pensjonatu, poszedłem do kuchni – odparł z krzywym uśmiechem Olaf. – Piekliśmy barana. Bardziej interesował mnie baran. Gdybym go spalił, to nie miałbym już czego szukać u Majora.

– Wczoraj miałem wrażenie, że chce mi pan coś opowiedzieć, ale wtedy wyszła ta baba z zaplecza i...

– Dobra już, dobra. Dziewczyna siedziała otumaniona na krześle. – Olaf oparł się o ścianę. – Tamten chłopak wszedł i chyba nie tego się spodziewał. Major zaczął się z nim droczyć. Nie do końca zrozumiałem, ale chyba chodziło o to, że dziewczyna jest w ciąży i że to nie jest mu na rękę. Tamten tylko stał i się gapił. Major rozkręcał się coraz bardziej i w końcu wziął od Lamparda kij bejsbolowy. Zamachnął się,

a wtedy ten chłopak ni z tego, ni z owego wyciągnął pistolet i po prostu strzelił. Trafił Majora jakoś tak z boku, w plecy, ja nie wiem, bo potem wszyscy zaczęli wrzeszczeć, jak on upadł.

Marcin patrzył w milczeniu.

– I wtedy ta dziewczyna się obudziła – ciągnął Olaf zmęczonym tonem. – Wyglądała, jakby coś w nią wstąpiło. Jak demon jakiś. Łypała tym swoim żółtym okiem i zaczęła gadać z Lampardem. Żeby im dał kluczyki od auta i ich puścił. I on ich puścił. Ale reszty nie wiem, bo naprawdę musiałem wracać do kuchni.

– Do kuchni? W takiej chwili?

– Nie było bandaży. Trzeba było znaleźć jakieś w miarę czyste ściery.

– Więc nie wie pan, co się wydarzyło potem?

Olaf spojrział na Marcina z nieprzyjemnym błyskiem w oku.

– Lamparda się spytaj, koleżko – powiedział. – Herbaty?

Odwrócił się plecami i zajął się wyciąganiem z odrapanej szafki wyszczerbionych kubków i żółtego pudełka z najtańszą ekspresową herbatą.

Gadać z Lamparskim? Przecież to by było jak samobójstwo. Żadna wiedza o przeszłości nie była warta tego, żeby pchać się w paszczę lwa. Marcin jeszcze przed chwilą walczył z wyrzutami sumienia, że przez niego Pink Rose być może nie będzie wybawieniem dla biednych Karmanów. Zaprzestał tej walki. „Chuj z Karmanami”. Zacisnął szczęki.

– Z kim tu mogę jeszcze pogadać? – spytał ze złym błyskiem w oku. – Ten rybak, co przewiózł Artura, jak mu tam? Kurowski?

– Nie żyje.

– Jest coś na tej wyspie, cokolwiek? Jest sens, żeby tam płynąć? Dowiem się czegoś jeszcze?

– Jest stary dąb z dziuplą – odpowiedział Olaf, mrużąc oczy.

Marcin zabębnił palcami o blat. Zeszyt... Zielony zeszyt Artura zniknął. Może Artur schował go do dziupli przed tym, jak popłynął do Stokrotki? Może jednak warto wybrać się tam i sprawdzić, żeby załatwić wszystko do końca?

Usłyszał jakiś dźwięk. To Olaf zamknął kredens i położył coś na stole. Przegniły rulon papieru. Zielen na okładce zmieniła się w pokrytą zaschniętym grzybem czern.

– Kurowski mi to dał przed śmiercią.

Marcin trzęsącymi się rękami sięgnął po zeszyt. Otworzył go z trudem. Kartki były sklezione w jedną niedającą się rozdzielić bryłę papieru. Niebieski tusz na pierwszej stronie rozmazał się, nie sposób było nic rozczytać. Ani jednej litery. Ani jednego zdania.

– Kurwa – szepnął Marcin. – To wszystko, co po nim zostało.

Próbował rozdzielać strony, ale darły się przy każdym mocniejszym szarpnięciu. Im dalej, tym tusz był bardziej rozlany, wielkie kleksy, bez żadnej treści. Marcinowi zostawały w dłoniach tylko skrawki. I wciąż ani jednego zdania, tylko plamy, plamy, plamy...

Doszedł do miejsca, gdzie tekst się urywał, następnych parę kartek było pustych. Zamarł, bo dostrzegł, że da się odczytać dwa słowa.

„...pierwszy raz...”

Co to oznaczało? Pierwszy raz z Alicją? Więc to nie z nim była w ciąży?

Największa niespodzianka czekała jednak kilka kartek dalej. Jeszcze jedna strona, z przyklejonymi dwoma klonowymi liśćmi. Gdy Marcin oderwał je delikatnie, jego oczom ukazał się krótki tekst, który o dziwo ostał się w zeszytcie. Mimo rozlanego tuszu dało się go odcyfrować przy oknie. Marcin chłonał chciwie każdą literę.

Dzisiaj płynę. Rybak zaczepił mnie przed południem. Podobno chcą gadać. A potem dziwna sytuacja. Poszedłem do tego małego sklepu, Marcin nie chciał iść, pewnie wbił sobie do głowy tamtą diagnozę na mój temat.

Idę szosą. Mija mnie znów tamto białe audi, to samo co parę dni temu, na pełnej prędkości. Nie wiem, może sto pięćdziesiąt, może więcej. Wyjechało zza mnie, więc nie widziałem kierowcy. Prawie wpadłem do rowu.

Idę dalej, do sklepu jest szosą jakiś kilometr, ale już przeszedłem więcej niż połowę. Potem znów mija mnie samochód. Też pędzi, ale mniej niż tamto audi. Granatowy, tylko tyle mogę powiedzieć.

Wychodzę z za zakrętu jakieś trzy minuty później. Budynek już widać w oddali. Ten granatowy samochód stoi przed sklepem, a przy nim jakaś laska i chłopak. Drugi koleś wychodzi ze sklepu. Są strasznie wkurwieni i dziwnie nakręceni. Wrzeszczą do siebie. Rzucają kurwami, a najbardziej ta laska. Wsiadają całą trójką do auta i odjeżdżają.

Wchodzę kilka chwil później, biorę chleb, margarynę i pasztety. Dzisiaj browców nie – nie zamierzam się zamulać przed tą wyprawą na drugą stronę jeziora. Podchodzę do kobiety przy kasie i wykładam dwie dychy z portfela.

– O co chodziło? – pytam. – Coś chcieli?

Babka zna mnie już parę dni, więc nawet za bardzo się nie ociąga.

– Panie – wzdycha. – Ten biały, co tak tu pędził... Pirat drogowy normalnie. Na zakręcie im wyskoczył na środek jezdni. Ledwie uciekli w bok. Lusterko im stłukł. Pytali się mnie, czy to białe audi to miejscowy jakiś. No ja widzę go od dwóch tygodni często. To chyba ze Stokrotki któryś z tych łbów.

„No to powodzenia” – uśmiecham się krzywo na myśl o tym, że tamta trójka będzie szukać w Stokrotce sprawiedliwości za stłuczone lusterko.

Biorę resztę i pakuję zakupy do siatki. Muszę wrócić i przemyśleć to i owo. O dziewiętnastej jestem umówiony z rybakiem.

Marcin skończył czytać i spojrzał na Olafa, który siedział przy stole i sączył gorącą herbatę.

– Jakim autem jeździł Lampard? – spytał głucho.

– No i widzisz, koleżko – mruknął kucharz. – Trzeba było poczekać. Ale wam, młodym, się nie chce czekać. Wy lubicie mieć wszystko szybko.

– Jakim autem?

– Białym audi.

Marcin wracał ze wsi do hotelu wzdłuż brukowanej drogi, brnąc przez błoto na poboczu. Nogi uginały się pod nim i najchętniej przysiadłby na jakimś kamieniu.

Poczuł wibrację telefonu w kieszeni. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Niech dadzą mu już święty spokój. Niech się buja, kimkolwiek jest ten, kto teraz do niego dzwonił i najwyraźniej nie zamierzał dać za wygraną.

Wyjął komórkę i spojrzął na ekran. Kolejny nieznanany numer.

– Kto mówi? – spytał obcesowo.

W słuchawce nikt się nie odezwał, ale Marcin miał pewność, że ktoś czai się po drugiej stronie linii. Słyszał tylko falujący szum i miarowy stukot kół pociągu.

– Kto mówi? – Wpadł w złość.

– Marcin Bielawski? – spytał matowy kobiecy głos.

– Tak, to ja.

– Czy mówi ci coś imię Frodo?

Frodo? Droga zawirowała Marcinowi przed oczami.

– Czy czytałeś mejle od Samwise’a Gamgee? Czy masz coś wspólnego z wczorajszym artykułem? – Matowy głos drążył bez emocji, ale brzmiało to jak przesłuchanie.

– Nie... To ten drugi. Ten dziennikarz. – Marcin teraz już na serio szukał wzrokiem jakiegoś kamienia, na którym mógłby usiąść. Żadnego jednak nie znalazł.

– Andrzej. – Głos raczej stwierdził, niż spytał.

– Tak. Andrzej. Skąd masz do mnie numer?

– Od siostry Artura.

Marcin odszedł jak najdalej od jezdni i oparł się o szeroki pień rosnącego na poboczu drzewa.

– Co wiesz, Marcin?

Po raz pierwszy usłyszał w jej głosie zniecierpliwienie. Pomyślał, że musi wziąć się w garść, bo ta kobieta w końcu uzna, że nie ma sensu z nim rozmawiać.

– Jestem w Karmanach – powiedział. – Dowiedziałem się, że Artur przyszedł do Stokrotki i strzelił do Majora. Wiem, kim on był. Rozmawiałem z nim, jeździ na wózku. Jest jeszcze taki wielki gość, ten z uciętym uchem...

– Walet Kier?

– Nie wiem, kto to jest Walet Kier. Lampard, Lamparski. Ostrzeżono mnie przed nim. Dostał nauczkę, ale to chyba jednak nie był on. To nie on kazał pobić Artura. On

was wypuścił, prawda?

– Walet Kier nas wypuścił, ale to był ork. – Głos dziewczyny się załamał. – Najgorszy. Uruk-hai. Powiedział, że nas znajda. I znaleźli. Bili Artura. Tak strasznie go bili.

– Ale kto? Kto to był? Trójka w granatowym aucie? Dwóch chłopaków i dziewczyna?

– Nie wiem. Próbuję sobie przypominać różne rzeczy. Wczoraj przy ogniu nie zadałam tego pytania. Wszystko tonie we mgle. A przecież wtedy wszystko widziałam. Lady Galadriela dała mi moc, na chwilę, ale potem to wszystko odeszło. Jakby w ciemność.

Marcin zdał sobie sprawę, że od tego głosu włoski stają mu na karku. Nie czytał żadnych mejli, miał tylko tego SMS-a. Dziewczyna właśnie się przyznała, że niewiele pamięta z tamtego wieczora. Chciał powiedzieć jej o Włodzimierzu Orliczu, ale tak naprawdę nic na niego nie miał, może oprócz tych róż wplecionych w jego rzeźby. Chciał powiedzieć o ojcu Artura, człowieku, który z jakiegoś powodu od lat przysyłał jej pieniądze, ale nijak nie mógł tego z siebie wydusić. Musiał mieć jakiś namacalny dowód, jakikolwiek...

Ta koszulka Dąbrowy z sową i cytatem z Twin Peaks. „Nic nie jest takie, jakie się wydaje” – zdawały się mówić wielkie oczy fioletowego ptaka. Prawie zawsze okazywało się, że czarny jak smoła brud ukryty jest za fasadą czyściutkiego domu na przedmieściu. Trzeba było tylko zdrapać trochę białego tynku i ukazywały się pod nim grzyb, stęchlizna i rozbiegające się dookoła karaluchy. „Moje Shire zamieniło się w Mordor” – powiedział do niego Artur w jego śnie. Czy dlatego postanowił opuścić boisko, dom rodzinny i puścić się w szaleńczą eskapadę za Alicją? Największą zdradą jest ta, której dopuszcza się ktoś bliski.

– Czy mówi ci coś nazwisko Orłowski? – spytał cicho. – Tak człowiek na wózku nazwał tego faceta.

– Nie. Którego?

– Tego, który przychodził do ciebie raz w miesiącu.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Szkoda, że nie czytałeś moich mejli – odezwała się dziewczyna. – Wiedziałbyś.

– O czym?

– O truciźnie.

„O jakiej truciźnie?!” Marcin gorączkowo usiłował wygrzebać z pamięci szczegóły spotkania z Majorem. Czy wspominał coś o jakiejś truciźnie?

„Płacili za to jak wszyscy. Bardzo zależało im na dyskrecji. Zapewniłem im święty spokój, a oni byli mi dozgonnie wdzięczni. Przysługa za przysługę, wie pan, jak to

jest”.

Tylko tyle. I aż tyle. Święty spokój. Trucizna.

– Ile to trwało? – Zacisnął pięść.

– Trzy lata. Miesiąc w miesiąc. Trzydzieści sześć razy. – Głos Alicji brzmiał, jakby zapadała się coraz głębiej do wnętrza. – Tak to sobie wyliczyłam. Żeby zapamiętać. I żeby wyliczyć mu to, gdy spotkam się z nim twarzą w twarz.

– Jezu, przepraszam...

– Za co? Nie masz za co przepraszać. – Dziewczyna musiała uśmiechnąć się lekko po drugiej stronie słuchawki, bo w jej głos wkradło się nieoczekiwane ciepło. – Jesteś jedyną osobą, która zrobiła cokolwiek w tej sprawie przez te osiem lat. I jedyną, którą chciałabym spotkać, gdy już dojadę do Warszawy.

– Jak to dojedziesz?! – Marcin mocniej przycisnął telefon do ucha. – Mnie nie ma, jestem na Mazurach. Może jutro albo...

– Jestem w pociągu, Frodo. O szesnastej czterdzieści mam spotkanie.

– Z kim?!

– Tego nie wiem. Próbuję go dojrzeć każdego dnia, ale nie umiem.

Zakręciło mu się w głowie. Tak jak wcześniej nie spieszyło mu się do Pink Rose, tak teraz poczuł, że musi znaleźć się tam jak najszybciej i przekonać Adlera do wcześniejszego wyjazdu.

– Posłuchaj, Alicja...

– Nie nazywam się Alicja.

– Błagam cię, poczekaj. Dam ci numer do mojej żony, Marty. Ona ma medalion. Ja dojadę na szesnastą pod Rotundę, spróbuję, ale musisz na mnie poczekać.

W słuchawce znów zapadła cisza i przedłużała się w nieskończoność.

– Medalion... – odezwała się w końcu dziewczyna. – Dobrze. Daj mi numer żony.

Gdy się rozłączyła, zaczął biec truchtem po wilgotnym bruku w kierunku hotelu. Zszedł na chwilę z drogi, ale w tym miejscu pobocze było wąskie, a tuż za nim straszył głęboki rów. Po kolejnych dwudziestu metrach poddał się i zwolnił kroku.

Usłyszał za sobą warkot silnika na niskich obrotach. Zza zakrętu wyłonił się zabłocony volkswagen golf w wersji sportsvan i zatrzymał się tuż koło niego. Szyba od strony pasażera uchyliła się i Marcin zobaczył na miejscu kierowcy pulchnego szpakowatego mężczyznę mocno po pięćdziesiątce w okrągłych okularach.

– Deutsch? – spytał mężczyzna, ukazując rząd białych zębów. – Sprechen sie Deutsch?

– Nein. – Marcin zakołysał się i niemal wpadł do rowu.

– Pink Rose?

– I will show you. – Marcin wyczuł szansę na podwózkę. – It's not far from here.

Marta od rana czuła, że coś jest nie tak. Właśnie miał się zacząć ósmy miesiąc ciąży. W nocy obudziła się cztery albo pięć razy. Brakowało jej tchu, wydawało jej się, że dziecko pełza w środku, rozpycha się łokciami i kolanami. Ocierała spocone czoło i powtarzała przez kilka minut: „Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz, poczekajmy na tatusia”.

Nie mogła wyrzucić z głowy przeczucia, że z Marcinem dzieje się coś złego na tych Mazurach. Niby zadzwonił i spokojnym tonem poprosił ją o zapłacenie rachunku za telefon. Nic nie wyszło ze scenariuszem. „Może to i lepiej” – pomyślała. Miała już serdecznie dość tej sprawy.

Stała przy biurku i patrzyła przez okno. Wszystko zatopione było w białej mgle – parking, sąsiednie kamienice, mały park z placem zabaw. W jednej ręce trzymała telefon, a drugą nerwowo głaskała napięty brzuch. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Marcina, żeby czym prędzej do niej wrócił.

„Jest źle. Jest bardzo źle. Marcin jest daleko. Julia jest daleko. Rodzice są daleko”.

I wtedy w jej dłoni zadzwonił telefon. Nieznany numer.

– Marta? – W słuchawce zabrzmiał kobiecy głos, którego nigdy wcześniej nie słyszała. – Dostałam twój numer od Marcina. Kiedyś nazywałam się Alicja.

Dziewczyna odłożyła komórkę na stolik i zerknęła przez szybę pociągu TLK. Czuła, że ogarnia ją dziwna euforia. Paliło ją w żołądku, zamiast drzew za szybą zobaczyła migające punkciki, kolana miała miękkie. Ale w głowie dudniły jej niemalże fanfary.

Walec Kier dostał nauczkę. To nie on kazał zabić Artura? Czy ma to jakieś znaczenie? Przecież jest jednym z nich. To Uruk-hai. Uruk-hai nie mają litości dla elfów, a elfy nie mają litości dla nich. To takie proste.

Dziś jest ten dzień. Wie to. Coś się wydarzy, spłynie na nią jakaś wiedza. Dowie się.

Siedziała w przedziale z czwórką rozgadanych i roześmianych młodych ludzi. Ich rozbawienie wytrącało ją z tamtego stanu. Działali jej na nerwy. Przymknęła na chwilę oczy i starała się wyciszyć. Wyłączyła fonię, zostawiła tylko wizję. Migające punkciki zniknęły i skupiła się na liczeniu kolejnych miejscowości za oknem, przedzielonych długimi pauzami szarych pól i jesiennych lasów.

„To się może źle skończyć” – ostrzegły ją nagle jasne oczy Lady Galadrieli. Ale czyż nie na tym polegała wędrówka Froda? Każdy jego krok to było balansowanie nad przepaścią, a mimo to szedł do przodu, przez Mordor, do wulkanu. Tylko tam mógł zniszczyć Pierścień. Nigdzie indziej. W samym środku przerażającej krainy, pod okiem Saurona.

Czwórka współpasażerów zmęczyła się ciągłymi wzajemnymi docinkami. Trzy dziewczyny i chłopak – każde z nich nałożyło na uszy słuchawki i pogrzebało chwilę w smartfonach. Szybko zapadli w letarg, jakby potrzebowali regeneracji i naładowania baterii przed kolejną porcją pokrzykiwań.

Podniosła dwa palce i spojrzała na paznokcie. Ruszyła palcami w lewo, potem w prawo, przez kilka chwil wodziła lewym okiem za tym wahadełkiem, a potem zmusiła się do zamknięcia oczu i dalej tak wodziła, już w myślach. Nie było tu uspokajającego ognia, w którego blasku można poszukać przeszłości. Nie było też warunków, żeby zapaść się do środka, w dziwny stan z pogranicza snu i jawy.

Mimo to poczuła, że odpływa. Pod jej powiekami wyświetliła się sytuacja, którą już niegdyś zdołała częściowo odtworzyć przy ognisku. Ale chciała dowiedzieć się czegoś więcej.

Walec Kier pozwala nam wyjść z pensjonatu. Dał mi kluczyki. Idziemy do samochodu, jest ciepło, ale nie parno, wiatr jest chłodny i przyjemny. Musimy czym prędzej wejść do auta. Znajduję jakiś przycisk pod siedzeniem, bo bez tego samochód zgaśnie – tak mi powiedział Walec Kier. Widzę, że Artur znowu osuwa się w ciemność. A ja nie umiem prowadzić. „Obudź się, Artur” – krzyczę do niego. Musimy jechać, ale on jest w ciemności. Zaczynam go bić, najpierw lekko, a potem coraz mocniej i w końcu uderzam go z całej siły w twarz. Patrzy na mnie zdziwiony, jakby wcześniej w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że tu jestem. „Musimy jechać” – powtarzam mu. Odpala samochód i wyjeżdżamy powoli spod pensjonatu, muszę mu mówić, że zakręt, że drzewo przy drodze, bo on prowadzi jak półprzytomny. Jedziemy strasznie wolno, niemal toczymy się tą szosą.

Nie wiem, ile ujechaliśmy. Nie wiem. Nagle coś się dzieje. Za nami pojawiają się światła samochodu. I klakson. Tak szybko? Nie dali nam uciec. Żadnej szansy, żadnego czasu do wykorzystania. Walec Kier spełnił swoją groźbę. Ten samochód nas wyprzedza i zajeżdża nam drogę. Nie ma ucieczki. Artur nie jest w stanie nic zrobić. Zresztą za nami jest tylko ten pensjonat.

Będą bić Artura. Chcę wiedzieć więcej. Jakiś głos. Szczegół.

Zatrzymujemy się. Z auta wychodzą jacyś ludzie. Jak oni wyglądają? Dlaczego wtedy nie odjechaliśmy? Czemu Artur wysiadł? Głos. Ktoś coś mówił. Przypomnij sobie.

„Ty, zobacz, nie mówiłam? To nie jest żaden gangus. To jakiś palant z laską”.

On znowu ma w dłoni pistolet. Unosi go w górę. Jeden strzał. Drugi. A potem suche odgłosy. Koniec amunicji.

Drugi głos. Charczy ze wściekłości. „No i co teraz, kutasie? Nie jesteś już taki groźny. Odechce ci się, kurwo warszawska, wyjeżdżać ludziom na czołówkę”.

W ogóle nie rozumiem, o co chodzi. Widzę wszystko bardzo niewyraźnie. Wyciągają Artura poza snop świateł. Rzucają na ziemię. Kopia go tak strasznie, ten krótko ostrzyżony i ten drugi, grubszy, prawie skaczą po nim, a ta dziewczyna trzyma mnie za włosy i szarpie. Przydusza mnie do asfaltu i ciągnie w krzaki. Jest duża, ma wielki biust i jest bardzo silna. „Zostaw mnie! – krzyczę. – Błagam!”

„Będziesz żreć kamienie, szmato” – mówi, wciska mi głowę w żwir i okłada mnie łokciem po twarzy.

To trwa i trwa, i czuję krew spływającą mi po policzku. I wtedy widzę światła samochodu wyjeżdżającego powoli z zakrętu. Zaczynam wrzeszczeć. Tamci są zdziwieni, przestają kopać Artura, ta dziewczyna mnie puszcza i biegną do swojego samochodu. Odpalają silnik i odjeżdżają. To drugie auto zatrzymuje się przy nas, a ja strasznie płaczę. Czuję, że Arturowi stała się jakaś wielka krzywda. Wychodzi jakiś pan, rzucam mu się na szyję. Jest zdziwiony, widzę, że chyba nie chce nam pomóc, tylko zaraz wsiądzie z powrotem i odjedzie. Robię wszystko, żeby się opanować. „Zamknij się” – mówię do siebie. A potem przypominam sobie tę siłę, która mnie wcześniej ogarnęła. To Lady Galadriela, ale jej teraz nie ma. Muszę sama to w sobie wzbudzić.

Uspokajam się, biorę się w garść. „Pomóż nam” – mówię do tego pana i patrzę na niego moim lewym okiem, ale on patrzy w prawe. „Nie patrz w prawe – rozkazuję mu w myślach. – Patrz w lewe”. Ale on jest taki przerażony, trzęsą mu się policzki. „Bierz go – mówię głośno. – Do samochodu”. On jest blady jak papier, ale idzie posłusznie i wciąga Artura na tylne siedzenie. Wchodzę z przodu, chociaż chciałabym być z Arturem, ale czuję, że muszę dalej być królową dla tego pana. „A teraz zawieziesz nas do szpitala” – mówię. Trzęsą mi się ręce. „Ale nie do najbliższego. Jedź do innego miasta”. On kiwa głową. Trochę mi go żal, że tak ostro do niego mówię, ale nie mam wyjścia.

Jedziemy przez noc. Siedzę i patrzę za szybę, ale te migające drzewa sprawiają, że robi mi się niedobrze. Coś miłego przykuwa moją uwagę i patrzę na to, i patrzę. Wpatruję się w jeden punkt w samochodzie. Patrzę. Patrzę...

Ale to wciąż się rozmywa.

Chyba zasypiam. A gdy się budzę, dojeżdżamy gdzieś i ten pan wyrzuca Artura na ziemię i mnie też. To chyba szpital, duży budynek. Mnie jest teraz wszystko jedno. Kładę się koło Artura i czuję, że mogłabym teraz usnąć razem z nim, już na zawsze.

Usłyszała głośny śmiech i otworzyła oczy. To czwórka jej współpasażerów zdjęła słuchawki i zaczęła przerzucać się nową porcją docinków.

Zabłocony volkswagen z niemieckim turystą za kierownicą i Marcinem w fotelu pasażera wjechał przez bramę i zatrzymał się niedaleko wejścia do Pink Rose.

Bielawski wyszedł z samochodu i zazgrzytał butami o żwir. Niemiec również wysiadł po chwili i rozejrzał się po parkingu. Bardziej niż hotelem zainteresował się lasem i ścieżką prowadzącą do Stokrotki. Nie wyglądał na biznesmena ani na spóźnionego gościa, który przegapił inauguracyjną imprezę. Gdyby Marcin miał wybierać, obstawiałby naukowca. Albo zakamuflowanego specja od usuwania śladów po mokrej robocie.

– Schön, sehr schön. – Niemiec wskazał na drzewa. – Diese Vögel leben in diesem Wald.

Zamachał rękami jak skrzydłami. A więc ornitolog? Marcin nie miał pojęcia, czy w tym lesie mieszkają jakieś ptaki. Idąc w nocy do Stokrotki, nie słyszał nawet puszczyka. Bardziej stawiałby na nietoperze zasiedlające poddasza w sąsiedniej wiosce.

Chciał poszukać Adlera w Pink Rose, ale zatrzymał się w miejscu. Adler był w swoim nissanie, stojącym samotnie pod parkanem, nad dachem auta zwieszały się gałęzie wierzby. Obok na siedzeniu pasażera był Lamparski, wypełniał całą przestrzeń. Rozmawiali. Adler wyglądał, jakby przekonywał do czegoś łysego, a wielki facet wymachiwał rękami i z trudem hamował złość. Marcin pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli wykona teraz szybki zwrot w tył i zniknie w holu budynku. Odwrócił się i zrobił dwa kroki.

– Panie Marcinie! – usłyszał głos aktora.

„Niech to nie będzie prawda... Wystawił mnie. I zaraz zajmie się mną Lampard”.

– Panie Marcinie, pan pozwoli do mnie na chwilę – zawołał znowu Adler.

Marcin się obrócił. Lamparski stał przy drzwiach nissana i wpatrywał się w niego z zaciśniętymi ustami. Wałki na czole pod łysiną i groźny wzrok nie wróżyły nic dobrego. Za to Adler uśmiechał się do Marcina promiennie i machał w jego kierunku zachęcająco.

– Proszę się nie bać. Chciałbym panu coś powiedzieć.

Marcin podszedł powoli do nissana, a Lamparski odsunął się i wpuścił go na siedzenie pasażera. Kiedy Marcin wsiadł, łysy cicho zamknął drzwi i odszedł w stronę budynku. Marcin zobaczył przez szybę, jak Niemiec podchodzi do Lamparskiego i coś szprecha, wskazując na las. Łysy nie wyglądał na zainteresowanego, odpowiedział coś bez większego entuzjazmu i zniknął w holu.

– O co chodzi? – spytał Marcin nerwowo.

– Pan Lamparski znalazł tamte dwie dziewczyny, a one przysięgły mu, że to nie ich sprawa. Więc, jakby to powiedzieć, pan został kolejnym podejrzanym.

Marcin przełknął ślinę.

– Ma zamiar coś z tym zrobić?

– No więc ma pan szczęście, bo zdołałem wybić mu z głowy nie tylko przemoc, ale i sam pomysł, że to pan. – Adler uśmiechnął się pod nosem. – Siedmiu samurajów, pamięta pan? Uprzedzę pańskie ewentualne pytanie. Tak, znam go dobrze, jesteśmy znajomymi. I chociaż jego przeszłość ma więcej cieni niż blasków, to jest to człowiek rozsądny. Czuje się upokorzony, ale to wciąż biznesmen. Przemyślał pańskie stawki. Gdybyście tak zasiedli jeszcze raz do stolika...

– To niemożliwe, panie Janie. – Marcin zacisnął zęby. – Muszę koniecznie być dziś w Warszawie. Chciałem nawet pana prosić, żebyśmy przyspieszyli wyjazd.

– Coś się stało? Chodzi o ten artykuł o Alicji?

Marcin gorączkowo myślał, kim jest Adler i czy można mu ufać. Stary aktor też zerkał na niego wyczekująco. Pewnie wiedział o całej sprawie od samego początku. Według Dąbrowy grał w swoim mniemaniu jakąś ważną rolę w życiu. Być może ostatnią. Czy chciał wymierzyć sprawiedliwość? Dociec prawdy? Zadośćuczynić nie tylko Arturowi, ale i Alicji?

Adler wciąż patrzył, a Marcin pomyślał, że wygląda jak wszytkowiedzący, znający każdy sekret mędrzec, który z wysokiej wieży spogląda na kłębiących się w dole maluczkich, targanych emocjami i brudnymi pasjami. Wie, ale nie powie. Albo wyjawia tajemnicę kawałek po kawałku. Przeprowadzi jak za rączkę, pojawiając się w dogodnym dla siebie momencie. Tu coś szepnie, kiedy indziej pociągnie swojego ucznia za rękaw, tak aby ten myślał, że sam odkrywa sekrety, podczas gdy rozgrywkę prowadzi tylko i wyłącznie on – mistrz. Mistrz lalek, ze sznurkami przywiązanymi do kościstych palców.

– Kim jest Tony Orlowsky? – spytał w końcu Marcin.

Adler wzruszył ramionami.

– Już pan pytał o tego faceta rano, ale ja naprawdę nigdy o nim nie słyszałem. – Jego głos zabrzmiał szczerze, bez żadnej pozy i udawania. – Kto panu o nim powiedział?

– To nieważne. Ktoś.

– Więc zostaniemy jeszcze jeden dzień? Cały hotel dla nas. Nawet Dąbrowa już wyjechał.

– Nie mogę, panie Janie – odparł Marcin. – Dziś o szesnastej muszę się z kimś spotkać pod Rotundą. Nie sądzę, żeby to spotkanie zakończyło całą tę historię, ale dla mnie to raczej będzie finisz. Nie mogę dłużej się w tym babrać.

– Mam jechać z panem? – spytał Adler.

– Jeśli jest pan ciekaw, jak wygląda dziewczyna, od której to wszystko się zaczęło.

– Pewnie, że jestem.

– Kim była? Skąd się wzięła? Co jej siedziało w głowie?

– Szaleje pan, panie Marcinie. – Aktor splótł dłonie na karku. – Ale tak. Zżera mnie ciekawość, żeby choć raz na nią spojrzeć i skonfrontować wyobrażenie z rzeczywistością. Boję się tylko, że rzeczywistość nie sprosta mojej wyobraźni. To zawsze jest smutne, gdy myślimy, że coś jest piękne, a okazuje się brzydkie. Że jest wzniosłe, a tak naprawdę nie wyrasta nawet centymetr ponad przeciętność.

– Zaryzykuję.

Adler zabębnił palcami o kierownicę. Wyglądał na zdecydowanego, ale może chciał się jeszcze chwilę podroczyć.

– Okej, panie Marcinie – powiedział w końcu. – Niech pan idzie po swoje rzeczy.

Marcin pokiwał głową i wyszedł z nissana. Idąc po żwirze w kierunku drzwi, usłyszał w oddali dwa głośne jęki, wysokie, przenikliwe, wpadające w gwizd. Słyszając je, Niemiec niemal wpadł w ekstazę.

– Hast du es gehört?! – zapytał głośno. – Ein Adler. Ein Schreiadler, nur um klar zu sein. Warum ist er noch nicht in Afrika?

– Sorry, I told you I don't speak German. Herr Adler is sitting in the car.

Marcin wskazał na samochód, zastanawiając się, po co Niemcowi potrzebny jest do szczęścia aktor. Wszedł do holu i ruszył w stronę schodów. Nie miał za wiele do spakowania, wystarczyło włożyć szczoteczkę, pastę i wczorajszą bieliznę do reklamówki. Nie lubił zostawiać po sobie bałaganu, nawet jeśli hotel należał do łysego.

Wszedł do pokoju, w piętnaście sekund spakował reklamówkę i sprawdził, czy nie zostawił niczego pod łóżkiem. Podniósł skórzaną teczkę, z którą wyszedł z pracy w piątek. Postanowił zadzwonić do Marty i powiedzieć jej, że zaraz wyjeżdżają z Mazur. Wyjął telefon z kieszeni. Przygryzł wargi – wciąż była niedziela i przelew Marty nic nie pomógł.

Otworzył szeroko drzwi i zobaczył przed sobą wykrzywioną w dziwnym uśmiechu twarz Lamparskiego.

Zwalista postać jego niedoszłego producenta zrobiła trzy wielkie kroki do przodu, a Marcin trzy zaskoczony kroki w tył. Miał wrażenie, graniczące z pewnością, że wystarczy jedno nieopatrzone słowo z jego strony, a skończy swój żywot uduszony wielkimi łapskami albo z czaszką roztrzaskaną o szklany blat stolika.

– Myślałeś, kurwa, że ci się upiekło, bo Janek cię lubi? – wycharczał Lampard, obejrzał się na pusty korytarz, a potem cicho zamknął drzwi. – Teraz sobie pogadamy, lamusie.

– Nie mam nic wspólnego z tamtą sprawą – powiedział Marcin głucho, rozglądając się na boki.

– Nie kłam, i tak wiem swoje. Tylko ty jeden mi przychodzisz do łba. I jeszcze ten młody aktorek, ale on już spierdolił.

Marcin po raz pierwszy w życiu był zmuszony w ciągu kilku sekund rozważyć wszystkie argumenty za i przeciw czemuś, od czego zależały jego zdrowie i życie. Skóra napięła mu się na czaszce, głośno przełknął ślinę, kolana miał miękkie. Zrozumiał, że niczego nie ugra powtarzaniem bajki o Siedmiu samurajach. Facet był przekonany do swojej wersji. I, co gorsza, miał rację.

Cofnął się jeszcze kilka kroków, aż dotknął pośladkami parapetu. Za plecami miał tylko okno. Próbował odgonić paniczną wizję, w której Lampard chwytą go, podnosi jak piórko, rzuca o szybę, a on spada z drugiego piętra na parking wśród kawałków szkła i łamie kręgosłup.

– No i co? – burknął łysy. – Będziesz tak stał i się gapił jak ta pizda?

– Nie.

– No to już. Po chuj ten numer ze szczynami i cukrem?

– Dla sprawiedliwości. Za Artura.

Nie tylko zdziwił się tonem własnego głosu. Poczul się dziwnie rozdwojony. Ta jego część, która to powiedziała, działała poza kontrolą tej drugiej, zaleknionej, niepewnej siebie. Tej, którą Marcin uważał do tej pory za swoją naturę. To było coś nowego, ale niestety nie trwało długo. Nie zdążył poczuć dumy, bo Lampard nieoczekiwanie pokręcił głową, przewrócił oczami i uniósł zaciśnięte pięści, jakby nie dowierzał.

– Ty jebana gnido. – Z jego gardła wydobył się zduszony głos. – Zniszczyłeś mnie za nic. Za nic. Kto ci nagadał, że zrobiłem coś twojemu kumpłowi? Adler?

– Nie...

– Tamta dziewczucha? – Lampard wykrzywił twarz. – Wyszli przecież, ona i ten twój kumpel. Darowałem im życie. Nawet nie wiesz, ile mnie to wtedy kosztowało, żeby nie zajeść tej dwójki na miejscu. Zaczarowała mnie, okej, miała coś takiego w oczach, ale ja po prostu dałem im szansę, bo takie miałem widzimisię. Może nawet trochę podziwiałem tego Artura. I co mnie, kurwa, za to spotkało? Jebane pośmiewisko w takim dniu.

Nic nie wskazywało na to, żeby łysy kłamał. Każdy napięty mięsień i każda kosteczka tamtego mówiły: „Jestem wściekły i rozżalony, ale mówię prawdę”.

– Pamięta pan jeszcze tamten dzień? – spytał Marcin, znów czując chwilowy przypływ odwagi.

– Co cię to...

– Białe audi. Pańskie. Parę godzin przed przyjściem Artura. Jechał pan gdzieś? Wracał pan skądś do Stokrotki i strasznie się spieszył?

– Co ty chcesz mi powiedzieć?

– Ktoś przyszedł do Stokrotki? Pytał o audi? O audi, które zbiło lusterko w granatowym samochodzie?

Patrzył wyczekująco na Lamparda, który na chwilę wytracił impet i wyglądał, jakby szukał w pamięci czegokolwiek na temat tamtego dnia osiem lat temu.

– Jakiś typek się kręcił przy bramie – powiedział w końcu. – Pytał o audi dwóch naszych, ale spuścili go na drzewo. Po co ci to?

– Po nic.

Nie było sensu drążyć. Cała ta historia okazała się jednym wielkim nieporozumieniem. Ktokolwiek pobił Artura do nieprzytomności, był tylko anonimowym typem spod bramy, wkurzonym, nakręconym, pewnie po jakichś dragach. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Trio. „Zupełnie jak z Igorem” – pomyślał Marcin i poczuł, że zapada się do środka. Za to Lampard wyglądał, jakby jego rozjuszenie mogło wrócić w każdej chwili. Marcin postanowił wykorzystać ostatni moment.

– Czy Tony Orłowski to Orlicz? – spytał cicho. – Albo ojciec Artura?

Lamparski gapił się na niego przez chwilę z rozchyłonymi ustami.

– Czy to Orlicz gwałcił tamtą dziewczynę przez trzy lata?

Łysy zrobił ruch w bok, jakby chciał odwrócić się plecami do Marcina. A potem nagle rzucił się w jego kierunku, chwycił go za koszulę, przeciągnął przez pół pokoju i z całej siły rzucił na łóżko. Marcin poczuł straszliwy ból w piszczelu, gdy uderzył nogą o drewnianą ramę.

– Błagam, nie zabijaj... – stęknął, z twarzą wbity w materac i głową ścisną wielkimi paluchami.

– Wiesz, ile mnie kosztowało wybudowanie tego hotelu? – charczał Lamparski. – Tak się nie robi, debilu. Tak się nie robi. Się najpierw idzie i się najpierw pyta.

– Tony Orłowski... Major mi powiedział...

– Ty? – zaśmiał się Lampard, wepchnął głowę Marcina mocniej w pikowany materiał i wbił mu kolano w plecy. – Ty gadałeś z Majorem? Robisz sobie ze mnie jaja?

– Nie... – Marcin czuł, że wielkie i ciężkie jak kowalski młot kolano Lamparda niebezpiecznie zbliża się do jego kręgosłupa. – Spotkał się ze mną... Facet na wózku... Miał umowę z Sosnowskim...

– Miał. I co, że miał?

„Co mówiła Weronika? Co mówiła...?”

– Zerwał ją, gdy jego siostrzeniec zginął w wypadku...

Uścisk Lamparda zelżał. Łysy zbliżył twarz do twarzy Marcina.

– Siostrzeniec?

– Norbert. Morderca Igora. Zginął – wyrzucał z siebie Marcin na ostatku oddechu.

– Z Adamem, sąsiadem Artura. Adam był niewinny.

– Ty... – Lampard chwycił Marcina za włosy i podniósł za niego głowę. – Ty przecież jesteś tylko gnojkiem od scenariusza. Ja pierdolę, ty to odkryłeś? No nie uwierzę.

Marcin dałby sobie rękę uciąć, że usłyszał w głosie łysego autentyczny podziw.

– Nie sam – palnął i od razu zaczął żałować. Ale Lampard nie wnikał.

– Tatko... – wycharczał. – Był u mnie z tydzień temu. Pytał o Norberta. Jakieś dragi chciał. Dałem mu namiary i puściłem esa Norbertowi. I on potem co? Zajebał Norberta?

Marcin przypomniał sobie, że widział ich, gdy czaił się z aparatem na początku alejki prowadzącej do bramy dużej posesji. Wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że jednym z dwóch punkcików na ekranie canona Marty był Lampard.

– Wystawił pan Norberta Adamowi – wystękał. – Wiem o tym ja. Wie o tym dziennikarz od tego artykułu. Nie chce pan chyba, żeby dowiedział się Major?

– Majorem mnie nie strasz, koleżko. Facet dawno wypadł z gry, twój kumpel już o to zadbał. A mnie bardziej interesuje to, że zjebałeś biznes niewinnemu człowiekowi.

Otwartą dłońią pchnął Marcina w skroń.

– Proszę mnie wypuścić. – Marcin dotknął głowy, z której łysy przed chwilą o mało nie wyrwał mu włosów. – Jest fotka. Jeśli coś mi się stanie, pójdzie w świat.

Lamparski wydał z siebie dziwne rzenie, przypominające zduszony pogardliwy śmiech.

- Już mi nic nie pogorszysz żadną fotką.
- Przepraszam – powiedział Marcin, nie do końca szczerze. – Pospieszyłem się z tą sprawiedliwością. Straszyl pan Artura filmikiem z tym płonącym chłopakiem. Alicja pana zapamiętała. Ucięte ucho. Skąd mogłem wiedzieć...
- Skąd mogłem wiedzieć, skąd mogłem wiedzieć... – Facet przedrzeźniał Marcina.
- Zrobiłeś, co zrobiłeś. Teraz weź za to odpowiedzialność.
Zacisnął zęby. Marcin wytrzymał jego świdrujące spojrzenie.
- To jak w końcu robimy z tym filmem? – zapytał Lampard po chwili.
- Z filmem?
- Tak, kurwa, z filmem. Chyba po to tu przyjechałeś, nie?
- Już mnie to nie interesuje – rzucił Marcin w powietrze. – Nie chcę robić żadnego filmu.
- A co, kurwa?
- Nie wiem, kurwa. Może balet.
- Jaki znowu balet?
- Normalny, taki w teatrze.
- Nie bądź taki hop do przodu. – Lamparski wysunął w kierunku Marcina gruby palec. – Adler czeka na dole, ale jeden mój telefon i już nie będzie czekał. Jesteś mi coś winien, człowieku. Usadzę cię tu na dupie przez miesiąc i wysmażysz mi ten scenariusz.
- Niedoczekanie.
- Zapłacę ci połowę tego, co mówiłeś.
- Nie.

Lamparski milczał. Łypał tylko na boki, a wałki na jego czole pulsowały, jakby pod czaszką zamieszkiwał ósmy pasażer Nostromo i gotował się do wyjścia. Po raz pierwszy od nieoczekiwanego wejścia łysego Marcina poczuł, że do pokoju zawitało coś w rodzaju równowagi sił. On wciąż siedział na łóżku ze zmierzwionymi włosami, a naprzeciwko niego stał umięśniony były żołnierz mafii, ale najgorsze już minęło.

- Pomyśl jeszcze, chłopaku – wychrypiął Lampard.
- Zastanowię się. Jeśli będę mógł to napisać po swoim.

Lampard wstał, podszedł do okna i przez chwilę gapił się na parking. W końcu się odwrócił.

– Może ci się wydaje, że jesteś chojrak. Ale jesteś taki malutki. – Pokazał grubymi palcami. – Robią cię w konia, a ty myślisz, że coś rozgrywasz. Ni chuja. Zapamiętasz jeszcze moje słowa. I wbij sobie do łba: Lamparski nie zrobił twojemu kumpłowi kuku. Do nikogo nie dzwoniłem, za nikim nie jechałem. Twój kumpel po prostu za mocno igrał z ogniem i się w końcu poparzył.

– Mogę już iść?

– Droga wolna.

Andrzej czuł coś w rodzaju ulgi, że Teresa wstała w niedzielę rano z katarem, wołała zostać pod kocem z kubkiem gorącej herbaty i nie poszła z nim do szpitala w Gryczewie. Kurtuazyjny obiad z dyrektorem to jedno, a grzebanie w szpitalnych archiwach to zupełnie inna bajka. Wolał być sam.

Pani Halinka z archiwum, mała kobieta z przetłuszczonymi włosami i okularami w grubych oprawkach, położyła przed Andrzejem dwie cienkie teczki z brązowego papieru. Dyrektor szpitala stał w drzwiach małego pokoju z zielonkawą lamperią i patrzył na niego pytająco. Andrzej pokiwał głową z uśmiechem.

– Myślę, że nie zajmie mi to dłużej niż parę minut – powiedział do dyrektora.

– Jak pan skończy, to zapraszam do siódemki. – Tamten uśmiechnął się promiennie. – Żona upiekła ciasteczka. Korzenne, trochę jak pierniczki. Dużo mazurskiego miodu.

Andrzej uniósł kciuk, a po chwili dyrektor zamknął za sobą drzwi.

„Co my tu mamy?” – pomyślał Rulewski. Zaczął od teczki Artura Sosnowskiego. Znaleziony nieprzytomny na parkingu przed szpitalem 11 lipca o godzinie 22:12. Nie posiadał dokumentów. Zabranym na oddział ratunkowy. Pęknięta śledziona, przebite oba płuca. Uszkodzone nerki. Połamane nogi, bark, kręgosłup. Andrzej czytał o kolejnych urazach i nie dowierzał: to był strzęp człowieka, jakimś cudem trzymający się przy życiu.

12 lipca o 1:50 do szpitala przyjechał ojciec poszkodowanego, Dariusz Sosnowski.

14 lipca o 13:16 poszkodowany Artur Sosnowski zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

„Jakaś krótka ta karta”. Andrzej się skrzywił. Próbował wyobrazić sobie, co dzieje się w takich powiatowych szpitalach, kiedy przywożą kogoś w podobnym stanie. Ileż to razy pisał dawniej – on albo ktoś inny w redakcji – o akcjach śmigłowców przewożących biedaków do lepiej wyposażonych szpitali wojewódzkich. A tutaj nic – znaleźli, przyjechał ojciec, chłopak zmarł. Dziwne. Może nie było szans?

Karta dziewczyny była nieco bogatsza. NN – nazwisko nieznane, brak imienia. Znaleziona przytomna na parkingu obok tamtego chłopaka. Zachowania agresywne, objawy psychozy. Przez pierwszą dobę w szpitalu nie dała się zbadać, nikogo do siebie nie dopuszczała i nic nie jadła. Drugiego dnia poddała się badaniu USG. Ponadto lekarz stwierdził niedowagę, nieleczone uszkodzenie siatkówki w prawym oku, zaćmę. Ślady po wkluciach na ramieniu, siniaki przy obojczyku i na szyi. Nie chciała poddać się testom na obecność narkotyków. Zachowania psychotyczne ustały po dwóch dniach.

Wyszła ze szpitala. Zniknęła.

Rulewski zamknął teczkę. Nie znalazł niczego interesującego. Czuł, że przyjechał tu na darmo. W pokoju numer siedem czekał na niego dyrektor szpitala z ciasteczkami, Andrzeja jednak bardziej niż wypieki starszej pani interesował doktor Gula.

Zapukał do siódemki i otworzył drzwi.

– Gdzie mogę znaleźć tamtego lekarza, który przyjął na oddział Artura Sosnowskiego? – spytał dyrektora, częstującego akurat pierniczkami panią Halinkę z archiwum. – Muszę jeszcze dzisiaj z nim porozmawiać. Przykro mi – dodał, widząc rozczarowanie na twarzy mężczyzny.

– Doktor Gula, pani Halinko? – Dyrektor uniósł brwi. – Wie pani, gdzie mieszka?

Niewysoka kobieta spojrzała na Andrzeja i zmrużyła oczy pod okularami. Rulewski miał wrażenie, że coś podejrzewa. Przykrywką działała dotąd bez zarzutu, mimo to zacisnął zęby i przybrał oficjalną minę warszawskiego urzędnika, sugerującą: „Na dzisiaj dość spoufalania się z prowincjonalnym personelem”.

– Dziękuję za karty, pani Halino – powiedział sucho. – Widzę jednak braki w dokumentacji. Jutro z rana muszę złożyć panu ministrowi pełny raport. Więc jeśli mogłaby pani...?

– Olsztyńska dwanaście – odezwała się kobieta z miną, jakby patrzyła na padlinę.
– Mieszkania dwanaście.

Andrzej pokiwał głową i posłał słaby uśmiech dyrektorowi. Zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem do wyjścia. Coś mu tu zaczynało śmierdzieć.

Gryczewo nie było dużym miastem. „Na szczęście” – pomyślał Andrzej, gdy śnieg zawiewał razem z zimnym północno-wschodnim wiatrem prosto w jego twarz. Gdy doszedł spod szpitala na Olsztyńską, jego oblepiony topniejącym puchem płaszcz z wełny merynosa przypominał wysłużony mokry pled.

W czteropiętrowym budynku nie było domofonu. Andrzej wszedł na śmierdzącą kocim moczem klatkę schodową i po skrzynkach pocztowych zorientował się, że musi wejść na ostatnie piętro. Po półminutowej wspinaczce zadzwonił pod dwunastkę.

Drzwi otworzyły się do połowy. Wysoki chudy mężczyzna przed pięćdziesiątką spojrzał na Andrzeja znad cienkich oprawek okularów. Mimo wolnej niedzieli ubrany był w tani szary garnitur i niezbyt świeżą koszulę, zapiętą niemal pod szyję.

– Dzwonili do mnie, że mnie pan odwiedzi – powiedział bez żadnych wstępów.

– Tak. To nie zajmie długo.

Mężczyzna odszedł w głąb mieszkania, a Andrzej pchnął drzwi. Doktor Gula stanął przy oknie, zza szyby do salonu wpadało białe rozproszone światło. Mimo

półmroku nie włączył żyrandola, Andrzej nie mógł więc dojrzeć wyrazu jego oczu. Z mowy jego tyczkowatego ciała wywnioskował jednak, że facet nie jest zadowolony z tej wizyty. Zastanawiał się, czy podejść pod okno i wyciągnąć dłoń na powitanie. Gdyby to spotkanie miało miejsce w szpitalu, pewnie by tak zrobił. Poczuł, że nachodząc doktora w domu, zrobił coś niestosownego.

– Starszy specjalista Rulewski z Ministerstwa Zdrowia – powiedział z progu salonu.

Doktor Gula przekrzywił głowę jak ptak.

– W czym mogę pomóc? – spytał powoli.

– Czy dyrektor wyjaśnił panu powód mojej wizyty?

– Halina, nie dyrektor. I bardzo ogólnie.

Andrzej odwrócił wzrok. Próbował przypomnieć sobie słowo w słowo historyjkę, którą sprzedał dyrektorowi podczas wczorajszego obiadu.

– Sprawa dotyczy Artura Sosnowskiego...

– Tak, to akurat wiem – przerwał mu Gula. – Chłopak nie żyje, od dawna.

– Czy nie było w tamtej sprawie nic, co by pana zastanawiało?

– Co mogło mnie zastanawiać w tym, że zmarł ciężko pobity chłopak?

– A dziewczyna? Ta z psychozą. Narkomanka.

– Widzę, że jej kartę też pan przeczytał.

Andrzej poczuł złość. Facet miał dziwną manierę nieodpowiadania na pytania. To mogło o czymś świadczyć. „Albo o niczym. Może jest po prostu nadętym kutafonem?” Andrzej walczył z pokusą, żeby włączyć lampę. Więcej światła. Może wystarczy spytać. Ale tamten pewnie by go zbył, że woli swoją kryptę. Wszedł do salonu i podszedł bliżej, ale doktor Gula dalej patrzył na niego z góry. Dosłownie.

– Chciałbym panu delikatnie przypomnieć, że przyjechałem tu na polecenie ministra w celu skontrolowania tej placówki – zawarczał Andrzej. – A z dokumentów wynika jedno wielkie nic.

– A co pan chciał w nich znaleźć, panie Rulewski? – Grulę ewidentnie bawiła ta sytuacja. – Przy ciężkich urazach wielonarządowych nawet najlepsi muszą czasem skapitulować. Gdybyśmy chociaż mieli dobry sprzęt...

– Nie było helikoptera – przerwał mu Andrzej. – Mogliście wezwać. Chłopaka można było przetransportować do wojewódzkiego albo do stolicy.

– Jego ojciec nie wyraził zgody.

Andrzej zamilkł. Po raz pierwszy uzyskał od faceta jakąś informację. Dziwną informację. Spojrzał na meblościankę. Na półkach z książkami medycznymi i serią thrillerów o Jacku Reacherze dostrzegł jedną jedyną fotografię w ramce. Samotny

doktor Gula, młodszy o kilka lat, w samych szortach, patrzył smutno w obiektyw, stojąc w cieniu rozłożystej palmy.

– Wyspy Kanaryjskie? – spytał Andrzej, wskazując na zdjęcie. – Nie lepszy nasz polski Bałtyk? I taniej, i bardziej patriotycznie.

– Majorka. Raz w życiu można przecież gdzieś dalej pojechać, czyż nie?

– Oczywiście.

Czuł, że skończyły mu się pomysły. Wiedział też, że Gula kłamie i żaden ojciec nie zostawiłby skopanego do nieprzytomności syna w powiatowym szpitalu bez żadnego zaplecza. A może nawet nie miałyby nic do powiedzenia?

– To by było na tyle – rzucił od niechcienia. Odszedł z powrotem na próg salonu i zabębnił palcami o framugę. – W poniedziałek z rana dostanie pan oficjalne pismo z ministerstwa. Z zapytaniem, dlaczego ojciec tego chłopaka domaga się odszkodowania za fatalną opiekę.

Zerknął przez ramię. Twarz doktora Guli w jednej chwili zmieniła się w zastygłą maskę. Andrzej patrzył z satysfakcją na drgającą powiekę faceta, ale nie wiedział jeszcze, które jego zdanie wywarło taki wpływ na bezczelnego lekarza. To o ministerstwie? Czy to o odszkodowaniu?

– Mógłby pan powtórzyć? – spytał Gula niewyraźnie.

– Ale co?

– Kto chce dostać odszkodowanie?

– Sosnowski senior, proszę pana. – Andrzej wszedł z powrotem do salonu. – Ojciec Artura Sosnowskiego.

Doktor Gula stał z otwartymi ustami. Dotknął czoła kościstymi palcami.

– To przecież niemożliwe... – wyszeptał. – On?

– Ale o co chodzi? – Andrzej wpatrywał się w bladego Grulę. – Co jest niemożliwe?

Gula odwrócił się i wbił wzrok w jakiś punkt za oknem. Andrzej nie wiedział, czy ma go docisnąć, czy podarować mu kilka chwil, żeby facet mógł ochłonąć. Wybrał metodę siłową.

– Niech pan wreszcie to z siebie wydusi, doktorze Gula. Czy naprawdę zaniedbaliście coś przy tym chłopaku? A może pozwolił pan, żeby dopadli Artura jego oprawcy i dokończyli dzieło? Zrobiliście aborcję tej narkomance? O co chodzi, do jasnej cholery?

Dziesięć minut później Andrzej wyszedł na miękkich nogach z klatki schodowej i oparł się o latarnię. Zrobiło mu się słabo i pomyślał, że może powinien wrócić do szpitala i poprosić kogoś o zbadanie ciśnienia. Dotknął palcami tętnicy pod uchem i poczuł, jak dudni w niej krew. Wiedział, że niedziela skończy się potężną migreną.

Wszystko nabrało sensu. Tamta noc. Fotka z Majorki. To był temat, jaki nie zdarza się często. Ba, taki temat nie zdarzył się jeszcze nigdy, w żadnej gazecie.

Andrzej wiedział, że musi zrobić dwie rzeczy.

Po pierwsze: pójść do Teresy i wszystko jej opowiedzieć. Spojrzeć w jej surowe oczy. Wysłuchać jej zdania. Dać sobie jeszcze parę godzin na przemyślenia. Pójść do lasu, spojrzeć w niebo i poszukać tam odpowiedzi na dręczące go wątpliwości.

Po drugie: wrócić do Warszawy, odnaleźć tego Dariusza Sosnowskiego, spojrzeć również jemu w oczy i zadać jedno proste pytanie.

Jak to było możliwe?

Pociąg wyjechał z tunelu, wtoczył się do jasnej hali i wyhamował z głośnym poświstem. Warszawa Centralna powitała Alicję stadem gołębi, które poderwały się z peronu i trzepocząc skrzydłami, zniknęły pod zadaszeniem. Dziewczyna czekała cierpliwie, aż ludzie przed nią wystawią walizki na peron i wyjdą. Sama nie miała ze sobą nic. Zaryzykowała i nie wzięła nawet dowodu osobistego, tylko pieniądze, akurat tyle, żeby starczyło na mały obiad i bilety powrotne. Postawiła krok na schodku i walczyła ze sobą, żeby zrobić drugi. Ktoś napał na nią z tyłu, więc wzięła głęboki wdech i zeszła na peron.

Wyjęła z kieszeni kartkę z mapką, którą narysowała sobie jeszcze w nocy przy komputerze. Ścisłe centrum Warszawy. Podczas rozmowy z żoną Froda ustaliły, że spotkają się niedaleko Rotundy, przy Pizzy Hut. Znakiem rozpoznawczym Alicji była śnieżnobiała kurtka z kapturem. Marta napisała jej, że ma brzuch wielki jak piłka lekarska.

Ale to dopiero za godzinę, Alicja szła więc powoli i rozglądała się po okolicy. Feeria zapachów przyprawiła ją o ssanie w żołądku. Kebab. Kanapki. Pączki. McDonald's. Mała pusta kwaciarnia, w której samotny klient w długim płaszczu przyglądał się różom i tulipanom. „Ładne te róże, ale nie tak ładne jak moje” – pomyślała. Wszystko dookoła pędziło, buczało, zgrzytało, pachniało, śmierdziało. Skojarzyło się Alicji z brudnymi od dymu płucami.

Wyszła z jednego z korytarzy i przystanęła. Było tu inaczej niż jedenaście lat temu, gdy po wyjściu z autokaru snuła się po przejściach podziemnych wokół dworca. Wtedy nie było tych szerokich schodów i automatycznych drzwi, teraz ludzie kierowali się głównie tam. Poszła za nimi, z ciekawości. Przeszła przez rozsuwane drzwi, wjechała ruchomymi schodami i aż westchnęła z wrażenia.

Ponad nią rozpościerała się olbrzymia wysoka kopuła z pofalowanych tafli zielonego szkła. Tu też były tłumy, ale Alicja poczuła się jak w jakimś sanktuarium. Było czysto, w fontannach szemrała woda, pachniało perfumami i książkami, a w kawiarniach na parterze siedzieli uśmiechnięci ludzie i rozmawiali nad kubkami

z kawą. Wszystko było jasne, zanurzone w białym rozproszonym świetle. Kobieta w kremowym kostiumie i kozakach na obcasie minęła Alicję, zatrzymała się przy szybie i zaczęła oglądać bawełniany sweterek na chudym manekinie. Alicja podeszła obok i też spojrzała. „Ładny – pomyślała o sweterku. – Bardzo ładny”.

Co to za miejsce? Szkoda, że nie sprawdziła na mapie, jak się nazywa. Powoli docierało do niej, że ten olśniewający budynek to jednak nie sanktuarium, tylko galeria handlowa. Ale i tak nie mogła wyjść z podziwu. Dwa światy – dworzec i szklana kopuła – współistniały obok siebie, jak dwie siostry, jedna stara i brzydka, a druga młoda i zrobiona na bóstwo.

Alicja przysiadła nieśmiało przy małym stoliku koło księgarni. Po kilku chwilach podeszła do niej miła dziewczyna w bordowym fartuchu. A jeszcze kilka chwil później Alicja nachyliła się nad kubkiem pachnącym cynamonową latte macchiato i zatopiała małe białe zęby w cieście marchewkowym z orzechami.

Marcin rozpoznał supermarket w Łomiankach, gdzie w piątek po południu robił szybkie zakupy. Jan Adler prowadził w milczeniu, przez całą drogę zamienili może ze trzy słowa, jakby już wszystko sobie powiedzieli tam, na parkingu pod Pink Rose. Teraz zostało tylko przejechać Wisłostradą do centrum i wjechać na most Poniatowskiego.

– Damy radę na szesnastą pod Rotundę? – spytał Marcin.

– Jak znam życie, będzie zator przed Starówką. – Aktor zerknął na GPS wmontowany w okazałą konsolę nissana, a potem wrócił do milczącej kontemplacji lewego pasa szosy gdańskiej.

Marcin przygryzł wargi. Wyczuł wibrację telefonu w kieszeni i spojrzął przez lusterko na Adlera, ale ten nie zwrócił na niego uwagi. Wyjął telefon. To dzwonił Rulewski, jego partner, jego zdrajca.

Odebrał.

– Cześć, kolego – usłyszał. – Możesz rozmawiać?

– Mogę. – Przyłożył dłoń do słuchawki.

– Słuchaj, wiem z pewnego źródła, że się na mnie obraziłeś. – Głos Rulewskiego co chwila zanikał w szumie. – I nawet wiem za co. Długo by było tłumaczyć, więc powiem ci tylko, że koleś na wózku cię okłamał. Nie pracowałem dla niego. Tak naprawdę pracowałem tylko dla siebie. No... to znaczy dla nas.

Marcin uśmiechnął się blado.

– Czy to źródło to... moja żona?

– Tak. Równa z niej babka. – Rulewski zaśmiał się nerwowo. – Nie miej jej tego za złe. Tego zdjęcia i w ogóle. Zrobiła to z troski o ciebie. Gramy w jednej drużynie, stary. Ty, ja, ona.

– Muszę to przetrwać.

– Przetrwasz sobie, jak to się wszystko skończy. Wracam z Mazur, ale dopiero ruszyłem. To znaczy ruszyliśmy. O nic nie pytaj. Teraz najważniejsze jest, żebyś przesłał mi namiary na ojca tego Artura. Dariusza.

Marcin zacisnął zęby. Dariusz Sosnowski. Znowu.

– Nie chodzi mi o telefon do niego. Nie mam zamiaru ostrzegać go o mojej wizycie – rozkręcał się Rulewski. – Potrzebuję adres. A jak nie masz adresu, to chociaż jak tam dojechać. Muszę sobie pogadać z tym gościem.

– Chodzi o...?

– Nieważne, o co chodzi. Tę drugą sprawę też mam pod kontrolą.

– Jaką drugą sprawę?

– Jak mówiłem, zrobiła to w dobrej wierze. Twoja żona. Orlicz jest na celowniku. Facet stanowczo jest interesujący. Doczepiłem mu ogonek. Spotkał się z kolorowymi oczami.

– Co?! – wykrzyknął Marcin i dostrzegł uważne spojrzenie Adlera w lusterku.

– Potem ci powiem. Kończę. Wyślij mi adres, pliz.

Andrzej się rozłączył, a Marcin spojrzał na telefon z niedowierzaniem. Przez głowę przeleciała mu znowu złość na Martę, wbiła mu się w potylicę i mocno trzymała. Wziął głęboki oddech, drugi. Kolorowe oczy? Alicja? Dał sobie spokój z analizą, Rulewski miał w ręku więcej kart, wiedział więcej, mógł więcej. Nie było sensu go wstrzymywać, gdy był tak blisko rozwiązania. Powoli się rozluźnił, ale palce i tak mu drżały, gdy pisał, jak można znaleźć na osiedlu piętrowy szary budynek Sosnowskich. Obok jest jakiś różowy dom, a przecznicę dalej willa, która należała kiedyś do Jana Adlera. Przeczytał to i stwierdził, że w ten sposób niczego nie przekaże.

W końcu przypomniał sobie, że przecież stali tam razem w poprzedni piątek. On robił zdjęcia, a Rulewski poszedł do dziwnego domu, żeby pogadać z kumplem Norberta.

„Posesja obok domu Adama. Tam, gdzie Adam wybrał się po twoim wyjściu”.

Wysłał SMS-a. Nissan Adlera przejechał pod mostem Północnym i sunął teraz gładko lewym pasem Wisłostrady w kierunku Śródmieścia.

Marta wyszła z wagonu metra na stacji Centrum. Znalazła się w tłumie ludzi w jesiennych kurtkach, żwawo zmierzających do schodów ruchomych, jakby od tego pośpiechu zależało czyjeś życie. Ona nie chciała się spieszyć. A nawet gdyby chciała, nie pozwoliłby jej tępy ból w podbrzuszu.

Zeszła ostrożnie ze schodów i wyszła ze stacji. Wciąż czuła się źle, jak przy grypie, pod wełnianą czapką zbierały się kropelki potu. Zmusiła się, by przejść kilkadziesiąt kroków przejściem podziemnym, i stanęła przed schodami prowadzącymi na placyk przed szkieletem Rotundy, otoczonym teraz blaszanym ogrodzeniem. Spojrzała w górę, na wylot schodów. Zacerpnęła tchu. Zrobiła pierwszy krok, potem następny, a każdy kolejny był jak tortura.

Przenikliwy chłód nie odstraszył jej przed rozpięciem płaszcza i wystawieniem na widok wielkiego brzucha pod kaszmirowym swetrem. Zziajana przeszła obok rozbieranej Rotundy i ruszyła w stronę punktowca na tyłach domów towarowych.

Usiadła na ławce i się rozejrzała. Jakaś kobieta, dwie ławki dalej, w ciemnych okularach i bluzie z szarym kapturze. Czy to Alicja? Nie, tamta miała być

w śnieżnobiałej kurtce, a ta to chyba tylko jakaś zmęczona sobotnią imprezą dziewczyna, która wyjęła z siatki cebularz i zaczęła podskubywać go z namaszczeniem. A ta druga? Miała jasną kurtkę, ale raczej szarą niż białą. Podeszła wolnym krokiem w stronę Marty i zerknęła z ciekawością na jej wielki brzuch. Poszła dalej i zniknęła na Chmielnej.

Za dwie czwarta. Marta podniosła wzrok. W jej stronę szła kobieta w czarnej ramonesce, brunetka, jej twarz i fryzura wydały się Marcie dziwnie znajome. Marta stężała. Kto to mógł być? Widziała ją już, całkiem niedawno, ale z profilu, roześmianą, na rozmytym ziarnistym zdjęciu z komórki. Czyżby to ona? Ale co tu robi? Mieli siedzieć wczoraj we trójkę u niej i zastanawiać się nad scenariuszem. Czyżby Marcin wtajemniczył w spotkanie z Alicją również ją?

Kobieta w ramonesce zauważyła Martę, ale na jej twarzy nie pojawiło się zainteresowanie. Chociaż... Zwolniła. Zatrzymała wzrok na brzuchu Marty. Spojrzała na jej twarz. Marta pomyślała, że kobiet o takiej urodzie jest pewnie w Warszawie całkiem sporo. A potem dostrzegła oczy kobiety i poczuła niepokój. Prawe było niebieskie, a lewe zielonkawe, w nienaturalnym odcieniu.

Tamta nagle przyspieszyła, a Marta powoli przekręciła głowę i śledziła jej kroki. Kobieta poszła prosto do kawiarnianego ogródka, rozstawionego przy bocznej ścianie wieżowca, a potem zniknęła w drzwiach włoskiego bistro.

Marta nie miała czasu do namysłu, bo chwilę potem minęła ją kobieta w śnieżnobiałej kurtce, z nasuniętym na głowę kapturem. Weszła na skwer i zatrzymała się w miejscu. Marta patrzyła na jej plecy, tamta stała nieruchomo przez kilka sekund, jakby się nad czymś zastanawiała. W końcu odwróciła się i podeszła do Marty.

Marta powoli wstała i spojrzała na twarz otuloną kapturem. Wyglądała... zwyczajnie. Dziewczyna miała rzadkie regularne brwi, mały zadarty nos i wąskie spierzchnięte usta. Zawiał mocniej wiatr i jej falujące kasztanowe włosy uciekły spod kaptura na blade policzki. Niska, z figurą dziewczynki, ukrytą pod puchową kurtką. Starła się patrzeć na Martę zdrowym lewym okiem, niebieskim, z nutą zieleni. Takim jakby szmaragdowym. Prawe, zasnutę żółtawą mgiełką, miało zupełnie inny wyraz.

Lewe – ciekawość, prawe – podejrzliwość. Tu nadzieja. Tam... Marta nie mogła oderwać wzroku od prawego oka. Było w nim coś dziwnego, jakby za zaćmą ukryta była wszytkowiedząca istota, skrzywdzone zwierzę wyczuwające zło, fałsz i nieczyste intencje. Poczuła, że jeszcze chwila tego wpatrywania się i odpływie w strach. Spuściła wzrok i skupiła się na rozchylonych spierzchniętych ustach bez śladu szminki.

- Nie bój się mnie – powiedziały usta.
- Okej – wyszeptała Marta.
- Potrafię rozpoznać przyjaciół.
- Mam twój medalion.
- Nie jestem pewna... Nie wiem, czy go chcę.
- Jest twój. Zrobisz z nim, co zechcesz.

Spierschnięte usta zastęły niemo rozchylone. Marta przemogła się, żeby w końcu podnieść wzrok i znów spojrzeć w oczy dziewczyny.

- Widzę, że coś jest z tobą nie tak – powiedziała Alicja.
- Źle się czuję. – Marta dotknęła brzucha, pod napiętą skórą działo się coś niepokojącego, a ona nie wiedziała co.
- Nie zajmę wiele czasu. Chciałam tylko podziękować Frodo.
- Powiedz mu jedną rzecz, proszę.
- To znaczy?
- Powiedz mu, że to koniec. – Marta otarła pot z czoła. – Powiedz mu, że już nie musi się tym zajmować. Że zrobił wszystko, co do niego należało. On bez tego do mnie nie wróci, tak naprawdę, tak do końca. Proszę cię.

Alicja spojrzała na Martę ze smutkiem w zdrowym oku, jakby poczuła wyrzuty sumienia. Marta zdała sobie sprawę, że już nie boi się tej dziewczyny, która przełknęła ślinę i zadrżała od chłodu, mimo grubej kurtki.

- Tak zrobię – odpowiedziała Alicja prawie szeptem.

Włodzimierz Orlicz zsunął okulary na nos i przyglądał się swoim krótko obciętym paznokciom. Przyszedł do włoskiego bistro dziesięć minut przed czasem, siedział przy stoliku, ale nie patrzył przez okno, nie wyglądał kobiety w czarnej ramonesce, którą poznał wczoraj na koncercie. Pobieźnie przejrzał menu i stwierdził, że gdy tamta się zjawi, to zamówi espresso, wypije, powie, co ma do powiedzenia, i po prostu wyjdzie.

Chłodny powiew od drzwi zasygnalizował mu, że ktoś wszedł do lokalu. Kwiatowe perfumy, tak samo delikatne jak na sali koncertowej. To ona. Nie podniósł wzroku, wciąż wpatrywał się w paznokcie i rozważał różne za i przeciw.

- Nie wystawił mnie pan – usłyszał nad sobą wesołą chrypkę.
- Nie. I pani też przyszła.
- Zamówił pan coś?
- Czekałem na panią.

Kobieta w ramonesce usiadła naprzeciwko, a Orlicz podniósł wzrok. Uśmiechała się. Z jednej strony była młoda, pociągająca, naturalna, a z drugiej Orlicz wyczuwał, że czegoś od niego chciała. I jeszcze to jaskrawozielone oko – wczoraj we foyer ta

nietypowość wydawała mu się pociągająca, oryginalna, obiecywała tajemnicę. Dzisiaj napełniała go zażenowaniem, była sztuczna, a przez to ordynarna.

– Wezmę panna cottę i latte z wanilią – powiedziała kobieta w ramonesce.

– Ja tylko espresso – mruknął Orlicz. – Pójdę zamówić.

Wstał i wolnym krokiem podszedł do kontuaru.

– Jak nie znajdzie pan miejsca, to niech pan po prostu mnie wysadzi – rzucił Marcin do Adlera, walcząc ze zniecierpliwieniem.

Nissan Adlera jechał powoli Alejami Jerozolimskimi na prawym pasie dla autobusów. Aktor wypatrywał miejsca do zaparkowania w pobliżu Rotundy, ale każdy centymetr chodnika był zajęty. Nic, dosłownie nic.

– Kiedyś, panie Marcinie, Warszawa była pusta – westchnął aktor. – Można było podjechać gdziekolwiek i wszędzie było miejsce.

– To musiało być dawno.

Marcin zerknął na zegarek. Szesnasta pięć.

– To co? Idzie pan ze mną? – spytał.

– Raczej nie.

– Mówił pan, że jest ciekaw, jak ona wygląda.

Aktor zwolnił jeszcze bardziej. Marcin obejrzał się i zobaczył za szybą przód miejskiego autobusu. Zbliżał się do nich ze sporą prędkością. Migał światłami.

– Rozczarowanie boli jednak bardziej niż niewiedza – odpowiedział Adler.

Marcin patrzył jak zahipnotyzowany na autobus, który rósł mu w oczach i nagle zaczął hamować z piskiem, jakby kierowca dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nissan nie ma zamiaru ustąpić mu drogi. Zabrzmiał przeraźliwy klakson. Jeden, drugi, a potem długie, niekończące się wycie. Adler wyglądał, jakby to wściekłe trąbienie w ogóle go nie obchodziło. Zatrzymał się na buspasie przy Rotundzie.

– Niech pan wysiada. Jednak daruję sobie ten obrazek.

Marcin spojrział na niego zaskoczony.

– No co pan tak na mnie patrzy? Nie wyszło panu z filmem, może uda się panu z Alicją.

– Czy to pożegnanie? – spytał Marcin, sięgając po teczkę.

– Na to wygląda. Dziękuję panu.

Marcin pomyślał, że byłoby miło podać temu mężczyźnie dłoń i mimo wszystko poczuć jeszcze raz jego silny uścisk. Adler wpatrywał się jednak w szybę przed sobą i tonący we mgle Pałac Kultury. Dłoń Marcina zawisła w powietrzu.

– Do zobaczenia – powiedział Marcin cicho i otworzył drzwi.

Autobus wyminął nissana, jeszcze raz trąbiąc przeciągle, a kierowca posłał w ich stronę wiązanekę. Drzwi zamknęły się cicho i nissan odjechał przez rondo w stronę

Dworca Centralnego.

Marcin minął szkielet Rotundy za blaszanym płotem, przeszedł przez wąską uliczkę i stanął przy Pizzy Hut. Po drugiej stronie placu zauważył Martę i dziewczynę w białej kurtce. Już miał ruszyć w ich kierunku, kiedy zdał sobie sprawę, że ktoś jeszcze patrzy w tym samym kierunku. Kobieta, czterdzieści parę lat. Stała przy donicy z kwiatami, oddzielającej ogródek Pizzy Hut od chodnika. Niska, szczupła, w jasnych dżinsach i grubej kurtce, z ciemnymi włosami zaczesanymi wzdłuż głowy. Marcin ruszył, zerkając na nią z ukosa. Profil, pół profilu, w końcu przyłapała go na tym przyglądaniu. Nie była dobrą aktorką, w jej ciemnych oczach rozbłysły niebezpieczne ogniki. Zagryzła wargi jak rozeźlony drapieżnik, któremu nie udały się łowy. Odeszła do wystawionego przed restauracją menu i zaczęła czytać.

Marcin nie wiedział, co o tym myśleć. Obejrzał się jeszcze raz na dziwną kobietę, ale zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Marta zobaczyła go pierwsza i uśmiechnęła się blado.

– Oto i nasza zguba – powiedziała, a Marcin nie wiedział, czy mówi o nim, czy o dziewczynie w białej kurtce.

– Więc to jest Frodo. – Dziewczyna przekrzywiła głowę. – Dużo o tobie myślałam przez ostatnie dni.

Gapił się na jej twarz w milczeniu. Przez ostatni tydzień on też o niej myślał, niemal bez przerwy – kim była, skąd się wzięła, co się z nią stało, jak potoczyły się jej losy. Próbował ją sobie wyobrazić. Teraz stał przed nią i zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

– Powinam już iść – odezwała się cicho. – Tam, gdzie moja pani mi powiedziała. Wy tego nie zrozumiecie. Ogień mówi, ja słucham, widzę, muszę poczekać, ale w samotności. Nie idź za mną, Frodo.

Marcin potaknął i wyciągnął w jej stronę rękę. Zawahała się, ale wyciągnęła swoją małą dłoń ze szczupłymi palcami jak u dziewczynki, z obciętymi tuż przy skórze paznokciami bez śladu lakieru.

– Nie zdradzisz nam swojego imienia? – spytał.

– To tylko kolejne imię.

– A jednak?

Marta jęknęła i złapała haust powietrza. Dziewczyna uważnie spojrzała na nią, a potem na niego i Marcin miał wrażenie, że jej niebieskie oko mówi mu: „Basta, powinieneś teraz zająć się żoną”, a to żółte... To żółte rzucało przyprawiające o ciarki wyzwanie. „Chodź... poznasz tajemnicę... Jeśli teraz odejdziesz... przecież chcesz wiedzieć, prawda?”

– To już koniec, Frodo. Nic więcej nie musisz – powiedziała dziewczyna. – A co do mnie, mam krótkie i szalone linie papilarne. Kiedy już będziesz miał chwilę spokoju, przypomnij to sobie. Będziesz wiedział, jak mam teraz na imię.

Pokiwał głową, chociaż nie zrozumiał ani słowa z tej zagadki.

Anka patrzyła na plecy zgarbionego mężczyzny grubo po pięćdziesiątce, ubranego w tweedową marynarkę. Stał przy stylizowanym na dębowe drewno kontuarze, czekał na zamówione kawy i deser dla niej, bębniąc palcami o blat. Cały ten pomysł z zapoznaniem nowego dyrektora departamentu wydał jej się teraz niedorzeczny. Jeszcze wczoraj, na koncercie, była z siebie dumna, że udało jej się zwrócić uwagę tego mężczyzny. Dziś nachodziła ją tylko jedna myśl: co dalej?

Orlicz podniósł z kontuaru tacę i ostrożnie przeszedł do stolika. Postawił tacę i usiadł.

– Obiecała mi pani, że dzisiaj zdradzi swoje imię – powiedział i zgarbił się nad trzymaną w dłoni filiżaneczką espresso. – Ale nie jestem już pewien, czy chciałbym je znać.

Anka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Poczula się nieswojo. Skubnęła łyżeczką panna cottę. Zamieszała latte. Orlicz starannie unikał kontaktu wzrokowego.

– Ta wczorajsza rozmowa była interesująca – wymruczał do swojego espresso. – Nieoczekiwana. Ale nie mam pewności, czy to moja osoba wzbudziła pani zainteresowanie, czy może to Czajkowski tak podziałał. Albo Allegretto.

Anka nie tak to sobie wyobrażała. Myślała, że facet będzie bardziej otwarty, napalony. Że w luźnej rozmowie pójdą w kierunku kolejnych fascynacji muzycznych i filmowych, a potem nieoczekiwanie ona pociągnie go za język. Dowie się, czy jej zielone oko coś mu przypomina. Widział już takie? To był jego fetysz? Czy takie samo oko w przeszłości sprawiło, że odwiedzał regularnie tamtą dziewczynę, kazał ją szprycować i zrobił z niej niewolnicę?

– Widzi pani, ja naprawdę wczoraj po koncercie myślałem, że spotkanie z panią będzie czymś nowym i świeżym w moim niezbyt udanym życiu – podjął po chwili Orlicz. – Wróciłem do hotelu i wyobrażałem sobie tę kawę dzisiaj. I nawet doszedłem w tych wyobrażeniach do momentu, gdy nie mogłem już dłużej sobie tego wyobrazić bez swego rodzaju ujmę dla pani osoby.

– Nie rozumiem – powiedziała Anka cicho.

Wydało jej się, że mężczyzna nie dosłyszał. Wciąż wpatrywał się w jeden punkt, gdzieś pomiędzy filiżanką espresso a jej ramoneską.

– Moje wczorajsze rozważania przerwał telefon. Ktoś do mnie zadzwonił. Ktoś bardzo ważny dla mnie. Osiem lat nie słyszałem tego głosu i myślałem, że już nigdy nie usłyszę. Nauczyłem się przez te osiem lat żyć bez tego głosu i myślałem, że go

nie potrzebuję. Ale gdy zadzwoniła, gdy zaczęła do mnie mówić, to wszystko inne przestało być dla mnie ważne.

Anka słuchała tego z zaciśniętymi szczękami. Pomyślała, że jednak jej się udało. Oto Orlicz odsłaniał się przed nią, mimo że nie chciał kontynuować znajomości.

– To niesamowite, że w tak dużym mieście potrafią się zdarzać takie zbiegi okoliczności – mówił dalej. – Zobaczyła nas razem we foyer. Przez całą siódmą Beethovena nie mogła przestać o tym myśleć. Potem stała w szatni w cieniu i obserwowała naszą rozmowę. Poczula zazdrość, że nie jest na pani miejscu. Resztę wieczoru spędziła na próbach uzyskania mojego numeru telefonu, co, zważywszy na okoliczności naszego rozstania, nie było dla niej łatwe ani przyjemne. Ale udało jej się.

Anka słuchała i próbowała połączyć to wyznanie w jedną całość z historią Alicji. To było trudne, z pozoru nic do siebie nie pasowało. Poczula, że kark jej drętwieje. Może potem...

– Przykro mi, proszę pani, że tak to wyszło. Za pięć minut muszę stąd wyjść. Jestem umówiony na bardzo ważne spotkanie. Nawet nie chcę go sobie wyobrażać. Będzie, jak będzie.

Anka nieoczekiwanie poczuła coś jeszcze. Lewe oko zapiekło ją tak, że z trudem powstrzymała się przed tym, żeby czym prędzej – tu, przy Orliczu – wyciągnąć spod powieki tanią koloryzowaną soczewkę i położyć ją na stole obok talerzyka z panna cottą.

– Przepraszam na moment – powiedziała szybko, a Orlicz po raz pierwszy od początku spotkania spojrzął na nią, nieco zdziwiony jej zachowaniem.

Wstała. Chciała iść do damskiej toalety, ale pomyślała, że Orlicz wykorzysta ten moment i wyjdzie z bistro. Stanęła więc tyłem do niego przy dużym oknie wychodzącym na pasaż. Wyjęła z torebki plastikową buteleczkę z płynem do soczewek, odchyliła głowę i prysnęła sobie w oko.

Zamrugła, widząc tylko mgłę. Gdy już odzyskała ostrość, zamrugła jeszcze parę razy, wpatrując się w widok za oknem.

Coś dziwnego przykuło jej uwagę. Coś bardzo dziwnego. Nie mogła uwierzyć. Zerknęła przez ramię na Orlicza, ale siedział spokojnie przy stoliku i dopijał kawę.

Za oknem, jakieś trzydzieści metrów od bistro. Marcin. Ta dziewczyna z wielkim brzuchem, którą Anka minęła, idąc tutaj, czyli pewnie Marta. I ktoś jeszcze.

Anka się wzdrygnęła. Od razu wiedziała, kto to jest. Wyobrażała sobie tę dziewczynę przez cały ostatni tydzień. Układała rysy jej twarzy w różnych konfiguracjach. Zmieniała figurę, tak by pasowała do jej wyobrażeń. A teraz widziała obok Marcina i Marty niemal dokładną kopię postaci, którą sobie wymyśliła.

Nie miała czasu zastanawiać się, dlaczego Marcin stoi w niedzielne popołudnie z Alicją w samym centrum Warszawy, zamiast dogadywać z producentem sprawy związane ze scenariuszem. Wiedziała tylko, że jeśli pozwoli Orliczowi teraz odejść... Facet wyjdzie wprost na tamtą trójkę.

Mimo zdenerwowania przywdziała na twarz ujmujący uśmiech i wróciła do stolika. Usiadła.

– Jakoś udało mi się przełknąć gorzką pigułkę – stwierdziła, siląc się na spokój. – Więc nie porozmawiamy już o Beethovenie?

– Raczej nie – odpowiedział Orlicz, wierząc się na krzesło.

– O której ma pan to spotkanie?

– Za godzinę.

– Więc może zostanie pan na jeszcze jedną kawę?

Orlicz wpatrywał się przez chwilę w jej oczy. Anka zdała sobie sprawę, że płyn do soczewek musiał rozmazać jej tusz. Być może wyglądała, jakby uroniła parę łez. Nie planowała tego, ale podziałało. Orlicz się zmieszał.

– Przepraszam – mruknął. – Sprawilem pani przykrość.

– Tylko trochę.

– Dobrze. Zostanę jeszcze dziesięć minut.

Mundek siedział na niskim murku i cierpliwie czekał z aparatem zwieszonym na piersi. Porządny teleobiektyw miał schowany w plecaku, tu musiał założyć coś mniej rzucającego się w oczy. Skuter zostawił tuż przy samochodzie Orlicza, zaparkowanym na ulicy Zgoda. Wiedział, że nie może wejść do bistro za panem dyrektorem i jego randką w ramonesce. Włożył do ust miętową gumę.

Z nudów zaczął rozglądać się po placyku i dostrzegł oryginalnie wyglądającą trójkę. Blondyn przed trzydziestką miał mocno nieświeżą twarz, jakby przez całą sobotę balował albo intensywnie o czymś myślał. Szatynka z wielkim brzuchem stała na miękkich nogach i wyglądała, jakby miała za chwilę upaść. Dziewczyna w białej kurtce z kapturem podeszła do ciężarnej i cmoknęła ją w policzek, a blondyn sięgnął wtedy do torebki tej w ciąży i wyjął coś w zaciśniętej dłoni.

Mundek długo się nie zastanawiał. Podniósł aparat, wyostrzył i pstryknął zdjęcie.

Alicja podeszła do Marty i bez słowa pocałowała ją w policzek. Marta prawie tego nie zarejestrowała, z niewidzącym wzrokiem, skupiona na własnym wnętrzu i bólu.

– Medalion – wymamrotał Marcin. – Czy Marta oddała ci twój medalion?

Na twarzy dziewczyny pojawiła się przykrość pomieszana z radością. Marcin sięgnął do torebki Marty, po omacku przegrzebał zawartość, poczuł pod palcami chłodny metal i wyciągnął przedmiot do światła. Alicja patrzyła na róże i pistolety, jakby próbowała odgadnąć drogę, jaką ten medalion przebył od dnia, kiedy zniknął

z jej życia. Ale się nie wahała. Wyciągnęła dłoń. Marcin poczuł się jak w baśni, kiedy dobry pocziwy giermek zwraca księżniczce złoty pierścień wykradziony z jaskini trolła.

– Zrób z nim, co zechcesz – powiedział.

– Tak zamierzam – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby i spojrzała na medalion. – Teraz już naprawdę muszę iść. Nie mogę tego przegapić.

– Czego?

– Sama nie wiem. Ktoś przyjdzie, nie będzie więcej pustych twarzy, będą miały oczy, nos, usta, włosy. Będzie głos.

– Nie powinnaś tego robić.

– Wiem. I nic na to nie poradzę.

– To bez sensu – brnął Marcin. – Pozwól sobie pomóc.

– Nie – odparła dziewczyna twardo. – Żegnajcie.

Odwróciła się. Ruszyła w stronę Rotundy i przejść podziemnych, jej biała kurtka po chwili zniknęła w tłumie. Marcin zarejestrował jeszcze kątem oka, że spod ogródka Pizzy Hut rusza tamta kobieta, którą przyłapał na gapieniu się na Martę i Alicję. Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, bo Marta zrobiła dwa chwiejne kroki w jego stronę.

– Marcin, Jurek się nie rusza – wydyszała mu w twarz. – Przez cały ten czas słuchałam, czy jest ze mną. Dzieje się coś złego.

– Masz skurcze? – spytał szybko.

– Takie małe, dziwne. – Otworzyła oczy i spojrzała przez łzy.

– Jezu, Marta, chcesz, żebyśmy jechali do szpitala?

– Nie wiem, sama nie wiem, chyba tak. Chodźmy na przystanek.

– Ale gdzie jedziemy? Inflancka? Tam trzeba z buta uderzyć od Intraco.

– Nie wiem, Marcin, kurwa, wymyśl coś!

To „kurwa” podziałało na niego jak zimny prysznic. Byli pośrodku Pasażu Wiecha, kilkadziesiąt kroków od Marszałkowskiej. Delikatnie pociągnął słaniającą się Martę w stronę prześwitu między dwoma segmentami Domów Towarowych Centrum.

– Chodź – powiedział. – No chodź. Musimy tam dojść.

Podpierał ją ramieniem i weszli w prześwit jak dwójka wyczerpanych żołnierzy uciekających spod ostrzału. Zauważył taksówkę z zielonymi naklejkami i żółtym napisem FREE na kogucie, skręciła właśnie z Alej Jerozolimskich w Marszałkowską. Puścił Martę, zatoczyła się i oparła o szklaną witrynę sklepu z ciuchami.

– Co robisz...? – zdołała wykrztusić.

Przepchnął się przez tłum przechodniów, ktoś odwrócił się i rzucił w niego przekleństwem, ktoś inny zaśmiał się i powiedział coś po włosku. Marcin podbiegł do

krawężnika i zamachał, ale taksówkarz patrzył akurat w GPS. Marcin bez zastanowienia wyskoczył na buspas i z całej siły klepnął w drzwi taksówki, która niemal przejechała mu po butach. Zatrzymała się z piskiem, drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich wykrzywiona twarz dużego mężczyzny.

– Co ty odwalasz, człowieku? Pojebało cię?

– Sorry, ale jest awaria – krzyknął Marcin, czując przypływ wewnętrznej siły. – Moja żona zaraz będzie rodzić. Rozumiesz... człowieku?

Tamten patrzył przez moment, jakby nie rozumiał, ale już po chwili się zreflektował.

– Dawaj ją tu do auta! – krzyknął.

Marcin pokiwał głową energicznie i podbiegł do Marty. Modlił się w duchu, żeby tamten nie zmienił zdania w międzyczasie i nie odjechał. Ale nie – duży mężczyzna czekał cierpliwie przy otwartych z tyłu drzwiach i patrzył z troską.

Po chwili drzwi zatrzasnęły się za nimi. Ruszyli.

– Ile zajmie nam dojazd na Inflancką? – spytał Marcin taksówkarza.

– Jest jakaś demonstracja na Bankowym. W najgorszym przypadku dwadzieścia minut.

Wybłagana przez Ankę dziesięciminutowa prolongata dobiegła końca. Orlicz nie dał się już wciągnąć w rozmowy o muzyce, więc porozmawiali trochę o Warszawie. Mężczyzna słabo znał stolicę, Ance udało się wyciągnąć, że dawniej przyjeżdżał tu raz na miesiąc, a ostatni raz był osiem lat temu.

– Na mnie naprawdę już pora. – Orlicz wstał i wyciągnął dłoń.

Anka się zawahała. Podała swoją. Jego była ciepła, sucha, a ona czuła, że od momentu, gdy zobaczyła tamtą trójkę na zewnątrz, spociała się pod ramoneską jak mysz.

– Było mi bardzo miło – powiedziała.

– Mnie również. – Orlicz uśmiechnął się lekko. – Do widzenia.

Podszedł do wieszaka, założył płaszcz i ruszył do wyjścia. Anka miała nadzieję, że w międzyczasie Marcin z żoną i Alicją skończyli rozmowę i sobie poszli. Ostrożnie ruszyła za Orliczem i zerknęła przez okno.

Nie było ich. Anka zauważyła za to, że ktoś obserwuje Orlicza, jakiś facet na murku, z aparatem na kolanach. Stała przy drzwiach w oczekiwaniu na rozwój wypadków.

Orlicz ruszył Chmielną, szedł sprężystym krokiem, jakby po wyjściu z bistro dostał zastrzyk energii. Mężczyzna z aparatem odczekał kilka sekund, wyjął z ust gumę, przykleił do murka, a potem wstał i poszedł za Orliczem.

Anka stwierdziła, że to koniec maskarady. Zadarła głowę, otworzyła szeroko lewe oko. Wyjęła wściekle zieloną tanią soczewkę i wyrzuciła do kosza. Zaczęła się zastanawiać, czy dzwonić już do Marcina, a jeśli tak, to jak ubrać w słowa nowo zdobytą wiedzę na temat dyrektora departamentu.

Alicja wyszła z przejścia podziemnego na plac, na którym kłębił się dziki tłum zmierzający do przeszklonych wiat z dużą literą M. Ktoś próbował wetknąć jej do ręki ulotkę, ale podziękowała i ruszyła dalej. Zauważyła dwóch chłopaków z dredami, mimo chłodu w samych T-shirtach, stroili gitary, basową i elektryczną. „Dziwne jest to miasto – pomyślała. – Przypomina wielkie mrowisko”.

Wyszła po schodach i weszła do czegoś, co przypominało rachityczny park. Rosły tu drzewa, ale wyglądały tylko jak dodatek do zaparkowanych pod pałacem samochodów. Spojrzała na zegarek. Do jej spotkania wyznaczonego przez elfią czarodziejkę pozostało pięć minut. Poczwała strach. Pociąg, którym mogła wrócić do domu, odjeżdżał za pół godziny. Może powinna teraz po prostu pójść na peron? Opuścić siebie?

Medalion. Odzyskała go. To był znak. Nie może teraz zawieść samej siebie. Jeśli to zrobi, jeśli stchórzy, to wciąż będą ją nawiedzać w snach dziwne twarze bez właściwości, a ona tak bardzo chciała móc im się przyjrzeć, obejrzeć je z każdej strony, nasycić swoją ciekawość, przeżyć prawdziwą nienawiść, a potem usiąść przy ogniu i w asyście Galadrieli spalić te twarze, by nie został po nich żaden ślad. Odzyskała medalion, jej amulet od Czarodzieja, dotykała go teraz w kieszeni kurtki. Ogień pokazał jej miejsce, musi je tylko znaleźć.

Coś sobie przypomniała. Gdy odeszła od tamtej dwójki i szła wzdłuż tego rozbieranego budynku... Na moment się obróciła i wydało jej się, że za słupem z plakatami mignęła jej na chwilę twarz Majki. Ale tamta kobieta była starsza, miała inne włosy, siwe pasma. I po chwili zniknęła. Chyba nawet nie zwróciła na Alicję uwagi. A może jednak? Coś wisiało w powietrzu. Czy podjedzie zaraz jakaś furgonetka, jak w filmach sensacyjnych? Wskoczy z niej Majka i paru umięśnionych typów, porwą ją i zawiozą prosto do tamtego faceta?

„Nie boję się. Chcę wiedzieć, kim on był”.

Uniosła głowę. Dokładnie naprzeciwko niej wyrastał pod niebo budynek z zegarem, szary pałac. Nie miał teraz w sobie nic mrocznego. Z bliska był nawet śmieszny, taki pokraczny mimo strzelistości. Jakby spadł z nieba i tak tu został, nieudana wersja magicznego uniwersytetu. Zegar wskazywał piątą za dwadzieścia. „To jest to miejsce” – pomyślała. Tak właśnie widziała to w swojej wizji.

Odwróciła się – za nią stała samotna pusta ławka. Podeszła do niej i usiadła. Przez chwilę czuła, jak włoski stają jej na szyi, jakby jakiś mroczny cień czał się za jej

plecami. Zamknęła oczy w oczekiwaniu, że zaraz to się stanie – kościste palce zacisną się na jej szyi, owionie ją przenikliwie zimno, potem znikną razem, ona i jej prześladowca, Czarodziej przyzwany mocą medalionu. Teleportują się do jego komnaty i ona pewnie już stamtąd nie wyjdzie, ale przynajmniej dowie się, zazna spokoju.

Trwała w tym czujnym letargu, nie licząc czasu, ale nic się nie stało. Otworzyła oczy, uniosła dwa palce i spojrzała na paznokcie. Ruszyła palcami w lewo, potem w prawo, wodziła lewym okiem za tym wahadełkiem przez kilka chwil, a potem zmusiła się do zamknięcia oczu i wodziła dalej, już w myślach.

Kopią go tak strasznie, ten krótko ostrzyżony i ten drugi, grubszy, prawie skaczą po nim, a ta dziewczyna trzyma mnie za włosy i szarpie. Światła samochodu za zakrętem. Przeklęte kanale uciekają i zostawiają nas na poboczu. Z samochodu wychodzi przestraszony starszy pan. Wchodzę w rolę, prowadzi mnie Lady Galadriela. „Musisz nam pomóc! Bierz chłopaka!” Jedziemy długo ciemnym lasem. Siedzę i patrzę za szybę, ale od migających drzew zbiera mi się na wymioty. Nie chcę zabrudzić temu panu samochodu. I tak z tyłu leży zakrwawiony Artur. Spuszczam więc wzrok i wpatruję się w jeden punkt w samochodzie. Coś miłego przykuwa moją uwagę i patrzę na to. Patrzę. Patrzę.

I w końcu widzę.

Marcin miał wrażenie, że nigdy nie dojadą. Marszałkowska wzdłuż Ogrodu Saskiego stała. Samochody przesuwają się metr po metrze. Marta miała przymknięte oczy i płytko oddychała.

– Może pojedzie pan po torowisku? – spytał taksówkarza.

Facet uśmiechnął się krzywo.

– No sorry, ale rozwalę sobie zawieszenie. Poza tym będziesz płacił za mój mandat? Damy radę, jeszcze tylko do świateł, a potem już z górki.

Marcin oparł się ciężko o zagłówek. Marta otworzyła oczy.

– Rusza się, wyczułam, że się rusza. Ale słabo – powiedziała wolno.

Ktoś do niego dzwonił. Spojrzał na ekran.

– Anka – powiedział do Marty.

– Proszę, nie odbieraj teraz.

Pokiwał głową i przesunął palcem po ekranie. Dzwonek zamilkł, a po chwili znów wypełnił taksówkę.

– Czego... ta kobieta... chce...? – wydyszała Marta.

– To Alicja tym razem.

Marta skrzywiła się i dotknęła podbrzusza. Marcin już miał odrzucić połączenie, gdy chwyciła go za rękę.

– Odbierz.

Tak zrobił.

– Przepraszam, Frodo... – usłyszał matowy głos.

– Jedziemy do szpitala. Z Martą jest bardzo niedobrze.

– To... proszę, zajmij się nią. Nie będę zawracać ci głowy...

– Nie, mów. I tak jesteśmy w dupie.

Przez moment w słuchawce było cicho. Taksówka w tym czasie pokonała kolejne cztery metry.

– Siedzę na ławce pod pałacem – powiedziała Alicja. – Czekam. Weszłam na chwilę w ten stan. Ogień mi pomaga, nawet gdy go nie ma, wszystko teraz wraca, coraz więcej mogę widzieć. Zobaczyłam coś, czego wcześniej nie widziałam. Kiedy przyjechał ten pan i zabrał mnie i Artura. Jechaliśmy do szpitala, a ja wpatrywałam się w jeden punkt w aucie. Teraz go zobaczyłam. Ten punkt.

– Dziewczyno, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – spytał Marcin obcesowo. – Punkt w aucie? Tak jak łysy z obciętym uchem? Uruk-hai? To jest rzeczywistość, a nie jakieś wymysły z ognia. To Warszawa, a nie Mordor. Umówmy się, nie da się przypomnieć sobie wydarzeń sprzed tylu lat, zwłaszcza jak się było...

Mocny uścisk Marty na jego ramieniu uratował go przed powiedzeniem „naćpanym”. Marta dyszała z bólu, ale patrzyła na niego niemal z nienawiścią.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Nie rozłączaj się.

Cisza w słuchawce.

– Przepraszam – powtórzył. – Co to było? Ten punkt.

Spojrzał za szybę. Ogród Saski, drzewo, kaczka na torowisku.

– Taka śmieszna okrągła naklejka. Ta myszka z kreskówki.

Zamarł.

– Myszka Miki? – spytał głucho.

– Tak.

– Gdzie była naklejona?

– Nad taką półeczką, taką pokrywą z zamkiem.

– Schowek na rękawiczki?

– Tak.

Marcin przełknął ślinę. Jan Adler? Czy to Jan Adler nadszedł z zakrętu i spłoszył swoim pojawieniem się w czerwonym fordzie focusie tamtą trójkę, która chciała pomścić lusterko? Czy to on zawiózł Alicję i Artura do szpitala, a potem zostawił ich na parkingu i odjechał?

– Chyba znam tego faceta, który was wiózł – powiedział.

– Kto to?

– Aktor. Jan Adler.

– Nie znam.

– To od niego zaczęła się moja przygoda ze scenariuszem. Chciał, żebym napisał go na nowo. On jest z tego towarzystwa. Być może jechał wtedy do Stokrotki.

Przez chwilę słyszał w słuchawce tylko wiatr.

– Czekam teraz, aż ktoś się pojawi. Nie boję się. To się zaraz stanie – powiedziała głucho Alicja.

Przymknął oczy. Dziewczyna była tak zdeterminowana, że chciała wystawić się na niebezpieczeństwo. Ale on nie mógł już nic dla niej zrobić, teraz musiał być przy Marcie. Z nią i tylko z nią. Czy powinien powiedzieć Alicji o tych, których podejrzewał? Czy to coś da? Czy sprawi, że dziewczyna odpuści sobie, wsiądzie do pociągu i odjedzie?

– Czy mówi ci coś nazwisko Orlicz? – spytał cicho.

– Nie.

– A czy tamtym facetem mógł być ojciec Artura?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Wyczuł w jej głosie zdziwienie.

– Orlicz i ojciec Artura. Jeden z tych dwóch mógł mieć coś wspólnego z tym... z tym, co ci się przytrafiło. Są przesłanki, które na to wskazują.

– Dlaczego ojciec Artura? – spytała Alicja.

– Artur mu nie ufał. Chciał uciec jak najdalej od tego domu. Przecież wiesz. Nie rozmawialiście o tym? Dariusz był prawnikiem. Przyjacielem tego faceta, który skończył na wózku. Były plotki na osiedlu. Widziałem go, gdy słysząc wzmiankę o tobie, zmieszał się i uciekł od Adlera.

– To jest raczej... – przerwała mu. – To nie może być prawda.

– Dlaczego, Alicja? – wypowiedział jej niechciane imię twardo, jakby rzucał jej wyzwanie. – Czy to nie tłumaczy wielu rzeczy? Czy to nie tłumaczy, że przez tyle lat przysyłał ci pieniądze?

– Skąd o tym wiesz?

– Po prostu wiem.

– On, Dariusz... – zawahała się. – To nie ma sensu. Nie ma sensu.

– Sowy nie są tym, czym się wydają.

– Może masz rację. – Posmutniała. – Jeśli to by była prawda, to nie takiej prawdy szukałam.

– Przykro mi – powiedział Marcin. – Nie wiem, jak jeszcze mogę ci pomóc.

Nie miał już siły brnąć w tę tajemnicę. Dojeżdżali do świateł na placu Bankowym. Zaraz pomkną do szpitala położniczego na Inflanckiej. I będą ratować ich dziecko.

Jakby w odpowiedzi na te myśli usłyszał w słuchawce:

– Nic nie musisz, Frodo. Już wszystko zrobiłeś. Opiekuj się Martą.

Rozłączyła się.

Nic się nie wydarzyło. Nikt nie wyszedł z za drzew. Nie nadjechała furgonetka i nikt nie wciągnął jej siłą do środka. Alicja wstała z ławki i ruszyła w stronę dworca.

Miły pan, który wyrwał ich z potrzasku, nazywał się Jan Adler. Był aktorem. Próbowwała przypomnieć sobie jego twarz, ale wszystko tonęło wtedy w mroku. Kiedy wyszedł z samochodu, światło reflektorów padało z za niego, a ona krzyczała, po raz pierwszy tamtego wieczora naprawdę krzyczała, jakby wreszcie zrzuciła oplatające jej gardło macki ośmiornicy i odzyskała głos po trzech latach niewoli.

Zeszła do przejścia podziemnego pod dworcem, ale tym razem zalewały ją same nieprzyjemne wrażenia. Poczowała zapach kebabu i bezwiednie poszła za tym zapachem. Może i wróciłaby do galerii handlowej z zielonym szklanym dachem, ale teraz hałas w przejściu podziemnym był jej bardzo potrzebny. Zagłuszał słowa Froda o Dariuszu Sosnowskim, kołatające jej się pod czaszką. Chciała jak najszybciej wrócić do tego jedyne go razu, kiedy półprzytomnie sięgnęła dłonią na plecy tamtego człowieka i wyczuła coś pod palcami.

Znów jestem w różowej pustce. Jestem kapsułą, moim własnym statkiem kosmicznym. Ktoś coś do mnie mówi zduszonym głosem. „Zostawiłaś mnie... Obudź się wreszcie i popatrz na mnie... Czekam...” Leżę na plecach, a on leży na mnie i próbuje się wbić, ale jest miękki. Zamarł, jakby usnął, wyciągam moją niemal bezwolną dłoń i zjeżdżam w dół od jego mokrej szyi, dojeżdżam tam i badam. Badam to teraz spokojnie, poruszam palcami jak harfistka. Nie, bardziej jak niewidoma. Nie ma nic. Ani dworca, ani przejścia, tylko zapach kebabu. Teraz to ja jestem Panią i nie pozwolę mu się tak szybko obudzić i uderzyć mnie w twarz.

A jednak uderzył. Jej dłoń we wspomnieniu wciąż dotykała czegoś dziwnego, ale Alicja straciła z nią kontakt, wszystko rozwiało się jak obłok.

Otworzyła oczy i zamruła. Idąc za zapachem kebabu, dotarła aż pod sam bar.

– Na cienkim cieście poproszę, kurczak, sos łagodny – powiedziała do patrzącego na nią z zaciekawieniem śniadego mężczyzny.

Rozejrzała się po płynącym w podziemiach tłumie. I wtedy ją zobaczyła. Kobieta spod Pizzy Hut, w jasnych džinsach i grubej kurtce. Stała przy rozkładzie jazdy i czytała. Obejrzała się w jej kierunku i zaraz odwróciła wzrok. To była Majka, na pewno. A więc jednak. Zaraz coś się stanie. A jeśli tak, to ona może już nie wrócić. Niech zostanie chociaż jakiś ślad.

Popatrzyła, jak śniady mężczyzna wprawnymi ruchami zawija jej kebab. Ależ była głodna. Najpierw musi coś zjeść, dopiero potem tamto. Ale najpierw wyśle ostatnią

wiadomość do Froda. Więcej wiadomości nie będzie.

Wysłała SMS-a i wgrzyła się w chrupiącą bułkę. Majka wciąż stała pod rozkładem jazdy i nie miała chyba zamiaru drugi raz się odwrócić. Alicja przełknęła i ruszyła w jej kierunku. Stanęła obok i zerkała na jej profil. Były prawie tego samego wzrostu, niecałe metr sześćdziesiąt. Majka musiała już zdać sobie sprawę z jej obecności, ale twardo gapiała się na żółtą płachtę.

– Cześć – powiedziała cicho Alicja.

– Cześć.

Majka postarzała się, ale wciąż, nawet z profilu, miała w twarzy coś nieprzyjemnego. Opalone na solarium policzki zwężyły się w wąski ciup małych ust, a jasnobrązowe oczy były głęboko osadzone, przez co wyglądała trochę jak łasica.

– Jestem. – Alicja ugryzła kanapkę.

– Widzę.

– Nie patrzysz.

– Nieważne. Wiem, że to ty.

Obróciła głowę i się rozejrzała. Nikt więcej nie zwracał na nie uwagi, przejście podziemne żyło własnym życiem, ludzie ciągnęli walizki po posadzce, kółka podskakiwały od czasu do czasu, gdy wjeżdżały na metalowe wypustki ścieżki dla niewidomych.

– Jak to się miało odbyć? – spytała Alicja. – Wyobrażałam sobie furgonetkę, ale tutaj to byłoby jeszcze trudniejsze.

– Miałam na maksa mało czasu – odpowiedziała sucho Majka. – Zero konkretów. Tylko tyle, że będziesz dzisiaj w Wawie. W samym centrum z tamtym kołesiem i ciężarną.

– No więc?

– Chciałam wejść za tobą do pociągu, a potem jakoś sprzedać ci pigułę. W kawie, w wodzie, nie wiem. Potem byśmy wyszły na którejś stacji, no wiesz, pod rękę, i przyjechałby po nas samochód.

Alicja parsknęła cicho.

– A gdybym pojechała ekspresem do Krakowa? – Szturchnęła Majkę. – Jechałabyś za mną do Krakowa? Albo nocnym do Świnoujścia?

– Odpieprz się. Mówiłam ci, że nie miałam czasu.

– Więc jeśli teraz odejdę, to dasz mi spokój?

– Nie będę miała innego wyjścia. Chuj z tym facetem. Płaci, ale nie jest, kurwa, bogiem.

– Nie odejdę.

Majka po raz pierwszy odwróciła się przodem do niej. Alicja zobaczyła na jej twarzy szczere zdziwienie.

– Co ty pierdolisz, dziewucho? – wycedziła kobieta. – I nie gap się tak na mnie tym swoim okiem, pliz, bo robi mi się słabo.

Alicja sięgnęła do kieszeni kurtki. Wyciągnęła na otwartej dłoni medalion. Majka cofnęła się o krok, a jej łasicze oczka zwęziły się pod brwiami z permanentnym makijażem. Pistolety i róże, osmalone, ale wciąż pełne złej magii.

– Skąd to masz? Ja pierdolę, skąd to wzięłaś? – wyszeptała.

– Sama nie wiem, jaką drogę to przebyło – odpowiedziała Alicja. – Ale wróciło do mnie, właśnie dzisiaj. Razem z tobą i... kilkoma wspomnieniami. Nie obawiaj się, Majka. Po prostu zawieź mnie tam, gdzie miałaś mnie zawieźć.

– Po chuj? – Majka przełknęła ślinę.

– Przecież wiesz, po co tu przyszłaś.

– Ale po co ty chcesz tam jechać?

– Jeszcze nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

Kobieta potrząsnęła głową, ale Alicja nie odebrała tego jako odmowy. Coś jak podziw? Szacunek? Niedowierzanie, że ktoś z własnej woli chce pchać się w paszczę potwora.

– Okej. Pojedziemy tam, ale to musi być po mojemu. I tak dostaniesz strzała, czaisz? Bez tego nie da rady.

– Rozumiem.

– I jeszcze jedno. – Majka zawahała się na moment. – Ty... ty mi wybaczyłaś?

Alicja spojrzała na swoją daleką kuzynkę, która lata temu nie miała oporów, żeby sprzedać ją w niewolę i przez trzy lata pakowała w jej żyły truciznę. Ile pieniędzy na tym zarobiła? To nieważne. Ważne było, że ta kobieta ani razu przez te trzy lata nie okazała skruchy.

Ale... Czy zrobiła coś dobrego?

Przyniosła Alicji książki dla dzieci, które pomogły jej przetrwać. Nie biła, nie przywiązywała do kaloryfera. Dała ciche przyzwolenie na spotkania z Arturem. Chyba. Malutki promyczek człowieczeństwa. Alicja próbowała znaleźć dla niej jakiś odpowiednik we Władcy Pierścieni.

Gríma Gadzi Język, fałszywy doradca króla Théodena? Tak, Majka, będziesz Grímą. Ostatecznie Gríma miał dość ponizeń ze strony swojego pana, złego czarnoksiężnika Sarumana. W przyływie wściekłości wbił mu sztylet w plecy. A potem sam zginął od elfiej strzały.

„Saruman. Czarodziej. Medalion”.

– Wybaczę ci, jeśli zawieziesz mnie do Czarodzieja – odparła.

Majka pokiwała głową. Wyglądała tak, jakby przez ostatnie minuty postarzała się o kolejne kilka lat.

– Samochód czeka na parkingu pod Złotymi Tarasami. – Załamał jej się głos.

– Pod czym?

– Pod tą zieloną galerią.

Alicja się uśmiechnęła. Złote Tarasy. Ładna nazwa, nawet bardzo ładna.

– Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze – powtarzał Marcin przez ściśnięte gardło od początku jasnego korytarza, którym jechali w kierunku sali operacyjnej.

Parę chwil wcześniej wysoki młody lekarz zbadał Martę, dotknął w kilku miejscach jej brzucha, a później powiedział rozkazującym tonem ze wschodnim akcentem:

– Za późno na KTG. Jedzie pani od razu na cesarskie cięcie.

Skulona, dysząca ze wściekłego bólu Marta i dwie pielęgniarki weszły do najbliższego gabinetu. Przez niedomknięte drzwi Marcin widział, jak wprawnymi ruchami pomagały jego żonie rozebrać się do naga i przebrać w luźną szpitalną koszulę. Zaraz potem drzwi otworzyły się i Marta wyjechała z nich na łóżku prowadzonym przez jedną z pielęgniarek.

– Bądź przy mnie, Marcin – szepnęła z czołem mokrym od potu. – Musisz być przy mnie.

– Będę, Martuś. Jestem tutaj.

Przejechali przez korytarz prosto do stalowych wahadłowych drzwi. Wyszedł z nich wysoki lekarz w czapce i fartuchu.

– Jest pan mężem?

– Tak.

– Przykro mi, ale i tak musi pan zostać na korytarzu.

– Ale...

– Proszę czekać. To sala operacyjna, nie może pan tam wejść.

Marta zniknęła za wahadłowymi drzwiami. Chciała jeszcze spojrzeć na Marcina, zanim drzwi zamkną się za szpitalnym łóżkiem na kółkach, ale zdołała tylko przekręcić głowę i cicho jęknąć.

Marcin usiadł na plastikowym krzeselku i spojrzał tępo przed siebie.

Nic więcej nie mógł zrobić.

Co więcej mogła zrobić? Marcin nie odebrał od niej telefonu, raz i drugi. Gdy miała zadzwonić po raz trzeci, Anka przymknęła oczy z palcem na ekranie i próbowała sobie wytłumaczyć, co się teraz dzieje. Czuła we włosach nieprzyjemny zimny wiatr, wpadający przez uchylone okno wagonu metra mknącego tunelem w stronę Ursynowa.

Mieli się spotkać w weekend. Zastanowić nad scenariuszem, sprawdzić, czy ich wizje są spójne. Może ustalić jakiś plan na najbliższe tygodnie. Wiedziała, że nie

powinna go naciskać, poznała go przecież wtedy przez ten rok, gdy byli razem. Ostrożny aż do bólu, trochę jak żółw, który chowa głowę w skorupę, gdy zwierzy niebezpieczeństwo.

Czy to możliwe, że ją oszukał? Że zamiast pojechać na spotkanie z producentem postanowił za jej plecami odnaleźć tę dziewczynę? I czy to na pewno była ona, tam przed bistro?

Anka przełknęła ślinę. Wiele by dała, żeby znaleźć się wtedy na miejscu Marcina i Marty. Podświadomie czuła, że nie zadali jej pytań, które sama chciała zadać. Co myślała, gdy przyszedł do niej Artur i niczego od niej nie chciał? Dlaczego po prostu stamtąd nie odeszła, dlaczego dała się wykorzystywać? Czy miała wyrzuty sumienia, że pociągnęła go za sobą i zginął, bo postanowił się za nią wstawić? Gdzie jest? Co porabia? Jak ją znaleźli?

I wiele innych. Nieskończoną ilość. Bo Anka od spotkania z Marcinem nad scenariuszem i szoarmą nie przestawała myśleć o tym, jak mogły się potoczyć losy tamtej dziwnej dwójki, którą – jak się okazało – połączyła jedna książka.

„Następna stacja: Imielin”. Puste mieszkanie, bo Patryk i Julka pewnie nie wrócili jeszcze od jego rodziców. Oddzielne sypialnie. Pustka, której Anka nie była w stanie wypełnić. Zapraszam na stronę exsites.pl

Schowała telefon do torebki. Wstała, chwyciła poręcz i próbowała się otrząsnąć z ponurych myśli. Nie była w stanie wyostrzyć zamglonego wzroku.

„Gdzie jesteś, Alicjo? Kim jesteś?”

Alicja poczuła, że zaczyna wracać jej świadomość. To, co wstrzyknęła jej Majka w samochodzie, musiało być tą samą trucizną co kiedyś, ale w znacznie mniejszej dawce. Alicja powróciła najpierw do swojej pustki, różowej przestrzeni przesłoniętej teraz szarymi obłoczkami, ale nie spotkała tam nikogo – ani Królowej Kier, ani żadnego z bajkowych stworów. Przez chwilę wydawało jej się, że spomiędzy obłoczków patrzą na nią niebieskie jasne oczy Lady Galadrieli o twarzy Cate Blanchett, ale to mogła być tylko gra świateł, które przenikały przez jej powieki. Miała wrażenie, że słyszy różne rzeczy – dźwięk silnika, głos Majki rozmawiającej z kimś przez telefon, klakson.

Nie mogła poruszyć rękami ani otworzyć oczu, ale czuła. Czuła powiewy wiatru z otwartych okien samochodu. Smród spalin. Ktoś dotykał jej policzka dłonią, to była miękka dłoń, kobieca. Pewnie Majka, lituje się nad nią, albo może nie potrafi uwierzyć w swoje szczęście – udało jej się dorwać zgubę i pozwala sobie na chwilę melancholijnego triumfu.

Potem spaliny zniknęły, jakby zjechali z uczęszczanej szosy. Powietrze stało się czystsze, zapachniało lasem, zbutwiałymi liśćmi, potem przez chwilę obornikiem,

a potem znów lasem. A więc wyjechali z miasta.

Samochód w końcu zatrzymał się i Alicja wyczuła, że przez otwarte drzwi jakieś silne męskie dłonie próbują wyciągnąć ją z tylnego siedzenia. Nie opierała się, to wszystko tak musiało być. Zdecydowała o tym tam, na dworcu. Już nie było odwrotu. Ktoś niósł jej szczupłe ciało na rękach, ktoś inny otworzył jakieś drzwi.

Gdy znaleźli się w budynku, w jej nozdrza wdarły się opary lakieru do parkietów, zapach świeżo położonego tynku i akrylowej farby. Położyli ją na czymś miękkim i rozpięli suwak. Biała kurtka z kapturem odpłynęła gdzieś w niebyt, to samo spotkało buty, a potem wprawne palce Majki rozpięły po kolei guziki jej koszuli i dżinsów. Jeszcze chwila i była prawie naga, w samych majtkach i staniku. Twarde męskie dłonie uniosły ją za ramiona, haftki stanika puściły pod naporem kobiecych palców. Alicja zadrżała i wyobraziła sobie, że wychodzi z różowej pustki i odlatuje pod sufit, żeby przyjrzeć się temu, co będzie się z nią działo.

Leży z gęsią skórką na ramionach i udach na łóżku z szarym materacem, w jakimś dziwnym pokoju, z puchatym dywanem i starym zegarem. Wahadło nie porusza się, wskazówki pokazują za pięć dwunastą. Majka i jej facet, ubrani w białe fartuchy naukowców, wyciągają z pozłacanej skrzyni i zakładają na nią atrybuty jej nieszczęścia: półprzezroczystą halkę z szarego muślinu, grafitowe pończochy z kokardami w białe groszki i błyszczące czarne buty na wysokich obcasach. Znów wygląda jak mroczna królewna czekająca na swojego księcia.

Tymczasem wciąż leżała, a oni chyba wyszli, bo już nie słyszała ich oddechów. Próbowwała otworzyć oczy, ale powieki były za ciężkie. Wyobraziła sobie swoją dłoń, jej fantom odłączył się od bezwładnej dłoni leżącej na materacu. Uniosła tę lśniąca powłokę i przesunęła palcem wskazującym przed twarzą.

Badam to miejsce na plecach mężczyzny, który leży na mnie. Skończył, jest półprzytomny, zapadł w sen. Poruszam palcami jak harfistka, jak niewidoma. Teraz to ja jestem Panią. Nie pozwolę mu się tak szybko obudzić i uderzyć mnie w twarz.

Chropowata faktura. Wybrzuszenie. Ma kształt spłaszczonej litery S. Znak Zorro? Błyskawica? Czuję pod palcami coś jakby strup. Ale nie, to kiedyś było strupem, długim na kilkanaście centymetrów. Rana. Zabliźniła się. To blizna. Zaczyna się tuż nad owłosionymi pośladkami i zygakiem biegnie do nerki, a potem z powrotem do kręgosłupa.

Blizna.

Wybudziła się, gdy znajome męskie dłonie podniosły ją z łóżka. Woń lakieru do parkietów stała się silniejsza, a Alicja poczuła na powiekach blask świetlówek. To mógł być hol. Hol tamtego domu, w którym przeżyła pół roku względnego spokoju i trzy lata naznaczone trucizną i zniewoleniem.

Dłoń Alicji uderzyła o drewnianą framugę. A zatem weszli przez drzwi. Pewnie ten sam pokój co wtedy. Pachniał teraz perfumami, jakby ktoś delikatnie spryskał nimi pościel. Zapach róż. Czy stoją tu jakieś róże w wazonie? Myśl poszybowała jej w stronę szklarni z różami i małego domu pod lasem, które zostawiła wczesnym rankiem, gdy wstała i nikomu nic nie mówiąc, wyszła na pociąg. Odgoniła tę wizję. Gdyby tego nie zrobiła, z jej ust wypłynąłby pewnie mimowolny jęk. Tego nie chciała.

W końcu została położona na atłasowej pościeli. Czekwała na kolejne ukłucie igły, ale nie nastąpiło. Zamiast tego ktoś ujął jej nadgarstek, odgiął ramię do tyłu i przewiązał. Szarfą? Chustką? Potem drugi nadgarstek, tak samo. Została skrepowana, z rękami przywiązanymi do wezłowania.

– To na razie wszystko – usłyszała cichy męski głos. – Zostawcie nas samych. Proszę, żebyście wrócili za dwie godziny.

– Możemy zostać na dole? – spytała Majka. – Będziemy do czegoś potrzebni?

– Nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek był w pobliżu. Proszę pojechać do domu czy gdziekolwiek. A potem tak, jak się umawialiśmy.

Alicja nie usłyszała już głosu kuzynki. Drzwi zamknęły się za nią i za jej facetem, w pokoju zapadła głucha cisza. Zapach perfum i róż. I lakieru. Ciche skrzypnięcie, jakby ktoś opadł ciężko na fotel z drewnianą ramą.

– Alicja?

Uniosła ciężkie powieki. Zobaczyła najpierw swoje ciało w szarej halce i nogi w rajstopach, tak jak sobie wyobrażała. Światło lampy padało tak, że twarz mężczyzny siedzącego w fotelu ukryta była w cieniu. Jedną dłoń trzymał na oparciu, a drugą na blacie małego stolika z wazonem pełnym czerwonych i żółtych róż. Na parapecie w kryształowym świeczniku płonęły trzy białe świece.

– Nie nazywam się Alicja – odpowiedziała cicho.

– A jak?

– Nieważne.

– Harda jesteś.

– A pan? – spytała. – Jak pan się nazywa?

Mężczyzna podrapał się po czole i Alicja dostrzegła siwiznę na jego głowie.

– Być może mnie pamiętasz – zaczął powoli i cicho. Głos miał zmęczony, jakby długo czekał na to spotkanie. Zbyt długo. – Spotkaliśmy się osiem lat temu. Na chwilę. To było w mazurskim szpitalu, kiedy przywieźli tam Artura. Dowiedziałem się o tym, wsiadłem w samochód i popędziłem na złamanie karku. Byłaś tam przy nim, kiedy przyjechałem. Półprzytomna. Dlatego nie wiem, czy pamiętasz moją twarz. Wcześniej postarałem się, żebyś ani razu jej nie zobaczyła.

Alicja słuchała z zaciśniętymi szczękami. Głos nie brzmiał znajomo. Przez kilka lat raz na jakiś czas rozmawiała z tą osobą, ale zawsze przez telefon. Teraz, na żywo, głos brzmiał inaczej. Był głosem zmęczonego życiem starszego mężczyzny, ale nie tamtego.

– Czy już wiesz, jak się nazywam?

– Nie – odpowiedziała i zmrużyła lewe oko.

– A może powiedziec ci w takim razie, jak się poznaliśmy?

Milczała.

– Jedenaście lat temu pracowałem dla Majora, byłem jego prawnikiem – ciągnął mężczyzna. – Był moim szefem. Bałem się go, ale podziwiałem. Miał pod sobą tylu ludzi, a jednak czułem, że obdarzył mnie przyjaźnią. Któregoś wieczora przyszedł tu, Major, ja i kilku innych, takie męskie towarzystwo szukające rozrywki. Siedzieliśmy w holu na sofach i raczyliśmy się jackiem daniel'sem. Rozmawialiśmy. O różnych sprawach. O interesach Majora. I wtedy na chwilę weszłaś, w zwykłej koszulce z kołnierzykiem i ciemnych dżinsach. Chyba zostałaś wysłana, żeby sprawdzić, czy niczego nam nie brakuje. Wtedy cię zobaczyłem. Małą, drobną, niepozorną. Prawie dziecko. Nie mogłem oderwać wzroku od twoich oczu. Były dziwne, ale zarazem piękne. To mnie zafascynowało. A potem wszystko potoczyło się tak szybko. Major zapewnił mi dyskrecję. Mogliśmy się spotykać, tylko ty i ja. Nikt nam nie przeszkadzał.

Mężczyźnie musiało zaschnąć w gardle, bo sięgnął do butelki stojącej na stoliku i nalał sobie trochę wody do wysokiej szklanki. Alicja patrzyła, jak wolnym ruchem podnosi szklankę do ust i upija łyk.

– Nawet nie wiesz, jaką straszliwą zazdrość poczułem, gdy dowiedziałem się, że mój syn wyrywa mi cię z...

– Ostatnie słowa – przerwała mu Alicja.

– Co?

Szklanka zawisła w połowie drogi do stolika. Mężczyzna wciąż tkwił w cieniu, ale Alicja miała wrażenie, że widzi wpatrujące się w nią, świdrujące oczy.

– Ostatnie słowa, panie Darku. Nasze hasło.

– Ostatnie słowa z czego? – wymamrotał mężczyzna.

– Nie wiesz?

Mężczyzna na fotelu milczał. Zacisnął drapieżną starczą dłoń na szklance. Alicja wpatrywała się w tę dłoń lewym okiem. Tak właśnie wyobrażała sobie kościste szpony Sarumana.

– Nie wiem, kim jesteś – powiedziała cicho. – Ale na pewno nie jesteś Dariuszem Sosnowskim.

„Cholera. Cesarka. Marta, trzymaj się... Ile to może potrwać?” – myślał gorączkowo Marcin. Gdzieś czytał, że trzy do pięciu minut, ale tyle na pewno już minęło od momentu, gdy obrotowe drzwi zamknęły się za łóżkiem, na którym wieźli jego żonę. „Może jeszcze jakiś wywiad lekarski, może muszą podać jej znieczulenie, kurwa...” Czuł, że za chwilę oszaleje, musiał się uspokoić, wziąć w garść.

Trzeba do kogoś zadzwonić. Do Julii...? Nie, nie zadzwoni do matki, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Ona nie musi teraz wiedzieć. Ostatnie, czego potrzebuje, to wyrzuty, że doprowadził Martę do takiego stanu.

Mimo to wyjął drżącymi rękami telefon. Nieodebrany SMS od Alicji. Teraz to i tak za późno. Zresztą pewnie zaraz wsiada do pociągu. Albo już jedzie...

„Czeka na mnie Majka. Idę na spotkanie. Żegnaj, Frodo, tym razem już na zawsze”.

Poczuł niewyobrażalną żalność. Gdyby poczekała, gdyby nie była taka niecierpliwa. Wszystko szło w dobrym kierunku, jeszcze trochę i prawda o wydarzeniach sprzed ośmiu lat zostałaby odkryta. W całości. Może nie on, może Rulewski – któryś z nich powiedziałby jej, kto za tym wszystkim stał. A tak? Poszła tam bez namysłu. I właściwie: dokąd?

Majka. Czyli do tamtego burdelu pod miastem?

Wpatrywał się w białe kafelki na przeciwległej ścianie. Tony Orłowski. Jeśli Andrzej rzeczywiście posłał kogoś za Orliczem, to była jeszcze szansa. Orlicz jest obserwowany. Może ktoś za nim jedzie do tamtego burdelu. Wystarczy zadzwonić do Andrzeja i powiedzieć, że jest tam też Alicja. Niech ją ratują.

Nie dawało mu jednak spokoju to hasło Majora. Czy nie za szybko podjął trop prowadzący do nowego dyrektora w departamencie, zwabiony oczywistym podobieństwem dwóch nazwisk?

Poczuł mrowienie na karku.

Orzeł.

Przypomniał sobie, co odpowiedział rano niemieckiemu ornitologowi, zachwyconemu ptasimi krzykami w mazurskim lesie okalającym hotel Pink Rose.

Podniósł telefon Marty i wpisał do wyszukiwarki: „orzeł po niemiecku”.

Odpowiedź sprawiła, że zmiękły mu kolana. Zalała go wielka fala rezygnacji. Dał się oszukać. Pozwolił się wodzić za nos. Nie chodziło o scenariusz. Cały czas chodziło tylko o nią. O Alicję.

Odpisał jej z telefonu Marty, w poczuciu straconej szansy i beznadziei.

Drzwi sali operacyjnej wciąż były zamknięte, a Marcin nie słyszał żadnych dźwięków. Wciąż nie słyszał tego, co chciał usłyszeć. Płaczu noworodka – Jurka

Bielawskiego, na którego tak długo czekali, on i Marta, a o którym ostatnio chyba zapomniał, wciągnięty w obsesyjną pogoń za dziewczyną Artura.

Rulewski. Musiał z nim teraz natychmiast porozmawiać.

– Andrzej, gdzie jesteś?

– Jadę do Warszawy, stary, stoimy z Teresą w korku przed Łomiankami.

– Z jaką Teresą? Tą koleżanką Marty?

– No. Jak tylko dojedziemy do Wawy, muszę uciąć sobie małą pogawędkę z Dariuszem Sosnowskim.

Marcin dotknął dłonią czoła.

– To nie Dariusz Sosnowski gwałcił Alicję – powiedział cicho.

– Domyślam się – usłyszał beztroski głos Andrzeja. – Jadę do niego w zupełnie innej sprawie. Ale nie martw się, gadałem z moim paparazzo, Orlicz miał krótką randkę z kolorowymi oczami, a teraz siedzi w innej knajpie i znowu na kogoś czeka. Niezły z niego podrywacz.

Marcin wziął głęboki wdech. Czuł się jak szmata, wyżęta ścierka, a musiał zabrzmieć jak ktoś zdeterminowany. Zdeterminowany, żeby pomóc tamtej dziewczynie, nawet wbrew jej woli.

– Posłuchaj, Andrzej – zaczął. – Ojciec Artura nie jest teraz ważny. Orlicz też nie jest ważny. To nie on. Wiem już, kto krzywdził Alicję. Są teraz w tym starym burdelu za miastem. Tym, do którego pojechałem wtedy z Bolkiem.

– No co ty gadasz?

– Jedź tam, błagam, przerwij to. Marta rodzi. Ja już nic więcej nie mogę.

– Ale skoro nie Orlicz, to kto?

Wszedł do ciemnej i cichej kawiarni wypełnionej zakurzonymi bibelotami i olejnymi portretami sprzed kilkadziesiąt lat. Przed wejściem włożył do plecaka profesjonalny aparat i wyjął stamtąd malutką małąpkę, z którą nie będzie się rzucał w oczy. Jego cel – przygarbiony mężczyzna przed sześćdziesiątką – siedział przy oknie i przeglądał kartę, ale widać było, że z niecierpliwością na kogoś czeka.

Mundek podszedł do kontuaru i zamówił kawę.

– Miałaby pani coś przeciwko, jak pstryknę sobie parę fotek? – spytał kobiety za kontuarem. – Podoba mi się wystrój. Może wrzucę na bloga.

– Bardzo proszę. – Oczy kobiety rozbłysły. – Pan turysta?

– Coś w tym rodzaju.

Odczekał parę chwil i podszedł z białą filiżanką do stolika. Usiadł i zerknął na mężczyznę, który wpatrywał się w jeden punkt przed sobą i nerwowo kręcił młynki palcami. Gdy rozbrzmiał mosiężny dzwonek przy drzwiach i pojawiła się w nich kobieta, mężczyzna natychmiast wstał.

Mundek poczuł się nieswojo. Zazwyczaj od celu dzieliło go kilkadziesiąt bezpiecznych metrów, a nie trzy lub cztery puste stoliki. Siedział ze swoją małpką w dłoniach i zastanawiał się, jak wycelować i pstryknąć.

Orlicz wyszedł zza stolika, a ubrana w granatowy płaszcz brunetka przed czterdziestką bez grama makijażu na twarzy podeszła do niego i obdarzyła go ładnym melancholijnym uśmiechem.

– Nie wiem, co powiedzieć, Rózo – powiedział Orlicz cicho. – Tyle lat minęło.

– Nie miałabym ci za złe, gdybyś zapomniał, Włodku – odpowiedziała kobieta. – Byłam wtedy za młoda, pewnych rzeczy nie umiałam sobie wyobrazić.

– Być może byłem zbyt pewny siebie.

– Albo po prostu tak miało być.

Orlicz przez chwilę patrzył na kobietę w milczeniu.

– A teraz? To ma jakikolwiek sens? – spytał w końcu. – Może to tylko skutek tego, że zobaczyłaś mnie wczoraj z tamtą dziewczyną?

– Nie wiem – przyznała szczerze kobieta nazwana Różą. – Ale wiem, że potrzebuję przyjaciela. Życie naprawdę mnie przeorało. Ty nie potrzebujesz przyjaciółki, Włodku?

– O ile ta przyjaciółka nie powie mi znów pewnego dnia, że się pomyliła i żebym więcej do niej dzwonił.

– Nie powie. – Kobieta się uśmiechnęła. – Jest starsza. Dojrzała do pewnych spraw.

Mundek słuchał tej rozmowy z palcem na spuście małego aparatu. Rzadko to robił, ale teraz wyobraził sobie, co będzie, gdy prześle zdjęcie Andrzejowi i wydrukuje je „Twoja Gazeta”. Zrobią z tego parę dni sensacji. Żonaty, urzędnik, artysta, grzebanie w przeszłości, niewygodne pytania, paparazzi na ogonie, wstyd dla rodziny.

„A może darować tej dwójce? Dać im szansę?” – pomyślał.

Dopił kawę, schował małpkę do plecaka i wyszedł.

Siedzieli na dwóch odwróconych wiadrach z mocnego plastiku, których Benny używał do noszenia wody królikom. Bolek zaciągnął się mocno, odgiął głowę i podał džointa Benny'emu. Chłodny wiatr przywiał zapach wilgotnych sosnowych szyszek. Wieczór był cichy. Tylko psy szczekały w oddali – ale one zawsze szczekają.

– I co? – spytał Benny, wydmuchując dym. – Taką robili zamarachę wokół naszego Artura, a i tak rozeszło się po kościach. „Co pamiętasz, Kuba? Co pamiętasz? Scenariusz będę pisał”. Ten jego koleżka pokręcił się chwilę i pewnie mu się znudziło. Nie wyglądał na takiego, któremu by się chciało.

– Koleś od porsche też się nie odezwał – mruknął Bolek. – Te sparciałe wężyki. Na pewno pierdyknie mu to w trasie. Albo poszedł do Downa. Ja pitole.

– Znaleźliście chociaż coś w tym burdelu?

– Tylko książkę. Laska miała na imię Alicja. Pewnie nie żyje, jak Artur. Albo wywieźli ją do Niemiec. Taki ich los.

Benny przymknął oczy.

– Ja to czasami sobie wyobrażam, że Artur się wywinął – powiedział cicho. – Że się gdzieś z tą laską zadekował. On tu nie pasował, stary. Przychodził do nas na boisko, ale głowę miał zawsze gdzie indziej. Jak mnie nachodzi gorszy dzień, taka kurewska melancholia, to tak sobie myślę, że kupił sobie chatkę w lesie, tysiąc książek i siedzi tam, i czyta. Od razu mi lepiej.

– Że co niby? – spytał Bolek podejrzliwie. – Olał nas i się gdzieś wyprowadził? A w grobie to niby kto leży?

– Mówię przecież, że tak sobie wyobrażam. – Benny spojrzał z ukosa. – Nie mogę sobie wyobrazić?

– Luz.

Przez chwilę siedzieli w ciszy i zerkali na uchylone okno w kuchni, za którym słyhać było stukot talerzy i sztućców, przerzucanych z jednej komory zlewozmywaka do drugiej.

– Jakby Ewka do nas wyszła, to zagaś, okej? – mruknął Benny.

– Nie możesz sobie zapalić przy niedzieli? – Bolek się uśmiechnął. – Ech, ci żonaci. Czeka, ktoś dzwoni.

Sięgnął leniwie do kieszeni polarowej bluzy i wyciągnął komórkę, grającą głośno motywem z Drużyny A.

– Cześć, Bolek, pamiętasz mnie? – usłyszał w słuchawce podniecony głos koleś od porsche.

– Siemanko. – Zerknął porozumiewawczo na Benny’ego. – Znowu zabrakło ci towaru? Czy jednak wstawiamy porszaczka na kanał?

– Nie. Ale mam do ciebie prośbę. Trzeba gdzieś pojechać.

– Ty, stary, jaramy sobie teraz z Bennym...

– Nie ma, że jaramy. Chodzi o dziewczynę Artura. – Andrzej spowaźniał. – Zbieraj dupę z kumplem. Ty jeden znasz adres.

Mężczyzna wstał z fotela i wszedł w krąg światła. Kto to? Na pewno nie Dariusz Sosnowski, to już Alicja wiedziała, chociaż obaj byli wysocy i po sześćdziesiątce. Ten tutaj ciało miał wyprostowane, chociaż głowa lekko leciała mu do przodu, jakby jego barki przygniatał niewidzialny ciężar. Policzki obwisłe, ale świeżo ogolone. I te świdrujące ciemnobrązowe oczy.

Saruman.

– Masz tajne hasło z Dariuszem Sosnowskim? – spytał z nieudawanym zdziwieniem. – Po co? Co cię z nim łączy?

– Czemu mam panu o tym mówić? – Alicja przekrzywiła głowę. – Uraczył mnie pan przed chwilą perfidnym kłamstwem.

– Przyznaję. – Saruman się uśmiechnął. – Nie umiem pozbyć się mojej obsesji na punkcie dyskrecji i wymyślania sobie nowych ról. Ale to wszystko zaczęło się jednak od prawnika Majora. I obiecuję, że od teraz prawda i tylko prawda. – Położył dłoń na piersi w jasnej koszuli w paski.

– Nie wierzę.

– Nie masz wyjścia, kochanie. Tak jak ci mówiłem, przyszliśmy pewnego wieczora do tego domu, jedenaście lat temu. Ja, Major i kilku innych facetów. Piliśmy whisky w holu i wtedy rzeczywiście wyszłaś z jakichś drzwi i zapytałaś, czy czegoś nam nie trzeba. Ale to nie ja pierwszy zwróciłem na ciebie uwagę. – Saruman na chwilę tajemniczo zawiesił głos. – To Dariuszowi Sosnowskiemu zaświeciły się oczy na twój widok. Ja miałem wtedy w czubie i przyszedłem tu dla dwóch długonogich escorts. Kiedy odeszłaś, Dariusz nachylił się do nas i powiedział: „Panowie, ta mała jest niesamowita”. Ale nasz gospodarz spojrział na niego dziwnie i Dariusz nie wracał już do tematu. Nie wiem, co mu się wtedy w tobie spodobało. Że miałaś czternaście lat? Że byłaś chuda jak szczapa i prawie nie miałaś piersi? Lubił takie dziewczynki?

Alicja przymknęła oczy. To było przykre. Cholernie przykre.

– Uspokoję cię, że prawie na pewno Major nie pozwolił mu cię dotknąć. Ale gdy przechodziłaś przez hol następnym razem, to zacząłem ci się przyglądać. Usiadłaś w jakimś kącie i patrzyłaś w naszą stronę. Najpierw zobaczyłem twoje oczy. Znałem

je. Znałem tę skazę. Szczerze, to gdyby nie ona, nie oderwałbym wzroku od kolan tych dziewczyn, które mnie obejmowały. Momentalnie wytrzeźwiałem i przyjrzałem się jeszcze raz. Całą sobą kogoś mi przypominałaś. Twarzą, powściągliwą mimiką, figurą dziecka.

Alicja próbowała przywołać tamtą sytuację pod powieki, ale to było tak dawno temu. Zwykły wieczór, może pół roku po jej przybyciu do tego domu. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że na jej losie zaważyła taka ulotna chwila. Pięciu czy sześciu facetów na dwóch sofach. „Przepraszam najmocniej, Majka pyta, czy niczego panom nie brakuje”. Śmiech. „Nie, dziękujemy, dziecko, wszystko okej”.

– Do kogo byłam podobna? – spytała.

Mężczyzna, nazwany przez Alicję Sarumanem, wziął głęboki oddech i odchrząknął parę razy. Usiadł z powrotem na fotelu i zarzucił nogę na nogę. Z kieszeni marynarki wyjął okulary i założył je na nos. Z drugiej kieszeni wyciągnął złożoną kartkę papieru.

– Za mało tu światła – mruknął niewyraźnie. Wstał, podszedł do parapetu i wziął z niego świecznik. Postawił na stoliku obok fotela i ponownie usiadł. – To jest list, który niedawno napisałem. – Podniósł kartkę. – Po kilku zawałach człowiek zaczyna się zastanawiać, ile czasu mu zostało. I czy warto w tak ważnej sprawie zdawać się na przypadek. W końcu uznałem, że nie zostawię tego listu na widoku, tylko zabiorę go ze sobą. Bez listu jest tajemnica, a ja bardzo lubię tajemnice.

Alicja przełknęła ślinę. Napięła mięśnie i podciągnęła się na związanych dłoniach. Poczowała pod plecami miękką poduszkę. Mężczyzna trzymał kartkę w dłoni, ale przymknął oczy, jakby o niej zapomniał i szukał czegoś w pamięci.

– Per ego haec loca plena timoris – zaczął deklamować głosem pełnym smutku i żaru. – Per Chaos hoc ingens vastique silentia regni, Eurydices oro properata retexite fata.

Alicja nie zrozumiała ani słowa, ale wiedziała, że to łacina. A potem sama przymknęła oczy i zobaczyła pod powiekami lśniące wersy. Odczytała je tak, jakby rzucała temu mężczyźnie wyzwanie:

– Or waith bain nura Anor, A panlû elin cuinar, Ú-pedithon i-aur gwann, Egor nai îl namarië.

Saruman patrzył na nią z rozdziawionymi ustami, a potem parsknął śmiechem.

– Tego języka nie ma, panienko. – Przyłożył dłoń do ust. – Wymyślił go ten wasz Tolkien, bazarz od siedmiu boleści. Jest jakiś przekład, czy to tylko taki bełkot dla nastolatków?

Alicja próbowała sobie przypomnieć, co znaczyły te linijki w języku elfów. To było coś prostego, bardzo prostego, ale miało w sobie urok i melancholię. „Ten facet i tak

to wyśmieję” – pomyślała ze złością. Był nadętym bufonem przekonanym o własnej wyższości.

– Milczysz – stwierdził krótko. – Zatem słuchaj. – Uniósł dłonie w teatralnym geście i wydeklamował: – Na okropność tych pieczar, ten zamęt głęboki, na to państwo milczenia i wiecznej pomroki, błagam was: Eurydykę wróćcie mi kochaną, zwiążcie przedzę jej życia, za wcześnie zerwaną!

Eurydice. Eurydyka. Alicja szukała w pamięci, skąd znała to imię. Chyba śpiewała o niej Anna German. Czy chodziło o tego Orfeusza, który chciał wyrwać zmarłą kochankę z odmętów Hadesu?

Już chciała coś powiedzieć, kiedy usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości. To był jej telefon! Saruman drgnął zaskoczony i zaczął grzebać w kieszeni marynarki. Spojrzał na komórkę i przeciągnął palcami po ekranie. Czytał coś przez chwilę, z okularami zsuniętymi na koniec nosa.

– No proszę. Koleżanka Bielawska przesyła ci tożsamość twojego adoratora. Ale zanim nadjedzie kawaleria, nas tu już nie będzie.

– Co chce pan zrobić? – spytała cicho.

– Co ja chcę zrobić? – odpowiedział pytaniem. – Najpierw przeczytam ci fragment mojego listu.

Alicja podciągnęła się znów na skrępowanych dłoniach. Poczuła ból w nadgarstku.

– Od wielu lat zastanawiam się, w jaki sposób świat widziałaś Ty – zaczął czytać. – Jaki świat widziało Twoje lewe oko o kolorze śródziemnomorskiej fali? Co widziało, czym fascynowało się Twoje prawe oko barwy saharyjskiego piasku? Wiecznie zmrużone, nieobecne, przygaszone. Przy Tobie zastanawiałem się zawsze, czy wszyscy ludzie widzą świat tak samo. Czy to, co widzę ja, jest tym samym, co widziałaś Ty? Tak niewiele mówiłaś. Tak dużo słuchałaś, uwielbiałem mówić w twoim towarzystwie, ale dopiero po wszystkim dotarło do mnie, że nie poznałem twojego wnętrza.

Alicja przełknęła ślinę.

– Więc już później, gdy odeszłaś, lubiłem sobie wyobrazać, że tego zdrowego oka używałaś, gdy chciałaś obejrzeć zachód słońca nad jeziorem, piękny kwiat, przejmujący spektakl. Prawe oko włączałaś, gdy świat wokół brzydł, gdy ludzie krzyczeli i złorzeczyli sobie nawzajem, gdy się krzywdzili. Wtedy zapadałaś się w przestrzeń w swojej głowie jak łódź podwodna, a ono było tylko czujką, peryskopem. Wynurzałaś się dopiero wtedy, gdy na horyzoncie pojawiała się znów dobro i piękno, ale to były rzadkie momenty, tak niezmiernie rzadkie.

Mężczyzna upił łyk wody ze szklanki i spojrzał na Alicję zza okularów. Słuchała listu z dziwną emocją rodzącą się gdzieś w jej brzuchu. To było prawie tak, jakby

mówił o niej samej. Więc naprawdę kochał kiedyś kobietę z oczami podobnymi do jej oczu. A teraz siedział w tym fotelu i wydawał się przeżywać jej śmierć na nowo.

– Białaczka, cóż za podstępna choroba. – Głos lekko mu się załamał. – Po Twojej śmierci codziennie czułem niewypowiedzianą żalność. Patrzyłem na świat dookoła i nie znajdowałem w nim nikogo, kto mógłby mnie słuchać tak jak Ty. Funkcjonowałem jak robot, szukałem bratniej duszy, drugiej Ciebie. Rok po roku zdawałem sobie sprawę, że byłaś jedyna, wyjątkowa. Z czasem odkryłem, że ludzie patrzą tylko na pozę, na umiejętności, na tak zwany talent. Nauczyłem się mówić tak, żeby słuchali. Omijałem z dala tych, którzy przez skórę wyczuwali mój fałsz. Reszta klaskała tym głośniejsze, im bardziej moja poza oderwana była od mojego prawdziwego wnętrza, od mojej pustki, od mojej tęsknoty za Tobą. Pochwały działały jak balsam, jak najlepszy alkohol. Zapominałem wtedy na moment o Tobie. Postanowiłem, że nie rozstanę się z moją pozą. Była moją morfiną.

Alicja słuchała tego ciepłego smutnego głosu i czuła, jak jego wibracja przenika do jej serca. Był jak trucizna ukryta w miodzie. Przez moment współczuła mężczyźnie jego straty. Jak bardzo musiał ją kochać, tę kobietę, Eurydykę, skoro tyle lat po jej śmierci zapragnął odnaleźć ją w niej – prostej dziewczynie, która uciekła z domu i nie miała nic oprócz dziwnych oczu.

Siedział przed nią nieszczęśliwy starzec. Ale ten człowiek był też jej oprawcą i dla własnego widzimisię pozbawił ją młodości, odebrał jej wszystko, odarł z godności, z wolnej woli. Zatruił jej mózg narkotykiem i nie pozwalał wyjść z ciemności. Przypomniła sobie jego głos, gdy ostatnim razem gwałcił ją i szarpał.

„Tak po prostu sobie poszłaś. Jak mogłaś mi to zrobić? Co ty sobie myślałaś? Zostawiłaś mnie. Obudź się wreszcie i popatrz na mnie. Jestem tu dla ciebie. Czekam na ciebie”.

Ten sam głos, ale bez tej zapiekłości, spytał ją w mazurskiej głuszy: „Dokąd mam jechać?”. Wtedy zupełnie go nie skojarzyła. To był tylko przestraszony starszy pan, który wyjechał z za zakrętu. Uratował ich, ją i Artura, spod butów wściekłych oprawców. Myszka Miki na schowku. Skąd się tam wziął?

Myszka Miki. Jan Adler.

Jechał do Stokrotki. Po co?

Żeby wziąć ją po raz trzydziesty siódmy.

Rocznica. Nowy rok.

Medalion. Czarodziej. Nekromanta.

Wszystko nagle ułożyło jej się w jedną całość. Chciał odzyskać swoją miłość. Był jak upiór odprawiający magiczny rytuał. Próbował wbić się w nią miękkim penisem, szarpał, rzucał głową o poduszkę – żeby się obudziła, ale nie ona, tylko tamta.

Pokój zawirował Alicji przed oczami. Teraz ten mężczyzna chciał umrzeć, po to napisał piękny pożegnalny list do swojej Eurydyki. Ale do czego była mu potrzebna ona?

– Przeczytam ci jeszcze jeden fragment.

– Nie, dość, dziękuję – przerwała mu. – Niech mi pan powie. Jak to ma się odbyć? Strzykawki? Najpierw zabije pan mnie, a potem siebie?

Wolnym ruchem odłożył kartkę na stolik i zdjął okulary.

– Tak.

– I co potem?

– Za dwie godziny przyjedzie nasza gospodyni z tym swoim fagasem. – Mężczyzna błysnął białkami. – Te szczury za pieniądze zrobią wszystko. Zabiorą nas i zakopią w największej głuszy. Tak żeby nikt nas nigdy nie znalazł.

– Po co?

– Dla tajemnicy. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Kiedy stary człowiek umiera tak normalnie, na serce albo na raka, to piszą o nim małe elegie i wkrótce zapominają. A ja chciałbym żyć dalej. Jako nierozwiązana zagadka, rozumiesz? Zniknął nagle i już się nie pojawił. Czy żyje gdzieś daleko, w innym kraju? Czy ogląda wiadomości i uśmiecha się pod nosem? A może pojawi się znowu, wyjdzie z cienia i po raz kolejny zaszokuje widownię?

Saruman wstał i zaczął krążyć po niewielkim pokoju. W końcu zatrzymał się, podszedł do Alicji i dotknął dłonią jej policzka.

– Mam jeszcze plan B – powiedział. – Możemy zrobić to bardziej elegancko i pożyć jeszcze trochę razem. Poznać się, tak naprawdę.

– Nie poznał mnie już pan dosyć? – Alicja próbowała odwrócić twarz, ale jego dłoń była jak przyklejona. – Trzy lata przychodził pan mnie gwałcić, miesiąc po miesiącu. Jak swoją własność.

– Gwałcić? – Saruman zmrużył oczy. – Czy tak według ciebie wyglądały nasze spotkania?

Stężała i spojrzała mu w oczy. Wiedziała, że zaraz powie coś ważnego, a ona musi skupić się i wychwycić każdy, choćby najmniejszy sygnał. Prawda czy kłamstwo?

Nachylił się do niej. Widziała teraz z bliska jego starą twarz poraną zmarszczkami. I perlisty pot na czole, jakby zżerała go gorączka. Tam na fotelu, w blasku świec, wydawał jej się kimś innym. Trzymał ją wtedy w żelaznym uścisku, na przemian chłostał i czarował głosem, jak stary król, który mimo choroby dźwizy berło i za żadne skarby nie odda królestwa. Teraz zobaczyła, jak blisko tej twarzy czai się śmierć. Była tuż, tuż. Nie, ona była już z nim, w środku.

– Rozmawialiśmy – powiedział w końcu.

– Rozmawialiśmy? – powtórzyła za nim, szczerze zdziwiona.

– Ja mówiłem, ty słuchałaś. – Przymknął oczy. – Nie oczekiwałem odpowiedzi, ale byłaś najwspanialszą słuchaczką tego, co miałem do powiedzenia. Przy tobie mogłem powiedzieć wszystko. Wszystko, co widziałem. Wyjazdy, wycieczki, spektakle. Moje najskrytsze pragnienia. Niegdysiejsze sukcesy. Niespełnienia. Mogłem opowiedzieć ci o tym, jak bardzo gardzę moją żoną, jak mierzi mnie bycie ojcem. Mogłem mówić bez skrępowania, kogo podziwiam i kogo nienawidzę. Nie oceniałaś mnie.

– Tylko tyle?

– Rysowałem cię. Twoje ciało było tak plastyczne po tej substancji. Mogłem ułożyć cię w dowolnej pozie i trwałaś w niej w bezruchu. Modelka doskonała.

– I co jeszcze?

– Gdy już się zmęczyłem, kładłem się obok ciebie. Otulałem się twoimi rękami. Zasypiałem jak dziecko i budziłem się, gdy czułem, że jeszcze parę minut, a narkotyk przestanie działać.

Alicja czuła, że rozpada się na kawałki. „Nie, to nie może być prawda” – myślała gorączkowo. Dlaczego mówił to z przymkniętymi oczyma? To dlatego, że chciał ją okłamać. Chciał zrobić sobie jej kosztem kolejny okrutny żart.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Starał się. To mogła być jedna z najdoskonalszych form udawania szczerości, niemal perfekcyjna w swojej niewinności. Żółte oko Alicji wychwyciło jedną drobną fałszywą nutę, gdy na ułamek sekundy jego spojrzenie uciekło w bok.

– Co więc jest tym planem B? – spytała, siląc się na spokój.

– Wyobraź sobie, moja droga. Wsiadamy do mojego auta i mkniemy przez Polskę do południowej granicy. Po dwóch, trzech dniach wita nas najpiękniejsze na świecie słońce. Takie słońce świeci tylko nad Adriatykiem. Wyłania się znad szmaragdowego morza i łechce nagie klify w Bari, w Ankonie, w Rimini. Omiata domki w kolorze piaskowca i nasze twarze, gdy siedzimy na promenadzie i chłonimy tę atmosferę. Tak jak wtedy, kiedy ja i... – urwał nagle.

– Po co była ta trucizna? – spytała Alicja cicho.

– Oprócz dyskrecji? Żebyś nie zniszczyła wrażenia. Nie otworzyła ust, z których wypełzłyby jakieś bzdury.

– Więc mam się nie odzywać na tej wycieczce?

– Nauczę cię. Nauczę cię wszystkiego.

Alicja bezwiednie zacisnęła szczęki.

– No i co na to powiesz, Alicjo?

– Nie mam na imię Alicja – wycedziła.

– A jak?

– Emilia Plater – rzuciła mu w twarz pierwsze, co jej przyszło do głowy.

„Już nie jesteś Saruman. Jesteś Jan Adler. Jan Adler nie żyje”.

– Żartujesz sobie ze mnie, dziewczyno? – Adler wstał.

Był nie tylko nekromantą.

– Anna Karenina – syknęła.

Był też wampirem. I właśnie uderzył ją w twarz.

– Wybacz – powiedział cicho. – Ale nie drażnij mnie już.

Był błądy, ale wciąż żywy. Nie miała zamiaru jechać z nim do Włoch. Nie miała paszportu, a dowód zostawiła w domu. Zresztą kto wie, może po drodze i tak zrealizowałby swój plan A? Nie chciała umierać. Miała dla kogo żyć.

– Rozwiążesz mnie? – Przekrzywiła głowę i zmusiła się do zalotnego spojrzenia, chociaż czuła, że jej prawe oko pała nienawiścią. – Chociaż na chwilę.

– Nie skończyliśmy jeszcze. Ale mogę rozwiązać ci jedną rękę.

Pokiwała głową energicznie. Mężczyzna usiadł na łóżku i powolnymi ruchami rozwiązał węzeł na jej prawym nadgarstku. Zdrętwiałe ramię opadło na prześcieradło.

– Dziękuję – powiedziała. – Tak. Pojadę z tobą do Włoch.

Spojrzał na nią, jakby nie dowierzał.

– Nie zapomniałeś o czymś jeszcze? – Zmrużyła oczy.

– O czym?

– O medalionie. To był prezent od ciebie. Teraz to wiem.

– Gdzie on jest? Nie u Bielawskiego?

– Jest w mojej kurtce na dole. Chcę go teraz mieć przy sobie.

Adler wstał i ruszył do drzwi. Przed wyjściem jeszcze raz omiótł wzrokiem pokój. Alicja siedziała spokojnie z lewą ręką przywiązaną do wezgłowia. Trzy świece, wazon z różami, list pożegnalny na stoliku. Pokiwał głową i wyszedł.

Podciągnęła nogi i wstała na łóżku na tyle, na ile pozwalał jej węzeł na lewym nadgarstku. Nie wierzyła w ani jedno jego słowo, musiała się dowiedzieć. Miała swój cel. List pożegnalny. Musiała go zobaczyć. Leżał trzy metry od niej, nagłówkiem skierowany w jej stronę. Wszystko tonęło jednak w mroku, lampa stała przy oknie, za daleko, i tylko światło świec pełzało delikatnymi ruchami po kartce.

„Musisz to zobaczyć, dziewczyno. Musisz”.

Zamknęła chore prawe oko i wyteżyła to zdrowe. Wychyliła się na łóżku najdalej, jak mogła. Czarne litery na kartce, małe, zbyt małe. Widziała początek nagłówka.

„Kochana...”

Do diabła, mogła przecież rozwiązać drugą rękę i podejść tam, zupełnie blisko! Chwyliła węzeł, ale jedną ręką nie mogła nic zdziałać. Wgryzła się zębami, ale tylko zadzierzgnęła mocniej i skrzywiła się z bólu.

Usłyszała kroki Adlera na schodach i położyła się na łóżku. „Kup sobie trochę czasu. To jeszcze nie koniec. Bądź zalotna. Bądź miła. I chociaż nigdy tak o sobie nie myślałaś, to bądź...

... prostytutką”.

– Dziękuję. Tak długo na niego czekałam.

Jan Adler spojrział w oczy dziewczyny leżącej przed nim na łóżku. Lewe oko, to zdrowe, oko w kolorze chabrów, patrzyło na niego z nieudawaną wdzięcznością. To prawe, piaskowe, zamglone, było zmrużone, przymknięte, ale Jan nie widział w nim wrogości. Zdawało się spać, drzemać. Przeszło mu przez głowę, że przyczaiło się, jak dzikie zwierzę ukryte wśród liści. Odgonił te myśli. Dziewczyna, Alicja czy nie, leżała rozluźniona i patrzyła na niego z rozchyłonymi ustami.

Medalion nie miał łańcuszka, ale tuż obok materaca na parterze Jan znalazł kłębek jutowego sznurka. To musiało na razie wystarczyć. Odgryzł kawałek i przewiązał medalion. Wrócił na górę, założył dziewczynie pistolety i róże na szyję, a ona wtedy uśmiechnęła się i podziękowała. Wyglądała pięknie i mrocznie. Ona i medalion – jedna całość.

To, co się właśnie wydarzało, nie miało prawa się wydarzyć, a Jan w najśmielszych snach nie przewidywał takiego rozwoju wypadków. Gdy spotkał się z Marcinem Bielawskim w Centrum Nauki Kopernik, jego plan zakładał, że powstanie jakiś scenariusz. Będzie w nim i Artur, i Alicja. Trochę prawdy, trochę fikcji. Więcej prawdy, ale w wersji wygodnej dla Jana. Lamparski wyłoży pieniądze na produkcję. On w tym zagra. Najlepiej rolę Dariusza Sosnowskiego. Paweł Dąbrowa był taki podobny do Artura, kolejny z dziwnych zbiegów okoliczności. Zrobi się szum, będą wywiady, ktoś zapyta: „Czy to na faktach, panie Janie?”. Przez ostatnie dwa tygodnie pozwalał płynąć wyobraźni, fantazjował, że ta dziewczyna zainteresuje się całą sprawą, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że ona naprawdę wypłynie z niebytu.

Nie przypuszczał, że sprawy potoczą się tak szybko i w takim kierunku. To było jak Blitzkrieg, wojna błyskawiczna. Marcin Bielawski, urzędnicze zero, dokonał rzeczy niemożliwej. Z pomocą swojego kolegi dziennikarza i kilku szczęśliwych zbiegów okoliczności wyciągnął na światło dzienne nie tylko Alicję.

Kogo jeszcze?

Norberta. Uwielbiającego narkotyki psychopatę, który miał odzyskać medalion, ale pomyliły mu się role.

Majora. Dawnego przyjaciela Jana, który mimo wątpliwości pozwolił mu na comiesięczne zabawy z jego lalką.

Lamparda. Jan uczył go tego, co wcześniej próbował przekazać Majorowi. Poza, rola, gra aktorska – to, a nie zwykła brutalna siła, daje prawdziwą przewagę. Major

był bardzo pojętnym uczniem, Lampard mniej. Starał się, ale był za mocno przywiązany do prostych schematów.

– Co się stało? Zamyśliłeś się? – usłyszał z łóżka miękki głos dziewczyny.

Wciąż na niego patrzyła. Uniosła kolana, opierając stopy na atlasowym prześcieradle, i rozchyliła nogi. Prawą dłonią, tą nieskrępowaną, powoli podwinęła halkę. Jan zobaczył jej łono, z ciemnymi włosami i pulchnymi wargami sromowymi. Nie było wygolone, jak to było teraz w modzie. Nawet jego żona sobie to zrobiła, chociaż ostatni raz zaglądał tam prawie rok temu, a potem odwrócił się na łóżku i zasnął.

Zdjął marynarkę, rozpiął guziki koszuli. Ukłękął przy łóżku i wtulił nos we włosy łonowe Alicji. Ten zapach. Pamiętał go doskonale. To ten zapach tak na niego działał. Gdyby nie on, być może znudziłby się tamtymi spotkaniami po trzech miesiącach, pół roku, może trochę dłużej...

Długie monologi, szkice ołówkiem i węglem, krótki sen u boku nieprzytomnej dziewczyny. Owszem, tak było na samym początku, może nawet rok, tego Jan już nie pamiętał. Długo wzbierał się przed fantazjowaniem na jej temat, miała czternaście lat i figurę dziecka, a on czuł obrzydzenie i strach na myśl, że ktoś mógłby go nakryć i nazwać pedofilem. W końcu whisky i koka wyłączyły te hamulce. Zrobił to, raz i drugi. Potem wyrzuty sumienia, przerwa. Kilka niepokojących lektur i zaczął fantazjować o tym, żeby ją wzbudzić. Nie tę dziewczynę, a Tamtą. W tej. Aleister Crowley, szamańskie przyzywanie zmarłych. Natrętne myśli nie chciały opuścić jego przyprószonej siwizną głowy. Jak wyrwać Ją z Szeolu, z Hadesu, z Czyśćca?

Wymyślił medalion, wpatrując się w jeden ze swoich szkiców przedstawiających jej nagie ciało. Pewnego zimowego wieczora usiadł z kartką papieru i grubym ołówkiem. Przymknął oczy. Chciał narysować pierwsze, co przyjdzie mu do głowy. Z przymkniętymi oczami zaczął wodzić ołówkiem po papierze. Grafit skrzypiał, rysował linie i zataczał kręgi. Gdy Jan otworzył oczy, zobaczył trzy kwiaty ułożone w kształt piramidy i dwie kreski, z których po kilku kolejnych minutach szkicowania stworzył pistolety.

Po miesiącu otworzył pudełko z gotowym medalionem, długo ścisnął go w dłoni i przyzywał nieznanne moce, by umieściły w nim kawałek jego duszy. Przez trzy kolejne spotkania próbował swojej czarnej magii, z medalionem na jej szyi. Albo był kiepskim magiem, albo magia nie istniała, albo może to przez narkotyki, w każdym razie dziewczyna nigdy nie obudziła się jako Ona. Odpuścił sobie, ale wiedział, że medalion stał się dla tej dziewczyny czymś ważnym.

Potem to był już tylko zwykły nawyk, którego nie umiał się wyzbyć. Dziewczyna stała się częścią jego życia, comiesięcznym rytuałem. Gdyby jej zabrakło, to byłoby

tak, jakby Jan stracił jakąś część siebie.

– Zrób mi to. – Znow wyrwała go z jego myśli.

Przesunął językiem po łechtaczce dziewczyny. Jęknęła cicho i chwyciła dłonią za prześcieradło. Po raz pierwszy w życiu usłyszał jej jęk. Żywy, prawdziwy. Był w nim załączek rozkoszy, którą mógł jej dać. To była bardzo przyjemna myśl. Mógł ją teraz mieć nie wbrew jej woli. Zapraszała go. Chciała go. Poczuł, że twardnieje. Tak dawno tego nie czuł...

Zerknął w górę ponad włosy łonowe. Małe piersi, z sutkami sterczącymi pod halką. Wąskie usta, wiecznie rozchylone, ze spierzchniętymi wargami. Oczy. Nie wpatrywały się w niego, nie badały, błądziły gdzieś po suficie. Wyglądała, jakby naprawdę tego pragnęła.

Poczuł w nozdrzach ten cholerny zapach lakieru do parkietów. Do tej pory go tak nie drażnił, ale teraz miał ochotę na haust świeżego powietrza. Byli w lesie, z dala od wścibskich uszu. Choćby krzyczała jak opętana, kiedy w nią wejdzie, to i tak nikt nie usłyszy. Tylko sosny będą świadkiem ich ponownego połączenia.

Wstał, podszedł do parapetu i otworzył okno. Poczuł zapach wilgotnego igliwia i chłód, od którego dostał gęsiej skórki na plecach.

– Będzie ci przeszkadzać? – spytał.

Dziewczyna pokręciła głową. Rozebrał się do końca. „Pocałuję ją – pomyślał. – Jeśli odda mi pocałunek, to znaczy, że naprawdę tego chce. Pojedziemy do Włoch. Może nawet popłyniemy na Maltę? Jeśli zdrowie pozwoli, będziemy krążyć wzdłuż wybrzeży i chłonać wszystko dookoła. Będzie towarzyszką moich ostatnich dni, z dala od tego szarego śmierdzącego miasta, które trzyma mnie w uścisku i wysysa ostatnie soki”.

Podszedł do łóżka i położył się obok niej. Przejechał dłonią po jej naprężonym od węzła ramieniu. Przeszedł ją dreszcz, a jej sutki stwardniały jeszcze bardziej. Nachylił się do jej spierzchniętych ust i objął je swoimi, wargami wyczuł jej małe zęby, wysunął język. Dotknęła go swoim i trwali tak przez moment.

„Jest moja” – pomyślał z triumfem. Poczuł ukłucie w klatce piersiowej, ale triumf był silniejszy. Rozlewał się po wszystkich komórkach jego starego ciała i napełniał je ożywczymi sokami.

Położył się na niej, wsunął do środka i zaczął powoli poruszać biodrami.

Spojrzał na jej twarz. Prawe chore oko zupełnie się zamknęło. Lewe wpatrywało się w niego zmrużone, ale dostrzegł tam rozkosz i przyjemność.

Przyspieszył. Dziewczyna jęknęła po raz kolejny.

Do tej pory grała uległą kobietę, gotową przychylić się do prośby swojego oprawcy i pojechać z nim do słonecznej Italii. Była też gotowa na ten seks, byle tylko uśpić

jego czujność. Ale kiedy poczuła na swoim nadgarstku jego mocny uścisk, zaczęło do niej docierać, że wciąż jest w potrzasku. I że może nie wyjść z tego cało.

„O, Lady Galadrielo, czemu to ma się tak skończyć?”

„Wiatr. Wiatr od okna. Pełzające po suficie odbłaski świec. Przemagam się i otwieram szerzej oczy. Podmuch od okna przepływa przez pokój. Papier na stoliku unosi się lekko i przez chwilę tańczy w powietrzu. A później spływa powoli obok łóżka”.

– Rozwiąż mnie – szepnęła mu do ucha. – Rozwiąż mnie i zrobmy to od tyłu...

Jest tak rozochocony, tak podniecony, że nawet nie otwiera oczu. Zalany seksem, zalany swoim triumfem, chwytając za węzeł, mocuje się z nim, pomaga sobie zębami. Po chwili ręka Alicji jest już wolna.

A potem wchodzi w nią znowu, a ona czuje, że ją to rozrywa i przeszywa jej ciało. Ale oczy ma otwarte, umysł lekki i wolny. On bierze swoją zdobycz, a ona czyta jego pożegnalny list, leżący na dywanie koło łóżka.

Serce waliło mu jak oszalałe pod spoconą skórą, ale zupełnie nie zwracał na to uwagi.

– Janku – usłyszał dziwny głos znad poduszki. – Chcę znów od przodu, Janku...

Nie zastanawiał się. Obrócił ją i wszedł w nią znowu. Poczuł jeszcze, jak jej dłonie splatają się na jego plecach i schodzą w kierunku jego wielkiej blizny. Tej samej, która wzbudziła niezdrowe zainteresowanie aroganckiej lekarki na zapleczu teatru Jupiter, gdy w zeszłą środę zasłabł na scenie.

Ciało dziewczyny zastygło. Zupełnie jakby nagle coś się z nią stało. Zamarł i uniósł się na drżących od wysiłku ramionach. Spojrzał w jej twarz, wykrzywioną w przerażającym paroksyzmie. Jej zdrowe oko było zamknięte. Patrzyła na niego tylko zamglona żółta tęczęwka z szeroko rozwartą czarną źrenicą. Wyglądało to jak oko prehistorycznego gada gotowego do ataku.

– Janku.

– Słucham – wybełkotał.

Czuł, że ból rozlewa mu się po klatce piersiowej.

– Jak mogłeś mi to zrobić, Janku? – wypłynęło z rozchylonych ust dziewczyny.

– Co...? Kim jesteś...?

Ból palił go coraz mocniej i pełzył ku nabrzmiałej szyi.

– Jak mogłeś zdradzić mnie z tą dziwką? – syknął upiór. – Z tą bezwartościową szmatą? Jak mogłeś mi to zrobić?

– Kim jesteś...? – Poczuł, że żółte oko wbija się w niego jak pocisk.

– To ja byłem twoją miłością. Ja i tylko ja. Jak mogłeś pomyśleć, że pojawię się w ciele tego dziwoląga? Tej pokraki. Tej kurwy.

– Ale...

– Przez trzy lata, miesiąc po miesiącu, trzydzieści sześć razy obrażałeś mnie, a ja patrzyłam na to z góry i cierpiałam. Tak bardzo mnie zdradziłeś. I wiesz, co jeszcze zrobiłeś?

– Nie...

– Ona ma twoje dziecko. Urodziła twoje dziecko, Janie Adlerze.

– Kim... ty...

Pokój zniknął w ciemności. Tylko oko prehistorycznego jaszczura migotało mu wciąż pod powiekami.

– To ja. Twoja Tosia.

Upadł na nią. Na swoją Tosię. Jego ostatnim przebłyskiem świadomości była myśl, że chciałby zobaczyć biały tunel, na którego końcu powita go Ona, bez tego przerażającego oka, tylko uśmiechnięta melancholijnie, pogodzona ze swoim losem dziewczyna w kostiumie kąpielowym, stojąca obok niego na molo. Uchwycona na kliszy fotograficznej w ostatniej chwili, podczas gorącego mazurskiego lata A.D. 1972.

Ale nie zobaczył nic.

Jan Adler. Nie żyje. Umarł.

Napięta zdrętwiałe mięśnie i zrzuciła z siebie ciało mężczyzny. Opadło ciężko na atłasową pościel.

Zdjęła z siebie medalion i spojrzała na niego raz jeszcze. Musiał wrócić do Czarodzieja. Uniosła ciężką siwą głowę mężczyzny. Nieruchome oczy Sarumana wciąż roztaczały wokół jakiś mrok. Przerzuciła jutowy sznurek przez jego szyję. Głowa opadła na pościel, a medalion spoczął na klatce piersiowej.

Mogła już wyjść. Powinna już wyjść. Majka może przecież wrócić wcześniej. Gríma Gadzi Język. Sprzedała ją wtedy, sprzedała ją i dzisiaj. Miała wywieźć za pieniądze ich martwe ciała i zrzucić do ciemnego dołu. Czy to właśnie teraz robią – ona i jej facet z lisią kitą przetłuszczonych włosów? Kopia gdzieś dół, wyrzucają łopatami mokrą ziemię i spoglądają na telefony, czy już nadeszła pora, by spełnić prośbę Czarodzieja?

Ogarnął ją nagle dziwny spokój. Nie chciała się spieszyć, to by było jak ucieczka. Smartfon Adlera. Była bardzo ciekawa, kim był ten człowiek. Czy miał jakąś rodzinę? Dzieci?

Kliknęła w galerię i wpatrzyła się w najświeższe zdjęcie. Musiało zostać zrobione niedawno. Spojrzała na datę – wczoraj późnym wieczorem. W tle sala balowa, stoliki, eleganccy goście zajadający coś z wielkich półmisek. A z przodu dziwna czwórka. Czarodziej ma na ustach wyuczony uśmiech, ledwo przyklejony, w oczach

pijane rozmęlanie. Obok niego człowiek, którego ucięte ucho Alicja tak wyraźnie zapamiętała. Walet Kier, pewny siebie, dumny, o złowrogim spojrzeniu. Po drugiej stronie Czarodzieja stoi Frodo, bez uśmiechu, jakby został złapany i przyciągnięty na siłę. I jeszcze jeden, który wygląda prawie jak... Artur.

Zaśmiała się cicho, a potem głośniej. W końcu pokręciła głową z niedowierzaniem. „Biedny Frodo, mały hobbit. Wszedł pomiędzy orki. I wyszedł z tego cało”.

Odłożyła telefon na stolik obok świecznika i zamknęła okno. Jej wzrok padł na białe drzwi naprzeciwko szafy w malutkim przedpokoju. Stwierdziła, że musi koniecznie spłukać z siebie zapach Jana Adlera.

Weszła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi, podeszła do umywalki, zdjęła halkę i pończochy. Spojrzała w lustro na swoje nagie ciało.

Nienawiść. Mogła wreszcie założyć bezimiennej i bezkształtnej masce twarz Czarodzieja, ze wszystkimi zmarszczkami, obwisłymi policzkami, przenikliwym spojrzeniem ciemnobrązowych oczu. Mogła pastwić się i w nieskończoność wyrzucać mu swoją krzywdę.

Odkręciła wodę i patrzyła, jak głośny strumień uderza o ceramiczną powłokę i wiruje przy odpływie. Woda pomagała jej skupić myśli. Już nie ogień – on już spełnił swoją funkcję, przyniósł skrawki wspomnień, ulotne jak iskry z ogniska.

Nie umiała wzbudzić w sobie nienawiści do tego mężczyzny, który leżał z medalionem na piersiach w pokoju obok. Starła się. Patrzyła na strumień i wyobrażała sobie karę. Zapach lakieru. Gdzieś tu muszą być jakieś puszkki. Ułoży wokół niego stos z desek i klepek, które zapewne znajdzie na dole. Obleje łóżko lakierem i terpentyną. Świecznik. „Spłoniesz, Czarodzieju. Będziesz miał swoją zagadkę. Znikniesz nagle i już się nie pojawisz. Czerwona gazeta zadba o nagłówki. Czy żyje gdzieś w innym kraju? Czy ogląda wiadomości i uśmiecha się pod nosem?”

Wdzięczność. Delikatny, malutki obłoczek tego uczucia przypłynął do niej, nie wiadomo skąd. Gdyby nie Czarodziej... Gdyby nie wyjechał z za zakrętu i nie zatrzymał się, wszystko byłoby inaczej. Mógł przecież odjechać, mógł poczekać, aż mazurskie zbiry dokończą dzieła, by jego własność do niego wróciła. A jednak. Zrobił to, zabrał ją i Artura do szpitala. Dlaczego? Poczł coś? Czy zdecydował się tylko dlatego, że mu kazała, że zmusiła go swoim krzykiem?

Nachyliła się nad umywalką. Chlusnęła sobie w twarz wodą i zaczęła łkać. Najpierw cicho, potem głośniej i głośniej, aż w końcu szum wody i płacz wypełniły łazienkę.

Ciemność. Cisza. Bezruch.

Był. Wciąż był. Czerwone słońce. Wściekle czerwone. Wschodzi na dalekim horyzoncie. Pulsuje, wyrzuca w jego kierunku błyskawice, jedną, drugą, trzecią.

Uderzają w jego bezcielesną powłokę, iskry sypią się na boki. Zaczyna czuć palce, a pod palcami atłasową pościel. Chłód metalu na klatce piersiowej. Jego serce jest jak zastrzelone zwierzę, oprawiane przez myśliwego, rozrywane na strzępy, ale kolejna błyskawica rzucona z czerwonego słońca zasklepia je, wysyła prąd do komórek. Czuje coraz więcej. Słyszy. Szum wody, płacz dziewczyny. To Tosia. Tosia płacze. Musi do niej iść. Przyzywana, w końcu objawiła się w tamtej dziwce. Musi...

Jego bezwładne ciało spadło z łóżka. Chwycił się czegoś, jakiegoś materiału, i po chwili poczuł, że zrywa go, a jego ciało spowija całun z muślinu. Podniósł się na łokciach i zaczął pełznąć w stronę tego płaczu, chciał utulić Tosię. Rąbnął barkiem w stolik lub komódkę, coś spadło z brzękiem i po chwili poczuł, że jego całun staje się ciepły, gorący, z każdą sekundą coraz gorętszy.

Czołgał się dalej za płaczem, ale gorąco parzyło go coraz mocniej i pozbawiało wszelkich myśli. Znow nie miał siły nawet jęczeć. Czerwone słońce nie wysyłało już błyskawic. Jeszcze trochę, jeszcze...

Alicja otarła łzy i spojrzała w lustro. Dość tego. Czas na nią. Musi już iść, uciekać stąd, póki nie ma Majki. Zakręciła wodę. Pociągnęła nosem i poczuła smród spalenizny.

Owinęła się ręcznikiem i nacisnęła kłamkę. Drzwi ani drgnęły. Próbowwała napierać, ale coś blokowało je od zewnątrz, od strony przedpokoju.

Pchnęła barkiem. Nic. Pchnęła drugi raz i przez małą szparę dostrzegła na podłodze ogień. Tłący się materiał granatowych zasłon. Gryzący gęsty dym wpłynął przez szparę i zaczął wypełniać łazienkę.

Odeszła na krok i uderzyła całą sobą. Szpara powiększyła się tylko o centymetr. Więcej gryzącego w oczy dymu. Alicja zakasłała i podeszła do umywalki. Zaczęła rozglądać się za kubkiem albo szklanką, ale niczego nie znalazła. Odkręciła wodę, nabrała w dłoń i ostrożnie doniosła do drzwi. Chlusnęła przez szparę, płonący materiał zakopcił, szara chmura wpłynęła do łazienki, a po chwili Alicja znow usłyszała skwierczenie.

„To koniec” – pomyślała. Ogień. Igrała z nim. Myślała, że jest jej przyjacielem. A teraz zginie tu od niego, razem z Czarodziejem.

Staną w kącie, przymknie oczy i wreszcie przypomniała sobie, co oznaczały złociste wersy w języku elfów. Te, które stanęły jej przed oczami, gdy Czarodziej deklamował poemat o Eurydyce:

Ponad wszelkim cieniem słońce płynie i gwiazdy mają swój dom. Nie powiem teraz: „Dzień się skończył”, ani gwiazdom: „Żegnajcie”.

– Co tu tak cicho?

– Ty, Benny, uważaj na te worki.

– Bolek, znalazłeś schody?

– Ty, no są. Ale czekaj, tu się jakieś światło pali.

Bolek wszedł do niewielkiego pomieszczenia na parterze, ze starą rozłożoną wersalką i małą lampą bez klosza. Na wersalce leżały w nieładzie czyjeś ubrania, biała kurtka, wąskie dżinsy, cienki sweterek, bluzka, majtki i skarpetki, a para czarnych adidasów stała przy lampce.

– I co? – spytał Benny od strony drzwi.

– Wygląda, jakby tu ją rozebrali, nie? – odparł Bolek wystraszony.

Cała trawa, którą tego wieczora wypalił, zdążyła już wywietrzeć mu z głowy.

– Coś się kopci. – Benny pociągnął nosem. – To chyba na górze.

Wyszli z pomieszczenia, Benny włączył latarkę w telefonie i ruszyli po schodach na piętro. Weszli w ciemny korytarz, tylko spod jednych drzwi na samym końcu padała na posadzkę migotliwa poświata. Podeszli do drzwi i Bolek położył dłoń na klamce.

– Na trzy? – spytał Bolek cicho, a Benny pokiwał głową. – Raz, dwa, trzy...

Drzwi uchyliły się i buchnął dym. Bolek zakasłał i zamachał dłońmi. Kiedy trochę się przejaśniło, zajrzał do środka.

– O kurwa – szepnął. – Tu leży jakiś martwy gościu.

Na podłodze tuż przy drzwiach do łazienki zobaczyli nagie ciało starego mężczyzny, owinięte w resztki tłęcego się materiału. Ogień strawił zasłony i pełzał teraz po parkiecie.

– Spierdalamy. – Bolek odwrócił się na pięcie.

– Poczekaj. – Benny przytrzymał go za ramię. – A dziewczyna?

Bolek zacisnął zęby. Wcale mu się to nie podobało. Przeszedł przy ścianie ponad leżącym mężczyzną i spojrzał w głąb pokoju.

– Nie ma jej – stwierdził z ulgą. – Musiała uciec. Zadowolony?

Wrócił tą samą drogą do drzwi i wypchnął Benny'ego na korytarz.

– Czego mnie pchasz, człowieku? – obruszył się Benny.

– Nic tu po nas, kurwa. Spierdalamy, zanim pojawią się gliny.

– Ale to bez sensu.

– Co jest bez sensu? Że zajebała gościa? To akurat ma sens.

– Nie – powiedział twardo Benny i zaświecił Bolkowi latarką prosto w oczy. – Bez sensu, że się nie ubrała. Na golasa wybiegła?

– Opuść to światło. – Bolek odwrócił twarz. – Może się spieszyła?

– A może ona wciąż tu jest?

Bolek wypuścił głośno powietrze, ale Benny nie wyglądał, jakby zamierzał odpuścić. Weszli za próg pokoju.

– Halo! – zawołał Bolek. – Jest tu kto?

Cisza.

– Alicja, czy jak ty się tam nazywasz! Jesteś tu?!

Coś uderzyło w drzwi łazienki. Raz, drugi. Słabo, ale usłyszeli to. Benny aż podskoczył.

– Bierz tego kolesia za rękę! – krzyknął.

Odciągnęli bezwładne ciało i zdusili ogień kołdrą. Drzwi łazienki uchyliły się i pojawiła się w nich zapłakana postać owinięta ręcznikiem. Patrzyła półprzytomnie i wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć.

– Ty jesteś Alicja? – spytał Bolek.

Pokiwała głową.

– Musimy stąd spierdalać – dodał.

Wzięli ją pod rękę i we trójkę ruszyli korytarzem.

Marcinowi głowa opadła na piersi. Czuł potworne zmęczenie, jakby przebiegł maraton. Wszystko na chwilę rozplynęło się w pustce.

– Kim pan jest? – usłyszał nieprzyjemny kobiecy głos.

– Ja? – Spojrzał nieprzytomnie. – Marcin Bielawski. Moja żona miała cesarskie cięcie.

Stała nad nim ruda pielęgniarka z okularami w cienkich oprawkach. A może to była lekarka?

– Aaa, Bielawski. – Zaświeciła oczami. – Już po wszystkim. Ma pan syna. Lekkie niedotlenienie, ale wszystko będzie w porządku. Siedem w skali Apgar. Jest w inkubatorze. Myślę, że poleży tam ze dwa czy trzy tygodnie.

Marcin wstał. To na tę wiadomość czekał, ale nie miał siły skakać pod sufit ze szczęścia. Uśmiechnął się tylko lekko i wyciągnął do kobiety dłoń.

– Dziękuję – powiedział cicho.

– Proszę iść na oddział dla wcześniaków, a potem przytulić żonę. – Kobieta nieufnie odwzajemniła uścisk, popatrzyła jeszcze chwilę na Marcina badawczo i odeszła w głąb korytarza.

Marcin schował głowę w dłoniach. „Radość, radość, wzbudź w sobie radość” – powtarzał sobie. Poczuł, że oczy mu wilgotnieją. Już nie czas dziś na telefony. Julia, Grzegorz i rodzice Marty dowiedzą się o wszystkim jutro.

„Witaj na świecie, Jurku Bielawski. Żegnajcie, Alicjo, Arturze i Janie Adlerze”.

Zatrzymali się na piaszczystej drodze pośrodku lasu. Kilkadziesiąt metrów dalej drzewa rozstępowały się i odsłaniały piętrowy budynek.

– Poczekaj tu – szepnął Andrzej do Teresy.

Wysiadł z auta. Sosny szumiały cicho w nocnym wietrze, powietrze przesycone było zapachem wilgotnej ziemi i zbutwiałych liści. Po telefonie od Bolka spodziewał się poczuć odór sprzed ośmiu lat – smród spalonych kurczaków. Ale czuł tylko lekki swąd spalenizny.

W narożnym pokoju na piętrze dawnego burdelu pod miastem paliło się światło. Andrzej wiedział, że w środku nie ma Alicji. Chyba. Bolek zadzwonił do niego, że uratowali ją z Bennym, a na podłodze leżał martwy facet z medalionem na piersi, otulony tłącymi się zasłonami jak całunem. Półprzytomna dziewczyna ubrała się na parterze i powiedziała, że da sobie radę. I żeby już jechali.

Przez chwilę słyszał w oddali syreny. Próbował sobie wyobrazić, co zobaczy, gdy przyjedzie straż pożarna. Jest dziennikarzem, czyż nie? Szukał materiału i w końcu go znalazł.

Ciemny hol oświetlany latarkami strażaków. Drewniane schody. Idzie powoli, widzi przed sobą osmaloną framugę, a gdy wychyla się zza niej, jego wzrok przykuwa coś dziwnego, czarnego. To coś jeszcze niedawno było człowiekiem, a teraz zostały tylko osmalone kikuty, z ciemnymi kępkami włosów i płatami spalonej skóry zwisającymi z czaszki.

Na piersiach trupa leży wżarty w piersi i żebra medalion. Pistolety i róże.

„Nigdy więcej”. Andrzej zacisnął zęby, wrócił do samochodu na tylną kanapę i spojrzał w twarz Teresy przez lusterko.

– Nic tu po nas – powiedział cicho.

Wykręcili z trudem i zawrócili. Po minucie dojechali do mało uczęszczanej drogi prowadzącej do rogatek Warszawy. Skręcili w lewo, Teresa włączyła światła drogowe i szosę rozświetliły halogeny. Dwa białe punkciki wychyliły się na chwilę z krzaków na poboczu. „Lis czy kuna?” – przebiegło Andrzejowi przez głowę.

Nagle zobaczył, że z lasu przed nimi wyłania się niska postać w białej kurtce, z kapturem nasuniętym na głowę. Dziewczęca sylwetka. Kobieta wyszła na pobocze i ruszyła przed siebie.

– Zwolnij – powiedział cicho.

Teresa przyhamowała.

– Zrównaj się z nią.

Teresa wrzuciła dwójkę. Jechali teraz powoli za kobietą, jej postać rzucała długi cień na szosę. Nie obejrzała się ani razu, chociaż musiała zdawać sobie sprawę, że są tuż za jej plecami.

Zrównali się z nią. Andrzej przesiadł się za Teresę i opuścił szybę. Patrzył uważnie na profil dziewczyny pod kapturem, na jej zaciętą twarz z małymi ustami i lekko zadartym nosem.

Spojrzała w ich stronę i wtedy to dostrzegł pomimo mroku. Dwoje oczu w różnych kolorach. Dziewczyna zatrzymała się, ale Teresa tego nie zauważyła i volvo toczyło się dalej.

– Stop...!

Obejrzał się. Stała na poboczu i wpatrywała się w niego. Szarpnął klamkę, pchnął drzwi, wygramolił się z samochodu i stanął z nią twarzą w twarz.

– Czego chcesz? – usłyszał matowy głos. – Wsiądź z powrotem do auta i odjedź stąd.

– Alicja? – spytał niepewnie.

– Nie nazywam się Alicja.

– Wiem, że to ty. Nazywam się Andrzej. Jestem dziennikarzem. To do mnie pisałaś mejle.

Patrzyła na niego z nieufnością, jakby spodziewała się, że Rulewski za chwilę rzuci się na nią i siłą wciągnie ją do samochodu.

– Nie bój się mnie – powiedział miękko. – Jestem przyjacielem. Tak jak Bielawski.

Jej spięta sylwetka nieco się rozluźniła.

– Już po wszystkim – westchnęła. – Jan Adler nie żyje.

– Wiem. Zabiłaś go?

– Nie. Nie wiem. Umarł, kiedy... – Urwała i spojrzała w las. Andrzej przestraszył się, że zaraz rzuci się w mrok między sosny, ale pokręciła tylko głową i zamknęła oczy.

– Nie napiszę o tym, obiecuję. – Wyciągnął do niej dłoń. – Nie mogę ręczyć, że nie przyjedzie tu za piętnaście minut jakiś młody pistolet z mojej redakcji. Albo z innej. To już tak jest. Ale nikt nie będzie wiedział, że to ty.

– A medalion? – Uśmiechnęła się smutno.

Tak, został tam. On nie płonie, zawsze zostaje, jak wyrzut sumienia.

– Przecież nie nazywasz się Alicja, prawda? – Andrzej usłyszał za plecami głos Teresy. Odwrócił się zdziwiony. – Nikt nie wie, gdzie mieszkasz. My cię nie widzieliśmy. To był tylko zły sen.

Uśmiechnął się pod nosem. „Nie nazywasz się Alicja” – pomyślał. To imię zostało tam, w tym budynku pod lasem. Będzie żyło razem z medalionem jeszcze przez kilka najbliższych dni. Garbarek i reszta rzucą się na zwłoki starego aktora jak sępy. Zadadzą kilka makabrycznych pytań wielką czerwoną czcionką na stronie szóstej, a potem wszystko ucichnie, rozplynie się w powietrzu. Adler umarł w niedzielę, temat umrze w piątek.

– Posłuchaj mnie. – Wyciągnął znów dłoń do Alicji. – Zaraz pewnie ktoś się tu zjawi. Policja, dziennikarze, fotopstryki. Musimy stąd zniknąć. Dokąd cię zawieźć?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Na najbliższą stację?

Dziewczyna wpatrywała się milcząco w widok za boczną szybą. Las się skończył, wjechali w małe osiedle przypominające wieś. Minęła ich policyjna skoda, bez sygnału. Po kilku minutach wyjechali na wylotówkę. Jeszcze chwila i Andrzej zobaczył znajomy szyld górujący nad budynkiem z ciemnobrązową szalówką. Fast food. Ten, w którym to wszystko się zaczęło.

– Nie jesteś głodna? – spytał. – Wiesz, kto tu kiedyś pracował? Osiem lat temu?

– Wiem – rzuciła do szyby.

– Muszę z tobą o czymś pogadać. Zatrzymamy się na chwilę?

Teresa skręciła w ulicę prowadzącą na osiedle Artura Sosnowskiego i zaparkowała na parkingu pod barem. Andrzej postarał się przybrać przyjacielski wyraz twarzy. Miał wrażenie, że dziewczyna zrobiła się spięta. Cholernie spięta.

– Byłem w ten weekend w Gryczewie – zaczął. – Rozmawiałem z doktorem Grulą. Pamiętasz doktora Grulę?

– Pamiętam.

– Powiedział mi o wszystkim. O tamtym wieczorze. O tym, co się stało. I jak to się dalej potoczyło.

Spojrzał na nią wymownie. Wpatrywała się w niego długo, w jej żółtym oku odbijały się światła neonów i samochodów pędzących wylotówką.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała.

– Potwierdzenia. Ale i tak myślę, że to prawda.

– Napiszesz o tym? – Załamał jej się głos. – Napiszesz o tym w tej swojej gazecie?

Andrzej przyknął oczy. Co miał jej odpowiedzieć? Że rzuca ten zawód? Nie był jeszcze na to gotowy. Dwa najlepsze tematy jego życia. Jeden pozostał tam, z medalionem na piersiach, w domu ukrytym wśród szumiących sosen. Drugi siedział obok niego na tylnym siedzeniu volvo i zerkał z niemym pytaniem w chorym oku zasnutym mgłą.

– Myślałam, Andrzej, że podjąłeś już decyzję – powiedziała Teresa, patrząc twardo przez tylne lusterko. – Wciąż się zastanawiasz? Chcesz zniszczyć komuś życie dla

chwilowej satysfakcji? Ktoś poklepie cię za to po plecach? Zależy ci na słupkach?

– Nie wiesz, o czym mówisz, Teresa – fuknął. – Na tym polega moja robota. Co mam robić? Rzucić wszystko w pizdu i wyjechać rąbać drewno?

– Nie, kurwa. Masz zacząć myśleć – rzuciła ostro.

Rulewski spodziewał się, że zaraz oberwie pięścią w twarz.

– To nie jest żaden pieprzony celebryta, któremu można bezkarnie obrobić dupę. Myśl, człowieku, myśl.

– Posłuchaj... – Odwrócił się do Alicji.

Urwał, bo na policzku pod chorym okiem zobaczył dwie wielkie łzy.

Dariusz Sosnowski ostrożnie zamknął za sobą drzwi ogrodowego składziku. Spojrzał przez szpary między deskami i upewnił się, że w ogrodzie nikogo nie ma. Żona zdążyła się już położyć, a Weronika zamknęła się w swoim pokoju. Miał czas tylko dla siebie. Zerknął na komórkę. Była dwudziesta pierwsza dwadzieścia.

Od wczorajszego wieczora myślał tylko o tym, że nieposłuszna dziewczyna zaczęła własną grę dokładnie w momencie, w którym on postanowił się wycofać. I o tym, jak wiele razem ryzykowali po to, by odkryć tajemnice przeszłości. Ale myślał też o Adamie, który przyszedł wtedy do niego na ganek pożegnać się, jakby wiedział, że już więcej się nie zobaczą. Gdyby mógł cofnąć czas... Gdyby miał odwagę powiedzieć wtedy Majorowi, że nie robi tego, nie okłamie Adama, że to skurwysyństwo. Żelazny uścisk oczu Majora był silniejszy. Teraz Dariusz musiał zadośćuczynić ostatniej prośbie Adama. „Patrz na ten dom. Teraz to jest twój obowiązek”. Wiedział już, że było jakieś ubezpieczenie, ale ktoś robił wdowie po Adamie problemy. Musiał jakoś zareagować. W końcu był prawnikiem.

Zapalił żarówkę pod sufitem. Wyjął z paczki ostatniego pomiętego camela, zapalił go i wypełnił składzik gryzącym w oczy dymem. Usiadł na dwóch plastikowych skrzynkach i wyciągnął zza kurtki plik kartek przewiązanych konopnym sznurkiem. Otworzył na chybił trafił i przysunął kartki do światła.

Chłopaki kroczą po boisku w zwolnionym tempie. Bolek, Benny, Pablo i Czarny. Jako piąty, trochę na doczepkę, Dawid. Czyli Artur. Idą, jak w tym filmie Tarantino Wściekłe psy, z głowami omiatanymi słońcem. W tle płynie kawałek z Blues Brothers. Gdy dochodzą do kamery, rozbrzmiewa finałowy okrzyk piosenki.

Rawhide!

Artur budzi się nazajutrz po tym, jak Banzaj przystawił mu pistolet do głowy w fast foodzie. Leży na łóżku i ze starej czarnej płyty słucha Naiwnych pytań Dżemu w wersji akustycznej.

„W życiu piękne są tylko chwile...”

Kornel-Marcin, który nigdy wcześniej nie odważył się podejść do dziewczyny, stoi z Anitą-Anką przy skąpanej w świetle latarni balustradzie kładki nad Trasą W-Z i patrzą na drugi brzeg Wisły. Ich pierwsze romantyczne chwile, kiedy jeszcze nie wiedzą, że to nie na zawsze.

David Bowie i jego Space Oddity.

Artur i Bolek wracają ciemną ulicą po wizycie w tamtym dziwnym budynku pod lasem. Artur żegna się z Bolkiem, staje przed swoim domem i waha się, czy wejść. Wciąż ma przed oczami tę dziwną dziewczynę, która położyła mu głowę na ramieniu i trwała tak w nieskończoność.

Bez muzyki.

Dariusz odłożył scenariusz na paletę do wysiewania nasion i przyłożył kościstą dłoń do pomarszczonego czoła. Zaciągnął się bezwiednie papierosem i zatrzymał dym w płucach.

Osiem lat temu w późny lipcowy wieczór zadzwonił nagle jego telefon. Dariusz miał się już położyć spać, ale podszedł w szlafroku do regału z książkami. Komórka brzęczała i nie chciała zamilknąć. Jeszcze chwila i obudzi żonę, a tego Dariusz sobie nie życzył.

– Halo? – wycedził nieprzyjemnie.

Najpierw usłyszał szloch, a potem zalał go potok słów wypowiedzianych wśród spazmów i rozpaczliwych prób zaczerpnięcia oddechu.

– Ja... ja... to się stało... przepraszam... znalazłam... w jego spodniach... w kieszonce...

– Kto mówi?

– Znalazłam... w kieszonce... taką tekturkę...

Dariusz zbladł. Już wiedział, o co chodzi.

– Tam, na tej tekturce... było napisane...

Wiedział, co było napisane. Sam to napisał i wsadził do kieszonki ulubionych dżinsów Artura. To było jedyne, co mógł zrobić. Chłopak go nie słuchał. Nigdy go nie słuchał, ale po tej nieprzyjemnej konfrontacji w pokoju syna Dariusz wiedział, że może stać się coś złego. I nie mógł zrobić nic, żeby go powstrzymać.

– „Gdyby mi się coś stało, to... to zadzwoń pod ten numer...”

– Czy to ty? – wyszeptał.

– Kto? Kto ja...? – Głos zabrzmiał tak, jakby dziewczyna miała za chwilę odpłynąć.

– Ta... ta z dziwnymi oczami?

– Tak. Tak. To ja.

– Gdzie jesteś? Gdzie jesteście?

Głos zamilkł i Dariusz słuchał z pobladłą twarzą, jak coś dziwnego dzieje się po drugiej stronie słuchawki. Chaos. Głośny brzęk, jakby ktoś wpadł na szklaną szafkę. „Ty! Ty! Kobieto w fartuchu! Stój!” – krzyczał oszalały głos. „Proszę się uspokoić i usiąść pod ścianą” – zabrzmiało jak groźba. „Już jestem spokojna. Mów! Gdzie jesteście? Gdzie jesteście?!”

– W Gryczewie! – wykrzyczała dziewczyna. Tak przeraźliwie, że Dariusz aż poczuł ciarki na plecach. – Oni tu przyjdą! Oni go znajdą i dobiją! Musisz tu przyjechać i coś zrobić! Musisz...

W panice sprawdził portfel, a potem odpalił samochód i pojechał do bankomatu pod supermarketem. Drżącymi palcami wpisywał kolejne piny i wypłacał z kart wszystkie pieniądze. Maszyna furczała i wyrzucała na srebrną półkę grube pliki banknotów.

Kiedy nie dało się już wybrać więcej pieniędzy, wsiadł do passata i ruszył z piskiem opon. Serce waliło mu jak oszalałe. Opuścił szybę i pozwolił, by lipcowy nocny wiatr osuszył jego czoło z perlistego potu.

Siedemnaście minut później zobaczył zieloną tabliczkę. To żegnała go Warszawa. Pędził na złamanie karku po szosie gdańskiej, a potem po powiatowych mazurskich drogach. Zwalniał do sześćdziesięciu na terenie zabudowanym, nie chciał, żeby ktokolwiek go zatrzymał. Żaden pieprzony zagubiony w nocy glina nie miał prawa pojawić się teraz w tylnym lusterku z migającym kogutem.

O drugiej trzydziści zobaczył białą tabliczkę. Gryczewo.

– Pan jest ojcem chłopaka? – zapytał go wysoki, bardzo wysoki lekarz.

Dariusz energicznie pokiwał głową. Dziewczyna siedziała na krzeselku w korytarzu i odpływała. Oczy miała wywrócone pod powieki, a z kącików jej spierzchniętych ust sączyła się malutka strużka śliny.

– Zna pan tę... narkomankę? – Lekarz wskazał na osuwające się ciało. – To dziewczyna pana syna?

– Sam nie wiem... – wyjąkał Dariusz. – Tak, tak. Oni są, byli razem.

– Wpadł w złe towarzystwo, nie? – Lekarz się skrzywił. – Razem tak ćpali? Narkotyki to straszna rzecz, panie. Naćpali się i pewnie wpadli na miejscowych pijaczków.

– Przestań pieprzyć – wysyczał wściekle Dariusz. – Nie masz pan o niczym pojęcia.

– No, no, tylko bez agresji. – Lekarz uniósł długie ramiona. – Faktem jest, że pański syn dostał się pod czyjeś buty. Skopali go, skakali po nim. Ma połamane żebra, ciężkie uszkodzenia głowy i pęknięcia czaszki. Najgorzej jest z uszami. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Musieli kopać go w głowę, dokładnie w uszy. Miazga.

Dariusz miał ochotę chwycić za poły białego fartucha i rzucić o ścianę tym chudym facetem, który niedbałym tonem wymieniał obrażenia Artura, jakby recytował wiejskie ploteczki. Powstrzymał się.

– Czy on z tego wyjdzie? – spytał szybko. – Czy mój syn przeżyje?

– Tego to ja panu nie powiem. To tylko sam Pan Bóg wie.

Dariusz zacisnął zęby. „Oni go znajdą i dobiją!” – wrzeszczała mu do słuchawki dziewczyna, która teraz przebywała gdzieś we własnym świecie, wyczerpana, z ciemnoniebieskim tuszem zaschniętym na policzkach.

Major. Gdzieś tu w pobliżu czaił się Major, który przez ostatni miesiąc próbował bezskutecznie wybić Arturowi z głowy tę dziewczynę. Na jego – Dariusza – prośbę. Ale czy tylko dlatego? Co się stało? Dlaczego Majorowi puściły nerwy i kazał zabić Artura? Dariusz czuł, że jeszcze chwila takich myśli i padnie na ziemię. Udar. Zawał. Nie mógł tego zrobić Arturowi. Był mu potrzebny.

Podszedł do drzwi sali, w której leżał człowiek cały w bandażach, podpięty do cicho pikającej aparatury.

– To nie tu, panie Sosnowski – usłyszał obok siebie głos lekarza. – Tu leży motocyklista. Rozbił się na drzewie. Dawno nie mieliśmy takiego wieczoru. A jeszcze słyszałem, że paliła się stodoła za miastem.

Dariusz drgnął i spojrzał na lekarza bezrozumnie.

– Pana syn leży w tamtej sali. – Lekarz wskazał na oddalony o piętnaście metrów koniec korytarza.

Dariusz zmusił się do zrobienia kroku. Opierając się o ścianę, doszedł do ostatniego pomieszczenia. Spojrzał do środka. W sali leżał jego syn. Cały w bandażach, podpięty do cicho pikającej aparatury...

– Proszę pana! – zawołał w głąb korytarza.

Lekarz obejrzał się na niego. Dariusz otarł pot z czoła i zamachał dłonią. Lekarz podszedł powoli i spojrzał na niego z niemym pytaniem.

– Panie... – Dariusz zmrużył oczy. – Jak się pan nazywa?

– Gula. Doktor Gula.

– Panie doktorze Gula. Ten z tamtej sali. – Wskazał na początek korytarza. – Ten motocyklista.

– Tak?

– Czy on przeżyje?

– A po co to panu?

– Czy on przeżyje, pytam się.

– Nie, panie Sosnowski. On nie ma żadnych szans.

– Beznadziejny przypadek?

– Pęknięta śledziona, przebite oba płuca. Zniszczone nerki. Tak naprawdę to tylko mózg jeszcze pracuje. Musiałby się zdarzyć cud.

– A rodzina, panie doktorze? Wie już?

– To Rosjanin z jakiegoś Tambowa, więc wie pan...

Dariusz przełknął ślinę. Sięgnął do kieszeni letniej kurtki i wyciągnął portfel wypchany wszystkimi pieniędzmi, jakie zdołał wyciągnąć z bankomatu.

– Doktorze Grula, błagam pana. Oni tu przyjdą i zabiją Artura. To tylko karty. Niech pan zamieni karty.

– Co pan wygaduje, panie Sosnowski?

– To tylko karty, błagam pana.

Doktor Grula przekrzywił głowę jak ptak, przez co Dariuszowi wydał się podobny do gawrona. Wskazał na kogoś w głębi korytarza.

– Bez pomocy pani Haliny nie damy rady – powiedział.

Dariusz obejrzał się i dostrzegł stojącą w otwartych drzwiach niską kobietę z przetłuszczonymi włosami, wpatrywała się w niego w milczeniu zza grubych okularów.

– To zostaje między nami. Już na zawsze, panie Sosnowski – dodał Grula po chwili.

Przez dwa kolejne dni Dariusz siedział przy łóżku tego obcego człowieka i modlił się, żeby w szpitalu nie pojawił się Major ze swoimi bandytami. Każdy krok na korytarzu sprawiał, że oblewał się potem.

Drugiego dnia w drzwiach szpitalnej salki przystanął wielki łysy mężczyzna, którego Dariusz dobrze znał.

– Żyje? – spytał Lamparski i wskazał na łóżko.

– Ledwo – odpowiedział Dariusz cicho.

– Gdzie dziewczyna?

Dariusz zmusił się, żeby nie spuścić wzroku.

– Uciekła. Będziecie jej szukać?

– Nie wiem. To już od Majora zależy, jak się wykaraska. Twój chłopak podarował mu kulkę. Ja pozwoliłem im odejść, ale któryś z naszych musiał wysłać za nimi pościg. Chyba.

– Który? – spytał Dariusz spode łba.

Lamparski gapił się przez chwilę na zabandażowane ciało, a potem wrzucił ramionami. Odszedł i więcej się nie pojawił.

Nic więcej się nie wydarzyło. Nikt nie przyszedł i nie dobił biednego rosyjskiego motocyklisty. Jego serce przestało bić czternastego lipca o trzynastej szesnastce. Doktor Grula wszedł do sali z kamienną twarzą i po chwili łóżko wyjechało do kostnicy.

Artur Sosnowski zmarł.

Oleg Wozniesencew otworzył oczy dwie i pół godziny później. Niewyraźnym pismem napisał Dariuszowi na kartce, że nigdy nie wróci z nim do Warszawy. Nie chce go znać. Gdyby nie ta wizyta Lamparskiego, Dariusz pewnie krzyczałby i zaklinał, żeby chłopak się opamiętał, że rodzina, że matka. Ale pomyślał, że może tak rzeczywiście jest lepiej. Chłopak i tak patrzył na niego, jakby niewiele rozumiał. Nie wypowiedział nawet słowa.

Jego oczy rozbłysły, kiedy zobaczył kogoś stojącego na progu sali. Dariusz się obejrzał. To była ona, ta dziewczyna. Trzymała dłonie na brzuchu.

Smutno pokiwał głową. Właśnie zaczynało się największe kłamstwo jego życia.

Przez szpary w składziku zawiał przeraźliwie zimny wiatr. Papieros w dłoni Dariusza dopalił się do końca i kopał przy samym filtrze. Dariusz usłyszał chrzęst żwiru. Ktoś szedł w jego stronę. Dwie pary butów. O tej porze? Kto to mógł być? Poderwał się i zgasił żarówkę. Wyjrzał przez szpary, ale niczego nie zobaczył.

– Tato, jesteś tam? – usłyszał cichy głos Weroniki.

Odchrząknął. Odchrząknął raz jeszcze. Czego od niego chciały, córka i żona? Otworzył drzwiczki i się skrzywił.

Obok Weroniki stał facet w długim wełnianym płaszczu. Wpatrywał się, jakby próbował przebić wzrokiem ciemność i dojrzeć twarz Dariusza.

– Panie Sosnowski – zaczął facet. – Nazywam się Andrzej Rulewski. Jestem dziennikarzem „Twojej Gazety”.

– To ty... – wycedził Dariusz. – Ty napisałeś te bzdurne artykuły?

– No, nie tylko ja – zmieszał się tamten. – Ale przyłożyłem do tego rękę.

– Czego chcesz?

– Panie Sosnowski, rozmawiałem z nią. Z Alicją.

Dariusz poczuł, że żyły nabrzmiewają mu na szyi.

– Znam prawdę, całą – ciągnął facet w płaszczu. – Byłem w szpitalu w Gryczewie. Bielawski był w Stokrotce. Jan Adler nie żyje. Nie napiszę o tym. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Jest co najmniej jedna osoba, która również powinna wiedzieć. Wszystko. Dokładnie, od A do Z. Musi pan usiąść z tą osobą i porozmawiać bez ściemy, bez kłamstwa. Opowiedzieć, jak było. Taki jest warunek Alicji.

– Bielawski? Ten od scenariusza?

– Nie o nim mówię. Do niego zadzwoni Alicja. Kiedy uzna... kiedy uznają, że nadeszła pora.

– To kto?

Facet w wełnianym płaszczu położył dłoń na ramieniu Weroniki i popchnął ją lekko do przodu.

– Pana córka, panie Sosnowski.

Odwrócił się i odszedł żwirową ścieżką. Dariusz patrzył, jak znika za domem. Usłyszał jeszcze trzaśnięcie drzwiczek i ciche mrużenie silnika, kiedy auto, do którego wsiadł dziennikarz, odjeżdżało osiedlową uliczką.

Dariusz zapalił żarówkę w składziku.

– Jest tylko jedna sprawa, Weronika. – Pogroził jej palcem.

– Kurwa, tato, stawiasz mi warunki? – Spojrzała na niego z kpiącym uśmiechem.

Dariusz wskazał na tonący w mroku dom.

– Ani słowa matce. Ona nie może się dowiedzieć.

Epilog

Poniedziałek, 30 października, 18:40

– Niech pan wejdzie.

Zadbana czterdziestolatka w typie prawniczki zaprosiła Marcina gestem za próg willi, w której kilka tygodni temu nocował pod jej nieobecność. Przeszedł przez jasny przedpokój obok czarno-białej fotografii dwóch gniewnych kobiet. Spojrzał w kierunku pustej kuchni, a dopiero potem zauważył na sofie Zuzię, wpatrującą się w wyłączony telewizor. A za sofą Franka, którego oczy nieznacznie rozbliły na widok Marcina.

– Jan wciąż nie wrócił – powiedziała pani Adler. – W lesie pod Radzyminem znaleziono w środę spalonego nissana. Była tam jego komórka, ostatnie połączenie to numer pana żony. Obawiam się, że będzie pan musiał porozmawiać z policją.

„Musiał zadzwonić do Majki jeszcze potem” – pomyślał Marcin. Ale gdy usuwała ciało aktora z burdelu, wykasowała pewnie z jego telefonu wszystko, co by na nią wskazywało.

Pani Adler podeszła do blatu w kuchni i nalała sobie wina do wysokiego kieliszka. Upiła łyk i przymknęła oczy.

– Było tam też zdjęcie, na którym pan jest. Tak mi powiedział Lamparski. Dlatego wnoszę, że może wie pan, co się stało z moim mężem. Proszę usiąść. I mówić.

Marcin spojrział na Franka i Zuzannę. Czy te dzieciaki zasłużyły na to, żeby dorastać ze świadomością, że ich ojciec był potworem?

– Mogę spróbować pani wyjaśnić – powiedział cicho. – Ale to rozmowa między nami, nie dla ich uszu.

Pani Adler przez chwilę patrzyła na Marcina lodowato. Upiła znów łyk wina, odstawiła kieliszek i oparła się ciężko o blat.

– Franek, Zuzia, idźcie na górę, proszę.

Opowiedział jej. Nie pomagała mu, nie zadawała pytań, patrzyła tylko, siedząc na sofie i dolewając sobie wina. Myślał, że w końcu coś się w niej przebudzi, że może przerwie mu w którymś momencie i zacznie mówić – o swoich przeczuciach albo o tym, że coś widziała, ale zlekceważyła. Albo chociaż o tym, jakim ojcem według niej był Jan Adler.

Nic. Tylko milczenie. Uparte milczenie, wzrok wbity to w Marcina, to w stolik, na którym stała butelka.

Gdy skończył, pani Adler siedziała przez chwilę z zapadniętymi policzkami.

– To pana wina – powiedziała.

– Słucham? – Marcin szeroko otworzył oczy.

– Gdyby nie pan, Janowi nie stałoby się nic złego.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Pomyślał tylko, że rację miał John Lennon, gdy w zupełnie innych czasach i zupełnie innych okolicznościach napisał: „Życie jest proste, gdy masz zamknięte oczy i nie rozumiesz niczego wokół...”.

– Mimo wszystko wybaczam panu. – Pani Adler wstała. – Wydaje mi się, że poznał go pan lepiej niż ja przez piętnaście lat naszego związku.

To było tak porażające, że nie miał siły dyskutować. Powinien wstać i wyjść, ale obłok kłamstwa i samooszukiwania się, rozpostarty przez panią Adler z taką łatwością, był jednocześnie obezwładniający i fascynujący. Marcin patrzył na jej zasnutą mgłą twarz i próbował wyobrazić sobie, co się teraz dzieje w głowie tej kobiety.

– Nie ma pan prawa powiedzieć nikomu ani słowa z tego, co przed chwilą usłyszałam. Sam pan powiedział, dzieci na to nie zasłużyły. On zniknął, a jeśli będzie miał ochotę, to do nas wróci. Prawda?

Nie przytaknął.

– A pan? – Spojrzała nagle prosto w oczy Marcina. – Nie chciałby pan uczcić w jakiś sposób człowieka, który tyle dla pana zrobił?

– Zważywszy na okoliczności, raczej nie – odpowiedział Marcin ostrożnie.

– Proszę się zastanowić. Jakaś etiuda?

– Stawia mnie pani w bardzo niezręcznej sytuacji.

– Dajmy sobie czas. I niech pan nie traktuje tego jako łapówki.

Piątek, 15 grudnia, 18:50

Wszedł na widownię i się rozejrzał. Teatr Jupiter pękał w szwach, za piętnaście minut miał się rozpocząć pierwszy spektakl od zaginięcia Jana Adlera. Zaginięcia, o którego szczegółach „Twoja Gazeta” trąbiła przez tydzień, snując coraz bardziej niestworzone historie, ale ani razu nie wiążąc tej sprawy z medalionem. prostytutka i jej błyskotka odeszły w niebyt, zastąpione przez krzykliwe tytuły na temat dziwnego zniknięcia pewnego aktora. To wystarczyło, by na widowni pojawił się komplet widzów, mimo że dziś w repertuarze był stary dobry Otello Szekspira z Pawłem Dąbrową w roli głównej.

Marcin zszedł do drugiego rzędu

– Dzwoniłaś do mojej mamy? – spytał Martę. – Jak tam Jurek?

– Wszystko jest okej. – Marta uśmiechnęła się pod nosem. – Dostał już kolację i słodko śpi. Ale przełączyłam na wszelki wypadek telefon na wibracje. Jakby co, to ja spadam. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe?

– Nie, w porządku.

– Rozmawiałaś z tą kobietą?

– Tylko przez chwilę w kulisach. Wydaje mi się, że ona ma zamiar jednak coś powiedzieć. Jakby do czegoś dojrzała. – Położył Marcie dłoń na ramieniu. – Sorry, muszę jeszcze z kimś pogadać.

Ruszył po schodach, przystanął przy dziesiątym rzędzie i wpatrywał się w kogoś tak długo, aż ten ktoś go zauważył i przywitał kiwnięciem głową. Marcin wskazał dłonią na foyer. Andrzej przeprosił siedzącą obok niego nieco znudzoną Teresę, wstał i poszedł w stronę drzwi.

– Cześć.

– No siema.

Andrzej przez ostatni miesiąc musiał unikać maszynki do golenia jak ognia. „Z brodą i wąsami wygląda dużo lepiej” – przeszło przez myśl Marcinowi.

– Przetrawiłeś już swoją porażkę? – spytał Marcin.

– Jaką porażkę? Staram się myśleć o tym jak o moim małym zwycięstwie. – Andrzej podrapał się po zaroście. – Nie jest łatwo.

– Myślę, że tak było lepiej.

– Lepiej, gorzej. Ważne, że dziewczyna dostała to, co chciała.

– Myślisz, że jeszcze się odezwie?

– Szczerze? Szczerze, to myślę, że nie. – Andrzej rozejrzał się na boki. – Postaraj się o tym nie myśleć.

Przez moment patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem i Marcin miał wrażenie, że chce powiedzieć coś ważnego.

– Niech zostanie tam, gdzie jest – mruknął w końcu. – Jeśli kiedykolwiek przyjdzie jej do głowy cię znaleźć, to ma twój numer. A co ze scenariuszem? – spytał po chwili.

Marcin poczuł, że zadrgały mu policzki. I że kiedyś pożałuje swojej decyzji. Ale chyba tak właśnie powinno zostać: w tym momencie najważniejszy był dla niego Jurek. I Marta. To, że co tydzień wpada do nich Grzegorz Bielawski. Pewnego dnia ojciec zderzył się w drzwiach z zaskoczoną Julią, skończyło się na chłodnym rozejmie nad łóżeczkiem.

– Kto inny go pisze – powiedział wolno. – Z tego, co wiem, już kończy. Bardziej dla siebie niż dla Lamparskiego. Opowiedziałem jej wszystko, co wiedziałem. Uznała, że resztę sobie dopowie i wyobrazi. Chyba do tej pory jest nieświadoma, jak niewiele brakowało, by jej zdjęcie z Orliczem wylądowało na pierwszej stronie brukowca.

– Tabloidu – poprawił Marcina Andrzej.

Przez chwilę stali w milczeniu. Marcin wciąż miał wrażenie, że Andrzej trzyma coś dla siebie – dokładnie tak samo jak on podczas ich śledztwa. Jakąś część prawdy. A może po prostu był już zniecierpliwiony i nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia?

– Jak ci leci z... Teresą?

– Jest dobrze. – Na twarzy Andrzeja pojawił się nieco zażenowany uśmiech. – Już nie musi strzelać mi plaskaczy dla zdrowia psychicznego.

– Że co?

Nie odpowiedział. Mrugnął porozumiewawczo, odwrócił się i zniknął na widowni.

– Szanowni państwo, zapraszam na pierwszy spektakl po przerwie.

Pani Adler, w żakiecie i szarej spódnicy do kolan, ujęła w dłonie mikrofon, wyciągnęła go ze statywu i odeszła na kilka kroków. Marcin patrzył na nią uważnie z drugiego rzędu, a potem zerknął na siedzącą tuż obok Martę.

– Jak państwo wiedzą, niecałe dwa miesiące temu w niewyjaśnionych okolicznościach zniknął mój mąż, kierownik artystyczny tego teatru, Jan Adler. Dla wielu osób był wspaniałym aktorem, mentorem, mistrzem. Dla mnie przez lata był dobrym mężem, choć nieco nieobecnym duchem, czasami może odrobinę zbyt zdystansowanym. Składałam to na karb jego artystycznej duszy. Nauczyłam się żyć obok niego, trochę z boku, tak aby nie przeszkadzać w tym, co, jak sądziłam, było samotnością artysty. Nie przypuszczałam, że... że...

Kobieta urwała i drżącymi rękami podniosła do ust szklanę z wodą. Marcin współczuł jej z całego serca, ale wiedział, że być może nie dojrzała jeszcze do tego, żeby podzielić się ze światem tą tajemnicą. Że jej mąż mógł prowadzić drugie życie, przepełnione strasznymi tęsknotami. Że poświęcił się bez reszty swoim demonom. I że te demony go w końcu zabiły.

Wyglądziła spódnicę, opanowała zdenerwowanie i posłała Marcinowi długie spojrzenie. Nie wiedział, co ma zrobić z oczami. Spuścił wzrok.

– Zanim na scenę wyjdą młodzi aktorzy, żeby odegrać klasykę Szekspira, chcielibyśmy zaprezentować ostatnie dzieło, któremu patronował Jan Adler. To krótki, pięciominutowy film, połączony z występem baletowym. Młody autor chciałby zadedykować go wszystkim złamanym sercom na tej sali. Ma nadzieję, że nie ma ich zbyt wiele.

Na sali rozległy się szmery, a kobieta zeszła ze sceny.

Alicja i Artur. Dwie postacie krążyły po scenie w rozpaczliwym tańcu, jakby szukały się, ale nie mogły znaleźć. Ona – uwięziona między potworami, które przesuwały ją z miejsca na miejsce. On – z początku uskrzydłony, ale z każdym krokiem coraz bardziej zmęczony i zrozpaczony. Wszystkiemu przygląda się z oddali mroczna postać, poruszająca dłońmi jak lalkarz.

W końcu Artur atakuje kolejne potwory własnym ciałem, jeden po drugim padają na ziemię. Ale on sam też upada.

Marcin przymknął oczy. Wiedział, jak skończy się ten balet. I ten krótki film wyświetlany na białym ekranie. Paweł Dąbrowa wyglądał dokładnie jak Artur. Młoda aktorka w niczym nie przypominała Alicji. Ich wielkie smutne twarze na ekranie przesuwały się coraz szybciej i szybciej, a przez wszystko przezierają oczy starca, mistrza lalek. Czarodzieja.

I na końcu, w finałowym akordzie, to zdjęcie. Młody Janek Adler i dziwna dziewczyna o nieobecnych spojrzeniu.

Tosia.

PLENER. GDZIEŚ W POLSCE – RANO

Pociąg podmiejski hamuje z cichym sykiem przy pojedynczym krótkim peronie pośród cichego ścierniska. Z przedostatnich drzwi wychodzi na peron KOBIEȚA w białej kurtce. Kiedyś sama siebie nazwała ALICJĄ. Nikt więcej nie wysiada z pociągu, drzwi zasuwają się i pomarańczowa elektryczka odpływa ku kolejnej stacji.

Kobieta stoi na peronie i patrzy na wąską dziurawą szosę prowadzącą wzdłuż nagich teraz pól i łąk w kierunku brzozowego lasu. Jeszcze chwila. Chce jeszcze raz uporządkować sobie to wszystko w głowie.

Już wszystko wie. Zna swoją przeszłość. Nawet jeśli ta przeszłość ma teraz świdrujące oczy starego człowieka. Nie czuje do niego nienawiści. W tym momencie niczego nie czuje. Ale nie ma też już tej dręczącej ją przez ostatnie osiem lat niepewności. Już wszystko wie...

Przemaga się i zmusza zdrętwiałe nogi do postawienia pierwszego kroku. Schodzi z pustego wietrznego peronu, przechodzi przez tory i rusza przed siebie dziurawą szosą. Kilometr dalej wśród brzozowych zagajników odnajduje znajomą drewnianą tabliczkę. Skręca w prawo w błotnistą dróżkę. Gdy na chwilę spogląda pod nogi, widzi w ziemi odciski własnych butów, idących w stronę stacji.

Potem jeszcze jeden zakręt i wreszcie kobieta widzi znajomy płot, a za nim znajomy ogród, a za nim znajomy drewniany dom. Z domu wybiega mała DZIEWCZYŃKA, rzuca się jej w ramiona i spogląda na nią znajomymi ciemnobrązowymi oczami.

Kobieta tężeje. Choć wydawało jej się, że kochała te oczy przez siedem ostatnich lat, to dopiero teraz będzie musiała nauczyć się kochać je na nowo. Taka jest cena poznania prawdy. Liczyła się z tym od samego początku, ale teraz dociera to do niej z całą siłą.

„Kimkolwiek byłeś, wychowam twoją córkę z największą miłością, na jaką mnie stać”.

Wchodzą razem, ona i dziewczynka, do małej szklarni, w której przy krzakach róż stoi nieświadomy niczego OGRODNIK, przycina gałązki i z czułością dotyka czerwonych, białych i żółtych kwiatów. Odwraca się i spogląda spod czapki z daszkiem, z jakby nieco dziecinnym uśmiechem. Pyta wzrokiem: „Jak leci?”.

Ona patrzy wtedy na jego nieruchomą twarz, na bliznę biegnącą wzdłuż policzka do niesłyszanych uszu i na oczy, które osiem lat temu wyciągnęły ją z ciemności. Unosi palce, układa je i odpowiada mu w języku, którego oboje musieli się nauczyć na początku tego nowego życia.

„Oto wróciłam”.

WYCIEMNIENIE

Postłowie

Na początku był scenariusz. Dawno, dawno temu, rok 1997. Ja i mój kolega z liceum Michał napisaliśmy na studiach skrypt nieco podobny do tego z powieści, film drogi. Bohaterami byli Artur i Marcin – nasze alter ego. Były gadki z boiska, na które Michał chodził, by spotykać się ze swoimi kumplami z osiedla. Był jakiś wątek sensacyjny i była jakaś Alicja, poznana przez Artura w podejrzanych okolicznościach. W realnym życiu Michał rzeczywiście zaniósł scenariusz do jakiegoś mieszkającego w sąsiedztwie aktora, który powiedział, że to nie jest w jego guście. Nawet nie pamiętam, jak się nazywał.

Ze scenariusza nic nie wyszło, a ja i Michał poprzytykaliśmy się o pewną dziewczynę. Czy ona miała paznokcie w kolorze ciemnego błękitu? Być może. Ja i on poszliśmy swoimi drogami, chociaż po roku spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy Emilii Plater w środku lata. Odnowiliśmy przyjaźń, ale do scenariusza już nie wracaliśmy.

A potem w lecie 2001 roku Michał zginął w wypadku samochodowym. Przez kilka lat po jego śmierci obiecywałem sobie, że zrobię coś z tym naszym scenariuszem. Żeby go upamiętnić. Ale życie szło własnymi torami. Pierwsza praca, druga praca, dzieci. Pewnego dnia stwierdziłem z przerażeniem, że mój wydruk gdzieś się zgubił, a na dysku w komputerze też nie mogę znaleźć pliku, zupełnie jak Marcin w powieści.

W Święto Zmarłych w 2017 roku pierwszy raz po długiej przerwie odwiedziłem grób Michała. W jakimś sensie długo dojrzewałem do pisania, ale zawsze było pod górkę. Brak wiary, brak czasu. Tym razem stało się inaczej. Listopad okazał się miesiącem przełomowym. Spędziłem go na przypominaniu sobie, co mogło być w tym scenariuszu. Ostatecznie odtworzyłem tylko gadki Bolka i reszty, spowiedź Alicji na piaszczystej plaży i sytuację z fast foodu. Cała reszta przyszła podczas pisania.

Akcja książki toczy się na osiedlu. Michał mieszkał na Zaciszu, ale osiedle z powieści nie jest Zaciszem. To jest takie miejsce, które może być wszędzie, na jakimkolwiek przedmieściu Warszawy. Jest w nim trochę z Zacisza, trochę z Ząbek, trochę z Wawra, a nawet trochę z Sulejówka. Drugie osiedle, to za lasem, na którym mieszkał w swoim pierwszym życiu Andrzej Rulewski, to mój miks Targówka przy Radzymińskiej i Tarchomina. Wioska Karmany i miasteczko Gryczewo na Mazurach nie istnieją.

Żadna z postaci w książce nie ma odpowiednika w realnym życiu. Są połączeniem wielu postaci, tak jak mówiła o tym Marcinowi Anka nad szoarmą.

Dziękuję Joli i Agacie za cierpliwość w pierwszym okresie mojej pracy – i za wskazówki. Kindze Rak z Twardej Oprawy, Izabeli Nestioruk, Katarzynie, Marioli – za wnikliwe recenzje drugiej i trzeciej wersji maszynopisu. Eli, Agnieszce, Uli, Pawłowi, Gosi – za cenne uwagi. Justynie Chmielewskiej – za świetną redakcję. Żonie i synom – za to, że jesteście.

Dziękuję Ci za przeczytanie mojej debiutanckiej powieści, droga Czytelniczko i drogi Czytelniku. Czas, bym zabrał się za kolejną.

Konrad Grześlak
luty 2020

Źródła cytatów

Hanka Ordonówna, *Miłość ci wszystko wybaczy* (Henryk Wars / Julian Tuwim).

Owidiusz, *Przemiany* (1933, przeł. Bruno Kiciński).

J.R.R. Tolkien, *Vi Dýr Ennui* (www.istad.org/tolkien/poetry.html, w przekładzie autora).

The Beatles, *Strawberry Fields Forever* (John Lennon / Paul McCartney).